

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SZÓSTY. — TOM CI.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1909.



KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1909

Z MYŚLI WIECZORNYCH.

VII.

Tak szeptał tuman czarny...

Niegdyś, niegdyś przyszła była do mnie mara posepna i na bezsensnem posłaniu mojem ległszy, tumanem czarnym całego mię okryła.

Całego mię okryła, od stóp aż po włosy, tumanem czarnym, z którego były jej ciało i suknia, a szept jej syczący głowę mą oblewał i kędy życie sercem tętni, spływał.

Smutkiem nazwała siebie mara czarna i rzekła: że za bratem swym, bólem, śladem w ślad po świecie chodzi; — że gdy ból serce człowiecze przebije i na dnie serca zmęczony spoczywa, ona przychodzi; — że ból jest nożem, który krwawo wytacza, ona trucizną, która w krew się wsącza; — że krzyk jest głosem bólu, krew jego kolorem, a ona cicho stąpa, nocy barwą obleczone powoli, powoli na pierś, oczy, myśl, siły człowiecze się kładnie i szepce... szepce »Co ty wiesz?

»Wiotkim tyś cieniem, który po drodze życia mknie i — zniknie. Skąd? Dokąd?

»Co ty wiesz?

»Miliardem dróg jest życie, któremi na świata powierzchni miliardy cieni pomyka i — znika. Skąd? Dokąd?

»Co ty wiesz?

»Świat zbiorowiskiem cieni wszech natur i kształtów, które na czasu oceanie pomykają i — znikają. Skąd? Dokąd?

»Co ty wiesz?

»W sercu twem słowik i róża skonały, — w głębokościach przestworzy umarła gwiazda.

»Po co różę, słowiki, gwiazdy?

»Czy ty wiesz?

»Na sercu, czole, dłoniach, piekące pieczęcie złej doli nosisz. Za co? ku czemu?

»Czy ty wiesz?

»W pobliżu brzmi muzyka skoczna, rozlegają się śpiewy i śmiechy ochocze. Tam radość życia, płąsy, wesele. Idź i szatę Dyaniry, z piekących pieczęci złej doli utkaną, w kaskadę śmiechu wrzuć.
. Od kaskady śmiechu wzrok, słuch, duszę z niechęcią odwracasz?

»W pobliżu las stoi głęboki, spokojny, samotny, cichy, cienisty, bezpieczny od świata, od ludzi i dobrze być musi, ach! na mchów pierzu miękkim, pod szerokimi skrzydłami paproci, oko w oko tylko ze skabiozą białą, nad głową tylko z obłokiem skrzydlatym — usnąć!

»Idź i w cienistej, spokojnej, samotnej głębi lasu — na mchy i paprocie szatę życia — zrzucić!

»Po co życie?

»Czy ty wiesz?
. Gdybyś wiedział, że z łez twych oczu powstanie źródło kastalskie, w którym skąpane oczy inne nigdy już płakać nie będą;

gdybyś wiedział, że z prochu twoich słowików zamordowanych Feniks uleci i w sercach innych pomarłe szczęścia odrodzi;
gdybyś wiedział, że dłoń twoja dłoni czyjej, dusza twoja duszy czyjej — jest radością. Gdyby kto wołał...

»Wysłuchaj się w echa, które głosy niosą!

»Nikt nie woła. Tę wiesz
. Z łez wylanych przez oczy jedno, powstają dla ocz innych cudowne źródła kastalskie?

»Nad popioły róż i słowików umarłych wzlatują ptaki szczęśliwych odrodzeń?

»Dobędzie pług twój ziarno z roli bagnistej, lub wyschłej?

»Wyssaż twe wargi skrwawione gorycz z jądra świata?

»Czy ty wiesz?

»Woła-ż ku tobie głos jaki kochany: radości moja!

»Wysłuchaj się w echa, które głosy niosą!

Cisza. Nikt nie woła. To wiesz
 »Od śmiechu kaskady wzrok, słuch, duszę z niechęcią odwracasz?

»W pobliżu las głęboki, spokojny, samotny, cichy, cienisty, bezpieczny od świata, od ludzi i dobrze tam — spać bez snów!«
 Tak szeptał tuman czarny, któremu na imię smutek, który za bratem swym bólem przychodzi i gdy tamten krew wytacza, on sączy w nią truciznę, powoli, powoli...

I już nie...

Kędy życie sercem tętni, kędy potok myśli płynie, kędy przeży się woła — królowa i do stóp królowej sługi — siły przybiegają — już nie!

Tylko ten las głęboki, samotny, spokojny... mchy, paprocie... od ludzi, od świata...

Nic! Ze skabiozą białą oko w oko... z obłokiem skrzydlatym nad głową... sen bez snów...

Cóż ja wiem?... Nikt nie woła... To wiem. I nic.
 U wezgłowia mego stanęły wtedy dwa białe, wysokie Anioły.

Z dwu stron wezgłowia mego dwa Anioły stanęły — i gdy skrzydła ich szerokie pochylały się nademną, jak nad dzieckiem splakanem chylały się macierzyńskie dłonie, jeden rzekł:

— Bóg.

A drugi rzekł:

— Polska.

Piórami skrzydła swego oczu moich dotykając, jeden rzekł:

— Bóg — wie.

Pióra skrzydła swego na sercu mem kładnąc, drugi rzekł:

— Polska woła.

W tumanie czarnym, w głębokich głębiach jego, zapłomieniły dwa ogromne słońca.

Na płomieniejące słońca skrzydły ukazując, Anioły rzekły:

— Tam idź!

Wskrós mózgu, wskrós piersi, płynęły mi głosy Aniołów i tam spływały, kędy życie sercem tętni.

Powstałem. Szedłem. Idę.

Do tumanu czarnego nie rzekły Anioły: odejdz!

Idzie ze mną, ale nie jest czarnym. Jak lampy niebieskie świecą w nim oczy wysokich Aniołów i płomienieją w głębokich głębiach jego — dwa ogromne słońca.

VIII.

Kędy płyną dwa złote ruczaje...

..... Sprzecznościom życia dziwisz się. Śmiechowi, co zadzwonił wśród krzyków tragedyi, lichej glinie w pokładach drogiego marmuru, rdzawej skazie na płatku róży białej — dziwisz się.

O drogi! Tworzy życie to zlepy marmuru i gliny, uploty sznurów pereł i sznurów koralu.

Perłowe gamy śmiechu, — koralowe strugi krwi;

śmiej się lekko, u którego tonów, na sznurach łez kołyszą się ciężkie westchnienia;

łzy ciekące po złotogłowie, konwalia pachnąca na grobie;

skaczący i wybielony kłown, w ponurej celi smutku;

świst dyscypliny pokutnej, przerywający pieśń Anakreona;

pieśń Anakreonowa, brzmiąca w czadzie biesiadnych pochodni, gdy w jasności jutrznianej skowronek dzwoni i sko-

wronkowo, pod błękitami, modlitwę poranną śpiewa dzwonnica kościelna

Czyś nigdy nie czuł bólu, który z samego siebie się śmieje i śmiechu, który nad sobą samym ogromnem łkaniem płacze?

Czy nie widziałeś grzechu, męką serdeczną dźwiganego ku okręgom cnoty, i cnoty, którą złość serca w rozdoły grzechu skręcała?

Na zachód idąc, nie umierałeś nigdy z tęsknoty za wschodem, a gdy ku temu kroki obróciłeś, czyliżeś się wichrem żalu na wschód nie zawracał?

O, drogi! w tym zlepie, w tym splocie, w tych wiecznych bojach życia, jedno tylko oko Boże rozróżnić zdoła glinę od marmuru, sznur pereł od sznura koralu, lzę oka od złotogłowa szaty, lzę na płatku róży białej od spalonego w żarach słonecznych jej serca — i niech ono jedno tylko gromem gniewu druzgoce i spala to, co dla wszechświatłości Jego jest ciemnością.

A my

Lecz zważ jeszcze. W muzyce tej bezdennej, którą rozlega się świat, im narzędzie muzyczne kunsztowniejsze, bogatsze, im pierś jego szersza i struny liczniejsze, im cieńsze, lotniejsze, na myśl muzyczną wrażliwsze palce, które po strunach przebiegają . . .

Posłuchaj!

Czy słyszysz tam w dali, u skraju równiny grającą fletnię pastuszą?

Jedna, druga, trzecia nuta! jedna, druga, trzecia nuta! wciąż te same te same

Umilkł instrument prostaczy, ubogi.

A teraz . . . słyszysz?

Rozegrała się, rozśpiewała, rozdzwoniła harfa kunsztowna, bogata, pierś zasnutą złotemi struny wystawiająca na błyskawice, gromy, słońca, podmuchy, szelesty, pogody, pieśszcoty i miecze, chmury i błękity nieba, ziemi, duszy własnej, — duszy głębokiej, a po brzegi pełnej i nieba, i ziemi

O, drogi! w tej ulewie, w tej burzy, w tym zgiełku, w tych nieskończonych bojach tonów, jedno tylko ucho Boże rozróżnić

zdola potępione od błogosławionych i niech jedno tylko Słowo Boże ku tym grzmi: zgińcie! ku tamtym: śpiewajcie!

— A my.....

Wznies na dłoni amforę i pójdźmy kędy wśród szarych pionów płyną dwa złote ruczaje.....

Miodną patoką miłosierdzia i oliwą przebaczenia płyną.

Zanurz w ruczajach wargę amfory, niechaj z nich pije — i poniesiemy ją między harfy świata, by łkające ich struny słodczą miodu sycić i zgrzytające namaszczać oliwą pokoju.

Potem amforę oddamy rękom bratnim, aby ją pochyliły nad strunami — naszych harf.

Eliza Orzeszkowa.

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

OD REDAKCYI.

Wyraz *traditor*, użyty przez kronikarza Galla o świętym Stanisławie, spowodował w naszej historyografii niejedną hipotezę. Najdalsze konsekwencye wyciągnął i najszerzej starał się je uzasadnić prof. Wojciechowski, którego pracę pewna część opinii przyjęła jako ostatnie słowo w tej kwestyi. W wynikach swoich, prof. Wojciechowski zarzuca świętemu Stanisławowi »grzeszną zdradę« i kultowi jego odmawia słusznych podstaw.

Wybitne naukowe stanowisko prof. Wojciechowskiego, nadało całej kwestyi św. Stanisława bardzo aktualne znamię. W pewnych organach prasy ogłoszono kult za błędną omyłkę, w szerokich zaś sferach katolickich powstało zaniepokojenie i poczucie potrzeby wyjaśnienia tej sprawy.

Po to wyjaśnienie udaliśmy się do naszych historyków wkrótce po ukazaniu się książki prof. Wojciechowskiego. Obiecał nam wtedy zabrać głos w tej sprawie ś. p. prof. Karol Potkański. Niestety, całoroczna słabość a potem śmierć prof. Potkańskiego odwlokły sprawę.

Dopiero obecnie spełnić możemy nasz zamiar. Celem obszerniejszego roztrząśnienia kwestyi zainicjowaliśmy dyskusję. Krótkiego referatu, mającego być zagajeniem dyskusyi, podjął się znany autor dzieła o św. Stanisławie, dr. K. Krotoski, głos zaś

w dyskusyi zabierają wybitni nasi uczeni, pracujący na polu historyjografii i filologii. Ta ostatnia dziedzina, wobec wielkiej roli, jaką w tej kwestyi odgrywa moment filologiczny, ma także prawo do głosu. Dotychczas obiecali nam łaskawie współudział w dyskusyi: dr. Wojciech Kętrzyński, dr. W. Czermak, dr. A. Prochaska, dr. St. Smolka, dr. A. Miodoński i warunkowo dr. O. Balzer.

Redakcja Przeglądu Powszechnego.

ZAGAJENIE.

»Szkice historyczne XI wieku« prof. Tadeusza Wojciechowskiego, zdaniem wielu, pozostaną zawsze książką, podającą najcenniejsze wskazówki metodyczne o sposobie, w jaki się zmusza małowowne teksty do wyjawienia tajemnic szczerze w nich zawartych, a przecież wydobywanych na jaw przez potężną inteligencyę zżytego z epoką i materiałem historyka. Ponad wszelką kwestyę jest, że każda praca genialnego autora »Chrobacyi« budzi niezwykle zainteresowanie, i to także, że bystrość w tłumaczeniu zawiłych tekstów oraz oryginalna metoda w rekonstruowaniu prawie nieznanym wypadków są niekiedy wprost niedościgłe. Znakomity ten badacz kroczy w badaniach swych oryginalnymi szlaki, którymi nie każdemu kroczyć wolno, ale właśnie z powodu tej oryginalności dochodzi nieraz do wniosków fantastycznych. Wykazała to już nieraz krytyka prof. Wojciechowskiemu i wykazać je musi zwłaszcza w pięciu ostatnich szkicach historycznych XI wieku, t. j. tam, gdzie znakomity autor »Chrobacyi« omawia spór Bolesława Śmiałego ze św. Stanisławem.

W szkicach tych dochodzi prof. Wojciechowski do następujących tez:

- 1) »Sprawa św. Stanisława jest stracona« (str. 249).
- 2) »Biskup popełnił grzeszną zdradę« (str. 251) »na rzecz Władysława Hermana« (str. 299).
- 3) »Tradycya, wbrew opinii episkopatu z początkiem XI w., o świętości i męczeństwie biskupa powstała na podstawie prze-

niesienia zwłok jego z grobu na Skalce do katedry z rozkazu Władysława Hermana; utwierdził ją pismem Kadłubek, który już wierzył, a przynajmniej rozumiał, że tak jest dobrze i to pomagało do wiary» (str. 341).

Prof. Wojciechowski powtarza zatem to, co od czasów Czackiego w różnych wariantach tytu a tytu historyków, zwłaszcza młodych, twierdziło. W wiekowym sporze o kult św. Stanisława staje najpoważniejszy badacz naszego średniowiecza po stronie przeciwników św. Stanisława, przeciw poglądom kościelno-katolickim w tej sprawie.

Czy takie wystąpienie jest uzasadnione? Czy wolno targnąć się na uświęconą tradycją, kanonizacją, kultem, osobistość największego Polski patrona? Sądzę, że, jeżeli chodzi o prawdę, nawet najgorliwszy, byle rozumny wyznawca katolicyzmu zgodzi się, że wobec majestatu prawdy zblednąć musi choćby największa wymarzona świętość wieków minionych lub powag kościelnych. Jak wobec galileuszowych odkryć i dowodów z całą szczerością przyznajemy błąd ówczesnej Inkwizycji rzymskiej, tak w świetle krytyki rozwiła się w niwecz niejedna postać świętego, zawdzięczająca swe powstanie legendzie. W XI wieku synody biskupów francuskich zastanawiały się, czy św. Materna zaliczać do Apostołów; a dziś tylko ze starych kronik kościelnych dowiadujemy się, że istniał kiedyś kult bajecznego św. Materna. I w naszych czasach, a bez oporu ze strony Stolicy św., zniesiono kult szeregu świętych, którym legenda, jak dała istnienie, tak ozdobiła skronie aureolą świętości.

Czy ze św. Stanisławem stanie się to samo?

Czy nadejdą czasy, że wobec światła historii wierzące rzesze narodu polskiego odwrócą się od srebrnej trumny na Wawelu, by widzieć w niej co najwyżej ciekawy zabytek archeologiczny?

Gdyby kiedykolwiek zażądała tego prawda — oczywiście, że takby się stać musiało. Nie istnieje argument przeciw jasno stwierdzonej prawdzie. Chodzi tylko o to, traktując rzecz wyłącznie z historycznego punktu widzenia, czy argumenta naukowe prof. Wojciechowskiego ten bolesny przełom w wierzeniach polskich czynią nieuniknionym.

Śmiałe swe twierdzenia autor »Szkiców XI wieku« oparł: 1^o na dwóch emendacjach tekstu Gallowego i nieprawidłowej interpretacji słów tegoż kronikarza; 2^o na dowolnej ocenie kroniki Galla i Kadłubka; 3^o na kombinacjach takiego historyka, jak M. Gumpłowicz.

Zamiast opartej na starszym rękopisie XIV wieku i zrozumialszej wersji, przyjętej przez ostatnich wydawców kroniki Galla, d-ra Finkla i d-ra Kętrzyńskiego (*non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare*) prof. Wojciechowski za Skórskim (»Gallus i Kadłubek o św. Stanisławie«, *Tygodnik literacki i naukowy* z roku 1883, str. 9 – 12) na podstawie tekstu z XV wieku przyjmuje: *christianus in christianum* i interpretuje znane słowo *christianus* w sposób dziwny przez »pomazaniec«!, aby w ten sposób podkopać zgodność tradycji Kadłubkowej z Gallową, mówiącej wyraźnie o ekscesach niechrześcijańskich króla przeciwko chrześcijańskim poddanym, aczkolwiek Gall wyraźnie mówiąc, iż król dodał grzech do grzechu (*peccatum peccato adhibuit*), gdy za zdradę biskupa pocięciem członków ukarał, rozróżnia dwa grzechy królewskie: jeden przeciwko chrześcijańskim poddanym, drugi przeciwko zdrajcy biskupowi.

Aby wykazać łączność między zdradą biskupa, upadkiem Bolesława a Władysławem Hermanem prof. Wojciechowski w ustępie Gallowym: *quum audisset Vladislaus* (król węgierski) *Boleslaum advenire, partim gaudet ex amico, partim restat locus irae; partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed deferre Vladislao* (Władysław Herman?) *facto dolet inimico* (I, 28), zepsute i niezrozumiałe zdanie ostatnie tłumaczy w niezrozumiały sposób: »trudno mu wybaczyć Władysławowi Hermanowi, że stał się mu wrogiem«. Z gwałtem tym, zadany filologii przez podobne tłumaczenie, niech się rozprawią filolodzy! Ze stanowiska historycznego odnoszenie drugiego *Vladislao* do Władysława Hermana, aczkolwiek w całym tym ustępie o nim nie było wzmianki, jest co najmniej naciągane i dlatego nie bez słuszności wydawcy Galla ustęp ten zastąpili konjekturą: *sed de terrae Boleslai fato dolet inimico*. W ten niebywały sposób spre-

parowany tekst Galla stał się dla prof. Wojciechowskiego punktem wyjścia dla jego twierdzeń w tak ważnej sprawie.

Podpórką godną tej chwiejnej podstawy jest werdykt autora, wydany o prawdomowności Galla i Kadłubka. Dowodem, że Kadłubek kłamie świadomie i rozmyślnie w całej kronice, a zatem i w sprawie św. Stanisława ma być jeden i to niefortunnie cytowany ustęp o Bolesławie Kędzierzawym, który przecież, zdaniem prof. Wojciechowskiego, nie tryumfował nad Fryderykiem Rudobrodym; a jednak przecież faktem jest, że mimo upokorzenia się w Krzyszkowie przed Fryderykiem, Bolesław Kędzierzawy nie wypełnił ani jednego z narzuconych mu tamże warunków, a zatem Kadłubek bardzo ogłędnie zamilczając w swoim podręczniku szkolnym wiele faktów, powiedział ostatecznie prawdę. Że nie popiera seniora, jak chce prof. Wojciechowski, nie można mu się dziwić, popieranie juniorów wówczas było koniecznością dziejową dla społeczeństwa wobec przygniatającego wszystko despotyzmu seniora. Jaki zaś drogoćenny kruszec prawdy zawiera kronika Kadłubka, jeżeli się umiejętnie ją wyzyskuje, wykazał to tej miary znawca średniowiecza, jakim był Łaguna w »Dwóch elekeyach«. Jak cenne literackie fragmenty z XII wieku przechowała nam ta kronika, dowiódł nie kto inny, jak sam prof. Wojciechowski (»O Kazimierzu Mnichu«). Badania nad tą kroniką Mistrza Wincentego nie są skończone, zaledwie rozpoczęte. Przejszć do porządku dziennego nad tem, co Kadłubek pisze, jest błędem przeciwko metodzie historycznej i najsłabszą stroną prof. Wojciechowskiego. Zarzucać *pia fraus*: pobożne oszustwo jednemu z najszlachetniejszych biskupów średniowiecza bez dowodów, jest co najmniej grzechem przeciwko psychologii ludzkiej. Drugim błędem jest przesadne ocenianie kroniki Galla. Jak kłamliwe wiadomości podawał Gall, najjaskrawiej (w znacznej części może niesłusznie i bez podstawy) wykazał tyle ceniony przecież przez prof. Wojciechowskiego jego uczeń M. Gumpłowicz (*Zur Geschichte Polens im Mittelalter. Zwei kritische Untersuchungen über die Chronik des Baldwin Gallus*, str. 21 i t. d.).

Jak zaś chwiejnym jest sąd prof. Wojciechowskiego o Gallu, tego następujące dowodzą próbki z jego szkiców historycznych:

»Gall miał odwagę pisać prawdę« (str. 256). Kilka wierszy niżej pisze: »Nie odważył się ani jednym słowem wspomnieć o buncie dziada«. »Z uczestników buntu wymienił tylko Stanisława, bo ten widocznie nie miał tak potężnych krewnych, iżby się potrzebował obawiać ich zemsty« (*sic'*) (str. 255). »Był człowiekiem sumiennym, kiedy nie mogąc napisać całej prawdy, przynajmniej się starał nie zakryć jej« (str. 255). »Gallus milczy przez dwa-nastacie lat o jakichbądź sprawach dlatego, bo to były dzieje haniebne, których nie dałoby się skoloryzować jakąbądź frazeologią« (str. 318). »Gall nie chciał zataić prawdy, ale ją zakrył« (str. 338). »Stwierdzenie wiarogodności Galla« przez podane próbki rozstrzyga już sprawę Stanisława — zdaniem prof. Wojciechowskiego (str. 298).

Rozstrzyga sprawę św. Stanisława u prof. Wojciechowskiego, zdaniem mojem, także ogromna zależność od pracy Maksa Gumpłowicza. Młody ten historyk i lektor uniwersytetu wiedeńskiego zabłysnął przed kilku laty na niebie naukowem jako gwiazda olśniewająca, niestety — jak się okazało — tylko jako gwiazda spadająca. Szereg prac jego publikowanych czy przez niego samego, czy po jego wczesnej śmierci przez rodzinę, skwalifikowała nieuprzedzona krytyka w pismach naukowych polskich jeszcze przed pojawieniem się jego prawdy o św. Stanisławie jako: *Dichtung und Wahrheit*, a nawet jako samą *Dichtung*; na punkcie zaś św. Stanisława i Kościoła katolickiego zdradzał młody — bez wątpienia zdolny — semicki uczony o barwie radykalno-socyalistycznej wprost zboczenie umysłowe, jak się wyraził jeden z najlepszych znawców naszego średniowiecza, prof. historyi na Wszechnicy Jagiellońskiej ś. p. Potkański. Prof. Wojciechowski, niestety, uległ w znacznej części sugestyi fantastycznego i fanatycznego pod względem antykościelnym badacza wiedeńskiego. Od niego zapożyczył on tezę, że biskupi współcześni Gallowi tak samo się patrzeli na św. Stanisława jako na zdrajcę, jak Gall (Wojciechowski, str. 298, Gumpłowicz, *Kwartalnik historyczny* XII, 1898, zesz. 3, 517). Od niego zapożyczył pogląd, że Wratysław panował szereg lat w Krakowie i Małopolsce (l. c. str. 267—72. G. *Zur Gesch. Polens*, str. 31). Od niego, że św. Stanisław był przeciw-

nikiem Grzegorza VII w sprawie celibatu, a może tak samo, jak Czesław biskup późniejszy krakowski, żonatym (W. str. 360. G. l. c. str. 251—8) i t. d. i t. d.

Prof. Wojciechowski ma zwyczaj niezgodny z metodą historyczną, że źródeł swych nie podaje — może o nich zapomniawszy — i tem wypłatał adoratorom swoim w rodzaju recenzenta »Szkiców historycznych« w *Kwartalniku historycznym* (XVIII, 572—4) srogiego figla, albowiem szereg fantazyi Gumpłowicza poczytuje za zdobycze naukowe niemalej wagi, za domysły, którym nauka nie będzie mogła odmówić miana hipotezy ściśle naukowej, recenzent krzywdzi po prostu tyle cenionego przez siebie także Gumpłowicza na rzecz prof. Wojciechowskiego, a sobie i nauce polskiej brakiem znajomości sprawy zaszczytu chyba nie przynosi. Obok Gumpłowicza korzystał prof. Wojciechowski z pracy Franciszka Stefczyka p. t. »Upadek Bolesława Śmiałego« (*Athenaeum* 1885), aczkolwiek nie zgadzał się z jej rezultatami, godzi się jednak, zwłaszcza ze sądem p. Stefczyka o Gallu i Kadłubku. O pracy Stefczyka powiedział niegdyś tej miary mistrz metodyki, co Liske: »Gdyby się autora naśladowało, tedy możnaby naiwnym średniowiecznym kronikarzom wszystko wmówić, co tylko żywnie się podoba. Taki sam sąd musi wypowiedzieć bezstronna krytyka niejednokrotnie o metodzie prof. Wojciechowskiego w jego »Szkicach historycznych«, traktujących o Bolesławie II i św. Stanisławie.

A jednak prof. Wojciechowskiemu niełatwo przyszło pisać owe dwa szkice VII i VIII, jak to sam zaznacza i stwierdza jego wielbiciel i recenzent w *Kwartalniku historycznym*, gdyż oprócz trudności rzeczowych niepokoiła go obawa, czy nie jest oszczercą, który kala narodową świętość. Nie wątpimy ani na chwilę w dobrą wiarę prof. Wojciechowskiego, tem bardziej, że niegdyś inne, całkiem odmienne zapatrywania o św. Stanisławie również z przekonania nie wahał się publikować (»O rocznikach polskich X—XV wieku«, w *Pamiętniku Akad. Umiej. w Krakowie* wyd. histor.-filozof. IV, 167, przypisek). Jesteśmy przekonani, że czcigodny autor uległ sugestyi literatury antykościelnej, która jedynie w szkalowaniu Kościoła i jego urzędzeń widzi prawdę historyczną.

Działy na niego i szlachetniejsze uczucia. Uczeń jego, tyle obiecujący i tak zdolny, Maks Gumpłowicz, syn kolegi uniwersyteckiego w Gracu, który tak rychło życie zakończył, przez katolicką *vulgo* klerykalną krytykę w Warszawie i we Lwowie został w bardzo ostry sposób zaatakowany, przyczem i składowi redakcyi *Kwartalnika historycznego*, publikującej prace Gumpłowicza, w poczet której wchodził pośrednio jako prezes Towarzystwa historycznego i prof. Wojciechowski, nie poskąpiono zarzutów. To zupełnie wyjaśnia nam postąpienie prof. Wojciechowskiego w »Szkicach historycznych«. Chylimy czoło przed szlachetnością jego uczuć i rycerskiem jego wystąpieniem w szranki w obronie prawdy, choćby subiektywnej, oraz sławy ukochanego ucznia, nie mogącego się już bronić. Tendencya autora »Szkiców XI wieku« jest niesłychanie sympatyczna; ponieważ jednak chodzi o prawdę dziejową, aczkolwiek z bólem serca czy tendencyę autora, czy jego metodę, czy jego wyniki odnoszące się do sprawy św. Stanisława jak najbardziej stanowczo zakwestyonować czujemy się zniewoleni. Na podstawie dowolnej emendacyi tekstu, sztucznej jego interpretacyi i karkołomnych domysłów i hipotez nie ogłasza się werdyktu potępiającego w sprawie takiej, jak kult patrona polskiego, do którego miliony serc polskich jest przywiązanych. Być może, że jeżeli zasób naszych źródeł historyograficznych się powiększy, niejeden z naszych poglądów lub konstrukcyi ulegnie modyfikacyi. Przy obecnym atoli stanie źródeł, sprawę św. Stanisława uważać za straconą, jest rzeczą co najmniej przedwczesną.

Mimo tych poważnych usterek i braków, wytkniętych »Szkicom XI wieku« prof. Wojciechowskiego, zwłaszcza w sprawie św. Stanisława, zawierają one szczególnie w pierwszych przed kilkunastu laty napisanych rozdziałach tyle cennych uwag i naukowych zdobyczy, że nie tylko są znacznym dobytkiem naszej wiedzy, ale na zaszczytne wyszczególnienie — jak każda praca prof. Wojciechowskiego — ze wszechmiar zasługują; atoli bezwzględnie *iurare in verba magistri in verba* prof. Wojciechowskiego mogą tylko ci, którzy sprawy św. Stanisława, a zwłaszcza dziejów XI wieku dokładnie nie znają. Dla tych nie badanie i nie metoda, nie argumentacya, ale firma prof. Wojciechowskiego jest rozstrzygająca.

Ta firma, ta sława i powaga olśniewa masy laików i dlatego pogląd prof. Wojciechowskiego w kwestyi św. Stanisława znajduje obecnie powszechny poklask; czy znajdzie go wobec poważnej krytyki nie tylko polskiej ale i obcej, czy znajdzie go na długo, to przyszłość może niedaleka dowodnie okazać.

Dr. K. Krotoski.

DYSKUSYA.

Mówiąc o św. Stanisławie, musimy sobie uprzytomnić, że mamy tylko jedno źródło piszące o nim, które wogóle zasługuje na uwagę. Jest to kronika t. zw. Galla anonima. Tekst jej polega tylko na jednym rękopisie pergaminowym z XIV w., znajdującym się obecnie w bibliotece Zamoyskich w Warszawie, który jest nadzwyczaj niedbale przepisany a zatem pełen błędów i opuszczeń. Tekst zawarty w rękopisie Sędziwoja z Czechla jest bezpośrednią jego kopią, kodeks zaś t. zw. szamotulski zawiera przeróbkę tegoż.

Dr. Tadeusz Wojciechowski pisząc o św. Stanisławie w swoich »Szkicach historycznych jedenastego wieku« łączy śmierć jego z buntem Władysława Hermana przeciw seniorowi Bolesławowi, który jeszcze przed swoim wygnaniem kazał biskupa krakowskiego sądownie zasądzić na *truncatio membrorum*; śmierć zatem św. Stanisława była karą legalną za jego zdradę.

Jak wiele innych hipotez, tak i hipoteza p. Wojciechowskiego nie wynika wcale z konieczności z słów kroniki przez niego przytoczonych, o których naprzód wypowiem kilka uwag.

Nie wolno poprawiać tekstu warszawskiego, który ma *quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare*, na podstawie rękopisu Sędziwoja na *in christianum* i stąd wyprowadzać wnioski, albowiem *in christianum* jest błędem kopii.

Drugie zdanie Galla anonima, na którym się Wojciechowski opiera, brzmi w rękopisie warszawskim: *partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed deferre Wladislavo facto*

dolet inimico, druga połowa jego nie posiada należytego sensu a także tłumaczenie p. Wojciechowskiego: »cieszył się Władysław węgierski na przyjazd Bolesława jako brata i sprzymierzeńca, ale chowa też w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi (Hermanowi), że stał mu się wrogiem«, nie jest ścisłem, albowiem *deferre* może znaczyć *parcere, accusare, reum facere, Rücksicht oder Achtung beweisen* i t. p.¹

W zdaniu tem jest *deferre* źle odczytanym wyrazem a *facto* ze względów paleograficznych wątpliwym. Przypuściwszy, że należy czytać *fato*, wtedy musimy koniecznie całe zdanie w ten sposób poprawić, jak to uczynili panowie Finkel i St. Kętrzyński w najnowszem wydaniu Kroniki: *sed de terrae Boleslavi fato dolet inimico*; jeżeli zaś z p. Wojciechowskim zachowamy *facto* i to jest także moje zdanie, w takim razie należy czytać *sed de fratre* (w skróceniu *de fre*) *Wladizlavo facto dolet inimico*. Sens jest teraz jasny: Władysław węgierski witając Bolesława jako brata i przyjaciela, ubolewa zarazem nad tem, że Władysław wygnawszy brata Bolesława, tem samem stał się jego przeciwnikiem.

Ale co stąd wynika? Racyę ma p. Wojciechowski, że Władysław Herman niewątpliwie przyczynił się do wyrzucenia z kraju króla Bolesława; ale żeby w tym buncie i spisku miał udział biskup krakowski Stanisław², absolutnie żadnego śladu, żadnej wskazówki w Gallu anonimie nie znajduję. Wolno p. Wojciechowskiemu łączyć jedno z drugim, ale jest to w takim razie domysł, jakich dotąd było wiele innych.

Że zaś postępowanie króla z biskupem bardzo mu zaszkodziło, że było jedną z przyczyn katastrofy, oznacza autor kroniki niedwuznacznie temi słowy: *Qualiter autem rex Boleslavus de Polonia sit eiectus, longum exsistit enarrare, sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim multum sibi nocuit etc.*

¹ Ob. słowniki Du Cange'a, Forcelliniego, Brinchmeiera, Drumelius'a i t. p.

² »Szkice historyczne«. str. 175: Kto przystąpił do buntu Hermana, o tem jest tylko jedna wiadomość pewna, że tak uczynił biskup krakowski Stanisław.

Twierdzi p. Wojciechowski w dalszym toku swojej rozprawy, że biskup Stanisław został sądownie ukarany obcięciem członków (*truncatio membrorum*)¹.

Nie będąc prawnikiem, nie wchodzę w to, czy *truncatio membrorum* była u nas używana jako kara w sprawach politycznej natury, wiem tylko o oślepianiu, ale zdaje mi się, że wyrażenie kroniki *cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit*, nie posiada tego znaczenia, jakie mu p. Wojciechowski przypisuje, że raczej jest retorycznym frazesem, wyrażającym fakt, że z polecenia króla zamordowano w sposób okrutny biskupa.

Faktem jest, że biskup został zabity, lecz *truncatio membrorum* nie zaszła wcale!

Wspominają wprawdzie oprócz Galla anonima o niej i legendy, ale pomimo to według kroniki mistrza Wincentego² i owych legend *zelo devotionis quidam patrum accensi, sparsas membrorum minutias colligere gestiunt. Pedetentim accedunt, corpus integerrimum, etiam sine cicatricum notamine reperiunt, tollunt, asportant, apud minorem s. Michaelis basilicam... recondunt*.

Jeżeli gdzieś tradycya mówi prawdę, to ma to tutaj miejsce. Były w pierwszej chwili wieści o rozszarpaniu ciała biskupa, a te szeroko rozszerzyły się po świecie; gdy zaś składano ciało jego do trumny i do grobu, przekonano się, że ciało było całe i bez wszelkich śladów trunkacyi. Wiedzieli o tem współcześni, mogli wiedzieć o tem biskup Wincenty i wielu innych, bo zwłoki świętego istnieją dotychczas.

Skoro zaś nie było trunkacyi członków, nie było też i sądu, któryby miał wydać wyrok podobny.

Zabójstwo biskupa zatem było aktem nie sądu, lecz zemsty królewskiej, co Kronika sama przyznaje mówiąc: *neque regem vindicantem sic se³ turpiter commendamus...*

¹ „Szkice historyczne: Sąd i egzekucya biskupa; obcięcie członków... odbyło się w Krakowie. Str. 279, 308—310.

² Kronika Wincentego, II, 20.

³ *Vindicare se* = zemścić się.

Nie ulega wątpliwości, że autor Kroniki polskiej wiedział dokładnie, co zaszło pomiędzy królem a biskupem, ale nie chciał umyślnie tego powiedzieć i dlatego mówi półsłówkami, przypisując jednemu *traditio* a drugiemu *peccatum*. Do czego *peccatum* się odnosi, wiemy: co zaś należy rozumieć przez *traditio*, nie da się łatwo określić. Po tym wyrazie nie jesteśmy koniecznien zmuszeni domyslać się zdrady politycznej czy to na korzyść Czechów, jak jedni twierdzą, czy to na rzecz Władysława Hermana, jak mniema p. Wojciechowski.

Traditio może być każdy ostry zatarg z królem a *traditorem* mógł być w jego oczach każdy, który przeciw niemu, przeciw jego woli i intencji działał. I księża Dunin i Ledóchowski, arcybiskupi gnieźnieńsko-poznańscy, pokutowali na fortecach i w więzieniu za sprawy, które w oczach rządu pruskiego uchodziły za zbrodnie, w oczach zaś społeczeństwa były czynami zacnymi, bo jeden i drugi walczył za swoje przekonania. Tak niewątpliwie było i z św. Stanisławem; był zatarg z królem, to nie ulega wątpliwości; ofiarą jego padł biskup, ale i król nie wyszedł z niego bez szwanku.

Zatarg pomiędzy królem Bolesławem a biskupem Stanisławem pozostaje i nadal zagadką, o rozwiązanie której niejedną jeszcze na próżno się pokusi. Czy niema zatem nadziei, aby była kiedyś rozwiązana? Sądzę, że możliwość istnieje, ale tylko wtedy, jeżeli nam się uda znaleźć nowy a lepszy tekst Kroniki Galla anonima, oraz odszukać bullę papieską, rzucającą klątwę na Polskę, o której wspominają katalogi biskupów krakowskich. W bulli takiej musiała być wzmianka nie tylko o zbrodni samej, ale też o jej motywach. Jeżeli te warunki się spełnią, wtedy tylko będzie można spodziewać się wyjaśnienia ciemnej dotąd zagadki.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

Nie jestem mediewistą i źródłowem badaniem wieków średnich wogóle mało się zajmowałem. Nie mniej przeto jako historyk z zawodu, miłośnik i badacz dziejów polskich, nauczyciel wreszcie historii polskiej na uniwersytecie, z obowiązku i konieczności

po prostu zastanawiałem się niejednokrotnie nad tym niezmiernie interesującym i ważnym a dziwnie zagadkowym problematem historycznym, który się spełnił na ziemi naszej, w Krakowie, w r. 1079. Sledziłem z najwyższem zajęciem postępy historyografii na tem polu i przyznaję, iż sam fakt pojawienia się studyum o św. Stanisławie, pióra prof. Wojciechowskiego, mego byłego nauczyciela i mistrza a uczonego tak niezwyklej zasługi, powagi, fakt zwłaszcza podjęcia przezeń tezy, zaznaczonej ongi jeszcze przez Czackiego, a rozwiniętej obszerniej przez Stefczyka, próba dokładniejszego uzasadnienia tejże tezy, — wywarła na mnie silne wrażenie. Przyznaję też, że pod wrażeniem wywodów znakomitego znawcy średnich wieków, zacząłem wierzyć w prawdopodobieństwo tego, co mi się w studiach dawniejszych badaczy wydawało nieprawdopodobnem. Powiem więcej, pod wrażeniem dzieła prof. Wojciechowskiego pozostawałem nadal i pozostaję poniekąd jeszcze obecnie; nasunęły mi się później rozmaite wątpliwości co do szczegółów jego argumentacyi, ale jak dawniej, tak i dzisiaj nie czuję się na siłach, aby wystąpić do polemiki z mediewistą tej miary, co mój były profesor. Idę owszem w uległości dla jego wywodów tak daleko, że chcę się na razie i chwilowo pogodzić zupełnie — mimo (jak powtarzam) pewnych wątpliwości — z jego hipotezą, że istniała zmowa między Wratysławem czeskim a Władysławem Hermanem, — zmowa, poparta przez Henryka IV, a mająca na celu, jeśli nie obalenie Bolesława Śmiałego, to uszczuplenie jego władzy i stanu posiadania (nie konieczne zrzucenie onego z tronu) i że biskup, św. Stanisław, do tej zmowy należał. Ta hipoteza ma posłużyć za punkt wyjścia dla uwag, które rzucam poniżej. Przy rozważaniu dziejów tej całej sprawy nasunęło mi się parę myśli, które jeśli nie przydadzą się do lepszego onej wyjaśnienia, to mogą się przyczynić do uspokojenia wszystkich, wahających się z przyjęciem poglądów prof. Wojciechowskiego dlatego, że mogłyby one zachwiać ich wiarę w świętość czynów i całego wogóle życia kanonizowanego przez Kościół biskupa.

Oto treść tych rozmyślań.

Wiadoma rzecz, że Gallus napiętnował akt współdziałania

biskupa z Władysławem Hermanem wyrazem *traditio*, a jego samego mianem *traditor*. Prof. Wojciechowski wytłumaczył łacińskie te słowa polskimi wyrazami: »zdrada« i »zdrajca«. Nie chcę wchodzić tu w kwestyę, poruszaną już także w nauce, czy nie możnaby lub nawet nie należało słów: *traditio* i *traditor* tłumaczyć inaczej, a nie przez wyrazy: »zdrada« i »zdrajca«; owszem nawet i z tem się na razie chcę pogodzić, że tłumaczenie prof. Wojciechowskiego jest jedynie dopuszczalne.

Lecz nasuwa mi się oto pytanie: czy to, co gorącemu zwolennikowi Bolesława Śmiałego i jego syna Mieszka wydawało się aktem zdrady, musiało też za taki akt uchodzić w oczach innych współczesnych ludzi; czy przeciwnie św. Stanisław nie mógł obstawać po stronie Władysława Hermana przeciw Bolesławowi Śmiałemu w tem przeświadczeniu, że spełnia akt godziwy, legalny, zgodny z głosem jego sumienia i z duchem prawa zwyczajowego, obowiązującego wówczas w całej Polsce, co więcej, uznawanego w całej Słowiańszczyźnie? Czy zwłaszcza głównie interesowany Władysław Herman, wyłamując się z pod posłuszeństwa braterskiego, podnosząc zbrojną rękę na Bolesława, nie czuł się poniekąd w swoim prawie?

Władysław Herman był rodzonym, młodszym bratem Bolesława Śmiałego; w r. 1079 liczył już lat 38 i dawno miał zatem za sobą pełnoletniość. Czyż nie uderzyło to nikogo, że mimo, iż pełnoletni, po chwilę zegnania brata nie miał żadnego widocznego udziału w dziedzictwie ojcowskiem? Nie dzierżył udziałnie żadnej części ojcowizny, choć miał do niej już od kilkunastu lat zupełne prawo. Jakie było bowiem prawo dziedziczenia w rodzinie Piastowskiej XI wieku i następnych, aż po w. XIV, o tem obecnie dostatecznie już wiadomo. Wyjaśnił je już przed 10 laty znakomicie i szczegółowo prof. Balzer w dziele: »O następstwie tronu w Polsce« (Kraków 1897). Oto, jak ten uczony badacz sformułował treść Piastowskiego prawa dziedziczenia: »Naczelną zasadą dziedzicznego prawa Piastowskiego jest, że prawo następstwa przysługuje synom zmarłego poprzednika, i to nie tylko jednemu z nich, ani nawet kilku pomiędzy nimi, ale wogóle wszystkim, jakich pozostawił. Prawo to jest tak silnem,

że poprzednik nie może go przez osobne zarządzenie ani uszczuplić, ani tem mniej usunąć. To też, ilekroć po księciu pozostanie większa ilość potomków męskich, widzimy, iż wszyscy bez wyjątku dziedziczą po nim ojcowiznę. W jednym tylko wypadku syn mógł być usuniętym od następstwa na korzyść innych braci, a mianowicie wtedy, jeśli się poświęcił zawodowi duchownemu; wszelako i w tym wypadku zdarzało się niejednokrotnie, że książę, piastujący godność duchowną, łączył zarazem w swem ręku rządy w jednej z dzielnic, otrzymanych spadkiem po ojcu» (str. 13—14). Taka była zasada Piastowskiego prawa dziedziczenia, i wogóle prawa dziedziczenia w rodzinie tak u Polan, jak u wszystkich Słowian owych czasów, w myśl starodawnego słowiańskiego prawa zwyczajowego (str. 17—18). Wywodzi też trafnie prof. Balzer, że prawo to uważano w rodzinie Piastowskiej zawsze za obowiązujące, nie tylko w XII i XIII w., ale także w X i XI w., jak daleko sięga pamięć historyi; i wskutek tego Polska była wielokrotnie w podziałach już w X i XI wieku, a nie dopiero w XIII. Jeżeli niekiedy ziemia polska cała znajdowała się czasowo pod rządem jednostek w XI wieku, to dlatego, że albo był w danej chwili przy życiu faktycznie tylko jeden członek rodziny Piastowskiej, albo, że jeden z członków tej rodziny gwałtem usunął od ojcowizny i władzy resztę uprawnionych do dziedzictwa ojcowskiego albo, że bracia spadkobiercy pozornie nie przeprowadzali podziału ziemi, zadawałając się gospodarką t. zw. »niedzielną« życiem »na wspólnym chlebie« — przynajmniej do czasu (str. 8—13).

Jakże się stało, że — jakby ze źródeł wnosić można — po śmierci Kazimierza Odnowiciela, który pozostawił trzech synów: Bolesława, Władysława Hermana i Mieszka, jedyny Bolesław Śmiały objął rządy nad całą Polską? Prof. Balzer domyśla się, że źródła nie opowiedziały dokładnie całego przebiegu tej sprawy, i przypuszcza, że wszyscy bracia uzyskali od razu udział w ojcowiznie, dodając, że »nieda się tylko rozstrzygnąć napewno, czy nastąpił podział na dzielnice, czy też utrzymaną została wspólność majątkowa«. Oświadcza się jednak »z większem prawdopodobieństwem za przypuszczeniem pierwszym«, to jest, że wszyscy

bracia uzyskali od razu udział w ojcowiźnie i że nastąpił zatem podział na dzielnice. Stało się to chyba na krótko; bo w źródłach niema najmniejszego śladu, aby w pierwszych czasach rządów Bolesława, już po przedwczesnej śmierci Mieszka, Władysław Herman rzeczywiście dzierżył jakąś dzielnicę i rządził w niej jako samodzielny posiadacz i władca. Niema żadnego śladu, mimo że Władysław Herman już od r. 1065 był pełnoletnim, nawet wedle naszej dzisiejszej normy pełnoletności. Niema też z drugiej strony najmniejszego śladu, aby przyszło między braćmi do jakiegoś układu o wspólne rządy. Jest to rzecz tak dziwna i szczególna, że prof. Wojciechowski nie mogąc inaczej wytłumaczyć tej anomalii, posunął się do przypuszczenia, że Kazimierz Odnowiciel przed śmiercią swą musiał ustanowić instytucję senioratu tak, że po nim sam Bolesław jako senior objął rządy w Polsce. Ale dla poparcia tej hipotezy nie mógł przytoczyć żadnego zgola dowodu źródłowego; bo gołosłowna wzmianka u Galla, iż po śmierci Kazimierza »zapanował w Polsce pierworodny Bolesław« jest stanowczo za mało mowna (Szkice str. 157).

Czy nie stało się to tylko po prostu zapomocą aktu zwykłej uzurpacji, czy nie było dziełem przemocy śmiałego i gwałtownego Bolesława nad słabowitym i mało energicznym Władysławem? Bolesław może zatrzymywał udział Władysława w swoim władztwie wbrew woli legalnego dziedzica aż po rok 1079; i dlatego nie nie słyhać o podziale Polski na dzielnice przez dwie dziesiątki z okładem lat rządów tego króla, który doprowadziwszy do koronacji, z tytułu królewskiej władzy poczuwał się tem więcej do prawa wykonywania supremacji nad bratem. Mógł się uważać za przełożonego nad Władysławem jako monarcha koronowany, ale nie mógł sobie przypisywać prawa do posiadania jego dzielnicy.

A Władysław Herman może godził się z tym stanem rzeczy — do czasu. Zerwał się do walki o swoje prawa dopiero w 38 roku życia, gdy poczuł za sobą silną pomoc postronną. Inna rzecz, czy spełnił akt rozsądny, akt polityczny, a inna, że mógł się czuć w swoim prawie. A więc i św. Stanisław, stając po stronie Władysława Hermana przeciw Bolesławowi Śmiałemu mógł nie tylko mieć przeświadczenie, że staje w obronie wykonania odwiecznej

zasady prawnej, że, co więcej, staje w obronie pokrzywdzonego. Mógł i on mieć krótki wzrok jako polityk; ale jasny wzrok jako chrześcijanin i jako stróż nietykalności prawa, na którym się opierał spokój i porządek w rodzinach.* Władysław Herman posunął się za daleko w zapalczywości: bo zabrał dla siebie nie tylko część ziemi polskiej, ale całą ojcowiznę i zegnawszy Bolesława Śmiałego z tronu i z kraju, popełnił nadużycie i gwałt ze swojej strony. Ale nie mamy najmniejszego dowodu na to, niema najmniejszej podstawy do twierdzenia, że św. Stanisław brał udział w akcie zegnania z tronu Bolesława Śmiałego. Bolesław był królem, miał władzę w rękę, siedział na tronie, gdy św. Stanisław zginał z jego rozkazu; — któż ośmielił się twierdzić, że przyłożyłby był rękę do zegnania z tronu króla, że rzeczy doszłyby były do tej ostateczności, do jakiej doszły — gdyby św. Stanisław pozostał przy życiu, na swej stolicy biskupiej do końca roku 1079.

A dodam, że w chwili kiedy św. Stanisław podawał dłoń pomocną Władysławowi Hermanowi, obaj byli już ludźmi starszymi. Władysław Herman miał w r. 1079 lat 38 życia, a św. Stanisław, którego daty urodzin nie znamy, nie był niezawodnie o wiele młodszy, jeżeli nie był starszym. O życiu tych dwóch ludzi po rok 1079, o ich wzajemnym stosunku do siebie nie wiemy prawie nic zgoła. A któż wie, jak się układał ten stosunek w ciągu ostatnich lat kilkunastu przed katastrofą krakowską? Władysław Herman był człowiekiem ułomnym, słabowitym, a przytem pobożnym (*Ducem Vladislaum, p i u m et mansuetum virum*. Galus: *Mon. Pol. I, 443*).

Nie brał udziału w wyprawach wojennych Bolesława, więc przesiadywał bez dłuższych przerw zapewne w Krakowie i musiał częściej, niż Bolesław, stykać się z biskupem: łatwiej więc mogły się między nimi oboma wytworzyć węzły ściślejszej sympatii, może głębszej przyjaźni. A to byłby jeden więcej wzgląd, któryby upoważnić mógł do przypuszczenia, że św. Stanisław, obstając po stronie Władysława, działał w dobrej wierze i chęci.

Starając się usprawiedliwić postępowanie św. Stanisława, nie jestem przeto bynajmniej za zbyt pospiesznem potępianiem

króla Bolesława. Król śmiały i energiczny, dbały o dobrą sławę swego imienia i państwa, świadomy też pewnie znaczenia jedności dla utrzymania Polski w całości i mocy, dążył może do utrzymania tej jedności w imię wyższych politycznych celów. Nie chciał dopuścić do rozdziału ojcowizny na pomniejsze dzielnice, przewidując, że rozdrobnienie może przynieść osłabienie i spowodować upadek; więc opóźniał spełnienie legalnych pretensyi Władysława jak mógł najdłużej. Ale św. Stanisław mógł działać w imię zasady: *pereat mundus, fiat iustitia*, którą mu i religia wskazywała, i naraził się na zbyt gwałtowny wybuch gniewu Bolesława, który się zakończył krwawym aktem ciężkiej niesprawiedliwości.

Utrzymuje się dotychczas uporczywie legenda, że zegnany z tronu król strawił resztę życia na pokucie. Tkwi i w tej legendzie także ślad poczucia, iż po stronie Bolesława była w tej sprawie — wina.

Wiktor Czermak.

(Ciąg dalszy dyskusyi nastąpi).

RUCH SPOŁECZNY MŁODYCH KATOLIKÓW WE FRANCYI¹.

Spoglądając na działalność społeczną katolików francuskich z ogólnego punktu widzenia trudno się obronić pewnym wątpliwościami.

Niektóre wyniki tej działalności są niezaprzeczenie dodatnie—świadczą o zmyśle organizacyjnym — o gorliwości i poświęceniu jednostek, a nawet pewnych grup społecznych, pracujących w imię zasad katolickich. Ale nie o to chodzi.

Ważniejszą jest rzeczą, czy z tej akcji społecznej wyniknie dla katolicyzmu we Francyi prawdziwa korzyść, czy powiększy szanse jego wygranej w przyszłości i czy z tego szerszego punktu widzenia, zasługuje na uznanie i ufność także poza granicami Francyi?

Pozory nie zdają się do tej ufności uprawniać.

Nie ludźmy się pielgrzymkami do Lourdes; na nie składa się cała Europa. Dowodów intensywności życia katolickiego, trzeba szukać w czem innem, a mianowicie w statystyce chrztów, małżeństw, pogrzebów, w wykazie odbytych po parafiach spowiedzi wielkanocnych i dzieci uczęszczających na naukę religii, w rozszerzaniu się prasy katolickiej i t. d. To się przedstawia bardzo smutno, może nie gorzej jak rok lub dwa temu, ale w porównaniu z tem, co było przed laty kilkunastu, nierównie niższe daje

¹ *Jeunes Gens de France*. Publication de l'Action populaire. Paris. V. Lecoffre. 90 R. Bonaparte.

nam cyfry. Najszczerzy przyjaciele Francyi nie śmia dziś stanąć w jej obronie. Narody mają takie rządy na jakie sobie zasłużyły; w tem powiedzeniu jest wiele prawdy i dlatego obecna przegrana stronnictwa katolickiego może być uważaną za następstwo zaniedbania i lekkomyślności poprzednich pokoleń, tych właśnie, z którymi nas najgorętsze łączyły sympatyje, tych pokoleń, które wydały w połowie XIX w. tylu świetnych pisarzy, w różnych zakresach myśli. Nie da się zaprzeczyć, że pomiędzy r. 48 a 70 Francya była znowu w rękach ludzi o przekonaniach katolickich, że młodzież wychowywała się przeważnie w internatach przez księży prowadzonych. Dlaczegoż nie uzbrojono tej młodzieży w pancerz wiary dość silny, ażeby mogła wytrzymać nacisk ateizmu? Dlaczego stronnictwo katolickie nie utrzymało się wobec kierunku radykalnego, torującego sobie drogi, przynajmniej na stopie równorzędnej siły? Dlaczego nie starano się, gdy był jeszcze czas po temu, zapewnić sobie wpływ nad ludem wiejskim, tak długo przywiązanym do wiary swych ojców? Jak mogli właściciele większych obszarów nie zrozumieć, że zabraknie im wszelkiej podstawy do bytu z chwilą, gdy mieszkańcy ich wiosek przecignięci zostaną na stronę przewrotnych idei? A to się właśnie spełniło.

Tych kilku, kilkunastu, co to przewidzieli i zerwali się do pracy, stronnictwo katolickie nie poparło należycie. Długo pozostali odosobnionymi; to też nasiona, które rzucali taki Le Play, hr. de Mⁱⁿ, O. Garnier i t. p., kiełkowały jakoby w małych szkółkach leśnych i za późno doczekały się rozmnożenia na szerszych obszarach. Cóż z tego, że dziś, w ankiecie otwartej z powodu powieści René Bazin *Le blé qui lève* liczne głosy z arystokracji francuskiej zapewniają o swej gotowości do służby społecznej, kiedy nie było tak wtedy, gdy jeszcze jej wpływ mógł zaważyć na szali losów Francyi? Miałaby więc Francya przepaść dla naszej sympatyj, dla wyższej duchowej kultury i dla Kościoła?

Kościół jako całość nie zginie, ale nie jest powiedzianem, ażeby się nie wycofywał z pewnych posterunków, nie opuszczał pewnych ludów, gdy te się od niego odwracają — tak mogłoby się stać i z Francją.

A jednak, gdy się rozpamiętywa przeszłość tego kraju, trudno poddać się myśli, żeby wszelkie zarzewie życia chrześcijańskiego miało zagasnąć tam, gdzie tak silnym buchało płomieniem; więc chętnie dopatrujem się pocieszających znaków w tem, że pomimo zamykania kościołów, rozpędzania zakonów, »Niepokalana« nie opuściła jeszcze swej pirenejskiej stolicy. Chciwość — zrozumienie własnego interesu, mogą tu znaczną grać rolę, ale niezawodnie dostatecznaby dla Niej ochroną nie były, gdyby tu wyższe nie działały czynniki! Więc rozżalonym wzrokiem rozglądając się po tej obecnej Francyi, nadstawia się przeciw ucho na każdy oddźwięk jakiejś pracy odradzającej, łowi się każdy objaw rozbudzenia się chrześcijańskiego ducha. Ozanam powiedział gdzieś: *L'avenir est au jeunes*. Hr. de Mun, O. Garnier rzucili niezaprzeczenie podstawy pod katolicką akcyę społeczną, ale jeszcze nie byli trafili do szerokich zastępów młodych i dlatego powstawały znakomicie zorganizowane syndykaty katolickie, stowarzyszenia zawodowe katolickie, nawet dzielnice robotnicze katolickie, a mimo to zalew pogańszczyzny nie ustawał, każde nowe pokolenie było gorsze od poprzedniego, a szkoły rządowe bardzo zręcznie prowadzone nie tylko zagarniały dziatwę, ale na swoją stronę zaczęły już przeciągać rodziny. Objaw ten najjaskrawiej wystąpił po wsiach i małych miasteczkach, gdzie legiony nauczycieli i nauczycielek rządowych, w wyborną metodę naukową zapatrzonych zatruwa z całą świadomością racjonalizmem i niewiarą najmłodsze pokolenie Francuzów.

W ostatniej powieści René Bazin: »Kiełkujące zboże«, mamy obraz jednej z takich parafii wiejskich, gdzie w niedzielę oprócz kilku starych babek i młodego dziedzica nikt się nie pojawia w kościele, a na Wielkanoc kilka zaledwie osób przystępuje do sakramentów. Wieś przeciętna, wcale nie najgorsza, bo są takie, gdzie kościół jest pustym jak rok długi i gdzie proboszcz widzi się otoczonym samymi wrogami; — ale wieś zarażona wszędy i wzdłuż obojętnością, wiedziona na pasku przez paru menerów socyalistycznych, wyzyskujących budzące się w duszach żądze, wieś zorganizowana w syndykaty o jaskrawo radykalnym kierunku.

Iluz Kościół liczy na prawdę w tej parafii sprzymierzeńców? Dwóch tylko! Obaj przedstawiciele spraw przez ogół zasądzonych: młody, świeżo na ten posterunek przysłany proboszcz i równy mu wiekiem, równy także poczuciem obowiązku dziedzic. Mr. Michel, spadkobierca zrujnowanego domenu, ofiara lekkomyślności dziadów i rodziców, targający swe siły w walce z nieubłagany m losem, z niechęcią jednych, z niedowierzaniem wszystkich — obłubieniec śmierci, jak się sam nazywa — śmierci, która też istotnie zrywa ostatni węzeł między dworem a gminą. Wszelka wspólna ich akcy a, jakaby chcieli przedsięwziąć jest z góry straconą: dziedzic jest znienawidzony we wsi, dlatego że dziedzic i wierny tradycjom, — ksiądz dlatego, że wciela w sobie przeciwieństwo socjalizmu — jest zatem uważany za sojusznika dworu.

W porządku nadnaturalnym, bardziej jeszcze niż w przyrodzonym nic całkiem na marne nie idzie; na grobie młodego dziedzica stary nawrócony drwal pielęgnował będzie świeże kwiaty. *Je le fleurirai tant que je vivrai*, rzuca jako jedyne słowo pociechy w serce zbolełego, ale tak bardzo lekkomyślnego ojca. I wytrwałość młodego kapłana zbierze z mazołem jakiś skromny plon: oswoi ludzi ze sobą, przekona przynajmniej najlepszych, że im nie stoi na zdradzie. Ale to wszystko raczej negatywne i bardzo nieznaczące zdobycze!

Gdzież to naprawdę kiełkujące zboże?

Gdy stary drwal powróciwszy z Pikardyi zdobył się po raz pierwszy wobec rozjuszonej gminy na afirmację swych przekonań religijnych, nagle kilka głosów młodych i dźwięcznych odezwało się w jego obronie, kilku śmigłych młodzieniaszków wysunęło się naprzód i zasłoniło go swemi piersiami. Zdziwienie ogarnęło wszystkich, nikt się tego nie spodziewał; tylko sam dowódca syndykatu, który od jakiegoś czasu wietrzył powiew tej nowej wiosny, czując, że ma przed sobą siłę, której drażnić nie wolno bez potrzeby, komenderuje spokój i odwrót. Kościół zyskał więc w tej na pozór przypadłej dla siebie osadzie, gorących szermierzy; niewielu, kilkunastu dopiero; zyskał ich w pokoleniu wchodzącem za ledwie na arenę życia pośród szesnastu, ośmnastu, dwudziestoletnimi młodzieńcami. Kto ich pociągnął, zjednoczył,

oświecił? Tego nam René Bazin nie tłumaczy. Może ksiądz? Tego zaledwie domyślać się każe. I słusznie! Książka na tem pod względem literackim zyskuje, daje szersze pole domysłom, zaostrza ciekawość, nie obciąża powieści wywodami teoretycznymi, któreby były tok opowiadania przerwały i pieczęcią propagandy może ją przygwoździły.

Ale czego Bazin nie wyłuszcza, co nam tylko nastrojowo przedstawia, to nam odsłania ostatnia publikacya *de l'Action populaire*, która już tyle rzuciła w świat ciekawych książeczek i broszurek treści społecznej p. t.: *Jeunes Gens de France*.

Zbiór to krótkich sprawozdań oświetlających pracę »młodych« pod różnymi kątami; wynika z nich całość owiana jednym duchem i to nie w sposób naciągnięty, ale dlatego, że gdziekolwiek się ta praca objawia, cokolwiek tworzy czy obejmuje, bez względu na to, w jakich się odbywa zakresach, zdąża do tej samej mety, ma tę samą myśl przewodnią i jednym i tym samym hołduje ideałom.

Skąd się wzięli ci młodzi, dziś już silnie zorganizowani w szrankach *de l'association catholique des jeunes Français*, w skróceniu A. C. J. F.?

Początek stowarzyszenia był skromny i lat dziewięć trwała jego faza organizacyjna; akcyja »katolickich kół robotniczych« była dlań bodźcem i pierwowzorem. Hr. de Mun przyczynił się więc pośrednio do rozbudzenia tego młodzieńczego ruchu. W pierwszym programie jaki A. C. J. F. wydała (1886 r.) widzimy ogólnikowe jeszcze sformułowanie społeczno-katolickich celów, zapożyczone z programu społecznego hr. de Mun. Jednakowoż szranki się powiększały, młodzież uświadamiała się coraz lepiej i jej organizacyja się ustaliła. Przyjęto system federacyjny obejmujący w jedną całość koła obwodowe z komitetem ogólnym, z radą federalną i z dyrekcją centralną na czele. Wszelako aż do r. 1896 »Związek katolicki młodych Francuzów« składał się niemal wyłącznie z akademików i z uczniów różnych szkół średnich i wyższych, a więc rekrutował się w sferach burżuazji. Było to już wiele, ale o oddziaływaniu na szersze warstwy młodzieży robotniczej, nie mogło być mowy, a tymczasem propaganda socjali-

styczna coraz silniej uderzała w te właśnie warstwy, raz po raz odrywały się od dawnych tradycji wielkie ich odłamy, mnożyły się socjalistyczne syndykaty już nie tylko po miastach, ale i po wsiach.

Naprzeciw uświadomionej tendencji nie przez socjalistów młodzieży fabrycznej i warsztatowej, mającej ciągle na ustach stereotypowe zarzuty i obelgi przeciw Kościołowi i chrześcijańskiemu porządkowi społecznemu, stał szczupły zastęp młodzieży katolickiej bezradny, milczący, trwożliwy, bo nie wiedzący jak się bronić i co odpowiadać.

W r. 1891 pielgrzymka robotników francuskich spotkała się przypadkowo u stóp Leona XIII z pielgrzymką przedstawicieli świeżo zawiązanego związku »młodych Francuzów«. Zapoznano się, spędzono razem parę wieczorów i zapewne już wówczas niejednemu z tych synów mieszczańskich zabłysła myśl, żeby się zbliżyć do młodzieży warstw robotniczych i do wspólnej pracy ją zaciągnąć. Dopiero w pięć lat później myśl ta przybrała konkretne kształty. W r. 1896 rada federalna A. C. J. F. wystosowała gorącą odezwę do młodzieży z sfer ludowych, zapraszając ją do współdziałania w akcji katolickiej. Ociągano się z odpowiedzią; niejeden mógł się obawiać, że go »towarzysze« za odstępce ogłaszają, ale przykład kilku odważniejszych pociągnął wkrótce liczniejsze zastępy. Szranki A. C. J. F. zaczęły się coraz bardziej demokratyzować, wskutek czego taktyka musiała ulegć pewnym zmianom, a umysły akademickie nagiąć się, uzbroić w wyrozumiałość i cierpliwość. Dążenia pozostały te same: katolicko-społeczne.

Dzięki wytrawnemu kierownictwu ludzi czuwających nad tym ruchem i chroniących go od niebezpiecznych zboczy, pora wzajemnego dostosowywania się przeminęła prędko. Z świeckich: Georges Goyau, François Veuillot, Jean Lerolle, z kapłanów Mury Lemire, Quillet, Monniet, żeby tylko wspomnieć kilku, dopomagają stowarzyszeniu do coraz szerszego rozwoju i coraz wydawniejszej pracy. Tak w zarządzie głównym, jak w kołach obwodowych A. C. J. F., spotykamy się stale z rozumną, dyskretną, a zawsze dobroczynną opieką przedstawicieli duchowieństwa; nie

tylko stoją na straży katolickiej doktryny, ale pierwsi zachęcają do inicjatywy i społecznego postępu.

Okolo r. 1900 A. C. J. F. wchodzi już śmiało na drogę szczerzej, ale o Kościół opartej demokratycznej pracy. Na kongresie z r. 1903 odbytym w Albi pod patronatem ks. arcybiskupa Mignota, myśl ta zaznacza się już bardzo silnie, a cały szereg sprawozdań z prac dokonanych, za inicjatywą »Związku młodych« czy to wśród ludności robotniczej ognisk fabrycznych, (ogrody, mieszkania robotnicze, zabezpieczenia na starość), czy w tak zwanych kółkach rolniczych *Cercles ruraux* po wsiach, wszystko to miało dowieść, że akoya A. C. J. F. śladem hr. de Mun i pierwszych inicjatorów społecznych dąży śmiało i konsekwentnie do celu wytkniętego przez Leona XIII, t. j. do przywrócenia chrześcijańskiego porządku społecznego z uwzględnieniem nowszych form życia i potrzeb jakie nowożytnie stosunki ekonomiczne stworzyły.

»Chrystus objawił światu pojęcia sprawiedliwości, równości i wolności, do których dąży rodząca się dziś demokracja, objawił ludziom braterstwo ogólne. My, którzy Jego uczniami jesteśmy chcielibyśmy zamienić w dobra społeczne te ideały sprawiedliwości i miłości, zaczerpnięte z nauki mistrza. Miłujemy, tylko prawdę, nienawidzimy tylko nienawiść. Nie znamy co to nieprzyjaciół i uważamy sobie za pierwszy obowiązek społeczny, wyrugować nienawiść, która jątrzy, miłością, która zbawia«. W te słowa znamionujące, już pełne poczucie siły odezwał się komitet w przededniu kongresu do szerokich warstw młodzieży francuskiej. W odpowiedzi tysiąc młodych ludzi zapisało się na liście uczestników, dziewięćuset stale uczęszczało na obrady! podnosimy ten fakt, bo dowodzi, że śmiałe słowo, które taki oddźwięk znalazło musiało być już poparte czynami. Nam stojącym daleko i z niedowierzaniem przyjmującym wszystko, co nas obecnie z Francyi dochodzi może się wydawać, że tu znów tryumfuje pyszałkowatość francuska, i bierze górę skłonność do rzucania pustymi frazesami; owa nieszczęsna frazeologia, która sprawiła, że wielu z nas odwróciło się ku głębszym choć mniej sympatycznym źródłom niemieckim, a komu było dostępnem, ku jędrnym

pisarzom angielskim. A jednak wrażenie jakie daje to zbiorowe sprawozdanie z działalności »młodych«, to wrażenie głębokiego przetrwania się duszy francuskiej. Pewność siebie jest tu tylko koroną, owym darem męstwa wieńczącym długie, a pokorne spsobienie się do przyjętych dobrowolnie obowiązków. Czy się weźmie pracę ich w całości, czy w licznych jej rozgałęzieniach wszędzie znachodzimy to, że ci młodzi zdają sobie jasno sprawę z swego zaniedbania pod względem pojęć religijnych, a nieuctwa w sprawach społecznych. Za tem wyznaniem idzie zrozumienie, że grzechy obojętności i lenistwa domagają się gruntownego zadocuczynienia i nie cofającej się przed żadnym trudem poprawy. Jedno i drugie stanowi punkt wyjścia związku, przyświeca mu w dalszym rozwoju, bywa wpajaniem każdemu nowozaciągniętemu członkowi, pisze się o tem do tworzących się kółek obwodowych i wyklada we wszystkich odezwach i na wszystkich kongresach. To mężne starcie się z duchem powierzchowności, przechwałki, junakowstwa, czyni ruch »młodych katolików«, a mianowicie A. C. J. F. pociągającym, szanownym i godnym naśladowania; większe nawet rokuje nadzieje od osiągniętych już rezultatów.

Z tego przeświadczenia, że sumienne wyszkolenie się w sprawach religijnych i społecznych jest niezbędnym podkładem pod wszelką akcyę społeczną, wypłynęły *les Cercles d'Etude* kółka samokształcenia. Od urządzenia takiego kółka samokształcenia rozpoczyna swą działalność każda nowo zawiązana grupa związkowa. W nich, ci co mają stowarzyszeniem kierować, sami przez czytanie, opracowywanie tematów, przez dyskusyę ćwiczą się i doskonala zarówno w prawdach ogólnych i zasadniczych, jak w zagadnieniach chwili i formach w jakie się akcyja społeczna obecnie przyobleka.

Z takich *Cercles d'Etude*, po pewnym dopiero czasie, wyłaniają się t. zw. Instytuty ludowe (*Instituts populaires*). W nich młodzież już w kółkach wyćwiczona i ciągle się dalej jeszcze wyrabiająca, występuje w roli prelegentów, organizatorów wykładów, przygotowuje dyskusyę na temat zagadnień społecznych, etycznych, apologetycznych. Do udziału w tych zebraniach dopuszczone są najszersze warstwy robotnicze i ludowe.

»Instytut popularny«, czytamy w specjalnym »referacie«, ma na celu rozszerzanie zapomocą pogadanek i swobodnych dyskusyi pojęć katolicko-społecznych wśród ludu.

»To miejsce nieskrępowanej wymiany myśli. Wykład jest tylko wstępem, dyskusya, której on dostarcza kanwy, właściwą treścią i racją bytu instytutów. Tu, oświecając umysły pociąga się dusze i daje się możność wyrobienia sobie rzeczowego poglądu na wiele spraw żywotnych, widzianych często przedtem przez pryzmat radykalnych teoryi. Nieproszonymi gośćmi są tylko ci, co przeszkadzają swobodnej dyskusyi«. W przeciwieństwie do *Cercles d'Etudes*, gdzie chodzi o wyćwiczenie się specjalnie pod względem społecznym, w instytutach znacznie rozszerza się zakres. Nie wyklucza się też żadnych tematów, nawet deklamacye i muzykalne popisy przeplatają od czasu do czasu na programie rozrządzania społeczne¹.

Drugi rys praktyczny tej działalności społecznej to, że każde zebranie zamyka się powzięciem jakiegoś praktycznego postanowienia, a przynajmniej ścisłem sformułowaniem jakiegoś żywotnego zagadnienia; najczęściej przychodzą pod dyskusyę tego rodzaju kwestye, jak sprawa mieszkań robotniczych, zabezpieczenie robotników, lepszego pomieszczenia stałej służby fabrycznej, kontroli nad higieną warsztatów i t. d. Punkta te przestudyowane najpierw w kółkach samokształcenia, wyłożone szerszej publiczności w Instytutach stają się wkońcu przedmiotem obrad na ogólnych kongresach, a wynik postanowień kongresu bywa od lat paru w formie dezyderatu przesyłany bądź do parlamentu, bądź do ministerstwa, A. C. J. F. bowiem zarówno jak Sillon, o którym będzie mowa dalej, zerwało z utrzymującą się zbyt długo zasadą abstynencyi, do której Stolica Apostolska bynajmniej katolików francuskich nie upoważniała. Oba stowarzyszenia powiedziały sobie: nie chcemy być dłużej »emigrantami wewnątrz Francyi«, *des émigrés à l'intérieur*, będziemy na każdym kroku i przy każdej sposobności upominali się o przysługujące nam prawa obywatelskie, o prawo szczerzego wypowiedzenia naszych chrze-

¹ *Jeunes Gens de France*, str. 78, *Les cercles d'Etude Lelen*.

ścijańskich postulatów, zmusimy organa ustawodawcze do liczenia się z nami tak, jak się liczą z socyalistami, nie damy się wyrugować wszędzie tym, którzy prowadzą do antychrześcijańskiego przewrotu. Bo przewrotu prowadzącego do wskrzeszenia chrześcijańskiego porządku rzeczy, pragną ci młodzi szermierze bez ogródki. Do tego zmierza ich organizacya. Czują jednak, że trzeba na to wychować i uświadomić jak największą liczbę jednostek, zaczawszy przedewszystkiem od siebie samych. I warto podnieść, że ta praca na wewnątrz nie jest u nich początkującym objawem, któryby w miarę rozszerzania się działalności zewnętrznej, przygasał i schodził na drugi plan, lub zamierał w pewnej formalistyce; widzimy przeciwnie, jak ci młodzi, kierując się wiarą w wielką misję katolickiego Kościoła, a żądni prawdy, dochodzą drogą sumiennej pracy do utwierdzenia się w przeświadczeniu, że nauka Chrystusowa nie tylko nie stoi w sprzeczności z zasadami prawdziwej wolności społecznej i obywatelskiej, ale że przeciwnie stanowi jedyną, niezachwianą podstawę pod prawdziwie demokratyczny porządek rzeczy. A teraz przypatrzmy się, czem się zaznacza poza tą misją rozbudzenia w młodzieży katolickiej warstw robotniczych i ludowych zmysłu społecznego, *l'éveil du sens social* praktyczna działalność młodych w sprawach społecznych?

Działalność ta, jak to objaśnia Lerolle, prezes A. C. J. F. na pierwszym kongresie w Besançon, polega na daniu impulsu wszędzie, gdzie tego okaże się potrzeba; na zaprowadzeniu i zorganizowaniu czy to syndykatu, czy kasy pożyczkowej, czy biblioteki, czy spółek spożywczych i wszelkiego rodzaju kooperatyw. Zawiązawszy i oddawszy w ręce najintelligentniejszych z pośród warstw, dla których instytucya została założoną, młodzież powinna poprzestać na roli doradców, a w potrzebie obrońców. Jest jednak przysługa, którą sobie członkowie A. C. J. F. wytknęli za obowiązek: wszelki syndykat dobrze zorganizowany powinien mieć, zgodnie z ustawą o syndykatach z r. 1884, osobną komisję, badającą i opracowującą kwestye ekonomiczne, bliżej syndykaty dotyczące; do pracy w tej komisji robotnicy nie mają ani dość czasu, ani należytych teoretycznych wiadomości, ani wprawy w formułowaniu poglądów. W tem ich wyręczyć, to zadanie członków A. C. J. F., na

tej zasadzie, że każda wyższość i wszelkie bogactwo wobec gorzej uposażonych nakładają pewne obowiązki.

Miarą rozszerzania się działalności Związku są coraz częściej odbywające się i coraz liczniej uczęszczane ogólne i obwodowe kongresy. Mają one na celu z jednej strony przegląd tego, co się uczyniło, z drugiej wytknięcie sobie nowych zadań społecznych. Już kongres w Besançon z r. 1903, odznaczał się większem niż poprzednie bogactwem poruszonych tematów społecznych. Nie tu miejsce przytaczać referaty na nim odczytane i zdawać sprawę z toczącej się nad nimi dyskusyi, ale warto podnieść poczucie siły, jakiemu dał wyraz abbé Mury, omawiając program społeczny Związku w ogólności. Zaznaczył między innemi, że działalność »młodych« zwraca coraz baczniejszą uwagę socyalistów, że słyszy się coraz częściej, że gdyby katolicy byli o dwadzieścia lat wcześniej rozwinęli program tego rodzaju, jaki sobie teraz wytknęli, niktby im obecnie nie dał rady. Wprawdzie pocieszają się socjaliści, że dziś jest już za późno i szersze warstwy młodzieży pociągnąć się już nie dadzą, ale na to odpiera abbé Mury: «Czynić dobrze nigdy nie jest za późno! Potrafimy odzyskać czas stracony. Przez gorliwość, z jaką zgłębiać będziemy zagadnienia społeczne, przez sumiennosc w ich rozwiązywaniu, przez bezinteresownosc, z jaką służyć będziemy sprawie warstw pracujących wykażemy ludowi, gdzie dla niego nadzieja ratunku, otworzymy mu oczy na uludę obietnic kolektywistów i doprowadzimy do tego, że sam zapragnie urzeczywistnienia naszego, chrześcijańsko-demokratycznego programu».

Przekonano się jednak, że nie wystarcza omawiać zagadnienia społeczne na kongresach obwodowych: postanowiono poświęcić im osobne zjazdy, t. zw. kongresy społeczne, a na każdym omawiać tylko jedną sprawę, ale tak wyczerpująco, ażeby przy końcu mogła zapaść stanowcza co do tej sprawy uchwała. I tak kongres w Chalon był poświęcony tylko organizacyi i atrybucyom syndykatów, w Arras kooperatywom, w Albi r. 1906 omawiano warunki pracy młodzieży robotniczej. Po trzech dniach takiego roztrząsania i oświecenia kwestyi pod różnymi kątami, młodzi ucze-

stnicy wiedzieli czego się trzymać i w jaki sposób szersze warstwy oryentować i objaśniać.

Kongresy społeczne mają nadto pośrednią doniosłość: zmuszają mianowicie do przygotowania się i gromadzenia materiałów przez 8—10 poprzedzających je miesięcy. Wszystkie związki obwodowe są zapraszane do otwarcia w obrębie swego terytorium ankiety nad sprawą, mającą być przedmiotem obrad kongresu i do wypracowania wniosków na podstawie szczegółów przez ankietę dostarczonych. Przed kongresem w Albi rozesłano po trzy kwestyonariusze do 1200 związków obwodowych, jakich A. C. J. F. liczyła w r. 1905. Otrzymano z odpowiedziami 413 kwestyonariuszy, co przedstawiało współpracownictwo około tysiąca kółek związkowych. Niektóre, nacechowane wielką szczerością i śmiałością, mianowicie odpowiedź związku marsylskiego, domagająca się reformy wychowania chlebobawców, jako po większej części nie rozumiejących zagadnień społecznych, zdających lekkomyślnie na swych urzędników załatwienie wszelkich sporów z robotnikami, i pozwalających na haniebne ich nieraz wyzyskiwanie. Szczerość i śmiałość cechuje również obrady kongresowe; zapadłe uchwały zakomunikowano członkom Izby i ministerstwu handlu. Czyniąc to, związek nie lękał się zapewne, aby jego wnioski szczególne u rządu obudziły zajęcie; chciano tem zaznaczyć, że młodzież katolicka bierze dołę robotników niemniej do serca od socyalistów, roszcujących sobie pod tym względem prawo do monopolu, a zarazem chodziło o to, aby sfery rządzące przyzwyczaić do liczenia się z postulatami stronnictwa katolickiego.

A. C. J. F. jest najstarszym, najbardziej zasłużonym, ale nie jest jedynym i całą młodzież katolicką ogarniającym związkiem w celach społecznych. Są nadto prowincjonalne, samodzielne stowarzyszenia, jak Federacya młodzieży Alp i Prowancyi, jak Stowarzyszenie młodzieży w Pikardyi¹ lub w Delfinacie. Obok A. C. J. F. może być jednak postawiony na równi tylko jeden

¹ Ma ją na myśli Bazin w *Blé qui lève*.

»Sillon«, raz że podobnie jak A. C. J. F. rozciąga swą działalność na całą Francję i ma władzę centralną w Paryżu, po drugie przez lat 8, dzięki silnie prowadzonej agitacji, środkom materyalnym, jakimi rozporządza i uderzeniu w strony przez A. C. J. F. dostatecznie nie wyzyskane, pozyskał większą ilość członków od wszystkich razem wziętych stowarzyszeń katolickich — zawiązany, raczej pobudzony do życia przez ks. Garniera i Naudeta, przemówił jednak Sillon od razu najsilniej do uczuć i przekonań młodzieży, stał się więc środowiskiem jej ruchu i jej akcyi.

Powodu do założenia »Sillonu« trzeba szukać, jak zresztą i powstania całego ruchu »młodych«, w stanowisku zajętem przez stronnictwo katolickie wobec przewrotu, jaki się dokonał pomiędzy rokiem 1870 a 1890. Niemordowana, gorączkowa agitacja socjalistyczna największych wtedy dokonywała spustoszeń. Katolicy usuwali się od walki, najczynniejsi nawet szukali tylko dróg legalnych i pracowali z niezaprzeczoną korzyścią ale w cichości. W ciągu tych lat dwudziestu tylko Postel i Lenormand, historyk, zdobyli się na odwagę zabierania głosu na trybunach zawładniętych przez przeciwników. Dochodziło do tego, że najmniejsza opozycja była podejrzana o klerykalizm, a z oponującymi w najbrutalniejszy obchodzono się sposób; padały więc bezkarnie i coraz większy wśród tłumów znajdowały posłuch najohydniejsze potwarze na Kościół, na dogmaty, na przeszłość katolicką Francyi. W czasie kampanii wyborczej tego rodzaju napaści ze zdwojoną występowały siłą. Ludzie mający jakieś poczucie sprawiedliwości i kultury, choćby nie katolicy, odwracali się z obrzydzeniem od tego rozpasania namiętności, ale lud był rzucony szalonej agitacji na pastwę.

Wtedy to paru ludzi o wielkiem sercu odważyło się stanąć otwarcie do walki i zdobyć trybuny wiecowe. Byli nimi dwaj kapłani: ks. Garnier i l'abbé Naudet. Ale sami trudom swego zadania nie byli w stanie sprostać. Socjaliści, podobnie jak wszędzie, mieli wytrzymałe gardła i wyćwiczone języki. Między katolikami był zupełny brak mowców ludowych, polemistów oryentujących się szybko w wirze dyskusyi i umiejących się odciąć od razu. Stworzył więc ks. Garnier francuskie stowarzyszenie konferen-

stów katolickich, *Association française de conférenciers catholiques*, 1892, którego wiceprezesem był przez czas dłuższy dzisiejszy biskup z Périgueux, ks. Delamaire. L'Abbé Naudet tymczasem walczył po całej Francyi na niezliczonych wiecach, a często z ogromnem powodzeniem w obronie stronnictwa chrześcijańskiego. Doświadczenia, zebrane w walce, dały pocho[•]p do zawiązania się stowarzyszenia, któreby sobie wytknęło za zadanie nie tylko pracę społeczną, ale i otwartą obronę przekonań katolickich i praw przysługujących katolikom, jako obywatelom swego kraju. Stowarzyszenie to przybrało nazwę »Sillon«¹ od dziennika, który wkrótce potem zaczęto wydawać, a który miał nieść odgłos prac i walk stowarzyszenia w obronie prawdy, tam, gdzie nie mogła osiągnąć wymowa i ustna polemika. Ten kierunek polemiczny stanowi szczególną cechę »Sillonu« i wyróżnia go od innych związków młodych; właściwym jednak organizatorem, i tym, który się najbardziej do jego rozkrzewienia przyczynił jest Marc Sangnier.

Człowiek młody, gorący katolik, natura fizycznie i duchowo silna, więc rwąca się do czynu, jeden z tych, co stworzeni są do przewodniczenia, obdarzony niezwykłym darem wymowy, właściciel wielkiego majątku: wszystkie te dane rzucił na usługi myśli, która go porwała, na rozwinięcie akcyi katolickiej po całej Francyi.

Idąc za impulsem danym przez ks. Garniera i Naudeta M. Sangnier przyszedł do przekonania, że nie wystarcza pojawiać się od czasu do czasu na trybunie przeciwników, ale że trzeba starać się ich przyciągnąć na własne zgromadzenia, na to, ażeby ich zmusić do wypowiedzenia w oczy zarzutów i uzyskać tem samem możność wyświe[•]tlenia prawdy, szerszym warstwom ludu dać sposobność wyrobienia sobie bezstronnego sądu. Na Boulevard Raspail otwarto obszerny lokal, w jednej części którego mieszczą się wydawnictwa Związku, w drugiej sala zebrań. Zyskawszy taki punkt oparcia w samem centrum Francyi, Marc Sangnier z właściwym mu zapale[•]m rzucił się do walki nie tylko w Paryżu ale i po

¹ Na okładce programowego numeru figurowała reprodukcya znanego we Francyi obrazu: *Le Sillon* (Bruzda), przedstawiającego zakon[•]nika orzącego kamienistą glebę.

wsiach; w tem wyprzedził znowu A. C. J. F., które dopiero za jego przykładem zaczęło tworzyć swoje kółka wiejskie.

Cheąc stworzyć zastęp obrońców katolicyzmu po wsiach, tam, gdzie już żadnych oznak życia nie dawał, lub skupienia go tam, gdzie się katolicy ukrywali, potrzeba było zwrócić się do młodych. bo na odwrót tego, co się u nas dzieje, pokolenie dorosłych było już prawie całkiem opanowane przez socyalistów, zorganizowane w syndykaty. A jeżeli się udało poruszyć i pociągnąć tych młodych, komuż oddać pieczę nad nimi, powierzyć rozpoczętą akcyę, czuwanie nad zebraniem, nad biblioteką lub kasą, jeżeli nie księdzu, żyjącemu wprawdzie wśród ludu nieraz jak rozbitek wśród dzikich i wrogich plemion, ale bądź co bądź mającemu możność śledzenia krzyżujących się prądów naocznie z dnia na dzień i będącemu obok nauczyciela, swego głównego przeciwnika, przedstawicielem intelligencyi i kultury? Stąd zbliżenie się Sillonu do duchowieństwa a częstokroć na odwrót duchowieństwa wiejskiego do Sillonu — tworzący się Sillon wiejski nie mógł się obejść bez księdza, ale księdzu przynosił pomoc swych materyalnych środków, swej rutyny, swej zdolności propagandy, swoich mowców; na czele też Sillonów wiejskich stanęli prawie wszędzie księża, po większej części wikarzy i młodzi proboszczowie, starsza bowiem generacya nie była do pracy społecznej przysposobioną i wobec dokonywującego się przewrotu zupełnie bezbronną; stąd to poszło to zdanie, które się słyszy od ludzi obserwujących rozwój akcyi Marka Sangnier, że tyle wart poszczególny Sillon wiejski, ile wart ksiądz, który stoi na jego czele.

Rozszerzenie działalności na prowincyę, t. j. na wsie, nie przeszkadzało związkowi prowadzić coraz gorętszej obrony swoich przekonań w Paryżu i po innych miastach. Trudności były wielkie. Na co się przyda, dowodzili Sillonieści, nasza praca społeczna i pomoc, jaką niesiemy robotnikom w celu poprawienia ich doli materyalnej, jeżeli im nie pomożemy do wyrobienia sobie społeczno-chrześcijańskich przekonań, jeżeli im nie wykażemy, że słusznosc jest po naszej stronie a nie po stronie socyalistów? My będziemy pielegnować ich ciała, a socjaliści wyrwać nam będą ich dusze. Socjaliści urządzali właśnie po całej Francyi uniwer-

sytyty ludowe. Sillon mając do dyspozycji majątek Marka Sangnier i udział finansowy ludzi, których mu się udało zgrupować około siebie, założył pierwsze Instytuty ludowe, które za jego przykładem zaprowadziło niebawem i A. C. J. F., jako rozszerzenie swych *cercles d'études*.

Dostęp był otwarty wszystkim. Markowi Sangnier nie chodziło jednak o to, aby wyklądać wobec jednolitej dobrze dla katolicyzmu usposobionej publiczności, ale ażeby wciągnąć do dyskusyi i przeciwników, wyzwać ich do otwartej walki na słowa. Ale walka wszelka pociąga za sobą niebezpieczeństwa. Czem więcej zgromadzenia Sillonu czy to w Instytutach popularnych, czy na wielkich wiecach w olbrzymiej sali *Des sociétés savantes* pociągały publiczność, tem namiętniejszą stawała się opozycja przeciwników: zjawiali się nie po to, ażeby brać udział w dyskusyi, ale po to, żeby ją uniemożliwić, ażeby nie dopuścić do słowa żadnego z katolickich mowców na ich własnej trybunie, wywołać interwencję policyi, stojącej zawsze po ich stronie, zmusić do rozwiązania zgromadzenia. Żeby tego rodzaju borbom położyć tamę, zdobyć dla mowców wolność słowa a nie zniechęcić publiczności, lecz zapewnić jej możliwość przysłuchania się dyskusyi do końca, zawiązała się »Młoda gwardya« Sillonu. Przysposobiona w ciszy, Młoda gwardya tak męstwem jak zręcznością, spokojem, bezwzględnem przestrzeganiem wolności osobistej zarówno na korzyść własnego stronnictwa jak przeciwników, zapisanych do dyskusyi, odmieniła w krótkim przeciągu czasu przebieg zgromadzeń publicznych Sillonu. Odtąd gdziekolwiek istnieje lub zawiązuje się koło Sillonu, powstaje zastęp Młodej gwardyi; bez broni, ale wybornie wygimnastykowani, zobowiązani do karności i do panowania nad sobą młodzi gwardziści w berecikach, stali się od razu siłą, z którą nauczono się liczyć, której zręczna a dyskretna interwencya ogólne zjednała im uznanie. Nie obeszło się oczywiście bez brutalnej opozycji szeregów socjalistycznych i Młoda gwardya musiała przejść chrzest krwi. Miało to miejsce mianowicie na wielkim meetingu urządzonym przez Sillon w celu zaprotestowania przeciw nikizemnym ekscesom, jakich widownią było parę przedmiejskich kościołów

Paryża w maju r. 1903, gdy pod pretekstem, że ustawa o stowarzyszeniach odejęła zakonnikom prawo przemawiania z ambony, antyklerykalni z głośnymi swymi przewódcami na czele, między którymi widziano i Sebastjana Faure'a, wtargnęli do wnętrza świątyni, ażeby członkom dawnych kongregacyi zagrozić drogę do ambony. Sam przebieg zgromadzenia, na którym dopuszczono do głosu i smutnej sławy abbé Charbonnel'a, przeciągniętego na stronę rządu, był prawidłowy i zakończył się spokojnie, dzięki baczej uwadze Młodej gwardyi, ale gdy publiczność opuściła salę, a za nią w zwartych szeregach wyszli gwardziści, padł grad kamieni, czyhający już socjaliści z wrzaskiem rzucili się na rannych i zajętych niesieniem ratunku kolegom i w oczach obojętnie przyglądającej się policyi kilku niemiłosiernie potratowali, połała się krew; rannych uniesiono do pobliskich ambulatoryów. Ten chrzest krwi rozbudził entuzjazm, pociągnął nowy zastęp młodych woluntaryuszy. W rok później coraz liczniejsze meetingi Sillonu odbywały się już spokojnie przy niemniej ożywionej i gorącej dyskusyi. Wolność słowa dla mowców Sillonu była zdobytą. Rok 1904 zapisał się też w historii ruchu największymi postęпами. Marc Sangnier nie dzierży już odtąd sam jeden berła jeneralnego mowcy: pomiędzy najdzielniejszymi polemistami Sillonu słynie dziś i ks. Desgrange, który na zgromadzeniu w Luçon 1906 r. dał świetną odprawę Hervemu, czem złożył świadectwo patryotycznego usposobienia katolików francuskich i przekonał, że uczucia narodowe łączą się z przywiązaniem do wiary i Kościoła¹.

Siłę swą i męstwo czerpie Młoda gwardya w ćwiczeniach duchownych i cielesnych. Wstępujący poddać się muszą pewnej subordynacyi i odbyć rodzaj nowicyatu, w którym na przeciężenie siebie, na spokój i stanowczość główny kładzie się nacisk; czystość obyczajów ma być przytem ściśle przestrzegana.

¹ Od trzech lat oprócz zgromadzeń w Instytutach i na okolicznościowych meetingach odbywają się doroczne wielkie kongresy Sillonistów w Paryżu. Na ostatnim w r. ub. w kwietniu otrzymali zaproszenie także reprezentanci zagranicznych stronnictw i związków katolickich. Sillon zdobywa sobie rozgłos i poza Francją.

Obrona Sillonu i zapewnienie wolności słowa mowcom katolickim, to cel pośredni, który się gwardyi stawia przed oczy — ona jest na to, aby się przyczynić do uświadomienia ludu w duchu chrześcijańskim, do wyzwolenia umysłów i serc młodzieży francuskiej z pod tyranii doktryny bezwyznaniowej i kolektywistycznej, do pozyskania napowrót ukochanej ojczyzny dla prawdy Chrystusowej. To cel, mówią im przywódcy, nie mniej wzniosły, jak było ongi zdobycie grobu Zbawiciela¹. Chętnie też członkowie gwardyi do średniowiecznych porównują się rycerzy. Niejeden zapisujący się do niej, to młodzieniec powracający na drogę wiary i dobrych obyczajów, który służbą w gwardyi chce wynagrodzić lata zubożenia i odstępstwa. Mając się za taki hufiec chrześcijański Młoda gwardya wie, że niczego nie dokaże bez pomocy wyższej, bez siły spływającej od Tego, którego sprawy chcą bronić. Stąd przyjęcie każdego nowego członka rozpoczyna się od t. zw. *veillée d'armes* t. j. nocnej adoracyi, w której biorą udział nie tylko wstępujący ale i cała gwardya miejscowa pod przewodnictwem kapłana. Pierwsza *veillée d'armes* odbyła się 19 października 1901 r. Odtąd odbywają się adoracye nocne częściej a stale z W. Czwartku na W. Piątek.

Nie potrzeba chyba tłumaczyć, że tylko w tak wyjątkowym stanie umysłów, jaki panuje w obecnej Francyi, znajduje usprawiedliwienie ten wyjątkowy środek obrony, powstanie tego na walkę i śmierć gotowego hufca Młodych.

Powodzenie swoje i uznanie zawdzięcza Młoda gwardya atoli nie tylko temu przysposobieniu duchowemu. Przytomność umysłu, jakiej ciągle dowody składać muszą — to rezultat nie tylko wyćwiczonej woli, ale i fizycznej pewności swej siły, a tej nabiera się tylko racjonalnem opanowaniem ciała i wszechstronnem wyrobieniem muszkułów. Młoda gwardya rozumiała, że duch silny w ciele mdłym mieszkać nie może i dziś na wszystkich złotych sokołach, na wszystkich popisach gimnastycznych i atletycznych sięga po laury i stale je zdobywa.

Od lat dwunastu dopiero Francya weszła na drogę racyo-

¹ *Jeunes gens de France. La jeune garde de Sillon.*

nalnego, fizycznego wychowania. Uznano wreszcie, że uprawianie sportów w należytej mierze i pod odpowiednią kontrolą, to najpewniejszy sposób wzmocnienia słabnących organizmów i odwrócenia zbytnej krewkości natur ciągle zmysłowo podniecanych w kierunku przynoszącym pożytek i przyrost młodocianej siły. Oddano się z zapałem wszelkiego rodzaju fizycznym ćwiczeniom, otwarto konkursy, mnożyły się popisy na wielką skalę. Paryż podjął oczywiście inicjatywę i pokusił się o pierwszeństwo pod każdym względem. Kierownicy młodzieży katolickiej zorientowali się od razu w sytuacji i wrodzonej młodzieży pohopności do fizycznych zapasów przyszła z pomocą roztropność starszych; postanowiono nie tylko iść za postępek wbrew sarkaniom zwolenników dawnej rutyny, ale gdy nadto w październiku roku 1906 Ojciec św. rozstrzygające w tej sprawie rzucił słowo, gdy otworzył Watykan dla wielkiego gimnastycznego popisu *La fédération gymnastique sportive des patronages français*, której członkowie są po większej części członkami A. C. J. F. i Sillonu, tem śmiej i gorliwiej podjęła współzawodnictwo z pierwszymi stowarzyszeniami sportowemi Francyi. Z każdym rokiem postęp nie tylko widoczny, ale zdumiewający. Gdy w r. 1900 F. G. S. P. F. wystąpiła tylko w liczbie 1600 szermierzy na 75 stowarzyszeń, to w 1904 r. było ich na takim samym międzynarodowym popisie 2400 należących do 100 kółek. Dziś liczy ogół F. G. S. P. F. 50.000 członków, a w r. 1905 na polu sportowo-atletycznych zapasów uznany został championem wobec olbrzymiej publiczności jeden z jej szermierzy. Takie same wawrzyny zdobyła federacya i na polu wyścigów pieszych.

Zaprawdę, niepodobna rozważając te duchowe i fizyczne tryumfy »młodych«, nie wspomnieć raz jeszcze na słowa Ozanam'a: *L'avenir est aux jeunes...* i w sercu nie wskrzesić nadziei, że jeżeli przez kogo odżyje katolicka tradycya Francyi, to przez tych młodych, gdy rozrastać się będą, a sprężyną ich gorliwości będzie nadal, jak dotąd przywiązanie do Kościoła katolickiego i rzetelna miłość ojczyzny.

O ile ogólny charakter ruchu i dotychczasowy wynik działalności tak A. C. J. F. jak pokrewnych mu stowarzyszeń po-

twierdzą te nadzieje, zwłaszcza odkąd A. C. J. F. idąc za podniętą Sillonu rozszerzyła swą akcyę na wsie i przyswoiła sobie Instytuty popularne, o tyle nie bez pewnych zastrzeżeń zaczynają się odnosić sfery katolickie co do samego Sillonu. W szczególności nie wchodzimy; uważamy za stosowniejsze wstrzymać się ze sądem do chwili, w której sytuacja całkowicie się wyjaśni.

Doszliśmy do ostatniego rozdziału książki otwierającej nam na przyszłość Francyi jaśniejsze perspektywy. Redakcyja tego zbiorowego wydawnictwa trzymała się w układzie porządku logicznego a nie historycznego, ze względu na swych francuskich czytelników z rozwojem ruchu już poprzednio zapewne obznajomionych, czasem tylko niektóre ważniejsze przypominając fazy. W naszym streszczeniu uczyniliśmy przeciwnie i staraliśmy się wydobyć z całości porządek historyczny, jako bardziej pouczający i ciekawy. Uwidoczniła się w nim pewna siła historycznej ewolucyi obok niezaprzeczonego współdziałania opatrności i żywotnej misyi Kościoła katolickiego.

Dla uzupełnienia jednak obrazu i dla wydobycia z książki ostatniego słowa pozostawiliśmy rozdział, którym się ona właściwie rozpoczyna na sam koniec ¹.

Podniętą do ruchu młodych, była jak wiadomo akcyja zapoczątkowana przez hr. de Mun; nie trzeba sobie atoli wyobrażać, ażeby młodzież *de motu proprio* była się zerwała do tej pracy obronnej. Zasluga jej głównie w tem, że się dała pozyskać wytrawniejszym przedstawicielom idei społeczno-katolickiej, którzy zrozumieli, że program hr. de Mun potrzebuje rozwinięcia, a mianowicie dla propagandy wciągnięcia w szranki walczących o prawdę, siły młodzieży, siły, od której zależała przyszłość.

Na początek chodziło o stworzenie pewnej elity, którejby zaufać, a w miarę rozszerzania się do współkierownictwa można było przypuścić. Dlatego zwrócono się przeważnie do słuchaczy uniwersytetu i uczniów wyższych zakładów naukowych. Na razie

¹ *Formation sociale au collège*

to jedno było wskazaniem. Wkrótce jednak przekonano się, że wobec wpływu, jaki wywiera szkoła rządowa, wobec zatrutej nieraz atmosfery duchowej warsztatów i fabryk, w której młodzież warstw robotniczych spędza główne lata rozwoju umysłowego i fizycznego zabraknąć mogłoby wkrótce dla ruchu katolickiego rekrutów, jeżeliby się nie poszło naprzeciw tej młodzieży, wtedy gdy jeszcze nie jest pod wrogi sztandar stanowczo zaciągniętą, i dopóki istnieją jeszcze tu i owdzie przystanie chrześcijańskie dla wzrastającego pokolenia. Takimi przystaniami były lat temu jeszcze 10 z jednej strony konwikty katolickie, z drugiej powstające już po różnych miastach Francyi patronaty i dla młodych rzemieślników. W jednych i drugich, przy całej różnicy stopnia naukowego chodziło o to, ażeby młodzież utrzymać jak najdłużej w niewiedomości złego, a w obserwowaniu praktyk religijnych, ale żeby ich uzbroić do walki, pouczyć o przyszłej roli społecznej, dać możność wyrobienia sobie sądu o najżywotniejszych sprawach, w wir których bywali nieraz od razu porwanymi po wyjściu ze szkoły, o tem długo nie było mowy. Jednemu z młodych działaczy na polu społecznem, zajętemu właśnie w patronatach rzemieślniczych, przyszło raz na myśl zadać kilku najinteligentniejszym z pomiędzy swych terminatorów szereg pytań, jakimi socjaliści zwykli opłatywać swych niedoświadczonych przeciwników. Ani jeden nie zdobył się na jaką taką odpowiedź!

»Przecież socjaliści muszą wam mówić o tych rzeczach«?
 »O tak panie! o tem się tylko słyszy w warsztacie«... »W takim razie, gdy im nic nie umiecie odpowiedzieć, mówią wam pewnie żeście hebesami«?! — »Rzeczywiście, proszę pana, oni mówią żeśmy kupą bałwanów«!...

Przytaczam ten ustęp, bo jest jaskrawą ilustracją wadliwości, a raczej niedostateczności metody postępowania z dzisiejszą młodzieżą. Ciekawą byłoby rzeczą przekonać się, jakby wypadła tego rodzaju indagacya wśród naszej młodzieży szkół średnich i robotniczej?... Wychodził więc taki młody mieszczanin francuski ze szkoły średniej całkiem niebezpieczeństw i wszelkich nowożytnych prądów nieświadomy i stawał się od razu przedmiotem natarczywej propagandy radykalnej, a jeżeli rodzinne wpływy

i przyzwyczajenia nabyte w konwikcie przeważały, usuwał się od wszystkiego, dobrze jeszcze jeżeli przynajmniej sumiennie oddawał się nauce lub szedł za powołaniem do życia duchownego, i nie widział, jak fala przewrotu przelewa się nad jego głową. Ten i ów młody terminator, stały gość patronatu przysłuchiwał się padającym z ust starszej czeladzi potwarzom na cały dawniejszy porządek rzeczy i tak, jak ów zagadnięty, którego odpowiedzi przytoczyliśmy powyżej, milczał dopóki nie przyłączył się sam do chóru.

Zrozumiano wreszcie, że potrzeba rozpocząć edukację społeczną młodzieży jeszcze przed jej pełnoletnością akademicką czy rzemieślniczą. Zabrano się więc tak w konwiktach, poczynawszy od dwóch przedostatnich klas, jak w patronatach dla młodzieży rzemieślniczej z całą gorliwością nie tylko do omawiania spraw społecznych, ale i do wprawiania stopniowo elewów do praktycznej służby społecznej. W tym celu utworzono przy kilku konwiktach (dziś pozornie w prywatnych rękach pozostających) patronaty, czyli rodzaj ochronek poza szkolnych, dla biednej dziatwy, którą młodzież gimnazjalna zobowiązywała się zająć, udzielać korepetycyi, poprawiać zadania i t. d.; wciągnięto przytem uczni starszych do konferencyi św. Wincentego, zwłaszcza externistów w celu zetknięcia ich z nędzą i zapoznania z warunkami, wśród których żyją najniższe warstwy społeczne. Urządzono dla nich osobne *cercles d'étude* w sprawach społecznych, gdzie nauczyciel przez radę konwiktu wydelegowany jest właściwie tylko organizatorem i doradcą, czasem rozjemcą, ale gdzie zarówno co do tematów, jak co do wyboru prelegentów z łona samej młodzieży pozostawia się jej zupełną samodzielność i gdzie się tylko do inicjatywy i do obiektywnej krytyki zachęca, a nigdy nie odwołuje. Pierwsze rezultaty otrzymane odbiły się prędko po opuszczeniu ław szkolnych pierwszej warstwy tych, społecznie uświadomionych uczniów, w nagłym niemal przyroście dzielnych i już z potrzebami chwili zapoznanych członków katolickiego związku młodych Francuzów. (A. C. J. F.).

Powstały więc w ten sposób w ostatnich latach rozsądni

przyszłej akcyi katolickiej na wielką skalę i choćby wzmagala się jeszcze gorliwość sfer rządzących obecnie Francją, to stronnictwu katolickiemu, budującemu racjonalnie od dołu nie będzie już ubywało sił, ale raczej, aczkolwiek trochę za późno, odmładzać się ono będzie na pewne, stałym napływem należycie uświadomionych, a więc odporniejszych zastępów młodzieży.

Obecne położenie Francyi jest niewątpliwie wyjątkowem. Naśladowanie jej w rozwoju akcyi społecznej narodom wolniej się przetwarzającym i gdzie scysya interesów katolickich z radykalnymi nie wystąpiła tak ostro, byłoby może zbyt czem, ale z cudzego doświadczenia można zawsze pewne dla siebie wyciągnąć wskazówki. Więc wartoby się zastanowić nad tem póki czas, a wobec zbliżającej się ku nam coraz bardziej przewrotowej fali, wobec stanu rzeczy, jaki wytworzyła reforma wyborcza z jednej strony, a przy sposobności dokonywującej się na szeroką skalę reformy szkół średnich, czy nie byłoby wskazaniem stopniowe przysposabianie uczniów szkół średnich, przed ich wyprawieniem na szerszą arenę życia akademickiego i obywatelskiego, do podjęcia działalności społecznej, da której chcąc nie chcąc pociągnięci będą później o ile nie będą woleli pozostać bezmyślnymi pionkami w społeczeństwie.

Czy takie wdrożenie do zdrowej społecznej pracy, obok ćwiczeń sportowych, nie dałoby przytem zdrowego upustu coraz silniejszej potrzebie działania, czy nie odwiełłoby od szkodliwszej o wiele manii politykowania, i nie oddałoby zarówno młodzieży, jak całemu społeczeństwu nieocenionych usług?

Sprawa wychowania składa się z wielkiej ilości szczegółów i dlatego zapewne jej uregulowanie tyle przedstawia trudności. Nie wolno lekceważyć żadnego. Nie należą też z pewnością do tych, którzy sądzą, że np. kwestya wyrugowania łaciny i greki lub też ograniczenia ich do użytku pewnej elity jest już należyte wyświełłoną i drugorzędnego znaczenia, ale sędzę, że wyrobieenie u młodzieży, od której się domaga dojrzałości umysłowej przy końcowym egzaminie rozumnego poglądu, przynajmniej na zasadnicze zagadnienia społeczne jest jeszcze ważniejszem, a rodzicom żadną miarą obojętnem być nie może, chyba tylko szkoła

wychowująca zastępy młodzieży jedynie na przyszłych biurokratów może mieć interes w tem, ażeby ich społecznie zawczasu nie uświadamiać... Jeżeli w Wiedniu publiczność mogła swym żywym, nawet natarczywym udziałem w sprawie humanitarnego, czy bardziej realnego kierunku szkół średnich, oddziaływać na opinię sfer kompetentnych i decydujących, to czyż nie jest wskazaniem, ażeby rodzice i wychowawcy i w tej sprawie także bliżej się rozpatrzyli i głos swój poważny, a wolny od uprzedzeń póki czas jeszcze, dorzucili na szali?

Sposób urzeczywistnienia tej myśli i uwzględnienia jej w programie szkolnym, pewnieby się znalazł, jak się znalazł we Francyi pod grozą przewrotowego zalewu.

Marya Straszewska.



BOGARODZICA DZIEWICA

A JEJ NAJNOWSI PRZECIWNICY.

Dziwny to może przypadek, a może dobre o Polsce świadectwo, że słowa jej najdawniejsze, pierwsze wśród przekazanych nam w dziejach języka, wyznają z wiary przodków naszych prawdę, jakby z umysłu dobraną. Słyszymy w tych słowach nie wniosek dopiero dalszy z chrześcijańskich zasad, ale wbijaną w pamięć jedną właśnie z najpierwszych zasad i z prawd najważniejszych, podstawnych. Kto Matkę Jezusową uznaje za pannę, ten rozumnie nie zwątpi o chrześcijańskiej nauce. Z podwalin wiary Polska wybrała sobie Bogarodzicę Dziewicę i, doniosłą prawdą najgłębiej przejęta, pierwszych słów swoich zapomnieć nie może, któremi wyznała ją przed wiekami. Przeciwnie nowoczesne niedowiarstwo widzi w tej prawdzie zaporę dla siebie, którą usiłuje obalić i z widocznym zamiarem stanowczo powziętym obsypuje nowym co chwila pociskiem.

Taką to pracę w nowej dobie wszczął Voltaire, prowadził Gottlob Paulus z pozorów rzeczowo¹, ciągnął z mniejszym rozgłosem Gabler, po nim Schelling, Schleiermacher, de Wette, Bauer, a Baur całą pracę pozbawił przedmiotowej podstawy i naukowej treści, bo zamknął źródła dziejowe i odebrał głos świadkom naj-

¹ *Leben Jesu als Grundlage einer reinen Geschichte des Urchristentums*. 1828.

bliższym wypadku: mianowicie usunął ze świata ewangelistów Mateusza i Łukasza, a zastąpił ich jakimś nieznanym oszustem, który jakoby pod ich nazwiskiem podrobił ewangelie w jakichś półtora sta lat od śmierci Jezusowej.

Tę myśl Baura w lot Dawid Strauss pochwycił w *Leben Jesu, kritisch bearbeitet*¹. Przyznał, że oczywiście padłby ze swoimi wywodami przeciw panieństwu Maryi, gdyby za niem doszły do nas — nie jakieś pogłoski nie sprawdzone, — a świadectwa naoczne, przynajmniej społeczne; ale mniemał Strauss, że nie można w ewangeljach dowodnie wykazać dzieła świadków naocznych, przynajmniej społecznych wypadkom: więc niewzruszenie stoi przy swoim poglądzie na legendę o panieństwie Matki Jezusowej.

Ale nie długo Strauss stał oparty na Baurze; sam podpisał wyrok upadku na pogląd swój niewzruszony. Baur nie na długo usunął ewangelistów z widowni, aby ewangeliom przypisać początek późny. Rychło dostał odprawę od badaczy i nawet od innowierców obeznanych z pomnikami dziejów. Odnaleziona później Nauka Dwunastu Apostołów pogrzebała Baura z nieudolnym jego wymysłem. Dziś o nim znawcy chyba z uśmiechem wspomną i wykazują zgodnie, że synoptycy pochodzą z przed roku sześćdziesiątego po narodzeniu Jezusa, a już najpóźniej z przed końca lat osmdziesięciu; nadto wielu badaczy wykazuje, że ewangeliści korzystali ze zapisek dawniejszych, zatem przekazali nam świadectwa społeczne wypadkom i nawet naoczne.

Strauss tedy, po porażce Baura, pozostał bez podpory już żadnej dla swoich wywodów, jedynie przy własnym wyroku na

¹ Tübingen 1838. Tom I, str. 73: »Allerdings würde es für die Glaubwürdigkeit der biblischen Geschichte von entscheidendem Gewichte sein, wenn es bewiesen würde, dass sie von Augenzeugen oder doch nahen Zeitgenossen der Begebenheiten, geschrieben ist«. Ale, — na Baurze oparty, — Strauss zapewnia przez kilka kartek dalszych, że spółcześni Jezusowi pozostawili po sobie nie ewangelie, tylko ustne gawędy, podawane z ust do ust bez nieczyjego nadzoru. Po tem, — str. 83: »Bald aber wurde diese Tradition in verschiedenen Schriften, zu deren einer oder der anderen vielleicht ein Apostel die Grundlinien lieferte, abgefasst«.

siebie, że padłby wobec dowodnie wykazanych świadectw współczesnych wypadkom, choćby nie naocznych.

Otóż mamy niezaprzeczoną w nauce tę prawdę, — o której chrześcijaństwo wiedziało od kilkudziesięciu pokoleń, — że w ewangeliiach Mateusza i Łukasza czytamy źródłowe dzieje Jezusa i świadectwo o panieństwie Matki Jego złożone społecznie. Zatem nie słyszymy nic umiejętnego od Woltera i następców jego, aż do Straussa, a o prawdzie dowiadujemy się z pomników uwiecznionych w lat około trzydzieści, — choćby czterdzieści, — po śmierci Jezusa. Wtedy Matka Jego albo żyła jeszcze, albo świeżo umarła, ale zostawiła setki i tysiące ludzi, którzy osobiście i dobrze znali i Ją, i Jezusa, i częścią także Józefa. Wtedy Mateusz i Łukasz mieli kogo dopytywać się i prosić o szczegóły naocznie widziane albo słyszane własnoustnie, słowem: o całą osnovę ewangelii, nie poznaną osobiście. Sam Łukasz zdaje sprawę, u kogo dochodził prawdy: zaczyna ewangelię słowami: »Ponieważ wiele ich się kuśilo, żeby spisali porządną historię o rzeczach, które się u nas wypełniły, — jako nam podali, którzy się im od początku sami przypatrowali y byli sługami mowy, — zdało się y mnie, którym z początku wszystkiego dochodził, porządnie wypisać«.

I nawet, nim Baur przepadł ze swoim początkiem ewangelii późnym, już Strauss mógł nie na gołosłownego Baura zważać, tylko na nastrój umysłów u pierwszych chrześcijan. Już mógł z ówczesnego tła stosunków wiedzieć, że świadkowie żywota Jezusowego powiadamiali ewangelistów i nagłádali ich przy pracy. Niebezpieczną burzę rozpętywali nad głową pisarza, który do szczegółów, podanych wierzytelnie, dodał drobiazg nowy, nie poświadczony powszechnie. Za opis przygód Pawła apostoła i podróży Tekli, nieskończenie mniej cudownych, niż panieństwo Matki Jezusowej, pociągnęli pisarza pod śledztwo, gromami obłożyli, zmusili odwołać, ledwo nadal znosili między sobą, jakby zapowietrzonego, do żywego dotknięci, iż śmiał za prawdę podawać, o czem nie świadczą towarzysze Pawła w podróżach. To też poodrzucali różne ewangelie albo pisma, przypisywane apostołom, a nie poparte świadectwem powszechnem. Jakże przyjąliby i prze-

kazaliby nam Mateusza i Łukasza z ich ewangeliami, gdyby im setki świadków naocznych oburzone wytknęły kłamstwo wierutne!

I społeczeństwo, tak nieugięcie zachowawcze, jak pierwotny Kościół, tworzyłoby sobie ewangelie ze samorodnych gawęd, nie doglądanych przez nikogo, i podszywałoby je pod powagę świadków naocznych i wiernych prawdzie do śmierci.

Nie dość zastanowił się Strauss nad wszystkim, co przypuszczał o ewangelich, ale przecie zauważył, że na Baurze oparty stoi, a bez niego upadnie.

Renan nie zauważył, że po pogrzebie Baura nie długo mógł ze Straussem utrzymać się na widowni zapasów naukowych: lekkim sercem uwierzył w jego powagę, lekkim piórem napisał książkę ponętniejszą na chwilę, niż ogromnie ciężką u Straussa zbiór okresów, które nieraz wloką się dosłownie całymi kartkami. Ale tylko na chwilę zjednał rozgłos swojemu utworowi lotnej wyobraźni. Mimo zalet błyskotliwego pisarstwa nie mógł treścią ożywić tej pracy pustej, która od Woltera do niego czerpała ośnowę z filozofii, aż z braku wątku zamarła.

Cały ten okres pracy do Renana obrabiał pole bardziej filozoficzne, niż to, na którem stanąć mieli następcy do czasów dzisiejszych.

Za filozoficzny podkład rozpraw Woltera i najbliższych po nim służyć miał racjonalizm, a później do Renana sceptycyzm.

Racjonalizm wystawił dumną zasadę, że »nie dzieje się nic na niebie i ziemi, z czego rozum nie zdałby sprawy; a przyrodoznictwo nie sprawdziło nigdzie dzieworodztwa przy wydawaniu potomstwa: więc rzeczywistej prawdzie nie może odpowiadać legenda o Bogarodzicy Dziewicy«.

Ale już Straussa ta filozofia nie zaspokajała: w jego oczach już ścisła wiedza sprawdzała nad ziemią i w ziemi zjawiska doświadczone zmysłami, a w treści istotnej niepoznawalne rozumem; nauka stawać zaczęła przed odkrywaniem pierwiastkami, związkami ich i objawami sił, a milkła, albo chyba chwiejnymi domysłami sprawę z praw i przyczyn zdawała owych tajemnic przyrody. Zamiast dumnej zasady o wszechwiednym rozumie Du Bois Raymond podał światu hasło: *Ignorabimus*.

Stąd to po Straussie nikt prócz płytkiego Renana nie filozofował w duchu racjonalizmu przeciw panieństwu Matki Jezusowej. Po co wystawiać ten wypadek z góry, jako niemożliwy, kiedy przyrodoznictwo co dzień stawia przed oczy, o czem mędrcom dawniejszym nie się nie śniło? Po co filozofować nad niedorzecznem rzekomo pojęciem rodzicielstwa bez ojca, skoro przyroda zadaje kłam takiej filozofii? Świat trzeźwiał; żądał nie płonnej gadaniny o możliwych z góry, albo niemożliwych wyjątkach z pospolitego prawa przyrody: żądał sądu przedmiotowego i — wedle zasad nauki — rozbioru pomników i świadectw, aby rzeczowo uznać podany wypadek za prawdę dziejową albo za wymysł.

Cała robota przepadła, którą prowadzili Voltaire, Baur, Strauss, Renan. Następcy ich musieli albo już otwarcie wystąpić bez płaszcza profesorskiego i w belletrystyce tworzyć postacie z lilią złamaną, albo zabrać się do nauki porządnie i nie apriorycznie tylko, a dokładnie i ściśle rozprawiać ze świadkami wypadku społecznymi.

Otóż użyli obu rodzajów broni. Razem z Niemojewskim pisali inni bluźniercze podobne utwory we Włoszech i nad Renanem, prozą i wierszem. Dotąd ta belletrystyka na czatach czeka ciągle, nawet w Polsce, aż sposobną porę przychwyci i znajdzie czasopismo, którego redaktor, zaprzątnięty wyborami, do fejletonu przypuści udatną powiastkę, a niezauważy przy natłoku myśli, co znaczy Miriam, co zręczny Ariel znaczy, co niedomyślny... Józef... I czyta świat te plody brudnej wyobraźni, i prócz nich czytuje także prace umiejętnie pisane... przez pisarzy czytanych, obznajmionych ze źródłami, świadomych siły świadectwa społecznego, a zdolnych użyć nauki złośliwie, aby oszołomiony ich wiedzą czytelnik przecie nie rozumiał źródeł dziejowych ani nie poznał Boga w ciele wziętem z Dziewicy.

I prac takich wychodzi dużo.

Z największym rozgłosem tak walczą Lobstein¹, Pfeleiderer²,

¹ *The Virgin Birth of Christ*. 1903.

² *Das Christusbild des urchristlichen Glaubens*. Berlin 1903.

Haecker¹, Usener², Cheyne³, Beebe⁴, Houtin⁵; ale najzuchwalszy Conybeare⁶, przez rozprawę swoją wywołał już odrazę wśród ogółu chrześcijaństwa, a jednak wśród anglikańskiego duchowieństwa zapalał... do dwu tysięcy pastorów za Conybearem oświadczyło się w piśmie zbiorowem⁷.

Z drugiej strony, za panieństwem Matki Boskiej wystąpili nawet członkowie wyznań luterskich, najgorliwiej Sanday⁸, przy nim Randolph⁹, Macken¹⁰, Cooke¹¹, Warfield¹² i t. d.

Ze strony katolickiej nie podobna wymienić, chyba najwybitniejszych, którym przewodzą Dominikanie: ks. Rose¹³ i ks. La-grange¹⁴, po nich inni: ks. Lepin¹⁵, ks. Durand T. J.¹⁶, Leonce de Grandmaison¹⁷.

Otóż ostatnią walkę stoczoną między tymi zapaśnikami, wywołał Wilhelm Herzog przez swoją rozprawę *La conception virginale du Christ*¹⁸.

Czytelnik znajduje tu zasadę pospolitą nowszym rozprawom

¹ *Die Jungfrauen-Geburt und das Neue Testament; Zeitschrift für wissenschaftliche Theologie*. Lipsk 1906.

² *Nativity, Encyclopaedia biblica*.

³ Mary w tejże Encyklopedyi.

⁴ *Doctrinal Significance of a miraculous Birth; Hibbert's Journal*, październik 1903.

⁵ *La question biblique au XX siècle*. Paris 1906.

⁶ *The Standard* 11 maja 1905.

⁷ *A declaration on Biblical Criticism by 1725 Clergymen of the Anglican Communion*. 1906.

⁸ *The Virgin Birth of our Lord Christian World Pulpit*, luty 1903,—*Outlines of the Life of Christ*. 1905,—*The Standard* 16 maja 1905,—*Daily Mail* 1 i 8 sierpień 1905.

⁹ *The Virgin Birth of our Lord*. 1903.

¹⁰ *Princeton Theological Review*. 1906.

¹¹ *Did Paul know of the Virgin Birth* w *Methodist Review*. 1906.

¹² W *American Journal of Theology*, styczeń 1906.

¹³ *La Conception surnaturelle du Christ, Études sur les Évangiles*. 1902.

¹⁴ *Le récit de l'Enfance de Jésus, Revue biblique*. 1905.

¹⁵ *Jésus Messie et Fils de Dieu*. 1907.

¹⁶ *L'évangile de l'Enfance, Revue pratique d'apologétique*, od października 1906.

¹⁷ *La Conception virginale du Christ, Études* 20 maja 1907.

¹⁸ *Revue d'Histoire et de Littérature religieuses*, t. 12, str. 117.

rzekomo naukowym przeciw panieństwu Matki Jezusowej. Pisarze tych rozpraw nie w świadectwach źródłowych szukają światła dla dziejowego wypadku, tylko najprzód wydają sądy podmiotowe i przygotowują nimi tło, a dopiero na tem tle, o ile miejsca starczy, ustawiają świadków i pomniki. Wtedy z tych źródeł dziejowych czerpią nie treść ich przedmiotową, tylko osnowę do wniosku, który właściwie nie z dowodów wynika, ale ze siebie wykuwa dowody.

Tak Herzog zaczyna od poglądu¹, jakoby u Żydów starożytnych dwie szkoły w różnych czasach urabiały wśród narodu różne pojęcia Mesjasza. Dawniejsza szkoła rzekomo powstała pod wpływem prorocत्व z ósmego stulecia przed Chrystusem; późniejsza wyniknąć miała z prorockich obrazów »pseudo-Daniela«. Pierwsza tęskniła do Mesjasza w postaci królewskiej, do państwowego odnowiciela narodu, do potomka Dawidowego. Druga szkoła drżała przed Mesyaszem, jako zjawiskiem niebieskiem, zbrojnym w miecz sędziego, aby druzgotać królestwa ziemskie i na gruzach ich dźwigać mocarstwo świętych. Żadna szkoła nie pojmowała Mesjasza jako Syńa Dziewicy: więc to pojęcie nie powstało wśród Żydów, odrażało ducha hebrajskiego², nie jest wytworem chrześcijan z żydowskiego narodu³.

Skądże wynikło? Herzog odpowiada:

»Plód to ducha helleńskiego⁴, przejęty z mitologii⁵, przyczepiony do słów Izajasza, źle zrozumianych⁶, wydany w lat około osmdziesiąt po narodzeniu Chrystusa i narzucony ewangelistom.

Ewangelisci nadmieniają oba czynniki, które wytworzyły pojęcie Syna Dziewicy⁷: Mateusz nam dowodzi, powagą Izajasza, że począć Jezusa musiała Panna; Łukasz nam wyjaśnia, czemu tak być musiało. Od Mateusza wiemy, gdzie znaleźli cud; od Łukasza, czemu szukali. Po nich obu spostrzega przenikliwe oko badacza, że dziecinnie i prostodusznie dorabiali do rodzicielstwa

¹ Str. 118.

² Str. 121.

³ Str. 122.

⁴ Str. 123.

⁵ Str. 124.

⁶ Str. 126.

⁷ Str. 120, 127, 130.

dziewiczego pierwotne źródła, przeciwne panieństwu Maryi¹, mianowicie rodowód Jezusa i słowa Maryi o nastroju Jego umysłowym.

Po czem tedy Herzog poznaje, że to dla helleńskich chrześcijan Mateusz i Łukasz z ustępstwa zrobili z Maryi dziewicę mimo przeciwnych świadectw dawniejszych — ?

Najprzód dwie odróżnia szkoły z odrębnemi pojęciami o Messyaszu, ale bez żadnej podstawy w księgach starozakonnych przeciwstawia pojęcie Messyasza króla ziemskiego pojęciu Messyasza zjawiska niebieskiego. Wszak Biblia należy do ksiąg dostępnych ludziom i zawiera wszystkie księgi prorockie; stanowi całkowite źródło a zarazem jedyne, z którego można przedmiotową czerpać prawdę o messyańskich pojęciach u Żydów w dobie przedchrystusowej. Z biblijnych tedy ksiąg winien nam Herzog wykazać dwie uczelnie. Istotnie świadczą te księgi o rozwoju pojęcia messyańskiego u Żydów, ale nie o dwu jakichś postaciach Messyasza, — o królewskiej i o nadziemskiej, — tylko o pojęciu pogłębianem ciągle od czasów, opisanych u Mojżesza, po ostatnie czasy, opisane w niewoli babilońskiej i u późniejszych po Danielu proroków: Malachiasza, Ageusza i Zacharyasza oraz w księgach Ezdrasza i Nehemiasza. Rozwój messyańskiego pojęcia nie natchnął przecie żadnego z proroków opisem czynów Messyasza ani zamiarów zwróconych do dobra państwa żydowskiego; przeciwnie opisywali prorocy już od Izajasza Messyasza, jako Męża boleści, który nie miał kończyć żywota w chwale na stolicy, tylko na drzewie haniebnem; opisywali, nie jak Messyasza miał dla narodowej myśli żyć i odnosić zwycięstwa, tylko jak przez śmierć miał prowadzić ludzkie plemiona do zwycięstw nad grzechem; przepowiadali Messyasza nie w urzędowej postaci króla, pogromcy ziemskich mocarzy i założyciela swojego państwa świętych na gruzach jakichbądź państw ziemskich, ale w postaci wodza bojowników o niebo aż do końca świata, założyciela wewnętrznego królestwa w spokojnych sercach; a o zwycięstwie ostatecznem Messyasza, o pogromie, — wkońcu, — potęgi złego mówili prorocy,

¹ Str. 128—131.

ale nie na żadnem polu walk ziemskich, nie w żadnej chwili dziejów ludzkich, tylko pokazywali to zwycięstwo sprawiedliwości dopiero na dolinie Józefata.

Taką jednolitą postać Messyasza znalazłby Herzog, gdyby począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków zebrał sobie we wszystkich pismach, co o Messyaszu mówi Stary Zakon. Gdyby nie mógł sam badać, znalazłby wiele podobnych wykazów już gotowych w piśmiennictwie kościelnem każdego kraju¹; nie wystąpiłby z poglądem o dwojakim pojęciu Messyasza, nie wystawiłby przed oczy chrześcijańskie swojego nieuctwa: teraz wbrew źródłom wystąpił z poglądem, za którym oczywiście nie przytoczył żadnego dowodu z ksiąg Starego Zakonu.

A przecie usiłuje czytelnika olśnić blaskiem wiedzy, więc zamiast świadectw źródłowych, przywodzi takie powagi, jak *Geschichte des Volkes Israel* Schuerera, jak *Lehrbuch der neutest. Theologie* Holtzmanna, albo *Die Religion des Judentums* Bousseta.

Przy słowach ostatniego pisarza Herzog poślizgnął się tak już niezgrabnie, że czytelnik musi spostrzedz zmienioną u Herzoga myśl Bousseta i naciągniętą w potrzebie na świadectwo dowodne. Bousset pisze², że »Syn Człowieczy, o którym mówi Daniel, nie jest Messyaszem; został nim dopiero, kiedy idea messyańska została obudzona«; czyli, według Bousseta, myśl messyańska jeszcze nie obudziła się w Danielu, a według Herzoga Bousset z Holtzmannem i Schuererem popierają pogląd, jakoby prorocy już przeddanielowi urobili pojęcie o Messyaszu, jako o królu żydowskiego mocarstwa.

Czytelnik, raz zdumiony nadużyta powagą pisarza, którego Herzog przytacza za sobą, ostrożniej spogląda na nazwiska powag, którymi Herzog zapełnił przypiski: sprawdza przytaczane świadectwa i spostrzega niejedną powagę naukową przytoczoną szumnie, ale, czy to bezmyślnie, czy świadomie, w każdym razie użytą wbrew myśli pisarza. Takie bańki mydlane ze świadectw

¹ Jak u nas np. w Nowym Zakonie ks. Szlagowskiego, str. 833—843.

² Str. 209.

dorabianych stanowią najslabszą stronę w połyskliwym zasobie wiedzy Herzoga.

Taką drogą Herzog płynął do kresu wywodów, aż wywiódł wniossek, że dziewictwo Bogarodzicy nie wchodziło w pojęcie Mesyasza ani dawniejsze, ani danielowe: więc odrażało ducha hebrajskiego, zatem nie w świadomości tych chrześcijan przebywało, którzy pochodzili ze Żydów.

Przy tym wywodzie Herzog nie wymienił przepowiedni Jeremiasza r. 31, w. 22: »Pan stworzył nowinę na ziemi: Białogłowa ogarnie męża«, ani Izajaszowej przepowiedni r. 7, w. 14: »Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazwie imię Jego Emanuel«. Jednak o tej drugiej przepowiedni na innem miejscu pisze¹, gdzie rozprawia przeciw świadectwu Mateusza, i tam zapewnia, jakoby Izajasz nie przepowiadał rodzicielstwa dziewiczego.

Twierdzi tam, że »drugie pokolenie chrześcijan szukało w Biblii szczegółów o żywocie Zbawiciela; ci przed oczyma napotkali ustęp, w którym Izajasz przepowiada Achazowi zwycięstwo rychłe nad najeźdźcami królestwa judzkiego: w tym ustępie wyobrazili sobie, że odkryli głęboką tajemnicę. Gdyby mogli czytać w samym języku pierwotnym ten ustęp po hebrajsku, rozwaliby z przed oczu mgłę tajemnicy. Wyczytaliby, jak prorok na dowód rychłego zwycięstwa, pokazał Achazowi młodą mężatkę i zapowiedział, że jej syn nie zdoła jeszcze złego odrzucać ani dobrego obierać, a już kraj pustoszeje, którego dwu królów bał się Achaz. Ale chrześcijanie czytali Izajasza w przekładzie siedm-dziesięciu, którzy jak zwykle, tak i w tym razie poprzestali na wyrazach mniej więcej podobnych, a nie ściśle dokładnych, i oddali słowem »Panna« hebrajskie słowo **העלמה**, które znaczy »Młoda mężatka«. Taka zmiana pojęcia spowodowała pomyłkę niezmiernie doniosłą. Sprowadzeni z toru dziwnym przekładem, który im wpadł w rękę, chrześcijanie nie zapytali się, czy przekład uwzględnia, o co szło prorokowi, i oddaje jego myśl. Wnieśli, że rzeczona przepowiednia dotyczy Chrystusa, więc że Marya pozostała panną, kiedy poczęła Syna Bożego«.

¹ Str. 125, 126.

Cały ten wywód: to niezwykle okaz albo nieuctwa, albo zu-chwalstwa, jeżeli Herzog świadomie pozwala sobie kpić z czytelnika.

O co szło prorokowi? Jakiej to myśli jego nie zrozumieli chrześcijanie ani nie wyrazili poprawnie tłumacze, zwani Siedm-dziesięcioma?

Prócz spornego wyrazu **העלמה**, różnic innych nie przedstawia Izajasz między hebrajskim a greckim opisem wypadku. Sy-ryjski król Razin ze sprzymierzeńcem, Facee królem Izraela, ob-legli Jerozolimę, aby pojmać króla jej Achaza i zrzucić z tronu a na jego miejsce oddać berło judzkie synowi Tabeela. Achaz zwątpiały, czy ujdzie ręki najeźdców, wyznaje rozpaczliwy upadek ducha przed Izajaszem i dostaje od niego w silnych słowach od-powiedź: Bacz, abys umilkł; nie bój się a serce twoje niech nie truchleje; wojska oblężnicze ze swoimi królami: to knoty, które kurzą się z wielkim dymem a nie świecą ani grzeją; nie stanie się ani to będzie, co myślą przeciw tobie, albowiem mocy nie mają. Tą odpowiedzią jeszcze nie pocieszony Achaz utyskuje dalej boleśnie. Izajasz tedy nalega, że w imieniu Boskiem pro-rokuje Achazowi o zwycięstwie, a na dowód prawdy obiecuje dać znak potęgi Boskiej, jakiego tylko zechce Achaz żądać na ziemi czy na niebie. Achaz smutkiem przytłoczony odmawia pociechy i małodusznie uważa, że kusiłby Pana Boga, gdyby prosił o znak obiecany. Tedy Izajasz upomina Achaza, iż przez brak nadziei obraża Boga, gotowego sięgać ręką od przepaści ziemskich aż po niebo wysoko, aby świadczyć dobrodziejstwa: dlatego, ponieważ nie spełnacie, coście powinni, spełni Bóg dzieło godne Jego ręki. Oto przygotowuje sam dla potomków Dawida znamię. Oto Panna pocznie i porodzi syna i nazwą imię jego »Bóg z nami«. Prorok nie Achazowi daje ten znak, ale zapowiada domowi Dawida zna-mię. Acz pierwaj dał Achazowi na wolę, aby sobie obierał znak, jakiby chciał, aby utwierdził się w nadziei, że mu Bóg miał dać pomoc na Asyryjczyki; wszakże, iż prosić nie chciał, przeto prorok zaniechał Achaza a obwieszcza większe znamię, nie dla Achaza, tylko dla rodu dawidowego. Po przerwanej rozmowie z Achazem, po obwieszczonem znamieniu, znowu do Achaza obraca

się z zapowiedzią, że »piérwéy niż będzie umiało dziecię odrzucić złe, y obrać dobre, spustoszeje ziemia królów najezdczych«.

Słowem, zarówno hebrajska jak grecka Biblia, obie zgodnie podają, że Izajasz gani Achaza za upadek na duchu i sławi Boga za wszechmoc i dobroć, którą ma objawić znak osobliwy. Cóż to za znak? Herzog za Duhmem odpowiada, że tym objawem niezwykłym, to młoda mężatka, która powije syna. Izajasz uroczyście wprowadza ogrom dzieła Bożego w przygodzie najzwyklejszej u każdej mężatki!

I jakże Herzog myśleć mógł, że po hebrajsku העלמה znaczy młodą mężatkę? Wszak Biblia używa tego rzeczownika dla Maryi, siostry Mojżeszowej, kiedy ta miała ośm albo dziewięć lat¹, albo dla Rebeki, jako pięknej העלמה i nie uznanej od męża² —! Jakże wbrew tym zwrotom, jasnym jak słońce, mógł wymienić miejsce Przypowieści 30, 19, jakoby dowód niezbity, że Siedmdziesięciu tłumaczyów źle przełożyło wyraz hebrajski —? Wymienił, a nie przytoczył słów, któremi wylicza Salomon trzy rzeczy dla niego trudne a czwartą zgoła niewiadomą: drogę orłową na powietrzu, drogę węzową na skale, drogę okrętu w pośród morza a drogę męża i dziewczyny. Wszak te słowa wcale nie nasuwają myśli, że Salomon zestawia koniecznie mężatkę a nie dziewczynę z trojgiem rzeczy, przed którymi rozum jego salomonowy staje, jak przed zagadką. Znowu czytelnik spotyka bańkę mydlaną: wymienione szumnie źródło, a nie przytoczone dosłownie, kiedy nie dostarcza właściwie żadnego dowodu.

Nie trzeba być hebraistą, aby ocenić powyższe wywody Herzoga o rzeczowniku hebrajskim, rzekomo źle zrozumianym przez Siedmdziesięciu (Żydów rodowitych!) i następnie źle przytoczonym przez Mateusza. Wszak Mateusz umiał po hebrajsku w hebrajskiem narzeczu pisał sam ewangelię i po hebrajsku czytał proroków, których przytacza z setkami świadectw; przeciętnie co pięć wierszy przytacza raz proroka Starego Zakonu, a używa

¹ 2 Mojż. 2, 8.

² 1 Mojż. 24.

pisma hebrajskiego widocznie, bo przytacza np.¹, »co powiedziano jest od Pana przez proroka mówiącego: Z Egiptu wezwałem Syna moiego«. Otóż w przekładzie Siedmdziesięciu nigdzie nie czytamy powiedzianych owych słów, przez któregośbądź proroka, tylko w Piśmie hebrajskiem czytamy je u proroka Ozeasza².

Wbrew tedy oczywistej prawdzie i chociaż Mateusz niewątpliwie czytał po hebrajsku, przecie Herzog liczy na nieuwagę czytelnika, aby wywodzić, że Mateusz nie przytoczyłby z Izajasza przepowiedni o dziewiczej matce, gdyby chrześcijanie nie Siedmdziesięciu czytali a mogli czytać po hebrajsku. Wbrew głosom niezliczonych świadków, znajomych Maryi, Mateusz z pomocnikami puściliby się bezdrożem mylnego przekładu, aby dojść do wniosku o dziewictwie Maryi; i przez taki wniosek nie wywołaliby burzy ze strony społeczeństwa, niezwykle czujnego na wszelką nowinę podaną do wiary bez podstaw dowodnych; i chociaż każdy nowinkarz ściągał gromy i klątwy na siebie ze swoim wymysłem, Mateusz jednak dla siebie ze swoją bajeczką zdobył cześć i wiarę powszechną.

Słowem: i sam tok rozmowy Izajasza z Achazem wykazuje że Izajasz o macierzyństwie panny przepowiednię dał na znak wszechmocy Boga miłosiernego, i przekład Siedmdziesięciu wiernie oddaje wyraz hebrajski, i sama powaga Mateusza wobec czujnego społeczeństwa okazuje prawdziwą myśl Izajasza. Zatem nie można zgodnie z nauką twierdzić, jakoby Żydzi z prorocत्व starozakonych nie mieli pojęcia o rodzicielstwie dziewiczem, owszem: jakoby to pojęcie odrażało duszę hebrajską.

Ale taką zasadę nie naukowo wywiódł sobie Herzog, aby z niej prowadzić do wniosku, że to chrześcijanie nawróceni z pogaństwa wnieśli do swojej wiary dawne błędy mitologiczne: owych pół-bogów z ojca niebianina a matki ziemianki; że narzucili te błędy ewangelistom i urobili dogmat macierzyństwa panińskiego.

W całym tym wywodzie Herzog powtarza znaną myśl rabinińską, równie nienaukową, jak mnóstwo ich przesądów i pomy-

¹ R. 2, w. 15.

² R. 11, w. 1.

słów nagromadzonych w talmudzie. Pograżoną dziś w ciemnocie duszę żydowską Herzog poczytuje za wyrobioną właściwie na wzór hebrajski; spotyka w dziełach, talmudyzmem przesiąkłych, odrazę do założyciela chrześcijaństwa i ohydny wstręt do Jego Matki; czyta przeznaczone dla ciemnego prostactwa wywody, że to nie Jezusa Nazareńskiego przepowiadali prorocy, tylko innego Mesjasza, a na Jezusie nie spełniły się proroctwa, — chyba we wyobraźni u chrześcijan.

Tak dziwnie nasiąknięty rabinizmem umysł Herzoga twierdzi, że nie mękę Mesjasza przepowiedział Izajasz, tylko swoją przygodę opisał, że Micheasz nie przepowiedział urodzin Jezusa w Betelem, bo Jezus urodził się w Nazarecie; że Ozeasz nie przepowiedział ucieczki Jezusa do Egiptu, bo Jezus z ojczyzny nie uciekał; że Habakuk nie przepowiadał o wole i osłe przy żłobku Jezusa, bo to tylko Siedmdziesięciu źle przełożyło proroka; że Zacharyasz nie przepowiedział wjazdu do Jerozolimy na oslicy, bo Mateusz źle i prozaicznie rozumiał proroka, jako obcy poetycznemu duchowi hebrajszczyzny i t. d.¹

Z takim to zasobem wiedzy i egzegezy talmudzkiej Herzog umiał poczytywać pojęcie Matki Dziewicy za wstrętny duchowi hebrajskiemu wytwór umysłów pogańskich: nie dostrzega różnicy bezdennej między umysłowem pojęciem możliwych przygód, a rzeczywistym wypadkiem dziejowym; zaprzęta czytelnika rozprawą o rodowodzie pojęcia a występuje jako badacz świadectw o dziejach urodzin Jezusa; pastwi się szydersko nad najczystsze pojęciem macierzyństwa dziewiczego, aby je zepchnąć w brudne miłości bożków Olympu, a nie przypuszcza, że przed sobą spotka czytelnika z uwagą najprostszą: Wszak nierzadko wypadek dziejowy przypomina mgliste pojęcia z klehd, wysnutych w wyobraźni ludowej. Któryż dziejopis nie w źródłach szuka prawdy o takim wypadku, tylko klehdę przedewszystkiem bada i śledzi początek jej pojęć? Tak jednak rozumuje Herzog: nie począł się Jezus z Ducha świętego i nie narodził z panny, bo do mitologii

¹ Str. 125.

należy pojęcie synów niebianina z ziemianką: dowodem półbożki Grecyi bohaterskiej.

Niechby Herzog coś więcej wiedział i widział, coś ze zabytków pierwotnego Kościoła, przestałby upatrywać szczątków mitologii w wierze chrześcijan starożytnych. Niechby w Egipcie dziś widział świątynie chrześcijańskie, przerobione z pogańskich świątyń. Te budowle, z głazów wzniesione, przedstawiały na ścianach przeróżne obrazy z mitologii: dziś widzą podróżni tylko szczątki tych obrazów na najwyższej części ścian i pował, dokąd niełatwo było dostać się później chrześcijanom bez drogich rusztowań, a dokąd mogli dosiadać, drapali ściany bez miłosierdzia: tak przechowywali ślady mitologii u siebie! Podobnież narody nawracane później gruchotały swoje bożki i niszczyły ich gaje bez śladu — albo gontyny. Podobnie do dziś świeżo nawróceni zrywają całkowicie ze światem dawnych pojęć, jak to widzujemy naocznie u szczerze przejętych wiara.

O tę psychologię społeczeństwa świeżo nawróconego nie pyta się Herzog, o tę odrazę do bożków, przed których posągami dawali się żywcem piec a nie drgnęli, aby ich ruch nie dał się przedstawić jako pokłon oddany bałwanom. Takiemu społeczeństwu przypisuje Herzog, że przez swoje pojęcia pogańskie natchnęło ewangelistów pomysłem o panieństwie Matki Jezusowej. Odkłada na bok pytanie, jedynie ciekawe, skąd wie, że ewangelistom nie sam widok prawdy przedmiotowej kazał o niej składać świadectwo —? Skąd przekonany o nieuczciwej robocie ewangelistów, już tylko rozprawia, czyj wpływ doprowadził ich, żeby prawdę paczyli? czy messyańskie pojęcia do tego ich powodowały, czy mitologiczne?

Aż gdzieś pod koniec swojego wyrobu Herzog przedłożył rzekome wskazówki z czasów, kiedy jeszcze chrześcijanie widzieli w urodzinach Jezusa wypadek zwykły wedle prawa przyrody. Wtedy powstać miały rodowody Jezusa i słowa o Nim Jego Matki, przytoczone w ewangelii według Marka. Po tych to wskazówkach Herzog wykrył, że Mateusz z Łukaszem świadomie w błąd wprowadzili chrześcijaństwo. Bo wywodzą Jezusa z pokolenia Dawidowego: ale jaką drogą? czy przez przodków Maryi? Nie! przez

przodków Józefa. Jeżeliby tedy Jezus nie był, jak tylko mniemanym synem Józefa, tem samem rodowody wałą się do szczętu. Stąd przedewszystkiem wynika, że Łukasz w pierwotnym rodowodzie miał słowa, że Jezus był synem Józefa, a dopiero później przecieniował je dodatkiem słów: »jak mniemano«.

Tak Herzog głosem zwycięskim wygłasza swoje słowa, jak gdyby prawowierni Żydzi nie sobie nie robili z mojżeszowego zakonu wraz z jego przepisem ¹: »wszyscy mężowie poymować będą żony z pokolenia y rodu swego y wszystkie białęglowy z tegoż pokolenia mężę wezmą: aby dziedzictwo zostawało w domiech, ażeby się nie mieszały pokolenia, ale tak zostały«.

Otóż Herzog skądś wie, że ród Dawidowy znikł podczas niewoli, — ale nie mówi, skąd wie o tem lepiej, niż Ezdrasz, który po powrocie z niewoli niejednego wymienia potomka z książęcego rodu Judy: więc Zorobabela z bracią jego, syna Salatiela, wnuka króla Jechoniasza ², więc Sassabara ³, więc synów Btlehem, którzy wrócili do miasta swego ⁴. Również Mateusz i Łukasz nie gawędziliby o Józefie jako potomku domu i pokolenia Dawidowego, gdyby ktobądź ze społecznych im Żydów mógł zarzucić, że ród ten znikł od wieków. Jak tedy każdy Żyd prawowierny strzegł zakonu, jak teść Tobiasza dbał ⁵, żeby córka jego złączyła się z rodem swym według zakonu mojżeszowego nawet w niewoli, tak rodowód męża Maryi wykazuje i w niej i w Synie jej potomków Dawida już tem samem, że Józef strzegł Zakonu z Maryą, choć nie zrodził Jezusa.

Więc rodowody nie wałą się z nóg, choć Jezus był mniemanym tylko synem Józefa, a nie rodzonym.

Herzog nieświadom chyba rzeczonej ustawy Mojżesza, widzi w rodowodach Józefa coś niewątpliwie skażonego i stanowczo twierdzi, że Mateusz w pierwotnym rodowodzie miał jeszcze wyprowadzonego od Dawida przez ojca swojego na ziemi, a nie

¹ IV ks., r. 36, w. 6—9.

² R. 3, w. 2.

³ 1. w. 7, 11,

⁴ R. 2, w. 1, 21, 70.

⁵ Tob. 7, 14.

przez matkę; wtedy rodowód wyglądał w oczach Herzoga rozumnie; teraz Mateusz zepsuł wszystko przez koniec niedorzeczny. Mianowicie wymieniał jednolicie przez cały rodowód, że Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakóba, a Jakób zrodził Judę i t. d., aż przy końcu zmienił, bo po Eleazarze, który zrodził Mattana, dalej pisze, że »Mattan zrodził Jakóba, a Jakób zrodził Józefa, męża Maryi, z której się narodził Jezus, którego zowią Chrystusem«.

Herzog uważa, że pierwotnie rodowód kończył się tak, jak w przekładzie synaickim czytamy i paru łacińskich: »Jakób zrodził Józefa; Józef, któremu Marya była poślubioną, zrodził Jezusa, zwanego Chrystusem«. Tylko tego nie uważa Herzog, że wszelkie przekłady pochodzą z czasów po-mateuszowych, więc zastały (już nawet według Herzoga) wszystkich chrześcijan przekonanych o dziewictwie Matki Jezusowej, stąd słowa o ojcostwie Józefa, gdyby pisane nie przez pomyłkę, tylko z rozmysłem, aby szerzyć naukę nową, wywołałyby przeciw pisarzom śledztwo i sądy kościelne, o których dzieje donosiłyby, jak opowiadają o burzy przeciw Helwidyuszowi i Jowinianowi. A owych kilka rękopisów nie zwróciło niczyjej uwagi; nie poszły na stos za odstępstwo od wiary; stały najspokojniej między dziełami prawowiernymi: widocznie przeoczone przez znawców nie świadcą o swoich pisarzach, żeby ci znali się na rzeczy i oceniali doniosłą zmianę, którą robią w słowach Mateusza. Najwymowniejszym jest szczegół, że mimo tej zmiany, przełożyli najwierniej inne ustępy, gdzie Mateusz najoczywiściej świadczy o pańienstwie Matki Jezusowej: świadoma i umiejętnie oparta na źródłach zmiana jednego ustępu nie pozwoliłaby zostawiać gdzieindziej ustępu sprzecznego i nie dałaby odkrywcom pierwotnego rodowodu niszczyć wykrytych rękopisów i źródeł, a prawdę tać bez śladu.

Więc o rzekomą przeróbkę rodowodów Herzog oskarża ewangelistów bez żadnej podstawy poważnej.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

WADSTENA.

Mało miejsc na świecie, któreby odegrały podobną rolę w swym narodzie jak Wadstena w Szwecyi. Z dumą wspominają o niej jeszcze dzisiaj Szwedzi. To też być w ich królestwie, a nie odwiedzić Wadsteny, byłoby rzeczą nie do darowania, zwłaszcza, że po ukończeniu misyi miałem pewien czas do dyspozycyi i wybierałem się do Stokholmu i Upsali. Zresztą nie potrzeba było na to znacznego zboczenia od głównej linii kolejowej, łączącej większe miasta, jak Linköping i Norrköping ze Stokholmem.

O ile południowa Szwecya jest bardzo urodzajna i rolne jej gospodarstwo jest w wysokiej kulturze: o tyle okolice dalsze, położone w stronie północnej są coraz uboższe, rola mniej przydatna do uprawy, bo bryły granitowe różnej wielkości, rozrzucone zbyt gęsto po ziemi, utrudniają orkę. Lecz ta właśnie okolica jest dla oka uroczą. Przestrzeń to na pół dzika, bogata w stawy i jeziora; wśród borów i gajów, drzew czerwonych i zielonych różnych odcieni — żółtych i pomarańczowych — prosto wspinających swe konary ku niebu — wybijają się z pod krzewów na powierzchnię szare, cieliste, lub brudno-czerwone granity, na pół sinym lub zielonym mchem porośłe; — gdzieindziej znowu zwracają uwagę kępy ożywione roślinnością i błotnem ptactwem, odzwierciedlające się w toni głębokich wód.

Dopiero gdyśmy się zbliżyli do Mjölby i Fogelsta, okolicy Linköpingu, krajobraz się zmienił. Ukazały się równiny urodzajne, dobrze uprawne, a na nich zboże jare, jedno w półkolkach, inne

jeszcze na pniu stoi, choć to już początek października. Ciągną się te równiny aż do jeziora Wettern, obejmującego 1898 klm.² przestrzeni, zamykającego je od strony zachodniej w długości 128 kilometrów. Prawie w połowie tego olbrzymiego jeziora — drugiego z rzędu co do swych rozmiarów w Szwecyi — rozsiadło się na jego wybrzeżu wschodniem miasteczko Wadstena, liczące zaledwie 2.320 mieszkańców. Wśród gmachów większych i mniejszych już na pierwszy rzut oka, wznoszą się ponad inne dwie największe budowle: klasztor, z przyległym doń gotyckim z ciosu kościołem i zamek obronny Wetternborg o czterech bastionach okrągłych, zdobnych w kopuły, w stylu renesansu szwedzkiego z czasów Wazów, otoczony fosą pełną wody, bo też wznosi się nad samym brzegiem jeziora. Chociaż obydwie budowle dobrze są zachowane, jednak spotrzega się w nich martwość. Opuszczone od mieszkańców miasta, jakby przez nich ignorowane, mówią nam, że już minęły czasy, kiedy ich mury były tętnem życia społecznego, już nie są tem, czem były dawniej. Dziś są tylko pomnikiem świetnej przeszłości. Daleko odbiegły one od swego przeznaczenia: klasztor zamieniono na szpital dla obłąkanych niewiast, zamek na magazyny rządowe. A jednak te martwe budowle bardzo są wymowne głosem swej przeszłości, kiedy to aureolą sławy olśniły Szwecję, a miasteczko Wadstenę dało poznać całemu chrześcijaństwu. W nich się zamykają dwie epoki Szwecyi: jej rozkwitu i jej upadku. Klasztor i zamek to dwaj rywale, którzy ze sobą stoczyli srogi bój, aż legli martwi obydwaj.

Klasztor został zbudowany przez św. Brygidę przy pomocy szwedzkiej rodziny królewskiej, następnie całego narodu, a budowę rozpoczęto w r. 1346, skończono 1370 r., a więc na 3 lata przed śmiercią tej świętej. Zbytecznem byłoby na tem miejscu rozwodzić się nad jej życiem. Przechodząc kolejno z panieństwa w stan małżeński, wdowi i zakonnej jaśniała blaskiem nie tylko cnót niezwykłych, lecz i darów nadzwyczajnych natury i łaski, które umiała spożytkować dla dobra całego Kościoła i swej ojczyzny. Jej usunięcie się od dworskich godności, pielgrzymki podjęte na grób św. Olafa w Tronhiemie, św. Jakóba w Com-

postelli, św. Apostołów w Rzymie, a zakończone odwiedzeniem grobu Zbawiciela w Jerozolimie, miały charakter raczej osobistej dewocyi; lecz jej wpływ na papieża Klemensa VI, a następnie Urbana V, aby z Awignonu do Rzymu powrócili, skutkiem uwieńczony pomyślnym, nie mniej jak pojednanie królów Anglii i Francyi, cesarza niemieckiego Karola IV z papieżem Urbanem V, zakończone koronacją monarchy w Rzymie w części dzięki jej zabiegom dokonane — otoczyły ją powagą światową, która przez nią na Szwecyę spłynęła. Św. Brygida zatopiona w Bogu, jakby mimochodem tyle znakomitych dzieł dokonywa; jej myśl głównie zajęta utworzeniem zakonu żeńskiego, w którymby panny szwedzkie mogły znaleźć schronienie wśród wiru swarów i walk jakie podówczas miotały jej ojczyznę. Staje też w Wadstenie gmach okazały, w którym zaczęły się gromadzić córki najstarszych rodów Szwecyi, aby wedle wspólnej reguły życia, baczyć na zbawienie swej duszy i służyć Bogu w odosobnieniu od świata. Pierwotnie miało się znajdować w Wadstenie tylko 60 zakonnic. Jednak, zwyczajem czasów średniowiecznych, dla posługi duchownej tak zakonnic jak i okolicy, miało mieszkać w osobnym, klauzurą odgrodzonym pawilonie, ku czci 12 apostołów i św. Pawła trzynastu kapłanów, ku pamięci 4 pierwszych doktorów Kościoła 4 dyakonów — wreszcie na pamiątkę młodzieńców pierwszych uczni Chrystusa 8 Braci. Wszyscy ci mnisi mieli żyć wedle reguły spisanej przez św. Brygidę, a potwierdzonej przez Urbana V w r. 1370, jako *Ordo Salvatoris*, Zakon Zbawiciela.

Wśród różnych podróży, wśród starań o zatwierdzenie swego zakonu zmarła św. Brygida r. 1373 w *hospitium* przez nią założonem w Rzymie na *Campo di Fiori* obok pałacu *Farnese*, w którym niebawem miał powstać klasztor Brygidek. Jeszcze dziś do zakonnego służy on użytku Karmelitankom Bosym z Krakowa przed kilkudziesięciu laty przybyłym do »wiecznego miasta«.

Drogi skarb zakonny — ciało św. Brygidy — sprowadza jej córka Katarzyna do Wadsteny, w rok po śmierci matki, a sama wraca do Rzymu, aby przedstawić dokumenta dotyczące życia świętej, a potrzebne do jej kanonizacyi, i otrzymać ponowne potwierdzenie konstytucyi zakonu *Salvatoris* od papieża Grzego-

rza XI następnie Urbana VI. W tymże samym Wadstemy klasztorze r. 1384 odbywa się uroczyste wprowadzenie konstytucyi św. Brygidy i konsekracya 46 dziewic z pierwszych rodów szwedzkich na wieczną służbę Bogu, dokonana przez arcybiskupa Henryka z Upsali i biskupów z Linköping i Strängiö, a równocześnie objęcie klasztoru męskiego przez 9 kapłanów i 7 braci laików tej samej reguły św. Brygidy.

Odtąd Wadstena staje się środowiskiem życia duchownego i umysłowego; punktem atrakcyjnym dla wszystkich dusz pragnących ochłody wśród zmiennych kolei życia ludzkiego, począwszy od głów koronowanych królów i królewien, skończywszy na tysiącach ludu z dalekich stron, które jak do cudownego miejsca rok rocznie spieszyły, by jednać się z Bogiem, a podniesione na duchu wracały w rodzinne strony, roznosząc sławę »świętych panien z Wadstemy« i ich Ojców duchownych »Zakonu Zbawiciela«.

Ta sława rozchodzi się też daleko poza granicę Szwecyi. Stary rękopis monasteru wadsteńskiego z drugiej połowy XV w.¹ wspomina już o 25 monastyrach »Zakonu Zbawiciela« reguły św. Brygidy w różnych krajach Europy: Finlandyi, Danii, Islandyi, Norwegii, Anglii, Kurlandyi, Prusach Zachodnich, na wyspie Rugii, w Niemczech, Flandryi, Florencyi i Rzymie, Brabancyi i Bawaryi, Holandyi i Zeelandyi, nawet o naszym Lublinie jest wzmianka. W latach następnych mnożą się one, a z nimi i sława katolickiej Szwecyi i jej św. patronów, z których dwie: Brygida i Katarzyna, z wadsteńskim monastyrem najściślej są złączone.

A nie tylko sława świętości zwraca oczy Szwecyi na Wadstene. Staje się ona równocześnie siedliskiem nauk, Atenami szwedzkimi, w których się piszą odpowiednie ówczesnym wiekom dzieła naukowej wartości i powstaje pierwsza w Szwecyi drukarnia, rzucająca w świat »książki autorów monastynu Wadstemy«.

Wskutek nieustannej łączności tego głównego, macierzystego, domu z klasztorami św. Brygidy za granicami Szwecyi, wszelkie

¹ Obecnie znajduje się w Królewskiej bibliotece w Sztokholmie pod nrem A. 23, str. 183.

objawy życia duchownego i naukowego znajdowały echo najpierw w Wadstentie, zanim się rozeszły po innych jej miastach. Jeszcze przed założeniem uniwersytetu w Upsali, już Wadstena jaśniała światłem nauki, nie tracąc z świeżości ducha reguły, konstytucyi i świętych tradycyi swej założycielki.

Nie więc nadzwyczajnego, że do tych Aten szwedzkich jeszcze w XVI wieku, a więc bezpośrednio przed czasami reformacji w odwiedzinie klasztoru spieszyli królowie. Kronika wadsteńska¹ pod dniem 11 listopada r. 1520, wspomina o koronacyi króla »Chrystierna«² w Stokholmie, a już pod dniem 28 grudnia tegoż roku notuje jego przyjazd w licznym orszaku do Wadstenty i udział w nabożeństwie zakonnem, podczas dziękczynnego śpiewu *Te Deum* panien wadsteńskich. Zabawił on w tem mieście czas dłuższy, skoro znowu pod dniem 1 stycznia 1521 r. notuje pisarz tejże Kroniki, że król wszedł do kościoła na nabożeństwo i zasiadł z dwu biskupami i dwu dygnitarzami wojskowymi w stałach mniichów wadsteńskich.

Lecz niestety już w tymże samym roku rozpoczyna się druga epoka Wadstenty, pełna boleści.

Pod dniem 21 sierpnia kronikarz wadsteński zapisuje *venit strennus vir Gusthavius Erics ad oppidum Vastenense non cum parva comitiva celebrando dietam*. Trwała ona przez tydzień. Cel jego przybycia do Wadstenty znany. Wskutek wymordowania szlachty szwedzkiej w zdradziecki sposób przez duńskiego i szwedzkiego zarazem króla Chrystyana II w Stokholmie r. 1520, przyszło do zupełnego rozdziału Szwecyi od Danii. Od tej chwili Szwecya poczęła dążyć do samodzielności. Na czele powstania stanął Gustaw syn Eryka Wazy. Wyswobodził on swoją ojczyznę od okrutnych rządów Chrystyana II i rozpoczął na wielką skalę reformy w państwie. Pochłaniały one tyle pieniędzy, że skarb państwowy zaledwie był w stanie pokryć $\frac{1}{3}$ część

¹ Rękopis pierwotnie zwanym był *Liber memorialis*, lecz gdy go zabrano z Wadstenty do Biblioteki uniwersyteckiej w Upsali dano mu tytuł: *Diarium Wazstenense ab anno 1344 ad annum 1545* — i pod tym jest obecnie cytowany przez pisarzy.

² Chrystyan II z duńskiej dynastyi król szwedzki.

wydatków. Gustaw Waza wpada na myśl zrabowania dóbr kościelnych i klasztornych. Dla przeprowadzenia zamiaru trzeba było wpierw kościół usunąć. Okazyja do tego następuje się — już wystąpił Luter w Wirtembergii, gromadził koło siebie predykantów »nowej nauki«, gotowych iść na skinienie Gustawa do Szwecyi. I poszli — gdy Gustaw Waza został królem ogłoszony r. 1523. Ofiarą jego chciwości pada najpierw klasztor wadsteński. Kronikarz miejscowy zapisuje pod dniem 17. lutego 1524 r.¹: *extorsit Rex Gustavus a monasterio nostro quinque latera argenti, quae facta sunt ad scrinium S. Katerine (sic) citra III lediga mark, oc centum lodoga mark et decem lood.* Po tym rabunku poszedł drugi, niebawem dnia 21 marca: *Item praedictus Rex extorsit a nobis XII lódoga mark e sacrario.* Odtąd zaczęły się coraz cięższe chwile dla wadsteńskiego klasztoru. Gustaw Waza nie śmiał jednym zamachem zniszczyć ten sławny przybytek nauki i cnoty, z obawy przed rewolucją ludności, zbyt przywiązanej do tego miejsca. To też rozpoczął z nim wojnę podjazdową.

Ze zniesionych klasztorów, a zwłaszcza olbrzymiego monastynu cystersów w Alvastra (gdzie zmarł jako zakonnik mąż św. Brygidy), zbudował sobie w Wadstanie zamek wspaniały i osadził w nim najstarszego swego syna Magnusa, który już w 17 roku rozpusztą zniszczony wpadał w szal i w niemożliwy sposób znęcał się nad mniszkami św. Brygidy. Gdy prośby i groźby nie pomogły, aby zakonnice odwieść od wiary katolickiej, w r. 1540 nadsłał nowych swych apostołów, biskupa i kapłanów ze swoim świeckim legatem do Wadsteny, »którzy znieśli mszę szwedzką i wszystkie nasze ceremonie i pamiątki o świętych«. Następnie porozysłał spowiedników klasztornych już to do Norwegii, już to w północne strony Szwecyi pód pretekstem, aby nawracali Lapończyków. Wreszcie r. 1543 zakazał odprawiania Mszy św., spowiadania się, używania wody święconej, noszenia sukni zakonnej, a obrabowawszy klasztor z biblioteki i wielu kosztowniejszych sprzętów kościelnych, wkońcu i dóbr — doprowadził go do nędzy zupełnej.

¹ l. c. *Diarium Wadstenense.*

W niej przetrwały zakonnice wśród prawdziwego męczeństwa 42 lat, doczekały się śmierci Gustawa (r. 1560) i jego syna Eryka IV, podobnie jak Magnus szaleńca, tylko że na tronie. Ten zmarł w więzieniu gripsholmskiem, gdzie poprzednio więził swego brata Jana, ożenionego z Katarzyną Jagiellonką, i ich syna — naszego Zygmunta III.

Gdy Jan III zawładnął Szwecyą, ustały prześladowania wadsteńskiego klasztoru. Wiadomo, że Jezuici OO. Possevino i Warszewicki bawili na dworze królewskim, chcąc wahałego się króla utwierdzić w wierze katolickiej. O. Possevino zaglądał nawet do Wadsteny i siedmiu nowym zakonnicom włożył, jako legat papieski, habit zakonny.

Lecz po śmierci króla Jana III, gdy Zygmunt III, jako prawowity następca, chciał zająć tron szwedzki, stryj jego, Karol IX Sudermański, uprzedził synowca. Znaną jest klęska wojsk Zygmuntowych pod Linköping, i sejm w Söderköping (r. 1595), na którym postanowiono zniszczyć zupełnie Kościół katolicki w Szwecyi. Tym aktem wybiła ostatnia godzina pobytu Brygidek w Wadstenie. Wygnanki znalazły przytułek na ziemi polskiej — w Gdańsku.

Cóż się stało z zamkiem Wadsteny, Wetternborgiem i jego mieszkańcami? Gustaw I Waza rzadko doń zaglądał. Jedyńm stałym mieszkańcem był w nim szaleniec rozwiozły, Magnus. Eryk XIV, drugi syn Wazy, zginął z ręki morderczej w więzieniu gripsholmskiem, w wieży dlań zbudowanej przez rodzonego brata, Jana III. Ten zmarł w wątpliwościach co do wiary. Czwarty syn Gustawa, Karol IX, pozostawia jedynego Gustawa II Adolfa, lecz i ten ginie w bitwie, a jedyna córka Krystyna zrzeka się królestwa, składa koronę szwedzką i jako katoliczka umiera w Rzymie.

Zamek wadsteński nie doczekał się więc dziedziców z prostej linii fundatorów. Tak jest zapomnianym, jak ród Wazów, który po kilku błyskach zwycięskiego oręża, zmarniał, pogrążając Szwecyę w martwość duchową i polityczną. Jeśli więc Wadstena budzi interes każdego podróżnika a Szwedów dzisiejszych napęlnia dumą — nie zamek Wetternborg pociąga go do siebie, lecz stary klasztor św. Brygidy.

Wejźmy do wnętrza Kościoła. Mury z ciosów wzniesione,

tak starannie obrobione i z tak twardego materiału, iż do dziś nie zwietrzał i wygląda jakby niedawno ręka budowniczego mury wykończyła. Trzy nawy oddzielone od siebie osmiu kolumnami, po 4 z każdej strony. Nad niemi piękne sklepienie północnego gotyku. U wejścia znajduje się okazały sarkofag z 14 kolumnienkami z kararyjskiego marmuru, zamykającego zwłoki królewicza Magnusa, najulubieńszego syna Gustawa. Dziwnie on odbija od pokornych tablic grobowych świątobliwych sług i służebnie Chrystusowych, którzy za szczęście uważali złożyć swe zwłoki w podziemiach wadsteńskiego kościoła. Prócz św. Brygidy i jej córki św. Katarzyny, spoczywają tu zwłoki jej syna Birgera Ulfsona i drugiej córki Cecylii. Wśród dygnitarzy najwyższych państwowych, jak marszałka szwedzkiego Knutsona i jego żony, rodów Thuro, Trolle, van Fizen, Benet, Bonde widzę i dwu królowych tablice grobowe¹.

Po prawej stronie od wejścia w bocznej nawie ustawiono różne stare z XIV i XV wieku rzeźby i tryptyki drewniane o polichromii jeszcze dobrze zachowanej. Prześliczną jest postać św. Brygidy w postawie siedzącej, trzymająca na kolanach księgę otwartą. Wyraz twarzy, draperya sukni tak naturalna a pełna życia, że mimowoli przykuwa do siebie wzrok przechodnia. Niemniej piękną jest postać św. Anny, również naturalnej wielkości, trzymającej na kolanach Najświętszą Pannę.

Najwięcej rzeźb przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem Jezus. Ona też główną postacią w olbrzymim tryptyku, o szerszych rozmiarach, niż nasze arcydzieło w Maryackim kościele krakowskim. Otaczają ją różne grupy osób: u góry przedstawiające wieczną

¹ Na jednej napis:

Hic sepulta est Serenissima Regina Philipha Erii Sveciae, Gothiae, Daniae et Norvegiae quondam Regis Potentissimi, Pomeraniae Ducis Consors et Henrici Quarti Angliae, Franciae et Hyberniae Regis filia, quae cito est defuncta Anno Christi M.CCCCXXX V: a die Januarii.

Na drugiej:

In hoc sepulchro positum est corpus inclytae Reginae Catharinae Caroli Secundi Svecorum, Gothorum et Norvegianorum quondam Regis Coniugis et Magnifici Domini Caroli Ormonis Militis aurati Regni quae Consiliaris filiae.

szczęśliwość — u dołu wieczne potępienie. Rzeźby aniołów, św. Jakóba z Compostelli i innych świętych obojga płci, dopełniają pięknej kolekcji pamiątek katolickich z średnich wieków. Z doby późniejszej daremnie szukać czegoś podobnego, gdyż wiadomo, że wszelki kult świętych i Bogarodzicy został wyrzucony z luterskich kościołów. Czuje się dobrze w kościele wadsteńskim, jak reformacja wogóle zniszczyła to, co dawało i daje, inicjatywę do najwznioślejszych arcydzieł malarstwa i rzeźby.

Jeszcze piękniejszy jest tryptyk w głównym ołtarzu, wysuniętym dość daleko w głąb głównej nawy. Na harmonijną całość składa się 30 pól różnych rozmiarów, których główną treścią jest Chrystus, Ustanowienie Najświętszego Sakramentu, Męka, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie Zbawiciela. Reszta płaskorzeźb tego tryptyku przedstawia śmierć i koronację Matki Bożej i Świętych obojga płci, najbardziej czczonych przez św. Brygidę.

Wogóle wszystkie te rzeźby o szlachetnym rysunku i delikatnem wykonaniu, szwedzkiego artysty z Göteborgu w niczem nie ustępują podobnym arcydziełom głośnych zbiorów włoskich.

Z szczęśliwej przeszłości między innemi zachowano jeszcze kilka drewnianych konfesyonałów. Ponieważ jednak napływ ludzi nie pozwalał na słuchanie wszystkich w kościele, przeto utworzono szczególny system słuchalnic. Za ołtarzem schodzi się schodkami do cel przytykających od wnętrza do muru kościoła, lecz położonych poniżej posadzki kościelnej. W murze okienko zakratowane, zamykane blaszanymi drzwiczkami, obok ławeczka dla spowiednika. Można więc było stać poza kościołem i spowiadać się przed kapłanami siedzącymi w tych celkach, przez co unikano natłoku w kościele.

W tej samej nawie pokazano skrzynię starą, wybitą czerwoną materyą i złożonemi blaszkami, zawierającą relikwie św. Brygidy i św. Katarzyny. Bardzo poważne zachodzą trudności do uznania autentyczności tych relikwii. Niektórzy stanowczo twierdzą, że są to kości nie zwłok niewieścich lecz męczyzn — kto wie jakich.

W lewej nawie kościoła znajduje się bardzo ładnego pendzla stary obraz Chrystusa na krzyżu. Z dwu płócien się składa: u góry

Męka Zbawiciela, pod nim u dołu stoją w dwu rzędach zakonnicy i zakonnice z zakonu św. Brygidy. Nagromadzono w tej nawie także rzeźby z parafialnego kościoła, który od dawna zamieniono na szkołę.

Zaiste rzecz dziwna, że pomimo niszczenia wszelkich katolickich pamiątek, jeszcze tyle arcydzieł ręka uczciwa zachowała przed wandalizmem reformatorów. Dają one jaki taki obraz wysokiej kultury artystycznej z czasów katolicyzmu.

Niemniej znaczącym jest fakt, że rękopisy wadsteńskiego klasztoru w uniwersyteckich bibliotekach w Stokholmie i Upsali (*Carolina Rediviva*) należą dziś do najcenniejszych zabytków wskutek bogactwa materiału historycznego i lingwistycznego i jako takie znalazły pomieszczenie tam, gdzie jest *Codex argenteus* Ulfilasa (w Upsali) i *Codex aureus* (w Stokholmie), irlandzki rękopis z V wieku *Marias Klagan*, jedyny szwedzki manuskrypt o piśmie runowym z XIV wieku. Pomimo, że treść ich prawie wyłącznie ma charakter religijny i ściśle katolicki, zostały jednak już niejednokrotnie wydawane przez luteranów, a w ostatnich czasach w pomnikowych foliach pod tytułem: *Scriptores Rerum Svecicarum Medii aevi*¹.

Przewodnikiem moim po Wadstanie był Eryk Ihrfors, ze wszechmiar bardzo charakterystyczna i ciekawa postać; dziś jest amanuentem w miejscowym archiwum.

Pan Ihrfors 60-kilkoletni mężczyzna jest dzieckiem ludu, gorącym patryotą szwedzkim i badaczem przeszłości swojej ojczyzny. Po ukończeniu szkół ludowych, za ubogi na dalsze regularne kształcenie się w szkołach, zarabiał jako prosty robotnik, a równocześnie za oszczędzone pieniądze kupował książki i sam się uczył. Pewną część roku poświęcał wędrówkom po starych archiwach, a ponieważ materiał najcenniejszy, dotyczący przeszłości, znajdował się w języku łacińskim, po powrocie do służby ręcznej, wolne chwile poświęcał łacinie i tyle się w niej wyrobił, że może nie tylko czytać dzieła łacińskie, lecz tym językiem mówić

¹ *Scriptores Rerum Svecicarum Medii Aevi*: Upsaliae. Tomus I, a. 1818. Tomus II, a. 1828. Tomus III, 1871—76.

i pisać. Materiał zebrany z ruin dawnych klasztorów, rozjaśnił mu przeszłość. I on, który nigdy nie widział żadnego katolika, począł cenić wiarę katolicką i zdecydował się na wzór dawniejszych zakonników szwedzkich życie swoje ułożyć.

W tym celu przebrał się za mnicha, postanowił żyć w celibacie, praktykował ubóstwo, posty i inne umartwienia bardzo surowe, a z zaoszczędzonych pieniędzy dalsze odbywał wędrówki. Wiadomość o tym człowieku rozeszła się po Szwecyi wskutek artykułu *Munk Erik* (Mnich Eryk), zamieszczonego w dziennikach. Dowiedział się też o nim król Oskar II, a chcąc zabezpieczyć jego byt materialny, na prośby życzliwych uczonych szwedzkich, którzy już znali rękopiśmienne zbiory Ihrforsa, zwolnił go od egzaminu koniecznego do objęcia rządowej posady w archiwum.

Ostatecznie dowiedział się o nim także O. Stolberg. Nawiązał z nim stosunki najpierw listowne, następnie osobiste, które się zakończyły przyjęciem Eryka Ihrforsa w maju 1886 roku do Kościoła katolickiego.

Szczególniej ukochał on Wadstenę i tutaj otrzymał posadę amanuenta. Idąc za poradą znajomego konwertyty, złożył ubiór mniszy, jako zbyt rażący oczy luteranów, a niekonieczny do życia katolickiego — chociażby prawie pustelniczego. Dzisiaj p. Ihrfors jest jedynym katolikiem w Wadstanie. Życiem swoim odosobnionem, umartwionem, spędzanem w bezustannej pracy i modlitwie, jakby utrzymywał stare tradycje mnichów zakonu Zbawiciela św. Brygidy.

Niezmiernie ucieszył się mojem przybyciem. Gdym wysiadł z wagonu w Wadstanie, od razu poznaliśmy się bez żadnych pytań. Nazajutrz raniutko, było jeszcze ciemno, gdy przyszedł on do hotelu, w którym zamieszkałem. W największej tajemnicy przed okiem luterskiej służby hotelowej, przy drzwiach zamkniętych i zasłoniętych oknach, p. Ihrfors służył mi do Mszy św. i przyjął Najświętszy Sakrament. Gdyśmy następnie razem trwali na dziękczynnej modlitwie, starzec zalewał się łzami radości...

Przypomniały mi się wówczas opisy scen z rzymskich katakumb, z czasów wiary silnej pierwszych chrześcijan.

Ks. M. Czerwiński.

HEKUBA.

(1863 r.).

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

III.

Ze wsi chłopskiej, do której dobry kawał drogi był z Leszczyнки, a w której dziś robotników do pilnej jakiejś pracy gospodarskiej zamawiała, p. Teresa biegła drożyną polną bez tchu prawie i cała potem oblana, bo ranek duszny był i upalny. Zdyszana, z policzkami gorąco zarumienionymi, ze wzrokiem zakłopotanym do kuchni bocznemi drzwiami domu wpadła i wnet zawołała.

— Teleżukowa! A maleńkie gdzie?

Kobieta w chłopskiem ubraniu, od kuchennego ognia twarzy nie odwracając, odpowiedziała.

— Z Julkiem w pole poszli...

— A chłopcy?

— W sadzie siedzą... czytają...

— Jedli co?

— O jej! Może wy pani co zjecie?

— Nie chcę! Nie mam czasu! Do obiadu zaczekam...

Nie miała czasu na jedzenie, musiała w rachunkowej książce coś zapisać — bo potem zapomni, — do ogrodu, gdzie dziewczęta warzywa pełły złatać, do lochu, gdzie dziś udój bez niej postawili skoczyć...

Więc jak wicher głośno za sobą drzwi zamykając parę izb

przebiegła ku tej, która nazwę jej pokoju nosiła dążąc, gdy wypadkiem na okno otwarte spojrzawszy, jak do ziemi przykuta stanęła i oczyma, w których to gniew, to żal iskry zapalał, na ogród za oknem otwartem zieleniejący patrzała.

Po ogrodzie...

Jakaś to księżniczka, czy dama wielkoświata lub dworska, w szacie białej, czarnemi centkami nakrapianej, srebrną obręczą przepasanej, przechadza się po tym biednym ogrodzie, bez alcy cienistych, bez dróg grasowanych, bez wyszukanych kwiatów? A może jest to jakieś zjawisko zaziemskie, które na chwilę tylko tu zleciało, bo wśród starych drzew owocowych i agrestowych krzaków, miejscami wśród zielsk dzikich przesuwa się powoli, niedbale, nigdzie nie dążąc, na nic nie spoglądając, czasem tylko białą rączką zrywając z krzaku listek, który wnet roztargnionym czy zniechęconym gestem z palców wypuszcza. Na wydeptanej wśród trawy ścieżce stópki, ładnymi pantofelkami okryte ostrożnie stawia, aby niemi jakiego kamyczka czy twardej kępki trawy nie dotknąć, ale że sukni białej w czarne kropki nie podnosi, więc malowniczo wlecze się ona za nią po trawie, jeszcze tu i owdzie połyskującej rosą, połyskuje też na niej opasująca kibić taśma srebrna i w jasnym złocie włosów kunsztownie utrefionych jak ogniska blasków iskrzą się gwiazdy z polerowanej stali wyrobione.

Pani Teresa w krótkiej, szarej spodnicy i muślinowej chuście na głowie, z twarzą od potu błyszczącą i żyłami tak od upału nabrzmiałemi, że zdawało się iż wnet krew z nich wytryśnie stała przed otwartem oknem, jak w ziemię wryta i patrzała, aż skoczyła do okna i tak głośno, że po całym ogrodzie się rozległo, zawołała.

— Inka! Inka!

Strojna główka księżniczki, czy zaziemskiego zjawiska biała jak lilia twarzyczkę obróciła ku domowi i głosik srebrny, delikatny, słodki odpowiedział.

— Idę, mamciu, idę!

Była białą jak lilia, w każdym poruszeniu wiotkiej kibici delikatną i łagodną, doskonale nakreślony owal jej twarzy przy-

pominał Madonny na obrazach malowane, usta porównać można było do delikatnie zaróżowionego płatka róży, oczy pod złotemi rzęsami, i długimi, sennemi jakby powiekami, miały łagodny blask ciemnych szafirów, marzące spojrzenia wygnanego na ziemię anioła.

Gdy w ubożuchnej izdebce, bawialnią zwanej, stanęła, zdawać się mogło, że pomiędzy białe tynkowane i nieco szarzące jej ściany, pomiędzy stare, z żółtego drzewa sprzęty, na podłogę z grubych desek, pod sufit z ciężkich belek — anioł zleciał.

— Dzień dobry, mamciu!

I pogarnęła się ku zgrubiałej, czerwonej, na grubą, szarą spódnicę opuszczonej ręce matczynej, którą jednak p. Teresa porywczyzm ruchem cofnęła.

— Nie całuj mię w rękę! Nie na czułości cię zawołałam! nie! Cóżes się tak, ledwie wczoraj do domu powróciwszy, za królownę zaraz przebrała? Sukienka najlepsza ze wszystkich, jakie masz, dlatego pewnie sprawiona, abyś ją rankami po mokrej trawie ciągała! I skąd u ciebie te błyszczące srebrności wzięły się..., ten pasek, te szpilki, coś ich sobie we włosy ponatykała... Ja ci ich nie dałam, sama pewno nie kupiłaś... aż oczy mię od nich bolą! Skąd je wzięłaś?

Gdy p. Teresa mówić zaczynała, rysy młodej dziewczyny na mgnienie oka zmęciły się i rozedrgały, a oczy ostro błysnęły. Ale było to tylko mgnienie oka, po którym z anielską łagodnością w głosie i uśmiechu, odpowiedziała.

— Ten pasek, moja mamciu, od Klemuni Konieckiej dostałam, a te szpilki darowała mi Tosia Awiczówna...

— Także żebraczka! — zawołała p. Teresa, — jak Boga kocham, żebraczka! Od człowieka do człowieka chodzi i jałmużnę do worka zbiera... Nie wstyd ci te błyskotki od bogatszych panien przyjmować, aby cię za pozbawioną ambicyi...

— To są, mamciu, przyjaciółki moje i mama sama...

Ale p. Teresa skończyć jej nie dała i czerwone ręce w pięść zaciskając, mówiła, raczej krzyczała.

— Oj, jakbym ja ci tę fryzurę na głowie rozczesala, gładko w warkocz prosty zaplotła. Jakbym ja z ciebie te błyszczadła

wyżebране i tę sukienkę świąteczną a u dołu już zaflądraną ściągnęła i w perkalową spódniczkę cię ubrawszy do roboty jakiej zasadziła! A prawdę powiedziawszy i z temi przyjaciółkami twemi zrobiłabym to samo. Żałobę narodową noszą! Oprócz czarnego i białego kolorów żadnych nosić nie wolno, złotych rzeczy nosić nie wolno... ale zato te czarne i białe gałganki popatrzyć tylko jakie i zamiast złotych cacek srebrne, stalowe... Także żałoba! po ojezyźnie... po wolności... po tych, co na pewną prawie śmierć idą, żałoba... A ty, panny światowe i z posagami naśladujesz... to, co one w salonach i parkach swoich, ty, w tych izbach i pomiędzy temi pokrzywami robisz... o tem tylko myślisz, żeby we wszystkim do nich być podobną, i w stroju, i w minach i... w nic nie robieniu...

Aż zachłysnęła się z zapału, aż zachrypla od krzyku i na chwilę umilkła, a głos dziewczęcy, jednostajnie zawsze cichutki i delikatny zaczął znowu.

— Mama sama...

Zatrzęsła się p. Teresa od dwu tych słów, po raz już drugi usłyszanych. Śnać dotknęły w niej one jakiegoś punktu, który niepokoił, bolał...

— Co: ja sama? — krzyknęła. — Dlaczego powtarzasz ciągle: mama sama? Co: ja sama?

— Mama sama chciała, abym ja do tych panien była podobna, kiedy mię na edukację do państwa Awiczów oddała...

Prawda! To prawda! Raz jeden p. Teresa pozwoliła sobie unieść się próżnością, próżnością za to słiczne, nad życie kochane dziecko swoje, zapragnęła dla niej upiększeń innych jeszcze niż te, którem przyoblekła ją sama natura i gdy ta pocziwa Awiczowa powiedziała raz do niej: oddaj mi Michalinkę (jeszcze wtedy Michalinką ją wszyscy nazywali) na czas jakiś... z moją Tosią niech uczy się przy guwernantkach... nie wytrzymała, oddała... a teraz ona mówi: mama sama... I sprawiedliwie mówi...

Odwróciła się plecami do córki, twarzą do okna, w rękach, które ochłoneły już od upału i przybladły mięła końce muslinowej chustki i głęboko zmęczonym wzrokiem patrzyła w ogród. Poczucie sprawiedliwości usta jej zamknęło. A w oczach i po ustach Inki przemknął figlarny, może nawet złośliwy uśmieszek, lecz

zniknął natychmiast, gdy z jednostajną zawsze słodyczą mówić zaczęła.

— Ja, moja mamciu, do innego niż tu otoczenia, do innego spędzania czasu przywykłam... ja mam w sobie takie potrzeby, takie gusta... trochę subtelniejsze, wyższe... I czyż to moja wina, że jestem biedną dziewczyną...

Głowa p. Teresy w sztywnej białej chuście tak nisko opadła, jakby ją kto z tyłu czaszki ku dołowi popchnął. To prawda! Cóż ona winna temu, że ojciec majątek roztrwonił, a matka pozwoliła jej nabrać tych potrzeb i gustów, które przy majątku, to jeszcze jako tako... choć zawsze... ale bez majątku... Jezus Marya! A toż co? Co ty robisz, Inka? Ja gniewam się... daj mi pokój!

Bo Inka po nagłym umilknięciu matki, głowę jej na pierś opadającą ujrzawszy, ruchem jak myśl szybkim ku niej poskoczyła i obu ramionami grubą kibić jej objąwszy, śliczną twarzyczkę swą do jej ramion, piersi, policzka przytulać i pocałunkami okrywać je zaczęła.

— Niech mamcia nie gniewa się, moja mamciu, niech się już mamcia na mnie nie gniewa! Szpilki te z włosów powyjmuję, pasek z siebie zdejmę... tylko sukni tej nie zdejmę, bo jak zbrudzi się, to Teleżukowa wypierze...

— Sama wypierzesz! — groźnym jeszcze tonem burknęła p. Teresa, ale rozgniewany przedtem wyraz jej twarzy topniał, zniknął.

— No dobrze już, dobrze! Sama wypiorę! Alboż to raz prałam... sobie i nie sobie... Tylko już teraz niech zgoda będzie... moja mamciu złota, brylantowa, kochana...

Łaszczącymi się, miękkimi, kocimi ruchami przytulała się do matki, okręcała się dokoła niej, ze śliczną główką w tył wygiętą, swemi szafirowemi marzącami oczyma w twarz jej patrzała...

Ach te jej oczy szafirowe, ze spojrzeniem marzącem, czułem, z pod długich, jakby sennych, jakby rozkoszą wiecznie upojonych powiek. Oj, te jej tak niegdyś namiętne, bezpamiętnie kochane ojcowskie oczy! Co one jej przypominały! Jakie chwile, jakie złudy, jakie upojenia nigdy niezapomniane one jej przypominały! Wydało się w tej chwili p. Teresie, że ona to dziecko, to właśnie

najwięcej, najnamiętniej z pomiędzy wszystkich swoich dzieci kocha i sama nie wiedziała jak, kiedy ramiona jej w szorstkich rękawach kaftana, otoczyły łabędzią szyję córki, a usta pocałunkami osypywać zaczęły czoło alabastrowe i tę fryzurę jasnozłotą, którą przed chwilą tak bardzo pragnęła rozczesać i w prosty warkocz zapleść. Inka śmiała się, a p. Teresie ten cichutki, pieśzczotliwy, wesół śmieszek wpływał do serca strugą roztopionego miodu i w głowie obudzał myśli: niech już tam! młodzieńcze to takie śliczne, łagodne, kochane!

W tem tuż za oknem ozwały się dwa cienkie głosiki dziecinne.

— Mamuchno! Mamciu! Mamusiu!

I jednocześnie młodzieńczy głos męski, wołał.

— A cóż to za czułości i romanse mama tu z Inką wyprawia! Aż zazdrość bierze patrząc... No, czy ja nieprawdę czasem mówię, że mama Inkę najwięcej z nas wszystkich kocha!

Szeroki, błogi uśmiech rozwierał usta i całą twarz p. Teresy oblewał; pierś jej zatrzęsała się od głośniego szczęśliwego śmiechu.

— Nieprawda! — wołała, — nieprawda! bo ja z wami wszystkimi jestem kobietą nieszczęśliwą, nie wiedzącą nigdy, które z was więcej, a które mniej kocham... Raz zdaje się, że te, a drugi raz, że tamte i na które patrzę, te zdaje się więcej kocham... Ot, wieczne kłopoty z wami!

Julek tymczasem dwie małe siostry z ziemi podniósł i na otwartem oknie posadził, a one wnet uczepiły się sukni matczynej, rozsypując po niej przyniesione z pola pęki traw i kwiatów. Szczebiotały przytem, o przechadzce ze starszym bratem odbytej opowiadając, a i on także coś tam o runi zbożowej, o trawach na łące mówił. Blask słoneczny obejmował ich wszystkich płaszczem złotym, kwiaty polne pachniały, pod okapem dachu świegotało na zabój ptactwo, na ramieniu p. Teresy iskrząc się stalowymi gwiazdami w złotych włosach z wdziękiem opierała się śliczna główka Inki... A sama p. Teresa kwiatami polnemi osypana, słonecznym blaskiem oblana, miała pozór istoty żywcem do nieba wziętej i w raju przebywającej. Jednak po chwili zaniepokoiła się nieco i oczyma zaczęła po ogrodzie czegoś szukać.

— Gdzieś tam w ogrodzie, Janek i Olek...

Julek śmiechem wybuchnął.

— Cha, cha, cha! Mamci do pełnego romansu Janka i Olka już zabrakło!

Do sióstr malutkich zwrócił się.

— Niech robaczki polecą, chłopców wyszukają i tu przyprowadzą...

— A pewno, pewno! — rajsko śmiała się p. Teresa — cóż to oni gorszego od was? Co gorszego?

Robaczki już z okna ku ziemi swoje nagie, długie, ogorzone nóżka spuszczały, aby na wyszukanie brata lecieć, gdy z drugiej strony domu, na dziedzińcu, rozległ się turkot zajeżdżającej przed ganek bryczki. Inka drgnęła.

— Pan Gustaw przyjechał!

— Skąd wiesz, że to p. Gustaw?

— Wczoraj widziałam go...

Julek nagle śmiać się przestał.

— Tak, mam, to on być musi... Wczoraj już spodziewałem się...

Odbiegł na spotkanie gościa, odbiegła włosów swych dłońmi dotykając i do sąsiedniej izby wśliznęła się Inka, robaczki w zieleni ogrodu zniknęły, a p. Teresa przez parę minut sama jedna stała jeszcze u otwartego okna jak skamieniała, jak ze snu rajskiego obudzona do rzeczywistości strasznej... Przestрах spędził z jej twarzy gorące przed chwilą rumieńce, bólem skrzywiły się usta rajsko przed chwilą roześmiane.

Pan setnik przyjechał...

I zaraz po wyskoczeniu z bryczki, Julka pod ramię wzięwszy, do ogrodu z nim poszedł. Tam, cicho i żywo rozmawiając, chodzili po dzikich trawach i wydeptanych ścieżkach, aż z za krzaczystej zarośli, która ogród owocowy, od warzywnego oddzielała wychodząc, ujrzeni naprzód Janka, który na ziemi siedząc zdawał się zatopionym w czytaniu rozwartej na kolanach książki, a potem Olka, leżącego na trawie, z twarzą ku niebu obróconą i tak śpiącego, że aż z lekka sobie pochrapywał. Gdy koło nich przechodzili, Janek przed gościem czapki uchylił i wnet znowu w czy-

taniu się zanurzył, a Olek nie tylko nie obudził się, ale głośniej jeszcze zachrapał. Minęli ich, Julek na chłopców uważnie popatrzył.

Brzegiem warzywnego ogrodu przez chwilę jeszcze szli, aż w inną stronę skręcili i pomiędzy drzewami zniknęli. Wtedy Olek porwał się z trawy i do starszego brata przyskoczył. Błękitne oczy zdawały się mu aż wyskakiwać z orbit, głos trząsł.

— Słyszałeś, Janek? słyszałeś? Już, ju... ju... jutro wy... wy... wychodzą...

Ale Janek gniewał się czegoś na brata.

— Głupi jesteś, z tem udawaniem śpiącego... czyż kto może uwierzyć, że o tej porze... A Julek pewno domyślił się, że udajesz...

Krépy, pyzaty Olek wyprostował się jak rozniewany kogut.

— No i co jeżeli domyślił się? Czy to on mój pan i władca! A co usłyszałem za to leżąc przy samych krzakach, jak oni za krzakami szli, to usłyszałem... A ty nie słyszałeś, nie wiesz...

— Czego nie wiem?

— A tego dokąd pójdą...

Zerwał się na równe nogi Janek.

— A tyś słyszał? wiesz? dokądże? dokąd?

— Aha! A scyzoryk, ten nowy od Julka, oddasz mi? to powiem.

Janek do kieszeni sięgnął i bohaterskim ruchem przedmiot żądany bratu oddając, tonem wzgardliwej nieco wyższości rzekł.

— Masz, — i mów.

Wtedy Olek ku samemu jego uchu nachylony, szepnął.

— Do lasów horeckich...

I w tejże chwili zakłopotał się czegoś, czy zawstydził.

— Ale ten scyzoryk, — zaczął — to weź go sobie, Janku, napowrót... ja tylko żartowałem... ja nie sprzedawczyk, ani już taki cheiwiec z pod ciemnej gwiazdy...

Na płacz mu się prawie zabierało.

— Mazgaj jesteś i tyle — odparł Janek — scyzoryk i bez tego jużbym ci dziś darował. My teraz inne scyzoryki mamy, prawda?

Ot, pogadajmy jak zrobić, żeby cel nasz osiągnąć. Cel nasz wielki i w tem tylko bieda, że my jesteśmy mali...

Mali! — powtórzył — i zaśmiał się z ironią.

— Ehe! — dodał Olek, — można być małym, a odwagę mieć większą, niż u niejednego z wielkich. Ale oni tego nigdy nie zrozumieją...

— Oni nas nie rozumieją i nigdy zrozumieć nie będą mogli! My dla nich robaki... niewolniki...

Tak wyrzekał chłopak o szczupłej, smagłej, wrażliwej twarzy i wysmukłym, wybujałym wzroście. Sposepniał przytem, schmurzył się, zmarszczyło mu się czoło pod gęstwiną krótko ostrzyżonych włosów. Olek blisko przy nim na trawie usiadł, ramię na szyję mu zarzucił i pocieszał.

— Ja z tobą! My razem... nie tylko bracia, ale i przyjaciele... Nieprawdaż, Janek!

— Tak, tak, Olku! — ożywił się i rozplómił Janek; — na walkę, na czyn męzny, choćby na śmierć razem, ale nie na hańbę, nie na to hultajskie życie i gnucie wtedy, gdy inni...

Pan Gustaw tymczasem, po skończonej rozmowie z Julkiem, witał na małym ganku domu p. Teresę i jej córkę. Zdziwiła się śliczna Inka na widok zamysłonej i milczącej twarzy sąsiada, zawsze wesołego, mównego i przez głowę jej zaraz przemknęła myśl: brzydko dziś uczesałam się i w tym kołnierzyku nie bardzo mi do twarzy, — dlatego pewno taki obojętny!... Ale p. Teresa zupełnie innej przyczynie zmianę w p. Gustawie zaszła przypisać musiała, bo jakby nogi posłuszeństwa odmówiły, tak ciężko na ławce usiadła i daremnie drżenie głosu powstrzymać usiłując gościa, aby koniom do stajni odejść pozwolił i do obiadu z nimi zasiadł, prosić zaczęła. Ale on bardzo czegoś roztargniony i do rozmowy nieusposobiony brakiem czasu wymawiając się już chciał ją zegnać.

— Także pośpiech! — wesołej swej rubasznosci próbując, zawołała, lecz nie udała się rubasznosc, ani wesołość i już tylko zgniecionym jakby głosem poprosiła, aby choć trochę, choć chwilczkę z nimi posiedział.

Chciała widocznie powiedzieć mu o czemś, czy o coś go

zapytać, a on na zmaczone oczy jej i twarz przybladłą patrząc, posłusznie na ławce usiadł.

— Ot, — zaczęła — chciałabym wiedzieć zdanie pana... bo Konieccy młodzi niedawno tu do Julka przyjeżdżali... obaj: Henryk i Artur i mówili o interwencji mocarstw, że będzie... że napewno będzie... A pan jak o tem myśli? Bo widzi pan, ja kobieta prosta, pracująca, nie wcale o takich rzeczach... a jednak to jest rzeczą bardzo ważną ta interwencya... więc jak pan, panie Gustawie, o tem myśli?

Młodzieniec wysmukły, złotowłosy z ładnym owalem twarzy niewieściobiałej i błękitnymi oczyma, dziwnie zamysłonemi dziś i razem rozgorzałemi, zmieszał się nieco i po chwili z wahaniem w głosie odpowiedział.

— Czy ja wiem, droga pani? Mówią niektórzy, że ta interwencya będzie... Młodzi Konieccy w to wierzą, a ojciec ich nie wierzy. I wszyscy tak samo: jedni wierzą, a drudzy nie wierzą. Jednak więcej jest wierzących, niż niewierzących... to może i będzie. Ja tam nie wielki polityk i nie wódz, tylko żołnierz... wodzowie powinni rzeczy takie do dna zgruntować i wszystko na pewno obliczyć... a my co? Na nas wołają: idźcie! Serce i honor mówi nam: iść! Idziemy i na... Bożą wolę!

Ręce p. Teresy kurczowo się zacisnęły.

— O, Boże! — zaszepotała — i na młodego sąsiada zapatrzyła się z jakąś czci pełną pokorą. Znała go od kiedy dzieckiem i pacholęciem był, widywała na polowaniach, na balikach, na koniakach ślicznych, u boku pańienek najładniejszych... a teraz... taki młody, — dwadzieścia cztery lata ma chyba, nie więcej i bogaty... porzuca wszystko, idzie, a tak mu oczy goreją i czoło białe wznosi się mężnie, dumnie, gdy mówi: idziemy! Szacunkiem głębokim, miłością pierś rozpierającą zdjęta z ławki powstała i gestem błogosławiącym ramiona przed siebie wyciągając rzekła.

— Niechże wam Bóg błogosławi... Niech błogosławi!

I miała w tej chwili p. Teresa »formę«, nabyła w tej chwili formy niewiasty mężnej, która trwogę własną pod nogi swoje wziąć, a rzeczom podniebieskim, wiecznym, wielkim, błogosławić umie.

Pan Gustaw w obie błogosławiące ręce ją całował i razem żegnał się. Czasu nie miał, odjechać musiał. Ona cicho go zapytała: kiedy?

— Jutro! — równie cicho odpowiedział.

Słowa te dosłyszała Inka i gdy p. Gustaw rękę na pożegnanie jej podawał, anielsko w twarz mu patrząc, wyszeptwała.

— Konfederatkę pana sama, własną ręką uszyłam... szafirowa z białym barankiem...

Uśmiechnął się i podziękował, ale obojętnie jakoś, z roz-targnieniem. Anielskie spojrzenia tak pięknej nawet jak Inka dziewczyny, dziś władzy nad nim nie miały. Ona spostrzegła to i różowe usta jej wydeły się jak u zmartwionego dziecka, a przez głowę przewinęła się myśl: jacy oni teraz zrobili się nudni!... nieznosni!...

Pani Teresa zaś, jakby nic ważnego nie zaszło i zająć nie miało, już śpieszącym się, szerokim swym krokiem do domu wchodziła.

— Głodni musicie być... pora jeść obiad... pójdę pomódz Teleżukowej, aby prędzej było.

Zaledwie odeszła, Inka obróciła się ku Julkowi, który milcząc przy słupie ganku stał i wdzięcznie ku niemu pochylona, wpatrzyła się w niego z wyrazem takiego podziwu, jakby z nieba tylko co zleciał, jakby nadprzyrodzonym zjawiskiem w tej chwili się jej wydawał, aż nagle ramiona ku niemu wyciągając, zawołała:

— O bohaterze mój! Bracie! Jakaż to duma, jakie szczęście, mieć brata bohatera, brata który...

Nie mogła dokończyć, bo on śmiejąc się za podniesione ręce ją pochwycił i ku dołowi je skłaniając, trochę wesoło, a trochę z irytacją w głosie mówić zaczął:

— Nie pleć, Inka! nie deklamuj! Boże drogi! Toż ty i mnie już nawet kokietować zamierzasz! Dla wprawy zapewne, co? Ale daj pokój! Teraz na takie rzeczy nie pora! Ot lepiej pomówmy z sobą poważnie. Mam z tobą o czemś poważnem do pomówienia... chodź!

Pociągnął ją ku ławce i gdy obok siebie usiedli, z głową ku jej głowie pochyloną mówić zaczął.

— Słuchaj, Ineczko, to co ci teraz powiem ważne jest, jak obowiązek najświętszy, jak sumienie, jak Boskie i ludzkie prawo. Kiedy... odejdę, mama będzie bardzo niespokojna, bardzo smutna... Razem ze mną odejdzie od niej najstarsze jej dziecko, już zupełnie dojrzałe, które przyjacielem jej mogło być, pomocnikiem, a w potrzebie opiekować się nią i ją bronić... Po mnie, ty przy niej zostajesz... najstarsza... Moja Inko, przejmij się ty tą myślą, że pociechą, pomocą, a w razie... nieszczęścia jakiego... wsparciem i opieką jej być powinnaś...

Tu Inka mowę mu przerwała.

— O, Julku! Ja kochać umiem, ja kochania pragnę, ja poświęcenie uwielbiam i u nóg mamy leżeć będę...

— Znowu deklamujesz! Któż tu o poświęceniu i leżeniu u nóg mówi... To twój obowiązek, Inko. Bo pomyśl tylko, czem mama dla nas była... jak kochała nas, jak za nami przepadała... Gdyby nie jej praca, zabiegi, starania bylibyśmy w nędzy i w ciemnocie pograżeni... Ona to wyżywiła nas i wykształciła... Teraz, Inko, w tem ciężkiem dla niej przejściu, ty jej choć w części wypłać się z długu wdzięczności... Nie o leżeniu u nóg jej idzie, ale nie martw jej niczem, pomagaj jej, młodszymi dziećmi zajmij się... strzeż, aby jej nie martwiły... a szczególnie Janka i Olka... miej na oku...

W sieni za otwartymi drzwiami ozwało się wołanie p. Teresy:

— Dzieci! dzieci! na obiad chodźcie!

Ale teraz Inka, przerywając mowę brata, z twarzą smutnie spuszczoną mówiła.

— Mój Julku! ty nie rozumiesz mię, ty mię nigdy zrozumieć nie chciałeś... Ja przecież niczem mamy nie martwię... ja kiedy jestem w domu, to wszystko, co trzeba robię, choć te wieczne zachody i kłopoty, całe to życie w Leszczynce... Czyż ty, Julku, nie rozumiesz tego? Moje myśli, moje marzenia... Czyż ty tego nie rozumiesz? Mnie trzeba innego życia...

— Ależ rozumiem, rozumiem, — przerwał Julek i wstając z ławki, mówił jeszcze. — Po deklamacyi nastąpiła deklinacya

zaimka osobowego: ja, mnie, dla mnie... Ej! nie wysoko, Inko, i niedaleko lecą myśli i marzenia twoje! Nic tu mówienie żadne nie pomoże, bo serduszek twoje uszek nie ma. Chodźmy lepiej na obiad!

Wkrótce po obiedzie Julek braci młodszych zawołał, aby z nim na przechadzkę w pole poszli. Chłopców, gdy to usłyszeli, aż oczy zabłyszczały i Olek nagle, jak piwonია zaczerwieniony, do Janka, szepnął:

— Może nam coś ważnego powie, może na koniec przekonał się, że my nie... będziemy i przynajmniej wiedzieć o wszystkim powinniśmy!

A Janek z przybladłą nieco twarzą wyprostował się i odpowiedział.

— Może powie, abym z nim szedł.

Olek zatrząsł się cały.

— A ja? a ja? a ja?

Starszy z uczuciem wyższości zrazu na młodszego spojrział, ale potem coś tkliwego zaświeciło mu w oczach i ruchem opiekuńczym dłoń swą szczupłą i nerwową na głowie Olka położył.

— Bądź spokojny, Olek! Ja cię nie opuszczę... ja jemu powiem, że albo my obaj z nim, albo... bez niego!

Olek uczynił z ramion dwa łuki nad głową rozwarte i wysoko nad ziemią dwa razy podskoczył.

Z za węgla domu Julek wołał.

— Czemuż nie idziecie, chłopcy? Chodźcie prędzej!

Poszli drogą polną ku wiosce szarzejącej w oddali, za wioskę, daleko...

Po dwóch, albo i trzech godzinach chłopcy z długiej przechadzki powracali, ale bez starszego brata. Niedaleko dworku spotkali się z Teleżukiem i Julek zawróciwszy się z nim ku lasowi poszedł, braciom mówiąc, aby bez niego szli do domu.

Zamyśleni byli obaj i wydawali się bardzo czemś zmartwionymi. Po odejściu Julka nie zrazu do siebie nie mówili, tylko Janek zniecierpliwionym ruchem nogi co moment kamyki z drogi zrzucał, a Olek z policzkami, jak do rozdmuchiwania samowaru wydeętymi, na podobieństwo miecha głośno sapał i czasem wzdychał.

Po chwili starszy ze zniecierpliwieniem w głosie sarknął.

— Czego tak sapiesz i wdychasz... aż miech kowalski w oczach staje! Nic tu wdychanie nie pomoże, zastanowić się trzeba, pomyśleć...

— Aha! — jęknął młodszy, a starszy z zamyśleniem mówił dalej.

— Bo nie można powiedzieć, aby Julek zupełnie słuszności nie miał... Mama jest bardzo ząną kobietą i ciężko na nas pracowała i pracuje. Dla takich matek dzieci mają obowiązki, to prawda, temu zupełnie zaprzeczyć nie można... co?

W odpowiedź Olek zaszeptał.

— Ja mamę... bardzo kocham...

A Janek z powagą wielką zaczął znowu.

— Przypuśmy, że o kochanie tu nie idzie... i ja do mamy przywiązany jestem... bardzo... ale tu dwie miłości z sobą walczą... rozumiesz? Przecież i Julek mamę kocha, a jednak... widać w nim inna miłość tę zwyciężyła, a w takim razie, dlaczegóżby i w nas zwyciężyć nie miała... Ale tu, widzisz, idea obowiązku zachodzi... zrozumiej to... i-de-a — rzecz najważniejsza w świecie. Julek przemawiał do mnie w imię i-de-i obowiązku, tego obowiązku, który nam rozkazuje...

— Ehe! — tryumfująco jakoś zawołał Olek — a dla ojczyzny, to obowiązku niema? a? Jeżeli tu miłość i tam miłość, to i z obowiązkiem tak samo... tu obowiązek i tam obowiązek... A z czegośmy powstałi — prawil dalej, krępą postać swą prostując i pyzając, rozrurienioną twarz wysoko podnosząc, — jeżeli nie z tej ziemi? co nas ogrzewało, jeżeli nie to słońce? Skąd wszystkie uczucia i myśli nasze, jeżeli nie od tych przodków, którzy... no, ty sam wiesz, co to ojczyzna! Wszystko, co było i co jest... z czego nasze ciało i nasza dusza... ty sam wiesz. A my niby to obowiązków dla niej nie mamy! Śmiech powiedzieć! Jeżeli pomiędzy dwoma miłościami okropny los nas postawił, to tak samo i między dwoma obowiązkami. A? czy nie tak?

— Tak, — po chwili zastanowienia zgodził się Janek, — i ty to bardzo dobrze wyrozumowałeś... Nawet nie spodziewałem się... ale tem gorzej dla nas. Jesteśmy postawieni w położeniu tragicznem!

Na bladej, nerwowej twarzy jego i w piwnych, błyszczących oczach rozlał się wyraz cierpienia. Olek, tak wymowny przed chwilą, zamilkł i smutnie zwiesił głowę. Z chmury nabrzmiałej błyskawicami i gromami, która nad krajem całym stała, oderwał się ciemny obłok, spłynął na te głowy dziecinne, wkradł się pod ich czaszki wichrem szumiącym, ogniem błyskawicowym.

Przed samą już bramą dworku, Olek podniósł głowę i rzekł.

— Brutus dwóch rodzonych synów zabił...

Janek pomyślał chwilę.

— To prawda; ale synowie Brutusa zdrajcami ojczyzny byli, a mama....

Olek dokończyć mu nie dał.

— I Timelebn zabił rodzonego brata...

— Brat Timeleona tyranem był, a mama... Spróbujże zabić mamę! czy mógłbyś... a?

Olkiem, jakby dreszcze lodowate od stóp do głowy wstrząsnęły i aż krzyknął.

— Co ty wygadujesz, Janek! Wiesz, ty czasem bywasz okropny...

— Ano widzisz! Na nic się nam nie zdadzą Brutusy i Timeleony. Położenie jest zupełnie inne i na świecie każdy za siebie myśleć musi. Musimy, Olku, wiele zastanawiać się i myśleć... Julkowi całkowicie słuszności odmówić nie można.

— A dlaczegoż on sam... — zaszeptał jeszcze uparty Olek, ale zobaczyli idącą naprzeciw nich matkę, i tak, jak nigdy przedtem, pogarnęli się ku niej śpiesznie i pieszczotliwie. Nawet Janek, do pieszczot zazwyczaj nie skłonny, z powagą, opiekuńczym jakby gestem, ramieniem ją otoczył. Ale ona wyraz twarzy miała roztargniony i oczy głęboko zmaczone. Z roztargnieniem zapytała.

— A gdzież Julek?

Powiedzieli, że z Teleżukiem ku lasowi poszedł.

— No to idźcie do domu, a ja na spotkanie Julka pójdę...

Wiedziała dlaczego z Teleżukiem poszedł i wiedziała, że jeszcze do domu powróci, ale serce jej paliła taka żalność i tęsknota, że w domu, ani dokoła domu miejsca sobie znaleźć nie mogła i teraz na spotkanie syna przez pola jak wicher pognała.

aby go choć o ćwierć godziny prędzej zobaczyć... przez tę ćwierć godziny jeszcze na niego patrzeć...

Powrócili razem kiedy już dobrze po zachodzie słońca było i p. Teresa zaraz do Teleżukowej powiedziała:

— Daj dzieciom wieszczę i małeńkie niech po wieszczę zaraz spać idą. My z Julkiem...

Niedokończywszy poszła z synem do swego pokoju, którego drzwi z wewnątrz na zasuwki pozamykała.

I nikt nie widział, ani słyszał, co oni tam z sobą przez ostatnie godziny mówili, jak się żegnali...

Inka na małym ganku siedziała, z twarzą na dłoń opuszczoną, z poczuciem krzywdy ponoszonej w sercu. Dotąd wszystko, co się wkoło niej działo, zajmowało ją, cieszyło, nawet wyobrażnię jej rozpalało, tak, że otaczającym wydawać się mogło i ona sama najmocniej przekonaną była, że uczucia powszechne są również i jej uczuciami. Przy zbiorowem dokonywaniu przygotowań rozmaitych, w liczmem gronie rówieśnych lub nieco zaledwie starszych od niej kobiet, bawiła się wybornie; ruch gorączkowy, który w okolicy zapanował, stwarzał liczne sposobności do zebrań gwarnych, do rozmów ożywionych, wśród których jeżeli nie czem innem, to pięknością swoją jaśniała i pociągała. Ale od pewnego czasu zaczęła uczuwać, że w oczach ludzkich przygasa, maleje, że młodzi panowie zajmować się nią przestają, że wogóle, coś w powietrzu otaczającym ogromnie ją przerasta, gasi, rzuca jakiś cień czy tłumik na jej dziwnie bujne i niecierpliwe nadzieje, pragnienia. I oto powróciła do Leszczyнки i ani wie kiedy znowu wyjechać stąd będzie mogła... a tu zawsze nie raj, oj! nie! lecz teraz gdy Julek odejdzie i takie zmartwienie w domu zapanuje... I za co to wszystko na nią spada? Dlaczego to właśnie jej młodość ma być przytłoczona, zatruta temi wszystkimi powagami, obawami, utrapieniami...

Drzwi domu na ganek prowadzące ze stukiem się otworzyły i wypadła z nich p. Teresa, a za nią wyszedł Julek, który zatrzymał się przed siostrą, po rękę jej sięgnął i tak mocno ją uściskał, że aż trochę zabolalo. Głębokiem przytem wejrzeniem w twarz jej popatrzał, ale ani jednego słowa nie wyrzekłszy zbiegł

z ganku, dopędzając matkę, która już przez dziedziniec gnała ku stajni, przed którą Teleżuk konia do małego wózka zaprzęgał. Gwiazdy na niebie świeciły...

Inka powoli do wnętrza domu weszła. Jakże inaczej, o! jakże inaczej pożegnanie z bratem sobie wyobrażała! Gdy przedtem na myśl jej przychodziło, że ono kiedyś nastąpi, nie wiedzieć dlaczego przed wyobraźnią jej stawał rycerz, z pękiem piór nad głową, który siostrę do piersi przycisnął, mówiąc do niej o jakichś rzeczach wzniosłych, poetycznych... A tu bez słowa, z tem tylko uściśnieniem ręki, takim silnem, że aż pierścioneł, który od Tosi Awiczówny w prezencie dostała, boląco jej w palec wpił się... I ten jednokonny, brzydki wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie...

Wózek z Teleżukiem w baraniej czapie na głowie za bramą już turkotał, p. Teresa od stajni do domu z powrotem gnała. W połowie dziedzińca nagle stanęła, uczuciem, które знаła już nieco, ale któremu poddać się nie chciała, ogarnięta. Było to takie uczucie, jakby siła jakaś niewidzialna porywała ją i usiłowała na ziemię cisnąć. Zrywało się w niej pragnienie rzucenia się na ziemię, uderzenia o nią czołem, wyszarpania z niej rękami garści piasku, czy trawy. Doświadczała już była tego razy parę niegdyś, niegdyś, w dawnych swoich bólach serdecznych; potem, gdy ze śmiercią tego, który je sprawiał, bóle serdeczne przeminęły i to ją opuściło, a teraz znowu... Ach! z ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić... Ale nie! Nie uczyni tego! Mężną musi być i rozsądną... Jeszcze przecież nie takiego... jeszcze Julek żywy i zdrowy kędyś tam do Działkowicz jedzie... jeszcze może Bóg go tarczą obrony swej... Ach tak! padnie na ziemię i czołem o ziemię uderzy, ale... przed Bogiem, przed Chrystusem na krzyżu...

Znów biedz zaczęła, do domu wbiegła, parę izb przebiegła i w swojej izdebce przed zawieszonym na ścianie krucyfiksem, dużym, starym, który pamiątką po dziadku jej był, zrazu na klęczki, a potem z ramionami rozkrzyżowanymi, jak długa na ziemię upadła.

Gwiazdy na niebie świeciły. Przez małe okno kilka złotych oczu patrzyło na ciemną postać kobiecą, rozciągniętą na ziemi przed bielejącą na czarnym krzyżu postacią Chrystusa. W głębokim zmroku izdebki rozchodził się szmer modlitwy półgłosnej, żarliwej, jak powiewami wichru westchnieniami przerywanej, aż nagle umilkł.

(C. d. n.)

Eliza Orzeszkowa.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Czasy i ludzie. *Kallenbach Józef.* Warszawa, 1905, str. 400.

Zawsze z przyjemnością biorę do ręki książkę Kallenbacha. Ma on ten sposób wykładu naturalny, jasny i przejrzysty, że nawet rzecz suchą potrafi uczynić zajmującą, wręcz powabną. Wrażenie z naukowej wycieczki, krajobraz malowniczy, uczucie wdzięczne, z jakim przeglądał karty upodobanej książki — zanotowane we właściwej formie i na właściwym miejscu naukowego studium czy szkicu, stanowią nie tylko ozdoby rozpraw, ale jakoby żywe tchnienia duszy autora, zbliżają nas ku niemu i napełniają tem złudzeniem, że obcujemy z nim bezpośrednio. A już gdy mówi o ludziach — zwłaszcza znanych nam, sympatycznych lub drogiech (lubi o nich mówić może więcej, niż o książkach), gdy mówi gorąco, z przejęciem, czasem zapałem i uwielbieniem, tośmy gotowi mu nie tylko z przekonania i serca akompaniować, lecz nieraz, porwani jego wymową, gubimy po drodze własne zastarzałe wątpliwości i przyjmujemy jego opinię.

Pierwsze i główne miejsce pośród ludzi, którymi w książce swej zatrudnia naszą uwagę, należy się — i słusznie — Mickiewiczowi. W studiach: »Kraj lat dziecinnych«, »Tło obrzędowe Dziadów«, »Wieczory w Neuilly«, »O malarstwie religijnem«, »Słuchacz Mickiewicza«, nawet po części »Kuratorya Wileńska (1803—1823)« myśl nasza zwraca się za przewodem uczonego ku Mickiewiczowi. Jak w całym zbiorze, tak i w tym cyklu są prace różnej ceny. Są przedewszystkiem drobiazgi, jak »Wieczory w Neuilly« i »Słuchacz Mickiewicza«.

O drugim niema co mówić. Prof. Herminjard w Lozannie, ów

uczeń Mickiewicza, przypomina sobie, że na wykładach poety bywał ścisł, że Mickiewicz mówił dobrze po francusku, że cytował długie ustępy z Cycerona z pamięci — słowem drobnostki, skąd inąd dobrze znane. Natomiast pierwszy artykułik ma swe znaczenie. W liście poety do Odyńca z 20 maja 1828 r. czytamy ustęp taki: »Ale, ale, biegnij zaraz do księgarni, szukaj, kupuj, chwytaj i czytaj dzieło francuskie p. t. *Les Soirées de Novilly*. Są to sceny dramatyczne, podług mnie najciekawsze i najpoetyczniejsze dzieło naszej epoki, może stanowić epokę w sztuce dramatycznej, a przynajmniej obwieszcza nową szczytną formę, różną od greckiej i od Szekspirowskiej; formę prawdziwie naszego wieku, do tegoczesnych zdarzeń najstosowniejszą. Dzieło, o którym piszę, jest dowodem, że się nie mylił i zapowiada z daleka ważne dla poezji odmiany, nowe formy«. Ustęp ten w korespondencji do Odyńca, który wówczas pisał dramat »Izorę«, ostro przez Mickiewicza nicowany, dowodzi niezbitości kilku faktów: po pierwsze, że romantycy nasi myśleli o dramacie narodowym wpierw, nim romantycy francuscy, powtóre, że ani »Ludgarda« ani »Barbara Radziwiłłówna« nie były dla nich ideałem, po trzecie, że »Faust« Goethego, »Prometeusz« Shelley'a i »Manfred« Byrona t. j. granie na górnych strunach duszy ludzkiej, lubowanie się w sytuacjach beznadziejnie okropnych, wstrząsających grozą lub rozkoszujących się bólem — wytworzyło »Izorę« Odyńca, »Edmunda« Witwickiego, a zwłaszcza IV cz. »Dziadów«, ale nie wydawało się Mickiewiczowi ostateczną formą dramatu narodowego, boć »Dziady« kowieńskie i wileńskie zatytułował sam tylko »wido-wiskiem scenicznem«; po czwarte, że specjalnie Mickiewicz najczęściej i najdłużej, najgłębiej i najbystrzej rozważał tę kwestyę. Zrazu oczywiście i on błąkał się w niepewności. Zaklinał Odyńca, aby obrał do dramatu przedmiot historyczny, wymagał od dramatu wielkiego wypadku, wielkich charakterów, wielkich sytuacji, oddzielał słusznie teatralność od dramatyczności, pragnął, aby dramat gwałtownie wzruszał, głębokie pozostawiał wrażenie, polecał Szekspira, Szlegla o Szekspirze, Wilhelma Maistra Goethego, wyznawał, że sam jest zabitym szekspirzystą, że »kilka całych dramatów w ogień wrzucił, kilka w połowie dokonanych i sam dotąd nie może się zebrać na tragedycę«.

Wtedy nagle, jak objawienie, jak zorza poranku zaświtały »Wieczory w Neuilly«. Ustęp zacytowany świadczy o ogromnem wrażeniu, jakie ta książka na Mickiewiczu zrobiła. Nie dziwię się zgoła prof. Kallenbachowi, że koniecznie postanowił ją odnaleźć i poczytując mu za zasługę, że odnalazł, rozświecił bowiem przez to znacznie drogę

twórczych dociekań Mickiewicza nad artystycznym problematem dramatu narodowego, za którego pierwowzór w naszej literaturze XIX. należy uważać III część »Dziadów«. Prof. Kallenbach sprawdził, że autorami książki byli Cavé i Dittmer, że głównie dramat *Malet on une conspiration sous l'empire* t. j. spisek Maleta, który z końcem 1812 r., korzystając z wyprawy Napoleona w głąb Rosyi, omal że nie obalił Cesarstwa, rozpuściwszy fałszywą wieść o śmierci Napoleona, zachwycił Mickiewicza i podyktował mu entuzjastyczną zachętę w liście do Odyńca. Prof. Kallenbach jednak w artykuliku nie wyzyskał swego wynalazku i nie wyjaśnił w zupełności, o ile utwór sceniczny posunął Mickiewicza w drodze poszukiwań nowej formy dramatu. Dotąd Mickiewicz wymagał psychologii, historyczności i wielkości wypadku, charakterów i sytuacji. Lektura »Wieczorów« przekonała go, że dramat niekoniecznie musi być jednolitym, może się składać z szeregu scen, ale musi być aktualnym, to znaczy — historyczny przedmiot dramatu musi pozostawać w duchowym związku z dziejami, a osobliwie z uczuciami chwili. Ponieważ zaś różnicę między teatralnością a dramatycznością niewątpliwie rozumiał tak, jak i Korzeniowski w owym czasie, t. j. żeby przemiany duszy rozwijały podczas rozmowy i przez nią, stąd wynikło, że dramat narodowy w wyobrażeniu ówczesnem Mickiewicza miał się nasycić pierwiastkami lirycznymi. Ogółem tedy do wyjazdu za granicę t. j. do r. 1829, Mickiewicz wyobrażał sobie dramat, jako historyczny, psychologiczny, aktualny, pełen liryzmu szereg scen — i te dwie końcowe właściwości uświadomiły się dzięki »Wieczorom«. Znalazło to zastosowanie w III części »Dziadów« oczywiście z uzupełnieniami, jakie się wytworzyły dzięki nieustannym rozmyśleniom o tym postulatcie w okresie podróży zagranicznej, ale te rozmyślenia już do rzeczy nie należą. Konstatuję raz jeszcze znaczenie odkrycia prof. Kallenbacha i przechodząc do innych studyów, pamięci lub dziełom Mickiewicza poświęconych, uznaję za najładniejsze: »Kraj lat dziecińczych«. Ciepło nakreślona garść wspomnień z wybieżki do Nowogródka i Tuhanowicz. Prawie z rzewnem uczuciem opisuje gruszę w Nowogródku, która za lat dziecińczych Adama już rosła, lipy, otaczające altanę w tuhanowickim parku, sam park, dwór w Cząbrowie, gdzie u państwa Uzłowskich Mickiewicz zapewne bywał. Podaje kilka drobnych dokumentów szkolnych z okresu nauki uniwersyteckiej, ciekawe świadectwo kowieńskiego wizytatora, jak dobrze poeta uczył i jak go uczniowie kochali.

Rodzaj essay'u napisany zajmująco i barwnie. Nie bardzo prze-

konywa tylko to, co się o Maryli mówi i niepotrzebnie — nawet w notach — podana anegdota ze scyzorykiem, która na żart wygląda.

»Tło obrzędowe Dziadów« jest ściśle naukowem studyum folklorystycznym, dowodzącem pokrewieństwa między obrzędem ludowym Dziadów na Białorusi, w Bretanii, u Rzymian, Greków i Indów. Na końcowy wniosek, jakoby zasadniczą ideą poematu mickiewiczowskiego nie mogła być inna, niż podstawna idea samej uroczystości t. zw. duchów obcowanie, zgodzić się nie można ze względu na część trzecią »Dziadów«, która musi być traktowaną w związku z rozwojem duszy narodowej i dziejowych wydarzeń przed listopadowem powstaniem i bezpośrednio po niem. W takim traktowaniu ślady idei-matki zejść na plan dalszy, a na czoło wysuną się idee główne, których dobitnym wyrazem okaże się Widzenie ks. Piotra. Niema też zgoda potrzeby upierania się przy jednej idei »Dziadów«.

Cenną kartę naszej kultury XIX wieku stanowi nader interesujące studyum »Kuratorya wileńska«. Osnute w części na nowym materyale, zużytkowujące umiejętnie i starannie znany, odtwarza ono osobliwie z zamiłowaniem i czcią genialną postać ks. Adama Czartoryskiego, jako kuratora wileńskiego okręgu w latach 1803—1823. Ze studyum wynika jasno, jak zabiegliwie ów poeta, organizator, uczony, polityk, obywatel i filantrop starał się o doborowe grono profesorów we Wilnie, jak znał się na ludziach, jak dbał o uczniów, jak doskonale rozumiał idealne cele i zadania różnych gałęzi umiejętności, jak obejmował orlim wzrokiem szerokie zakresy wiedzy, jak o wszystkim i wszystkich pamiętał, jedno słońce mając przed oczami duszy: dobro narodu. Zgodzić się trzeba w zupełności z prof. Kallenbachem, że taki list, jak z r. 1818 do rektora Malewskiego albo taki zarys programu dla katedry literatury polskiej dają nieocenione świadectwo działalności umysłowej i wszechstronnego pojmowania kuratorskich obowiązków u tego niepospolitego męża.

Druga połowa »Czasów i ludzi« mieści w sobie trzy prace o ludziach: o Krasińskim, Lenartowiczu i Małeckim, drobny frągment o kalendarzu króla Jana, oraz sprawozdanie z przeglądu biblioteki *British Museum*. Pomijam pierwszą i dwie ostatnie.

Pierwsza, zajmując się młodością Krasińskiego, przedmiotem opracowywanym już przez Twardowskiego, Antoniewicza i Tretiaka, byłaby pomimo tego ważną z powodu nowych materyałów, gdyby nie dwutomowe dzieło prof. Kallenbacha. Sądzę atoli, że każdy kto zechce głębiej wniknąć w umysłowy rozwój i młodzieńczą twórczość poety, zwróci się niechybnie do tego dzieła — i uczyni dobrze, tamta mono-

grafia bowiem przewyższa studyum bogactwem szczegółów i malowidłem tła. Wzmianka o Kalendarzu króla Jana — acz zajmująca — jako też rzecz o polskim dziale w księżnicy londyńskiej właściwie z biedą ledwie dadzą się zarejestrować do »Czasów i ludzi«. Pozostają dwa wymienione studia, wywołane okolicznością sprowadzenia zwłok Lenartowicza na Skalkę i jubileuszu Antoniego Małeckiego. Studium o Lenartowiczu nie udało się prof. Kallenbachowi. Miał on w swej pracy głównie czterech poprzedników: Klaczkę, Tarnowskiego, Konopnicką i Kasprowicza. Dwaj pierwsi z punktu estetycznego oceniają twórczość Lenartowicza *cum grano salis*. Kasprowicz i Konopnicka kładą nacisk na strunę ludową. Dla prof. Kallenbacha otwierało się wdzięczne pole dać obraz działalności literackiej Lenartowicza na tle prądów czasu. Należało rozejrzeć się w kulturalnym i literackim życiu Warszawy między r. 1840—50, uczynić to wszechstronnie, niż Kasprowicz, zbadać dążenia cyganeryi, demokratyczne aspiracye Kółek *Biblioteki Warszawskiej* i na właściwej kulturalnej i estetycznej platformie umieścić Lenartowicza, nie powodując się ani *ira*, jak Klaczko, ani też *studio*. Złudzenie, choć piękną ustroi się szatą, nie omyli istoty rzeczy. Nie da się zaprzeczyć, że prawie w chwilach, kiedy Słowacki tworzył swe cuda poezyi, kiedy Krasiński śpiewał »Psalmy« i »Przedświt«, kiedy Ujejski dojmująco żalił się w »Skargach«, Lenartowicz nucił ludowe piosnki, prawda, ładne — jak »Kalinka«, »Dwa dęby«, »Grajek«, »Mazur« i t. p., lecz do wyłącznych i wyjątkowych pochwał dytyrambicznych w porównaniu za małe. One się szeroko spopularyzowały i przyjęły, bo są wdzięczne, rodzime i z serca wyjęte — nie nad to. Tymczasem prof. Kallenbach w pierwszej części studyum nazbyt unosi się w pochwałach. Że poezya Lenartowicza jest jasna i czysta, bez tchnienia zmysłowości — na to zgoda, ale żeby nie było w niej czułościowości i pieszczenia się, temu trzeba zaprzeczyć w myśl zresztą subtelnych i słusznych wywodów Tarnowskiego. Zbyt wygórowane są pochwały »jędrnego i bogatego« wiersza, »doskonałego rytmu rycerskiego«, »wybornej« zgody jego z treścią, a domysł, sformułowany na podstawie »Słówka o Piotrze Duńczyku«, iżby Lenartowicz jeden mógł stworzyć epos średniowieczny. Cytat, na poparcie tego twierdzenia, wybrany niepomysłnie:

Święty Olaw w grobie leży pobok z Kanutem,
Co się rady przyodziewał przedzonym drutem (!)
Rozbudzi się Kanut stary, po mieczu plaśnie,
Po słupach się kęs popatrzy, westchnie i zaśnie. (?)

Obudzi się święty Olaw, słucha a дума,
 Skoczy z grobu święty Olaw z złotego tuma:
 »Idęć, idęć, dobrej myśli bywaj mi, bracie!...
 Obajśma to żywot cały na krucyjacie«.
 Jedną nogę na ląd stawił, na morze drugą,
 Z nieczystymi się duchami nie bawił długo.
 One smoki, co już nawę żarły, już żarły,
 Porozcinał precz na boki święty umarły;
 One grzbiety. najeżone płam złotych sierci,
 Porozpraszał, poroznaszał, pocał na ćwierci.
 I za drzewo jednym palcem jąwszy, by pierze,
 Na niebieskiej cichej wodzie ustawił w mierze (?)
 Potem wiatru sprosił z nieba, by w nawę dmuchał.
 Tak to głosu Bolesława Olaw wysłuchał.

Zachwyca się prof. Kallenbach rytmem bohaterskim tego fragmentu, naiwnością pierwotną słowa, nastrojem Bolesławowym. Nie śmiem wyrokować o nastroju Bolesławowym, bo wyrażenia dobrze nie rozumiem, lecz nie imponuje mi ani doskonałość bohaterskiego rytmu, sztukowanego za pomocą wstawionych bez znaczenia zgłosek, ani też rzekoma naiwność pierwotna słowa. Przyodziewał się przędzonym drutem zamiast kolczugą nie jest to wyrażenie ani poetyczne ani naiwne, lecz śmieszne, jak śmiesznem jest wyrażenie np. w »Mnichu« Korzeniowskiego: okryty twardym włosem, zamiast włosienicą. W cudownem swem działaniu przypomina mi Olaw św. Gwalberta z »Lilli Wenedy«, który podobnie »jednym palcem«, gdy zechciał, ścierał gwiazdy z nieba. Radbym wogóle, aby nasza krytyka sceptyczniej oceniała utwory, podrabiające ducha średniowiecza. Tak niepospolity i na wskroś samodzielny poeta jak Wyspiański przeczuwał nieraz z ogromną intuicyą zamierzchłą przeszłość, przenosił nas w nią z wielką siłą, a jednak któż mógłby dziś przysiądz, czy mnożące się z dniem każdym badania nad średnimi wiekami nie odkryją u niego licznych złudzeń i wątpliwości?

Sam zresztą prof. Kallenbach na dalszych kartach swego studyum, poddając się ujemnej analizie »Gładyatorów« przez Klaczkę dokonanej, zaprzecza swemu domysłowi o możliwości stworzenia eposu przez Lenartowicza. »Do »Słówka« tchu mu starczyło, do »Legendy« także, ale na »Słowo« epiczne zdobyć się nie chciał, a może i nie mógł« (str. 263). Powiedzmy: na pewno nie mógł i będzie zgoda. Niekoniecznie zresztą potrzeba wielkich poematów, aby żyć w pamięci narodu. Natchnionej kartki starczy. »Album włoskie«, »Gładyatorowie«, »Jasełka«, »Słówko« i »Legenda« gasną, ale »Kalina«, »Grajek«, »Za-

chwycenie«, »Błogosławiona«, »Mazur«, a nawet fragmenty z »Bitwy Racławickiej« żyć będą, dopóki życie narodu potrwa.

Biograficzne studyum o Antonim Małeckim należy obok »Kurtoryi wileńskiej« do najlepszych rozpraw w książce »Czasy i ludzie«. Wybornie i plastycznie odsłania się pełne cichej a pełnej pracy naukowej, pełne zasług obywatelskich życie niestrudzonego profesora i badacza. Wszystkie wybitne cechy tego męża: wytrwałość, charakter bez skazy, spokój i roztropność, niezłomność w postanowieniu, niezmordowana skrętność w naukowych dociekaniach, dzielność w doprowadzaniu zamysłów do skutku uwydatnione w sylwetce. Rozbiór naukowego plonu pominięty, ale też to nie leżało w zakresie sylwetki i na tem zyskała jej wypukłość. Dość szeroko — lubo z należytą ekonomią miejsca — odmalowany obraz stosunków krakowskiego i lwowskiego uniwersytetu, gdzie jako profesor działał Małecki, dostarcza doskonałego tła do charakterystyki. Może ona śmiało uchodzić za wzór podobnych rozpraw.

Wogóle »Czasy i ludzie« jest cenną i pożyteczną książką i dozuca niejedną cegłą do budowy krytyki w naszej literaturze.

Antoni Mazanowski.

O Juliuszu Słowackim. W sześciu publicznych posiedzeniach (z dodatkiem rozbioru Balladyny) 1860 r. przez *Cypryana Kamila Norwida*. Wydanie wtóre, niezmienione. Kraków — G. Gebethner i Sp., Warszawa — Gebethner i Wolff. (1909 r.).

W niedługim czasie po »Wyborze poezyi« Cypryana Norwida, ukazuje się »wydanie wtóre« jego odczytów o Juliuszu Słowackim, wygłoszonych w 1860 r. Dziełko to stanowi pierwszy tom wydawnictwa: »Książnica naukowa i artystyczna«.

Rzecz to rzeczywiście chwalebna, bo opublikowanie dzieł wyzerpanych, lub wcale niedrukowanych tego poety pozwoli nam, współczesnym, dojść z czasem do ocenienia tego w każdym razie niezwykłego człowieka. Dotąd jednak, na podstawie tego co znam z Cypryana Norwida nie mogę, mimo najszczerzej chęci, wywnioskować jakoby był on genialnym pisarzem i zdaje mi się, że przecenianie zasług Cypryana Norwida polega w pewnej mierze na dzisiejszej modzie, która każe uwielbiać ludzi uniwersalnych. A takim był Cypryan Norwid poeta, dramaturg, estetyk, krytyk, malarz, rzeźbiarz, sztycharz i t. d.

Nie zmienia swego zdania i tomik »O Juliuszu Słowackim«, bo i tu jest to, co znajdujemy i w innych dziełach Norwida, a miano-

wicie, wiele trafnych, nawet niezwykłych myśli, ale przytem bardzo wiele dziwactw, głupstewek, nonsensików i nonsensów. A do tego język Norwida, który myśl bardzo często zaciemnia, zamiast ją tłumaczyć, i ta nieszczęśliwa mania tworzenia dziwadeł językowych. Prócz tego zasadniczą wadą tej książki jest, że Norwid mówi w niej o wszystkim, a najmniej o Juliuszu Słowackim, jak brzmi nadpis książeczki. Stąd rozczarowanie jakiego doznaje czytelnik.

I tak z sześciu »lekcyi«, pierwsza odpowiada, bez końcowych konkluzji, na pytanie: Co to jest poeta i jakie jego obowiązki? W drugiej lekcyi zastanawia się autor nad Byronem i dochodzi do zupełnie fałszywych wniosków, zowiąc Byrona »Sokratesem poetów« (str. 15) lub twierdząc, że »religijnym był Byron więcej od Kościoła i wieku swego« (str. 21). Trzecia »lekcya« poświęcona ma być pojęciu oryginalności poetów, profetyzmowi ich, naśladownictwu i sposobowi dzieł tychże. Ale zamiast jasnych odpowiedzi na te kwestye, autor zaczyna zastanawiać się drobiazgowo nad znaczeniem wyrazów, wywodząc naprzykład, że »szlachta« pochodzi od »uderzać po pancerzu«, że wyraz »kord« pochodzi od łacińskiego *cor*, zaś wyraz »pałasz« od czasownika »pałać« i t. d. Wreszcie przy końcu »lekcyi« czwartej przychodzimy do Anhellego. Poemat ten, autor tak określa: »Anhelli jest personifikacją serca ludzkiego wobec tragedyi historii« (str. 59). W »lekcyi« piątej omawia autor »Beniowskiego« i »Króla Ducha«, uważając je za »najdzielniejszy moment w piórze Juliusza Słowackiego«. »Króla Ducha« określa Norwid jako »ciemną i burzliwą historię azyatyckiego »Ja« w dziejach, a koniec tej mono-epopei naznaczymy zwycięstwem tego »Ja« nad sobą samym« (str. 79). W »lekcyi« szóstej zaczyna autor o język Słowackiego i zupełnie słusznie wygłasza zdanie, że »Słowacki Juliusz wszystkich wieków, czasów, społeczeństw, typów i płci język miał« (str. 89).

Do tych sześciu lekcyi przydano »dodatek« »O Balladynie« i tu może najjaskrawiej uwidacznia się dziwaczność krytycznych poglądów Norwida. »Balladyna« jest dlań »apo-gryfem«, i tak ją tłumaczy: Alina jest to personifikacya l'u d'u, Balladyna p a r a f i a n s z c z y z n y, a Pustelnik t r a d y c y i. Oryginalne to wprawdzie — ale tylko oryginalne.

Dodajmy do tego, że język, w którym pisano te »lekcye« jest dziwnie ciężkim, składnia zdań dziwnie nie polska, a wyrażenia jak »uchrześcijańczając« lub »odnadziejać« wcale nie należą do wyjątków.

Adam Stodor.

Studia historyczne wydane ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego.
Kraków 1908. 8-ka, str. 399.

Studia, wydane z okazji 35-letniego jubileuszu prof. Zakrzewskiego przez jego uczniów, składają się z trzynastu rozpraw, odnoszących się do różnych działów i okresów historii polskiej. Pierwotny plan zebrania rozpraw tylko z epoki Batorego rozszerzone, wskutek czego mamy przed sobą jakby zbiorek historyczny polski, do którego każdy z autorów dał coś z zakresu specjalnych bieżących swych studyów.

Do historii średniowiecza odnoszą się »Początki parafii polskich« Stan. Zachorowskiego, »O interpolacjach w dokumentach biskupstwa plockiego« Maryana Łodyńskiego, »Doktryna polityczna Pawła Włodkowica« Stan. Krzyżanowskiego i »W sprawie przywilejów nieszwaskich z r. 1454« Abdona Kłodzińskiego.

Początki parafii polskich łączy autor już z pierwszymi pracami misyonarskimi i dopatruje się ich w kościołach, zakładanych po grodach ze stałą obsługą kapłańską, chociaż bez ściśle oznaczonego obszaru. Z czasem powstawały także kościoły wiejskie (pierwsze wzmianki o nich pochodzą z końca XI w.) stanowiące prywatną własność rodów a zależne co do jurysdykcji od kościołów parafialnych (*capellae* w przeciwstawieniu do *ecclesiae*). W ich związku z prywatnym majątkiem widzi autor początki okręgów parafialnych i przypuszcza, że z nich wytworzyły się właściwe parafie wiejskie, łączące później także wioski do różnych właścicieli należące. Istnienie parafii miejskich i wiejskich jako instytucji zupełnie już rozwiniętych stwierdzają dokumenta dopiero z początku XIII wieku; wnioski wstecz opierają się na analogii ze stosunkami w sąsiedztwie Polski i na szczupłych zapiskach dokumentarnych.

A. Łodyński przez porównanie pięciu dyplomów, wydanych dla biskupstwa plockiego (pierwsza połowa XIII w.), wykazuje sfałszowanie tychże na niekorzyść sądownictwa książęcego, dokonane przez przeróbkę spójnika *et* na *nec* lub przez dodanie tego przeczenia. Dołączone fotografie interpolowanych ustępów ułatwiają zrozumienie wywodów autora.

»Doktryna polityczna Pawła Włodkowica«, zawarta w traktatach przedłożonych soborowi w Konstancji dla obrony zasad polityki polskiej, poruszała także zagadnienia obchodzące bliżej Europę — o władzy cesarskiej i papieskiej, o jej stosunku do niewiernych, o genezie

państw i t. p. Sprawę tworzenia się państw przedstawia w części za św. Augustynem, w części za św. Tomaszem z Akwinu. Zwolennikiem uniwersalizmu cesarskiego nie był — bo uważał, że w praktyce wychodziło to na szkodę dobra publicznego. Władzę papieską pojmował szeroko jako połączenie jurysdykcji świeckiej i duchownej, bronił zwierzchności papieskiej także nad niewiernymi (*oves, quae non sunt ex hoc ovili*) o ile to potrzebne dla ich dobra — jednakże bez naruszenia praw natury. Dlatego wszelkie darowizny ziem pogańskich przez papieża, czy cesarza, nie mogły mieć mocy prawnej. Potępiał też nawracanie pogan mieczem i pożogą a system krzyżacki piętnował jako niezgodny z dekalogiem i wiarą chrześcijańską. Zasługą Włodkowica jako pisarza politycznego było to, »że ubrał zasady polskiej polityki w szatę europejskiej doktryny«.

Sprawa przywilejów nieszawskich wskutek poznania nowych źródeł historycznych przedstawia się w innem oświeceniu aniżeli u Hubego i Bobrzyńskiego. Sam oryginał przywileju cerekwickiego, przechowany w zbiorze ks. Czartoryskich w Krakowie, pocięty i nacięty na zakładce świadczy, że przywilej ten miał tylko chwilowe znaczenie, — przez wystawienie poprawnego przywileju (nieoszawskiego z 12 listop.) został skasowany. Tak zwane »Petyta opockie« uważa autor za dowolną przeróbkę przywileju nieszawskiego dla Małopolski — a odmawia im charakteru petytów. Występuje stanowczo przeciw twierdzeniu Bobrzyńskiego, przyjętemu dotychczas powszechnie, jakoby król w Nieszawie wydał tyle odrębnych, samoistnych statutów z ilu ziem składała się Polska. Trzy znane przywileje ziemskie są tylko dedukcją przywilejów dzielnicowych; za to już w Nieszawie wydał król przywilej generalny 23 listop. 1454, przywilej autentyczny a nie skomponowany dopiero w 1496 r. Przywilej ten wykazuje dążność do usunięcia partykularyzmu, jaki zaznaczył się jeszcze w przywilejach dzielnicowych i charakteryzuje przez to całe ustawodawstwo nieszawskie. Dygnitarzy świeckich, podpisanych na przywilejach, uważa autor za pośredników między rycerstwem a królem w walce o potwierdzenie dawnych praw i zdobycie nowych. Zastanawiać musi brak na tych przywilejach podpisów dygnitarzy duchownych — sama jednakże ta okoliczność nie wystarcza do uzasadnienia domysłu autora, że może w powstaniu przywilejów na wyprawie wojennej tkwiła chęć uchylenia pośrednictwa duchownych.

Do początków XVI w. odnoszą się w Studyach dwie rozprawki »Do rodziny Salomonów genealogicznych szczegółów kilka« Jana Pta-

śnika i »Z dziejów wsi polskiej« Fr. Bujaka. Pierwsza obok szczegółów genealogicznych podaje także na tle ówczesnych miejskich stosunków kilka szczegółów z życia Piotra Salomona, zasłużonego krakowskiego patrycyusza i jego brata Emerana, bogatego bankiera; w drugiej znajdujemy dowody (w inwentarzu powinności włościan, należących do zamku oświęcimskiego w r. 1508), że tamtejsze stosunki włościańskie nie wiele się wtedy różniły od stosunków na Śląsku i w Polsce przed wprowadzeniem prawa niemieckiego, co autor tłumaczy zastojem stosunków społecznych, którego powolny rozwój folwarków i kolonizacya na prawie niemieckiem nie potrafiły zasadniczo przetworzyć.

Najszerzej uwzględniono w Studiach epokę Batorego; rozprawy z jej zakresu wypełniają większą część książki.

»Sprawa ambasady weneckiej w Polsce za Stef. Batorego« przez dr. L. Boratyńskiego, daje odpowiedź na pytanie, dlaczego zamiar utworzenia ambasady w części już wykonany — bo Signoria przy końcu listopada 1582 wyznaczyła stałego ambasadora dla Polski — ostatecznie upadł. Stało się to wskutek niezrozumienia zamiaru królewskiego przez Wenecyan, którzy pod sugestją Possewina inne zamiarom króla przypisywali znaczenie, jak było w istocie. Król zamyslał o zbliżeniu się do Wenecyi, żeby wywrzeć nacisk na cesarza w sprawie zatargu o posiadłości na Węgrzech. Ostrożność nie pozwoliła mu wystąpić od razu z zamiarem dokładnie określonym, wskutek czego powiodło się Possewinowi, zapatrzonemu w projekty ligi antytureckiej, wmówić w Signoryę, że królowi idzie głównie o akcyę przeciw Turkom — czemu na razie przeszkadza spór z cesarzem. Ponieważ zaś niebezpieczeństwo tureckie było bliższe dla Wenecyi, aniżeli dla Polski, Wenecya pospieszyła się i pierwszy krok uczyniła. Dopiero gdy po dłuższej zwłoce nadeszła odpowiedź kanclerska, iż król na razie może wysłać tylko nadzwyczajne poselstwo, a sprawę stałej ambasady może uchwalić senat i to dopiero po ukończeniu rokowań z cesarzem, zrozumiano w Wenecyi, o co głównie królowi chodziło.

Trzeba się było powoli ze sprawy wycofać a wycofać z honorem, żeby zarzucenie sprawy ambasady w Polsce, nie wyglądało na ustępstwo przed Francją, której ambasador w imię pretensyi Henryka III do korony polskiej, czynił odpowiednie przedstawienia weneckiemu rządowi.

Dla ratowania pozorów oświadcza więc rząd wenecki, że ambasadora wysłać nie rychlej, aż król swego posła wyznaczy; — później

pod pretekstem, że rozgłoszony już plan ligi ściągnąby mógł na Wenecję wojnę turecką, od powziętej uchwały odstępuje.

Zamiast ściślejszego złączenia się Polski z Wenecją, oziębily się bardzo obustronne stosunki. Rząd wenecki miał żal do króla — a Possewin za swą krewkość dostał z Rzymu naganę, że niepotrzebnie i w niestosownej porze wdał się w podobne sprawy.

Najdłuższa w »Studyach« rozprawa to dr. Fr. Fuchsa »Ustrój dworu królewskiego za Stef. Batorego«. Przedstawia w niej autor rozwój ustroju dworu królewskiego w XVI wieku a zwłaszcza stosunki dworskie od roku 1572—86. Rozwój polegał na tem, że najwyższe dostojenstwa królestwa i dworu, za Aleksandra jeszcze nie oddzielone, z biegiem czasu zaczynają się wyróżniać; niektórzy urzędnicy dworscy stają się urzędnikami państwa a dawniejsze ich funkcje przechodzą na nowych urzędników, przy coraz wyraźniejszym zakresie władzy i zajęcia.

Ponieważ zaś nowi urzędnicy dworscy rośli szybko w znaczenie i powagę, a urzędy dworskie stawały się początkiem kariery politycznej, coraz częściej starali się o nie ludzie ambitni z wpływowych rodzin — ale równocześnie uchylali się od pełnienia całego zakresu obowiązków. Zatrzymali dla siebie tytuły urzędu i nadzór nad odpowiednim działem służbowym, podczas gdy właściwe usługi dworskie spełniali ludzie należący do drobnej szlachty. Dygnitarze nie przebywali nawet stale na dworze — zjawiali się tylko wtedy, kiedy szło o dworską reprezentację.

Za Batorego ewolucya urzędów dobiegała do końca; ostateczny podział hierarchii urzędniczej dokonał się w początkach XVII wieku. Urzędy dworskie za Batorego dzieli autor na sześć grup: 1) ministrów i dostojników dworskich, 2) dworzan, 3) urzędników i funkcyonaryuszy dworu, 4) rzemieślników i dostawców, 5) służbę, 6) siłę zbrojną dworu. Zakresowi władzy i zajęć tych ludzi dworskich poświęca największą część rozprawy — a dla dokładniejszej oceny ustroju dworskiego przedstawia także stan finansowy dworu i skarbu królewskiego z tych czasów. Z tego zestawienia widać, że dwór Batorego pod względem liczby dworzan (do których jako osobna grupa należy świta królewska, bawiąca na dworze dla edukacyi, a dodająca mu splendoru) nie ustępował wcale dworowi ostatniego z Jagiellonów — a chociaż za rycerskiego króla nie świecił takim przepychem, to jednak dworzanom źle się nie działo — uposażenie ich było nawet wyższe, a wy-

datki na utrzymanie dworu nie mniejsze jak później za Zygmunta III, którego dwór utrzymany był na prawdziwie monarszej stopie.

Charakter całego dworu był polski; urzędnicy, pokojowcy, komornicy, paziowie byli Polakami — inżynierzy, wojskowi i masztalery Węgrami. Batory o ludzi swoich dbał — opłacał ich regularnie, a wewnętrzne życie dworu unormował wzorową instrukcją *»Regimen morum aulae S. Mtis. R.«*. Tak więc dwór królewski, któremu Aleksander dał pierwsze formy ustroju, Zygmunt I bogactwo, Zygmunt August wykwintny polor obyczajów — zyskał za Batorego prócz lepszej organizacyi także charakter bardziej rycerski, do czego przyczyniała się gwardya przyboczna po raz pierwszy zorganizowana.

Dwa inne przyczynki historyczne do czasów Batorego to »Zjazd Jędrzejowski w 1576 r.« przez dr. W. Kamienieckiego i rozprawka W. Sobieskiego »Czy Heidenstein był różnowiercą?«

Zjazd Jędrzejowski, zwołany przez zwolenników Batorego w miesiąc po niezgodnej elekcji, przyczynił się do utrzymania szlacheckiego elekta na tronie i był objawem wzmożonej energii szlacheckiego ruchu; nadto był nową a ciekawą formą szlacheckiego parlamentaryzmu. Miał w sobie coś z rokoszów węgierskich — do których go Hozyusz porównywał, a prymas Uchański uniwersałem z góry przeciw jego uchwałom protestował. Miał coś z form sejmu elekcyjnego — bo i elekcję Batorego zatwierdził i przyjmował posłów cesarza, zalecających habsburskie rządy.

Miał także pewne cechy pospolitego ruszenia, bo wzięło w nim udział do 20.000 zbrojnej szlachty dla ubezpieczenia Rzplitej przed cesarzem, a szlachta ta po zjeździe ruszyła na Kraków, żeby mu dać obronę. Ciekawym był zjazd i z tego względu, że sama szlachta polska bez litewskiej i pruskiej a także bez senatu (choć faktycznie pod kierunkiem kilku obecnych senatorów i magnatów) decydowała o sprawach Rzeczypospolitej.

Czy jednakże należy uważać ten zjazd za słup graniczny, za zenit, do którego się fala ruchu szlacheckiego wzniosła, żeby zaraz opaść i rozlać się na mieliźnie — o to możnaby się spierać — skoro trzydzieści lat później, chociaż w innych okolicznościach i przez innych przewodców wzburzone fale polityki szlacheckiej wezbrały znowu wysoko i uderzały po staremu na habsburskie brzegi Rzeczypospolitej.

O Heidensteinie, sekretarzu i historyografie Stefana Batorego, utrzymywali jego biografowie, że był katolikiem od dziecka. Przekonanie to zbija W. Sobieski na podstawie opinii, jaką miano o nim

na uniwersytecie w Heidelbergu — opinii, która się przedostała także do Francji. Pozytywny dowód o przejściu Heidensteina na katolicyzm znalazł się w jego liście — do jakiegoś przyjaciela w Prusiech (kopię tego listu znalazł autor w miejskiej bibl. gdańskiej). Jest w nim wzmianka i o czasie przejścia na katolicyzm — kilka tygodni przed 17 listopada 1591 — a ubocznie o pobudkach, które go do tego kroku skłoniły; pobudki zapewne te same, jakie poddaje pod rozważę przyjaciela, któregoby rad widział katolikiem. Przedstawia mu mianowicie coraz większą liczbę zwalczających się sekt protestanckich — podczas gdy prawda musi być jedna, i radzi wczytywać się w Ojców Kościoła dla przekonania się, że prawda utrzymuje się niezmiennie tylko w Kościele katolickim.

Jakiego wyznania był Heidenstein przed konwersją, tego z listu dojść nie można. Zdanie: *Quod Luthero licuit, cur non liceat Lutherano?* podaje tylko powód szerzenia się coraz nowych sekt. Być może, że był kalwinista, za jakiego uważano go na uniwersytecie w Heidelbergu.

Jakie niedomagania niedługo po czasach Batorego wykazała utworzona za niego instytucja trybunału koronnego i jak je próbowano usunąć wykazuje dra Maryana Goyskiego »Trybunał koronny a polska literatura polityczna w XVIII wieku«. Przekupstwu deputatów, prywacie, nieznajomości praw, różnym nieuczciwym praktykom trybunalskim nie zapobiegły drobne reformy z 1616 i 1670 r. ani korektura z roku 1726. Gruntowną reformę przeprowadzono później, a przyczyniły się do niej różne projekty pisarzy politycznych jak St. Dunina Karwickiego, Stan. Poniatowskiego kasztelana krak., bezimiennego autora »Rozmowy« 1757 a zwłaszcza Leszczyńskiego, który w *Głosie wolnym* także reformą trybunału się zajmował. Jego projekt poddania trybunału pod kontrolę państwa (rewizya w s z y s t k i c h dekretoch w sprawach cywilnych przez izbę pieczętarską i kanclerza), sądownictwa by nie poprawił — zato wprowadzenie tajnego głosowania i nadanie pensyi deputatom mogło położyć tamę przekupstwu, a ustanowienie stałych sędziów — zamiast corocznego wyboru deputatów — musiało wyrobić ludzi fachowych i z prawem obeznanych.

Do czasów po pierwszym rozbiorze znajdujemy w *Studyach* dwa przyczynki historyczne: W. Tokarza »Pierwsze dezyderaty szlachty galicyjskiej« i dr. K. M. Morawskiego »Pogląd na opozycję magnacką między pierwszym rozbiorem a sejmem czteroletnim«.

Z zestawienia tych dwu rozpraw widać, jak wielki wpływ na nastrój panującej warstwy polskiej miała wtedy przynależność pań-

stwowa. W słabej Rzeczypospolitej magnaci burzą się po dawnemu. Z pobudek czysto osobistych, przeważnie z zawiedzionej ambicji intrygują przeciw królowi w kraju, intrygują za granicą; Czartoryscy przeważnie w Austrii (plan Augusta Czartoryskiego w 1776, żeby zdetronizować Poniatowskiego a oddać koronę arcyksięciu Maksymilianowi) Potoccy, Branicki i inni w Rosyi; intrygują tak zawzięcie zwłaszcza od sprawy Dogrumowej, że nawet Rosya, przygotowująca się do wojny z Turcyą i sprzymierzona z nią Austrya musiały użyć wielkiego nacisku dla pozornego przynajmniej uspokojenia fakcji — co znów popchnęło Ignacego Potockiego do nawiązania stosunków z dworem pruskim.

Zupełnie inaczej zachowuje się szlachta za kordonem pod nowym rządem austriackim. Wbrew obawom rządu wiedeńskiego — nie było kłopotu z nowymi poddanymi. Zjazdy okręgowe szlachty, które wybierały delegatów do złożenia przysięgi cesarskiej, zasłużyły na uznanie rządu za *Devotion und Unterwürfigkeit*; delegaci złożyli przysięgę od razu i bez zastrzeżeń, a przy układaniu petycji do monarchini wykazali tyle rezygnacji, że rząd nie potrzebował się zbytnio z tymi dezyderatami liczyć. Za przesłaniem petycji do tronu oświadczyło się tylko 29 na 42 deputatów, z tych zaś tylko 9 podpisało petycję ujętą w 14 punktów — reszta podpisała osobną petycję, nie ujętą w punkta, z obawy, żeby rządowi się nie narazić. Dezyderata były bardzo skromne; w sprawach krajowych domagano się uprzywilejowania religii katolickiej, dopuszczenia po 2 delegatów cyrkularnych do gubernium (rodzaj prowizorycznego sejmu), uwzględnienia Polaków w urzędach cywilnych a zwłaszcza w sądowych. Z postulatów w sprawach czysto szlacheckich widać było chęć utrzymania dawnego stanu co do posiadania dóbr ziemskich, królewsczyzn i stosunków pańszczyźnianych, obok rezygnacji połączonej z prośbą, żeby na wypadek sprzedaży królewsczyzn zapewnić pierwszeństwo szlachcie krajowej a stosunki poddańcze uregulować bez szkody dla kultury rolnej i użytkowania własnych gruntów. Postulaty znalazły bardzo łaskawe przyjęcie we Wiedniu. Nadeszła na nie odpowiedź przeważnie przychylna, na ogólne ogólnikowa lub wymijająca, ale na postulata natury politycznej przeważnie odmowna np. w sprawie zanoszenia petycji bezpośrednio do tronu, w sprawie prowizorycznego sejmu i obsadzania Polakami urzędów. Nie okazał także rząd chęci nadawania starostw po dawnemu, owszem zaznaczył, że robi łaskę possessorom nie zabierając dóbr od razu na skarb.

Z samego pobieżnego zestawienia poruszonych w »Studyach« zagadnień widać, że to książka nie tylko interesująca bogactwem treści, ale także ważny przyczynek do naszej literatury historycznej, jako rezultat specjalnych fachowych badań.

Ks. Józef Sas.

Królestwo Polskie (1815 — 1830) Rys historyczny z tablicami statystycznymi. Skreślił *Mieczysław Offmański*. Warszawa 1907. Str. 156. 8-ka.

Pierwsza ta książka z wydawnictwa M. Arcta »Biblioteka Dziejów Polski i Pamiętników« przeznaczonego dla popularyzowania historii polskiej, jest uzupełnieniem dawniejszej pracy autora z r. 1897 »Królestwo Kongresowe«. Uwzględnił w niej autor nowsze rozprawy i przyczynki historyczne z czasów Królestwa, zwłaszcza prace prof. Askenazego. Materiał historyczny ujął w sześć rozdziałów: sprawa polska na kongresie wiedeńskim, urządzenie królestwa polskiego, intrygi, wpływy i prądy, wewnętrzne sprawy królestwa za Aleksandra, I, Królestwo polskie za Mikołaja I do r. 1830, stan umysłowy i ekonomiczny królestwa kongresowego.

W ugrupowaniu licznie nagromadzonych szczegółów autor nie dość ściśle trzyma się tego podziału, często przerywa tok opowiadania dla rozmaitych dygressyi, nieraz interesujących, ale zwykle za długich, co wpłynęło ujemnie na przejrzystość pracy. Wartość pedagogiczna książki zyskałaby wiele, gdyby autor bardziej uwzględnił sprawy ważniejsze i więcej poświęcił im miejsca aniżeli sprawom podrzędnego znaczenia.

Tak np. o właściwej organizacji królestwa, o jego administracji, sądownictwie, władzach wykonawczych i prawodawczych należałoby trochę więcej się rozpisać, dokładniej je przedstawić, zamiast obszernie podawać ceremoniał przy otwarciu pierwszej sessyi sejmowej (str. 17—21), ceremoniał koronacyjny (str. 85—87) lub opowiadanie o stosunkach rodzinnych księżny Łowickiej (str. 30—42).

W przedstawieniu stosunków ekonomicznych za mało jest danych o rolnictwie; przy traktowaniu kwestyi społecznych za mało o kwestyi włościańskiej, przy przedstawieniu ruchu umysłowego za wiele wiadomości o teatrze obok względnie szczupłych wiadomości o szkolnictwie — zwłaszcza o szkołach średnich i ich ustroju. Za wiele spotykamy w książce rozmaitych drobiazgów, dat historycznych (czasem i godziny są podane); może także za wiele (jak na podręcznik popularny) historycznych refleksyi o naszych wadach narodowych

i błędach naszej polityki, mimo że refleksye te dyktuje autorowi wzgląd na dobro publiczne, które, jak słusznie zaznacza przy końcu książki, mniej wymaga męczenników i chwilowego bohaterstwa a więcej pożytecznych pracowników o niezłomnej energii, pracujących z trzeźwą świadomością przy fundamentalnej budowie bytu narodowego.

Ks. Józef Sas.

Z piśmiennictw obcych.

Historisch-apologetisches Lesebuch für den kathol. Religionsunterricht an den obersten Klassen höherer Lehranstalten, sowie zur Selbstbelehrung. Von *Johann Wilhelm Arenz*, Freiburg im Br. Herder. Str. XVI, 232.

Stosunkowo nie wielka książka, którą mam przed sobą, jest owocem długoletniego myślenia. Twierdzi tak sam autor, który już przed laty powziął zamiar ułożenia »Wypisów do nauki religii w wyższych klasach szkół średnich«. Choćby powierzchowne przejrzenie bogatej jej treści musi każdego przekonać o prawdziwości słów autora. Zestawienie klasycznych ustępów z literatury chrześcijańskiej wszystkich wieków, od starożytności chrześcijańskiej aż do naszych czasów, wymaga gruntownego i wszechstronnego czytania się, oraz praktycznej znajomości religijnych potrzeb dzisiejszej młodzieży. Ks. Arenz wywiązał się dobrze ze swego zadania. Jego »Wypisy« uwzględniają historię kościelną i kulturalną, liturgikę i ascezę, filozofię i dogmatykę, pedagogikę i etykę, historię katolickiej wiedzy i sztuki, jednym słowem czerpią ze wszystkich działów chrześcijańskiego klasycyzmu. Wybór zaś jest wogóle trafny, choć jeszcze wiele pozostawia do życzenia. Pierwszorzędną rolę gra apologetyka. Cenne urywki o stosunku wiary do wiedzy, o źródłach wiary, Piśmie św. i Tradycji, o charakterystycznych cechach herezy i prawdziwym rozwoju katolickiego dogmatu i Kościoła, stanowią nadzwyczajnie ważne pogłębienie podstawowych prawd religijnych. Byłoby niesprawiedliwą rzeczą domagać się uwzględnienia wszystkich ustępów o klasycznej wartości — bo nie należy spuścić z oka celu, do którego podręcznik taki służyć powinien — ale sądzimy, że autor pominął niektóre urywki, których brak odczuwa się powszechnie. Tak np. należało o kwestyi socyalnej podać wybrane ustępy z encykliki *Rerum novarum*, z dziedziny etyki

pragnęlibyśmy celnych myśli o sile charakteru, o ideale czystości itp. Wogóle o dogmatach poszczególnych autor podaje za mało, z wyjątkiem nauki o sakramentach. Ale zostawmy te szczegóły: można tu rozmaite mieć życzenia. Przejdźmy do rzeczy ważniejszej, bardziej zasadniczej. Mam na myśli znaczenie »Wypisów« wogóle dla nauki religii w wyższych klasach szkół średnich. Niejednokrotnie podnoszono zarzut, że dogmatyka jest zbyt trudnym przedmiotem dla młodych uczniów gimnazjalnych, że podaje prawdy wiary i ich uzasadnienie w sposób suchy i zbyt rozumowy. Nie wchodzę w to, o ile ten zarzut może być słuszny, zwłaszcza, że niefachowcy często nie zważają na to, że podręcznik nie ma wcale zastąpić żywego słowa katechety, lecz podać tylko treściwie główne myśli i prawdy dla wspomagania pamięci. Zarzut np. przeciw »suchemu szkieletowi pytań katechizmowych« ma za źródło wyłącznie takie zapoznanie rzeczy. Nie ulega jednak wątpliwości, że »Wypisy« na wzór książki ks. Arenza są prawdziwą potrzebą, z każdym dniem aktualniejszą. Słusznie naszym zdaniem odwołuje się ks. Arenz w przedmowie do analogii, zachodzącej między nauczaniem ojczystego języka a nauczaniem religii. W obydwóch wyrobienie ducha jest celem nauki. Jak bez wypisów nie możemy sobie wyobrazić gruntownej nauki języka i literatury polskiej, mającej ożywić ducha narodowego, tak bez wypisów z klasycznych dzieł chrześcijańskich pogłębienie ducha religijnego, jest co najmniej bardzo utrudnionem i pozbawionem częstokroć estetycznego piękna. Religia zaś, która obejmuje wszystkie władze człowieka, powinna też podnosić serce i pociągać swą pięknoscią i głęboką mądrością życiową. Nasza wiara św. zawiera w sobie najwspanialszą harmonię prawd dogmatycznych i etycznych, zwłaszcza jeśli w jej świetle rozpatrujemy życie konkretne, indywidualne czy społeczne. Wypisy mają właśnie tę dodatnią stronę, że abstrakcyjne prawdy mogą nam pokazać w związku z praktycznem życiem, z psychologicznymi postulatami duszy, w związku z wiedzą świecką i cywilizacją. O wspaniałej literaturze klasycznej Ojców i Doktorów Kościoła i geniuszów katolickich uczeń w gimnazjum ma słabe tylko pojęcie, gdyż z jej treścią nie zaznajamia się bliżej. Oczywiście »Wypisy« dla nauki religii powinny tylko przy sposobności być używane w miarę potrzeby gruntowniejszego zrozumienia pewnych prawd.

Ks. Arenz przeznaczył swą książkę do użytku we wszystkich 4 klasach wyższych, ale nie uwzględnił systematycznie i równomiernie przedmiotu poszczególnych lat. Gdyby »Wypisy« były podzielone na

4 części stosownie do materiału szkolnego, mimowolnie wybór stałby się bardziej wyczerpujący i systematyczny. Wartoby pomyśleć o ułożeniu takich »Wypisów« dla naszych szkół średnich. Książka ks. Arenza może dać dużo inicjatywy i poniekąd służyć za wzór. Przekład byłby nieodpowiedni, choćby dlatego już, że począwszy od średnich wieków autor wyłącznie prawie uwzględnia historię Kościoła w Niemczech, jakby poza Niemcami Kościoła nie było. Taki ekskluzywizm u katolickiego autora bardzo razi. Kościół katolicki jest powszechny, a wszyscy katolicy są dziećmi tej samej matki.

Za uwzględnieniem przy nauce religii autorów chrześcijańskich dawnych i nowszych czasów oświadczył się już r. 1849 synod biskupów w Wiedniu. Dziś biskupi dobre »Wypisy« powitaliby z radością.

Ks. Ernest Matzel.

Ohne Grenzen und Enden, Gedanken über den unendlichen Gott den Gebildeten dargelegt von *Otto Zimmermann* S. J. Str. VIII, 188. Freiburg, Herder 1908.

Cel tej książki wyraża autor w przedmowie: Wiek nasz cechuje jakaś bezbrzeżna tęsknota. Za czem? Wielu wątpi o tem, czy kiedyś ugaszą to niezmierne pragnienie duszy; dlatego też głoszą tak dziwne nauki o szczęściu, że nie szczęście czyni człowieka szczęśliwym, ale tęsknota, marzenie, najlepiej takie, które się nigdy nie ziści. Doktryny tego rodzaju oczywiście nie mogą zaspokoić ducha ludzkiego dążącego do wieczności, życia, doskonałości. Otóż książka ta mówi właśnie o tej istocie, która potrafi aż nadto zaspokoić tę dążność rozumu do posiadania prawdy bezwzględnej, tę tęsknotę serca za szczęściem niezmierzonym; bo Bóg nieskończony jest większym od tej dążności i tej tęsknoty.

Jądrym rozprawy jest teza: świat jest ograniczony, skończony, a więc stworzony; Bóg zaś nie jest stworzonym, istnieje sam przez się, bez przyczyny, od którejby był zależnym, a więc też jest nieograniczonym, nieskończonym. Udowodniwszy skończoność świata, autor analizuje pojęcie bytu nieskończonego i niestworzonego. Nieskończonym jest to, co nie ma granic, ponad co nic lepszego, piękniejszego, większego nie istnieje ani istnieć nie może, co pod każdym względem jest najdoskonalszem. To, co jest niestworzonym, ma rację bytu w sobie i dlatego istnieje koniecznie, nie przypadkowo. Istota niestworzona nie może być większą lub inną, aniżeli jest rzeczywiście, wyczerpuje ona całkowicie wewnętrzną możliwość doskonałości, t. zn. ma wszystkie doskonałości, jakie mieć może, i to w takim stopniu, w jakim je

mieć może (*actus purus* scholastyków). Wszelka zaś istota skończona mogłaby być większą, a więc nie jest niestworzoną. A kiedyż będzie istota niestworzona możliwie największą? Wtedy, gdy będzie miała wszelkie doskonałości jako takie, t. j. bez domieszki niedoskonałości, a wtedy też będzie zarazem nieskończoną. Samo pojęcie nieskończoności w sobie nie jest wcale sprzecznem. Z tego wszystkiego wynika, że niemożliwą jest istota, któraby była zarazem ograniczoną i niestworzoną. Taką istotą sprzeczną w sobie jest Bóg monistyczny wszystkich obozów monistycznych. Prawdziwy zaś Bóg jest nieskończonym, i niema żadnej sprzeczności w tem, że jest zarazem np. nieskończenie miłosiernym i nieskończenie sprawiedliwym; lecz trzeba najpierw doskonałości i cnoty oczyścić z przymieszek ludzkich ograniczeń, zanim się je przeniesie na Boga.

Następuje krótka historia rozwoju pojęcia nieskończoności u filozofów poczynszy od Anaksymandra. Nie wiem, dlaczego autor tutaj nie wspomina nawet o tak doskonałym pojęciu nieskończoności Boga u św. Anzelma: *id, quo maius cogitari nequit*. — W osobnych rozdziałach omawia dalej autor pojęcie Boga nieskończonego u Kanta, Fichtego, Schellinga, Hegla; następnie tłumaczy różnicę zachodzącą między pojęciem Boga nieskończonego a Bogiem, któryby był wszystkim, której to różnicy zatarcie stanowi *πρωτον ψευδος* panteistów. Tylko Bóg osobisty może być nieskończonym: to wniosek wysnuty z całego dziełka. Autor rozporządza dość znacznym materiałem pozytywnym i używa go bardzo zręcznie do uzasadnienia i objaśnienia swych wywodów. Sposób przedstawienia jest lekki, gładki, nowoczesny i, trzeba to przyznać, bardzo gruntowny. Rozdz. 3 więcej spekulatywny, wymaga nieco głębszego wykształcenia filozoficznego u czytelnika.

R. Malotta.

Princesses de science, par *Colette Yver*. Paris. Calmann Lévy. I vol.

Jest i druga powieść tej samej autorki p. t. *Cervelines* tak do obecnej podobna, iż się wydają jakoby dwa uderzenia młota, spadające po sobie na jeden punkt. A punkt ów to miejsce bardzo czułe, bardzo żywotne w ciele nowożytnego społeczeństwa, prąd wyrwyjający kobietę z domowego ogniska, by ją rzucić w szeregi męskie — w wir życia umysłowego i zawodowego. Dawniej też nie brakło kobiet zaniedbujących przyrodzone obowiązki, ale wtedy celem ich był świat, zabawa, stroje i dogadzanie namiętnościom — wiedziały i wkoło nich wiedziano, że czynią złe. Dziś sprawa niebezpieczniejsza, bo samo

nabywanie wiedzy jest rzeczą piękną a zawód lekarski lub nauczycielski może się nawet zamienić w rodzaj apostołstwa. Pozory zatem ludzkie, a skutki — nie koniecznie dodatnie. P. Colette Yvez odmalowała w *Cervelines* kobiety żyjące mózgiem z ujmą serca. Powiedzą jej, że to przesada, że u mnóstwa mężczyzn uczonych serce pracuje na równi z umysłem, że więc i u kobiet rzecz zupełnie możliwa. Nadto jest mnóstwo kobiet, które straciwszy rodziców, nie mają już kogo kochać: o posag coraz trudniej, bez posagu coraz trudniej o męża, a nawet gdyby się łatwiej żenili, toć licznie nie starczyłoby mężów na rozrastający się w dziwny sposób rodzaj niewieści! Jeden brat czterech sióstr nie wyżywi, muszą więc każda z osobna szukać utrzymania a wszystkie szwaczkami lub modniarkami być nie mogą. Autorka szukania zawodu nie broni, wykazuje tylko w sposób bardzo silny niemożliwość pogodzenia z nim życia rodzinnego. Powieść *Princesses de science* osnuta jest cała na temat: czy kobieta-doktorka może być matką i żoną? — Odpowiedź zaś streszcza się w wielkim: nie. P. Yvez przytem zachowuje się wobec swego przedmiotu bardzo uczciwie, na heroinę obiera kobietę piękną, młodą, zamożną, noszącą imię sławne w świecie lekarskim dzięki znamienitej wiedzy i zasługom jej ojca. Dr. Herlinge ożeniony z panną z arystokracji, która dla miłości jego poświęciła swoje stosunki, swoje upodobania, która wyższe wykształcenie i zdolności utopiła w cieniu jego sławy a zatem przywykły do typu kobiety bardzo dawnego pokroju, patrzy jednak z uśmiechem na chciwość wiedzy objawianą przez córkę. Dopiero gdy Teresa oświadcza, iż pragnie obrać zawód lekarski, oburza się, stawia trudności a w końcu pozwala w nadziei, że pierwsze próby zniechęcą dziewczynę. Atoli w miarę odkrywania tajników ludzkiego organizmu, namiętność u Teresy wzrasta, ojciec zaczyna patrzeć na nią z uznaniem i dumą, matka coraz bardziej usunięta w cień czuwa już tylko, aby w obejściu ani w odzieniu nie straciła wdzięku kobiecości. U Teresy jest to wdzięk pięknej westalki o duszy z ognia i kryształu, którego się żaden brud nie czepia, dumnej bez cienia próżności dziewczęcej, wytrwałej, rzutnej i silnej. Umysł jej bystry bardzo, ale rzucony cały w jeden kierunek, pochłonięty jednym rodzajem wiedzy. Serce — do kochania zdolne, ale nie wprawne, bo cierpienie jakie ją w szpitalach otacza, żadnej w niem nie wzbudza litości. Podczas co młoda Szarytka — z którą autorka ślicznie robi porównanie — widzi tylko chorego, którego usiłuje pocieszyć, ból, który usiłuje złagodzić — młoda lekarka widzi tylko chorobę, której próbuje odgadnąć początki

i przebieg, nieraz zawiedziona jeżeli chory wyzdrowieje i »wyniesie ze szpitala swe ciało a z niem swą tajemnicę«. Ale za to jeśli umrze, co za godzina górnej rozkoszy w prosektorium, co za tryumf, jeżeli zaspokojenie ciekawości okaże słuszność analizy poprzedniej. Teresa zawsze otwarta i szczerą nie kryje się z temi uczuciami; wypowiada je nawet naiwnie młodemu lekarzowi, który jej oświadcza swą miłość, w jej osobnym gabinecie szpitalnym, w otoczeniu instrumentów i flaszek obok naczyń z pływającym kawałkiem mózgu ludzkiego. Bogowie Olimpu zasłoniłiby sobie na taki widok estetyczne oblicza — chyba jeden Eros wygrawszy gruby zakład, śmiałby się tryumfując, że pokazał, co umie. Fernanda Guemené wszakże mniej razi ta brzydota, niż zubożenie na nią ukochanej dziewczyny: radby w niej widzieć więcej delikatności uczucia, więcej miłosierdzia a mniej zapалу do wiedzy, radby, aby nie czyniła z przyjemności rzeczy, do których jego męczyznę i skończonego lekarza, tylko twardy obowiązek zniewala. Prosząc o jej rękę prosi zatem również, aby porzuciła zawód lekarski. Prosi dwa razy i po dwakroć doznaje odmowy a wtedy porwany miłością żeni się i sam w domu urządza dla narzeczonej gabinet na konsultacje i studia. Zaczyna się tedy pożycie małżeńskie młodej pary, kochającej się bardzo wzajemnie. Teresa jednak nie chce słyszeć o podróży poślubnej: służba w szpitalach, sposobienie egzaminów doktorskich i t. p. pochłaniają zrazu połowę, potem trzy czwarte jej czasu. Służba zwolna się rozprzega, mąż jada obiady, których nikt nie obstałował, często sam, bo pani się zapóźnia, potem wpada zmęczona i po kilku gorących pocałunkach zamyka się u siebie. Wieczory z reguły spędzają osobno na czytaniu lekarskich dzienników i broszur. Pewnego dnia Fernand zastaje żonę we łzach i dowiaduje się, że to zapowiedź macierzyństwa pogrąża ją w rozpacz; widząc zaś na jego twarzy rozrzewnienie i radość, Teresa wyrzuca mu brak serca i politowania dla niej, której ta przeszkoda przerywa rozpoczętą świetnie rozprawę doktorską. Na wstępie zapowiada, że tego dziecka karmić sama nie będzie pomimo, że mąż stawia to za warunek każdej pod jego opieką rodzącej kobiecie.

Czas mija, na świat przychodzi tęgi chłopczyzna, którego matka kocha gorąco, ale porwana znów zapalem swego zawodu, coraz więcej zostawia staraniom mamki. Po niespełna roku dziecko umiera, a choć Fernand nie czyni jej żadnej wymówki, Teresa czuje, iż jej przypisuje winę. Miłość między nimi jeszcze trwa, ale Fernand zaczyna na różne braki się skarżyć, wydatki domowe się zwiększają a rachunki

wykazują niedobór, pomimo, że Teresa zdobywszy dyplom, ordynuje na równi z mężem i dochodów przysparza. Jej młodość, piękność i dystynkcyja wraz z inteligencyą i siłą woli, pałającą w jej czarnych oczach, ściągają jej liczną klientelę, zrazu tylko niewieścią a potem i męską, co w Fernandzie budzi gniew zazdrości, tłumiony a głuchy. Czuje się przytem samotnym, nie mającym komu się zwierzyć ze swych nadziei lub smutków, Teresa bowiem już często noce całe spędza poza domem lub w środku snu, zbudzona dzwonkiem, musi spieszyć do chorych. Fernand dotąd był wiernym; teraz w braku sympatyj u żony odczuwa ciepło przyjaznej wdzięczności młodej wdowy, której męża nieuleczalnego pielęgnował do śmierci. Pani Jourdeaux uczoną nie jest, nawet niecierpliwi nieco czytelnika swym ustawicznym haftem i przymiotnikiem *la douce femme* jakim ją prawie zawsze autorka zaszczyca. Fernand widzi w niej wszystkie zalety, których mu brak u żony i daje się im pociągnąć tak, iż z przyjaźni wyradza się miłość, której, oboje uczciwi, jeszcze się bronią. Teresa jednak czuje z niepokojem, że mąż przestaje ją kochać; sumienie zbudzone ukazuje jej liczne winy zaniedbania. Usiłuje tedy je naprawić, poświęca część swoich studyów, ale daremnie — teraz nie mąż na nią, ale ona czeka na męża. W prawości swej duszy nie przypuszcza zdrady, aż raz znajduje materyalny jej dowód i słyszy z ust męża — kłamstwo a wkońcu brutalne wyznanie innej miłości. Odtąd zaczyna się dla niej życie w męczarni, wśród której serce przemawia głośniejsze nad wszelkie głosy ambicyi i rozumu. Jej świetny zawód — czemże on jest wobec utraconego szczęścia? Łudziła się, że je pogodzić zdoła... Patrzy dokoła siebie: widzi inną zamężną doktorkę mniej od niej powabną i pracującą na życie. Tu mąż skromny, cichy urzędnik usiłował przez długie lata matkować gromadce niesfornych dzieci, wrastających bez dozoru w nieporządnem mieszkaniu. Wkońcu biedak się rozpił i stracił posadę — doktorka zaś pracująca od rana do nocy, a często od nocy do rana, znosząca każdy grosz do domu dla okrycia i wyżywienia dzieci, uznaje z goryczą, że chybiła celu, że przyczyną nędzy jest właśnie ta praca, do której teraz jest z konieczności wprzęgniętą do śmierci. Obok tej Teresa widzi inną doktorkę, piękną a dumną; ta ukochana przez wielkiego lekarza, odmawia związków małżeńskich, uznając je za niezgodne ze swoim zawodem i przedkłada nad nie wolny stosunek miłosny: »Póki wierzyłam w Boga« — mówi logicznie — uznawałam sakramentalny ślub małżeński za świętość — ale dzisiejsza formalność urzędowa sumienia wiązać nie może... Trze-

cia uboga Rosyanka, studentka, rokująca wielkie nadzieje, opuściła medycynę za pierwszym słowem kochającego ją człowieka i przerobiła się na »gospośię gemütlich«, szczęśliwą między kołyską a mężem. A przecież zdaniem jednego z wielkich profesorów Teresy, Rosyanki jedne bywają dobrym materyałem na doktorki. Są i stare panny inteligentne a brzydkie, skazane na samotność w życiu; dla tych zawód lekarski lub inny może z korzyścią dla nich i dla społeczeństwa zastąpić obowiązki rodzinne.

Pod wpływem podobnych spostrzeżeń Teresa Guemené decyduje się na krok stanowczy a niewymownie bolesny: porzucenie praktyki lekarskiej. Ofiara jednak przychodzi za późno, bo Fernand zajęty swą nową miłością, ma niemal za złe żonie to krwawe bohaterstwo, stawiające go w roli wzgardy godnego winowajcy. Położenie rozjaśnia się dopiero, gdy Teresa licząc na prawość swojej rywalki, opowiada jej swoją boleść a p. Jourdeaux zrywa wszelki stosunek z Fernandem. Teraz żona staje się aniołem pocieszycielem: odtąd oboje będą w laboratorium bakteryologicznem pracowali razem nad rozwiązaniem najciemniejszego punktu w medycynie, jakim jest — leczenie raka. — Książkę p. Yvez wartoby rozpowszechnić i u nas, gdzie nie tylko medycyna, ale mnóstwo spraw odrywa od niejakiemu czasu kobiety od domowego ogniska. Największą jej zaletą jest miara w sądach, wstrzeżność w opisach a pod względem literackim żywość i jędrność w opowiadaniu, dzięki którym rzecz czyta się z wielkiem zajęciem, pomimo tezy, o której autorka nie pozwala ani chwili zapomnieć.

T. Wodzieka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Nauka instrumentacji na orkiestrę symfoniczną i wojskową. Napisał *Henryk Waghalter*. Nakład i własność autora. Główny skład u E. Wendego i Sp. Warszawa 1908, 8-ka, IV, 87 (32 tablice).

Jest to pierwsza nauka instrumentacji napisana przez muzyka polskiego. Dalekim jest ten podręcznik od wyczerpującego wykładu, przez co nie odpowiada wymaganiom współczesnej nauki instrumentacji. Ale za-

wiera więcej treści, niż polskie tłumaczenie »Instrumentacji« Prouta (1906). Zasadniczym błędem dziełka jest kompletny brak przykładów, bez których, zwłaszcza przy nauce instrumentacji obejść się nie podobna. Wiele uwag jest wynikiem praktyki, ale też niektóre z nich nie odpowiadają obecnej technice orkiestrowej, w której szczegóły odgrywają nader ważną rolę, — a tych szczegółów

nie znajdziemy w książeczce p. Waghalter, pomimo, że zawarte są one w dziełach teoretycznych Berlicza i Gerarta, na których (obok innych) wzorował się p. Waghalter. Brak przykładów lub wskazówek, gdzie i w jakich utworach należy szukać zrealizowania teoretycznych objaśnień, może się stać groźnym dla rozpowszechnienia dziełka, któremu dobrych stron mimo to odmówić nie można.

A. Cł.

Beethoven w swej korespondencji. Napisał *Zdzisław Jachimecki*. Kraków 1908, 8-ka, 40 str. (Odbitka z *Przeglądu Polskiego*).

Na podstawie listów Beethovena daje nam autor pogląd na niektóre cechy Beethovena, jako człowieka. Głównie zajmuje się autor erotyką i stosunkami towarzyskimi w życiu B., przyczem prostuje datę jednego z listów miłosnych. Całość napisana jest płynnie, lecz nie daje wyczerpującego obrazu Beethovena, jako człowieka, co zapewne nie było zamiarem autora. Zresztą nie znajdujemy w tej rozprawce rzeczy nieznanych lub nieuwzględnionych w obcych biografiach Beethovena.

A. Ch.

W usługach Niemiec. *Maurycy Barrès*. Z francuskiego przełożył K. Scipio. Spółka wydawnicza w Krakowie. 1908. Str. 130.

Książeczka, ułożona w formie urozmaiconego opowiadania przez autora Francuza, opisującego nam na tle wypadków, wziętych z życia, walkę, jaka się toczy między szczepem romańskim a germańskim, walkę Francyi z Niemcami na ziemi pięknej Alzacyi. Przedstawia on despotyzm pruski (nowy dowód kwitnącej kultury), który for-

malnie stawia trudności rozwojowi tych prowincyi, oraz niechęć, jaka tam do Niemców panuje. Widzimy, iż mimo 30-kilkoletnich rządów, mimo zdolności aklimatyzowania się, nie potrafili oni żyć się z ludem tamtejszym i że zawsze traktują ich tam jako obcych, jako wrogów. Słowem w broszurce tłumacza mamy jeden więcej dowód, iż Niemcy na południowym-zachodzie podobnie, jak wschodzie uważani są za najeźdźców, za intruzów w szczepy obce, umiających jednak niestety zmuszać ducha narodów obcych do świadczenia usług sobie i swej kulturze.

St. B.

Europa i Polska do końca XVIII wieku.

Przez autora *»Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa«*. Kraków 1907. Str. 97.

Jest to w najgrubszym zarysie historia Polski, uwzględniająca przede wszystkim politykę zagraniczną. Autor przechodzi po kolei najważniejsze momenta historii, w których Polska wchodziła w stosunki przyjazne, i chwile, w których jej interesy krzyżowały się z interesami ościennych narodów.

St. B.

Idea słowiańska na Kaszubach. *Konst. Kościński*. Poznań 1908. Nakładem autora. Str. 27.

Zjazdy słowiańskie, a zarazem aktualna idea panslawizmu naprowadza autora na ciekawe rozmyślenia na temat nader troskliwej opieki Rosyi i zainteresowania się jej Kaszubami, które aczkolwiek wzrosło na podstawie naukowej, to jednak przekształciło się później w »szczególnego pokroju ideę słowiańską Ceynowa«.

St. B.

Ciekawe przypowieści. *J. Kwaśniewski.*
Str. 128.

Pojata córka Lizdejki. *Bernatowicza.*
Str. 128.

Dokąd idziesz Panie. Drukiem i nakładem Wydawnictwa Dziel ludowych K. Miarki w Mikołowie. Str. 292.

Samo motto umieszczone na czele pierwszego, wyżej wspomnianego dziełka świadczy o pięknym celu napisania niniejszego a zarazem i o sposobie, jakim autor chce wpływać na umoralnienie ogółu. Przemawia on na wzór ewangelii przez piękne i budujące przypowieści do umysłu młodzieży i dzieci, dla których ta książeczka winna być przedewszystkiem cenną skarbnicą wskazówek w życiu.

Następne, »Pojata«, traktuje opowiadanie każdemu dość znane; jest to książeczka wydana dla ludu a dzięki prostocie i jasności języka, zupełnie swemu celowi odpowiada.

Trzecie jest przeróbką oryginału Sienkiewicza »Quo vadis« niedostępnego dla wszystkich mas społeczeństwa. Dlatego zupełnie na czasie było rozpowszechnienie powyżej wspomnianego dziełka, starającego się zapoznać nasz lud z myślą najwybitniejszego pisarza i roztoczyć przed okiem czytelnika obraz życia pierwszych chrześcijan co za Chrystusa i dla jego nauki śmierć ponosili.

St. B.

Pamiętki po Piastach i Jagiellonach, pozostałe w wierzeniach, tradycji i zabytkach. *M. Offmański.* Warszawa 1905—1907.

Słownik miejscowości, w których znajdują się zabytki po Piastach i Jagiellonach. *M. Offmański.* Warszawa 1906—1908.

Bardzo pożyteczne to dziełko a raczej, jak to autor podaje w przedmowie, dziełko w dwóch częściach, których tytuły na wstępie podajemy. Zebrał w nich autor to wszystko, co

wiadomo o pamiątkach po Piastach i Jagiellonach w ten sposób, że czytający ma łatwy przegląd i nie trudno odszukać zabytek, o którym chcemy zasięgnąć u autora bliższych szczegółów.

Część pierwsza ma inny układ, niż druga. Na początku zestawienie wiadomości o Wszechnicy Jagiellońskiej i jej fundatorach. Dalej zwyczaję i różne urządzenia za Piastów i Jagiellonów. W dalszym ciągu: grobowce i wizerunki Piastów i Jagiellonów, wiadomości o Piastach mazowieckich i śląskich, pamiątki po Piastach i Jagiellonach w kościołach, skarbcach, muzeach i zbiorach prywatnych.

O ile układ tego tomu nie jest dość systematyczny i nastrocza trudności w korzystaniu z niego, o tyle część II odznacza się układem wzorowym. Autor dzieli obraz dawnej Polski na Królestwo Polskie, Litwę i cesarstwo rosyjskie; Galicya, W. Ks. Krakowskie, Śląsk, Spisz, Bukowina. W każdej z tych części w porządku alfabetycznym podaje miejscowości oraz wzmianki, jaki zabytek w niej się znajduje.

A. B.

Trzy plagi ludzkości: alkoholizm, nikotynizm, morfinizm. Odczyt *dra Józefa Bogdanika*, wygłoszony w Towarzystwie Opieki nad ubogą młodzieżą szkolną w Krakowie. Przedruk z »Rodziny i szkoły«. Lwów 1907.

Autor w sposób treściwy i popularny przedstawia ze stanowiska lekarskiego njemne skutki używania alkoholu, nikotyny i morfiny. W zasadzie jest przeciwnikiem jakiegokolwiek ich używania, jednak robi koncesję na rzecz umiarkowanego użycia, występując tylko stanowczo przeciw przekroczeniu miary.

Ri.

Rok więzienia 1864/5 w X pawilonie warszawskiej cytadeli. Z pamiętnika ** wydany staraniem b. redakcyi wydawnictwa materiałów do historii powstania polskiego z r. 1863/4. Lwów 1907.

Pamiętnik jeden z najciekawszych. Wprowadza nas po trosze za kulisy akcyi komitetu powstańczego w Warszawie, a potem do tajników X pawilonu, tak osławionego w naszej martyrologii. Przedstawia sposób prowadzenia śledztwa, bardzo... średniowieczny, życie w więzieniu, a wreszcie sposób, w jaki autor zdołał się uwolnić, sposób nie tak znów skomplikowany dla rozporządzających odpowiednim zapasem środków pieniężnych.

E.

Okólnik papieża Leona XIII o sprawie robotniczej. Z przedmową i objaśnieniami ks. d-ra T. Trzińskiego. Lwów 1907.

Znaną encyklikę *Rerum Novarum* przełożył ks. dr. Trziński na język polski, podając w części drugiej, streszczając ją w sposób przystępny dla warstw mniej wykształconych.

Jak sama encyklika odbiła się głośnie echem w całym świecie, tak jej uprzyściplenie należy poczytać za wielką zasługę szczególnie wobec tych, których sprawy tak mądrze a gorąco omawia.

L.

Dziecko zdrowe i chore. Poradnik dla matek i ojców troskliwych, Ks. *Sebastyan Kneip*. Wydanie czwarte. Kraków — Warszawa 1907.

Znane są w świecie metody leczenia i poradniki ks. Kneipa. Nie przypisując sobie kompetencji do ich fachowej oceny z obowiązku sprawozdawcy zaznaczamy, że ukazało się w polskim języku wydanie czwarte

poradnika co do pielęgnowania i leczenia dzieci.

Autor daje w nich rady, jak powinni pielęgnować się rodzice, a szczególnie matka, jak pielęgnować dziecko zdrowe w różnych okresach wieku, by je zdrowo wychować i o ile można ustrzedz od choroby, a wreszcie jak leczyć w różnych chorobach. Wkońcu omawia autor pożywienie, jakie można i należy dawać dzieciom, względnie czego nie można podawać.

A. B.

»Biblioteka krakowska« nr. 38. *Józef Gollenhofer. Rewolucya krakowska 1848 roku.* Kraków 1908.

Towarzystwo miłośników historii i zabytków Krakowa, którego sprawozdanie za rok 1907 mamy przy końcu tego tomu, wydaje obok »Rocznika krakowskiego« »Bibliotekę krakowską«, której 38 t. chcemy omówić.

Pan Gollenhofer kreśli w nim dzieje świeżo jeszcze znane z tradycyi starszego pokolenia, rewolucyi krakowskiej z r. 1848. Zaczyna od aneksyi Krakowa w r. 1846 i z niej wywodzi genezę ruchu w r. 1848. Dolatują nas w przedstawieniu autora echa rzezi i powstania z r. 1846, poznajemy uśposobienie i ducha Krakowian po jego zajęciu, widzimy jak postępował rząd austriacki, by wprowadzić w Krakowie swój system i swoją administracyę. Na to przychodzi rok 1848, rewolucya w Sycylii i we Francyi, agitacya i ruch liberalny w całej Europie, między innemi w stolicy Austrii. To wszystko poruszyło i Kraków, tworzą się komitety, żądają tworzenia gwardyi narodowej, uzbrojenia jej, jadą deputacye do Wiednia, słowem miasto przybiera fizyognomję niezgodną z wolą i systemem jego władców. Autor kreśli sylwetkę starosty cyrkularnego Kriega, jego sto-

sunek do ruchu w Krakowie, a wręczenie jego wycofanie się i oddanie władzy komendantowi wojskowemu, co spowodowało cofnięcie danych już przyrzeczeń i bombardowanie.

Dzieło omówione należy powitać z radością, utrwala obraz z przeszłości nie tak dawnej, który jednak zacierają się już powoli w oczach obecnego pokolenia w miarę, jak ubywają świadkowie opisanych wypadków.

A. B.

Prim und Komplet des römischen Breviers liturgisch und aszetisch erklärt. Von *Dr. Nikolaus Gühr.* Gr. 8-vo (VIII u. 342). Freiburg 1907. Herder.

Książka ta ma wypełnić lukę w katolickiej literaturze teologicznej, w której dotąd brakowało praktyczno-ascetycznego wytłumaczenia i objaśnienia brewiarza. Przy ustawicznym powtarzaniu tych samych modlitw, psalmów i hymnów łatwo się wpada w jakąś bezmyślną rutynę; bo, *quotidiana vilesunt!* Temu niebezpieczeństwu zapobiega się najlepiej przez częste rozważanie tekstu pacierzy kapłańskich. Dlatego to obrał autor, znany już dobrze z swych gruntownych prac, zwłaszcza z dziedziny liturgiki, prymę i kompletę, ponieważ są mniej więcej stałe i jakby modlitwą ranną i wieczorną Kościoła. Technice z tej książki głęboka pobożność i gruntowna nauka, tekst pięknie jest przeplatany odpowiedniami zdaniem z Piśma św., z Ojców św. i pisarzy kościelnych, oraz z liturgii. Nadto wiersze i głębokie sentencje rozmaitych pobożnych autorów i autorek dodają tej książce dużo powabu. Materiał nagromadzony jest ogromny i dostarczy modlącemu się kapłanowi myśli pobożnych na długi czas. Dlatego

to dziełko wszystkim, którym zależy na doskonałym odmawianiu pacierzy kapłańskich, odda prawdziwie wielkie usługi.

R. M.

Das feierliche Gelübde als Ehehindernis in seiner geschichtlichen Entwicklung dargestellt von *dr. Anton Scharnagl.* (Strassburger theol. Studien IX. Band, 2 u. 3 Heft), gr. 8, (VIII u. 222). Herder.

Autor omawia w tej nadzwyczaj gruntownej pracy uroczysty ślub czystości, jako przeszkodę małżeńską i przedstawia zarazem bardzo jasno rozwój historyczny tegoż ślubu. Rozróżnienie między ślubem pojedynczym a uroczystym praktycznie było znane już dawno przed wprowadzeniem do szkół terminologii Gracyana. Również wiadano o tem, że uroczysty ślub czystości stanowi przeszkodę zrywającą, jeszcze zanim synod w Troislé (909 r.) to po raz pierwszy wyraźnie orzekł, a drugi sobór laterański (1139 r.) to postanowienie jako ustawę powszechną na cały Kościół rozciągnął. W kwestyi, czy przeszkoda małżeńska, wynikająca z święceń kapłańskich, opiera się na ślubie uroczystym, składanym przy przyjmowaniu subdyakonatu, czy raczej na pozytywnem prawie Kościoła, autor przemawia za zdaniem drugim, przytaczając wcale poważne dowody. Zdania tego, aczkolwiek z każdym dniem nowych sobie zyskuje zwolenników, jednak bynajmniej nie można jeszcze uważać za bezwzględnie pewne. Literatura bardzo dobrze wykorzystana. Starannie wykończony dziełko gorąco polecić można wszystkim, którzy się zajmują teologią moralną lub prawem zakonnem. Przedewszystkiem stanowi ono ważny i nader cenny przyczynek do historii prawa kościelnego.

R. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ze spraw
religijnych
w Anglii.

Bliższe i dokładniejsze wiadomości o nowej angielskiej ustawie szkolnej przynosił *Przegląd* różnymi czasami. Tą ustawą, która usuwała w zupełności aktualne wykłady religii ze szkoły ludowej a możliwość ich takimi obwarowała warunkami, że w praktyce była ona wprost iluzoryczną, uczuł się dotkniętym ogół tak anglikańskiej, jak i katolickiej ludności. Ta sama ustawa zgotowała też parlamentowi i rządowi bardzo niemiłą niespodziankę w formie odrzucenia projektu przez Izbę lordów. Ten krok ze strony Izby lordów, o ile wywołał wprost entuzjazm u opozycji i w szerokich sferach, o tyle do najwyższego stopnia podrażnił i rozgorączkował obóz rządowy i odpowiednie stronnictwo parlamentarne; rząd i partya rządowa w parlamencie postanowili wytoczyć więc Izbie lordów walkę.

Nerwy są jednak w polityce złym doradcą. Rząd wniósł po raz drugi nową ustawę, a chcąc jej zapewnić znaczną większość deputowanych parlamentarnych, tak żeby powiedzieć można, iż jej przyjęcie jest rzeczywiście wyrazem woli narodu, użył środka który z całej tradycji liberalizmu konsekwentnie wypływa. Nawiał stosunki z protestantami, pominął katolików, jak gdyby

oni w tej rzeczy nie do powiedzenia nie mieli, uczynił protestantom pewne ustępstwa, i ogłosił, że anglikanie ustawy tej żądają i w jej obronie do walki staną. Zdawało się, że projektowi rządowemu nie grozi już żadne więcej niebezpieczeństwo, gdy nagle wyszło na jaw, że anglikanie bynajmniej na projekt rządu się nie zgodzili i że rząd fałszywą tę pogłoskę puścił w kurs w tym jedynie celu, aby opozycję do dalszego oporu zniechęcić.

Los ustawy był w tej chwili zadecydowany. Rząd projekt cofnął, oszczędzając sobie tym sposobem jednej jeszcze klęski: ponownego odrzucenia przyszłego prawa przez Izbę lordów. Powtórne odrzucenie, choćby nawet parlament ustawę szkolną był przyjął, było pewne i rząd je przewidywał, dlatego też na nowo szukać począł środków do osłabienia a może i do zupełnego zneutralizowania wpływów Izby lordów.

Nie było to łatwym zadaniem. Rząd nie czuł się panem sytuacji, nie był pewnym usposobienia ludności a pogróżki o rozwiązaniu parlamentu i rozpisaniu nowych wyborów nikt nie brał na seryo, nawet sam rząd. W ostatnich dopiero tygodniach położenie trochę się zmieniło i weszło na tory dla rządu pomyślniejsze.

W parlamencie zawiązał się bowiem blok, liczący około dwustu członków, a mający na celu pchać rząd do energiczniejszych kroków przeciwko Izbie lordów i wspomagać go wszelkimi siłami w tej walce. Na czele bloku stoi Brunner, który wystosował już odpowiedni memoriał do premiera Asquitha.

Rząd pochwycił w lot okazję. Na przyjęciu w liberalnym klubie zaatakował Asquith ostro Izbę lordów i zarzucił jej, że nie zachowuje w przyjmowaniu lub odrzucaniu projektów rządowych tradycją uświęconych zwyczajów, że naraża na gorzkie upokorzenia rząd, tak, że panowaniu Izby lordów trzeba raz koniec położyć, tembardziej, że dla tej Izby nie istnieje żadna odpowiedzialność i że nie może ona twierdzić, jakoby przedstawiała jakichkolwiek wyborców.

Z tej mowy widać wprowadzić na pierwszym miejscu wpływające z obrażonej miłości własnej podrażnienie, można je-

dnak z niej równocześnie wyciągnąć i wniosek, że rząd zechce istotnie panowaniu Izby koniec położyć. Czy mu się to uda, inne pytanie.

Nie naszą rzeczą wdawać się w ocenę trudności, jakie rządowi w Anglii zgotuje jeszcze obecna jego polityka w kwestyi bałkańskiej; faktem jest, że mnożą się różne trudności wewnętrzne. Nie tak dawno temu odważyli się deputowani irlandcy, a z nimi i wybitni Anglicy, jak lord Talbot, brat księcia norfolckiego, postawić premierowi w parlamencie pytanie, kiedy wreszcie zostanie wniesiona ustawa, nadająca katolikom angielskim równouprawnienie w życiu publicznem. Minister odpowiedział, że jest to zupełnie niemożliwem, lecz tą odpowiedzią pogłębił jeszcze przepaść nie tylko między sobą i katolikami, ale i rozumniejszymi z Anglikanów.

Obecnie stanęła znowu na porządku dziennym kwestya osławionej przysięgi koronacyjnej. Ta przysięga, nazywając naukę katolicką o mszy *sy* np. i Komunii zabobonem i bałwochwalstwem, jest ciągłą i ciężką obrazą katolików. Od dawna też wytyżali katolicy angielscy wszystkie siły, by z tej przysięgi wyłączyć momenty obrażające. W ustępstwach dla anglikanów poszli oni bardzo daleko.

Głośny dziś na całą Anglię kaznodzieja, ks. Vaughan, w kazaniu wygłoszonem trzynastego grudnia w katedrze westminter-skiej, położył szczególny nacisk na to, że katolicy nie myślą bynajmniej o tem, by przysiędze tronowej odebrać jej charakter protestancki, nie uczują się nawet dotkniętymi, gdyby przysięga zawierała jakiś ustęp przeciwko katolicyzmowi lub więcej, jak dotychczasowa formuła, uwzględniała protestantyzm monarchy; żądają jedynie tego, by wyjęto z przysięgi ustęp obrażający Kościół katolicki i katolików samych. Bardziej pojednawczego stanowiska już chyba zająć nie można.

I znowu ku utrapieniu ministrów weszła w grę Izba lordów. Lord Braye zapytał bowiem, czy rząd jest gotów odpowiedni ustęp z formuły przysięgi wyłączyć. Lord Crewe odpowiedział imieniem rządu, że sprawa była już wzięta pod rozwagę i że prawdopodobnie w krótkim czasie zostanie postawiony dotyczący

wniosek, któryby obie strony zadowolnił. To samo stwierdził w parlamencie Asquith.

Odpowiedź jest wprawdzie bardzo niezdecydowaną i mglistą, ale i ta sprawa dla rządu nie przedstawia się zbyt różowo. Na razie miała ona epilog trącący mocno humorystyką. Związek protestancki wystosował do Izby lordów i wybitniejszych członków angielskiego parlamentu memoriał, w którym wywodzi, że przyjęcie żądań katolickich naraża tron na niebezpieczeństwo, że jest ono sprzysiężeniem przeciwko tronowi i konstytucyi, że rząd i Izba lordów, nie odrzucając *a limine* projektu, są tylko ślepem narzędziem w ręku zagranicznych spiskowców, których główna kwatera znajduje się w Rzymie a których szefem jest generał Jezuitów. Spiskowcy ci postanowili pozbawić króla angielskiego tronu a królową ogłosić katolicką księżniczkę bawarską.

Tak pisano w oświeconym i szczycącym się swym postępem wieku dwudziestym.

Z walk
katolików
włoskich.

Obowiązujący dawnymi laty wykład religii w tych włoskich szkołach ludowych, gdzie rodzice się go domagali, został ostatnimi czasami zniesiony i pozostawiony do woli rad gminnych, z tem jednak zastrzeżeniem, że gdzie one na naukę religii się nie zgodzą, mają rodzice prawo zażądać od gminy bezpłatnego użyczenia odpowiedniego lokalu, w którymby prywatni, przez rodziców proponowani nauczyciele, wiadomości religijne dzieciom przyswajali. Ten wypadek zaszedł obecnie w szkołach rzymskich.

Rada miejska, korzystając z nowego prawa, wprowadziła je w czyn, nie obejmując nauki religii programem szkolnym. Skutkiem tego rodzice rzymscy oglądają się za odpowiednim budynkiem i są zdecydowani zażądać go od rady miejskiej; rada ma jednak podobno zamiar, opierając się na pewnych, niejasnych określeniach prawa, temu przez ustawę przewidzianemu życzeniu się sprzeciwić. A uczynić to będzie mogła prawdopodobnie tem łatwiej, że rodzice katolicy nie mają prawie żadnych funduszy dla utrzymania i opłacania prywatnych nauczycieli.

Zawiązał się wprawdzie w tym celu komitet, który zebrał dwanaście tysięcy lirów, która to suma w zupełności nie wystarcza; przyszłość prowadzi więc do nowych walk i do nowych ofiar. »Trzeba, pisał prezydent komitetu, katolicką ludność Rzymu przyzwyczajać powoli do ofiar na rzecz własnych szkół, choćby dlatego, że przyjdzie pewnego dnia utrzymywać także i te niezależne szkoły, które są celem katolickiej organizacyi szkolnej i mniej lub więcej bliskiej przyszłości«. Przyklasnąć tylko można temu projektowi, choć trudnem będzie jego zrealizowanie; lud i ubogi i do ofiar na rzecz katolickiej sprawy nie bardzo pochoptny.

Równocześnie, więcej jeszcze jak w listopadzie, zajmuje się i kłóci katolicka prasa włoska o przyszłe wybory do parlamentu. Zaledwo ucichła wrzawa, wywołana przez *Unione elettorale cattolica*, o której pisaliśmy w zeszłym zeszycie *Przeglądu*, a już turyńska *Stampa* przynosi wiadomość, że mimo wszystko katolickie stronnictwo w parlamencie włoskim w każdym razie powstanie.

Corrispondenza Romana wypowiedziała się ostro przeciwko »katolickim deputowanym w katolickiem centrum«. Odpowiedziano jej na to z przeciwnej strony, że nie chodzi tu bynajmniej o »katolickie centrum«, lecz o to, by zebrać uczciwe żywioły w stronnictwo nie wyznaniowe, lecz czysto polityczne, w dobrem tego słowa znaczeniu konserwatywne a oparte o zasady chrześcijańskie, któreby umiało stawać w obronie sprawiedliwości, gdy tego będzie potrzeba a więc i w obronie praw Kościoła i wiary.

Nie wchodzimy tu w kwestyę, czy takie pojęcie rzeczy da się pogodzić z zapatrywaniem panującemi w kuryi, zdaje nam się jednak, że jest ono conajmniej utopijne. Chrześcijańskie i pozytywne elementy znajdują się dzisiaj we Włoszech w mniejszości, czy to liczebnej, czy przynajmniej spowodowanej przez ciągły rozdzwiek i rozdzielenie we własnem łonie. Kurya dobrze to rozumie i o tem pamięta, i dlatego nie chce już dzisiaj stawiać wszystkiego na jedną kartę.

Więcej jeszcze zamieszania wywołało twierdzenie głószonego przywódcy górno-włoskich katolików, Medy, ogłoszone dzisiaj.

tego grudnia w socyalistycznym *Avanti*. Miał się on wyrazić stanowczo, że w najbliższych wyborach wezmą katolicy, jako stronnictwo zorganizowane, walny udział. Przeciwno temu twierdzeniu Medy zwrócił się jedenastego grudnia *Osservatore Romano*, który prawdziwości tej pogłoski nie zaprzeczył, lecz przypomniał za to, że i dziś rzeczy stoją tak samo, jak w roku 1904, że więc katolicy tylko wyjątkowo i w razach przez władzę kościelną dozwolonych mogą wybierać i być wybranymi. Jeszcze silniej potępił *Osservatore* tych, którzy w wątpliwość podają skuteczność polityki powstrzymywania się a twierdzenie Medy nazwał »nieszczęśliwem w wygłoszonych poglądach i zapatrywaniach, dość nieroztropnem, ale przedewszystkiem bardzo nie na czasie«.

Jaki obrót cała ta dyskusya i polemika weźmie, trudno przewidzieć; nadziei w każdym razie nie budzi ona wielkich.

Ostatecznie być może, że prawdziwie duchem Chrystusowym przejęte zachowanie się Piusa X wobec ludności, tak strasznym ciosem w południowych Włoszech dotkniętej, jego pragnienie, jeżeli gazetom wierzyć wolno, zwiedzenia okolic przez trzęsienie ziemi nawiedzonych, aby nieść słowa pociechy i uczynki miłosierdzia i jego tak chrześcijańskie słowa: »przed polityką idzie miłosierdzie«, — być może, że to wszystko trochę przynajmniej wpłynie na ukształtowanie się znośniejszych stosunków, choć dzisiaj i w to trudno uwierzyć. Zanadto rozbiegają się interesy obu stron.

Nowe a niesłychanie znamienne przyczynki do kwestyi, gdzie leży źródło a przynajmniej jedno z głównych źródeł walki, wypowiedzianej przez pewne austriackie sfery katolikom i główna zachęta do antykatolickiego i antyaustriackiego ruchu *Los von Rom*, podaje w różnych numerach organ chrześcijańsko-społecznych, wiedeńska *Reichspost*. Oto kilka faktów.

Na zgromadzeniach zwołanych w Innsbrucku, Wiedniu i Gracu, gdzie proklamowano ze strony Wszechniemców i stronnictw liberalnych »świętą wojnę« przeciwko katolikom, odgrywał głów-

wną rolę pruski pastor Mahnert, nieący obecnie stale w Marburgu światło czystej ewangelii.

Owszem, pruski główny zarząd administracyjny, wydał rozporządzenie, mocą którego pruskie kasy kościelne mają, stosownie do wpływu środków, dwa do pięć procent swoich dochodów obrócić wyłącznie na szerzenie ruchu *Los von Rom* w Austrii.

»Ruch *Los von Rom*, pisze z tego powodu *Reichspost*, który jak to jeden z protestanckich deputowanych w bawarskim Sejmie przyznał, jest równoznacznym z hasłem: *przecz z Austrią* (*Reichspost* ma tu prawdopodobnie na myśli dra Günthera, twierdzącego, że ten ruch pozornie tylko jest religijnym, w rzeczywistości zaś wyłącznie politycznym), będzie więc i w przyszłości sztucznie przez pruskie pieniądze podsycany i rozdmuchiwany. A niemiecka protestancka prasa, która dzień po dniu przypomina Austrii jej obowiązki sprzymierzeńca, cieszy się z tego i wzywa nieustannie koła protestanckie, żeby broń Boże! wyprawionym do Austrii podżegaczom środków nie odmawiały... Sądzymy, że jest to obowiązkiem miarodajnych czynników w państwie niemieckiem, jeżeli im zależy na dobrych stosunkach z naszą monarchią, raz położyć koniec tym burzycielom i rzeczywistym wrogom polityki przymierza. Któż bowiem ma wreszcie w Austrii prowadzić przychylną dla Niemiec politykę, jeżeli z cesarstwa płyną nieprzerwanie sumy do Austrii w tym celu, by walkę przeciwko katolickiej ludności podtrzymywać i wszechniemiecką, Habsburgom wrogą, *irredentę* popierać? Wszak ta polityka u Słowian z powodu zachowywania się Prus wobec Polaków nie jest bynajmniej popularną. Sąsiad, który nam nasz dom podpala albo przez swoich najemników podpalić każe, nie może być długo za naszego sprzymierzeńca uważany. Nad tem mogliby się zastanowić w Berlinie i wszędzie tam, gdzie wysyłani do Austrii podburzający i judzący pastorki i wszechniemieccy agenci swój zółd pobierają«.

Do tych i podobnych faktów dodaje od siebie *Kölnische Volkszeitung*: »Nie dziwi nas wcale, że Związek Gustawa Adolfa wspomaga gminy protestanckie w diasporze, ale to nie ma nic wspólnego z tak pod każdym względem potępienia

godną agitacją, jaką prowadzi Związek Ewangelicki, nie wspólnego z religijną i polityczną nagonką, zwracającą się przeciwko dynastji Habsburgów».

Porażka
centrum
w Poznań-
skiem.

Z gazet wiadomo już, że w Poznańskim okręgu Międzyrzecze-Babimost, gdzie odbywały się w połowie grudnia uzupełniające wybory do parlamentu niemieckiego w miejsce *von Gernsdorfa*, upadł kandydat centrum, proboszcz Roenspies, na korzyść konserwatywnego hr. Westarpa, mimo kompromisu, zawartego między centrum a Polakami. Z początku zdawać się mogło, jak gdyby Polacy zawiedli; dalsze jednak badanie rzeczy wykazało, że Polacy stali wiernie przy kandydacie kompromisowym, i na niego swe głosy oddali, a klęskę spowodowali wyłącznie niemieccy katolicy, których całe dwa tysiące głosowało za protestantem; kandydat centrum otrzymał od katolickich Niemców tylko około tysiąca głosów. Wina leży więc po katolickiej stronie niemieckiej.

Rzecz ta, rzucająca bardzo smutne światło na pewien kierunek tamtejszych stosunków nie da się uniewinnić, jest jednak zrozumiałą i może być wytłumaczoną.

Centrum niemieckie dużo względem kresów wschodnich zawińiło, narażało sobie często Polaków a, zaniedbując te części kraju, nie potrafiło sobie zjednać katolickich Niemców. Skuteczniejszą za to agitację rozwinął rząd, agitację, która w czasie wyborów przyjęła takie rozmiary i znamiona, że gdyby tu nie chodziło o rząd, sprawa znalazłaby epilog z pewnością przed kratkami sądowemi.

Urzędników i nauczycieli rząd do tego stopnia teroryzował, że ks. Roenspies na publicznem zgromadzeniu mógł powiedzieć: »nie biorę za złe nauczycielom, jeżeli głosować będą na kandydata konserwatywnego; gdyby tego nie uczynili, wysłanoby ich nad granicę rosyjską«.

Tak było w rzeczywistości. Pewien np. protestancki radca szkolny rozesłał do katolików okręgu, a na pierwszym miejscu do nauczycieli i urzędników cyrkularz, w którym wzywa ich do podpisywania odezwy, przemawiającej za protestantem. Odezwa

kończyła się uwagą: »jeżeli do siódmego grudnia nie otrzymam stanowczej odpowiedzi odmownej, uważać to będę za znak, że pan zgadzasz się na to, bym pańskie nazwisko pod odezwą podpisał«.

Łatwo więc zrozumieć, że wobec takiej presyi ci ludzie, których często z Kościołem, prócz imienia, nic nie łączy; którzy żyją w środowisku sobie obcym a nawet niechętnem; którzy zupełnie od rządu zależą a nie mają ani na tyle siły, aby stać twardo przy swych przekonaniach, ani nawet przekonań własnych; którzy przede wszystkim, jak na razie przynajmniej, nie mają nikogo, coby ich przed bezprawiem broił, a więc którzy nie znajdują w sobie zachęty moralnej, po za sobą żadnej pomocy — łatwo zrozumieć, że oni pójdą gromadnie za kandydatem rządowym, choć nie będzie on wyznawcą ich Kościoła.

Pocieszają się dziś wprawdzie tem, że z powodu teroru przez rząd na wybory wywieranego, legalność wyboru hr. Westarpy będzie w parlamencie zakwestyonowana — to jednak nie zmienia faktu, że nie w katolickich Niemczech znajduje centrum na kresach wschodnich swoich sprzymierzeńców i stronników. Być może, że ta porażka skłoni centrum, które Polakom i któremu Polacy wielkie oddać mogą usługi, do większych ustępstw, do lepszego zrozumienia naszego położenia i do energiczniejszego zajęcia się niem.

Ostatni
tryumf
Haeckla.

Profesor uniwersytetu w Jenie: bożyszcze wszystkich tych, którym na kształt kajdan ciążyą prawa Boże i chrześcijańska nauka o sprawiedliwości pozagrobowej; człowiek, który całe życie poświęcił wyrywaniu wiary ze serc i zwalczaniu Boga; autor wielu w tym kierunku wydanych dzieł, o których Paulsen powiedział, że czytał je »z uczuciem palącego wstydu« — święcił w tych dniach swój ostatni wielki tryumf.

Już dawniej zarzucano Haeckłowi różne rozmyślnie fałsze, jakich w swych pracach się dopuszczał; to go jednak nie powstrzymywało bynajmniej od dalszej działalności na tem samem polu. W ostatnich czasach pojawił się nowy przeciwnik w po-

staci dra Arnolda Brassa, który swoje zarzuty konkretniej sformułował i oskarżył Haeckla przed całym uczonym światem, że fałszował w swych dziełach ryciny embryonów w tym celu, by poprzeć swoją teorię rozwoju.

Jak zwykle, i teraz Haeckel, zamiast rzeczowej odpowiedzi, dał wymyślania i grubiaństwa, w używaniu której to broni zawsze celował. Brass podjął rękawicę i odpowiedział jeszcze dobitniej i bardziej jeszcze rzeczowo; Haeckel nie mógł dłużej już milczeć, jeżeli słabnąca z dniem każdym aureola nie miała zupełnie zgasnąć.

Odpowiedź na zarzuty Brassa umieścił w znanej z najgorszej strony *Berliner Volkszeitung*. I tu nie sprzeniewierzył się swojej dawnej naturze a przyciśnięty do muru rzuca na wszystkie strony wyrażeniami, jak »podły pamflet«, »świadome przekształcanie nauki«, »obłudne twierdzenia«; wreszcie jednak zdoława się na krok stanowczy.

»Aby, pisze, raz koniec położyć całej tej hałaśliwej kłótni, przyznaję ze skruszonym sercem, że mała część moich licznych rycin embryonów (może sześć lub osiem na sto) jest istotnie (w tem znaczeniu, jak to dr. Brass pojmuje) »fałszowana« — a mianowicie wszystkie ryciny tych embryonów, których materiały obserwacyjny był tak niedokładny lub niewystarczający, że chcąc odtworzyć cały ze sobą się łączący łańcuch ewolucyi, byłem zmuszony luki wypełnić hipotezami i przez porównawczą syntezę zrekonstruować brakujące człony«. Haeckel powołuje się jeszcze na to, że ma współwinnych np. autorów różnych podręczników szkolnych, którzy również nie podają rycin dokładnych; przypomina, że liczy już siedemdziesiąt pięć lat, co prawdopodobnie miało być momentem łagodzącym i kończy twierdzeniem, że nikogo sądownie ścigać nie będzie.

Tem przyznaniem się przyłożył Haeckel kamień na grób swego imienia. W swych pracach bowiem nie podawał on czytelnikom hipotez za hipotezy, lecz za fakta, i nie mówił nic o lukach, które »porównawczą syntezą« wypełniał, lecz znowu o konkretnych faktach.

Haeckel, pisze trafnie *Kölnische Volkszeitung*, »opuszcza

swoją katedrę profesorską pod zarzutem fałszu; znosi cierpliwie, że obalają jego powagę, jako badacza i niweczą jego honor; że całe jego postępowanie piętnują jako plamę na nauce niemieckiej. Wie chyba, co czyni. Tak czy owak, sprawa profesora Ernesta Haeckla jest dziś definitywnie załatwiona».

Z okazji
katastrofy
we
Włoszech.

W ostatniej dopiero chwili donoszą gazety i telegramy przerażające wieści o strasznem nieszczęściu, jakie do tknęło południowe Włochy a które pod gruzami miast i wiosek i w czeluściach ziemi pogrzebało tysiące i tysiące świeckich i duchownych, ludzi różnego wieku i różnych sfer. Gorzki ból chwytą za serce na myśl, jak bezbronnym jest ten sam człowiek, który się tak szczyci swoją potęgą i swoim postępem wobec niszczących sił i jak mało potrzeba, żeby z pośród radości i uciech ciało znalazło się nagle w ciemnem łonie ziemi, a dusza w obliczu odwiecznej Sprawiedliwości.

Jedna tylko okoliczność ból ten łagodzi. Wszystkie kraje, bez różnicy wyznania czy narodowości, spieszą nietylko ze słowami współczucia, ale i z wydatną pomocą i z czynem. Wobec żywiołowej katastrofy ustają niechęci i waśnie, człowiek w człowieku widzi swego brata; wszystkie koła i wszystkie ludy ożywia ta sama miłość, na dnie której znajduje się ostatecznie duch Chrystusowy. Tem bardziej przykro, że i takie chwile pragną wykorzystać niektórzy do celów, nie licujących bynajmniej z powagą położenia. Wiedeńska *Armeezeitung* wzywa Austryę do natychmiastowego wydania wojny na kilka frontów, między temi i Włochom, które obecnie mają u siebie dosyć do czynienia. Inne jeszcze pisma uszczypliwie donoszą, że wielką radość wywołało w Watykanie uratowanie arcybiskupa Mesyny — jego śmierć bowiem szerzyłaby w szerokich warstwach ludu przekonanie, że i stan duchowny podlega zgubnej działalności sił przyrody a tem samem zmniejszałaby *prestige* kleru.

Nie do człowieka należy roztrząsać lub tłumaczyć wyroki Opatrzności, co tak ciężko dotknęła tych ludzi, ku którym zwraca się dziś współczucie całego świata, trudno nam jednak pominąć milczeniem fakt, który w związku z trzęsieniem ziemi cieka-

wego nabiera zabarwienia. Fakt ten podają *Giornale d'Italia*, *Il Momento* i inne pisma włoskie.

Wychodzące w Mesynie humorystyczne antyreligijne pismo *Il telefono* umieściło w numerze gwiazdkowym bluźnierczy wiersz, wydrwiwający nowennę do Dzieciątka Jezus. W wierszu tym znalazła się następująca zwrotka: *O bambino mio — vero uomo, vero dio — per amor della tua croce — fa sentir la nostra voce — tu che sai, che non sei ignoto — manda a tutti un terremoto!* We wolnem tłumaczeniu: »O moje dzieciątko, prawdziwy człowiecze, prawdziwy Boże, Ty, który wiesz, że jesteś znany, wysłuchaj przez miłość twojego krzyża naszego głosu i zeslij wszystkim trzęsienie ziemi«.

Dwa dni później bluźniercze życzenie się spełniło. Mimo woli przypominają się podobne objawy na Martynice przed groźnym wybuchem *Mont-Pelé*.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z dziedziny geografii.

Czy Andrée odnaleziony? — Trzęsienia ziemi — Nawodnienie Patagonii.

»Kopenhaga 11 listopada: Storn, kapitan duńskiego okrętu »Juga« donosi, że Chalker, kapitan okrętu »Pelops« znalazł podczas swej podróży po północnej części półwyspu Labrador, niedaleko przyładka Mugora, prosty krzyż z napisem »Andrée«. Pod krzyżem leżało pogrzebane ciało mężczyzny, oraz skrzynka z papierami«.

Takie telegramy zamieszczały przed miesiącem wszystkie światowe gazety. O szczegółach obiecywano — jak zwykle w takich wypadkach — donieść później, po odcyfrowaniu pism, zawartych w skrzyni. Ale nie odrazu dowiemy się o ich treści: przewiezienie papierów z krajów tak odludnych i pozbawionych komunikacji jak Labrador, a następnie odcyfrowanie ich, zajmie jeszcze niemało czasu. Tymczasem, zanim się odczyta te pisma, kilku najwybitniejszych podróżników podbiegunowych, jak Nansen, Amudsen, oraz prof. Nathorst i Hamberg zabrali głos w tej sprawie, ale zapatrują się oni na ten rzekomy grób Andréego bardzo sceptycznie. Dlaczego? Każdy, ktokolwiek tylko

pamięta szczegóły z tej nieszczęśliwej wyprawy, musi dojść do tego samego wniosku.

A wiemy dotychczas o tym podróżniku, że wzniósł się on balonem w towarzystwie Frankla i Strindberga ze Szpicbergu, dnia 11 lipca 1897 roku. Wziął ze sobą 40 gołębi pocztowych, aby za ich pomocą dawać o sobie wiadomości. Nadaremnie jednak pozostawieni na Szpicbergu towarzysze wyczekiwali nadlatujących gołębi. Dopiero 22 lipca zoczyli pierwszego gołębia. Depesza, jaką przyniósł ten gołąb, datowana 11 lipca, donosiła, że na balonie wszystko jaknajlepiej; areonauci odbyli już drogę 400 km. na północ, i znajdowali się na wysokości pod 82° a 15° wsch. długości. Ze wszystkich innych gołębi tylko o jednym jeszcze doszła nas wiadomość, którego Andréé wysłał d. 13 lipca o godz. pół do 1 pop., a którego w tymże samym dniu złapano na pokładzie statku »Alken« nieco na północ od Szpicbergu.

Oprócz gołębi zabrał Andréé ze sobą 9 »boje«. Są to mocne metalowe puszkę, przeznaczone na to, by w nich żeglarz mógł umieszczać wiadomości o sobie, a następnie rzucać do morza, na los fal. Ta oryginalna poczta, niesiona falą morską bodaj po latach dostanie się przecież do rąk ludzkich.

Ze wszystkich »boje«, jakie rzucał Andréé, doszły nas tylko 4. Z tych dwie znaleziono na wybrzeżu Islandyi (jedną w r. 1899, drugą w r. 1900) a jedną na wybrzeżu Grenlandyi (w r. 1899), ale była ona tak rozbita, że list jaki się znajdował wewnątrz musiał zagać.

Na podstawie tych wiadomości, jakie nam Andréé w ten sposób zapomocą tych to »boje« oraz obu gołębi przesyłał, możemy obecnie wnioskować:

1) że Andréé był prawdopodobnie u bieguna, ponieważ z góry już się umówił, że jeżeli będzie u bieguna, to rzuci pustą »boję«, bez listu. »Boje« takie znaleziono w kraju króla Karola d. 12 list. 1899 r.

2) Pewnem jest, że Andréé zaraz po wznesieniu się płynął z wiatrem w kierunku północnym. Rychło jednak pod wpływem wiatru zmienił balon swój kierunek ku zachodowi tak, że już po 9 godzinach drogi znajdował się Andréé na zachodnim brzegu Grenlandyi, zrobiwszy w tym czasie drogę około 700 km. Stąd zmienny ustawicznie wiatr uniósł go znowu prawie tą samą drogą z powrotem na wschód, tak że po 46 godzinach jazdy Andréé był prawie na temsamem miejscu, z którego rozpoczął swą drogę. I albo tutaj, niedaleko Szpicbergu, uległ jego balon katastrofie, albo, jeżeli go wiatr nieco

dalej uniósł, zginał koło północnych wybrzeży Azji wschodniej, a nie w Labradorze, t. j. aż na półn.-wschodnich wybrzeżach Ameryki.

A zresztą, dodaje Nansen i inni, chociażby nawet wiatr zapędził Andréego aż do Labradoru, jednak jest to rzeczą trudną do przypuszczenia, żeby w ciągu 10 lat nikt z Eskimosów nie natrafił na jego grób, lub na ślad jego towarzyszków, — a przedewszystkiem żadna z tych wypraw, jakie podejmowano pod hasłem odnalezienia zwłok Andréego.

Wreszcie jeszcze jedna praktyczna trudność. Skąd krzyż na grobie Andréego? Przecież nie zabrał go on ze sobą do balonu, ani nie znalazł wśród lodów. Kto malował napis na krzyżu? Zapewnie towarzysze Andréego. Ale skąd wzięli farbę do malowania napisu? Jeśli Andréego grzebali towarzysze podróży, coś się z nimi samymi stało? Dla czego śladu po nich niema?

Wogóle trzeba przyznać, że sprawa pozostaje dotychczas zagadką, niejasną nawet co się tyczy obecnego znalezienia zwłok. Inny n. p. telegram z N. Fundlandyi donosi, że wprowadzie na onym grobie kamiennym (nie krzyżu żelaznym) jest napis: Tu spoczywa Andrée Anstley, zmarły dnia 8 listopada 1897, ale rzekomych papierów ani śladu. A w Londynie, między interesującymi się sprawą Andréego podają sobie prywatną wiadomość jakiegoś doktora, Wilfryda Grenfell, zamieszkałego od lat w Labradorze, że nawet znalezienie grobu z nazwiskiem Andréego niczego nie dowodzi jeszcze, gdyż grób ten może zawierać zwłoki jakiego z nowofundlandzkich rybaków, którzy często odwiedzają te wybrzeża, a między nowofundlandczykami często napotyka się na takie same imiona: Anstley Andrée.

Wogóle niema roku, żeby wśród lodów północy śmierć nie karała tych śmiałych podróżników, co powodowani żądzą nauki, a więcej może i sławy, chcą swemi ludzkimi stopami deptać bieguny osi, na których wedle mniemania starożytnych obracała się kula ziemiska.

A jednak te lody nie odstraszały ludzi od coraz to nowych wypraw. Obecnie jeden ze znanych już podróżników, dr. Ewelyn Baldwin, chce jechać do bieguna na... olbrzymiej krze lodowej.

»Jeśli na krach lodowych przyjeżdżają do nas niedźwiedzie polarne — rozumuje on — dlaczego my nie moglibyśmy na takichże krach jeździć do bieguna?« Może i słuszne rozumowanie.

Plan wyprawy jest następujący:

Wszyscy podróżnicy (w liczbie 22 osób) mają wyjechać na okręcie do cieśniny Behringa (między półn. Ameryką a Azją) i tam do-

piero wsiąść na jeden z olbrzymich ruchomych lodowców; rozbija na nim wygodne obozowisko, a zaopatrzeni na trzy lata, razem z lodowcem będą powoli płynąć ku biegunowi.

Rzecz jasna, że twórca tego projektu jest amerykańcem, powie każdy z czytelników -- a to już wystarczy. I rzeczywiście, na pierwszy rzut oka zdawałoby się każdemu, że to czysty humbug jechać do bieguna na bryłę lodowej; boć bryła się roztopi, i cała wyprawa idzie na dno. Ale tak źle nie jest: Owszem, obecnie, dopóki się nie doczekamy rzeczywiście pewnych i pojemnych balonów do sterowania, niema zaiste pewniejszego środka komunikacyjnego w drodze do bieguna, jak wsiąść na górę lodową, i czekać, póki ona nie dojedzie sama do bieguna. W morzu nie roztopi się ona, ani nie rozbije łatwiej niż okręt; a jest dziś rzeczą prawie że pewną, iż prądy na morzu podbiegunowem będą wszystkie w kierunku bieguna. Próbowano nawet nieraz wykorzystać te warunki, ale cóż? Okrętu nie można wsadzić na krę lodową, łatwiej ludzi. A jeżeli w porze t. zw. zimowej całe morze zamrznie, to i po tej powłoce lodowej zaczynają się posuwać olbrzymie góry lodowe, pędzone wiatrem znowu w kierunku bieguna. Cóż trudnego dla wyprawy, jak wsiąść znowu na ten oryginalny statek i płynąć na nim w tym samym kierunku po lodowej fali do upragnionego celu?

*

*

*

Wobec strasznej grozy, jaka spadła na połud. Włochy, gdy cały świat poczuwa się do spełnienia przykazania o miłosierdziu chrześcijańskim, dla uczonych przybywa znowu coś z tego smutnego materiału, któryby mógł pozwolić na względnięcie w działania siły, kierowanej jakby niewidzialną ręką. Dziś jednak zawczasu jeszcze pytać, co nauka mówi o tym wypadku, gdy i trzęsienia ziemi się wciąż powtarzają, a nie można było jeszcze zbadać rozmiaru ich skutków, zmian w tektonice, gdy wogóle nie można było nawet należycie zarejestrować pierwszego trzęsienia, ponieważ było ono tak gwałtowne, że odrazu uszkodziło seismografy okolicznych stacji naukowych; o ile wiadomo, wyjątkowo w samej Messynie aparaty kreśliły przebieg trzęsienia.

Ale przy tej okazji, nad to wobec coraz częściej powtarzających się w ostatnich latach trzęsień ziemi, jakie i u nas dają się już odczuwać, mimowoli zwraca się bojaźliwie pytający o przyszłość zwrok do seismologii... Niestety nauka nie może dać uspokajającej na przy-

szłość odpowiedzi, jeśli wogóle może dać jaką pewną odpowiedź nauka, tkwiąca wciąż jeszcze w zaczątkach, chociaż w rozwoju swym, postępuje razem z innymi gałęziami wiedzy. Dziś dzięki znakomitym, coraz to ulepszanym narzędziom do rejestrowania trzęsień ziemi (seismografy), żadne drgnienie nie ujdzie uwagi badacza: a kierunek, czas trwania, odległość, wszystko to może przy pomocy aparatu wyczytać wprawne oko. Nadto przed kilku laty powstałe międzynarodowe towarzystwo seismograficzne, ułatwia pracę, bo wydając katalogi trzęsień ziemi, grupuje poszczególne zjawiska, obserwowane po wszystkich stacjach całego świata, i w ten sposób pomaga do wyciągnięcia daleko idących wniosków.

Chcemy tutaj wspomnieć o jednym takim wniosku, może dla nas mieszkańców środkowej Europy, mniej pożądanym, niemniej jednak przez to prawdopodobnym.

Obserwacje te zrobiono podczas onego głośniego trzęsienia ziemi we Valparaiso, (Chile) w r. 1906 dnia 16 sierpnia o godz. 8 wieczorem (czas miejscowy).

Ostatni katalog Tow. seismograficznego zamieszcza sprawozdania 78 stacji seismograficznych, które notowały owe trzęsienia.

Zestawiając te sprawozdania, widać, że trzęsienie miało swoje »źródło« koło wysp Aleuckich na Oceanie Spokojnym (między zachodnim wybrzeżem Ameryki Półn. a wschodnim wybrzeżem Azji). Fale tego wybuchu przebiegły w przeciągu pół godziny szaloną drogą około dziesięciu milionów metrów i tylko w kierunku poł.-wschodnim, do Chile (kilkaset kilometrów na wschód i zachód od Chile nie było żadnych wstrząśnień). Ale tutaj, we Valparaiso, w głębi, przywalone olbrzymie ciężkimi warstwami ziemi drzemały siły wybuchowe. I oto nadbiega od wysp Aleuckich fala — wstrząsnęła tylko lekko, całkiem niewinnie, tutaj skorupą ziemską. Ale wstrząśnięcie to obudziło olbrzymia; skorupa ziemska lekko wstrząśnięta nie miała już takiej odporności i nie mogąc wytrzymać prężności, z jaką napierały od głębi siły tektoniczne, pękła, powodując wielki wybuch, straszne trzęsienie miejscowe.

Podobnie więc i niewinne drgnienia ziemi, jakie czasem odczuwamy i w naszych stronach, mogą spowodować inne, wielkie miejscowe trzęsienie, jeśli przypadkiem gdzieś głęboko pod nami nagromadzone siły wybuchowe, jakby miny jakie, czekają tylko na podrażnienie.

Dotychczas nie można wykazać z absolutną pewnością, że obawy te powinny być płonnymi.

Jeden z uczonych, oparty na swych badaniach seismologicznych, stawia hipotezę, że ziemia składa się z dwóch części: zewnętrznej, kamienistej warstwy i wewnętrznego jądra z żelaza. Hipoteza to wprawdzie dawniejsza, ale obecnie mamy na to jeden dowód więcej.

Aparaty seismograficzne pokazują, że fale trzęsień idą też w głąb ziemi: zwykle jednak napotykają tam na jakąś przeszkodę i po pewnym czasie wracają odbite od czegoś twardszego. Żmudne rachunki nad pomiarem sił padania i odbicia oraz ich skutków, wskazują, że zapórę tę stanowiłoby powinno żelazo. A więc wewnątrz ziemi składałoby się z żelaza. W ten sposób potwierdzałyby się dawne teorie, kiedy to na podstawie przyciągania ziemskiego i pokrewnych zjawisk dochodzono do takichsamych wniosków.

* * *

Na południe nieco od tego nieszczęsnego Valparaiso, tylko z drugiej strony Andów leży Patagonia. Jest ona olbrzymim, bo prawie 800.000 km² rozległym nieużytkiem, a w całym kraju zaledwie tylko 1000 km² ziemi nadaje się pod uprawę. Przyczyną tego jest prawie zupełny brak wody. Są tam wprawdzie rzeki, ale przedstawiają tak niekorzystny dla kraju system wodny i w tak głębokich jarach płyną, że zupełnie nie udzielają glebie potrzebnej wilgoci. Pola przedstawiają się więc jakby jedna wielka pustynia.

Życia roślinnego tam prawie że niema: kaktus, opuntia i bezlistne krzaki, oraz gruba, nie nadająca się do paszy trawa stepowa, to całe bogactwo tej pustyni, tak, że nawet najpierwotniejsze gospodarstwo, wypasanie bydła, nie może się tam należycie rozwinąć. Obecnie postanowił rząd argentyński wyzyskać te nieużytki, dostarczając Patagonii sztucznym sposobem to, czego jej odmówiła natura, t. j. wody. U jednej z rzek (Rio Negro) urządzono już stację doświadczalną. Małemi maszynami (o sile 70 koni) pompuje się wodę rzeczłą do wysoko położonego zbiornika, skąd rozchodzi się ona korytami po polach stacji doświadczalnej. Doświadczenia okazały już w pierwszym roku świetny rezultat. I tam, gdzie dotychczas panowała głucha pustynia, i wiatr tylko tumany spalonego kurzu unosił, dziś tensam wiatr po raz pierwszy ugina falujące kłosa żyta a nawet i pszenicy. Dzięki nawodnieniu pustynię zamieniono na kraj rolniczy. Jest to, o ile wiadomo, pierwsze na tak olbrzymie obszary zastosowanie nawodnienia sztucznego zapomocą maszyn.

Wobec tak świetnie przeprowadzonej próby, rząd argentyński

wziął się rąco do budowy olbrzymich kanalizacyi i maszyn, celem nawodnienia pustynnego kraju, i tylko czekać, jak jakieś towarzystwo przewozowe rozeszle po naszych wsiach swoich agentów, którzy będą ciemnemu chłopu opowiadać o nowym ziemskim raju, jaki może znaleźć w Patagonii.

Ks. Kazimierz Konopka

Z wydawnictw katolickich.

Niegdyś uczono nas o olbrzymich pracach Cyklopów, po nich przyszła kolej na ogrom prac Rzymian, wnukom naszym zaś i prawnikom będą opowiadać o ogromie dzieł amerykańskich. Przywykli do rozległych rozmiarów przestrzeni w naturze, według niej kształtują swe dzieła czy to chodzi o ośmio czy dziesięciopiętrowe domy czy nawet o książki. Obecne wydawnictwo Encyklopedyi katolickiej jest tego żywym dowodem¹. Mamy przed oczami trzy pierwsze tomy, każdy o 865 stronicach cienkiego druku a dochodzimy ledwie do połowy litery C. Na każdy tom złożyły się prace dwustu kilkudziesięciu pisarzy, na koszt wydawnictwa setki ofiarodawców a muszą kosztować być bardzo spore, zważywszy staranność wydania, liczbę ilustracyi po części kolorowych, map geograficznych i t. p. Olbrzymim też jest zasób pracy w to dzieło włożony, zadziwiająca zwłaszcza dla nas rzeczą, że każdy z owej armii współpracowników stawiał się do apelu, że żaden swej pracy nie chybił. Dziwniejszą jeszcze jest jednolitość tonu, pomimo nierówności w obrobieniu przedmiotów. Ów ton z konieczności musi być chłodny, styl zwięzły, nabyty faktami i datami, jak w każdym leksykonie być musi. Nie są to oczywiście książki do »czytania«, ale źródło wiadomości wszechrzeczy, dotyczących z bliska lub z daleka naszą religię. Wybór przedmiotów poza sferą liturgii — musiał być bardzo trudnym: jakże np. orzec, którego króla lub cesarza umieścić na liście honorowej, gdy przez długie wieki wszyscy monarchowie

¹ *The Catholic Encyclopedia. An international work of reference on the Constitution, Doctrine, Discipline and History of the Catholic Church.* Edited by Charles G. Herbermann, Ph. D. L. L. D., Edward A. Pace Ph. D. DD., Condé B. Pallen Ph. D. LL. D., Thomas J. Shahan DD., John J. Wynne S. J. assisted, by numerous Collaborators. In fifteen Volumes. (New York, Robert Appleton Co).

Europy byli katolikami i brali dodatni lub ujemny udział w dziejach Kościoła? Jakież wybór uczynię między artystami, pisarzami i t. p.? Jakże nawet posegregować świętych? Na tym punkcie możnaby w wielu miejscach różnić się w zdaniu z wydawcami Encyklopedyi, którzy działali zbyt wybitnie *pro domo sua*, przechylając szalę na stronę wszystkiego, co jest i było brytyjskiem lub amerykańskiem. Rzecz jest znana, że Anglikanie nawróceni na katolicyzm mają się za nieco odmiennych a lepszych katolików od reszty śmiertelników innych narodowości. Może mają po części i słusność, ale w encyklopedyi »katolickiej«, to jest powszechnej, różnice te nie powinnyby dać się tak jaskrawo odczuwać. Zyska na tem pamięć wielu świętych ludzi i miejscowości Wielkiej Brytanii, zwłaszcza oczywiście Irlandyi: widzimy np. długi artykuł o mało znanej św. Brygidzie irlandzkiej, podczas gdy wielkiej św. Brygidzie szwedzkiej poświęcono tylko parę wierszy w artykule o zakonie Brygidek; nasza dycezyja chełmska załatwiona jest również kilku wierszami a angielskie lub amerykańskie cieszą się długim opisem. Możnaby mnóstwo takich nierówności przytoczyć ale pono uczynilibyśmy tak samo gdyby encyklopedia z pod polskiego wychodziła pióra — Częstochowa i Ostrobrama zajmowałyby poczesne miejsca a anglosaksońskie opactwa poszłyby w cień. Chcąc mieć katolicki leksykon istotnie powszechny, należałoby zalecić spisanie go różnym narodowościom a następnie z tych osobnych części jednolitą całość utworzyć. Na to jednak chyba wieki całe czekać wypadnie a tymczasem »ludy języka angielskiego« wyprzedziły nas w pracy.

Encyklopedyę nowoyorską możnaby podzielić na kilka działów: biblijny — bardzo szeroko i mozolnie opracowany, z żelazną stanowczością w twierdzeniach i zapalem, jaki rasa anglo-saksońska odczuwa zawsze i wszędzie do wszystkiego, co Starego Testamentu dotyczy; liturgiczny — nieoceniony dla czerpania wiadomości o pochodzeniu i znaczeniu form i przedmiotów kultu; teologiczny — którego ocenienie wymagałoby duchownego pióra; ogólnokościelny, zawierający szerokie artykuły o wszelkich instytucjach religijnych, regułach Zakonów, bullach papieskich i całej hierarchii Kościoła; geograficzny — przedstawiający obraz administracji duchownej wszystkich krajów, statystykę dycezyi, parafii w większych miastach, opactw, miejsc cudownych i t. d.; historyczny — ograniczony do monografii najsłynniejszych świętych całego świata i wszystkich świętych brytyjskich, papieży, różnych monarchów starożytności i niektórych nowszych (pod imieniem Karol np. figuruje tylko Karol Wielki, Karol V, cesarz i św. Karol

Boromeusz), dalej malarzy, rzeźbiarzy, architektów, muzyków, poetów i pisarzy, którzy albo pracowali dla Kościoła albo jawnie swe uczucia katolickie nosili. Tu oczywiście wybór był niełatwy i miejscami krytyk mógłby zapytać czemu jest ten a innych brak, ale niech kto spróbuje wszystkim dogodzić! Sąd historyczny wogóle bardzo obiektywny, od wszelkiego fanatyzmu daleki, ale też nie wpadający w kierunek przeciwny, jak to nieraz bywa (zwłaszcza niestety u nas) u niektórych katolików, wyobrażających sobie, że dają dowód oświeconego rozumu, gdy potępiają wszystko, co swoje i pozwalają wrogom wiary deptać po czei papieży, zakonów i — po historycznej prawdzie.

Jest jeszcze w Encyklopedyi to, co nazwaćby można działem naukowym t. j. określenie i historię rozwoju różnych gałęzi wiedzy z pewnym naciskiem na wpływ poszczególny katolickiego Kościoła. Tu miałoby się ochotę zaprosić do czytania te hordy niedouczonej półmędrków prawiących o obskurantyzmie naszej wiary, o wrogiem stanowisku Stolicy świętej względem wiedzy i potrząsających jakoby buńczukiem cieniami takiego Giordana Bruno lub Galileusza. Wielu też nie chce zrozumieć, że w czasach, gdy nauka była przeważnie udziałem duchowieństwa, mogli niektórzy uczeni księża lub nawet kardynałowie różnić się w zdaniu na polu naukowem z jakimś genialniejszym od siebie uczonym księdzem czy laikiem, co jednak wcale nie wciągało w sprawę Stolicy św. i nie przesądzało jej orzeczeń. Pod tym względem Encyklopedia prostuje sporo faktów mylnie przedstawianych i pojmovanych. Jeden z nich tylko przytoczymy np.: przyjęło się po świecie mniemanie, jakoby studia na ciele ludzkim zostały zabronionemi przez Kościół. Twierdzenie to oparto na bulli Bonifacego VIII, *De sepulchris*, z r. 1300, zakazującej istotnie krajania zwłok. Zakaz ten wszakże miał zupełnie inny cel i znaczenie: w czasach, w których został wydanym zdarzało się (snać dość często), że gdy kto znaczniejszy umarł daleko od rodzinnego grobu, gdzie go krewni pragnęli pochować, ćwiertowano zwłoki dla ułatwienia przewozu, lub też parzono je w ukropie tak, aby ciało odpadając od kości, zostawiło w całości szkielet nie ulegający zepsuciu. Tych oto barbarzyńskich praktyk zabronił edykt papieski, nie dotyczący bynajmniej anatomicznych studyów lekarskich, które nie przestały odbywać się zupełnie jawnie pod okiem Stolicy świętej. Z pisma wyciągnięto tylko kilka urwanych słów i hejże krzyczeń na ciemnotę Kościoła! Że zakaz krajania trupów był uzasadniony i że nie zawsze doznawał posłuchu, świadczy fakt, że jeszcze w końcu XVI wieku, gdy Don Juan d'Austria umarł w Niderlandach a wrogie

stosunki z Francją utrudniły przewiezienie jego ciała do Eskurialu poćwiertowano je i każdą część w osobnym worku przemycano konno aż za Pireneje, gdzie je napowrót zeszyto i odziewszy w zbroję, w stojącej postawie ukazano królowi. Filip II nie słynał z czułości, ale o mało nie zemdłał na widok tak ustawionych zwłok brata. Podobnie zdarzało się w XVI wieku w Niemczech, że po bitwie wykrawano z trupów tłuszcz ludzki w celach lekarskich.

Czyż i w owym »oświeconym« wieku Reformacyi nie byłoby się zdało powtórzenie zakazów zawartego w bulli *De sepulturis*? Ale dość o tem, toż o każdym z artykułów Encyklopedyi możnaby napisać rozprawę, tylko, że mało kto jest dość uniwersalnie uczonym, a zwłaszcza obeznanym z tajnikami hebrajszczyzny, egipto i assyryologii, mało kto doprawdy może w jednej głowie posiadać wiedzę kilkuset pracowników na polu nauki. Nie podobna jednak nie zwrócić jeszcze uwagi na szczegółowe wyłożenie wszystkich reguł zakonnych, tak często mało znanych i zapozdawanych przez ogół ludzi świeckich. Jak dotąd, t. j. od litery A do C, Benedyktyni pierwszorzędne zajmują miejsce *à tout seigneur, tout honneur*. Prócz bogatego materiału piśmiennego, wydawcy podali wizerunki głównych benedyktyńskich opactw i klasztorów, a między nimi nawet takich, które od dawna w Anglii stały się własnością świecką. Czytając powieści angielskie jest się uderzonym częstem dodawaniem wyrazu *Abbey* do nazw starożytnych dworów: samo to dowodzi wiele tam Reformacja anglikańska pochłonięła klasztorów. O Zakonie Bazylianów pisze też Encyklopedia obszernie; tak o katolickich, jak i o schizmatyckich; można jednak w opisie tym zarzucić niedokładność dla nas rażącą; pisze tam bowiem, że po rozbiórce Polski, wskutek prześladowań rządu rosyjskiego liczba unickich monasterów na Litwie »znacznie się zmniejszyła«. Widocznie ledwie echo tego, co się u nas działo i dzieje, dochodzi na tamtą półkulę. Chciałoby się też sprawdzić statystykę monasterów w Grecyi i u południowych Słowian, z której na kolosalną liczbę klasztorów wypada minimalna cyfra mnichów; w Czarnogórze np. ma na 11 monasterów być 15 mnichów, a zatem nawet nie po 1-2 na każdy klasztor? Że jednak w tak kolosalnem dziele mogą, a nawet muszą znaleźć się pomyłki, to nikogo dziwić nie może, wszak to praca rąk i umysłów ludzkich bez wątpienia błogosławionych ale nie inspirowanych z góry więc właściwościom rzeczy ludzkich podległych.

Prześliczne są ilustracje ożywiające suchy z natury i konieczności tekst Encyklopedyi. Prócz wizerunków najpiękniejszych dzieł archi-

tektury widzimy reprodukcye najpiękniejszych obrazów religijnych, *facsimile* miniaturowych ozdób ksiąg pergaminowych, mapy, plany i podobizny mnóstwa świętych i znakomych ludzi. Wśród tych przeważnie bardzo poważnych i starych odbija młodością i wdziękiem śliczna twarzyczka św. Alojzego. Przywykliśmy do jego wizerunków już w wieku młodzieńczym z uwydatnieniem niemal karykaturalnem charakterystycznych rysów typu Gonzagów. Tu widnieje portrecik 12 czy 13 letniego pacholęcia o kształtnej główce czarnowłosej wychodzącej z szerokiej kryzy; usta są śliczne, nos widziany zupełnie *en face* nie zbyt wydatny a oczy olbrzymie, pełne słodyczy i światła; doprawdy takim, a nie innym musiał być św. Alojzy, jeżeli ciało jego było choć trochę podobnem do duszy. Dobrze jest też niekiedy ukazywać ludziom świętość w tak wdzięcznej postaci bo zbyt surowość form zwykła odstraszać młodych, którzy widząc ją wyrażoną wizerunkami seryi zakapturzonych starców odnosi wrażenie, że to coś bardzo obcego a ciężkiego, coś, co się ich samych nie może dotyczyć.

O użyteczności, a nawet potrzebie Encyklopedyi katolickiej nie ma co się rozwodzić. Takie dzieło jest koniecznością nie tylko wśród społeczeństwa, gdzie katolicy są jeszcze w mniejszości, a przeto zmuszeni co chwila komuś coś tłumaczyć i przed kimś coś bronić, ale i między *cristianos viejos* jak my. W naszych kółkach rodzinnych czy towarzyskich co chwila powstają kwestye treści religijnej, liturgicznej czy historyczno-kościelnej, a choć rozmowa toczy się między ludźmi wykształconymi brak zdania fachowego mającego rzecz rozstrzygnąć. Dawniej, gdy księża mieszały się więcej ze społeczeństwem, było kogo zapytać; obecnie, gdy się ich widuje tylko w kościele lub na posiedzeniach niema już do kogo się udać. Tem większa potrzeba książki, która może brak ten zapęłnić, na każde pytanie odpowiedzieć, dostarczyć potrzebnej cyfry i daty, a co najważniejsza, objaśnić o zdaniu Kościoła w poszczególnych kwestyach. Dlatego kolosalne dzieło amerykańskie, które już zapewne znalazło łaskę u Boga, winno znaleźć uznanie, podziw i szerokie rozpowszechnienie u ludzi ¹.

T. W.

¹ Firma Herdera (Wiedeń lub Fryburg badencki) jest jedynym reprezentantem tej Encyklopedyi na Austro-Węgry i Niemcy.

Listy z Warszawy.

(Obchód jubileuszowy Ojca św. — Ruch katolicki. — Prasa katolicka. — Kozłowiec).

Dnia 8 grudnia (1908 r.) obchodziła Warszawa jubileusz Ojca św., obchodziła go w kościołach i salach Filharmonii, Muzeum handlu i przemysłu i w różnych zakładach dobroczynnych. Główna uroczystość, urządzona przez komitet jubileuszowy, odbyła się w sali Filharmonii.

Z trzech części składała się owa główna uroczystość. Rozpoczął ją »poranek«, następnie było zebranie dla robotników chrześcijańskich, wkońcu, wieczorem, t. zw. »akademia«.

Na estradzie sali Filharmonii, ustrojonej w zieleń, na tle barw papieskich (białej i żółtej) ustawiono biust Ojca św., który otoczył wieńcem komitet jubileuszowy. Uroczystość zagajono odczytaniem wysłanego na ręce kardynała Merry del Val do Ojca św. telegramu treści następującej:

»Komitet organizacyjny uroczystości jubileuszowych Jego Świątobliwości obrawszy dzień 8-my grudnia dla odprawienia w kościele archikatedralnym uroczystego nabożeństwa na intencję Ojca św., oraz dla zgromadzenia na kilku zebraniach przedstawicieli sfer inteligencji, klasy robotniczej i młodzieży, w liczbie kilku tysięcy osób, pragnie być wyrazicielem jednomyślnych uczuć przedstawicieli wszystkich klas ludności kraju i prosi Waszą Eminencję o złożenie do stóp Ojca św. wyrazu naszego niezachwianego posłuszeństwa dla Stolicy Apostolskiej, naszej wierności w służbie Kościołowi, oraz głębokiej wdzięczności, jaką żywimy dla Ojca Chrześcijaństwa, który nie przestaje dawać nam dowodów swej miłości ojcowskiej. Błagamy Boga, aby Jego Czcinajgodniejszy Przedstawiciel, który jest zarazem naszą najwyższą pociechą i naszą ostoją, mógł w swem życiu oglądać dzieła swego wielkiego panowania i tryumf naszego świętego Kościoła.

»Cała Polska, od najmniejszych do największych łączy się z nami w tej modlitwie i prosi o łaskawe wstawiennictwo Waszą Eminencję dla wyjednania, zarówno dla uczestników zgromadzenia, jako też dla miasta i całego naszego kraju błogosławieństwa Apostolskiego«.

Uproszczone a szczerze pożądanego błogosławieństwo nadeszło. Kardynał Merry del Val telegrafował:

»Ojciec Święty do głębi przejęty hołdem przywiązania i wierności, z całego serca dziękuje i błogosławi«.

Bardzo dobrze przemówił ks. Szlagowski, jeden z naszych najlepszych mówców kościelnych, z talentem skreślił sylwetkę Ojca św., uwydatniając główne rysy Jego psychologii, Jego dobroci i głębokiej roztropności, bardzo umiejętnie zaznaczył Maryan Massonius harmonię z postępem, stanowiącą potęgę papiestwa.

Wieczór zgromadził w Filharmonii śmietankę warszawskiego towarzystwa. Uroczystość rozpoczęły chóry odśpiewaniem »Kto się w opiekę«. Profesor Surzyński wykonał na organach Palestriny: *Adoro te, Pie Jesu* i swój własny utwór: *Gaude Mater*, p. J. K. Jasiński wygłosił prolog, p. Michał Tarasiewicz deklamował T. Balińskiego »Łódź Piotrową«, p. Śliwicki Mickiewicza »Rozum i Wiarę«, Wincenty Kosiakiewicz mówił z niezwykłą erudycją o wpływie katolicyzmu i papiestwa na rozwój artystyczny ludzkości.

»Akademia«, urządzona przez komitet jubileuszowy, miała niezwykle powodzenie; sala była przepełniona, dochód bardzo znaczny. Czyby to dowodziło, że Warszawa jest miastem na wskrós katolickiem?

Pozwolę sobie być innego zdania.

Miastem na wskrós katolickiem nie może być miasto, które posiada w murach swoich przeszło 300.000 żydów i znaczny procent innych wyznań wyznawców: prawosławnych, ewangelików, kalwinów, kozłowitów, mahometan nawet. Miastem na wskrós katolickiem nie może być miasto, którego większa część inteligencji jest albo wprost bezwyznaniową, albo w rzeczach religii obojętną. Pełna zresztą sala nie dowodzi niczego w tak wielkiem mieście, jak Warszawa, które zdobędzie się zawsze na jakieś kilka tysięcy osób, potrzebnych do wypełnienia choćby największej sali. Prowincja jest jeszcze katolicką, ale Warszawa kosmopolityzuje się od lat kilkunastu z przerażającą szybkością, staje się jakimś Manchesterem, Chicagiem, lichy wie czem.

Nawet prowincja zaczyna się powoli »oświecać«, powtarzać różne płaskie i płytkie androny za »uświadamiaczami« warszawskimi.

Byłem w tych czasach na wsi, na zjeździe familijnym, w takim domu »staroświeckim«, pokrytym mchem tradycji szlacheckich wielu pokoleń, w którym jeszcze temu trzy lata nie byłoby było przyszło nikomu na myśl zabawiać się w krytykę katolicyzmu, zrosłego z tradycjami starego polskiego dworu. Całe młodsze pokolenie, a było tego dużo, kilkadziesiąt osób z różnych stron, z różnych powiatów, zasypywało mnie tanią frazeologią krytyczną, wychwyconą z mów wieczorowych filozofów i z broszurek gazeciarskich wolnomysłicieli. Nie podobna z taką gadaniną polemizować, bo jest uparta i zaciekle, jak

zawsze wszelka miernota. Nie przekona się zresztą nigdy dyletantów. Przekonywa ich tylko życie, a jeszcze lepiej nieszczęście.

Dużo krzywdy, daleko więcej, aniżeli się zdaje tym, którzy nie ocierają się o wieś, wyrządziły naszej duszy narodowej lata rewolucyjne, dużo krzywdy wyrządziły przede wszystkim katolicyzmowi i pojęciom etycznym. Straty materialne można prędko strawić — moralne wżerają się w organizm społeczny rakiem i toczą go bez litości.

Tyle się u nas zepsuło w latach ostatnich, iż potrzeba koniecznie usilnej, wyteżonej pracy w kierunku moralnego odrodzenia społeczeństwa. Składać się na tę pracę odradzającą powinno wszystko: literatura, teatr, prasa, organizacja stowarzyszeń.

Drzemiące u nas sumienie katolickie obudziło się nareszcie, zaczyna podnosić głowę. Mamy już »Związek katolicki«, »Stowarzyszenie robotników chrześcijańskich«, »Stowarzyszenie kobiet katolickich« i t. d.

Ale są to dotąd jeszcze tylko początki.

Ożywieniu ruchu katolickiego szkodzi dużo doktryna narodowo-demokratyczna, która uczy: na co ruch katolicki, kiedy jesteśmy wszyscy katolikami? Słyszysz się ten frazes, rzucany przez wodzów narodowej demokracji, wszędzie, w miastach, na wsi. Bo to frazes. Inną rzeczą przecież być katolikiem z urodzenia, z metryki, a inną katolikiem działającym. Wszelkie zresztą spójnie, z planem pracujące związki bywają zawsze silniejsze od usiłowań jednostek.

Szkodzą także ruchowi katolickiemu dewoci, cisnący się do przodu akcyi, a zrażający do pracy katolików rozumnych.

Wszelki fanatyzm jest zaciekły, ciasny, sekciarski, arogancki a najgorszym ze wszystkich fanatyzmów jest ten, który, zamiast wniknąć w treść religii, skąpać się w źródle ożywczej jej idei, jej celu, czepia się jej form, biorąc ciało za duszę. Z tego gatunku rekrutowali się faryzeusze Pisma św. i rekrutują się wszyscy zewnętrzni świętoszkowie, o których mówi mądrość ludu: modli się pod figurą, a ma dyabła za skórą.

A właśnie tacy obłudni świętoszkowie, których życie, czyny nie stoją wcale w związku z treścią chrystyanizmu, cisną się do przodu naszej akcyi katolickiej ze szkodą dla niej. Ze szkodą, bo szkodliwym w każdej robocie jest zawsze umysł ciasny, pozbawiony daru ogarniania szerokich horyzontów myśli współczesnej, bo zawsze lepiej przegrać z mądrym, niż wygrać z głupim. Szkodliwym w każdej robocie jest zawsze arogancki nietolerant, któremu się zdaje, że na niego jednego

spłynęły wszelkie światła Ducha świętego, bo nietolerancją swoją odpycha wszystkich ludzi dobrej woli i dobrych chęci. Jakże pracować w jakiejś instytucji katolickiej, kiedy słyszy się co chwila z ust takiego świętoszka: nie uważam pana za katolika. Jakgdyby katolicyzm był w czasach obecnych w Warszawie »dobrym interesem«. »Oświecona« Warszawa bojkotuje przecież wszystkich ludzi utalentowanych, przyznających się jawnie do katolicyzmu.

Szkodzą wkońcu naszej robocie katolickiej małe ambicje małych głów, małych inteligencji. Tysiące takich ambicyjek wyrzuciła rewolucya na wierzch.

Był sobie taki pan przed rewolucją zwykłym pionkiem, którego całą biografią można zamknąć w ramach dwóch wyrazów: urodził się i żyje.

Nie przyszło mu nawet na myśl złożyć z siebie jakiejś ofiary na ołtarzu pracy publicznej. Jadł, pił, spał, grał w winta, bridge'a, albo robił majątek i t. d., troszcząc się tyle o dobro powszechne, ile o ten wiatr, co w polu wieje.

Przyszła rewolucya, z nią trochę swobody, stowarzyszenia, związki, liczne godności honorowe, prezesury, wiceprezesury, komitety, komisye, zarządy, popisy oratorskie, gadaniny bez końca i oto dowiedzieliśmy się odrazu przez noc, że posiadamy w swoim łonie niezliczone legiony geniuszów: politycznych, oratorskich, organizacyjnych, społecznych i t. d.

Jakże to? Iksa, Ypsylona wybrano prezesem, wiceprezesem czegoś, a mnie nie? Cóżto, gorszy jestem od nich?

I zaczęły się agitacje, intrygi, intryżki, spychanie jednego przez drugiego, pięcie się pod górę... wyścigi *par force* ambicyjek.

Nikt, kto się nie ocierał o ten śmieszny, dziecinny taniec nie uwierzyłby, jak namiętnemi potrafią być ambicyjki, z jaką bezwzględnością pchają się do przodu. Najgłupszy, najmniej powołani na samem czele, bo rozumni, zdolni, zrażeni tym niemądrych wyścigiem, wycofywali się z ruchu, stawali na uboczu.

Zdawałoby się, że stowarzyszenia, związki katolickie powinny być wolne od tej szkodliwej słabości ludzkiej. Sam ich cel powinien wykluczać wszelkie nienawistne ambicyjki, łączyć ludzi dobrej woli do wspólnej, zgodnej pracy. Tymczasem tak nie jest. I nasze stowarzyszenia katolickie trawi jad ambicyjek, a wstrzykuje go głównie arogancya miernot i zawiesz dewotów. Ludzie są, niestety, wszędzie ludźmi.

Zbыва także naszemu ruchowi katolickiemu na prasie w stylu europejskim, a zbыва na niej z powodu braku środków materyalnych. Daremnie nawołuje się dotąd sfery katolickie do ofiarności w tym kierunku. Głosem na puszczy są te nawoływania, co tem dziwniejsze, że do uczuć katolickich przyznają się najbogatsi ludzie w kraju. Na wszystko znajdują się pieniądze, na politykę, na przedsiębiorstwa, na spekulacye, na konie wyścigowe i t. d., ale na prasę katolicką niema ich nigdy. Krocie pochłoneła w ostatnich latach agitacyjna prasa polityczna, obiecująca w nagrodę stanowiska polityczne, ale dla prasy katolickiej nie chcą się kieszenie otworzyć. Czyby dlatego, że prasa katolicka nie ma dotąd do rozdania stanowisk politycznych, albo też dlatego, że katolicy nie rozumieją, nie odczuwają znaczenia prasy w życiu współczesnem.

Nasza prasa katolicka, uboga, robiąca bokami, ledwie zipiąca, nie rozporządzająca większymi środkami, nie może stać na wysokości chwili, bo nie może opłacać utalentowanych autorów i publicystów. Niepodobna przecież żądać od ludzi, którzy żyją z pióra, aby się zrzekali potrzebnych im do życia honoraryów. Są tacy idealisci, ale takich niewielu. Powinni to zrozumieć bogaci katolicy, strojący się ostentacyjnie w katolicyzm.

Przypomnieli się nam znów »Kozłowici«, którzy przycupnęli od pewnego czasu. Pojechali do Petersburga Kowalski, »jenerał«, i Pruchniewski w celu wyjednania u władzy legalizacji swojej sekty jako wyznania. Przyjęto ich nad Newą bardzo życzliwie. Oto, jak ich powitało »Nowoje Wremia«:

»Odpadnięcie maryawitów od Papieża i od starego katolicyzmu, który przedewszystkiem dotychczas był powodem niezgody między Rosyą a Polakami zbliżyło od razu maryawitów do Rosyan. Poza tem są jednak jeszcze inne punkty styczne: założycielka sekty, mateczka Kozłowska, wychowywała się w rodzinie rosyjskiej, i nie żywi do nas tej nienawiści, którą krzewią katolicy w sercach swych dzieci. Nic jednak tak nie zbliża maryawitów do Rosyan, jak wspólna adoracya obrazu Matki Boskiej pochodzenia greckiego z napisem i krzyżem greckim. To wszystko — kończy »Now. Wr.« — należy zważyć, ocenić i wszelkimi sposobami popierać maryawityzm«.

W Petersburgu, w sali »działaczy społecznych«, wygłosił (dnia 11 grudnia 1908 r.) p. Rowiński, urzędnik ministerium skarbu, który bawił przez kilka miesięcy w Królestwie, odczyt o »maryawityzmie«, rodzaj apoteozy tej najnowszej sekty. Wyznawcy »mateczki« Kozło-

wskiej wydają się p. Rowińskiemu »apostołami prawdy i uosobieniem wszelkich cnót chrześcijańskich«, zachwyca go: wyrugowanie z liturgii nienawistnej łaciny, nieuznanie nieomyślności papieskiej i komunია pod obiema postaciami.

I tołstojowiec, Tregubow, zasypał obecnych na zebraniu Kowalskiego i Próchniewskiego słodyczami i staroobrzędowiec, A. Guczkow, uśmiechnął się do nich mile.

Nic dziwnego, że się delegatom sekty w Petersburgu bardzo podobało.

Bardzo dowcipnie wziął się do »jenerała« Kowalskiego współpracownik petersburskiego *Kraju*, p. J. Obst. Udawszy się do niego, zaczął »wywiad« po rosyjsku. Zdawało się prawdopodobnie p. Kowalskiemu, że mówi z dziennikarzem rosyjskim, bo odpowiadał na zapytania bez żadnego hamulca. Streszczam ten »wywiad«, który jest ciekawym dokumentem.

— Uznajemy wszystkie dogmaty Kościoła katolickiego — mówił »jenerał« Kowalski — oprócz nieomyślności Papieża i to dopiero od czasu, kiedy sam Rzym zerwał z nami.

Obst. Czy maryawici uznają świętych?

Kowalski. Tak jest, przecie mówiłem panu, że przyjęliśmy wszystkie dogmaty Kościoła katolickiego.

— Czy maryawici uznają »mateczkę« Kozłowską za świętą?

— My uważamy każdego za świętego, kto miłuje Boga, a więc i Kozłowską, gdyż ona niewątpliwie Boga miłuje i prowadzi żywot świątobliwy.

— Czy prawda, że maryawici odmawiają modlitwy do p. Kozłowskiej?

(Kowalski porywa się niecierpliwie).

— Jest to potwarz, wymyślona przez naszych wrogów.

— Ale przecie do świętych się modlą, a skoro p. Kozłowska, jak pan przyznał...

— Co tam przyznałem! My nie wiemy kto jest świętym i święci o nas może nie wiedzą. Możemy tylko prosić świętych o wstawienie się w modlitwie do Boga, o to też prosimy p. Kozłowską.

— Jaki jest stosunek maryawitów do spraw narodowościowych?

— Nie uznajemy żadnych, stoimy całkiem poza polityką, pragniemy, aby wszyscy się kochali jak bracia.

— Jaki jest stosunek maryawitów i maryawityzmu do Rosyi?

— Pragniemy być mostem, który Polaków, ciężących dotychczas, niestety, do Rzymu, połączy z Rosyanami i inną bracią słowiańską.

— Ilu liczycie obecnie zwolenników?

— Około 200 tys. jawnych.

— Z jakich klas przeważnie?

— Z włościańskich. Z inteligencji bardzo mało, chociaż pewien ruch objawia się obecnie w kołach młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie.

— Jakie są wasze widoki i cele na przyszłość?

— W Królestwie maryawityzm krzewi się bujnie, przeszedł on też do Litwy, staramy się zaszczerpić go na Śląsku, a stamtąd znajdzie prawdopodobnie drogę do Czech. Z pomocą Bożą, sądzimy, uda się nam z czasem wytworzyć wyznanie ogólnosłowiańskie.

— Jaki jest wasz język liturgiczny?

— Obecnie polski.

— Czy wobec zamiaru stworzenia kościoła ogólnosłowiańskiego nie lepiej byłoby przyjąć jeden język, np. starosłowiański, oraz obrzędy kościoła wschodniego, do którego należy liczniejszy odłam Słowian?

— Zasadniczo nie przeciwko tym punktom nie mamy; naszą jedyną zasadą jest miłość Boga i bliźnich. Co się tyczy obrządków i języka liturgicznego, nie chcemy tymczasem nic narzucać naszym współwyznawcom, gdyż toby wielu może zraziło, zbudziło podejrzenia i sprawie naszej bardzo zaszkodziło. Z czasem jednak, gdyby wśród naszych współwyznawców powstał prąd podobny, naturalnie nic z zasady przeciwko temu nie mielibyśmy; gotowi nawet jesteśmy go popierać, ponieważ chodzi nam o jedność słowiańską. Obecnie już udzielamy wielu osobom komunii pod obiema postaciami. Żebyśmy od razu narzucili to ludowi, natrafilibyśmy na opór stanowczy. My zaś działamy nieznacznie, wtajemniczając stopniowo, aż lud pod tym wpływem sam zażąda komunii pod obiema postaciami. Wtedy naturalnie nie odmawiamy, i takich przykładów jest już sporo.

— Jak panowie jesteście zadowoleni z przyjęcia w Petersburgu?

— Jesteśmy zachwyceni, oczarowani. Tu znaleźliśmy to, czegośmy napróżno szukali w Polsce: serca przepełnione miłością do Chrystusa i do bliźnich. Tu nas zrozumiano i na miłość naszą odpowiedziano miłością, podczas gdy społeczeństwo polskie traktowało nas jak wro-

gów, obrzuciło błotem; pan nie wie, ileśmy od tego społeczeństwa doznali krzywd krwawych...

— Do kogo panowie zwróciliście się w Petersburgu?

— Przedewszystkiem udaliśmy się do ministerstwa z podaniem, aby nas uznano za »wyznanie«, nie zaś sektę, aby w przyszłości za-
leżeć od ministerstwa, nie zaś od miejscowych władz gubernialnych,
i nareszcie, aby gminom naszym przyznano prawa własności. Następnie, by uzyskać poparcie Dumy, zwróciliśmy się do prezesa komisji
wyznaniowej p. Kamińskiego, ten nas poznał z p. Guczkowem
i wprowadził do Klubu działaczy społecznych, gdzieśmy mnóstwo na-
wiązali sympatycznych stosunków.

— Czemu panowie nie zwrócili się do posłów polskich, jako
przedstawicieli Królestwa?

— My z tymi panami nie wspólnego nie mamy i mieć nie chcemy.
Żebyś pan wiedział, jaką nienawiścią do nas dyszą ich organy, jakie
rzucają na nas zniewagi, zrozumiałby pan naszą niechęć.

— Jeszcze jedno pytanie, mianowicie w sprawie biskupa.

(Twarz Kowalskiego, dotąd spokojna, nagle kurczy się, małe
oczy mierzą mnie niepewnem spojrzeniem).

— Biskupa będziemy mieli za rok najdalej, może bardzo prędko.
Nie mogę panu powiedzieć...

— Przepraszam, nie chodzi mi o nazwisko, lecz o zasadę. Nie
jestem wprawdzie teologiem, lecz tyle wiem, że nie może się nikt
sam ogłosić biskupem, potrzebna jest konsekracja.

— A jeżeli — przerywa niecierpliwie K. — my mamy gotowego,
prawdziwego biskupa, który lada dzień jawnie do nas przystanie?

(Tu nagle spostrzega, że powiedział to, czego wyjawic nie po-
winien był, lub nie chciał i tonem niemal szorstkim dodaje):

— Poco mnie pan pyta o to wszystko? Ani na jedno pytanie
pańskie więcej nie odpowiem.

Teraz mniej więcej wiemy, czego chcą nasi t. z. maryawici.
Trzeba sobie ten dokument zapisać dobrze w pamięci. Może się on
kiedy przydać.

Teodor Jeske-Choiński.



JOANNA D'ARC.

SĄDZONA.

Dilexisti iustitiam et odisti iniquitatem.

Ps. 44.

— Święto — o święto!
W swych złotogłowiach sędzie wielmoże
Zasiedli wysokie siedzenia.
Rycerstwo w stali i giermki hoże
W szafiry strojne i blask płomienia,
Heroldy zbrojne w głośnie puzony,
Tłum się koleba, chwije w dwie strony:
Sądzić się będą hej, sądy Boże.
W swych złotogłowiach pyszne wielmoże
Sędziowskie zasiedli siedzenia.
Święto! — o święto! święto!

Idą już — idą. Ciężko, miarowo
Wybrani na schwał, mąż w męża
Zbrojeni silnie, widno na nowo,
Tak chrzesczczą, dzwiczą, błyskają!
Strasznie być musi ów więzień hardy,
Śnać gołą pięścią, dziesięć zwycięża,
Że tak setkami idą halbardy,
Boć jeńcom broni nie dają.

Dzieweczka biała ci jest, młodzienka,
Dziewiczość sama, gdy spuszcza oczy,
A kiedy patrzy, znika dziewczynka:
Królewskość na niej i płaszczy proroczy.

Na swoich tronach sędzie wielmoże.
Przed nich dziewczeczka stawiona w bieli,
By ją wśród tłumów wszyscy widzieli.

— »Wzywamy ciebie przed sądy Boże,
Jakożes była z złym duchem związana,
Kłamliwa wiedźma! kłamiąca głos Pana!«
I czyta długie, długie oskarżyciel mowy. —
Jako głos czysty, mocny, wyraźny, echowy
Nad nim się inny wzbija i rośnie i błyska,
Do dusz najdalejszych wśród tłumy się wciska,
I poza tłumy hen, leci daleki
W dalekie światy, przez wieki i wieki,
Że go z nich każdy w swojej duszy słyszy
Przez dźwięk puzonów, jakby przez kraj ciszy —
Głos inny, czysty, jasny, przejmujący
I krwią serdeczną nabiegły, gorący,
Choć usta milczą i głowa spuszczonea.

— Dzieweczka wiejskam jest, a hetman z łaski Pana,
Ogniem i duchem jego w wir czynów porwana,
I rwać mająca z sobą w wir czynów narody
Ku zorzy szczęścia, w grzmiący gościniec swobody.
I rwałam je z sobą wzwyż — Lecieli! lecieli!...
Bo był pęd we mnie za nich z twojej Panie woli.
Lecz oto swoją nędzą ku ziemi zciążeli
I odpadali... jeden za drugim padali,
Choć leciałam przed nimi, nie poszli już dalej.
O Panie! Panie nikt już nie udoli,
Już rozpęd skrzydeł moich z ziemi ich nie wzniesie.

Za ciężcy, Panie!... nie ujmiesz ich woli,
Gdyż wola rwie się.

— »W imię więc wszechmocnego stwórcy Boga
Słuchaj«.

— Słuchałam Ciebie zawsze, zawsze Panie!
Odkąd Archanioł Michał w rycerstwo, Hetmanie,
Twoje zwał mię... i zawsze aż do tego proga
Więzień... i dalej... Jako Głosy Twe mówiły,
Bym ci ufała — ufam... do ostatniej siły —

— »Oto cię władza nasza w innej władzy ręce...«

— O ręce sędziów moich, Piłatowe ręce,
Wydające mię wrogom... jako w Twojej ręce!

— »My cię bronić nie możemy. Amen. Idź w pokój«.

— W pokoju! o w pokoju!... czyż to wołanie?
To nie sądu głos twardy, bezlitość człowieka,
Lecz miłość Twoja woła, miłość Twoja czeka!

Wystawili stos wysoki! wysoki! wysoki

Z rodzinnego drzewa!

Gdzieś od pola szum szeroki...

Rodzinny wichr śpiewa.

Hej, wokoło naród stoi,

Narodów dwa patrzy:

Bracia moi, wrodzy moi.

Jeden coraz bledszy,

Bo serce w nim mdleje;

Drugi płonie, płomienieje,

Bo krew się poleje.

— Hej pacholki! hej pacholki! do pracy! do pracy!

Ach, zadrżało nagle trwogą w niej serce dziewczęce:

— Jakąż twarz mają żołdacy

Bezczelną, i ręce!...

Wiodą, wiodą ją pacholki, gdzie rycerzy koło,

Których serce jej skłamało, nie dało obrony.

Milcząc krąg się rozstępuje na obydwie strony,

Hańba siadła im na karku! pobladło im czoło!

— Miałam ci ich przywieść społem, o Boski Hetmanie,

Ale widzisz, że nie mogę! niech się łaska stanie

I mnie przyjm już, chociaż do stóp upadnę ci sama.

— »Mistrzu kacie! mistrzu kacie

Czyn powinność twoję!«

— Oto jestem! W białej szacie,

Wysoko już stoję. —

Z rodzinnego stos jest drzewa wysoki! wysoki!

A pod stosem żar pobłyska.

Przybiegł, przygnał wicher szeroki...

Ogień złoty tryska!

Ogień węże złote wije,

W języki się miota,

Syczą skrą zjadliwe żmije,

Pnie się powódź złota.

Drży już pod nią stos i huczy,

I ogień się wzdyma,

Jako pomruk srogiej tuczy.

Ot, ot! szat się ima!

Więc jej serce, w mężnej piersi, zadrżało dziewczęce,

I na piersiach skrepowane ściskają się ręce.

— Takeście mię więc przyparli, w wąską wparli drogę,

Jedna mi została brama, krwawa ognia brama,
 Ale idę, bo inaczej przejść pono nie mogę
 Do Hetmana, co mię posłał, do mego Hetmana!
 Do stóp przypaść, sztandar oddać, podjąć pod kolana...
 Lecz ta straszna! ta bolesna! ta okrutna brama!
 Idę Panie! idę Panie! idę, Panie, sama!...

A przed stosem stoi wierny
 Powiernik, krzyż trzyma,
 A na krzyżu miłosierny
 Chrystus przed oczyma.

Ogień słania się i wstaje, i kolan jej sięga,
 Rozpętana w szal, ogniowa szaleje potęga.
 Grozą zjęta, zapatrzona zachwiała się rzesza.

Wzrok jej jeszcze trwogę śmierci i mękę przesięga,
 I na ranach Chrystusowych z miłością się wiesza.

.
 Ogień wziął ją i mąk ogrom i w oczach jej ciemno
 — O pochwalon bądź Ty Chryste! żeś przeszedł przedemną! ¹

Wicher powiał, wicher przegiał płomieniste morze,
 Ze na jedno mgnienie oka na stronę się zwiało,
 I do pala przywiązane martwe widne ciało,
 Wstaje ponad płomieniste, pomiatane morze.

W złotogłowiach poblednieli sędziowie wielmoże. —
 Gdzieś od stosa, gdzie dziewczęcia trup z schyloną głową
 Przeraziwem echem wraca, własne wraca słowo:
 »Na sądy zwiem! na sądy! na sądy zwiem Boże!«
 Ze swych siedzeń dumni schodzą sędziowie wielmoże

¹ Et en continuant les louanges et lamentacions dévotes envers Dieu et ses Saints dès le derrain mot en trespasant cria à haulte voix: *Ihésus!*
(Jean Mathieu huissier, świadek naoczny).

A na czarnych skrzydłach leci, krąży nad ich głową
 I nad duszą się kołysze powoli, echowo:
 »Na sądy zwiem! na sądy! na sądy zwiem Boże!«

OSADZONA.

Propterea unxit te Deus, Deus tuus oleo
 laetitiae prae consortibus tuis. Ps. 44.

Srebrne trąby watykańskie brzmia z odwiecznych bram,
 Oto dzień radości Pańskiej i prawdy nam dan!

Jako jabłoń wieczną młodość i życie mająca
 Zgniły owoc z siebie strząsa, od siebie odtrąca,
 Tak otrząśłem was od siebie, o sędzie niegodni,
 Co me imię świętokradzko za płaszcz brali zbrodni,
 A zaś stawiam wam przed oczy owo dziecię Boże,
 Jako, że ją dzisiaj w ducha przyjmuję wielmoże.

O szumiące morza sine oddajcie jej prochy,
 Półdzienną krasę wróćcie jej więzienne lochy.
 O wy wieki, dawne wieki zagrzmijcie jej imię,
 Które w waszych mrokach mętnych w blasku stłałym drzymie.

Oto wiodę w słońcu prawdy rozbłyśnięte imię,
 Dziewczęcią rzewne swoją, a duchem olbrzymie.
 W szat białości ją zatwierdzam na wieki dziś, ninie,
 I w męczeństwa ją królewskim stawię karmazynie,
 I w koronie nieśmiertelnych, promiennych kamieni,
 Których blaskiem się wieczyste Jeruzalem mieni.

I milczenia welon zdzieram, w który tajemnica
 Jej dziewczęce zaciszone śmiercią kryła lica.
 Na jej czole znak wybrania: Boża błyskawica!
 Witaj Święta! dziewczę polne! rycerna dziewica!

Krystyna Saryusz-Zaleska.



WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW I BISKUP STROSSMAYER.

Wydany niedawno pierwszy tom listów Wł. Sołowiewa¹ przynosi parę ważnych dokumentów, wyświetlających stosunek rosyjskiego filozofa do chorwackiego biskupa-patryoty i akcję obydwóch w sprawie zjednoczenia Kościołów. Są to listy Sołowiewa do biskupa Strossmayera (str. 180—193) i do kanonika Franciszka Račkego, prezesa Akademii Umiejętności w Zagrzebiu (str. 164—179). Z korespondencji tej łatwo się domyśleć, jak wielki wpływ na Sołowiewa musiał wywierać wielki biskup i jak ich poglądy na unię kościelną się zgadzały.

Stosunki listowne między Sołowiewem a Strossmayerem nawiązały się, zdaje się, dzięki pośrednictwu Račkego, który Sołowiewa poznał osobiście podczas swej podróży po Rosyi w r. 1884. Pierwszy przemówił Strossmayer, pilnie śledzący literacką i publicystyczną działalność Sołowiewa, wyraźnie już wtedy noszącą charakter katolicki. W odpowiedzi na list biskupa wysyła Sołowiew pierwszy swój list do niego, datowany »w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny roku 1885«, w którym oświadcza, że serce jego pała od radości na myśl posiadania takiego kierownika, jakim jest wybitny sługa Kościoła i działacz słowiański. Obiecuje biskupowi, korzystając z jego zaproszenia, osobiście przybyć do Djakowy, by na-

¹ Письма В. С. Соловьева, под редакцией Э. Л. Радлова, т. I, С.-Петербургъ 1908.

radzić się nad wielkiem dziełem zjednoczenia Kościołów i poprosić o pasterskie błogosławieństwo dla pracy nad tą sprawą. »Od tego zjednoczenia zależą losy Rosyi, Słowiańszczyzny i całego świata. My Rosyanie, prawosławni, i cały Wschód niczego nie możemy dokonać, dopóki nie zgładzimy grzechu rozłamu kościelnego, dopóki władzy Najwyższego Pasterza nie oddamy tego, co się jej należy.

Kierownictwo Strossmayera musiało się nie bardzo podobać »aniołom-stróżom« Sołowiewa, bo oto następne listy biskupa, nie dochodząc do rąk adresata, trafiają z powrotem do Djakowy. Dowiadujemy się o tem z listu Sołowiewa, pisanego 29 czerwca 1886 r. w Wiedniu, po drodze do Zagrzebia i Djakowy.

Czego nie można było ułożyć listownie z powodu »tak dziwnych stosunków pocztowych«, to dało się wyczerpująco omówić osobiście. W Djakowie Sołowiew stanął, zdaje się, w lipcu tegoż roku i pozostał tam kilka tygodni, często konferując z biskupem, u którego podziwiał łatwość wymowy, jednakową w różnych językach. Temi rozmowami i znajomością z biskupem tak był oczarowany, że, jak pisze sam wkrótce z Zagrzebia, zdawało mu się po odjeździe z Djakowy, iż tam »zostawił jedną połowę swej duszy«, i dlatego pragnie kiedyś jeszcze pojechać tam, by ją odnaleźć.

W Zagrzebiu widzimy Sołowiewa dłuższy czas w jesieni 1886 r., podejmowanego serdecznie przez Račkego i innych patryotów i działaczy chorwackich. W tym czasie umawia się z pewną drukarnią w sprawie wydania wielkiego swego dzieła »Historya i przyszłość teokracji«, obliczonego na trzy tomy, na wydanie którego w Rosyi cenzura w żaden sposób pozwolić nie chciała. Račky, Wojnovič i inni przyjaciele mieli dopilnować druku. Dzieło to miało za zadanie wysledzić w dziejach myśl Bożą i wskazać Rosyi jej historyczną misję zjednoczenia Kościołów. W tym samym czasie wygotował Sołowiew memoriał w języku francuskim w formie listu do Strossmayera, datowany z Zagrzebia 9/21 września 1886 r., omówiony zapewne już wcześniej z biskupem, a dotyczący zajmującej obydwóch idei unii kościelnej. List ten został wysłany do Djakowy przy innym liście krótszym o prywatnym

charakterze, podczas gdy sam memoriał, zajmujący w druku nieco więcej nad 7 stronie, był przeznaczony do przesłania decydującym sferom kościelnym.

Memoriał ten, co do treści zajmujący w wydany tomie listów, centralne, że tak powiem miejsce, formułuje dokładnie i zarazem nadzwyczaj treściwie zapatrywania swego autora na schizmę kościelną i warunki jej usunięcia. Nie możemy oprzeć się pokusie przytoczenia dłuższych z niego wyjątków.

»Opatrzność, — tak zwraca się we wstępie do biskupa, — wola Najwyższego Pasterza i własne zasługi uczyniły z Waszej Ekscellencyi prawdziwego pośrednika między Stolicą św., posiadającą z prawa Bożego klucze przyszłych przeznaczeń świata, a rasą słowiańską, która według wszelkiego prawdopodobieństwa powołaną jest do urzeczywistnienia tych przeznaczeń. Nie zadowalniając się przemożnym udziałem w cudownym odrodzeniu własnego świetnego narodu chorwackiego, nie kontentując się tem, że W. E. jesteś jakby żywem *palladium* jego niezależności, wciąłeś W. E. do serca i wyższe interesa innych narodowości słowiańskich, z których większość, z Rosyą na czele, trwa w oplakanem oddaleniu się od wielkiej jedności katolickiej. Szlachetne serce W. E. otwarło się dla tego Wschodu, zawsze brzemiennego w przyszłość, a światły umysł przejrzał, że główną przeszkodą do urzeczywistnienia tej przyszłości stanowi tysiąc lat trwające nieporozumienie, które nie przestaje izolować i pozbawiać wzajemnej pomocy dwie wielkie połowy chrześcijańskiego świata. Stąd też, wsparty na niewzruszonej Opoce Kościoła, popierany i zachęcony do tego przez miłościwą mądrość wielkiego Papieża Rzymskiego (którego stare proroctwo odznaczyło w szeregu papieży tajemniczym mianem *Lumen de coelo*), poświęciłeś W. E. swój geniusz i przedziwną swą wymowę na służenie Boskiej sprawie połączenia Kościołów«.

Ta okoliczność ośmiela i Sołowiewa do przedłożenia swoich uwag, dotyczących tejże Boskiej sprawy.

»Kościół wschodni, — pisze dalej Sołowiew, — żadnej nauki, niezgodnej z prawdą katolicką, nie określił nigdy i nie podał swym wiernym do wierzenia w charakterze dogmatu obowiązkowego. Orzeczenia dogmatyczne pierwszych 7 soborów

powszechnych stanowią całą sumę prawd doktrynalnych, absolutnie pewnych i niezmiennych, stale i powszechnie uznawanych przez Kościół wschodni, jako całość. Cokolwiek w tej sumie nie zawiera się, to pozostaje przedmiotem kontrowersyi i nie może być uważanem za co innego, jak tylko za doktrynę prywatną tej lub owej szkoły teologicznej, tego lub owego, mniej lub więcej cenionego teologa, pozbawioną jednak zawsze powagi nieomylnego nauczycielstwa». Przypomina dalej Sołowiew, że orzeczenia późniejszych soborów partykularnych Wschodu, zarówno jak i najważniejsze nawet katechizmy greckie i rosyjskie, nigdy nie uyskały najwyższej i nieodwołalnej sankcyi całego Kościoła prawosławnego, sankcyi, którą mógłby je obdarzyć jedynie Sobór powszechny, co jednak i w przyszłości jest niemożliwem, nawet ze stanowiska wschodniego, dopóki Kościół wschodni trwa w schizmie z zachodnim. Stąd to, oprócz »Księgi kanonów«, zawierającej orzeczenia pierwszych soborów, nie posiada Kościół wschodni innej księgi symbolicznej we właściwem tego słowa znaczeniu. »Jest to faktem, — kontynuuje Sołowiew, — że opinii naszych wschodnich teologów, które są mniej lub więcej niezgodne z prawdą katolicką, wogóle mówiąc, ani sami teologowie nie podają, ani wierni nie przyjmują w charakterze obowiązkowych i nieomylnych dogmatów, na równi z orzeczeniami soborów powszechnych, a zatem jest rzeczą oczywistą, że nie byłoby rzeczą słuszną wkładać na Kościół wschodni, jako całość, odpowiedzialność za owe antykatolickie doktryny naszych teologów, którym Kościół nie nadał nigdy swej ostatecznej sankcyi«. Rozróżnienie swe pomiędzy nauką całego Kościoła, a poglądami jakiejś szkoły teologicznej, ilustruje Sołowiew na przykładzie, zapożyczonym z historii dogmatów zachodniego Kościoła. Nie można składać na ten Kościół odpowiedzialności za zwalczanie nauki o Niepokalanem poczęciu Najśw. Panny na tej podstawie, że czas długi walczył przeciw niej jeden zakon dominikański.

Rozróżnienie przytoczone gra, według Sołowiewa, wielką rolę w kwestyi zjednoczenia Kościołów. Wszystkie bowiem dogmaty wschodniego Kościoła są w rzeczy samej prawosławne i katolickie; co zaś stoi w sprzeczności z katolicyzmem, to nie

jest i być nie może dogmatem nawet z punktu widzenia wschodniego. »Złączeni jesteśmy z katolicyzmem przez to, co sami uważamy za absolutną i niezmienną prawdę, podczas gdy błędy, oddalające nas od jedności katolickiej, są tylko dowolnymi opiniami, nie posiadającymi najwyższej powagi nawet w oczach samych autorów i zwolenników swoich«. »Co się zaś tyczy ogółu wiernych Kościoła wschodniego, to nie można oskarżyć go o jakiś określony błąd; ich wiara jest tą samą wiarą, jaką wyznają i katolicy, pominawszy tylko ignorancję niektórych doktrynalnych orzeczeń, dokonanych na Zachodzie po rozdziale i dotyczących przede wszystkim charakteru i atrybutów najwyższej władzy w Kościele, — orzeczeń, których nieznanomość tem łatwiej zrozumieć i wytłumaczyć, że ten szczegół nauki katolickiej został ostatecznie ustalonym i wyjaśnionym przez Kościół zachodni w epoce bardzo późnej, mianowicie na ostatnim soborze watykańskim«.

Jako okoliczność pomyślną dla sprawy zjednoczenia Kościołów, przytacza Sołowiew i ten fakt, że w łonie samegoż Kościoła wschodniego niema zgodnego poglądu na Kościół katolicki i na istotę schizmy kościelnej. Tym sposobem schizma istnieje tylko *de facto*, nie zaś *de iure*, niema bowiem trybunału (ze stanowiska wschodniego), któryby przyczyny rozdziału mógł uznać za wystarczające i rozdział ten potwierdzić ostatecznie. Stąd pochodzi ta dziwna niezgoda w zapatrywaniach wschodnich teologów na katolicyzm. Podczas gdy jedni (najmniej liczni) posuwają się aż do twierdzenia, że katolicy znajdują się poza Kościołem i nawet wcale nie są chrześcijanami, — drudzy (Plato kijowski) publicznie oświadczają, że Kościoły wschodni i zachodni to dwie rodzone siostry, zagniewane na siebie jedynie wskutek nieporozumień. Niemniej rażącą różnicę zapatrywań na katolicyzm spotykamy w oficjalnej praktyce cerkwi rosyjskiej, a greckiej. Podczas gdy Grecy w swej nienawiści do katolicyzmu posuwają się aż do tego stopnia, że ośmielają się chrzcić powtórnie katolików, przechodzących do ich konfesyi, — Cerkiew rosyjska, wręcz przeciwnie, nie tylko chrzest łaciński, ale i wszystkie inne sakramenty katolickie za ważne uznaje. Co więcej, od unitów, których r. 1839 przyłączono

do cerkwi panującej, nie żądano wcale żadnej abjuracyi co do dogmatów katolickich. »To nas upoważnia do wniosku, że Kościół rosyjski nie dość, że uznaje w zachodnim Kościele skuteczność łaski, lecz nadto uznaje i to, że nauka katolicka nie posiada żadnego błędu teologicznego«¹. Jeśli są teologowie, którzy sądzą inaczej, — to już ta sama różnica zdań stanowi wielką wewnętrzną pobudkę do starania się o wyświeetlenie prawdy i rozwiązanie trudności. Chwila, kiedy ten problem narzuci się świadomości Wschodu w całym oświeetleniu, będzie chwilą rozwiązania go w zasadzie.

Inną wreszcie, sprzyjającą unii okoliczność Sołowiew upatruje w tem, że Kościół wschodni, a w szczególności Cerkiew rosyjska nigdy nie stanowiła części patriarchyatu zachodniego; z czego wynika, że i owa jednostajna centralizacya władzy kościelnej, jaka się wytworzyła w granicach Kościoła łacińskiego, nie potrzebuje i nie może być narzucaną w całej swej rozciągłości Wschodowi. »Obecny ustrój Kościoła katolickiego, — tak rozwija swą myśl Sołowiew, — do pewnego stopnia został spowodowanym przez smutny fakt schizmy wschodniej, wskutek której działalność katolicka w ciągu wieków musiała się ograniczać do samego patriarchyatu łacińskiego, gdzie Kościół Powszechny tyle zyskał na spoistości, ile stracił na rozciągłości. *Sed pereunte causa tollitur effectus*. Z przywróceniem dawnej unii Kościół katolicki, choć pozostałby rzymskim od centrum jedności, nie będzie już dłużej, w całej swej rozciągłości, nosił charakteru łacińskiego i zachodniego, jak to jest obecnie dzięki jednostajności organizacyi i zarządu (tolerancyi różnych obrządków, jako rzeczy podrzędnej, nie bierze się w rachubę). Rzymski — to nazwa Kościoła od punktu środkowego, który zawsze i niezmiennie będzie ten sam dla całej *circumferencyi*; Łaciński — nazwa ta przysługuje tylko poło-

¹ Ten wniosek, zapożyczony, zdaje się, od Jezuity Gagarina, nie wydaje się nam zbyt mocnym. Od unitów (ludu) nie żądano żadnej abjuracyi, ale abjuracyę taką sformułowali w imieniu wszystkich Siemaszko et Comp. Zresztą Cerkiew wschodnia, jak nie posiada żadnego trybunału mogącego definitywnie orzec o herezyi Zachodu, tak nie posiada również we własnych oczach prawa do orzeczenia, że tam herezyi niema. W jednym i drugim przypadku mocen jest wypowiedzieć ostateczne zdanie tylko Sobór powszechny.

wie, tylko jednemu wielkiemu odłamowi koła, który nie może ostatecznie pochłonać całości. Kościół rzymski, nie zaś łaciński, jest *mater et magistra omnium ecclesiarum*; biskup rzymski, nie zaś patriarcha Zachodu, przemawia nieomylnie *ex cathedra*, a nie należy zapominać, że były czasy, kiedy biskup rzymski przemawiał po grecku«.

»U nas wielu, — tak upewnia Sołowiew, — pragnęłoby jedności, lecz obawiają się latynizacyi. Należy więc dać im rękojmię, że w razie powrotu Kościoła wschodniego do jedności katolickiej i uznania przezeń władzy Stolicy św., ustanowionej przez Chrystusa Pana w osobie św. Piotra dla zabezpieczenia jedności, solidarności i słusznego progresu chrystyanizmu, — tenże Kościół wschodni zachowa nie tylko swój obrządek (co rozumie się samo przez się), lecz nadto zupełną autonomię ustroju i zarządu, jaką Wschód posiadał przed rozdziałem Kościołów. Żeby dotknąć jakiegoś szczegółu, winno pozostać nienaruszonym wyższe znaczenie samowładcy prawosławnego w Kościele, jakie mu przysługiwało w Kościele wschodnim (i jakie mu przysługuje obecnie w Rosyi)«.

»Streszczając wszystko, co się dotąd powiedziało, — zasadniczą podstawę zjednoczenia Kościołów określają te dwa różnienia:

1) Rozróżnienie pomiędzy prywatnemi opiniami naszych teologów, które mogą być mylne, antykatolickie i heretyckie, a wiarą Kościoła wschodniego, jako całości, która pozostaje wciąż prawosławną i katolicką.

2) Odróżnienie powagi papieża, o ile on jest następcą św. Piotra, *pastor et magister infallibilis Ecclesiae universalis*, od władzy jego administracyjnej, jako patriarchy Zachodu; odróżnienie gwarantujące autonomię Kościoła wschodniego, bez której unia, po ludzku mówiąc, byłaby niemożliwą«.

»Nie chcę jednak, — zastrzega się Sołowiew, — zbyt obstawać przy tym drugim punkcie. Zupełnie ufam tradycyjnej mądrości Rzymskiego Kościoła, cieszącego się asystencyą Bożą, i wybitnemu rozumowi i szczególnym cnotom obecnego Najwyższego Pasterza. Nie będzie tu potrzeba bronić swoich praw, lecz przyjąć ojcowską miłość«.

»Zjednoczenie Kościołów, — tak kończy memoriał, — przyniosłoby korzyść jednej i drugiej stronie. Rzym zyskałby naród pobożny i oddany idei religijnej; ta ostatnia otrzymałaby w papieżu wiernego i potężnego obrońcę. Rosya, w której tęku, z woli Bożej, spoczywa przeznaczenie Wschodu, nie dość, że pozbyłaby się mimowolnego grzechu schizmy, lecz nadto osiągnęłaby *eo ipso* możność wypełnienia swego wielkiego powołania powszechnego — zebrania wokoło siebie wszystkich narodowości słowiańskich i zainaugurowania nowej, istic chrześcijańskiej cywilizacyi, łącząc jedyną prawdę z wieloraką wolnością w najwyższej zasadzie Miłości, obejmując wszystko w jedności i rozdzielając wszystkim pełność jedyne go dobra«. W tem końcowem zdaniu słyhać echo formuły Chomiakowa, który jednak ideał ten widział wielonym, przynajmniej w zasadzie, w samym tylko Kościele wschodnim¹.

Memoriał Sołowiewa, według jego rady, został odbity w 10 egzemplarzach, z których trzy przesłał Strossmayer nuncyuszowi Vanutellemu dla niego, dla kardynała Rampolli i dla Ojca św. Przesyłając je, biskup pisał do nuncjusza 12 października 1886 r., że dla sprawy zjednoczenia byłoby rzeczą pożądaną, aby Ojciec św. z okazji swego jubileuszu (1888 r.) wydał do Wschodu encyklikę z zapewnieniem utrzymania obrządków i autonomii wschodniego Kościoła w razie połączenia się z Rzymem. Jednocześnie obiecuje Strossmayer ogłosić od siebie pracę, w której chce udowodnić, że »narodowości słowiańskie, odłączone od łona świętej Matki-Kościoła, wtedy tylko mogą być pewne, że spełnią swe powołanie w Europie i Azji, jeśli powrócą do Kościoła Powszechnego, jak konar odcięty do pnia swego, jak promień odezwany do słońca swego, jak strumień nawpół wyschły do źródła swego«². Upewnia wreszcie nuncjusza, że w Kościele wschodnim

¹ Różnica zapatrywań na obecną kwestyę bośniacką ma, naszym zdaniem, źródło nie tyle w politycznych rachubach, lecz przedewszystkiem i głównie, choć u wielu zapewne bezwiednie, — w religijnym poglądzie dwóch »panslawizmów«, jeśli można tak się wyrazić, — panslawizmu Chomiakowa i »panslawizmu« Sołowiewa i Strossmayera. Łatwo się domyślić, kto z zabierających głos w sprawie aneksyi hołduje pierwszemu, a kto drugiemu »panslawizmowi«.

² Porównanie zapożyczone u św. Cypryana, biskupa i męczennika.

wiele się znajduje dusz czystych i prawdziwie pobożnych, które pragną jedności. Oprócz Sołowiewa, którego nazywa parę razy *anima candida ac vere sancta*, cytuje księżnę Wołkońską, z którą pozostawał w korespondencyi. Sobie nie obiecuje już doczekać się pomyślnego skutku zabiegów, lecz one »dusze czyste i święte« zasługują na to, aby ujrzeć, jeśli nie pełne światło, to przynajmniej brzask zapowiadającej je jutrzeńki, którą mocen jest zaświecić Ojciec Przedwieczny tym, którzy nie rozpaczając w najtrudniejszych warunkach, siły swe wyteżyli w pracy nad zjednoczeniem.

Biskup i Sołowiew umówili się stanąć w Rzymie w roku jubileuszowym 1888, aby samego Ojca św. poprosić o błogosławieństwo dla umiłowanej sprawy. Twarda rzeczywistość pokrzyżowała te plany. Sołowiew, po powrocie do Rosyi, musiał podjąć długą i bezowocną walkę z cenzurą. Dzieła jego o teokracji, na które tyle nadziei pokładał, nie tylko nie pozwolono mu wydać w Rosyi, ale zabroniono rozszerzania zagranicznego wydania. Nic nie pomogły apelacye, protekcyje, nawet ustępstwa ze strony autora. Najdrażliwszy rozdział o prymacie papieskim został odłożonym do drugiego tomu w tym celu, aby pierwszemu, okrojonymu w ten sposób, wyrobić wstęp do ojczyzny. Napróżno! Filozofowi pozostało jedno tylko: szukać pociechy we własnym humorze i obiecywać sobie, że przeżyje Pobiedonoscewa. Przekonawszy się o bezcelowości swych starań i widząc, że z zagranicznego wydania również nie wielka wypłynie dla idei korzyść, Sołowiew zaniechał zupełnie pisania drugiego i trzeciego tomu. Ideę swą, która tam miała być rozwiniętą, obszernie, wypowiedział w formie skróconej we francuskiej książce *La Russie et l'église universelle*, pracy, mającej być z początku tylko memoryałem dla A. Leroy-Beaulieu, piszącego wówczas swoje dzieło *L'empire des Tsars*, lecz powoli urosłej do rozmiarów poważnej książki. Ta praca, zdaje się, przeszkodziła Sołowiewowi przybyć do Rzymu na umówiony termin. Dopiero w jesieni mógł zawitać w zachodnie strony, by oddać do druku swą francuską książkę.

Strossmayera tymczasem widzimy w Rzymie w kwietniu 1888 r. na czele chorwackiej pielgrzymki, którą przyprowadził na jubileusz papieski pomimo wielkich trudności, stawianych przez

ząd węgierski, upatrujący we wszystkim, co czynił biskup Djakowy, niebezpieczną panslawistyczną agitację. Przy tej okazji biskup przedstawił Ojcu św. przez kardynała Rampollę obszerny memoriał w sprawie rugowanej przez niektórych biskupów liturgii głągolicckiej, jak również w sprawie akcji nad pozyskaniem Kościołowi dyzunitów. Zapowiedział również rychłe przybycie do wiecznego miasta Sołowiewa, rekomendując go jaknajlepiej. W rzeczy samej nieco później Sołowiew był na audyencji u papieża, a w grudniu tegoż roku udał się po raz wtóry (i ostatni) do Djakowy »szukać zostawionej tam połowy swej duszy«.

Z encykliką o zjednoczeniu Kościołów, Leon XIII wystąpił dopiero kilka lat później z okazji jubileuszu swego biskupstwa. Przez ten czas zapal Sołowiewa, a może i Strossmayera dla tej sprawy znacznie osłabił stosunki między tymi dwoma apostołami jedności, zredukowały się do oficjalnych telegraficznych pozdrowień na Wielkanoc i Boże Narodzenie. »Chrystus zmartwychwstał« — telegrafował Sołowiew, a biskup odpowiadał mu: »Zaiste zmartwychwstał«. Po raz ostatni wysłał Sołowiew telegram na Boże Narodzenie 1896 r.; w ostatnich czterech latach życia zamilkł.

Jakiż był dalszy stosunek Sołowiewa do wypieszczonej przezeń idei połączenia Kościołów? Niektórzy, poczytujący się za uczniów wielkiego myśliciela, utrzymują, że jego katolickie sympaty były tylko chwilowemi, że później on się ich wyrzbił i od idei unii kościelnej odstąpił. Tak utrzymuje nawet biograf jego i przyjaciel W. Wieliczko. Jest to jednak nieprawda. Po pierwsze, stosunek jego do katolicyzmu nie kończył się na sympatyach. Sołowiew był przekonany katolikiem i wszystkie dogmaty Kościoła zachodniego przyjmował bez zastrzeżeń. Wyraz swej wiary w Boskie ustanowienie prymatu i jego nieomyślność, a zatem i we wszystko, co drogą tej powagi zostało dogmatycznie określone, — dał na wielu miejscach swych pism, a zwłaszcza w wyraźnych słowach w końcu wstępu do swej książki *La Russie et l'église universelle*, i tej wiary nigdy nie utracił. Osobiście upewniali mnie o tem dwaj uczniowie jego, którzy o tej materii w ostatnich czasach życia jego z nim rozmawiali. Zresztą stwierdzenie tej

wiary znajdujemy w ostatnim, co do czasu, większym utworze Sołowiewa, w »Trzech rozmowach« (Opowieść o antychryście), gdzie papieżowi przeznacza rolę skupienia pod sztandarem Chrystusa wszystkich, pozostałych po ogólnej apostazyi, chrześcijan różnych wyznań, a w usta wschodniego biskupa Joana i niemieckiego pastora Pauli wkłada słowa: *Tu es Petrus*.

Sołowiew pozostał do końca życia nie tylko wierzącym chrześcijaninem, ale i zdecydowanym katolikiem. Zewnętrznego jednak przyłączenia się do Kościoła nigdy nie uważał za potrzebne dla siebie, poczytując siebie za złączonego duchowo i mistycznie z Kościołem Powszechnym, a schizmę, którą po imieniu, jak widzieliśmy, nazywał, za grzech niejako osobisty hierarchii wschodniej.

Choć nie osłabła katolicka wiara, osłabła jednak działalność Sołowiewa w sprawie zjednoczenia i propagandy własnych przekonań. Po długich borykaniach się z cenzurą, uległ smutnej konieczności milczenia. Przytem zamało zyskał w ojczyźnie zwolenników swej idei (choć w *La Russie* zapewniał optymistycznie, iż poza nim stoi 100 milionów rosyjskiego ludu), a za wielu znalazł krytyków i wrogów. Walka przeciwko niemu przybrała cechę jak się wyrażał, »jednostronnych manewrów«. Próbował i propagandy ustnej, i w tym celu jeszcze r. 1887 miał w Moskwie kilka odczytów na korzyść biednych studentów, które wydały potrójny skutek: »1) powiedziałem, com chciałem, — i kiedy się dokona unia Kościołów, przyszedł historyk wspomni o tym dniu; 2) dostarczyłem biedakom 2000 rubli; 3) wywołałem bezsilny gniew publiczności moskiewskiej«. Oczywiście, przemawiać do publiczności, która w odpowiedzi tylko na »bezsilny gniew« zdobyć się umie, — rzecz bardzo niewdzięczna. Trafiał i do sfer duchownych. Po pewnej rozmowie ze studentami akademii petersburskiej o unii, wywołał takie zainteresowanie się młodzieży, że zwierzchność akademicka, aby zatrzeć wrażenie i zniszczyć sympatyje do katolicyzmu, sprowadziła umyślnie na konferencję z alumnami znanego renegata galicyjskiego, Naumowicza, przyczem Sołowiewowi nie pozwolono na publiczną z nim dysputę. Zniechęciła go do pracy i krytyka, jaka spotkała jego francuską książkę,

»Książkę moją, — tak pisze do kanonika Račkego, — z dwóch stron gania: liberali za klerykalizm, a klerykali za liberalizm. Ojcowie Jezuiti zupełnie machnęli na mnie ręką i starają się milczeć o mnie«. Jak niesłusznem było to ostatnie zdanie, świadczy fakt, że w tymże właśnie czasie O. Morawski umieścił w *Przeglądzie Powszechnym* obszerny i nader przychylny artykuł o tejże książce i wogóle o poglądach Sołowiewa¹.

Badź co bądź w ostatnich 10 latach swego życia Sołowiew rzadziej się odzywa na temat zjednoczenia Kościołów. Oprócz niepowodzeń propagandy, ustawiczne dolegliwości fizyczne zabarwiły jego umysł pewnym odcieniem pesymizmu. Przestał wierzyć, jak w początkach wierzył, w łatwość i bliskość (nie zaś w obowiązek) unii Kościołów, i w swych »Trzech rozmowach« dokonanie zjednoczenia odsuwa, aż na czasy ostateczne, na epokę antychrysta. Nie chcieli się chrześcijanie zjednoczyć dla tryumfu i postępu dobra, zjednoczą się kiedyś, kiedy zło już zatryumfuje.

Sołowiew zeszedł z łanu, lecz ziarno przez niego rzucone nie obumarło. On tylko żniwa nie doczekał się. W rzuconem przez niego ziarnie tai się nieśmiertelna siła. Trawa zaraz po zasianiu wschodzi, nasiona wieczystych drzew długo w roli kiełkować muszą. I wielkie idee wymagają długiego czasu, zanim je ogół zrozumie, przyswoi sobie, a coś dopiero — w czyn przyoblecze! Taką jest i idea Sołowiewa. Dziś, dzięki cenzuralnym ulgom, pisma Sołowiewa nawet te, które były dotąd dostępne za ledwie ciasnemu kółku wtajemniczonych², czytane są przez koła coraz szersze i wreszcie muszą zrobić swoje. Ogłoszony świeżo memoriał, któryśmy streścili, przyczyni się również do spopularyzowania idei Sołowiewa wśród rosyjskiego społeczeństwa.

¹ Zobacz *Przegląd Powszechny* 1890, xxv, 305; xxvi, 21, 230.

² W ogólnym zbiorze pism Sołowiewa, dokonanym przed paru laty, znalazł miejsce i ów pierwszy tom »Teokracji«. Nie umieszczono jednak francuskiej książki *La Russie et l'église universelle*, która za granicą doczekała się drugiego wydania. Rosyjskie jej tłumaczenie, wydane zagranicą, doczekało się również drugiego wydania. Widocznie jest czytane pomimo dotychczas trwających cenzuralnych przeszkód.

Z głównymi, zasadniczymi konturami tej idei nie można się nie zgodzić. Rozróżnienie między dogmatem a opinią teologiczną, jasno sformułowane przez Sołowiewa, otwiera wyznawcom wschodniej Cerkwi możliwość wyrzeczenia się wszystkich błędów. Dużo tylko jeszcze trzeba pracy włożyć, aby umysły i serca podniosły się do poziomu bezinteresownej miłości prawdy i jedności kościelnej. Dziś daleko do tego, i najczęściej po stronie wschodniej więcej spostrzegamy zaciętości w bronieniu opinii antykatolickich, aniżeli męstwa w obronie wspólnych chrześcijańskich dogmatów. Cennem jest i historycznie uzasadnionem i drugie rozróżnienie Sołowiewa, dotyczące prerogatyw rzymskiego biskupa, jako głowy Kościoła i jako patriarchy Zachodu, i nie ulega wątpliwości, że przy masowej unii musiano się z historią liczyć. Nasuwa się tylko myśl, czy »zupełna autonomia Wschodu«, jakiej domaga się Sołowiew, a zwłaszcza przyznanie »samowładcy« osiągniętego przezeń stanowiska w Cerkwi, nie stałyby się w stosunkach kościelnych nowem zarzewiem niezgody, jako dalszy ciąg tego systemu »byzantynizmu«, który obecną schizmę spowodował. Zdaje się, że w tym punkcie filozof spletał figla chrześcijaninowi i Sołowiew poświęcił praktyczność na rzez ulubionego swego szematu historyzoficznego o potrójnym czynniku w teokracji: »arcykapłanie, królu i wolnym proroku«.

Bądź co bądź sformułowane przez wielkiego myśliciela rosyjskiego zasady unii Kościołów zasługują na to, aby się nad nimi zastanawiali ci, w czyich rękę Opatrzność złożyła losy narodów.

Ks. J. Urban.



GALICYA W OSTATNIM BUDŻECIE PAŃSTWOWYM.

Wiadomo powszechnie, że najważniejszym uprawnieniem parlamentu, źródłem wszystkich dzisiejszych swobód konstytucyjnych, jest prawo przyjęcia, zmiany lub odrzucenia przedłożonego przez rząd projektu budżetowego. Ta prawno-polityczna doniosłość budżetu, nie wynika jedynie, jak to niekiedy twierdzą, z możliwości odmówienia rządowi środków materyalnych. Przyczyna dominującej w życiu konstytucyjnem roli budżetu jest znacznie głębsza, bo dopiero na podstawie cyfr w nim zawartych możemy osądzić, czy państwo spełnia w odpowiedni sposób swe zadanie, czy społeczeństwo odnosi z organizacyi i działalności państwa te korzyści, których ma prawo się domagać. Nie przeto dziwnego, że każdy nowy projekt budżetowy budzi wszędzie silne zainteresowanie w najszerszych nawet kołach, gdyż dając obraz przyszłej gospodarki zarazem wskazuje, jak państwo zamierza zaspokoić odczuwane przez społeczeństwo potrzeby. Ta funkcyja preliminarza budżetowego występuje w każdym kraju, lecz u nas dołącza się do niej jeszcze jedna, co najmniej równie ważna. Historyczny i narodowy skład Przedlitawii jest tego rodzaju, że pomimo całej centralizacyi, poszczególne kraje koronne posiadają swe własne życie, swoją odrębną indywidualność. Wskutek tego o ile można mówić o pewnych wspólnych potrzebach państwowych, o tyle niema tutaj wspólnych potrzeb społecznych, bo niema jednego społeczeństwa. Tem samem budżet przedlitawski musi się zawsze rozpatrywać z dwóch równocześnie stanowisk, raz

ażeby sobie zdać sprawę, o ile państwo spełnia swą funkcyę ogólną w dziedzinach lub przy pomocy środków, przy których odrębności narodowe nie wchodzą w rachubę, a powtóre ażeby zbadać, czy interesy własnego narodu i kraju będą uwzględnione w odpowiednich rozmiarach, czy przypadkiem nie upośledza się ich, ażeby wytworzyć dogodniejsze warunki dla innych, cieszących się w najwyższych sferach biurokratycznych większą życzliwością.

Dla nas w Galicyi ten drugi probierz dobroci budżetu ma szczególniejsze znaczenie. Nie potrzebuję tutaj podnosić, w jak wielu kierunkach kraj nasz pozostał w tyle póza innymi, przede-wszystkiem wskutek polityki rządu, stosowanej do nas w dziedzinie skarbowej i gospodarczej. Bądź co bądź Galicya jest dla biurokracyi wiedeńskiej krajem o wiele więcej obcym, niż która-kolwiek inna część państwa, to też każdy wydatek zrobiony u nas uważa się w Wiedniu jako uszczuplenie funduszków, które mają służyć potrzebom innych krajów koronnych. Niegdyś zasada wybierania z Galicyi wszystkiego, co tylko można, a wkładania tylko tego, co jest absolutnie niezbędne, kwitnęła nad Dunajem w całej pełni; Galicyę uważano za kolonię, mającą służyć interesom zachodnich prowincyi. Obecnie, już ze względów parlamentarnych, nie można zajmować tak skrajnego stanowiska, lecz tendencya pozostała w każdym razie nie zmieniona; nie możemy pod żadnym warunkiem liczyć na to, ażeby rząd centralny dobrowolnie i samorzutnie pomyślał o naszych potrzebach. Stąd też pilnie musimy śledzić, czy w każdorocznym budżecie uwzględniono nas w odpowiedniej mierze, musimy badać dokładnie każdą pozycyę, ażeby obronić się przeciwko wszelkim próbom upośledzenia.

Z tego głównie punktu widzenia zamierzam w dalszym ciągu rozpatrzyć preliminarz budżetowy na rok 1909. Porównując jego pozycyę z kilku poprzednimi budżetami zobaczymy, o ile uwzględnia się naturalny postęp potrzeb w naszym kraju, a zestawiając wydatki galicyjskie z czeskimi przekonamy się, czy jesteśmy ciągle jeszcze upośledzani i czy to upośledzenie rośnie, czy maleje. Ograniczam się do porównania głównie z Czechami, są one bowiem jedynym krajem koronnym, który swymi rozmia-

rami i ludnością zbliża się do Galicyi, stanowiąc $\frac{2}{3}$ jej obszaru, a $\frac{6}{7}$ ludności. Inne prowincye, jako znacznie mniejsze nie nadają się już najczęściej do tego celu, jasną bowiem jest rzeczą, że niektóre przynajmniej wydatki muszą być w małym kraju stosunkowo znaczniejsze, aniżeli w wielkim.

W poszczególnych krajach koronnych panują w wielu kierunkach tak odmienne stosunki, że porównywanie ogólnikowych cyfr budżetu nie może dać żadnego pozytywnego rezultatu. Tak np. nie możemy mówić o pokrzywdzeniu, gdy w Czechach i na Morawach utrzymuje się po dwie politechniki a we Lwowie tylko jedną, ani też nie można widzieć jakiegoś uprzywilejowania Galicyi w tem, że dzięki warunkom historycznym i społecznym posiadamy dwa okręgi apelacyjne, podczas gdy w Czechach istnieje tylko jeden. Chcąc więc zbadać rzeczowo i bezstronnie, o ile udział Galicyi w wydatkach państwowych jest odpowiedni, należy w każdym dziale budżetowym zbadać na podstawie właściwych przesłanek, o ile nasze potrzeby uwzględniono równomiernie z innemi, należy omówić kolejno poszczególne wydatki, i dopiero na takiej podstawie dojść do ogólnej syntezy. Stąd też podobnie, jak to już zrobiłem dawniej¹; rozpatrzę budżet indukcyjnie, dzieląc go na cztery części: wymiar sprawiedliwości, administrację, wyznania i oświatę, wreszcie gospodarstwo społeczne. Dopiero po takim zapoznaniu się z budżetem będzie można wydać syntetyczny sąd o stosunku preliminarza budżetowego do uprawnionych potrzeb naszego kraju.

I. Wymiar sprawiedliwości.

Ogół zwyczajnych wydatków na sądownictwo w krajach koronnych, nie licząc ministerstwa sprawiedliwości i najwyższego trybunału, preliminowano, po potrąceniu zwrotów, w kwocie 73,314.725 K. t. j. o 1,845.552 K. więcej niż w r. 1908. Z tego wypada na okręg krakowski 6,782.467 K., na lwowski 13,071.566 K., razem więc na Galicyę 19,854.033 K., czyli 27·08%, podczas

¹ Patrz: »Galicya w preliminarzu budżetowym na r. 1903«, w czwartym roczniku *Czasopisma prawniczego i ekonomicznego*.

gdy na Czechy przeznaczono tylko 14,510.504 K., a więc 19,79⁰/₀. Właściwie stosunek dla nas jest jeszcze korzystniejszy, gdyż w budżecie znajdujemy jeszcze z wydatków nierozdzielonych na poszczególne kraje koronne w sumie 698.000 K., dwie pozycje w ogólnej wysokości 164.000 K. przeznaczone na powiększenie personelu kancelaryjnego i prokuratori w Galicyi Wschodniej i na Bukowinie. Potrącając z tego szóstą część na rzecz Bukowiny przypada dla nas około 135.000 K., tak, że ogół wydatków rozdzielonych na kraje koronne wyniesie 72,780.728 K., w czem udział Galicyi dochodzi do 19,989.033 K., t. j. 27,46⁰/₀, Czech tylko 19,94⁰/₀. Nie licząc wydatków nierozdzielonych na kraje koronne, zwyczajne wydatki na sądownictwo wynosiły w ostatnich czterech latach:

Rok	Przedlitawia	Galic. Zach.	Galicya Ws.	Czechy	Przyrost w porównaniu z rokiem poprzedzającym w %			
					Przedl.	Gal. Z.	Gal. W.	Czechy
		Koron						
1906	63,451.806	5,908.904	11,134.818	12,874.205	—	—	—	—
1907	64,693.870	6,004.980	11,490.118	12,936.809	1.96	1.63	3.19	0.49
1908	71,300,173	6,636.792	12,913,043	14,424.869	10.21	10.52	12.38	11.50
1909	72,780.728	6,782.467	13,206.566	14,510.504	2.07	2.19	2.28	0.59

Jak z powyższego zestawienia wynika, wzrost wydatków w Galicyi był stale wyższy od średniego z wyjątkiem okręgu krakowskiego w r. 1907, i znaczniejszy niż w Czechach, znowu z wyjątkiem Galicyi zachodniej w roku ubiegłym. Szczególniej w okręgu wyższego sądu lwowskiego widać usilne staranie o odpowiednie udotowanie kraju w aparat sprawiedliwości, czego niestety nie można już w tych rozmiarach stwierdzić w zachodniej części kraju. Nadmieniam przytem, że w r. 1908 występują po raz pierwszy w budżecie wyniki reformy płac, przeprowadzonej w roku poprzedzającym, czem się tłumaczy nagły, bo przeszło dziesięcioprocentowy wzrost wydatków. To polepszenie bytu urzędników miało dla nas, szczególnie w Galicyi wschodniej, większe znaczenie niż dla innych krajów koronnych, co występuje w znacznie wyższym wzroście wydatków na apelację lwowską.

Jeszcze korzystniej przedstawia się budżet wydatków nadzwyczajnych na administrację sądową, a więc przedewszystkiem

na nowe budowle, częścią także na poprawę dawniejszych i założenie nowych ksiąg gruntowych. Mianowicie na nadzwyczajne wydatki preliminowano netto:

	Ogółem	Z tego nierozdzielone według krajów kor.	Galicja Zach.	Galicja Wsch.	Czechy
1906	3,459.625	550.000	587.285	360.160	336.848
1907	2,621.655	570.000	77.800	364.422	437.768
1908	4,401.680	925.000	36.000	1,373.765	344.688
1909	7,813.059	955.000	226.050	1,194.300	952.291

Z pomiędzy wydatków nierozdzielonych preliminowano w latach 1908 i 1909 na poprawę ksiąg gruntowych w Galicji wsch. i na Bukowinie po 375.000 K., z czego na nasz kraj przypada mniej więcej po 310.000 K., a na założenie nowych ksiąg gruntowych u nas, na Bukowinie, Pobrzeżu, w Tyrolu i Dalmacyi w r. 1906: 450.000 K., w r. 1907: 470.000 K., w ostatnich latach po 430.000 K. Trudniej tu oznaczyć udział Galicji, biorąc jednak za podstawę dotację ministerstwa sprawiedliwości, opłacaną z tego kredytu na utrzymanie personalu ewidencyjnego katastru gruntowego, z której na Galicję przypada w r. 1908 55·49%, w r. 1909 58·34% i przyjmując na poprzednie lata, w których zakładano księgi gruntowe głównie w Tyrolu i Dalmacyi po 25%, uzyskamy w okresie 1906—1908 kwoty galicyjskie kolejno około 112.500, 117.500, 236.500 i 249.500 K. Ogółem przeto, pomijając resztę nierozdzielonych wydatków, kredyty nadzwyczajne wynosiły:

W roku	w Przedlitawii	w Galicji Koron	w Czechach	więc udział Galicji w %	Czech
1906	3,359.625	1,059.945	336.848	31.54	10.02
1907	2,521.655	559.722	437.768	22.19	17.35
1908	4,281.680	1,956.265	344.688	45.68	8.05
1909	7,663.059	1,979.850	952.291	25.83	12.43

Bardzo charakterystyczną jest tu różnica między pierwszym okresem 1906—7, należącym do epoki dawniejszej Izby i rządów niemieckich w ministerstwie skarbu, a latami 1908—1909 z czasów nowego Koła i objęcia teki przez dr. Korytowskiego. W pierwszym dwuleciu przeznaczają się Galicji 1,619.667 K., t. j. 27·54%, Czechom 13·17%, w drugim Galicji 3,936.115 K., a więc 32·95%,

Czechom 10·86‰. Widoczną przeto jest bardzo znaczna poprawa stosunków w dziedzinie najbardziej może u nas zaniedbanej t. j. budynków rządowych, bo z ogółu wydatków nadzwyczajnych w omawianem czterolecu przeznaczono na nowe budowle gmachów sądowych w Galicyi zachodniej 927.165, we wschodniej 3,292.647 K. Dodając do tego kredyty na budowę zakładów karnych w Drohobyczu i Stanisławowie w latach 1906—1908: 130.000, 60.000, 420.000 i 640.000 K., otrzymujemy następujący rezultat w dziale budowy i urządzenia nowych gmachów dla wymiaru sprawiedliwości:

Lata	Przedlitawia K o r o n	Galicya	Czechy	Galicyi w % udział	Czech
1906—1907	5,295.280	1,579.667	886.616	29.83	16.74
1908—1909	11,959.739	3,890.115	1.376.979	32.53	11.51

Jest to niewątpliwie poważną zasługą byłego ministra skarbu i naszej reprezentacji, że wreszcie poważnie zabrano się do usuwania tych braków i niedomagań, które od tylu lat dziesiątek odczuwano u nas w sądownictwie, ze względu na zupełnie nieodpowiednie umieszczenie władz sądowych. A nie można mówić o jakimś uprzywilejowaniu naszego kraju, bo dzieje się to przede wszystkim w interesie skarbu państwa i jest tylko początkiem sanacyi grzechów przeszłości. Dowodzą tego najlepiej ogromne stosunkowo sumy, jakie dziś jeszcze opłaca się w Galicyi za wynajem prywatnych budynków. Obecnie istnieje w Galicyi 18 trybunałów pierwszej i drugiej instancyi i 170 sądów powiatowych, w innych krajach koronnych 65 trybunałów i 628 sądów czyli u nas niemal ściśle piąta część. Otóż wydatek na czynsze wynosi u nas 881.273 K., we wszystkich innych krajach koronnych tylko 1,135.402 K., a więc zaledwie o ćwierć miliona więcej, jakkolwiek jest tam cztery razy więcej instytucyi sądowych. Jeszcze wyraźniej wystąpi ten brak gmachów rządowych w porównaniu z Czechami, gdzie przy znacznie większej ilości sądów, bo 227 wszystkich kategorii, przeznacza się na czynsze zaledwie 182.000 K.; t. j. piątą część wydatków w Galicyi. Jak racjonalną, właśnie ze stanowiska państwowego, jest budowa własnych gmachów, widać z następującego zestawienia:

	Galicya	Czechy	Kraje alpejskie
Ilość trybunałów i sądów I i II instancyi . . .	188	227	336
Wydatki na czynsze i utrzymanie własnych budynków koron	1,002.973	374.000	802.586
Średnio wypada na jeden trybunał lub sąd kor.	5.331	1.647	2.389

Pomimo więc przeważnie nader nieodpowiedniego pomieszczenia naszych sądów, co zresztą stwierdza corocznie i rząd centralny w uwagach do preliminarza, kosztuje ono średnio przeszło trzy razy więcej niż w Czechach, a przeszło dwa razy więcej niż w krajach alpejskich. To też za akcyą, mającą zastąpić wynajęte budynki własnymi, przemawia w pierwszej linii ogólny interes finansowy, który w tym wypadku schodzi się najzupełniej z potrzebami naszego kraju.

Poprawa stosunków w dziale sprawiedliwości występuje jeszcze w innym kierunku. Wiadomo, że z systemizowanych plac personalu zaoszczędza się pewną część wskutek tego, że pomiędzy ustapieniem jednego urzędnika, a zamianowaniem w jego miejsce innego upływa pewien przeciąg czasu. Im większe są te oszczędności, zebrane w budżecie w rubryce interkalaryów, tem większa jest niezgodność teoretycznego etatu posad i ilości rzeczywiście istniejących urzędników, innemi słowy tem większy jest istotny brak sił w danej gałęzi administracji. Otóż w latach 1906—1907 potrącano na interkalarya z każdych 1000 K. plac w okręgach sądów wyższych w Bernie 21.70, w Tryeście 23.40, w Grazu 23.50, we Wiedniu 23.60, w Innsbrucku 23.80, w Pradze 24.20 K. Natomiast w Galicyi wschodniej potrącenia z tego tytułu wynosiły na 1000 K. plac 28.70, w Galicyi zachodniej, aż 31.80 K. Gdyby nie Bukowina i Dalmacya, w których interkalarya stanowiły 3.26% i 3.38%, okręg krakowski zajmowałby pierwsze miejsce w państwie pod względem zwlekania z obsadzaniem wakuujących posad, lwowski drugie — przywilej bardzo smutny, szczególnie wobec ciągłych, a uzasadnionych skarg na brak sił w sądownictwie. To upóźnienie skończyło się z rokiem 1908, odtąd bowiem potrąca się we wszystkich krajach koronnych 2½% z plac na interkalarya. Zmiana ta na korzyść naszego kraju przedstawia się cyfrowo w następujący sposób:

	Interkalarya wynosiły koron		
	w Galicyi	na Bukowinie i w Dalmacyi	w innych krajach koronnych
1907	366.367	94.980	717.253
1909	344.028	80.278	849.585
Różnica	—22.339	—14.702	+132.332

Pomimo więc, że płace zwiększyły się u nas o 11·53%, interkalarya spadły o 6·09%, podczas gdy w krajach zachodnich wzrosły o 18·45%. Różnica ta przedstawia wysokość dawniejszego pokrzywdzenia Galicyi w tym kierunku, obecnie już usuniętego.

Wreszcie w tegorocznym budżecie znajdujemy po raz pierwszy pozycję, mającą dla naszego kraju doniosłe znaczenie, mianowicie kredyt na pokrycie kosztów doręczenia pism sądowych. Jak wiadomo ludność wiejska żaliła się od dawna na koszt, które ponosi z powodu opłat za doręczanie pism sądowych, ciężar, który w Galicyi odczuwano znacznie silniej niż gdziekolwiek. Obecnie dzięki zabiegom naszej reprezentacyi zredukowano go bardzo, przyjmując znaczną część odnośnych wydatków na rachunek państwa. Mianowicie na wynagrodzenie doręczycieli pism sądowych przeznaczono kwotę 573.300 K., a wraz z opłatą przymusowego ich ubezpieczenia 589.700 koron. Z tego na Galicję zachodnią przypada 122.450, na wschodnią 308.000 K., razem 430.450 K. Ponieważ równocześnie prelinowano opłaty, pobierane za doręczenia od stron na 190.700 K., z czego w Galicyi zachodniej 40.000 K., we wschodniej 100.000 K., przeto czysty wydatek państwa wyniesie 399.000 K., z tego w Galicyi 290.450 K. t. j. 72·79%. Kwota ta reprezentuje odtąd coroczną oszczędność naszej ludności wiejskiej.

Postęp w uwzględnieniu Galicyi w sądownictwie, szczególnie we wschodniej części kraju jest więc bardzo widoczny. Pomimo tego pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, gdyż nawet tegoroczny budżet wykazuje jeszcze upośledzenie naszego kraju w niejednym kierunku.

W pierwszej linii występuje to w niekorzystnem ustosunkowaniu różnych klas urzędniczych, co jest tem dla nas gorsze, że jak powszechnie wiadomo, nasza młodzież garnie się w zna-

cznie wyższym stopniu do służby publicznej, aniżeli młodzież innych narodowości. Badając stosunki urzędnicze, możemy zestawić Galicyę zachodnią z Morawami, wschodnią z Czechami, bo są to okręgi ludnościowo i terytoryalnie do siebie zbliżone. Otóż z ogółu urzędników sędziowskich i prokuratoryi należało

Do klasy					w ‰			
	Galicya Zach.	Morawy	Galicya Wsch.	Czechy	Galicya Zach.	Morawy	Galicya Wsch.	Czechy
III, V i VI . . .	43	40	77	91	8.08	8.73	7.64	8.01
VII	145	135	300	359	27.26	29.47	29.76	31.60
VIII	126	115	228	265	23.68	25.10	22.62	23.33
IX	218	168	403	421	40.98	36.70	39.98	37.06
Razem	532	458	1008	1136	100	100	100	100

Mamy w naszym kraju dwa typy okręgów apelacyjnych, duży i mały i w obu jest o wiele gorzej, niż w podobnych okręgach krajów czeskich, przyczem Galicya zachodnia jest pokrzywdzona stosunkowo silniej niż wschodnia. Urzędników do VII klasy włącznie jest w zachodniej części kraju o 8.09‰ mniej niż na Morawach, podczas gdy przewaga Czech nad okręgiem lwowskim wynosi tylko 5.90‰. Uderzającym jest w każdym razie, iż we wszystkich działach stwierdza się stosunkowo lepsze stosunki we wschodniej niż w zachodniej Galicyi. Widocznie naczelna władza krajowa we Lwowie umie skuteczniej zastępować interesy swego okręgu wobec czynników centralnych niż krakowska. A jest to objaw stały, bo stwierdziłem go już przy omawianiu budżetu na rok 1903. Cyfry budżetowe zdają się wskazywać, że apelacja krakowska albo nie stawia odpowiednich żądań, albo nie umie poprzeć ich dość energicznie.

Do zupełnie podobnych rezultatów dochodzimy, badając stan urzędników i pomocników kancelaryjnych, personalu, przy dzisiejszem postępowaniu sądowem bardzo ważnego, od niego bowiem w znacznym stopniu zależy szybkość wymiaru sprawiedliwości. Stan ich był następujący:

Ilość	Przypada na 100 urzędników sędziowskich							
	Galie. Zach.	Morawy	Galicya Wsch.	Czechy	Galicya Zach.	Morawy	Galicya Wsch.	Czechy
Urzędników kancelar.	448	417	893	1.009	84.21	91.05	88.59	88.82
Pomocników	357	337	653	805	67.10	73.58	64.79	70.86
Razem	805	754	1.546	1.814	151.31	164.63	153.38	159.68

W Galicyi zachodniej jest przeto w porównaniu z Morawami mniej urzędników o 8.12^o/_o, pomocników o 9.66^o/_o, całego personelu manipulacyjnego o 8.82^o/_o, w Galicyi wschodniej w porównaniu z Czechami mniej kolejno o 0.26^o/_o, 9.06^o/_o i 4.11^o/_o, wszędzie więc różnica na niekorzyść naszego kraju, przedewszystkiem w jego zachodniej części.

Wreszcie co do urzędników jeszcze jeden charakterystyczny szczegół. Począwszy od r. 1908 wprowadzono t. zw. stypendya dla praktykantów sądowych po 840 K. Jest ich obecnie 275, z czego na Czechy przypada 107. Dla Galicyi nie przeznaczono żadnego takiego stypendyum, jakkolwiek preliminowano je we wszystkich innych krajach koronnych z wyjątkiem Dalmacyi i Bukowiny.

Wobec tego nie można się dziwić, że nasze sądownictwo funkcjonuje powolniej niż w innych krajach koronnych. Nie możemy zapominać, że jakkolwiek personal sądowy jest u nas stosunkowo skromniejszy niż w krajach czeskich, to jednak mieliśmy skarg cywilnych i karnych średnio w latach 1904—1906 w okręgu krakowskim o 41.09^o/_o więcej niż na Morawach, w Galicyi wschodniej o 58.49^o/_o więcej niż w Czechach. To też z ogółu procesów cywilnych, który rozstrzygał najwyższy trybunał w tym samym czasie 35.2^o/_o spraw galicyjskich ciągnęło się przeszło rok, a tylko 8.6^o/_o załatwiono w ciągu sześciu miesięcy. Natomiast w Czechach i na Morawach na sprawy trwające dłużej niż rok przypada tylko 12^o/_o, w krajach alpejskich tylko 9.5^o/_o, zato w ciągu pierwszego półrocza ukończono tam 25.4^o/_o, względnie 30.4^o/_o powyższych sporów. Wymiar sprawiedliwości dla naszej ludności jest więc prawie trzy razy powolniejszy niż dla czeskiej, a niemal cztery razy powolniejszy niż dla niemieckiej. Nie ulega więc wątpliwości, że w dziedzinie sądownictwa pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Naturalną konsekwencją zamałej ilości sił stałych, są bardzo wysokie w naszym kraju wydatki na pisarzy dziennych i służbę prowizoryczną. W całym państwie przeznaczono na ten cel w r. 1907: 2,445.800 K., w r. 1909: 2,821.600 K., z tego przypada na Galicję zachodnią 295.000, względnie 319.000, na wschodnią

515.000 i 594.000 K., razem w r. 1907: 810.000, w 1909: 913.000 K., podczas gdy w Czechach i Morawach wydatki te wynosiły w pierwszym roku tylko 566.000, w drugim 647.000 K. Z ogółu więc wydatków na personal prowizoryczny przypada na nasz kraj w r. 1907: 33.12^o/_o, w r. 1908: 32.35^o/_o, w obu krajach czecheskich razem 23.14^o/_o i 22.92^o/_o. Drobną zniżką udziału Galicji, która przedstawia poprawę stosunków w tym dziale jest stanowczo za mała, bo nie można zapominać, że udział nasz w stałych placach wynosi obecnie 26.99^o/_o, Czech i Moraw 29.97^o/_o. Na każde 100 K. plac stałych, przeznaczają się na prowizoryczne w Galicji 6.17 K., w krajach czeskich tylko 3.88 K., innemi słowy, przyjmując nawet, że place prowizoryczne są u nas równie jak tam wysokie — pracuje się u nas o przeszło połowę, bo o 59.01^o/_o za wysokim personelem nie stałym.

Wkońcu należy podnieść zbyt niskie ryczałty. Przeznaczono na nie

	1906	1909	% z ogółu wydat. zwyczaj.		Względ. zniżka 1906-1909 w %.
	k o r o n		1906	1909	
Galicya Zachodnia . .	279.000	290.000	4.72	4.28	9.32
Galicya Wschodnia . .	550.000	590.000	4.94	4.47	9.51
Czechy	735.000	790.000	5.71	5.45	4.55
Morawy	275.000	295.000	5.00	4.53	9.40

Wynik tych cyfr jest bardzo wyraźny, ryczałtów mamy stanowczo za mało, a dziś jest stosunkowo gorzej, niż było przed czterema laty.

Zbierając wszystkie te wywody razem można powiedzieć, że w dziedzinie sądownictwa widoczny jest postęp, który zaznaczył się przedewszystkiem w ostatnich dwóch latach i to głównie we wschodniej części kraju, podczas gdy w zachodniej polepszenie stosunków jest o wiele skromniejsze. Pomimo jednak tych korzystnych objawów, mamy jeszcze wiele do żądania, ażeby się zrównać z innymi krajami koronnymi. Najważniejsze braki, których sanację dotąd zaledwie że rozpoczęto, odnoszą się do wszystkich kategorii funkcyonaryuszy departamentu sprawiedliwości. Mamy ich za mało, rozklasyfikowanie urzędników jest dla nich niekorzystne i w nadmiernym stopniu pracujemy źle płatnemi siłami prowizorycznemi.

II. Administracya.

Skreślenie wydatków administracyjnych przedstawia większe trudności aniżeli budżet sprawiedliwości, bo granice administracyi są mniej uchwytnie. Zaliczam tutaj najpierw wydatki na właściwą administracyę i na zdrowotność publiczną, pomieszczone w budżecie ministerstwa spraw wewnętrznych, dalej na policyę wojskową i żandarmeryę z ministerstwa obrony krajowej, wreszcie koszta władz skarbowych, a więc budżet ministerstwa skarbu, z wyłączeniem zarządu majątkiem, monopolami i przedsiębiorstwami państwowymi.

Budżet właściwej administracyi politycznej przedstawia się w naszym kraju wprost fatalnie. Jest to tem gorsze, że od długiego już czasu nikt niema najmniejszej wątpliwości, że u nas tak ilość starostw, jak i urzędników jest zanadto szczupłą, ażeby administracya mogła być choćby w przybliżeniu tak sprężysta i szybka, jak w innych krajach koronnych. To zaniedbanie w tym dziale Galicyi uderza w tym roku tem przykrzej, że tak obecny namiestnik przy objęciu swego urzędu, jak i ówczesny minister spraw wewnętrznych podnieśli, że Galicyi należy się znaczne pomnożenie sił i urzędów i że rząd świadomy tej nieodzownej potrzeby przeznaczy na ten cel w najbliższym czasie odpowiednie środki.

Tymczasem w preliminarzu na rok 1909 znajdujemy wprowadzenie kredytu na utworzenie dwóch nowych starostw od 1 października 1909 r., lecz równocześnie w Czechach tworzy się w tym samym terminie dwa starostwa, a oprócz tego już od początku roku jedną ekspozyturę. W Galicyi więc będzie ogółem 82 starostw, w Czechach z dwoma ekspozyturami 104, podczas gdy w r. 1906 było starostw u nas 80, w Czechach 98, w r. 1903 w Galicyi 79, w Czechach 96. Wyłączając miasta o własnym statucie, stosunek starostw do obszaru i ludności przedstawia się w następujący sposób:

Rok	Galicya			Starostw	Czechy		
	Starostw	Jedno starostwo wypada na klm □	mieszkańców		Jedno starostwo wypada na klm □	mieszkańców	
1903 . . .	79	993.1	91.158	96	540.8	64.166	
1906 . . .	80	980.7	92.769	98	529.8	64.359	
1909 . . .	82	956.8	93.191	104	499.2	62.832	

W Galicyi zmniejszył się w tym okresie obszar starostw średnio o 36·3 klm. □, czyli o 3·66⁰/₀, a średnia ludność podniosła się o 2·034 głów, t. j. o 2·23⁰/₀, tak że pomnożenie urzędów nie dorównywało nawet normalnemu wzrostowi ludności, t. zn., że dziś jest u nas gorzej, niż było przed sześciu laty. Zato w Czechach obszar zmniejszył się o 41·6 klm. □, t. j. 7·69⁰/₀, ludność o 1·334, czyli 2·08⁰/₀. A są to daty, które przedstawiają to obiecanie polepszenie stosunków!

Zupełnie podobne rezultaty uzyskujemy przeglądając cyfry, odnoszące się do etatu urzędników. Dowodzi tego następujące zestawienie, w którym potrąciłem personal rady szkolnej krajowej:

	Galicya				Czechy			
	1903	1906	1908	1909	1903	1906	1908	1909
Urzędnicy konceptowi . . .	300	330	335	339	336	357	381	399
» sanitarni . . .	83	84	85	88	100	103	106	108
» rachunkowi . . .	86	89	90	93	93	101	110	112
» kancelaryjni . . .	148	157	160	180	204	215	228	240
Praktykanci konceptowi . .	120	120	120	120	97	121	131	131
Asystenci sanitarni . . .	8	8	8	8	5	7	7	7
Praktykanci rachunkowi . .	10	10	12	20	13	14	14	14

W ciągu powyższego sześćciolecia utworzono więc u nas 39 nowych posad konceptowych, 5 sanitarnych, 7 rachunkowych i 32 manipulacyjnych a nadto powiększono o 8 praktykantów rachunkowych, podczas gdy w Czechach przybyło 63 urzędników konceptowych, 8 sanitarnych, 19 rachunkowych, 36 manipulacyjnych, prócz tego zaś 34 praktykantów konceptowych, 2 asystentów sanitarnych i 1 praktykant rachunkowy. Procentowo przedstawia się ten wzrost w taki sposób, że w latach 1903 - 1909 przybyło:

		Urzędników				Praktykantów i asystentów		
		koncept.	sanit.	rachunk.	kancel.	koncept.	sanit.	rachunk.
W Galicyi	%	13.00	6.02	8.14	21.62	—	—	100.00
W Czechach	%	18.75	8.00	20.43	17.64	35.05	40.00	7.69

Z wyjątkiem przeto najniższych kategorii, wszędzie wzrost w Czechach jest bez porównania znaczniejszy, tak że ogólny rezultat da się streścić w zdaniu, że u nas administracya polityczna pracuje coraz szczuplejszemi stosunkowo siłami i coraz gorzej

płatnemi. Nic więc dziwnego, że skargi na zastój administracyjny mnożą się bezustannie.

Jasną jest rzeczą, że zwyczajne wydatki na władze polityczne przedstawiają analogiczne stosunki. Wynosiły one, po potrąceniu zwrotów i wydatków zcentralizowanych:

W roku	W cał. państwie	w Galicyi k o r o n	w Czechach	Procentowy udział Galicyi	udział Czech
1906	18,651.181	4,143.721	4,370 511	22.21	23 43
1908	21,350.427	4,741.718	5,305.716	22.21	24.85
1909	21,677.359	4,759.019	5,331.912	21.95	24.59
Wzrost 1906—1909 .	3,026.178	615.298	961.401		
	‰ 16.22	14.85	21.99		

Jak widzimy pogorszenie nastąpiło w ostatnim roku, a więc właśnie wtedy, gdy rząd obiecywał wydatną reformę.

Po tej ogólnej charakterystyce wystarczy już zwrócić uwagę na kilka ważniejszych szczegółów. Na radę zdrowia i rzeczowe wydatki sanitarne przeznacza się u nas stale po 10.000 koron rocznie, w Czechach po 21.000 K., a więc przeszło dwa razy tyle. A jednak jak znaczne są nasze potrzeby właśnie w dziedzinie higieny, dowodzi fakt, że na choroby zakaźne umierało średnio rocznie:

	W Przedlitawii	w Galicyi	w Czechach
W latach 1892—1896 . .	96.913	55.489	10.185
» 1902—1906 . .	59.230	34.830	6.560

W ostatniem pięcioleciu umierało średnio rocznie na:

	dyfterę	tyfus brzuszny	biegunkę	tyfus plam.	ospe
W Przedlitawii . .	10.867	4.482	2.001	353	25
W Galicyi	6.162	2.411	1.040	344	17
W Czechach	1.396	506	18	1	2

Są to cyfry wprost przerażające i dowodzą chyba jasno, jak wielkich potrzeba u nas wysiłków, ażebyśmy się przynajmniej zbliżyli do stosunków normalnych. A tymczasem w dziale sanitarnym dawne upośledzenie trwa nadal. Istnieje wprowadzie osobny kredyt w wysokości 1,000.000 K. na zwalczanie epidemii, lecz jest on zcentralizowany, tak że niepodobna stwierdzić, jak wielki jest w nim udział Galicyi.

Z ryczałtów pokrywa się wydatki gospodarcze, komisyjne

i płać pisarzy dziennych jako też służby prowizorycznej. W Galicyi kwota przeznaczona na ryczałty jest stosunkowo znaczna, gdyż personal prowizoryczny i dzienny jest bardzo wielki, właśnie dla braku stałych posad. W r. 1909 przeznaczono na płaćienne i służby prowizorycznej u nas 420.283 K., t. j. 34.31% wydatków całej Przedlitawii, w Czechach tylko 269.069 K., t. j. 21.14%. Pomimo tego robi się i w tym dziale w Galicyi zupełnie niesprawiedliwione oszczędności. Mianowicie wydatki na ryczałty, płaćienne i wynagrodzenia wynosiły koron:

	1906	1907	1908	1909
W Przedlitawii . .	2,965.948	2,922.057	3,034.701	3,014.916
Z tego w Galicyi .	818.260	791.380	810.692	795.698
„ w Czechach	634.443	621.083	662.773	667.564

W całym tym okresie mamy w Galicyi oszczędności 22.568 K., w Czechach wzrost wydatków o 33.121 K.

Wkońcu nie można pominąć sprawy umieszczenia urzędów politycznych. Za wynajęte na nie budynki płacono czynszu po potrąceniu zwrotów:

	W Przedlitawii	w Galicyi	w Czechach	Udział w % Galicyi	Czech
1906	823.998	268.406	148.786	32.57	18.05
1907	800.137	292.131	139.890	36.51	17.48
1908	850.513	291.736	170.868	34.30	20.09
1909	878.016	303.126	172.574	34.52	19.65

Przeszło trzecią część wszystkich czynszów opłaca się w Galicyi, a dziś stosunkowy jej udział w tych wydatkach jest nawet o wiele większy, niż przed czterema laty. Zdawałoby się więc, że podobnie jak w dziale sądowym, rząd będzie przeznaczał znaczniejsze kwoty na postawienie czy zakupno potrzebnych budynków. Tymczasem nadzwyczajne wydatki na nowe budowle władz politycznych — nie licząc policji — wynosiły netto:

	W Przedlitawii	w Galicyi	w Czechach
1906 . . .	323.307	18.793	34.239
1907 . . .	232.688	49.329	103.374
1908 . . .	325.050	42.359	111.869
1909 . . .	401.778	35.452	116.962
Razem . .	1,282.823	145.933	366.444
%	100	11.38	28.56

Wszelki komentarz jest tu zbiteczny.

Wydatki na bezpieczeństwo publiczne mieszczą się częściowo w budżecie ministerstwa spraw wewnętrznych, mianowicie o ile chodzi o dyrekcyę policyi i straż cywilną, częścią w budżecie ministerstwa obrony krajowej, o ile chodzi o policyę wojskową, istniejącą tylko u nas i o żandarmeryę. W najogólniejszych cyfrach przedstawiają się zwyczajne koszta bezpieczeństwa publicznego w r. 1909 — nie licząc kredytu zcentralizowanego i potrącając zwroty i dotacye gmin i krajów — w następujący sposób:

	Przedlitawia	Galicya	Czechy
Policya cywilna . . .	17,205.431	906.815	2,681.065
„ wojskowa . . .	640.615	640.615	—
Żandarmerya . . .	24,153.103	5.678.501	4.990.587
Razem	41.999.149	7,225.931	7,671.652

Z sum tych należy jednak potrącić wydatki na tych żandarmów, którzy w Galicyi i Bukowinie spełniają nadzór nad katarstrem bydła w okręgach nadgranicznych, bo fundusze na nich pochodzą z etatu ministerstwa rolnictwa. Po zrobieniu tej poprawki wyniosą koszta żandarmeryi ogółem 23.601.443 K., z tego w Galicyi 5,264.690 K., tak że cały koszt bezpieczeństwa publicznego wyniesie u nas 6,812.120 K., t. j. 16.43% ogólnych wydatków. Takie obliczenie jest jednak o tyle błędne, że z natury rzeczy wydatki policyjne w stolicy państwa i to jeszcze dwumilionowej, muszą być niestosunkowo wysokie. Właściwą przeto podstawę porównania otrzymamy dopiero po potrąceniu kosztów policyi wiedeńskiej, które dochodzą do kwoty 10,882.876 K. W takim razie udział Galicyi wyniesie 22.29%, Czech 25.10%.

Najważniejsze są u nas niewątpliwie wydatki na żandarmeryę, jako właściwą straż bezpieczeństwa w całym niemal kraju, a wprost jedyną w gminach wiejskich. Ogólna liczba posterunków żandarmeryi wynosiła w latach 1906—1909 u nas kolejno 704,765,785 i 812, w Czechach 856,881,917 i 914, tak że jeden posterunek wypadał na klm. □ w roku:

	1906	1907	1909
W Galicyi	111.4	102.5	96.6
W Czechach	60.7	58.8	56.8

Pewna poprawa stosunków nastąpiła więc u nas w r. 1907, podczas gdy w latach późniejszych polepszenie jest nadzwyczajnie skromne. To samo widzimy, przypatrując się ilości żandarmów wraz z podoficerami. Było ich w roku:

	1906	1907	1909
W całej Przedlitawii	12.187	12.684	13.077
Z tego w Galicyi . .	2.957	3.108	3.110
» w Czechach .	2.451	2.587	2.683

Liczba żandarmów galicyjskich obejmuje także tych, którzy spełniają nadzór weterynaryjny, nie można więc cyfr naszych przeciwstawić bezwarunkowo czeskim. W każdym razie od r. 1907 niema u nas prawie żadnego powiększenia etatu, w Czechach za to o 96, a w całym czterolecu przybywa nam 153 żandarmów t. j. 5.17⁰/₀, w Czechach 232, a więc 9.46⁰/₀. Nic przeto dziwnego, że wydatki na żandarmeryę podnoszą się u nas w mniejszym stosunkowo stopniu, niż w innych krajach koronnych. Wynosiły one, po potrąceniu zwrotów z budżetu rolnictwa:

	w r. 1906	w r. 1907	w r. 1908	w r. 1909	Przyrost proc. 1906—1909
W Przedlitawii .	18,921.320	19,764.863	23,040.545	23,601.443	24.73 ⁰ / ₀
W Galicyi . . .	4,380.535	4,514.295	5,192.491	5,264.690	20.19 ⁰ / ₀
W Czechach . .	3,957.571	4,200.875	4,995.272	4,990.587	26.10 ⁰ / ₀

W ostatnich przeto latach pogorszył się udział Galicyi w tej kategorii wydatków tak w stosunku do Czech, jak i do całego państwa. Podczas gdy w r. 1906 udział nasz w ogólnych kosztach żandarmeryi wynosi 23.15⁰/₀, czeski tylko 20.92⁰/₀, obecnie obniża się on w Galicyi do 22.31⁰/₀, a w Czechach podnosi do 21.14⁰/₀.

Przy wydatkach na policję właściwą należy przedewszystkiem podnieść, że nasze miasta są z tego tytułu zbytnio przeciążone. Jak wiadomo, miasta przyczyniają się w pewnym stopniu do kosztów utrzymania straży policyjnej, u nas wojskowej, w innych krajach cywilnej. Otóż zestawienia wydatków na straż policyjną i dotacyi miejskich na ten cel przedstawiają się w r. 1909 w następujący sposób, nie potrącając interkalaryów:

	Wiedeń	Praga	Tryest
Wydatki	8,348.739	1,961.477	1,327.109
Dotacja miejska	1,075.000	220.391	181.023
Dotacja miejska stanowi z wydatków %	12.88	11.24	13.64

	Lwów	Kraków	Przemyśl	cała Galicja
Wydatki	435.117	323.778	95.656	854.551
Dotacja miejska	85.407	80.945	5.000	171.352
Dotac. miejsk. stanowi z wydat. %	19.63	25.00	5.23	20.05

Z wyjątkiem Przemyśla, gdzie dotacja stanowi kwotę ryczałtową, obciążenie miast jest u nas wszędzie bez porównania wyższe niż gdziekolwiek, a szczególnie wysoką sumę na policję musi opłacać Kraków.

Poza tem należy przyznać, że budżet policyjny przedstawia się najkorzystniej z całego etatu ministerstwa spraw wewnętrznych. Po potrąceniu bowiem zwrotów i dotacyi wynosiły wydatki na dyrekcyę policyi, straż bezpieczeństwa i agentów policyjnych:

	W Przedlitawii bez Austrii Niż.	w Galicji	w Czechach
1906	5,329.270	1,170.741	2,372.447
1907	5,686.103	1,321.853	2,433.814
1908	6,202.660	1,405.476	2,634.206
1909	6,963.170	1,547.430	2,681.065

Widać z tego zestawienia, że wzrost wydatków był u nas znacznie silniejszy niż w Czechach. Podczas gdy w Galicji wynosi 376.689 K. t. j. 32.18%, w Czechach dochodzi do 308.608 K. czyli tylko 13.01%. Szczególnie w ostatnim roku podnoszą się w Galicji w wysokim stosunkowo stopniu wydatki na policję tak że można powiedzieć, że jest to jedyna część budżetu ministerstwa spraw wewnętrznych, która przynajmniej pod tym względem okazuje uwzględnienie potrzeb naszego kraju.

Drugi dział administracyi stanowi zarząd skarbowy. Wydatki na zarząd skarbowy nie zależą od wysokości wpływów z tytułu podatków i opłat, lecz przede wszystkim od rozkładu ciężarów publicznych na poszczególne gospodarstwa, bo na wymiar i ściąganie każdej należitości zużywa się mniej więcej tę samą pracę, bez względu na to, czy pretensya skarbu jest większa lub mniejsza. Stąd też wydatki skarbowe u nas muszą być w stosunku do

dochodów państwowych znaczne, bo przy niskiej, wobec ubóstwa kraju, wydajności podatków, mamy bardzo wielu podatników. Zarazem zarząd skarbowy musi się w wyższym stopniu liczyć z warunkami gospodarczymi, niż którykolwiek inny dział administracji. Nie można przeto dopatrywać się upośledzenia w szczupłych u nas wydatkach na kontrolę techniczno-finansową i urzędy celne, bo nasz przemysł piwowarski i cukrowniczy jest mało rozwinięty, a handel zewnętrzny w nieznacznym tylko stopniu przechodzi przez galicyjską granicę. Z drugiej znowu strony nie ma uprzywilejowania w bardzo znacznych u nas kosztach ewidencji katastru, bo jest to tylko naturalną konsekwencją wielkiego obszaru kraju i bardzo daleko posuniętego podziału ziemi.

W tablicy zamieszczonej obok, przedstawiam ogół zwyczajnych wydatków zarządu skarbowego, po potrąceniu pozycji nierozdzielonych na kraje koronne, zwrotów z najrozmaitszych tytułów, opłat stron prywatnych za czynności dla nich wykonane, jako też kosztów utrzymania urzędów akcyzowych w Wiedniu i Tryeście i statków straży skarbowej w krajach nadmorskich. Zarazem zaznaczam, że płace urzędników ewidencji katastru, w preliminarzu zcentralizowane, rozdzieliłem w stosunku do ilości okręgów ewidencyjnych, istniejących u nas i w Czechach.

Ogólny obraz budżetu zarządu skarbowego w Galicji jest dość korzystny, jak to widać z następującego zestawienia procentowego:

	Przedlitawia		Galicja		Czechy	
	Ogólne wydatki zarządu skarbowego	Wydatki zarz. skarb. bez urzędów celnych, kontroli technicznej i ewidencji katastru	Ogólne wydatki zarządu skarbowego	Wydatki zarz. skarb. bez urzędów celnych, kontroli technicznej i ewidencji katastru	Ogólne wydatki zarządu skarbowego	Wydatki zarz. skarb. bez urzędów celnych, kontroli technicznej i ewidencji katastru
Wzrost wydatków 1906—1909 w %	16.53	16.68	18.67	18.77	17.11	16.98
„ „ 1908—1909 w %	2.97	3.17	4.07	4.01	3.10	3.55
Procent. udz. w wydat. w r. 1906	100	100	21.03	21.94	23.44	22.65
„ „ „ w r. 1908	100	100	21.19	22.15	23.53	22.66
„ „ „ w r. 1909	100	100	21.42	22.33	23.56	22.70

Wzrost wydatków przeto jest u nas znaczniejszy niż w całym państwie lub w Czechach, to też i stosunkowy nasz udział

Zwyczajne wydatki zarządu skarbowego.

Wydatek w koronach na	Przedlitawia					Galicya					Czechy				
	1906	1907	1908	1909	1906	1907	1908	1909	1906	1907	1908	1909	1906	1907	1908
1. Władze skarbowe . .	22,868.826	23,682.071	26,263.992	27,018.027	5,387.614	5,513.951	6,280.925	6,335.483	4,663.716	4,910.996	5,543.873	5,796.773	4,663.716	4,910.996	5,543.873
2. Prokuratorye skarbu	1,457.950	1,490.790	1,663.952	1,617.756	342.930	361.010	404.218	409.229	266.640	272.590	301.100	304.252	266.640	272.590	301.100
3. Urzędy podatkowe i kasy depozytowe . .	16,710.627	18,012.275	18,829.145	20,005.570	3,902.990	4,371.610	4,535.930	4,921.020	4,359.551	4,786.365	4,865.680	5,123.873	4,359.551	4,786.365	4,865.680
4. Kasy krajowe . . .	800.178	798.542	874.394	872.737	139.885	140.663	159.325	163.547	102.726	102.504	112.856	116.073	102.726	102.504	112.856
5. Urzędy celne	4,851.935	5,024.551	5,589.060	5,638.441	348.534	354.602	393.458	401.470	1,215.378	1,261.408	1,481.239	1,496.633	1,215.378	1,261.408	1,481.239
6. Urzędy probiercze . .	251.530	256.880	272.985	294.400	27.070	24.330	30.300	33.800	34.650	37.100	43.600	49.973	34.650	37.100	43.600
7. Straż skarbową . . .	19,968.222	21,209.251	22,438.001	22,757.434	3,779.331	4,045.633	4,327.479	4,414.250	4,663.418	4,771.947	5,030.275	5,073.333	4,663.418	4,771.947	5,030.275
8. Ewidencję katastru gruntowego	3,198.335	3,319.425	3,723.930	3,874.195	918.387	961.195	1,062.536	1,137.489	545.256	569.345	678.313	695.273	545.256	569.345	678.313
9. Kontrolę techniczno- skarbową	2,549.535	2,545.079	2,725.414	2,741.077	391.429	396.851	412.976	415.676	1,224.779	1,228.882	1,318.941	1,322.732	1,224.779	1,228.882	1,318.941
10. Utrzymanie budynk.	856.629	866.400	811.300	842.800	119.559	119.100	101.000	113.000	156.914	164.500	198.000	202.303	156.914	164.500	198.000
Razem	73,508.767	77,205.264	83,192.163	85,662.437	15,458.227	16,291.845	17,638.150	18,344.964	17,223.028	17,805.637	19,573.877	20,181.000	17,223.028	17,805.637	19,573.877

w kosztach administracji skarbowej wzrasta stale i jest niewiele co niższy niż w Czechach. Szczególniej budżet na r. 1909 przedstawia się dodatnio, w Galicyi bowiem wydatki podnoszą się stunkowo o 37% silniej niż w Przedlitawii, a o 31% silniej niż w Czechach.

Przechodząc poszczególne pozycye, możemy również stwierdzić postępek w wielu kierunkach. Najpierw widać wyraźnie, że prowizoryczne siły, gorzej płatne, zastępuje się w coraz wyższym stopniu stałemi, przynajmniej przy dyrekeyach i powiatowych referatach skarbowych. Na ten cel bowiem preliminowano w latach:

	1907	1908	1909
		koron	
W Przedlitawii . . .	1,459.529	1,562.610	1,572.909
W Galicyi	486.161	465.650	434.642
W Czechach	270.396	327.170	346.538
Udział Galicyi w % .	33.29	29.78	27.63
„ Czech w % .	18.53	20.93	22.03

Jakkolwiek więc dziś jeszcze jest u nas pod tym względem gorzej niż gdziekolwiek, bo udział Galicyi jest tu znacznie wyższy, niż jej udział we wszystkich wydatkach, to jednak stosunki te zmieniają się szybko na lepsze, a co ważniejsza, polepszają się stale. Niestety nie można tego powiedzieć o prowizorycznym personalu urzędów podatkowych. Płace jego wynosiły w całym państwie w r. 1907: 462.110, w r. 1909: 603.760 K., z czego na Galicyę przypada 201.200 i 289.100, na Czechy tylko 76.800 i 100.600 K. Udział nasz tutaj wynosił w r. 1907: 43.54%, obecnie podniósł się do 47.88%, co dowodzi najlepiej, że mamy za mały etat właśnie przy tych urządach, które najczęściej stykają się z ludnością i tem samem dla niej są najważniejsze.

Drugim działem, w którym widać niezaprzeczony postępek, jest pozycya ryczałtów na potrzeby biurowe, od której w znacznym stopniu zależy sprężystość administracji. Są one u nas i obecnie jeszcze stanowczo za niskie, lecz dziś jest niewątpliwie lepiej niż było jeszcze przed paru laty. Mianowicie preliminowano na ryczałty w ważniejszych gależiach administracji skarbowej koron:

	W Przedlitawii					
	1906	1908	1909	1906	1908	1909
Dla władz skarbowych . .	642.280	680.606	730.743			
• prokuratorji skarbu . .	46.138	47.418	48.218			
• urzędów podatkowych . .	617.130	675.450	738.070			
• straży skarbowej . . .	259.000	327.000	423.000			
• urzędów celnych . . .	249.400	265.910	295.760			
• ewidencji katastru . .	156.800	189.600	206.260			
Razem	1.970.740	2.185.984	2.442.051			

	W Galicyi			w Czechach		
	1906	1908	1909	1906	1908	1909
Dla władz skarbowych	135.240	141.785	152.493	140.170	146.629	163.736
• prokurat. skarbu .	9.000	9.000	9.500	8.900	9.150	9.450
• urzędów podatk. .	118.600	135.600	150.600	168.000	174.700	180.000
• straży skarbowej .	41.000	55.000	92.000	40.000	52.000	75.000
• urzędów celnych .	16.000	17.000	17.500	70.000	77.000	84.000
• ewidencji katastru	36.000	50.800	60.000	24.000	24.000	28.000
Razem	355.840	409.185	482.093	451.070	483.479	530.186

Szczególniej preliminarz na rok bieżący przedstawia się dla nas ze względu na ryczałty bardzo dodatnio, co występuje najjaśniej, jeżeli porówna się procentowy wzrost tej kategorii wydatków w Galicyi, w Czechach i w całej Przedlitawii. Biorąc za punkt wyjścia wydatki na ryczałty z r. 1906, przekonywamy się, że wzrost ich wynosi na każde sto koron preliniowanych w r. 1906 koron:

Ryczałty dla	W Przedlitawii		w Galicyi		w Czechach	
	Średnio rocz. w latach 1907 i 1908	w r. 1909	średnio rocz. w latach 1907 i 1908	w r. 1909	średnio rocz. w latach 1907 i 1908	w r. 1909
Władz skarbowych . .	2.95	7.86	2.78	7.92	2.30	12.21
Prokuratorji skarbu . .	1.39	1.74	—	5.55	1.40	3.37
Urzędów podatkowych	4.23	10.15	7.17	12.65	1.49	3.16
Straży skarbowej . . .	15.06	33.20	17.08	90.24	15.00	57.50
Urzędów celnych . . .	3.31	11.97	3.13	3.13	5.00	10.00
Ewidencji katastru . .	10.46	10.62	20.56	25.55	—	16.67
Razem	5.46	12.99	7.50	20.48	3.59	10.36

Wszędzie więc, z wyjątkiem urzędów celnych, jest u nas powiększenie wydatków o wiele znaczniejsze niż w całym państwie, a w całości jest prawie dwa razy wyższe aniżeli w Czechach. To też udział Galicyi w ryczałtach, który w r. 1906 wynosił tylko

18.06%, podnosi się do 19.74% w r. 1909, podczas gdy w Czechach obniża się w tym samym okresie z 22.89% na 21.71%.

Wkońcu i stan personalu urzędniczego jest odpowiedni, z wyjątkiem urzędników podatkowych, których liczba jest niewątpliwie za niska. W obecnym roku preliminowano posad etatowych:

	Konceptowych	rachunkowych	kasow. i podatkow.	manipulacyjn.
W Galicyi . . .	753	302	1.539	116
W Czechach . .	642	239	2.015	88
a bez płatnych praktykantów				
W Galicyi	616	243	1.471	116
W Czechach . . .	502	199	1.874	88

Zarazem wypada nadmienić, że i ustosunkowanie klas urzędniczych polepszyło się u nas znacznie, tak że dzisiaj warunki awansu dla urzędników skarbowych są mniej więcej takie same jak w Czechach. Mianowicie na 100 urzędników konceptowych władz skarbowych wraz z prokuraturą skarbu należało do klasy:

W Galicyi												praktykant.	Razem
IV, V i VI	VII		VIII		IX		X						
1906 1909	1906	1909	1906	1909	1906	1909	1906	1909	1906	1909			
7.49 8.50	7.62	9.82	20.72	21.12	22.73	21.12	23.13	21.25	18.31	18.19	100		
w Czechach													
8.33 8.41	9.16	9.19	19.62	20.00	21.58	20.56	18.47	20.02	22.84	21.82	100		

Udział klas wyższych do VI włącznie podnosi się u nas z 7.49 na 8.50, a dwóch średnich VII i VIII z 28.34 na 30.94, t. zn. że wzrost w pierwszej grupie wynosi 13.49%, w drugiej 9.18%, tymczasem w Czechach stanowi on tylko 0.91% w klasach wyższych, a 1.32% w średnich.

W rezultacie więc nie możemy się skarżyć na preliminarz zarządu skarbowego, różniący się bardzo dodatnio od budżetu właściwej administracji politycznej. Główne braki można dostrzedz jedynie w dziale urzędów podatkowych, gdzie jednak, jak widzieliśmy poprzednio, występuje wyraźnie tendencya poprawy i w kategorii wydatków, która pojawia się we wszystkich gałęziach, jako zbytek dawnych zapatrywań o »kolonialnym« dla dzie dzicznych krajów charakterze Galicyi, t. j. w wydatkach na czynsze. Wynosiły one w roku:

	1906	1907	1908	1909
W Przedlitawii koron . . .	3,196.538	3,004.872	3,103,333	3,247.251
W Galicyi > . . .	791.155	784.190	814.048	854,882
W Czechach > . . .	713.186	640.320	649.513	667.132
Udział Galicyi w % . . .	24.75	26.10	26.23	26.33

Jakkolwiek więc udział Galicyi w tych wydatkach jest stosunkowo mniejszy niż w sądownictwie lub administracyi politycznej, to jednak wzrasta on stale, co dowodzi, że z ogólnego kredytu, w kwocie 2,000.000 K. na budowę nowych gmachów skarbowych, przeznaczają się dla naszego kraju bezwarunkowo za mało. Rzeczywistych u nas wydatków na nowe budowle oznaczyć niepodobna, bo powyższej pozycyi nie rozdziela preliminarz na poszczególne kraje koronne.

(Dok. nast.)

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

DYSKUSYA.

(Ciąg dalszy).

Rzadko który z historyków, w pytaniach zasadniczych, których zbadaniu poświęcił niemal całe życie, u schyłku swej działalności naukowej, zmienia zdanie swe i poglądy tak radykalnie, jak to uczynił profesor Wojciechowski w kwestyi św. Stanisława. Zazwyczaj nowe źródła, akta, kroniki, w oczy bijące dowody, podkopujące cały dotychczasowy pogląd na zasadnicze pytanie, są powodem zmiany zdania, jeżeli ona ostać się ma w nauce, a nie być tylko hipotezą. Najprzychylniejsza krytyka oceniła ten zmieniony sąd p. W. o św. Stanisławie jako hipotezę, jednakże i od niej wymaga nauka realnej podstawy.

Toż i przy ocenie hipotezy p. W., hipotezy, która zakwestyionowała słuszność czci największego patrona Polski, zapytywał każdy o jej podstawę. Najmniejszej nowej wzmianki annalistycznej, żadnego nowego aktu nie znajdujemy w szkicu p. W., aby mógł być podstawą do rzucenia werdyktu, uwłaczającego czci Świętego. Jeżeli zaś zapytamy o podstawę jakiej p. W. użył do swego werdyktu, to bardzo trafną znajdziemy odpowiedź na pytanie w poprzednim artykule dr. Krotoskiego, że jest nią interpretacya tekstu Galla i jedna odmienna od ogólnie przyjętej lekcyja w ustępie, w którym annalista mówi nie o Świętym, ale o zabójcy tegoż, królu Bolesławie. Należy zbadać tę podstawę hipotezy.

Najważniejszy ustęp małowównego Galla (M. P. I, 422) tak p. W. tłumaczy: Jako zaś Bolesław był z Polski wyrzucony, długoby było o tem mówić, tyle tylko ujdzie powiedzieć, że nie go-dziło się pomazańcowi karać pomazańca cielesnie za jakibądź grzech. To bowiem zaszkodziło mu wielce, że gdy biskupa za zdradę skazał na obcięcie członków, więc do grzechu dodał grzech. (Szkice, str. 252).

Tłumaczenie to nie oddaje wiernie myśli Galla. Najpierw bowiem w najstarszym kodeksie Galla czytamy: *non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare*, nie można tedy tego zdania odnieść do biskupa. Bezpośrednio następujące zdanie dowodzi, że lekcy *christianos* jest poprawna. Czytamy bowiem: *illud enim multum sibi nocuit, cum peccato peccatum adhibuit, cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit*. Przyjąwszy lekcyę *christianum* w znaczeniu pomazańca, należałoby podnieść jakąś nielogiczność tekstu przy czytaniu następnego, a zacytowanego zdania i zapytać, jakieżto grzech spełnił Bolesław przed zasądzeniem Świętego, wszakże o tym grzechu nie Gall nie mówił? Wobec najstarszej lekcyi *christianos* zarzut nielogiczności odpada, tekst jest poprawny i daje myśl jasną: król Bolesław mścił się cielesnie najpierw na poddanych (*christianos*), to był jego pierwszy grzech, a dodając grzech do grzechu skazał biskupa.

Gdybyśmy jednak ustęp tłumaczyć mieli w taki sposób, że owe zdanie *non debuit christianus in christianos peccatum corporaliter vindicare* wzięlibyśmy jako ogólną zasadę, którą autor wysuwa, aby ją zaraz uzasadnić przez podany przykład mściwości króla na biskupie dokonanej, że mianowicie król mszcząc się za grzech biskupa, grzech grzechem leczył, czem wykroczył przeciwko chrześcijańskiej zasadzie ze szkodą własną, to w takim razie mielibyśmy znowu trudność w tem, że właśnie Kadłubek, jak dalej dowodzimy, dobrze tutaj znający Galla, rozwinął ową myśl o zemście Bolesława na własnych poddanych, przez opowiadanie o pastwieniu się króla na niewiernych żonach swego rycerstwa. Zauważyć przytem należy, że Gallusowe *christianos* w znaczeniu poddanych odpowiada Kadłubkowemu c. 20 *bellum*

in suos transtulit, innemi słowy, że także znający tekst Galla Kadłubek rozumiał i rozwinał go w sposób wykluczający i lekceyę *christianum* i interpretacyę prof. Wojciechowskiego.

Jeżeli nie można się zgodzić na konjekturę najstarszego tekstu, proponowaną przez p. W., a co za tem idzie na interpretacyę Galla, to tem mniej przyjąć można tłumaczenie drugiego miejsca oddanego przez p. W. słowami: cieszył się Władysław Węgierski na przyjazd Bolesława, jako brata i sprzymierzeńca, ale też chowa w sercu gniew, bo trudno mu wybaczyć Władysławowi Hermanowi, że stał mu się wrogiem. W oryginale opiewa ten ustęp: *cum audisset Wladislaus Boleslaum advenire, partim gaudet ex amico, partim restat locus irae; partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico, sed deferre Wladislao fato dolet inimico.*

Na tłumaczenie p. W. żadną miarą zgodzić się nie można i odnieść wyraz *Wladislao* do Władysława Hermana, gdyż znowu musielibyśmy zarzucić Gallowi brak logiki. Najpierw bowiem nie wspominał Gall poprzednio ani słówkiem o Władysławie Hermanie, powtóre zapytać musielibyśmy, dlaczego Władysław Węgierski przy spotkaniu Bolesława miałby żywić gniew, z powodu, że Władysław Herman stał się mu wrogiem, wszakże Bolesław nie był temu winien, a wreszcie już przed przybyciem Bolesława wiedział król Węgierski o nieprzyjaźni Władysława Hermana (dodajmy, jeżeli wogóle jaka była). Błędne koło stworzył nam p. W. każąc odnosić wyraz *Wladislao* do Władysława Hermana, a stworzył je, tłumacząc wyraz *deferre* mniej odpowiednio przez wybaczyć, oznacza on bowiem uczcić: *honorem referre* (ob. Du Cange), a już samo rzetelne znaczenie tego słowa wyklucza odnoszenie następującego wyrazu *Wladislao* do Władysława Hermana. Jeżeli tedy prawidłowo postępując, oddamy wyraz *deferre*, przez *honorem referre*, *dolet* zaś odniesiemy do *Wladislao*, odpada i zarzut nielogiczności i jasno rozumiemy tekst, mówiący że Władysław Węgierski częścią cieszy się z przyjazdu Bolesława, jako z przyjazdu przyjaciela, lecz żywi też i urazę, bo musi uczcić tego, który zarządzeniem losu (nieszczęściem *fato*) stał się mu nieprzyjacielem. Ostatni wyraz *inimico* tłumaczy się tem, że Bo-

lesław był kłutwą obłożony, co Gall świeżo wyrazem *fato*, a poprzednio wyrazem *traditor* zaznaczył.

Że tłumaczenie p. W. jest mylne i że jedynie tłumaczenie powyżej podane jest możliwe, o tem przekonać się można także i z porównania całego ustępu Galla z temi źródłami, które najwcześniej z niego korzystały. Tym najwcześniejszym historykiem był nie kto inny, jak mistrz Wincenty, tak niesłusznie przez p. W. lekceważony Kadłubek. Że mistrz Wincenty czerpał tutaj z kroniki Galla, pouczyć się można z porównania ustępów, w których obaj annaliści opowiadają o przyjęciu Bolesława przez Władysława Węgierskiego. Opiewają one:

Gallus c. 28. MP. I. 423.

Wladislaus, ut vir humilis, (Boleslaus) propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam expectabat. At contra Boleslaus humilitatem regis... non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit. Hunc inquit alumpnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me osculari...

Winc. c. 20. MP. II. 297.

Wladislaw devotam illi exhibente reverentiam immo pedestri veneratione occurrente, Boleslaus tanto supra se fastu rapitur, ut digno illum osculo dignari contempsit. Iste inquit nostrarum opus manuum est, non autem competiti opifici, ut suam colat creaturam.

I pokorę Władysława i hardość Bolesława opowiadają obaj annaliści niemal tymi samymi zwrotami, jest przeto uzasadnionym wniosek, że Kadłubek korzystał z Galla. Jeżeli zaś zauważymy, że właśnie tekst Galla rozpoczyna się od owego zdania o podwójnej grze uczuć w sercu Władysława Węgierskiego z powodu przyjazdu Bolesława, zrozumiemy łatwo, że stanowi niejako tezę, dla której uzasadnienia obaj autorowie, Gall i czerpiący z niego Kadłubek, rozwijają w całym tym ustępie o przyjęciu Bolesława w Węgrzech, myśl o trudności stanowiska króla Węgierskiego względem przybywającego w gościnę swego przyjaciela, a zarazem hardego wygnańca. Gdyby Władysław Herman, jak to niefortunnie chce mieć p. Wojciechowski, był bodaj w części przyczyną tych trudności króla Węgierskiego, to jeżeli nie sam Gall, to z pewnością Kadłubek, który jest obszerniejszy, byłby bodaj jednym zdaniem podniósł i rozwinał myśl w kierunku proponowanej przez p. W. interpretacyi. Ale u Galla, ani u korzystających z niego

niema mowy o Władysławie Hermanie, a Kadłubek walkę uczuć w sercu Władysława Węgierskiego, później Świętego, oddaje wyrazami *aegre dissimulat, tamen ne fortunae dicatur fuisse socius non amicus etc.*, zapuszcza się więc głębiej aniżeli Gall w psychologię uczuć tego króla, a przecież o Władysławie Hermanie ani wspomina, jakby to niewątpliwie był uczynił, gdyby w ustępie odnośnym Gallus, z którego tutaj Kadłubek korzystał, miał Władysława Hermana na myśli. Niewątpliwie Kadłubek, który dobrze znał łacinę, zrozumiał Galla trafnie tak, jakeśmy wyżej ustęp sporny wytłumaczyli, a we wniosku tym mamy potwierdzenie dowodu naszego, że tłumaczenie p. W. nie jest rzetelne.

Godząc się na prawidłową interpretację omówionych wyżej ustępów Galla, musimy przyjąć w konsekwencji, że i ów wyraz *traditor* nie może mieć u Galla znaczenia zdrajcy stanu, lecz sprawcy odpadnięcia kraju od króla na skutek kłótwy biskupiej. Tę tu miał Gallus na myśli, kładąc wyraz ostry i potępiający *traditor* i dodając, że nie chce usprawiedliwiać biskupa. Kadłubek i tutaj może posłużyć za dowód posiłkujący, że takie tylko, jak wyżej podano ma znaczenie użyty wyraz *traditor*, gdy mianowicie mówi o Bolesławie, że ten *illum (Stanislaum episcopum) astruit prodicionis originem* i skoro dalej gani tych, którzy dali wiarę Bolesławowym skargom i biskupa mieli za sprawcę odpadnięcia kraju od króla.

Z powyższego rozbioru wypływa najpierw, że lekcyja *christianum* w znaczeniu pomazańca nie może być przyjętą, z powodu, że następujące po tym wyrazie zdanie, wyklucza znaczenie pomazańca, a natomiast dowodzi, że lekcyja *christianos* jest poprawną; powtóre, że interpretacya p. Wojciechowskiego ustępu Galla o podwójnej grze uczuć króla Węgierskiego z powodu przybycia Bolesława w odniesieniu powodów tychże do Władysława Hermana jest mylną, z powodu mylnego tłumaczenia wyrazu *deferre* i z powodu braku logiki i zdrowego sensu, gdybyśmy ustęp odnieść mieli do Władysława Hermana. Cały po kwestyjonowaniem zdaniu następujący ustęp Galla niemniej jak i korzy-

stającego zeń Wincentego dowodzi, że tłumaczenie, jak je wyżej podaliśmy, jest rzetelne, i że nie może być mowy, aby można było odnosić owo kwestyonowane miejsce Galla do Władysława Hermana. W rezultacie ostatecznym przekonywujemy się dowodnie, że hipoteza profesora Wojciechowskiego, zbudowana na fałszywej konjekturze i na mylnem tłumaczeniu Galla, nie może być przez naukę przyjęta.

Antoni Prochaska.



BOGARODZICA DZIEWICA

A JEJ NAJNOWSI PRZECIWNICY.

(Dokończenie).

Ale oskarża jeszcze Herzog ewangelistów, że przerobili świadectwo innego a dawniejszego ewangelisty, przeciwne dziewictwu Matki Jezusowej. Herzog znalazł to świadectwo według ewangelii Marka.

Herzog temu ewangelistcie szczególną przypisuje powagę: jemu jednemu przydaje nazwę świętego. Píše tedy (str. 127), że święty Marek ułożył swoją ewangelię o dwadzieścia lat wcześniej, niż Mateusz i Łukasz, a czytelnikom zostawił w rozdziale trzecim, we wierszach dwudziestym pierwszym i trzydziestym pierwszym świadectwo nieprzełagodne, kamień zgorszenia, którego teolodzy nie usuną mimo rozpaczliwych wysiłków. Jedyna rada to wyciąć owe słowa, jak właśnie to umieli Mateusz i Łukasz. Ale teolodzy tego nie mogą na swoje nieszczęście: więc pustą gadaniną bronią swojej zasady przed Markiem.

Ktokolwiek zna ewangelie, kto nadto poznaje Herzoga z niesumiennych jego przypisków, tego już nie dziwi, że w rękę jego ewangelia według Marka służy za oręż, którego rzekomo odbić nie zdoła żaden teolog.

Ewangelia według Marka uderza językiem zwięzłym, opisem krótkim i zbitym, jakby streszczała, co Mateusz opowiada. Marek nie opowiada, ale przebiega wypadki; w jednym rozdziale prze-

sunie przygody z długich miesięcy; zmieści każdą w paru wierszach, czasem w jednym, i już zaczyna nowy wypadek, ani nie zaznaczy, ile przeskoczył miejsca i czasu między jednym szczegółem a drugim; z opisu na opis przechodzi bez żadnych zwrotów pośrednich: łączy wszystko jednostajnie spójnikiem *καὶ*, — u Wujka »i« albo »a«, — ledwie niekiedy zaznaczy, że dalsze wypadki nastąpiły po poprzednich na innem miejscu albo »po dniach«.

Zawodowi badacze muszą porównywać ciągle te opisy krótkie z obszerniejszemi ewangeliami i rozsuwają na długie miesiące, rozstawiają po całej Palestynie wypadki umieszczone u Marka w kilkunastu słowach. Kto czyta Marka pobieżnie i zlewa różnorodne szczegóły w jeden obraz, ten staje nieraz zdumiony przeciwieństwami opisu. Kto czyta złośliwie, temu nie trudno wyczytać, co tylko zechce, np. że nam kazano unikać lekarzy, wszak napisano: Strzeżcie się doktorów, bo was bić będą¹.

Właśnie tak Herzog stopił w jeden opis kilkanaście wierszy, połączonych przeważnie spójnikiem *καὶ*². Poprzednio Marek napisał o wyborze dwunastu uczniów; teraz po 1-e pisze: i w zbiegowisku nie mogli ani chleba jeść; po 2-e: a o Jezusie mówili swoi, że oszalał; po 3-e (przez kilka wierszy): a doktorowie bluźnili, że Jezus mocą czartowską czarty wygania i usłyszeli odpowiedź w przypowieści o królestwie rozdwojonem; po 4-e: Jezus zapowiada karę za grzech przeciw Duchowi świętemu; po 5-e (przez kilka wierszy): i przyszli matka jego i bracia wołając go; i rzekł: któż jest matka moja i bracia? Ktoby czynił wolę Bożą, ten brat mój i siostra i matka jest.

Herzog z tych słów nie widzi dla siebie nic prócz wniosku, tak zuchwale niegodziwego, że sam, choć niedowiarek, nie wprost wypowiada bezecną myśl, tylko wkręca się z nią ogródkami. Nie odróżnia w tych kilkunastu wierszach pięciu wypadków odrębnych; wiąże je wszystkie w jedno: zatem nie upatruje całkowitej myśli Marka w opisie podanym na piątym miejscu. Z opisu tego widzimy, że Jezus jak matkę i braci, tak kocha słuchacza słów

¹ R. 12-y, w. 38-y; r. 13-y, w. 9-y.

² R. 3-ci, w. 20-y—35-y.

Bożych, który wedle nich żyje: stawia siłę uczuć rodzinnych za miarę miłości dla chrześcijan żywej wiary. Z opisu tego Herzog widzi, jak Jezus surowo odpowiedział matce i braciom, kiedy wyrzekając się rodziny, oświadcza, że żadnej już nie ma, tylko uczniów na jej miejscu. Sam Herzog uznaje tę odpowiedź za niezrozumiałą dla czytelnika, który widzi przed oczyma tylko opis podany na piątym miejscu. Rzeczywiście z owego opisu czytelnik rozumie miłość Jezusa dla prawdziwych chrześcijan równie gorącą jak dla rodziny, a nie rozumie, żeby Jezus miał tylko uczniów kochać, a rodziny się wyrzekać. Aby tę myśl zrozumieć, Herzog wraca kilkanaście wierszy w tył, przeskakuje parę opisów odrębnych i wpada w słowa, podane na drugim miejscu (w. 21): a swoi mówili, iż oszalał. Któż to, ci swoi? Herzog odpowiada, że »według w. 31-go ci swoi: to matka i bracia. Marya powzięła względem syna obawy i podejrzenia, których przykrego wyrazu dostarcza tekst Marka: zatem oczywiście nie wiedziała, przynajmniej przez jakiś czas, o Boskiem posłannictwie swojego syna. Więc jakże podobną nieświadomość pogodzić z poczęciem dziewiczym? Jako Matka Syna, poczętego z Ducha świętego, Marya czyż nie musiała wiedzieć, że ten cud ciągnie za sobą inne i że jej syn zajął osobliwe miejsce w ludzkości? Widocznie Marek nie wiedział o dziewiczym poczęciu i nie wstawiennictwu niebios przypisywał macierzyństwo Maryi. I tylko u Marka można zrozumieć słowa: oto moja matka i bracia. Rozumie się istotnie, że młody prorok rzekł się rodziny niewiernej, która zapoznawała jego posłannictwo Boskie i wykladała obelżywie jego zapal. Mateusz z Łukaszem przecieniowali z lekka opis Marka, opuścili słowa: »iż oszalał« i pozostawili przygodę niezrozumiałą; zadali opisowi szczerbę, która razi oczy«.

Czytelnik widzi, jak złośliwie Herzog przeskakuje dziesięć wierszy, z 21-go na 31-y, aby niecnie zaliczyć Matkę Jezusową między tych »swoich«, którzy mówili, że szaleje, i aby z takiego rzekomo jej obelżywego wykładu gorliwości syna wnosić o jej macierzyństwie.

Na widok tak niesumiennie wyzyskiwanych źródeł trzeba

przyznać, że o rzekomą przeróbkę słów Marka Herzog oskarża ewangelistów bez rozumnego powodu.

Słowem, niczem Herzog nie mógł własnego rozumu przeświadczyć o jakiejś robocie ewangelistów nieuczciwej, a od początku do końca swojego wyrobu rozprawia o tem, pod czym wpływem Mateusz i Łukasz prawdę bez sumienia paczyli. I wbrew odrazie chrześcijan do mitologicznych bożków, odrazie silniejszej niż obawa przed śmiercią, w mitologicznym podkładzie myśli chrześcijańskiej Herzog szuka źródła ewangelicznych świadectw o rodzicielstwie dziewicem. Nie bada, czy ówczesne stosunki nie wykluczają z ewangelii szczegółu, przemyczonego bez wielu świadków dowodnych, czy następnie śmierć za ewangelię nie wyklucza u ewangelistów pisaniny wbrew sumieniu.

Nie pyta się o to Herzog i nie uważa, że czytelnik może o to zapytać. I po co? Uwzględniać wskazówki, że świadek prawdę zna i kocha, że nie błądzi ani mylić nie chce: to ścisły obowiązek pisarza, który powagę świadka roztrząsa. Ale to właśnie ów przesmyk w drodze, którego naukowo nie przebył żaden z poprzedników Herzoga; więc i Herzog przeskakuje swój właściwy obowiązek i śmiało już wyklada, jak to mitologia natchnęła ewangelistów.

»To przypuszcza stan umysłów, na który trzeba rzucić światło«: zapowiada Herzog.

Czytelnik może odetchnął. Nie wzbogacił swojej wiedzy niczem z wywodów Herzoga o dwu uczelniach messyańskich, o Izajaszu z przepowiednią syna młodej mężatki, o podrobionych w ewangelii rodowodach i przenicowanych słowach Marka. Przecie z nadzieją jakiegoś pożytku można ciekawie czytać, co też nauka wykryła za nieznanne stosunki między ewangelistami a zwolennikami mitologii? Co to Herzog wyświetli w dziejach rozwoju umysłowego ewangelistów i w prądach pojęć między chrześcijaństwem pierwotnem?

Otóż Herzog, jak gdzieindziej kołował po bagniskach, tak i tu brodził przez płytki moczar, aż wykrył nie wypadki doniosłe dla dziejów myśli chrześcijańskiej, tylko jeden spójnik, którego Łukasz użył przy opisie rozmowy między Gabryelem a Maryą.

Wypada tu podać czytelnikowi całe świadectwo Łukasza oraz związanego ze sprawą Mateusza, aby przedstawić, na jakim tle Herzog rozumuje w świetle spójnika.

Łukasz opisuje (w rozdz. 1-m), jak pannie Maryi, zameżnej za Józefem, z domu Dawidowego, zwiastował Gabryel syna i zapowiedział jej zaraz imiennie, kto synem jej się urodzi: imię Jego Syn Boży. Zaraz Marya na to wskazuje na swoje panieństwo: jakoż się to stanie gdyż męża nie znam? Gabryel uspokaja Maryę co do panieństwa słowami:

- w. 35: »Duch święty zstąpi na cię
 a (xai) moc Najwyższego zaćmi tobie;
 przetoż (δὲ):
 y (xai) co się z ciebie narodzi święte,
 będzie nazwane Synem Bożym;
- w. 36: a (xai) oto Elżbieta poczęła syna w starości;
 a (xai) ten miesiąc szósty iest oney,
 którą zowią nieplodną;
- w. 37: bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne«.

Temi słowami złożył Łukasz świadectwo nie jemu przypisywane przez jednych dawniej, a przez drugich podejrzywane pod pozorami różnymi. Wkońcu już nawet taki Herzog musi przyznać (str. 121), że w powyższych słowach nie kto inny, a Łukasz zupełnie jasno usuwa Józefa od udziału w urodzinach Jezusa. To samo Herzog przyznaje o Mateuszu, który pisze najprzód o rodowodzie Jezusa:

Juda zrodził Pharesa z Tamar, potomek Pharesa Salmon Booza z Rahab, Booz zrodził Obeda z Ruth, wnuk Obeda Dawid zrodził Salomona z tej, która była Uryaszowa, potomek Salomona »Jakób zrodził Józefa, męża Maryiey, z którey się narodził Iezus, którego zowią Chrystusem. A narodzenie Chrystusowe tak było: Gdy była poślubiona matka iego Iosephowi, pierwéy niżli się zeszli, należona iest w żywocie maiąca. Ioseph chciał ią opuścić. Anyół okazał mu się mówiąc: Iosephie, synu Dawidów, nie bój się przyiąć Maryey, abowiem co się w niey urodziło, iest z Ducha

świętego. A to się stało, aby się wypełniło, co powiedziano przez proroka: oto panna w żywocie mieć będzie y porodzi syna: y nazową imię iego Bóg z nami«.

Nim czytelnik tych słów zastanowi nad nimi sam uwagę i własnym sądem oceni w nich piętna prawdy, obecnie musi przypatrzeć się, jak Herzog, niby zwierz brudny, ryje się w tych słowach, aby zarzucić im znamiona oszustwa.

Łukasz to Herzogowi wydał tajemnicę oszustwa przez spójnik »przeżoż«, — w pierwotnym języku greckim *διό*, — równoznaczny ze słowami »przez co«, »zaczem«, »to też« i tym podobnymi. Na rozbiorze tego spójnika Herzog oparł swój wywód właściwy; trzeba za nim iść na gramatyczną rozprawę o spójniku.

Gramatyka nazywa rzeczony spójnik wnioskowym i różni tak w greckim języku jak w każdym, — i jak dyalektyka filozoficzna, — dwojaki wniosek: przyczynowy i wykładowy; — albo, — jak inni nazywają: podrzędny i spółrzędny.

Różnicę między wnioskami wymienionymi spostrzedz łatwo w mnóstwie zwrotów potocznej rozmowy. Mówią nam: straż pożarna pędzi cwałem, więc gdzieś zajął się ogień. W tym razie szybka jazda straży nie jest bytowo przyczyną pożaru, tylko daje o nim wiedzieć: zatem spójnik »więc« wyraża nie wniosek podrzędny, tylko spółrzędny, mianowicie nie wniosek przyczynowy, tylko związek w zakresie poznawstwa, czyli służy wykładowo. Innym razem mówią: piorun w nocy uderzył w suchą stertę na polu, więc spłonęła. Teraz piorun jest bytowo sprawcą pożaru, a nie tylko daje o nim znać; to też spójnik »więc« wyraża już rzeczowy związek przyczyny ze skutkiem a nie tylko umysłowo prowadzi do wniosku; nie wykładowo służy a przyczynowo, — nie spółrzędnie tylko podrzędnie.

Jak w mowie potocznej, tak w piśmie używają wykładowego spójnika »więc«, — albo podobnych, — zarówno księgi biblijne, jak każde inne z czasów czy starożytnych czy nowszych: łączą nim nowe szczegóły z wymienioną już ogólnie treścią wypadku. Więc Daniel donosi najprzód, że Nabuchodonozor wprowadził wielu młodych jeńców; więc dalej wylicza imiennie kilku

chłopców uprowadzonych; więc właśnie byli między nimi sam Daniel i Ananiasz, Mizael i Azaryasz. Więc pisze gdzieindziej, że Baltazar urządził ucztę, więc pijany kazał przynieść naczynia ze świątyni. Więc Herzog spotyka także u francuskich powieściopisarzy ich *or* na początku nowych rozdziałów: więc widuje tym spójnikiem łączone ustępy umysłowo bez żadnego związku przyczynowego, zupełnie spólrzędnie.

A choćby Herzog osobiście wątpił o greckiem *διό* w języku świętego Łukasza, miał właśnie o Łukaszowem *διό* imiennie uwagę w gramatykach. Np. *Grammatik des Neutestamentlich Griechisch*. von Friedr. Blass, § 78, 5: »Endlich ist konsekutiv *διό*, einen subordinirten Relativsatz einführend, welche Subordination aber vergessen ist Mat. 27, 8; Luk. 1, 35 wo die auch klassisch beliebte Verbindung *διό καὶ*; häufiger Act. Briefe«. Nie tylko Łukasza wymienia gramatyka, ale nawet właśnie w tym rozbiernym obecnie ustępie przytacza to *διό*, jako nie podrzędne, przyczynowe, tylko spólrzędne, wykładowe.

Więc Gabryel w rozmowie z Maryą najprzód zwiastuje jej syna i, nim usłyszał jej odpowiedź, zaraz uwiadamia ją, kto synem jej się urodzi: Ten, czyje imię: Syn Najwyższego. Nim tedy Marya zarzuci swoje panieństwo, — przyrodzoną przeszkodę do macierzyństwa, — już o tem wie, że to Syn Boży przyjmie z niej ciało, ale o tem jeszcze nie myśli zaraz, że Bóg nie podlega prawom przyrody, jeszcze nie wie o swoim rodzicielstwie dziewiczem. Więc o to się pyta, o czem nie wie: jak się to stanie, że syna porodzi bez męża? Więc o tem, czego nie wie, od Gabryela dostaje odpowiedź: o niezwiastowanej jej jeszcze ochronie dziewictwa, — a nie o zwiastowanym już jej Synu Bożym; o Nim już Marya dobrze wie, iż obrał ją za matkę. To też każdy, kto nie po Herzogowsku czyta ewangelie, czeka teraz w odpowiedzi Gabryela wskazówki nie o bóstwie jej Syna, tylko o jej zapewnionem dziewictwie.

Więc Gabryel uspokaja Maryę co do jej panieństwa; odpowiedziawszy rzekł jej:

Duch święty zstąpi na cię...

Marya nie w przyrodzony sposób ma zostać matką; na nią Bóg Wszechmocny spuści Ducha swojego z mocą rodzicielską... a (χαί) moc Najwyższego zaćmi tobie...

Zaćmić komu: zwrot to zwykły u biblijnych pisarzy; więc w psalmie 90-tym Dawid zapowiada: plecami swojemi zaćmi tobie; gdzieindziej prosi: tarczą imienia Swojego zaćmij mi, — albo dziękuje, iż Bóg przed nieprzyjaciółmi zaćmił Izraelowi, albo w upale Swojemi skrzydłami zaćmił Dawidowi. Zwrot ten rozmaicie przekładany u Wujka, wyraża zrozumiałą wszędzie myśl, że Bóg ocienia, pokrywa, zasłania, chroni plecami, tarczą, skrzydłami; słowem strzeże mocą Swoją przed niebezpieczeństwem. Tak Gabriel zapewnia, że moc Najwyższego ocali Maryę i jakby w cień usuniętą wybawi przed naporem praw przyrody.

Więc Gabriel już ogólnie przedstawił Potęgę Nieskończoną. Więc dalej tę odpowiedź swoją o Boskiej sprawie rozwija w obrazie uchwytniejszym, więc wyklada i zestawia dzieła Boskie, wylicza szczegóły, które Boską wszechmoc poznać dadzą jawniej, wyłożą jej pojęcie głębiej, uspokoją Maryę zupełnie; więc przywołuje najprzód już zwiastowany objaw Wszechmocy: wszak to Boży Syn z Maryi się zrodzi, nieskrępowany żadnem prawem stworzonem, niezależny od przyrody co do sposobu, jak weźmie ciało z matki; wszak i sam ten wypadek już poza wszelkie porządki przyrody sięga, że Bóg się wciela. Więc wzmianką o cudzie już zapowiedzianym Gabriel wyjaśnia zapowiedź dziewictwa, którą dopiero co dał i jeszcze wyklada, jakby mówił: Przetoż, to też, wszakże i Synem Bożym będzie, co się z ciebie narodzi...

A oto Elżbieta poczęła syna w starości...

Teraz wypadek uchwytny, sprawdzalny stanowi nowy objaw Wszechmocy Boskiej; tego używa Gabriel i wyklada na przykładzie Elżbiety, jak Pan Bóg nie zależy, niby niewolnik, od codziennego porządku w przyrodzie. Na zwyczajne dni i niezliczone tysiące przygód obrał sobie drogę, którą nazywamy prawami przyrody. Na niezwykle dzieła zmienia porządek i oto Elżbieta poczęła w starości swojej. Na grób już jej oglądać się ludzie kazali a Pan Bóg przygotował jej niespodziankę. Tak Gabriel

wywodzi, że Bóg zdolny obdarzyć sędziwą i niepłodną macie-
rystwem, Sobie zdoła przybrać ciało z dziewicy.

Ale jeszcze Marya pomyśleć może: Tak! staruszka Elżbieta po-
częła dzieciątko; czy tylko zdołała je dochować? czy sił jej nie zabrakło?

Więc jeszcze Gabryel dodaje szczegół trzeci: a ten miesiąc
szósty jest oney, którą zowią niepłodną. Jeszcze tym szczegółem
Gabryel potwierdza i wyjaśnia Maryi zapowiedzianą jej sprawę
Bożą w ochronie jej panieństwa.

I po tych trzech szczegółach Gabryel uważa swoją zapo-
wiedź za wyłożoną jasno: więc ujmuje całą treść obrazu w jedną
myśl podstawną: bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne.

Tak zabezpieczona przed utratą panieństwa rzekła Marya:
niechaj się stanie, jak mówisz.

Otóż w tej odpowiedzi Gabryela na obawę Maryi, widzimy
rzeczywiście zwiastowaną najprzód prawdę o rodzicielstwie dzie-
wiczem, — a następnie związane z tą prawdą przez spójnik »przeto«
trzy objawy Wszechmocy Boskiej, i te znowu równorzędnie łą-
czone ze sobą spójnikiem *xxi*. Otóż w owym spójniku wniosko-
wym »przeto« i gramatyka widzi właśnie na tem miejscu związek
wykładowy, nie przyczynowy, i prosty rozum wykazuje, że prawda
o dziewiczym rodzicielstwie nie jest ani przyczyną ani skutkiem
owych trzech prawd, że Syn Boży się wcielił, że staruszka po-
częła syna i że niepłodna jest w szóstym miesiącu; umysł nieu-
przedzony uznaje, że owe trzy prawdy stanowią trojaki objaw
Wszechmocy Boskiej, przytoczone, aby wyłożyć dobitniej słowa
poprzednie o Mocy Najwyższego i streszczają się w słowach na-
stępnych o możliwym u Boga każdym cudzie. Stąd nie w owym
spójniku wnioskowym nie raz było nigdy chrześcijaństwa i nie wą-
tliło wiary w rodzicielstwo dziewicze.

Aż dopiero Herzog zrozumiał Łukasza i wykrył w owym
spójniku związek przyczynowy między dziewictwem Maryi a sy-
nostwem Bożem Jezusa, — czyli wynalazł, że według Łukasza Je-
zus był Synem Bożym, bo z dziewicy się rodził (str. 127); mia-
nowicie Herzog wpadł przez Łukasza z owym spójnikiem na
trop, czemu Mateusz zrobił Maryę dziewicą: bo chciał Jezusa
zrobić Bogiem, a w rodzicielstwie dziewiczym miałby dowód Bó-

stwa Jezusowego: więc podrobił Izajasza proroka i rodowód i świadectwo Marka o słowach Maryi, »iż oszalał«¹.

Herzog tak rozumuje, jakby wyczytał z ewangelii taki syllogizm arcyniedorzeczny:

Kto rodzi się z dziewicy, Bogiem jest,

A Jezus rodzi się z dziewicy:

więc jest Bogiem.

Pierwszą przesłankę Herzog przypisuje świętemu Łukaszowi, jako zawartą w entymemacie Gabryela: zrodzisz syna bez utraty panieństwa, przeto syn ten będzie Bogiem.

Czytelnik widzi, jak Herzog opuszcza ze słów Gabryela dwa inne objawy Wszechmocy Boskiej a po »przeto« zostawia tylko Synostwo Boskie, aby nadać słowom Gabryela pozór entymematu ze spójnikiem »przeto« przyczynowym. Darmo gramatyka i sam rozum wykazują w spójniku owym wniosek wykładowy; darmo dyalektyka filozoficzna nie upatruje w słowach Gabryela entymematu; wbrew filologii i logice Herzog upatrzył entymemat i bada, skąd Łukasz znał ukrytą przesłankę owego entymematu, mianowicie zasadę, że Bogiem jest, kto rodzi się z dziewicy—?

Tu Herzog wykrywa, jak klechda wyjaśnia dzieje:

Oto Łukasz dał się użyć chrześcijanom nawróconym z pogaństwa za odgłos ich pojęć mitologicznych. Chrześcijanie owi na tle dawnych bajek marzyli o założycielu swojej religii. Tytu Hellada boskich potomków opiewała w dziejach doby bohaterskiej, tytu po niej cenił Rzym. Czemużby w chrześcijaństwie nie posiadać Syna Bożego? A kiedy Bóg miał być ojcem Jezusa, czyż mógłby nie brać w szczególny sposób udziału w Jego narodzeniu? Rozumie się tedy, czemu bez uczestnictwa i udziału mężczyzny sam Bóg sprawia, że dziewica wydaje na świat człowieka-Boga. Słowem po Grekach i Rzymianach chrześcijanie odziedziczają przesłankę o bóstwie syna dziewicy.

¹ Str. 130: »Rendre compte du titre de Fils de Dieu, expliquer comment Jésus avait Dieu pour père, tel fut primitivement le but de la doctrine de la Conception Virginale«.

Taką to mrzonkę Łukasz wziął za pierwszą przesłankę dowodu według Herzoga.

Dalej Herzog rozumuje następująco:

Aby tej mrzonce dać wyraz uchwytny, Mateusz dźwignął drugą przesłankę, — że Jezus zrodził się z dziewicy, — i do niej potrzebował podstawy biblijnej: wyszukał ją w źle rozumianej przepowiedni Izajasza o młodej mężatce.

I już drugie pokolenie chrześcijan miało wnioszek gotowy: Jezus był już Bogiem.

Trudno uznać Herzoga za pisarza, zdolnego umiejętnie rozumować o wypadkach, których przytacza część rzetelnie, a drugą część wierutnie przekręca. Trudniej samemu rozumować o Herzogu, a nie wyglądać na oprawcę spragnionego pastwy, aby ją na wszystkie strony przypiekać czy w kawały rozdzierać. Najtrudniej utrzymać pióro przy ocenie przedmiotowej, wobec pisarza, który z trójnoga rzuca wyroki pogardliwe dla głupoty chrześcijaństwa.

Ale łatwo tu zauważyć, jak Herzog po przygotowawczych dowodach nieudalych najzuchwalej na nieuctwo czytelnika liczy, albo sam z nieuctwa bredzi, kiedy walnie dowodzi, że wymysł o dziewictwie Maryi wyłagł się, aby syna jej zrobić Bogiem dla chrześcijan drugiego pokolenia.

Wszak nie dopiero drugie pokolenie, ani ze syllogizmu ewangelistów, ale już spółcześni Jezusowi z ust Jego bezpośrednio usłyszeli o Jego Bóstwie. I jedni uczniami Jego zostali, drudzy katami. Uczniowie właśnie dlatego porzucili Żydów i poszli za Mesyaszem, iż przekonali się o powadze świadectwa Jezusowego, że jest Synem Bożym. Kaci właśnie za to świadectwo pociągnęli Jezusa przed sąd, gdzie Jezus uroczyście potwierdził przed arcykapłanem, że jest Synem Bożym, i za to właśnie świadectwo, jakoby winien bluźnierstwa, przyjmuje wyrok na śmierć od Rady kapłańskiej i u Piłata słyszy potwierdzony ten wyrok, że wedle zakonu ma umrzeć, iż się Synem Bożym czyni.

Nie nie wie Herzog o tem świadectwie Jezusowem; podwa-
linie wiary uczniów, a powodzie Jego śmierci. Potrąca o dowód Pawła, że wypadek zmartwychwstania daje niewzruszoną podstawę wierze w słowo Jezusa. Ale nie na tym wypadku opartych widzi

chrześcijan z wiarą w Bóstwo Jezusa, tylko widzi spójnik »przeto« i z nim mitologiczne wpływy na ewangelistów, aby świadczyli o Bożem rodzicielstwie dziewicy.

»Nie długo«, — ciągnie dalej ¹ — »potrzeba było poetycznych opisów Mateusza i Łukasza: zasada o Bóstwie Jezusowem znalazła poważniejszych obrońców w Pawle i Janie i już w pierwszych latach drugiego stulecia nie potrzebowała podpory w mrzonce, koniecznej w pół wieku wcześniej. Ale ta mrzonka zapuściła korzenie. Już jej broni Ignacy z Antyochii ², — już Rzym ją wyznaje w swoim składzie apostołskim: który się począł z Ducha świętego, narodził się z Maryi Panny, — już Justyn ją wykłada ³, — i Pseudo-Justyn ⁴, — i Arystydes, i Ireneusz ⁵, — i Tertulian ⁶. Nie wniósł sprzeciwu nikt, ani między innowiercami. Pod koniec drugiego stulecia katolicy i innowiercy, prawowierni i wolnomyslni w zgodzie przypisują Maryi przywilej rodzicielstwa dziewiczego. Był to pierwszy kwiat wienca, do którego miało przybyć wiele innych. Zostawała, co prawda zagadka, czemu rodowody łączą Chrystusa z Dawidem przez Józefa. Orygenes rozplątał zagadkę uwagą ⁷, że Józef, jako prawdziwy małżonek, był prawnym ojcem: stąd mógł wystąpić między jego przodkami. Wykład Orygenes przyjął się, bo nie było lepszego. Usiłowano także z prawa starozakonnego dowieść, że Marya pochodziła z domu Dawidowego: ale teolodzy przyznają, że to nie wystarcza, aby Chrystus dziedziczył po Dawidzie. Dziś jeszcze teolodzy katolicy uczą, że małżeństwo syna Dawidowego, Józefa z Maryą jest powodem dostatecznym, aby uważać za syna Dawidowego także Chrystusa, poczętego z Ducha świętego«.

Do tych słów Herzoga sam czytelnik zaraz doda uwagę, że sumienny pisarz tak nie przekręca prawdy oczywiście. I Orygenes

¹ Str. 130, 131.

² Efez. 18, 2; Smyr. 1, 1; Efez. 7, 2.

³ Apol. r. 1, w. 22, 31, 67; r. 2, w. 6; Dial. 43, 57, 67, 84, 127.

⁴ *De resurrectione*. P. Gr. 6, 1577.

⁵ III *Recap.* 22, 4; III, 19; V, 19.

⁶ Apol. 21.

⁷ Rom. 1, 3.

i inni Ojcowie Kościoła, i dzisiejsi teolodzy, choć nie katolicy, byle z Biblią ściślej obeznani, znają ustawę, o której wspomina Herzog, jakby jej nie czytał. Ustawa ta, poprzednio przytoczona, przyznaje spadek po ojcu córkom i ich potomstwu, — i właśnie dlatego ustawa przypisuje małżeństwo między potomkami jednego pokolenia i rodu, aby się nie mieszały osiadłości synów izraelowych z pokolenia w pokolenie. Tylko Lewita przez małżeństwo z żydówką innego pokolenia nie przeniósłby dziedzictwa jej do pokolenia swojego¹, bo Lewici ziemi nie dostali przy jej podziale między pokolenia, tylko z dziesięcin i ofiar żyć mieli. Stąd mógł ojciec albo brat Elżbiety Zacharyaszowej mieć za żonę siostrę Maryi i spokrewnić się z jej rodziną, a nie wszedłby w prawa dziedziczne do ziemi po Dawidzie, — żona jego nie dziedziczyłaby ze swoim potomstwem. Ale Marya nie za Lewitą poszła, tylko za syna Dawidowego, więc pozostała ze swoim synem dziedziczką spadku po przodkach. Oczywiście Józef, jako głowa rodziny, prawnie przedstawia i jej majątek i jej rodowód. Stąd Orygenes ściśłą prawdę powiedział, że Józef, — potomek Dawida, — swoim rodowodem składa prawny dowód, że jego żona ze synem pochodzą od przodków wspólnych. Ani powyższego dowodu nie obalą jacyś, — jeżeli ich Herzog po swojemu tu nie naciągnął, — teolodzy, którzy rzekomo przyznają, że Chrystus nie dziedziczyłby po Dawidzie, gdyby nie rodził się z Józefa. Pewnie po mieczu nie dziedziczyłby po nikim, ale po kądzieli do nieczyich nie należał potomków i spadkobierców, tylko do Dawidowych. Nieuczciwym wprost dowcipem kończy Herzog, kiedy pomawia katolickich teologów o naukę, jakoby małżeństwo już samo, a nie spółplemiennictwo Józefa z Maryą dawało w Jezusie widzieć potomka Dawidowego. Tę to niby katolicką naukę Herzog przedstawia takimi słowami, jakby wciskał się z niedopowiedzianą myślą godną bluźniercy: mianowicie kończy całą rozprawę i pieczętuje półsłówkiem, że choć Józef był spółplemiennikiem Maryi, przecież Jezus przez Józefa nie wywodziłby rodu od Dawida, gdyby

¹ Ks. 4, r. 18, w. 20; ks. 5, r. 10, w. 9; r. 18, w. 1.

z Józefa się nie rodził, ale miał przez Ducha świętego wywodzić ród od przodków, jeżeli począł się z Ducha świętego.

Na tem bluźnierstwie Herzog wyczerpał zapas broni naukowej: więc uznał się zwycięzcą i wynalazcą prawdy dziejowej o podstępnych opisach ewangelistów.

Ale czytelnik ewangelii, jeżeli co najpierw w niej spostrzeża, to nie podstępną obłudę, ale niezrównaną prostotę, która sama nadaje opisom ewangelistów piętno prawdy jedno z najoczywistszych.

Kto wątpiłby o przygodzie, o której wie od sprawozdawców prostych i dobroduszných, jak małe dzieci?

A tak opowiadają Mateusz i Łukasz o panieństwie Matki Jezusowej, jak dziecko nie przewiduje następstw każdego słowa, i nie ocenia wagi swojego świadectwa, a choć niezrównanym językiem żywo jak w obrazie odda myśl piękną, przecie z piękna takich obrazów sprawy sobie nie zdaje.

Zwłaszcza Mateusz opowiada na wielu miejscach ewangelii niemało wypadków dobroduszných jak dziecko, możnaby powiedzieć nieprzezornie: zapatrzony w jedną myśl, tę wyraża bez troski, czy kto nie wysnuje z jego słów zupełnie dziwnego wniosku.

Pisarz oględny liczy się z podmiotowym nastrojem czytelnika, przewiduje zarzuty, dobiera słów ścisłych, aby uprzedzić spór bezpodstawny: Mateusz nie zważa na możliwe wykłady swoich opisów, jakby nie przeczuwał sądów złośliwych; stosuje mowę do przedmiotowej wiedzy własnej i nie zastanawia się nad innymi względami, tylko składa świadectwo, jak wierny odgłos w lesie powtarza głoskę za głoską, dźwięków ostrych nie łagodzi ani szorstkich po swojemu nie gładzi; tak opowiada dziecko i tak czyste zwierciadło odbija obraz, cieniów nie zaciera, światła nie barwi, w zgrabniejszej postawie i stosowniejszych rozmowach nie odda żadnej postaci.

Tak od początku ewangelii Mateusz zaraz w rodowodzie wszystko bez obsłonek wyraził, co zniesławia przodków Jezusa i po łądzku na Jezusa samego cień rzuca, jako na potomka kró-

łów wielu występnych i prababek odartych ze czci. Wymienia Mateusz i taką Tamar, zakałę rodu, i bezwstydną Rahab, i przybłądę Rut, i wiarołomną żonę Uryaszową, i nie milczy o żadnej, która zniesławiała ród i potomstwo. Nie tai nic ludzkiego, ani nie wygląda na tego, który bałby się pytania, po co zapisuje na wieczną pamięć takie tajemnice rodzinne? O to zagadnięty, wygląda, jakby zamiast odpowiedzieć miał sam zapytać: »czyżbym nieprawdę napisał? Jakże poprawić?«. A upewniony, że podał prawdę, ale przez to poniżył Jezusa i zepchnął na stanowisko pogardliwe, jako potomka zbrodniarzy, że tedy nie miał ujemnej prawdy pisać, podobno odpowiedziałby zdumiony: »jako? nie pisać, co prawda?« I nie słuchałby przezornej uwagi, a po chwili znowu tak wyraził się jak dziecko nieogłędne: »gdy była poślubiona Marya Józefowi, pierwszej niżli się zeszli, należona jest w żywocie mająca«. I nie widzi w słowach swoich nic dwuznacznego; nie myśli, czy ktoś nie wywiedzie z jego słów wniosku błędnego, jakoby później Józef został ojcem dalszego potomstwa Maryi: Mateusz widzi to, co mówi, — że Marya matką Jezusa została, jako panna nietknięta przez męża, — i tę prawdę wyraża, a niczyjego nie przewiduje wniosku złego ze swoich słów dobrych.

Takimi w pismach swoich przedstawiają się i Mateusz, i Łukasz, i inni, niezrównani w prostocie ewangelistów. Tak z pism swoich dają nam pojąć, czem zjednywali u ludów wiarę w swoje świadectwo. Rozumiemy, jak wyglądał taki zwiastun Chrystusa między ludźmi, kiedy wchodził między nich i wśród nich zasiadał: zagadnięty, kim jest, nie chętnie nie udawał; spytany, po co przyszedł, przepowiadał bez ogródek Chrystusa; badany, w jakich warstwach znajduje wiarę, odpowiadał, iż nie wiele mądrych wedle ciała, nie wiele możnych, nie wiele zacnych zdobył dla Chrystusa. Zle przyjęty, odchodził jakby sam winien natręctwa, a nie obwiniał nikogo; i wezwany do każdej posługi, — świadczył co mógł, a nie uznawał żadnej w sobie zasługi, nie czuł się godnym zapłaty. I gdzie znalazł słuchaczy, tam opowiadał, co widział, i jasnym okiem świadczył o szczerzych słowach; i wezwany na spoczynek, proszony w gościnę, przystawał z każdym ufnie, jakby

znajomy od lat. I tak zeszedł kawałek świata, i za świadectwo o ewangelii doszedł do katów, u których ginął z pogodą w sercu.

I tacy prostacy przez swoje świadectwo założyli chrześcijaństwo. I tacy Mateusz i Łukasz donieśli nam o Bogurodzicy Dziewicy, a przeciw sobie, jeszcze po tylu stuleciach, wywołują tyle rozpraw, tyle oporu ze strony dowcipnych Wolterów i migotliwych Renanów, tyle nakładają pracy ciężko uczonym Straussom i podchwytnym umysłom Herzogów. A iluż jeszcze mocarzów pióra spotykali przeciw sobie Mateusz i Łukasz i pokonanych minęli!

Ks. K. Czaykowski.



CZY W. KSIĄŻĘ KONSTANTY UMARŁ KATOLIKIEM?

»Głucha wieść niesie, że w ostatniej chwili księżna zniewoliła małżonka do połączenia się z nią w jednej katolickiej wierze«, pisał w roku 1882 wydawca korespondencji księżny Łowickiej, hr. Joanny Grudzińskiej, żony W. ks. Konstantego¹. »Znając jej pobożność i gorliwość, znając przywiązanie W. księcia do żony przypuścić można, iż rzecz jest prawdopodobną« — wnioskował dalej — a opierając się na wzmiance w liście księżny do matki, po śmierci Konstantego: »Opuściłam Witebsk, to miejsce boleści, a jednak błogosławieństwa«², widzi w tym zwrocie uzasadnienie przypuszczenia o przyjęciu wiary katolickiej przez księcia Konstantego w dniu śmierci. Dowodów bardziej przekonujących w korespondencji księżny nie znalazł, bo ich tam znaleźć nie mógł, skoro zaraz po śmierci księżny Łowickiej w Carskiem Siole (29 listopada 1831 r.) wszystkie jej papiery zabrano do Petersburga, a później zwrócono rodzinie to, co uważano za stosowne.

O nawróceniu się W. Księcia istnieje tradycja rodzinna, oparta nie na samej tylko korespondencji z księżną, ale także na dokładnej znajomości jej charakteru i zamysłów, na przekonaniu, że marzeniem księżny było pozyskanie Konstantego dla wiary katolickiej; być może, że i z opowiadań polskiej służby z otoczenia

¹ »Z korespondencji księżnej Łowickiej przez N«. *Przegląd Polski*, rocznik XVII, tom I.

² Tamże str. 488.

księżny w Witebsku o ostatnich chwilach Konstantego coś więcej wiadano, aniżeli to, co znajdujemy w bardzo oględnych listach księżny Łowickiej o śmierci jej małżonka. Ta tradycja rodzinna o nawróceniu się księcia w ostatnim czasie znalazła wyraz w powieści historycznej W. Sclavusa¹, który na podstawie wspomnień rodzinnych dostarczonych przez p. Kazimierza Chłapowskiego (syna generała Dezyderego i Antoniny hr. Grudzińskiej, siostry księżny Łowickiej) i na podstawie korespondencji księżny (zapewne także i innych danych), opisuje ostatnie chwile księcia Konstantego, wizytę u niego hr. Orłowa, jej następstwa, jakoteż obecność przy konającym katolickiego księdza, który mu *in articulo mortis* absolucyi udzielał »i maścił olejami« (sic!) za co go zaraz miała spotkać zasłużona kara.

Pozytywny dowód, nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do przejścia W. księcia na katolicyzm, miał według wydawcy korespondencji księżny Łowickiej zawierać jej list do hr. Ilińskiego, list przechowany w archiwum jezuickim, na który i później się powoływano². Na ten list powoływał się także ks. Załęski, który mimochodem zaznacza, że Konstanty umarł katolikiem na rękach żony, dodając, że list »nie pozostawia żadnej co do tego punktu wątpliwości«³.

List, a raczej jego kopię udało nam się odszukać⁴, przytoczymy go jako przyczynek do ciekawej bądź co bądź kwestyi nawrócenia się W. księcia Konstantego, a zarazem przyczynek do charakterystyki księżny Łowickiej. Treść tego listu istotnie wszystkie wątpliwości usuwa, jednakże stylizacya jego jest taka, że tylko z uwzględnieniem wpływu księżny na Konstantego i jej zabiegów o pozyskanie męża dla religii katolickiej, znajdziemy w nim przekonujący dowód, że książę przed śmiercią przyjął katolicyzm.

Dlatego też musimy wpierw w ogólnym zarysie ten wpływ zaznaczyć, opierając się na korespondencji księżny, popartej kilku

¹ »Księżna Łowicka«. Kraków 1908.

² M. Offmański: »Królestwo Polskie«, dopisek na str. 38.

³ »Jezuici w Polsce«. tom v, str. 452, dopisek.

⁴ *Acta Prov. Galic.* x, nr. 171a.

szczegółami tradycyi rodzinnej, których nam łaskawie udzielił p. Kazimierz Chłapowski.

Jedną z głównych pobudek, która skłoniła Joannę Grudzińską do oddania swej ręki W. ks. Konstantemu, była nadzieja pozyskania go dla katolicyzmu. »Ze to było marzeniem księżnej, myślą, z którą zdecydowała się iść za mąż, wiem od mojej matki (słowa są p. Kazimierza Chłapowskiego)¹. Mówiła nam nieraz, że siostra »sobie rolę i przeznaczenie Jadwigi wymarzyła«. — Jak tę rolę sobie mogła wyobrażać?

O jej części politycznej nie mogła chyba na prawdę myśleć — pozostawała zatem strona moralna, a i ta nie łatwą była do spełnienia. Księżna doznać musiała bardzo wielu zawodów i rozczarowań zanim swoją potulnością, pobożnością i dobrocią większy wpływ na usposobienie księcia zyskać mogła. Ostatecznie go zyskała, i to jej wynagrodziło rozmaite przykrości życia, na jakie się przez to małżeństwo naraziła. Zyskiwała z czasem nie tylko coraz większe przywiązanie Konstantego, ale także coraz większy jego szacunek. Czy i o ile mogła używać swego wpływu na rządy W. Księcia trudno o tem coś stanowczego wiedzieć, ale że go używała w bardzo skromnym zakresie to pewna, jak i to, że właśnie wskutek tego odstręczyła od siebie wielu i zraziła tych, którzy się po niej o wiele więcej spodziewali.

To stanowiło dla niej może najbardziej bolesną stronę »Księstwa«, to było powodem, że smutne jej usposobienie jeszcze bardziej wzrastało², to wreszcie zmuszało ją do życia przeważnie w zamkniętem kółku domowem, zbyt ciasnem, bo przeważnie tylko z Konstantym. Z czasem jednakże ta atmosfera stawała się znośną, a nawet względnie miłą, jak to nieraz księżna w liście do siostry zaznacza. Ta atmosfera ułatwiała bardzo wpływ religijny księżny na swego małżonka. Gorliwa o dobro duchowe drugich — nieraz zupełnie jej obcych — nie mogła być pod tym względem obojętną dla swego małżonka. Jeżeli np. starała się, żeby w Warsza-

¹ List z 21 grudnia 1908.

² W książeczce do nabożeństwa obok kilku tekstów o przyjaźni wypisała sobie i słowa Pisma świętego: »Śmiech poczytałam za błąd, a do wesela rzekłam, co się darmo zwodzisz«. (Eccł.) l. c. 478.

wie jak najwięcej osób odniosło korzyść z jubileuszu i bardzo gorliwą była promotorką ćwiczeń duchowych w tym czasie, jeżeli dla nakłonienia namiestnika Zajączka do spowiedzi przed śmiercią, zdecydowała się stoczyć wojnę z księżną Zajączkową, żeby na swoim postawić; jeżeli martwiła się obojętnością religijną swego ojczyma Brońca i w czasach dla niej bardzo ciężkich, gdy po wybuchu powstania przyszło się cofać w głąb Rosyi, pamiętała o chorym ojczymie i delikatnie go ostrzegała, żeby pamiętał o Królestwie Niebieskiem, a nawet mu pomoc odpowiednich księży doradzała¹, to tem bardziej musiała się zajmować stanem religijnym ks. Konstantego.

Jak w tym względzie sobie radziła, tego nie wiemy, ale że prócz osobistego przykładu musiała także innych używać środków, na to nie brak wskazówek.

W papierach po niej pozostałych, jest wiele zeszytów z notatkami z czytanych dzieł religijnych, a znaczna ich część zapełniona wypiskami odnoszącemi się do Cerkwi wschodniej². Notowała je oczywiście nie tyle dla siebie, ile żeby mieć gotowy materiał, którym się mogła posłużyć w danej okazji przy rozmowach religijnych ze swym małżonkiem.

Jak wszystkie osoby pobożne, nie zaniedbywała modlitw na intencję męża, a prosiła o nie także swą siostrę Antoninę: »Gdy będziesz prosić dla mnie o łaskę zbawienia uprosz ją i dla tych, których kocham, tak co są jeszcze na ziemi, jak i dla tego, który już stanął przed Bogiem«³, (miała na myśli Aleksandra, na którego intencję odbywała różne praktyki pokutne).

Dla zabiegów księżny o pozyskaniu Konstantego do wiary katolickiej wielkie znaczenie musiał mieć przykład cara Aleksandra. Księżna Łowicka gościła go po raz pierwszy u siebie w 1822 r. w tym właśnie roku, kiedy Aleksander pod wpływem bardzo rozbudzonych uczuć religijnych i nie bez wpływu archimandryty Focyusza, nieubłaganego wroga masoneryi, wydał ukaz przeciw tajnym związkom. Wybierając się w połowie czerwca na zjazd do Werony miał z nim długą konferencję, a przy pożegnaniu

¹ L. c. 482.² Tamże 479.³ Tamże 476, 469.

prosił go klęcząc o błogosławieństwo. W takim nastroju religijnym poznała go księżna Łowicka.

Wieczory spędzane w Belwederze »we trójkę« na długich pogawędkach musiały bardzo mile zapisać się w pamięci księżny, która po wyjeździe cara pisała do siostry: »Prawdziwe szczęście, że tu był, że go poznałam. Doskonały człowiek i zawsze, zawsze doskonały. Nie wiedzą, co mówią ci, którzy twierdzą, że w nim prawdy niema. Jest i prawda i dobroć w całym owych słów znaczeniu. Zdobył też sobie całą wdzięczność i całe przywiązanie moje« (str. 441). Ta życzliwość dla cara musiała się jeszcze wzmódz, gdy się księżna dowiedziała, że po drodze do Werony przyzwał do siebie we Wiedniu cnotliwego kapłana księcia Hohenlohe, że kilka godzin spędził z nim na poufnej rozmowie; że pod jej wrażeniem przyjął klęcząc jego kapłańskie błogosławieństwo. Księżna musiała się i o tem dowiedzieć, że car wybierał się z Werony do Rzymu ale wkońcu zaniechał tej myśli wskutek nalegań matki, obawiającej się, żeby wizyta u papieża nie wzmogła jego katolickich sympatyj. Nie mogło ujść wiadomości księżny i to, że car uproszony o interwencję w sprawie Sióstr Miłosierdzia w Genewie wpłynął na przyjęcie ich szpitala na etat miejski i ofiarował im wsparcie 5000 franków, a późniejsze zbudowanie przez Aleksandra katolickiego kościoła w Carskiem Siole 1825 r., musiało mu zyskać jeszcze większą wdzięczność księżny Łowickiej.

Chociażby nie wiedziała dość wcześnie o bezpośrednich krokach Aleksandra w sprawie przejścia na katolicyzm, o tajnem poselstwie jego adjutanta hr. Michaud do Leona XII z prośbą o wysłanie kapłana z pełną delegacją do Petersburga, gdzie na sekretne polecenie carskie przed samą podróżą Aleksandra na Krym, przeor Dominikanów miał dlań przygotować celę klasztorną, to jednak musiała się o tem wszystkiem dowiedzieć po śmierci cara w Taganrogu, gdy cała sprawa przestała być tajemnicą,¹ i nieraz później o tem z Konstantym rozmawiać.

¹ Ks. Jan Gagarin: *Les archives Russes et la conversion d'Alexandre I*, w *Études de theologie, de philosophie et d'histoire*, tom XII, str. 24—50. — Ks. St. Załęski: »Car Aleksander I czy został katolikiem?« *Prze-*

Wobec takiego niemal uwielbienia księżny dla Aleksandra zrozumiała jest rzeczą, że wiadomość o śmierci jego w Taganrogu, która tyle dostarczała okazyi do różnych domysłów, musiała bardzo silnie wstrząsnąć umysłem księżny i na długo zasępić jej usposobienie.

»Poddaję się woli Bożej z wielkim wciąż bólem — pisała 1 lutego 1826. — Straciłam przyjaciela, a raczej tego, który mi był zarazem ojcem, bratem, przyjacielem w całym tego słowa znaczeniu. Nic próżni tej nie wypełni, chyba Bóg jeden, u którego stóp szukam myślą drogiego mego cesarza... Ale go już nie zobaczę, nie usłyszę, zabraknie mi jego opieki, rady, przyjaźni... Bóg dał, Bóg wziął«¹.

Nie mniej silnie, chociaż z innych pobudek, podziałała wiadomość o wypadkach w Taganrogu na księcia Konstantego, zwłaszcza, że z niespodzianą śmiercią Aleksandra łączyła się aktualna sprawa następstwa tronu, którego Konstanty musiał się rzec, wskutek małżeństwa z Joanną. Księżę otrzymawszy smutną wiadomość zemdlał, potem wybuchł spazmatycznym płaczem, a wyprowadzony z równowagi, dłuższy czas nikogo nie przyjmował, zmagając się z myślami i rozmaitymi projektami. Po względnem uspokojeniu się nastąpiła przygnębiająca rezygnacya. »Oboje jesteśmy zdrowi, ale szczęście zagasło dla nas na ziemi od straty, jaką nam ponieść przyszło« — pisała księżna do matki. Obok żalu za zmarłym przebija się z listów księżny także jakaś niewytłumaczona obawa o losy księcia. Tak np. donosząc o niespodzianej jego chorobie robi uwagę: »W tej epoce strasznych zbrodni mimowoli czuję dreszcze trwogi i prawdziwie śmierć zajrzała w oczy... Mój dobry mąż niczego się nie lęka, a ja uspokajam się myślą, że pod ochroną Bożą, nic się złego stać nie może«².

Wspólne smutki i wspólne obawy musiały się przyczynić do wyrównania dawniejszych chwilowych nieporozumień i zwięks-

gląd Lwowski, tom XIV. — Ks. P. Pierling: *L'empereur Alexandre I est il mort catholique?*

¹ L. c. str. 469.

² 472. Podobne obawy wywołuje w niej wyjazd Konstantego do Rosyi. Tamże 474.

szyc szacunek Konstantego dla księżny Łowickiej. Już w czasie kuracyi księżny w Ems i Karlsbadzie w latach 1824 i 25 okazywał jej takie dowody tkliwości i przywiązania, jakiego się po nim trudno było spodziewać¹.

Przywykał też z czasem do nabożeństw odprawianych w prywatnej kaplicy księżny i zdaje się, że czasem sam brał w nich udział, jak to można wnosić z biletu księżnej zapraszającej matkę na mszę noworoczną 1826 r., w którym ją prosi, żeby się nie spóźniła »bo ani ksiądz czekać nie może, ani W. ksiązę, który zaraz potem jada śniadanie«².

Także w dopiskach Konstantego do listów, pisanych przez księżnę do matki, znajduje się w tych czasach coraz częściej czy to jakiś zwrot pobożniejszy, czy wyraz wdzięczności dla samejże p. Brońcowej (mimo, że naprzykrzała się księciu prośbami o ratunek w sprawach pieniężnych) za to, że wydała córkę za niego, np. »czuję się szczęśliwym być małżonkiem anioła, jakiegoś mi dała za żonę«³.

Księżna po swojemu ten wpływ musiała wyzyskiwać, i chyba na podstawie własnego doświadczenia pisała do siostry (1828 r.): »My kobiety możemy zarówno wiele złego lub wiele dobrego zdziałać w miarę, jak pehamy ku prawdzie lub fałszom« (str. 475). Że nie popychała swego małżonka ku fałszom, to pewne, ale jak daleko pociągnęła go już wtedy za sobą, tego na podstawie jej listów nie można oznaczyć.

Dokończenie dzieła nastąpiło dopiero w warunkach i dla księcia i dla niej nad wyraz bolesnych — po wybuchu powstania listopadowego. Że ksiązę nie padł w Belwederze ofiarą zamachu, zawdzięczał to po części księżnie Łowickiej — bo podobno od jej sypialni — na widok klęczącego i modlącego się fraucymeru zawrócili się spiskowcy. W późniejszej drodze odwrotnej musiała

¹ W Kaliszu np., gdzie się księżna zatrzymała dla widzenia się z rodziną, generał Chłapowski niemało był zdziwiony spotkawszy wczesnym rankiem w hotelu księcia, niosącego drzewo do pieca w pokoju księżny, żeby niezdarny sługa hotelowy jej nie obudził.

² L. c. 467.

³ L. c. 483.

podtrzymywać na duchu przygnębionego księcia, na którego teraz spadała wobec Petersburga odpowiedzialność za wszystko, co się stało w Warszawie,—zadanie tem trudniejsze, że księżna niedługo po wypadkach listopadowych wskutek niewygód i braków obozowego życia sama bardzo zaniemogła i potrzebowała zdwojonej opieki, którą ją też książę otaczał. »Dobry Bóg pozwolił, aby skutkiem obawy o utracenie mnie, mąż mój wypił gorycz aż do dna, a dziś oboje błogosławimy Jemu za to... Dziękuję Bogu, że mię połączył z tak uczciwym i szanownym człowiekiem« (str. 481)—pisała w grudniu 1830 r.

W miesiącach następnych musiała nieraz hamować wybuchy Konstatego, który nie bacząc na to, że już dawniej w Petersburgu pomawiano go o »spolaczenie«, teraz odsunięty na tyły armii, drażnił generałów rosyjskich pochwałami bitności i męstwa swoich dawnych podkomendnych; cieszył się z powodzeń armii polskiej: »Patrzcie, jak się moje Polaczki biją«, a zbyt jaskrawo zaznaczał zły humor na wieść o polskich niepowodzeniach.

Po przybyciu do Witebska zdrowie księżny tak się pogorszyło, że Konstanty zaniepokojony dodał jej drugiego lekarza; niedługo potem — 26 czerwca — sam dotychczas zdrów i silny, po kilku godzinach cierpień życie zakończył. Wobec nieprzewidzianej katastrofy, księżna odzyskała siły, żeby — jak później pisała z Wielkich Łuk — »przez cały dzień, ów dzień okropny, mogła służyć najlepszemu mężowi aż do ostatniego tchnienia« (487).

Ogłuszona bolesnym ciosem, pozostaje w Witebsku przy zwłokach męża cały miesiąc (26 czerwca do 29 lipca) a potem za pozwoleniem cara Mikołaja towarzyszy zwłokom i nie rozstaje się z nimi aż po pogrzebie 29 sierpnia. Po pogrzebie przenosi się do Carskiego Sioła i ciągle chora, spędza tam w przygotowaniu na śmierć ostatnie trzy miesiące życia, aż wreszcie w rocznicę powstania listopadowego przenosi się do wieczności.

Z całego tego czasu pozostało po niej kilka listów i lakoniczny dzienniczek, w którym notuje miejscowości mijane po drodze, nabożeństwa żałobne za duszę księcia i Komunie święte, które na jego intencję ofiaruje. Tak np. pod datą 6 lipca znajdujemy dopisek: »Uroczyste żałobne nabożeństwo, Komunia św.

z odpustem zupełnym na jego intencję»; 17 lipca: »Wysłuchałam mszy u Bazylianów przed ołtarzem Serca Jezusowego«.

21 sierpnia odprawia się dla niej Msza św. w błękitnym salonie Gatchyny, 27 była na mszy w fortecy »w małym schronieniu, jakie mi wygotowano obok grobu, gdzie złożonym będzie mój mąż«. Nazajutrz po pogrzebie: »Byłam u Komunii św. w kościele Dominikanów petersburskich. Wysłuchałam Mszy św. odprawionej przez naszego proboszcza z Witebska. Na tej Mszy komunikowałam, stosując odpust zupełny do duszy mego dobrego męża«.

Z notatek tych widoczna, że księżna była przekonana o skuteczności swych modłów, jak i o tem, że odpusty zupełne pomagają duszy zmarłego małżonka, ale o przejściu jego na wiarę katolicką nie albo (jeśli się uwzględni wzmianki o odpustach) niewiele mówią.

Wyraźniejsze są alluzye w listach księżny.

Pierwszą znajdujemy w liście do matki, pisany po upływie sześciu tygodni od śmierci Konstantego. List to długi, bardzo oględny i aż raziący swoją tajemniczością. Niema w nim żadnych szczegółów o chorobie i śmierci księcia, tylko wzmianka, że przez cały ów dzień okropny mogła służyć mężowi aż do ostatniego tchnienia; jest za to wiele mówiący zwrot: »Opuszcłam Witebsk, to miejsce boleści, a jednak błogosławieństwa«.

Podobny zwrot znajdował się w liście do siostry Józefiny hr. Gutakowskiej. Dzień śmierci męża nazywa tam: *Jour de malheur, mais de suprême consolation*¹.

Ten sam zwrot czytamy w późniejszym liście do hr. Ilińskiego, gdzie mamy także bliższe dane, jak należy rozumieć to szczęście w nieszczęściu. Pisała go księżna w Carskiem Siole w trzy miesiące po śmierci męża, pisała po odbytej spowiedzi z całego życia a przed przyjęciem ostatnich Sakramentów, pisała w przekonaniu, że to może ostatni jej list i dlatego zapewne po-

¹ Zwrot ten często powtarzał hr. Gutakowski, zaręczając, że go doskonale pamięta. List p. K. Chłapowskiego z dnia 21 grudnia 1908 r.

daje bliższe szczegóły o śmierci księcia, chociaż z powodów łatwo zrozumiałych podaje je w formie bardzo ogólnej.

Co do zewnętrznej jego formy zauważyć należy, że nie jest to autograf, ale kopia spisana na arkusiku listowym formy małej ósemki. Papier pożółkły, niema żadnych znaków wodnych. Pismo czytelne, z wyjątkiem jednego wyrazu trudnego do odczytania (po zdaniu o wielkiem błogosławieństwie nad małżonkiem: *au moment qu'il est (-?-)iffé*. Dwie niewyraźne litery mogą oznaczać ol, cl, d. Widocznie jest to błąd kopisty). Przypuszczamy, że ofiarował ten list Jezuitom sam hr. Iliński, fundator kolegium jezuickiego w Romanowie, który i po wydaleniu Jezuitów z Rosyi świadczył im dobrodziejstwa i odwiedzał tarnopolskie kolegium¹.

Oto tekst listu z zachowaniem jego pisowni i akcentów:

Copie

Exaltation de la Croix

Carskie Sielo

le $\frac{14}{26}$ 7hr

1831

Mon bon et excellent Comte, je ne savois pas, ce qui m'avoit soutenue, pendant la terrible journée de la mort de mon mari; ni comment j'avois la force de supporter les services funèbres, dans tous les jours, qui se fesoient auprès de son cercueil dans le voyage, ni le voyage, ni la fin de l'enterrement. Je savois bien, que cette force venoit d'en haut: je savoit bien, qu'il faut accomplir son devoir pour l'esperer; mais encore moi si malade de corps, et si faible d'ame, comme mon bon pere spirituel le sais, j'étois étonnée. A present rien ne m'étonne, l'ami, le Pere, le meilleur ami en Dieu, que j'ai eu, et que j'aye, prioit pour sa faible enfant. J'ai offert à Dieu des communions pour mon excellent Constantin. Il est mort en repetant sans cesse, »que Vôtre Volonté soit faite« en y ajoutant l'absolution plenièrè à l'article de la mort »dla krewnych i powinowatych« et cela m'a été une extreme consolation. J'espere en la bonté de Dieu, et l'efficacité de son St Sacrament, qu'il nous sera manifesté dans l'éternité.

¹ Ks. St. Załęski: »Jezuici w Polsce«, t. v, str. 452, 700

Mais depuis l'enterrement, qui a eu lieu le 29 Août, j'ai communie mardi, et suis venue à Carsko Sielo coucher, où je suis arrivée avec une grosse fièvre. J'ai depuis été tous les jours plus mal. Voici le 7 mars, que j'étois tombée malade, puis me suis un peu remise; puis de nouveau mal jusque'à la grande, quoique troste Bénédiction d'en haut sur mon mari, et jusqu'au moment qu'il est (-?-)iffé, je n'ai pas été un seul jour sans fièvre: mais depuis huit jours, je garde le lit, ne pouvant presque parler. Aujourd'hui j'ai fait une Confession général; j'ai demandé pour le premier jour l'extrême onction, avec cette absolution général, dont je suis si indigne, mais que mon Pere, mon bon père en Dieu, aux pieds duquel, je suis pour l'en remercier, m'a procuré. Si je vis, ce qui est contre toute probabilité raisonnable, je vous écrirai. Je ne dit pas, ne m'oubliez pas, ah non; sur ce souvenir là, je compte: mais je dis à mon meilleur ami en Dieu, reconnaissance, affection, respect, souvenir, et les plus tendres sentimens de gratitude pour vos bons avis, et les grâces spirituelles, que je vous dois. O mon Dieu! recompensez cette âme vraiment charitable dans Votre Royaume éternel.

Jeannette Princesse de Łowicz.

J'ai absolument voulu d'écrire, car je craignois de passer, sans prendre congé de Vous. A présent que j'ai écrit, Dieu m'a mis en paix.

Nastrojem pobożnym, pełnym uległości dla woli Bożej, przypomina list ten inne listy księżny po śmierci męża. Subiektywny stan księżny w czasie ostatnich miesięcy przedstawia dokładniej, aniżeli inne listy; o śmierci księcia Konstantego przynosi trzy nowe szczegóły. »Wielkie chociaż smutne błogosławieństwo Niebios nad zmarłym małżonkiem«, które w tak ciężkich chwilach było dla księżny »największą pociechą«, okazało się w tem, że Konstanty »umarł powtarzając bez ustanku: Bądź wola Twoja«, że pragnął i mógł dostąpić papieskiego odpustu zupełnego w godzinę śmierci (okoliczność, którą księżna musiała uważać za najważniejszą, skoro te wyrazy o odpuszczeniu dla krewnych i powinowatych podkreśliła) i że przyjął ostatnie sakramenta. Dlatego pisze księżna: »Ufam

w dobroć Bożą i skuteczność jego św. Sakramentu, że będzie nam dane oglądać go w wieczności».

Trzy zatem pewne rzeczy o śmierci Konstantego podaje nam list księżny: że umierał ze świadomem poddaniem się woli Bożej, że przyjął ostatnie sakramenta (może tylko absolucję i wiatyk, co zdaje się oznaczać *St Sacrament*) i że mógł dostąpić papieskiego odpustu, który księżna otrzymała na chwilę śmierci dla swych krewnych i powinowatych.

Innych szczegółów księżna nie podała, bo w liście podać ich nie mogła, ale te które podała musiały wystarczyć znającemu stosunki hr. Ilińskiemu za dowód, że ksiązę przed śmiercią przeszedł na katolicyzm.

Na wyprowadzenie takiego wniosku z listu księżny nie potrzeba zresztą było nadzwyczajnej domysłności. »Wielkie, chociaż smutne błogosławieństwo Niebios nad zmarłym« — oznacza oczywiście to samo, co: »Witebsk miejsce boleści a jednak błogosławieństwa«; co: »Dzień nieszczęścia, ale i najwyższej pociechy«.

Sama okoliczność, że ksiązę umarł z chrześcijańskim poddaniem się woli Bożej, nie usprawiedliwiałaby tych zwrotów. Nie mogłaby także być dla księżny *une extrême consolation* ostatnia posługa wyświadczona Konstantemu przez prawosławnego duchownego, bo w takim razie nie ziściłyby się jej najgorętsze pragnienia, jakie żywiła w sercu od czasu wyjścia za Konstantego. Musiał więc być przy konającym katolicki kapłan, a chociaż ze względu na okoliczności, w jakich udzielał umierającemu ostatniej posługi, musiał się z nią spieszyć — to jednak ponieważ ksiązę miał świadomość tego, co się działo — musiał wprzód przyjąć od niego wyznanie wiary, zanim mu udzielił absolucyi, wiatyku i papieskiego odpustu zupełnego.

Kto był tym księdzem można się tylko domyślać. Prawdopodobnie był nim proboszcz z Witebska, który pocieszał księżnę i podtrzymywał na duchu (sama notuje w dzienniczku 16 lipca: »Proboszcz mi mówi: bądź naszą Esterą«) i widocznie towarzyszył jej przy transporcie zwłok, skoro później w Petersburgu odprawia dla niej Msze św. Być może, że to ten sam kapłan, który w Carskiem Siole nie odstępował księżny w czasie ostatniej cho-

roby, ten, o którym wspomina w liście do hr. Ilińskiego, a o którym piszą także w Petersburgu pani Zabiellowa i ks. Lubomirska ¹.

Czy znajdzie się jakiś pisany dokument, któryby wyraźniej, aniżeli przytoczony list księżny do hr. Ilińskiego sprawę nawrócenia Konstantego przedstawił, trudno przesądzać. Być może, że księżna jeszcze później do hr. Ilińskiego pisała (*Si je vis... je vous écrirai*) — w takim razie nie byłoby wykluczonem, że znajdzie się świadectwo samego hr. Ilińskiego, który zresztą mógł otrzymać bliższe objaśnienia także inną drogą.

Ks. Józef Sas.

¹ Księżna jest osamotniona i nie ma żadnej ręki przyjaznej, aby zamknąć jej oczy. Religia ją utrzymuje i dodaje jej męstwa do zniesienia tylu cierpień. Spowiada się co tydzień a nawet częściej. Pewien dobry bardzo kapłan jej nie odstępował, a ona więcej się tamtym światem zaprzęta, aniżeli doczesnym. L. c. 493.



HEKUBA.

(1868 r.).

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Pani Teresa przestała modlić się, podniosła z nad ziemi głowę, ukłękła, podniosła się z klęczek, powstała i szybko jak wiatr z idebki wypadła. Gdy mówiła i wołała: Chryste zlituj się! uczuła nagle ogromne, ogromne pragnienie ujrzenia innych swoich dzieci. Tamten odjechał, może... o Chryste! — może na zawsze! ale te inne pozostały przy niej, i ona zobaczyć je musi, zaraz, natychmiast spojrzeć na nie, popatrzeć na nie musi. Zdawało się jej, że umrze, albo nie wiedzieć, co się z nią stanie, jeżeli zaraz, natychmiast ich nie ujrzy, nie przekona się, że są zdrowi i cali, że są przy niej, że je posiada...

Wypadła z izdebki swojej wprost do tej, w której zazwyczaj sypiali i uczyli się Janek i Olek.

— A toż co? — krzyknęła.

Małe łóżka chłopców, w których było im już od dość dawna trochę za krótko i trochę za ciasno, puste były. Pościelenie nawet z nich zniknęły. Pani Teresa w mgnieniu oka znalazła się w kuchni.

— Teleżukowa! — zawołała — gdzie są chłopcy? Dlaczego pościeli ich...

Chłopka, w czerwonym, okrągłym czepku na głowie, szła przy świetle małej lampki. Podniosła z nad roboty okrągłą, dobroduszną twarz i wesoło odpowiedziała.

— Ot, powyciągali sobie sienniki i do ogrodu pod lipą spać się pokładli. Nocka ciepła: nie im to nie zaszkodzi...

Ależ naturalnie! Cóż im może zaszkodzić, że noc prześpią pod gwiazdzistym niebem, w przczystym powietrzu ogrodu? Alboż jedną noc tak przespali? Zdaje się, że w ogrodzie tym niema jednego takiego drzewa, u którego stóp nie próbowaliby w ciągu dzieciństwa swego urządzić podobnych noclegów.

Ale pani Teresa musiała ich zobaczyć, musiała koniecznie wieczoru tego na nich śpiących czy czuwających popatrzeć. Wyszła tedy do ogrodu i długo szukać nie potrzebowała. O kilkanaście kroków od domu ujrzała pośród trawy na pościolkach szczupłych, u stóp lipy rozłożystej, szarzejące w nieruchomości ich postacie.

Zbliżyła się. Spali. Janek oddychał równo i cicho, Olek głośno sapał i zlekka pochrapywał. Pochylona, patrzyła na ich niewyraźnie rysujące się twarze, słuchała ich sennych oddechów, aż na zmaczone, zmartwione dziś jej rysy wypływać począł uśmiech.

— Brylanty moje! Robaczki moje! Skarby moje! — głośnym szeptem wymówiła i powolnym gestem nad głowami chłopców znak krzyża uczyniwszy, spokojniejszym już krokiem ku domowi odeszła. W myśli jej, przez odjazd Julka wzburzonej i rozwichrzonej, uporządkowywać się, rozwidniać znowu zaczęło. Cóż? Tamtego niema, ale te są... Są i będą... Robaki jeszcze małe. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Jeszcze pięć brylantów, pięć skarbów pozostało przy niej! Szła do izdebki, w której Inka współ z małemi siostrami sypiała.

A gdy zamknęły się za nią drzwi domu, Janek i Olek żywym ruchem na swych pościolkach usiedli.

— Słyszałeś? — zapytał starszy.

— Aha! Myślała, że śpimy i mówiła: brylanty, skarby moje! a potem...

— Przeżegnała nas! błogosławiła! Jednak, wiesz Olek... I zamilkł.

— Co, Janku?

— Ej nic! Tak sobie, tylko pomyślałem...

— Co pomyślałeś?

— Ot, pomyślałem, coby to było jednak... gdyby mama tak nas wszystkich trzech... wszystkich trzech...

— Co?

— Straciła!

Rozpaczonym ruchem Olek buchnął na swą pościółkę i zaszeptał:

— Bieda! bieda! bieda! pewno! Szkoda mamy!

Ale bardzo wkrótce mrukliwym tonem ozwał się:

— Po co ma zaraz tracić? Czy to każdy, kto idzie na wojnę, musi być zabity?

— Musi nie musi, ale może, rozważał Janek.

— A gdyby i tak! — zrywając się znowu, zawołał Olek. — A pamiętasz, co Katarzyna Sobieska synom swoim powiedziała, gdy szli na wojnę? Z tarczami, albo na tarczach powracajcie! Tak i my... Z tarczami, albo na tarczach do mamy powrócimy...

— Głupi jesteś! Żadnych tarcz teraz w wojskach niema, to jedno, a drugie, żeby i były, niktby nas na nich mamie odnosić ani myślał... Ty wiecznie z tymi swymi historycznymi przykładami. Ot, myślny lepiej, jak zrobić... co wybrać... co poświęcić...

Teraz obaj pod lipą siedzieli i obaj czoła na dłonie spuścili. Myśleli, walczyli... Był w nich, zaczerpnięty z otaczającej atmosfery żar uczuć egzaltowanych, błądziły we krwi spadkowe po przodkach instynkty rycerskie; majaczył na dnie dzieciom właściwy instynkt naśladowczy; zrywała się wyobraźnia ku przygodom, wrażeniom, czynom nadzwyczajnym. To z jednej strony, a z drugiej, wyrzutem dokuczliwym gryzła serca, słowami starszego brata z codziennej drzemki obudzona, miłość dla matki, płakał w sercach litośny nad nią żal...

IV.

Dawno już, przed dziesięciu czy jedenastu laty, kiedy najmłodszych „robaczek” pani Teresy na świecie jeszcze nie było, a najstarszy ledwie do szkół się wybierał, okolicę, w której znajdowała się Leszczynka, nawiedził gość okrutny. Po drogach przerysowanych pola, po zagonach pod wiosenną siejbę zaoranych,

u ciemnych ścian lasów, chodzić poczęła straszna pani, aż prawie do nieba wysoka, w szacie czarnej, z twarzą trupią, bielejącą wśród czarnych przesłon, które daleko, daleko za nią rozwiewały się, jak olbrzymia chorągiew czy chusta. Kędy przeszła, powietrze stawało się zaprawione wonią trupów i zapalonych gromnic; którego z siedlisk ludzkich dotknęła swoją chustą czy chorągwią, tam pod dachami czy strzechami znajdowały się trupy, a w oknach chat czy domów błyskać poczynwały te światelka smutnie migocące, które dniem i nocą pałą się przy ciałach zmarłych. Na imię przeraźliwej pani tej było: zaraza.

Od dość już dawna podobno chodziła po całym kraju, teraz tu przyszła i chorągwią czy chustą swą dworku w Leszczynce dotknęła.

A zdarzyło się, że wówczas właśnie, w izbie do małego domku już przez p. Teresę przybudowanej, mieszkał z rodziną, tak samo jak u p. Teresy liczną, chłop nazywający się panas Teleżuk.

Parobkiem był i zarazem furmanem i zarazem najstarszym w gospodarstwie pomocnikiem byłego dzierżawcy folwarczku. Pani Teresa znalazła go tu do Leszczynki przybywając i zatrzymała. Gdyby nawet, na mocy posiadanego wówczas prawa nie zatrzymywała, pozostałby z woli własnej, bo w rodzinnej chacie jego aż trzech braci starszych z rodzinami licznymi siedziało, i ta izba widna i obszerna, którą przybudowała dla niego pani Teresa, uszczęśliwiała go, wprost uszczęśliwiała, z tego powodu, że przestronno i wesoło w niej było — czworgu jego dzieciom.

Chłop to był wtedy młody, ale jak wszyscy chłopci polescy, więcej milczący aniżeli mówny, w ruchach ociężały, w wejrzeniu pośepny. Wysoki wzrost jego, silne bary, śniada cera twarzy uderzały siłą fizyczną, zdrową i wielką, lecz dusza zdawała się mieć wzrost przez coś wypaczony, bo z jednej strony ukazywała się ognistą i bujną, a z drugiej senną i leniwą. Tą stroną duszy Teleżukowej, która wyrosła najbujniej, zapalała najgoręcej, była — miłość rodzinna, a zwłaszcza i nadewszystko miłość rodzicielska. Z Nastką swoją ożenił się wbrew woli braci, którzy w *prymy* go dać, czyli z dziedziczką chaty i roli ożenić usiłowali, i żył

z nią w zgodzie wielkiej, w częstych szeptaniach poufnych, we wspólnych nad wszystkim naradach, niemniej zdarzało się, że i do niej tak samo jak do innych ludzi całymi dniami słowa żadnego nie przemówił, albo w złej chwili, wykrzyczał ją, i nawet pięść nie bylejaką na plecy jej opuścił.

Ale z dziećmi... o! to już było wcale co innego. To już był tajemniczy źródł jakiś, z którego lały się mu do serca, więc też i z twarzy, z oczu, z ruchów i mowy wytryskiwały radość, żywłość, wesołość i często, dziwna w tym ciężkim, twardym chłopie niewieścia czułość, skowroncza polotność i śpiewność.

Czworo ich miał; starsze już gęsi albo owce pasły, młodsze spódnicy matczynej jeszcze się trzymały; ale on wszystkie, i starsze i młodsze po każdym powrocie od roboty na rękach aż do sufitu niskiego podnosić i podrzucać musiał, a potem je sobie na kolanach, na ramionach sadzał i huśtał i przyspiewywał im, i gwarzył z nimi, a kiedy na kark, na grzbiet, na głowę niemal mu wchodziły, śmiał się tak głośno, że śmiech ten aż cały dworek napełniał odgłosem serdecznej, jak pierś chłopska, szerokiej radości. W niedzielę i święta za bramę dworku je wyprowadzał i na jakimś blizkim kawałku pastwiska albo ugoru, można go było widzieć, jak leżał na wznak, wszystkie je na sobie mając, huśtał je na ramionach i nogach i gadał do nich, a czasem zrywał się i w poskokach, od których ziemia trząść się zdawała, uganiać się z nimi poczynął. Potem, kiedy oddalał się od dzieci, albo kiedy one się oddalały, wracały mu znowu do ciała ruchy leniwe czy senliwe, do warg milczenie chętne, a do roztropnych oczu obojętność lub też posepność wejrzenia.

Pani Teresa od pierwszego poznania się z nim polubiła go za tę niezwykłą miłość ojcowską, a on polubił ją, jak się zdawało, od tej chwili, gdy dała mu na mieszkanie zamiast uprzedniej, ciasnej i ciemnej, izbę nową, przestronną i jasną. Hulałyżby po niej, hulały dzieciaki jego, stając się coraz tłustsze i rumieńsze, a i Nastka, w pałacu takim żyjąc, pokraśniała, powagi jakby, a razem i wesołości nabrała, tak że częściej niż dawniej począł za nią, gdy przez izbę przechodziła, oczami wodzić. Szczęśliwą zdawała się być ta rodzina chłopska, szczęśliwszą, niż ta, która obok,

nie w jednej, ale w kilku izbach mieszkała, i rozumiał to dobrze Teleżuk.

— Ot, — o pani Teresie mawiał do żony — pani ona nibyto, a nieszczęśliwa... Swego tak jak nie widzi nigdy, a na *de-tyny* swoje pracuje, horuje...

Mogło się zdawać, że jak ona jego za szczególną miłość ojcowską polubiła, tak on ją za jej nieszczęście i za to, że na *de-tyny* swoje *horowała*, uszanował i także polubił.

Wtem, straszna pani z trupią twarzą, aż do nieba sięgająca, nadeszła i dotknęła końcem rozwianej chusty swej domu w Leszczynce, a właściwie tej jego izby, którą Teleżuk z rodziną zamieszkiwał. Napęłniła się wówczas izba ta jękami, krzykami, zsińnięmi i wijącemi się w bólach ciałami, i, jeden tylko ojciec rodziny na nogach pozostał, osowiały, zmartwiał, bezradny. Jak w kamień obrócony, dnie i noce w najciemniejszym kącie izby na ławie przesiadywał, i szeroko rozwartemi oczyma na krzątanie się pani Teresy około chorych patrzył. Bo zakrzętnęła się ona około nich z energią sobie właściwą, z niedającą się niczem zrazić litością gorącą i czynną. O lekarza w zakęcie tym było tak trudno, że prawie niepodobna, pielęgniarek jakichkolwiek sama nazwa była nieznana. Ale pani Teresa miała książeczynę w wypadkach podobnych doradcą, szafkę z flaszeczkami i przyrządami leczniczymi, wiedziała co czynić i czyniła niezmordowanie, odważnie. Odwagi potrzebowała więcej jeszcze niż energii, bo i roztropność własna i jakaś bawiąca wtedy u niej stara krewna ostrzegały ją przed niebezpieczeństwem przeniesienia trującego oddechu strasznej pani z izby Teleżukowej do piersi własnych dzieci. Ale roztropności swojej i przestrogom starej krewnej po krótkim namyśle stanowczej odpowiedzi udzieliła:

— Także paskudztwo! zebym ja dla swego strachu ludzi w nieszczęściu takim nie ratowała.

A strach w niej jednak był, o był! I ona jedna tylko wiedziała, jakich śmiertelnych dreszczów pełen. Więc też dzieci swoje na wszystkie strony okadzała, ocierała, zapobiegawczemi środkami poiła, starą krewną zaklinała, aby je przed wszystkim, co za szkodliwe uchodziło, strzegła, i znowu do tamtych wracała, godzi-

nami całemi zsiniałe i pokurczone ciała rozcierając, rozgrzewając, lecznicze płyny warząc i w usta spieczone wlewając. Przyszło do tego, że samemu Teleżukowi, który przecież zdrow był, przemocą niemal, z krzykiem i gniewem, pożywienie wmawiać, prawie wkładać do ust musiała, bo wkońcu tych dni straszliwych, gdy dwoje dzieci jego już w trumienkach z izby wyniesiono, skamieniał on do ostatka, mowę jakby utracił i oczy miał jak sowa we dnie, czerwone i nieprzytomne.

Potem ucichło wszystko; Teleżukowie w swojej widnej, obszernej izbie we dwoje już tylko pozostali i raz, gdy pani Teresa krzątała się dokoła łóżeczek Julka i Inki, których welon strasznej pani zlekka dotknął, do pokoiku, w którym się znajdowała, weszli. Świątecznie ubrani byli oboje i wyrazy twarzy mieli świąteczne, uroczyste. Spojrzawszy na nich p. Teresa, pomyślała.

— Masz tobie! Przyszli pewnie prosić, abym ich od służby uwolniła. Nie mogą pewnie wytrzymać tu, gdzie ich nieszczęście takie...

A oni zbliżyli się, przed nią stanęli i oboje, ruchem jednostajnym pokłonili się jej nisko, aż do stóp, tak że prawie czołem ziemi dotknęli.

— Także pokłony! — zawołała. — Ile ja razy Teleżukowi mówiłam, aby nigdy...

Ale on jakby słów jej nie słysząc, powoli, zgniecionym głosem mówić zaczął:

— My przyszli podziękować wam, pani, że nasze dzieci nie bez ratunku poumierali i że Nastka przy życiu została...

— Co tam! co tam! — z oczyma, które łzami nabiegły, przerwać chciała.

Ale on, jakby znowu jej nie słyszał:

— My przyszli powiedzieć, że my przy was do śmierci... jak psy ostaniem i dobra waszego, dzieci waszych, pani...

Nie dokończył, bo w piersi jęknął mu coś straszliwie i głos w szlochu się załamał, a Nastka to już płaczem aż ryknęła i chciała znowu do stóp pani Teresy czołem przypaść, ale ona wpół ją schwyłała i w policzki wycałowała, a potem jego głowę obu rękoma do siebie przyciągnęła i — także wycałowała.

— Biedneńkie wy moje! kochanieńkie! nieszczęśliwe! Dzieci tak potracić! Czy ja nie rozumiem...

O jak rozumiała! Łzy jej zmieszały się z łzami Nastki, bo on, Teleżuk, nie płakał, tylko na twarzy postarzałej miał już tę maskę z zastygłego jakby przerażenia sklejoną, która pozostać miała na niej na zawsze.

Przed odejściem rzekł jeszcze:

— My z Wami, pani, do śmierci... i co tylko będzie trzeba... co tylko *skażecie*, zrobim...

Dotrzykali obietnicy. Zostali, wszystko, co trzeba było robić, pomocnikami jej, wyręczycielami, doradcami stali się, razem z nią dzieci jej hodowali. Byli całą jej służbą, innej nie miała i nie potrzebowała, a kto wie? czy pod ciężarem trosk swoich i twardej swej pracy nie ugięłaby się nieraz gdyby nie oni... Dusza chłopska, tak samo jak ze strony miłości rodzicielskiej, ukazała się w tym wypadku bujnie i pięknie wyrosłą ze strony wdzięczności...

Cóż dziwnego, że pani Teresa w kilka dni po odjeździe Julka przysła wieczorem do kuchni i naprzeciw Teleżuków, za stołem siedzących, na ławie usiadła. Nastka, jak zwykle w tej porze bywało, szyła, a on coś z drewna piłką i młotkiem majstrował. Widząc ją wchodzącą, zapytał:

— A *szczo* pani? Może potrzeba czego?...

— Niczego mi nie potrzeba, niczego ja od was nie chcę — cicho jakoś odrzekła pani Teresa — i dodała: — przyszłam pogadać trochę z wami...

Zmieniła się nieco przez te dni parę, przymizerniała na twarzy i spowolniała w ruchach.

— Męka taka — zaczęła — niepokój taki, miejsca sobie w domu dobrać nie mogę, roboty żadnej do końca zrobić nie mogę... Nic nie wiem, co się tam dzieje... Muszę jutro do pana Orszaka pojechać, on pewno wie, może już bitwa jaka była... pojedziemy jutro, Teleżuk, do pana Orszaka...

— Dobrze, pani pojedziem — odpowiedział chłop — i głowę z nad roboty podniósłszy, po raz pierwszy odkąd przyszła, na nią popatrzył, a popatrzwszy zaczął:

— Oj! biedy wy sobie narobili, pani, biedy! I na *szczo-heto*? wyrósł wam synek, jak ten dębek gładziuszeńki, jak ten młodzieńczyk na obrazie w cerkwi malowany, a wy jego posłali tam, gdzie śmierć i zgubienie... Nie przeszkodzili, nie zabronili...

Dziw to był, że Teleżuk mówił tak wiele i snać przedmiot rozmowy bardzo już dopiekał, skoro do takiego rozgadania się go skłonił. Ale mówiłby dłużej jeszcze, gdyby mu Nastka nagle bardzo i z ferworem w mowę nie wpadła.

— A toż! — rękę z igłą i nicią wysoko podnosząc, zawołała: — Już to my z panasem ciągle o tem gadamy i gadamy... Co wam, pani, stało się? Toż wy dzieci swoje zawsze lubili, toż wy za niemi przepadali i świata nie widzieli, a teraz pozwolili, nie przeszkodzili... Takiego gołąbka miłego, takiego molojczyka krasnego wy z chaty swojej tam, gdzie strzelają i rąbią wygnali...

I gadała, gadała w ferwor coraz większy wpadając, aż robotę z kolan na ziemię zrzuciła, aż porwała się z ławy, czegoś do pieca poleciała i znowu na ławę wróciła, ramionami rozmachując, lamentując, pani Teresie za zgubienie syna wyrzuty czyniąc. Znać było, że ona tego *hołubczyka* miłego, tego *molojczyka* krasnego, nie na żarty sama lubiła. I nie dziw! współ z matką hodowała go, gdy był mały, a gdy dorósł, przyjazdami jego ze szkół do domu cieszyła się, nigdy inaczej jak zdrobniałem imieniem go nie nazywając i z przekomarzania się z nią wesołego chłopca, z figlów, które jej płatał, do rozpuku się śmiejąc. Teraz za to płakała... Łzy jak groch sypały się na twarz jej okrągłą i rumianą, na osłaniającą pierś szarą koszulę.

Pani Teresa wyrzutów czynionych jej przez czas jakiś w cierpliwem milczeniu słuchała, ale widać było, że siła się na tę cierpliwość. I długo wytrzymać nie mogła. Musiała przecież tym ludziom dobrym, ale ciemnym, tym pomocnikom i przyjaciółom swoim kochanym, ale nie rozumiejącym, wytłumaczyć, wyjaśnić... O zgubę syna, o zgubę Julka ją obwiniali! Mogłaz pod ciężarem tego obwinienia śmiało w oczy im patrzeć? Aż w stopy i w gardło piec ją zaczęło. Zerwała się z ławy, krzyknęła:

— Słuchajże, Nastko! Umilknijże! Także rozgadała się! Wy

tego nie rozumiecie! Wy o tem nic nie wiecie! Posłuchajcież! Wytłumaczę, opowiem!

Nastka umilkła i uszu nastawiła. Nie dlatego umilkła, aby krzyku pani Teresy zlekła się, ale dlatego, że ciekawość ją zdjęła. Z natury była wszelkich opowiadań i nowin, wszystkiego, co tylko mówionem być mogło, ciekawą bardzo. Ale i Teleżuk, choć z pozoru niczego nie ciekawy, wzrok w twarzy pani Teresy utkwił, a ona, widząc ich uspokojonych i słuchających, mówić zaczęła o początkach, przyczynach i celach wszystkiego, co się w tej chwili tu i na przestrzeni całego kraju stawało i działo. Z początku nie łatwo to jej szło. Od umiejętności jakiegokolwiek nauczania ludzi i wykładania im przedmiotów abstrakcyjnych o sto mil była odległa, a do długich zastanawiań się nad przedmiotami i dobierania dla nich odpowiednich słów i wiązań ogromnie nienawykła. Jednak, z zasobu nauk dziecinnych, z licznych zasłyszeń, z czytań częstych niegdyś, a potem, choć rzadkich, lecz zdarzających się kiedy niekiedy, wydobyć mogła wiadomości ilość znaczną, a z serca, przez które razem ze krwią przepływały uczucia pewnego rzędu, polały się jej i na usta wybiegać zaczęły coraz obfitsze, często dla niej samej niespodziewane słowa. Gdy tylko zaczęła mówić, od mowy własnej zaczęła płonać. Królowie i rycerze, bohaterzy i poeci, świetność, sława, a potem klęski, upadki, niedole, krzywdy, deptanie ludzi przez ludzi, gwałcenie praw Boskich i ludzkich — wszystko, co niosła z sobą niewola, wszystko, czem nęci, zachwyca, jaśniej wolność... I mógłże tu być wybór? I mógłż tu być wahanie? I mógłż syna odwracać od swoich własnych świętości? I mógłż doradzać mu podłość, sobkowstwo, tchórzostwo? Nie! tak jak się stało, stać się musiało — i basta! Nie jest wyrodną matką, nikt od Teleżuków lepiej o tem nie wie, ale nie może też być wyrodną córką, a jest przecież córką ojczyzny, tak jak wszyscy, którzy z łona jej powstałi i na niem żyją, są jej dziećmi. I tak dalej, i tak dalej, mówiła, prawila, opowiadała, przekonywała, w zapale czasem zrywała się z ławki i w postawie stojącej ramiona rozkładała szeroko, albo w górę je podnosiła, albo ze splecionemi rękoma przed siebie wyciągała. Wtedy, na ścianie kuchenki, małą lampką słabo oświetlonej, po-

wstawał za nią cień jej chwiejący się, czarny i patetyczne gesty jej powtarzał.

Aż z twarzą w ogniu, od mówienia zadyszana, umilkła. Ze wzrokiem znieruchomiałym i rozwartemi usty, nagle jakoś umilkła. Rozpłomienione jej oczy długo nie widziały nic dokoła, nic, nic, w wewnętrzne wizye swoje zapatrzone, aż nagle zobaczyły — że Nastka spała. Na przedramiona skrzyżowane na stole głowę opuszcła i — usnęła. Od jak dawna spała niewiadomo, lecz nie od paru minut zapewne.

Teleżuk nie spał, ale czy długiej mowy pani Teresy słuchał, czy nie słuchał, odgadnąć byłoby niepodobna, tak niezmiennione w swej zwykłej nieruchomości, tak żadnym błyskiem w pośpiechu swej nie rozjaśnione były rysy jego twarzy. Zmęczonym tylko wydawał się, bo przepracował dzień cały i pora była późna. Ciężkim też ruchem powstał z ławy i ocieężał rękę ku włosom niosąc, rzekł:

Spać pora, pani! A toż i świtać niezadługo zacznie!

Żonę za ramię potrząsał.

— Nastka! Spać się kładnij!

I tylko, gdy ku drzwiom izby swojej, z pochyloną twarzą, zwrócił się, na króciuchną jak sekunda chwilę, w sennem oku jego błysnęła — ironia.

Z tej strony, ze strony, o której pani Teresa tak długo dziś prawiała, dusza chłopska posiadała wzrost stłumiony, była ślepą, głuchą, niemą...

Pani Teresa stała chwilę jeszcze pośrodku kuchni, z czołem w kilka fałd zmarszczonem i wzrokiem wbitym w ziemię, a za nią stał na ścianie czarny cień jej i z pochyloną także głową w ziemię patrzył.

Wzięła potem lampkę ze stołu i, przyświecając nią sobie, do sypialni córek poszła. Małeńkie spały głęboko, w białych pościółkach swych, różowe i spokojne, Inka na wpół rozebrana w głębi izdebki wąskiej i długiej, przed lusterkiem włosy sobie na loki zawijała, pasemka ich dokoła szmatków papieru okręcając. Mnóstwo już białych, papierowych strąków sterczało nad połową jej głowy, gdy z drugiej połowy, na obnażone, alabastrowo białe ramię złota fala spływała swobodnie i obficie. Była tak w zajęciu

swem pogrążona, że wejścia matki nie spostrzegła, zaś pani Teresa w progu ze swoją lampką stojąc — i na nią patrząc, z politowaniem drwiącem trochę, a trochę żałośnem głową wstrząsała.

— Także robota! — głośno burknęła i cofnęła się z progu, ze stukiem drzwi za sobą zamykając.

Nazajutrz do Władysława Orszaka, o dwie mile od Leszczyнки mieszkającego, pojechała. Przed wyjazdem do córki rzekła:

— Muszę po wiadomości pojechać... Rady sobie inaczej nie dam... Julek mówił, abym się w każdej potrzebie do pana Orszaka udawała, i że on zawsze najwięcej o wszystkim wiedzieć będzie. A ty, Inka, nie siedź tak z założonemi rączkami; wyręcz mnie, małych popilnuj — sukienkę Ludwinki napraw... wczoraj ją porozdzierała...

Na bryczkę parą koni zaprzęzoną i przez Teleżuka powożoną siadła i pojechała, a niewiele przed wieczorem powróciła z twarzą w ogniu i rękoma, które, gdy muślinową chustę swą z głowy zdejmowała, widocznie drżały. Do spotykającej ją na ganku Inki rzuciła się z głośnym szeptem.

— Lada dzień... już lada dzień... jutro, pojutrze... może jutro...

— Co? mamó? co?

Inka także wiadomości nie tylko ciekawą była, ale namiętnie oczekiwała, pożądała. Jakże! W tej głuszy, w tej monotonii, w tej nudzie, żeby choć jakiegokolwiek urozmaicenie, wrażenie...

— Cóż, mamciu? co? co będzie lada dzień?

Pani Teresa wybuchnęła:

— Bitwa!... już ku lasom horeckim wojsko idzie...

I dziwnie jakoś na miejscu się zakręciwszy, jak wichher wleciała do domu, gdzie biegły na jej spotkanie dwa cienkie głosiki.

— Mamcia powróciła! Mamó! Mameczko! Mamciu! A w tej samej chwili, na ganku, z którego Inka zeszła, aby powolnym, zniechęconym krokiem po ogrodzie błdzić, Janek i Olek przysunęli się ku sobie, cali drżący i tak na twarzach pobladli, że rumianego Olka zaledwieby w tej chwili poznać było można. Stali za Inką, gdy matka z bryczki wysiadła, słyszeli co mówiła.

— Wo... wojsko idzie! — trzęsąc się jak w febrze, szeptał Olek.

A Janek ze spuszczoną twarzą milczał i tylko szczupłymi palcami miał karty trzymanej w rękę książki. Gdy twarz podniósł, oczy mu tak błyszczały, jak nieraz u pani Teresy w chwilach zapału bywało. Julek i on odziedziczyli po matce te piwne oczy, które wśród pewnych stanów psychicznych przemieniały się w zarzewia gorejące. Chłopcą, smukłą, sprężystą postać swą wyprostował i z powagą tak wielką, że niemal uroczyście, rzekł:

— Teraz, Olku, albo nigdy! pójdź, pogadamy!

Tej nocy nikt w Leszczynce dobrego snu nie miał. Pani Teresa wprowadzie z przyzwyczajenia i zmęczenia usnęła około północy, lecz wkrótce potem z pokoiku jej wychodzić poczęły i po całym domu się rozchodzić jakieś dziwne, sennie, przeciągle nawoływania, czy przyzywania. Żadnego imienia, żadnego wyraźnego słowa w dźwiękach tych, z uspionej piersi wychodzących rozróżnić nie było podobna, ale nabrzmiałemi one były taką żalnością i tęsknotą, tak tęsknie, posępnie, przewlekłe rozchodziły się po ciemnych izbach, że Inka, jak codziennie bywało, do późna zawijaniem loków zatrudniona, zerwała się z przed lusterka i z lampą w rękę do izdebki matki pobiegła. Pani Teresa miała zwykle sen twardy i nie przebudziło ją wejście córki, która zobaczywszy uspioną i po izdebce rozejrzawszy się, znowu przed lusterko swe wróciła, ale już do zawijania loków nawet ochoty pozbawiona. Ze stukiem lampkę na stole postawiwszy, gniewnym ruchem wzięty do ręki grzebień odrzucając, zaśnęła:

— Boże mój! ja nie wytrzymam! Żeby to od tych wszystkich smutków gdziekolwiek uciec można było! Boże mój! Jaka ja nieszczęśliwa... nieszczęśliwa!

Oczy miała pełne łez, które też dwoma sznurkami po pięknej twarzy popłynęły, piękniejszą jeszcze ją czyniąc. Patrzała też na odbite w lusterku swoją piękność i swe łzy.

— I po co mi ta piękność? co mi z niej? po co mi ona... w tej dziurze... wśród tych smutków?...

Gdy tak z załamanemi rękoma i dwoma sznurkami łez na policzkach szeptała, w tej samej chwili, z izdebki pani Teresy znowu wypłynęło i po ciemnym domu rozpląnęło się sennie, przeciągle, tęskne, bezbrzeżnie żałośnie wołanie, czy błaganie.

Kogo tak przez sen przyzywała, czy błagała? Syna, który lada dzień w ogniu bitwy znaleźć się miał, czy Boga, którego ukrzyżowany obraz w głębokim zmroku mętnie białł?

Teleżuk także wcześniej niż zwykle, bo u samego początku świtania z pościeli wstał i Nastki nie budząc, drzwiami do ogrodu prowadzącymi z domu wyszedł. Czegoś niespokojny być musiał, bo niezwykle szerokim krokiem poszedł ku lipie, pod którą chłopcy od niedawna nocleg sobie założyli, a na rozpostartych u stóp drzewa pościółkach nikogo nie ujrawszy stanął jak wryty, jeden tylko przeciągły dźwięk z ust wydając.

— Aaaa!

Przed nocą widział, na własne oczy widział, jak pokładli się tam do snu i blizkimi usnięcia się zdawali, a teraz... Wstali snąć wśród nocy i dokądś poszli. Dokąd? Nie zastanawiałby się nad tem Teleżuk w innym czasie, bo małoż to dokąd niedorósł chłopcy takie latać mogą! Ale teraz, miał podejrzenia pewne i obawy... niedobrze określone, niejasne, ale miał. Powstały w nim one już wtedy, gdy z Julkiem i z Dziatkowskim panem broń w Dębowym Rogu odkopując, spostrzegł, że ziemia poruszona była, że ktoś tu po nich z rydlem około niej chodził. A potem, Julek i dziatkowicki pan z wielkiem zdziwieniem spostrzegli, że pudło z pistoletami odbite, i że w nim dwu pistoletów brakuje. A potem jeszcze i dwu noży jakichś, co to ich panowie sztylami czy kindżałami nazywali, zabrakło... Ale długo o tem nikt wtedy nie mówił; czasu nie było. Tylko znowu, kiedy Julka do Dziatkowicz wiozł, prosić on jego zaczął, aby chłopców na oku miał, aby przed własnem dzieciństwem ich strzegł, bo kto wie, jakie głupstwa do głowy przychodzić im mogą... Wszystko to Teleżuk miarkował sobie w głowie, jedno do drugiego przykładając, aż teraz zaniepokoił się i wszystkie kąty ogrodu obszedłszy, szerokimi krokami ku wsi chłopskiej poszedł. Bawił dość długo, a powrócił, znać, z powziętą wiadomością jakąś, bo z wielkim pośpiechem konia do wozu założywszy, nikogo w domu ze snu nie budząc, za bramę dworku wyjechał i skierował się w stronę lasów horeckich. O tem, co teraz działo się i dziać się miało

w tych lasach, od pani Teresy wiedział. Konia zaprzęgając i potem, na wozie siedząc, często z ust wydawał dźwięk przeciągły.

— Aaaa! Aaaa!

Dziwienie się i zgryzota w dźwięku tym brzmiały. Wyglądał Teleżuk na wozie swym ponuro, czasem tylko gniewnie.

— Oj dałby ja im za to, dałby!

Biezem szeroko w powietrzu zamachnął, znowu głowę na pierś opuszczył i w posępny kamień, kształt człowieka mający, zastyl.

A oni, gdy Teleżuk w pogoń za nimi z Leszczynki wyjeżdżał, już kanał królewski wpływ przepłynąwszy, ku horeckiemu dworowi zmierzali.

Nie wytrzymali tedy, poszli. Na wieść o blizkiej bitwie, o wojsku już nadchodzącem, rozbijała się ich wyobraźnia tak szeroko i mocno, krew w żyłach chłopięcych zawrzała tak gorąco, że wszystkie inne uczucia umilkły, wahania ustały. Śród nocy, pod lipą, w świetle pobłyskujących z za jej gałęzi gwiazd, najnowsza odzież, skórzanemi paskami przewiązaną i niekoniecznie całe obuwie swe przywdziali, pistolety i kindżały za odzieżą schowali i wszystko to rękoma od niecierpliwości drżącemi uczyniwszy, cichutko odeszli.

Do partyi poszli.

A jeżeli naczelnik przyjąć ich tam nie zechce? Może i on tak jak inni bębnami ich nazwie, do domu wracać każe?

Myśl to była piorunująca, ale otrząsnęli się z niej prędko.

Nie! tak być nie może! Naczelnik wielkim człowiekiem jest, a ludzie wielcy wszystko wiedzą i rozumieją. On ich zrozumie; on im powie: zostańcie rycerze młodzi! Walczcie z nami i z nami zwyciężcie lub zginiecie!

Zwyciężyć albo zginąć! Co za czar w trzech tych wyrazach! I naczelnik wypowie je do nich niezawodnie, a Julek zawstydzi się, że choć brat i — bohater, tak, bo pomimo wszystko, bohaterem jest jednak, ich zrozumieć nie potrafił i — ocenić! Tak; nie potrafił on ocenić w nich takiej samej odwagi i takiego samego rzutu do bohaterstwa, jakie w nim były. Teraz przekona się...

Drogę do dworu horeckiego dobrze znali. Gdy Inka cztery

lata z panną Awiczówną się uczyła, matka jeździła tam często i ich z sobą czasem zabierała. Niezbyt daleka to zresztą była droga. Trzy mile niespełna. Rozkosznie ją w kilka godzin przebyli, bo cudnemi były świeżość i jasność poranku, a cudniejszymi jeszcze napełniające ich uczucia. Czuli się krzepcy, lekcy, silni, nadewszystko wolni. Zdawało się im, że okowy jakieś z nich spadły i że lecą, nie idą, ale wprost na niewidzialnych skrzydłach lecą ku przygodom nadzwyczajnym i zadziwiającym, ku czynom potężnym, do których przeżyły się ich ramiona i zaciskały drobne pięście, ku słońcu jakimś, wirującemu w oddaleniu i rozrzucającemu na świat cały czarujące kolory i blaski.

Mieli zamiar przejść około dworu horeckiego w sposób taki, aby przez nikogo tam spostrzeżonymi nie zostać i w pobliżu, w miejscu dobrze im znanem, do lasu wejść. Lecz z pewnej już odległości dostrzegli, że we dworze dzieje się coś niezwykłego... Jakiś tłum ludzi na dziedzińcu rozległym, jakieś błyski metalowe w powietrzu, jakaś wrzawa grubych głosów. Za zasłoną krzaczystych wierzb, które ścieżkę polną obrzeżały, zbliżyli się jeszcze nieco, wzrok wyteżając i jednocześnie zaszeptali.

— Żołnierze! Wojsko!

Z łatwością domyślić się mogli, że wojsko to wkrótce pójść miało tam, dokąd i oni dążyli, jednocześnie z tym domysłem uczuli oblewające ich od stóp do głowy gorąco. Gorąco zapалу i niecierpliwości. Ach! znaleźć się już tam, znaleźć się coprędzej tam, gdzie będzie walka, niebezpieczeństwo, pole do urzeczywistnienia marzeń. tak długo snutych, ambicyi tak długo skrywanych, bo przez ludzi nierozumianych i poniewieranych. Tyle jednak rozważań im zostało, że zrozumieli potrzebę odejścia stąd jak najszybszego i przedostania się do lasu w miejscu od tego odległym. Tak uczynili. Jak myszy polne, pod krzakami i drzewami, głębią rowów u brzegów pól biegnących, szybko i bez szelestu przesliznęli się, przesmyknęli i daleko, tam dokąd już z horeckiego dworu, żaden błysk ani odgłos nie dochodził, do lasu wbiegli. Tu, zziązani, bez tchu prawie, cali jeszcze od przeprawy przez wodę mokrzy, na mchy leśne pod sosnami upadli.

— Ot szczęście! — szybko i głośno oddychając zawołał Olek.

Janek nic nie odpowiedział, ale na bladawej twarzy, ku przezierającym przez sosny błękitom niebieskim zwróconej, miał wyraz ekstazy. Porwał się też wkrótce z ziemi.

— Chodźmy!

Olek choć nieco cięższym ruchem, na nogach stanął.

— Chodźmy!

Dobrze! lecz w którą stronę lasu skierować się im wypada? Wiedzieli, że był ogromnym i łączył się z lasami innymi, a w jakim punkcie jego znajduje się to, ku czemu dążą, skądże im wiedzieć? Pierwsza to była troska, która po opuszczeniu Leszczynki na nich spadła, lecz nie przywiązywali do niej wagi wielkiej. Olek zawołał:

— Ot wielkie rzeczy! Będziemy lasem iść, iść, iść, aż znajdziemy...

— Zapewne! nie połową kuli ziemskiej przecież jest ten las! Coś przecie dojrzymy, czy usłyszymy, co nam wskazówki jakiejś udzieli.

Poszli i szli, szli, szli... Po ścieżkach przez trzody wydeptywanych i po mchach sprężystych, trawach wysokich, wrzowiskach suchych, po drogach nieszerokich, w mnóstwo kolein wyrzeźbionych, pomiędzy kolumnadami wyniosłych sosen i świerków, przez gęstwiny zarośli i wiklin, nad którymi konary odwieczne rozpościerały stare jak sam ten las drzewa liściaste, gałęziste, jak czary winem musującym, ptastwem świegocącym napełnione, przez te świegoty ptastwa i metaliczne, chóralne brzęczenia owadów, przez rozciągnięte od drzewa do drzewa i od krzaku do krzaku złote smugi słoneczne, przez spadające, od spletanych konarów płachty czarnych cieniów, — szli, szli, szli...

Mali, wielkością otoczenia pomniejszeni, jak u zmęczonych i zarazem spieszących się bywa, szczupłe ciała naprzód pochylając, z daszkami czapek głęboko nad oczy zsuniętymi, wynurzali się z cieniów głębokich, przebywali osłonecznione polany, zatapiali się w gąszcza zarośli, wynurzali się z nich na ścieżki lub drogi, po których przesmykiwali się nakszałt zająców, które na widnych przestrzeniach zdawają szybkość biegu, instynktem gnane ku cieniom, schronieniom, zasłonom.

Nie słyszeli szczebiotów ptastwa, ani brzęczenia owadów, nie spostrzegali wychylających się zewsząd kwiatów, ani zrywających się z pod stóp ich motyli, nie uczuwaliby grzęźnięcia stóp w pagórkach mrówczych, ani czerwonych szram, którymi jałowce i świerki znaczyły ich twarze i ręce.

Szli, szli, szli, głusi i ślepi, a jednak ze wszystkimi siłami istot swych, skupionemi we wzroku i słuchu. Skupionemi i wyteżonemi aż do bólu, aż do zapierania oddechu w piersi, aż do obojętności wyteżonemi w oczekiwaniu, w poszukiwaniu, w namietnem prawie do szalu upragnieniu jakiegoś odgłosu, przebłysku, czegoś, czegokolwiek, co powiedziałoby im, oznajmiło, wskazało: tam! tam! tam idźcie, lećcie, zlećcie pomiędzy zbrojnych, odważnych, bohaterskich, z okrzykiem: I my, i my, i my!

Okrzykiem tym, w miarę jak czas upływał, piersi im coraz więcej nabrzmiwały. Pot perlisty występował na czoła, oblewał policzki, u Janka coraz bledsze, u Olka coraz czerwieniejące i często tak wydęte, jak bywało, gdy na rozkaz matki ogień w samowarze rozdmuchiwał.

I nic, nic, nic. Żadnego odgłosu, ani błysku, ani koloru, któryby oznajmiał, wskazywał...

O południu Olek zajęczał:

— Siądźmy trochę...

I upadł na ziemię pod rozłożystym drzewem. Janek niechętnie stanął przy nim. Starszy i sprężystszy, mniej czuł zmęczenia. Ale w zamian uczuł, że jest głodnym.

— Olek, daj chleba.

Chłopak nagłym ruchem postawę leżącą na siedzącą zmienił i obu dłońmi po bokach się uderzył. Zmieszaniem zamigotały mu błękitne oczy.

— Zapomniałem wziąć! — zajęczał.

Ale Janek ze spokojem przyjął smutną tę wiadomość.

— No, cóż robić? Nic dziwnego żeś zapomniał. Takeśmy się spieszyli.

Obok brata na trawie usiadł.

— Trochę głodu! Co to znaczy! Czy tak jeszcze na wojnach bywa!

— Spartanie to nieraz i bez wojny po trzy dni nie nie jadali, aby tylko hartu...

Wyprostował się nagle.

— Słyszysz, Janek!

— Słyszę... słyszę... Słuchajmy!

Cóż usłyszeli? Jakieś w oddaleniu pewnem szemranie i niewyraźny, przez oddalenie tłumiony pogwizd... Odzywało się to i milkło, ale od tła innych poszumów i pobrzmiwań lasu odskakiwało.

— Może to...

— Może tam...

I zerwali się na równe nogi. W kierunku niewyraźnego szemrania i pogwizdywania poszli i szli, szli, szli, aż przyszedli nad dolinkę małą, u której brzegu wytryskiwał nie wiedzieć skąd strumyk wody srebrzystej, perlistej, przez dolinkę płynął i szemrał, brzęczał, jakby mowę ludzką, śpiewną, tajemniczą naśladował. Nad strumykiem zaś rosły w miejscu pewnem do gromady zbiegnięte brzozy białokore, a w listowiu ich wilgi żółte skakały i gwizdały.

Uklękli nad strumykiem, pili wodę srebrzystą, perlistą, potem nią sobie twarze i ręce omyli i dalej poszli.

Dość późna popołudniowa godzina znalazła ich siedzących na dywanie z traw, jak płatami śniegu usypanym kępkami kwieciami poziomkowego. Gdybyż to były jagody! Ogromnie przedwczesnem tej wiosny wszystko było w naturze i kwiat ten był przedwczesnym, jagody też zdarzały się już tu i ówdzie, ale w tem miejscu ich nie było, a im głód doskwierał. Wczoraj, we wzruszeniu niezmiernem, wieczery do ust wziąć nie mogli; już przeszło dobę całą nie jedli. Jednak, niby umowie jakiejś posłuszni, o głodzie nie mówili ani słowa. Co do zniesienia przyszło, odważnie muszą znieść, i broń Boże nie jęczeć ani narzekać. Oprócz po babsku głodu, zmęczenie we wszystkich członkach czują, boć od północy już wciąż idą, i idą. Przez otwory niezupełnie całego obuwia nabrali pełno ciał obcych, igieł sosnowych, żwiru, które kłują i do krwi ranią spieczone stopy. Ale to wszystko nic. Te wszystkie rzeczy cielesne mężnie i w milczeniu zniosą. Zmartwie-

nie ciężkie i troska, gryzące ich w tej chwili, to błąkanie się po lesie już tak długie. Od wczesnego ranka aż dotąd błąkają się i — nic! Może od celu swego oddalają się coraz, zamiast do niego się przybliżać? Bieda! Co tu robić? Żeby choć człowieka jakiego zobaczyć, zapytać!

— Żeby to, tak jak dawniej bywało, pustelnicy po lasach mieszkali! — westchnął Olek i dalej snuł marzenia.

— Taki pustelnik przyjąłby nas w swojej lepiance, czy jaskini, nakarmiłby i drogę pokazał... A teraz co? Niema na świecie pustelników...

— Za to leśnicy są, tylko że żadnego spotkać jakoś nie możemy; dlatego pewno, że prawie wszyscy w partyi.

— Szcześliwi!

— Aha! Im nikt nie bronił. Owszem, wołali ich, ułatwiali...

I znowu: — Co tu robić? W którą stronę iść, w którą nie iść!

Na pociechę czy dla uspokojenia pistolety z za odzieży powymowali i długo oglądali je ze stron wszystkich.

— Śliczne! — zadecydował Olek.

— Co tam, że śliczne! Ważne to, że doskonale niosą...

— Uhu! jak to ja wtedy do tej wiewiórki trafiłem...

W lesie, daleko od Leszczynkowego dworku, po wielekroć już broni tej próbowali, pukając z niej i pukając, Olek raz wiewiórkę zabił. Naboji też wydali na to sporo, lecz mieli przy sobie zapas ich jeszcze znaczny.

— A scyzoryki?

W dziecinnych rękach, niedawno wodą srebrzystą, perlistą omytych, ukazały się z pochw dobyte, szerokie, w połowie zakrzywione noże. Promień słońca w stalowej powierzchni ich złociście zabłyszczał. Błysk ten jakby podrzucił ich w górę.

— Idźmy!

Poszli znowu, ale szli wolniej, niż poprzedy. Tu i owdzie, z za drzew przerzedzonych widzieli tarczę słoneczną już dużo ku zachodowi posuniętą. Gdzieindziej, kryła się ona przed nimi za gęstwinami nieprzeniknionymi, przez które na nich, na trawy, krzaki i w powietrze sypał się złoty deszczyk rozpylonych iskerek słonecznych. Wśród jednej właśnie z gęstwin takich o słuch

ich obilo się coś nadzwyczajnego, grzmot nie grzmot, turkot nie turkot, coś, co głucho potoczyło się lasem, w oddaleniu znacznym, niewyraźne, potężne toczyło się czas jakiś — aż umilkło i po chwili niedługo, po dwu minutach może, znowu się potoczyło.

Wśród przerastającego ich albo do szyi sięgającego listowia krzaków, nad którymi z kolei listowie drzew rozpościarało pułap zaledwie przejrzysty, stali jak w ziemię wryci, słuchali, aż Olek krzyknął:

— Strz... strz... strzelają!

— Strzelają! — potwierdził Janek i bez porozumiewania się, bez słowa, nagle, jednomyślnie, z jednostajną szybkością przez gęstwinę, w której odgłos grzmotu ich znalazł, w stronę odgłosu tego biedz zaczęli. Ramionami, które nabrały sprężystości i mocy nadspodziewanej, rozgarniali, rozrywali przed sobą uploty gałęziste, rozdzielali je swemi ciałami, przeskakiwali nogami, które zdawały się być w tej chwili ze stali i elastyki utworzone. Daszki czapek zsunęły się im prawie na oczy, policzki przez liść szorstki wciąż chlastane, okryły się czerwonymi plamami, szramami i z pod plam, z pod szram przeglądaly błądzą, wielką błądzą szalonego zapamiętania w jednej myśli, w jednym upragnieniu, w jednym dążeniu. Był to szal. Teraz, to już szal ich niósł, podrzucał, świecił im w nieprzytomnych prawie oczach, świstał i rzeził w oddechu tak głośnym i spieszonym, iż zdawało się, że wnet, wnet szczupłe piersi ich rozerwie. Wszystko, co w naturze chłopięcej jest porywem do przedwczesnych lecz wabiących czynów, wszystko, co jest w niej uporem, ambicyą, i wszystko, co we krwi i duszach chłopców tych było górnem miłowaniem i marzeniem, w tej chwili, w chwili tego bezprzytomnego biegu w stronę usłyszanych odgłosów bitwy, kipiało w nich, szalało... Ale pod szalem, w ciałach niedorośliwych, zgłodniałych, tułaczką wielogodzinną umęczonych, pracowało coś innego jeszcze; pracowało w nich i ogarniało je stopniowe, przewyciężane, przemijające, powracające, aż nakoniec niepodobne już do przewyciężenia — mdlenie. Mdleć im poczęły ramiona i nogi, mdlał, rwał się, dławił oddech, przed oczy nasuwała się mgła czerwono centkowana...

— Nie mogę! — zajęczał Olek, bo kolana ugięły się pod nim i jak długi runął na ziemię, u stóp sosny wyniosłej, wyniosłej...

Janek nie rzekł nic i nie upadł, ale usiadł obok leżącego brata, z oczyma zgaszłemi, bardzo blade.

Teraz otaczały ich sosny wyniosłe, wyniosłe, bardzo rzadko rozstawione. Wspaniałą kolumnadą stały na podścielisku gładkiem, tak jak najgładsza posadzka gładkiem i od opadłego igliwia płowo lśniącym. Płowo lśniła gładka posadzka lasu pod ukosnie kładącemi się na nią smugami słonecznego światła, a główce kolumn szeroko rozpostartemi koronami gałęzi zdawały się wspierać w błękitne niebo. I cisza tu panowała.

Po ciszey głębokiej, czystej, wonnej, wśród rzadko rozstawionych na płowo lśniącej posadzce kolumn złotych, toczyły się niezbyt oddalone, dość nawet bliskie grzmoty... Grzmoty strzelania zbiorowego. A pomiędzy nimi, w przestankach krótkich, stuki strzałów pojedynczych...

— Bitwa! — zaszeptał Janek.

— Bi... bi... bit...

Olkowi oddech marł w piersi, nie mógł wyrazu dokończyć.

— Blisko gdzieś!

— Blisko!

— Lećmy!

Porwali się z ziemi, biedz znów zaczęli i niedużą przestrzeń przebiegli, znowu na ziemię upadli.

— Jeszcze trochę — zaszeptał Janek — jeszcze trochę odpocząć...

Powieki opadały mu na oczy, przed którymi błąkały się szmaty mgły mętnej, w czerwone kropki. Ale minuta cała nie upłynęła jeszcze, gdy przez tę mgłę ujrzał coś takiego, co mu członki wyprostowało i krew całą do serca rzuciło.

— Widzisz? widzisz? Olek, widzisz?... tam!

— Widzę! widzę! widzę!

I ten siedział już wyprostowany, a oczy płonęły mu jak ogniki błękitne.

Widzieli gromadkę jeźdźców, która wyloniła się skądś od strony grzmotów, z pośród gęstwin i biegła kolumnadą widną,

na luźnych przestrzeniach, po smugach słonecznych, leżących na posadzce płowo lśniącej. Głucho po mechu i igliwiu tętniały kopyta ich koni, jaskrawo migotały w złotej mgie słonecznej, jak krew czerwone ozdoby ich ubrań, wysoko błyskały ostrza ich długiej, nad ubraniami w czerwień głowami sterczącej broni... Niewielu ich było, dziesięciu, dwunastu. Drobnny oddział wojskowy, może z rozkazem kędyś posyłany, może straż stanowisko zmieniająca.

Pod jedną z kolumn zaszemrał szept chłopięcy wezbrany, zdyszany:

— Kozaki!

A po sekundach kilku drugi szept gwałtowny, bezprzytomny.

— Strzelajmy!

— Na jedno kolano przyklękli obaj, czapki z głów im pospadały, wargi trzęsły się, oczy płonęły, w rękach błyszczały pistoletowe lufy...

— Janek! Razem... razem... czy już?...

Tamten tonem komendy wojskowej głośno, uroczyście wymówił:

— Strze—lać!

Jak dwa kamienie w przeźroczystą wodę, w ciszę kolumnady głęboką, czystą, wonną, padły strzały.

Konie kozackie, stanęły zrazu jak wryte, a potem zwróciły się w stronę strzałów.

Nie widzieli i nie byliby zapewne dostrzegli dwóch drobnych postaci, przy ziemi szarzejących w oddaleniu. Teraz na koniach chyżych, kolumny złotawe wymijając, lecieli ku nim...

Zakotłowało się, zahuczało, zastukało u stóp sosny wyniosłej, wyniosłej. Kulą w ramię ugodzony, Olek na iglicową pościel padł. Janek stał śmiertelnie blady, ale wyprostowany i tylko powieki mrugały mu prędko, prędko nad oczyma, jakby oślepieniami krwistą czerwienią ubrań tych jeźdźców, którzy z koni zeskończywszy, otoczyli go kołem huczącym, ciasnym. W huczeniu mowy ich gniew wrzał, ale także i śmiech pobrzmiwał... Śmiech gruby, może nienawistny i może wzgardliwy, jednak nie dający w pełni wezbrać gniewowi. Jakiegoż to nieprzyjaciela tu napotkali! Takież

to zasadzkę na nich uczynił! Rzemienie nahajek parę razy świsnęły w powietrzu i na szczupłe plecy nieprzyjaciela opadłszy ku ziemi zwisły, pistolety utkwily za czerwonymi pasami.

— Cha, cha, cha, cha!

Ale nie wszyscy śmiali się; niektóre z twarzy wąsatych i ciemnych były srogie i groźne. Dowódca zawołał:

— Brać ich! Na koń z nimi! Do *naczalstwa*!

Lecz w tejże chwili z piersi Janka wydarł się krzyk radości taki, z jakim istota ludzka na zgubę swą oko w oko patrząca wita ratunek, zbawienie. Ujrzał przeciskającą się przez mundury kozackie siermięgę chłopską i zaświeciła mu wśród kozackich twarzy blada, bardzo blada, lecz nie wstrząśnięta, tak jak zawsze nieruchoma, niema — twarz Teleżuka. Wężowym skrętem Janek wyslizgnął się z rąk, które już porwać go miały i jednym skokiem znalazłszy się przy chłopie, ręce na szyję mu zarzucił, do piersi jego piersią przylgnął, a on w siwej siermiedze, zdjął z siwiejących włosów czapę baranią i ramieniem pacholę ogarniając, nisko, aż do samej ziemi pokłonił się temu z pośród żołnierzy, w którym domyślił się zwierzchnika.

— Oddajcie mi, panie, te *detyny*! To małe jeszcze... głupie.

O! gdyby to nie był chłop! Za wstawienictwo takie dałby w okup — wiele. Ale z chłopami oględnie, niemal miłośnie postępować przykazano. Od chłopskich pleców nahajce kozackiej — wara!

Więc tylko głos niecierpliwy zapytał:

— Kto ty taki?

On z pokłonem znowu aż do ziemi niskim:

— Ja chłop.

A potem głosem powolnym, mówił jeszcze:

— Ja nie *miatieżnik*, ja chłop. I oni nie *miatieżniki*, oni — dzieci.

— Twoje? — krzyknął dowódca.

Głową przecząco wstrząsnął.

— Nie moje... ale matkę mają...

Rękę do włosów poniósł; coś wypowiedzieć chciał, słowa przychodziły mu z trudnością. Jednak zaczął:

— Ona nie pani... Z biedą żyje, na nich pracuje, *horuje*...

Dowódca cierpliwość tracąc, krzyknął:

— No, to i ją do turmy, na Sybir... czort niech ją weźmie!
A do podwładnych zwrócił się:

— Brać ich!

Sekund kilka i już obaj znaleźli się na siodłach, ramionami żołnierzy, którzy na nie wskoczyli, ogarnięci.

Teleżuk raz jeszcze u strzemienia dowódcy aż do ziemi się pochylił.

— Zlitujcie się... panoczku... — zaczął.

Ale nad podnoszącą się z nad ziemi głową jego zabrział okrzyk.

— Pójdź precz! precz!

Gdyby nie był chłopem! Był nim, więc nietknięty pozostał i widział jeźdźców odbiegających wśród sosen rzadko rozstawionych, na koniach zgrabnych i lekkich, w złotoróżowym pyłe poświaty słonecznej. Przez mgnienie oka zobaczył na rękawie odzieży Olka wielką plamę koloru krwistego, a potem twarz Janka, bladą jak opłatek, oblaną deszczem łez. Z nad ramienia kozackiego zwracała się ku niemu twarz Janka, wołając:

— Teleżuk! powiedz mamie...

Zagłuszył cienki głos chłopięcy tętent odbiegających koni.

Teleżuk stał chwilę z głową w namyśle, czy w żalu kołyszącą się w obie strony, aż ruchem niespodzianie u niego szybkim rzucił się ku stojącemu opodał swemu wozowi.

Siadł na wóz, wstrząsnął lejcami i pełnym kłusem niewielkiego lecz dobrze dogładanego konia puścił się za gromadką jeźdźców. Z postawy naprzód podanej, ze wzroku przed siebie wytężonego, ze sposobu, w jaki, konia do pośpiechu nagłąc, rozmachiwał biczem, odgadnąćby można, że za znikającymi mu już z oczu jeźdźcami ślad w ślad jechać, a w potrzebie choćby śladów ich szukać, choćby daleko, najdalej, doganiać ich zamierza.

.....

Dwa, może nawet trzy dni przeminęło po stoczonych w lasach horeckich bitwie. Pani Teresa siedziała w kuchni na ławie i słuchała opowiadania stojącego przed nią Teleżuka. Tylko co do Leszczynki powrócił. Nastka, z twarzą od płaczu opuchłą, ujrzała

go przez okno przed stajenką podjeżdżającego i do izb przyległych przeraźliwie krzyknawszy: »Pani, panas powrócił!«, z szalonym śmiechem radości na spotkanie jego z domu wypadła. W domu dały się słyszeć głośne stuknięcia drzwi, głośne, pospieszne kroki i do kuchni wbiegła p. Teresa. Jednocześnie w drzwiach przeciwnych ukazał się Teleżuk. Kurzem dalekiej snąc drogi okryty, na twarzy zmizerowany i więcej niż kiedy ponury, z biczem w ręku, stał przed siedzącą na ławie kobietą i głosem powolnym, mową jakby senną opowiadał.

Domyślił się dokąd chłopcy polecili, we wsi parobek jakiś widział ich po północy przechodzących i w którą stronę poszli powiedział, — pogonił za nimi, w drodze nie dogoniwszy do obozu powstańczego jechał, długo odnaleźć go nie mógł, po lesie wielkim błądził, strzelanie usłyszawszy ku miejscu, z którego dochodziło jechał i ot na co trafił! Zabrali chłopców. Prosił: oddajcie! toż to *detyny*! Nie posłuchali i razem z nimi do *naczalstwa* polecili. On za nimi gnał, — dognał, *naczalstwa* prosił: oddajcie, toż *detyny*! jeszcze nie wyrosłe, głupie! Nie posłuchali. Dalej powieźli. On za nimi. Z miasteczka do miasteczka. Gdzie stawali, on także stawał i — prosił: oddajcie! puście! toż to *detyny*! Matkę mają! Tak aż do powiatowego miasta, o dziewięć mil stąd zjechał, ale tu już prosić nie mógł, bo do *naczalstwa* go nie dopuszczono. Tyle tylko, że dowiedział się... Chłopcy w turmie posadzeni... Jak rozbójniki czy koniokrady w turmie siedzą... *Szczob ich...*

Reszty rozpoczętego przekleństwa głośno nie dopowiedział i nie wiadomo było kogo przeklinał: *detyny*, które tyle biedy naczyniły, albo tych, którzy prośb jego tylokrotnych nie »posłuchali«, lecz, gdy przestawszy mówić na okno, za którym w zieloności majowej ptaki ćwierkały, nieruchomo patrzeć zaczął, oczy miał tak samo jak po stracie własnych dzieci, niby u sowy we dnie, krwią zasze i ogłupiałe.

Wszystko, co tylko wiedział, opowiedział, oprócz tego, że Olek, gdy go na siodło brano, miał na rękawie odzieży wielką plamę krwistego koloru, oczy zamknięte i twarz tak bladą, jak była u jego nieboszczyka Wasyłka, gdy go do sosnowej trumienki

składano. Tego jednego tylko nie powiedział. Matki pożałował. Pani Teresa słuchała powolnej mowy jego w nieruchomości kamiennej, żadnem słowem, żadnym ruchem jej nie przerywając.

Co przez te ostatnie dni i noce przeniosła, trochę opowiadały o tem policzki jej przychudłe i obwisłe, powieki nabrzmiące i zaczerwienione, czoło głęboko zorane, ale wszystkiego opowiedzieć nie mogły.

O! te dni i te noce, kiedy Janek i Olek zniknęli i Teleżuk kędyś przepadł, kiedy o bitwie i o Julku nie było wieści żadnej, kiedy godzinami całemi biegała dokąd tylko mogła w poszukiwaniu synów znikniętych, kiedy po wiadomość o synu zagrożonym, sama siebie powożąc, jeździła do Orszaka i w domu go nie znalazłszy, bez wiadomości powróciła...

Teraz, słuchając opowiadania Teleżuka, końcami palców, ruchem prędkim, ciągłym, skubała, poszarpywała fałd swojej szorstkiej, szarej spodnicy. Wzrok miała na opowiadającego podniesiony i usta nieco rozwarła.

Teleżuk po chwilowem milczeniu rzekł jeszcze.

— Jedźcie, pani, do miasta. Was może do *naczalstwa* dopuszczają... Was może *posłuchają*... Wam może oddadzą...

Trzęsącemi się wargami wyszeptała:

— Także historia!

I nagle ruchem żywym podniosła się z ławy.

— Tak, tak! Jechać trzeba. Robaki moje ratować... Zaraz, zaraz... Żeby tylko czegokolwiek o Julku się dowiedzieć... Ale to nie! Tam dowiem się pewnie, mój Teleżuku! Parę koni do bryczki... Zaraz... Tylko rzeczy trochę upakuję, ich i swoje... Im zawieźć trzeba... w jednych koszulach tam...

Spieszny, szerokim krokiem szła przez kuchnię i nagle uczuła, że znowu tak, jak po odjeździe Julka, coś ją chce o ziemię cisnąć... Ta sama moc wewnętrzna, która z przeszytych bólem piersi ludzkich wywołuje krzyki, łkania, wyrzekania głośne, nią dziwnie jakoś zakręcała na nogach i na ziemię usiłowała cisnąć. Nie krzyczała, nie łkała, nie wyrzekała, ale ach! z ramionami rozkrzyżowanymi na ziemię paść i czołem o nią bić! Lecz nie uczyni tego, nie! Także głupstwo! Jeszcze przecie nic takiego...

Do izdebki swojej biegła z głową pełną myśli: skąd pieniędzy na drogę wziąć? gdy wzrok jej spotkał się ze stojącą u okna postacią Inki. Jak posąg boleści, pełen wdzięku, stała u okna z załamaniami na suknię rękoma, ale z różowemi usty wyдутemi gniewnie i szafirowemi oczyma połyskującemi ostro... ostro. Gniew ją na młodszych braci porywał. Jeszcze i oni! Jeszcze i tego trzeba było, aby do reszty piekło z życia uczynić! Wzdrygnęła się cała, podniesiony głos matki usłyszawszy.

— Inka! Co tak stoisz, jak malowana! Słyszałaś przecie, co się stało! Jechać muszę. Zaraz... Do wsi pobiegnę, do arendarza, pieniędzy na drogę dostać... a ty rzeczy moje i chłopców złóż!

Dziewczynnie twarz rozblęśla jakąś nagłą nadzieją czy radością.

— Mamy i chłopców rzeczy? Przecież i moje także! Przecież ja z mamą pojadę...

— Ty? a po co? Żeby koszt utrzymania się w mieście powiększyć? Przy kim, pod czyją opieką małeńkie zostaną?

— Teleżukowa opiekować się niemi będzie.

Twarz pani Teresy przedtem nieco przybladła, ogniście się zaczerwieniła. Już i w tych paru dniach śmiertelnej dla niej męki, wszystkie złości chwilami ją brały na tę królowną w wieczystych lokach na głowie, z wiecznie opuszczonemi na suknię rękoma, taką obojętną na wszystko, co się działo, taką bezczynną, taką, w samym nawet sposobie pocieszania czy uspokajania jej, niezręczną i nienaturalną.

Przyszła była, na przykład, raz do izdebki matki i jak długa przed nią na ziemię upadła. Pani Teresa zlekła się.

— Co ty robisz, Inka! Co tobie?

A ona twarzyczkę śliczną z nad ziemi podnosząc, szeptać poczęła:

— Ja u nóg mamy leżeć będę... Dopóki Janek i Olek do domu nie wrócą. Czyż ja mamie zastąpić ich nie mogę? Czyż ja nie mogę być dla mamy wszystkim... wszystkim... Głowę na kolanach mamy położyć...

— Także romanse! — zawołała pani Teresa — potrzebne mi twoje leżenie u nóg i mam ja teraz czas głowę twoją na kolanach

trzymać. Wstań i puść mnie, bo do pana Orszaka zaraz jadę o Julku czegokolwiek dowiedzieć się... A ty lepiej zamiast na ziemi leżeć i bzdurstwa pleść, idź maleńkich w ogrodzie poszukaj i nagłdnij, aby sobie czego złego nie zrobiły...

Tak działo się wczoraj, czy przedwczoraj, a teraz pani Teresa cała w ogniu, z gestami rozgniewanemi do córki mówiła, że w domu zostać musi, Teleżukowej, w gospodarstwie i doglądaniu maleńkich pomagać, ją w wielu rzeczach, które inaczej zaniedbaniu ulegną, wyręczać. Ale nie długo mówiła, bo i na alabastrową twarz Inki wybiły się rumieńce gorączkowe, a głos, ze słodkiego i przyciszonego stał się ostrym i donośnym, gdy mówić a raczej wołać zaczęła, że nie zostanie tu za nic, za nic, że za bryczką matki jak pies pobiegnie, ale w tej dziurze, w tej nudzie, sama jedna z tymi chłopami nie zostanie...

— Ja nie wiem czego mama odemnie chce! Ja nie wiem za co mnie mama nie lubi! Ja kucharką, ani niańką być nie mogę! Ja nie do tego stworzona! Mnie i tak życie to już obrzydło! Jeżeli mię mama z sobą nie weźmie, to chyba zwaryjuję, albo umrę...

Załamywała ręce, z miejsca na miejsce przebiegała, dziwne spojrzenia z roziskrzonych oczu na matkę wyrzucając. Mieszały się w tych spojrzeniach gniew, żal i coś nakształt niechęci, może do stopnia nienawiści czy wstrętu posuniętej. Po raz pierwszy w sercu Inki uczucia te względem matki ozwały się tak wyraźnie. Zawsze, w najtajniejszej głębi myśli swoich uważała ją za kobietę trywialną, grubym pospolitościom życia oddaną, wzniosłym marzeniom niedostępną. Ale teraz, z tem swoim przywiązaniem do tych bębnow, które tyle złego uczynili, a obojętnością dla niej, z temi swemi rękoma grubemi, z tym swoim grubym głosem, z tą twarzą, jakby w pocie cierpienia skąpaną, budziła w niej uczucie bardzo do wstrętu, do fizycznego wprost wstrętu podobne. Jednak, rzecz dziwna! Pomysłem jakimś nagle w głowie powstałym uderzona, opanowała się, łamać ręce i gniewnie po pokoju rzucać się przestała, do matki przypadła i obejmując ją, miękkimi, okrągłemi, kociemi ruchami owijać się dokoła niej zaczęła. I w oczy jej znowu słodkimi, marzącemi oczyma zaglądała i głosem znowu

słodkim, przyciszonym prosiła. Już tylko prosiła; smutnie, łagodnie, pokornie prosiła.

— Także umizgi! — oburkliwie zaczęła pani Teresa, ale znać było, że już miękła.

Gdy tamtych niema, niechże ta z nią będzie... Przytem czasy takie niespokojne. Bóg tylko wie, jacy ludzie włóczyć się po wsiach mogą i młodzieuchne to stworzenie bez opieki tu zostawiać... czy bezpiecznie? A główna rzecz to, że jej samej, w tem nieszczęściu z chłopcami lżej będzie, choć jedno to dziecko swoje przy sobie...

— No, dobrze już, dobrze! Co robić? Pewno, że maleńkich i gospodarstwa nikt lepiej od Teleżukowej... No, to już jedź ze mną... rzeczy składaj! ja tymczasem do arendarza polecę...

Ale nie poleciała, bo od strony dziedzińca rozległ się turkot kół i zanim Inka z bawialnej izby wybiedz zdołała, wszedł do niej Władysław Orszak.

Poważny, z twarzą szlachetną i zmęczoną, o ruchach i słowach powolnych, a duszy ognistej i czynnej, organizator i naczelnik poczty obywatelskiej wszedł do izby o żółtych starych sprzętach i belkowanym niskim suficie, błąd, ze wzrokiem zmąconym. Zatrzymał się u progu, twarz pochylił, może w ukłonie powitalnym, może w zmięszaniu.

Pani Teresa rzuciła się ku gościowi.

— Byłam wczoraj u pana... w domu nie zastałam... żona pana... pani Karolina, nie nie wiedziała... Cóż bitwa? Julek?

Obu rękami rękę jego trzymała, krzyczącemi z głodu oczyma w twarz mu patrząc. On głosem przytłumionym mówić zaczął:

— Bitwa pomyślna... ale Julek...

— Co? — krzyknęła pani Teresa.

— Z obowiązku przyjechałem oznajmić... raniony...

— Jezus Marya!

Teraz on obie ręce jej w dłonie swe ujął i mocno je ścisnął.

— Raniony ciężko...

Pani Teresa szeroko otwartymi oczyma patrzyła mu w twarz, która pod jej wejrzeniem, w otoczeniu ciemnego zarostu, bladła, bladła. I oczy męskie, znużone, powlekły się szkliwiem.

Po izbie rozległ się przeraźliwy, kobiecy krzyk:

— Zabity!

Zaprzeczenia nie było.

Wyrwała ręce z rąk Orszaka i przez izbę szła, niewiedzieć w jakim celu ku drzwiom izdebki swojej, z oczyma suchemi, z ustami rozwartemi szła, aż w pobliżu drzwi tych na ziemię upadła. Teraz to już nie oparła się mocy wewnętrznej i nawet o opieraniu się jej nie pomyślała. Runęła jak długa, z ramionami rozkrzyżowanemi, z palcami tak wpitemi w deskę grubej podłogi, jakby je w niej pograżać, jakby ją niemi rozdzierać usiłowała. Głowa jej czołem o podłogę uderzyła i potem nieruchomą pozostała, a tylko z piersi dobywać się począł dźwięk bez słów, nieustanny, dziwny, do tego podobny, jaki wydaje czasem nad rozłogami białych śniegów wyjący wiatr zimowy...

Orszak do Inki mówił:

— Odjeżdżam. Muszę. Za godzinę najdalej przyjedzie tu żona moja, którą matka pani poważy i kocha, a tędy do miasta przejeżdżać będzie, bo... brat jej uwięziony...

Obfitemi łzami oblaną była teraz twarz Inki, gdy dokoła matki na ziemi leżącej biegała, prosząc modląc się prawie, aby wstała, usiadła, rozpaczać przestała. Sama w tej chwili uczuła ból i przerażenie. Serce jej uszka trochę pokazało. Julek zabity! Julek nie żyje! Julka nigdy już nie zobaczy! Na chwilę zniknęła sobie z oczu i serca. Deszczem łez płacząc, co czynić nie wiedząc, biegała wciąż dokoła rozciągniętej na ziemi matki, schylając się nad nią, dotykała jej, prosząc...

Ale pani Teresa poruszenia najłżejszego nie czyniła. Jak kłoda ściętego drzewa leżała wciąż z czołem wpartem w podłogę, z palcami w nią wpitemi i tylko to wycie przytłumione, monotonne, nieustanne...

Aż w drzwiach izby, żonę głośno zawodzącą na stronę usuwając, ukazał się Teleżuk. Do żony rzekł:

— Małeńkie wyszukaj... przyprowadź...

Nad panią Teresą stanął i mową jak zwykle powolną, tylko głosem nieco podniesionym mówić zaczął:

— Pani! A toż Janka i Olka ratować trzeba... A toż Olek to nawet i kulą utrafiony...

Nad ziemią, ochrypły, zdławiony głos krzyknął:

— Jezus Marya!

I ciężkie ciało kobiece, w szarej, szorstkiej sukni, z rozplecionymi na plecach wspaniałymi włosy, nad ziemię dźwigać się poczęło. Z nieszczęścia i przerażenia jednego, podnosiło je inne nieszczęście i przerażenie. Teleżuk ujął je w dwie wielkie dłonie i stanąć na nogach mu dopomógł.

— Olek raniony?

— A toż.

— Ciężko?

— Pewno nie, bo ot tu!

Na ramieniu swem ukazał miejsce, gdzie odzież chłopca miała czerwoną plamę.

— Wyzdrowieje... Bóg da... Ale to *detyna*... kiedy boli, to matki woła... i Janek bardzo płakał...

— Robaki! Skarby moje! Teleżuk, konie zakładaj! Inka, składaj rzeczy!

W tem dwie drobne istotki, przez Teleżukową do izby wepchnięte, dwa *gienkie*, żałośnie czegoś głosiki.

— Mamciu! Matuchno! Mamusiu!

Wszystkimi czterema łapkami uczepiły się szyi matki i do twarzy jej drobne głowy przytulając, z jednej strony ciemnymi, z drugiej jasnymi jak len włosami, ocierały potoki lejących się po niej łez.

(C. d. n.)

Eliza Orzeszkowa.

PIEŚN II ILIADY.

- Bogi a ludzie z wozów prowadzący wojny
Przez noc tę całą spali, ale sen spokojny
Nie brał Zeusa, ten bowiem w duchu się kłopotą,
Jak Achillesa wsławić, a zbawić żywota
5 Moc luda, co u statków Achajskich zasiada.
Wzdy mu w duchu najlepszą wydała się rada, 5
Że do Agamemnona Atrejdę wyprawi
Sen złowrogi; doń rzekąc, lotne słowa prawi:
— »Wstań, bież do naw Achajskich prędkich, ~~nie~~ złowrogi,
10 A gdy wnijdiesz w namiotu Atrejczyca progi
Agamemnona — ściśle zleć mu wolę moję; 10
Niech kędziornym Achajom oblec każe zbroję
A duchem. Ninie grodu Trojan on dostanie
O przestronych ulicach; albowiem niebianie,
15 Którzy swe na Olympie trzymają sadyby,
Już się o to nie różnią. Wszystkich bez ochyby
Na swą stronę prośbami przeciągnęła Hera
I już nad Trojanami zagłada się zbiera«. 15
Tak rzekł. Słyszac tę mowę ruszył Sen skwapliwy;
20 Przybiegł, gdzie mieli chyże okręty Achiwy,
Więc do Agamemnona Atrejczyca bieży.
Nalazł go pod namiotem, iż uspiony leży,
A niebieskie na niego zesuło się spanie.
Onemu tedy w głowach Sen złowrogi stanie,

- 25 Nelejewica na się kształt Nestora kładzie, 20
Którego Agamemnon z wszej starszyny w radzie
Ważył sobie najwięcej — i w takiej osnowie,
Zjawiwszy się onemu, sen złowrogi powie:
— »Ty śpisz, synu poskromcy koni, Atreusza
30 Sprawnego? Noc tak całą przespać nie przysłusza 25
Mężowi zaradnemu, któremu się zdały
Ludy pod moc — i który rząd wziął na się cały.
Baczenie zbierz: od Zeusa jam-ci poseł boski,
Co z dala pełen o cię starania i troski;
35 Kędzierzawym Achajom rozkaż, niech się w zbroje
Przyobleką a duchem, bo już w ręce twoje
Teraz się oto miasto Trojańskie dostanie
O szerokich ulicach, albowiem niebianie,
Którzy swe na Olympie trzymają sadyby 30
40 Już się o to nie różnią. Wszystkich bez ochyby
Na swą stronę prośbami przeciągnęła Hera
I już nad Trojanami zagłada się zbiera
Z woli Zeusa. To sobie wraź — i w zapomnienie
Nie wpadnij, gdy się od cię słodki sen odżenie».
45 To powiedziawszy odszedł; zostawił aliści 35
Onego z tem na myślach, co się wzdy nie ziści:
Mówił sobie, że miasto Priamowe zdola
Dobyć w tym dniu. Szaleniec! nie przeczuwał zgoła,
Jakie dzieła Zeus właśnie obmyślał w tej dobie
50 I brał przed się, pogrążyć w klęskach i żalobie 40
Trojany i Danaje przez bojów zapędy. —
Zbudził się, głos niebiański brzmiał mu wkoło wszędy,
Siadł prosto i odżenie oblókł miękkie na się,
Piękne, z nowa utkane, płaszcz obszerny zasie
55 Narzucił i postoly przypiął strojne wielce
Do stóp gładkich; miecz, który nabite miał jelce
Srebrzystymi guzami, przewdzał przez ramiona; 45
Ujął łaskę ojcową, co trwa niezniszczona
I z nią, k' nawom Achajów pancernych niósł kroki. —
60 Boska jutrznia na Olymp wchodziła wysoki

- Kędy świty promienne Zeusowi rozżarzy
 I wszem nieśmiertelnikom. Ow zaś obwieściarzy
 Wezwał wonczas, o głosie donośnym dalece,
 By zwołali kędziornych Achajów na wiece;
 65 Ci wołali, więc rażno schodziły się ludy.
 Sam z poważną starszyzną w radzie zasiadł wprzód
 U Nestorowej, króla Pylijskiego, nawy.
 Zebrawszy ich, tak mądrze zagajał rozprawy: 55
 — »Słyszcie bracia, w noc świętą, gdym spał, przyszedł do mnie
 70 Sen boski, do Nestora podobień ogromnie
 I obliczem i wzrostem i postawą zgola,
 A stanawszy mi w głowach, tak na mię zawoła:
 — Ty śpisz — poskromcy koni synu, Atreusza 60
 Sprawnego? Noc tak całą przespać nie przysłusza
 75 Mężowi zaradnemu, któremu się zdały
 Ludy pod moc, i który rząd wziął na się cały.
 Baczenie zbierz — od Zeusa jam-ci poseł boski,
 Co z dała pełen o cię starania i troski;
 Kędzierzawym Achajom rozkaż, niech się w zbroje 65
 80 Przyobleką a duchem, bo już w ręce twoje
 Ninie się oto miasto Trojańskie dostanie
 O szerokich ulicach, albowiem niebianie,
 Którzy swe na Olympie trzymają sadyby,
 Już się o to nie wadzą: wszystkich bez ochyby
 85 Prośbami na swą stronę przeciagnęła Hera
 I już nad Trojanami zagłada się zbiera
 Z woli Zeusa. To sobie w pamięć wraź dokładnie«. 70
 Rzekłszy znika w odlocie — a mnie wnet odpadnie
 Słodkie spanie. Nuż tedy, może w zbroję da się
 90 Oblec Achajskie syny, mową wpierw ich zasie
 Doświadczę, jak należy, wywód czyniąc gładki,
 Że stąd uchodzić trzeba, siadając na statki
 Z mnóstwem wioślarskich siedzeń — a wy zasię potem
 Ludy — jako kto zdoła — zadzierzcie z powrotem«. 75
 95 Tak rzekł i usiadł; zaczęł podnosił się z ławy
 Nestor, władca piaszczystej Pylijskiej dzierżawy,

- Ten, podumawszy rzeczy i tak się ozowie:
 — »O najmils! Argiwów rajcy i wodzowie,
 Kto inszy niech z Achajów taki sen obwieści,
 100 Fałsz mu zadam i złudne odrzucę powieści.
 Lecz oto mąż go widział, który się powiada
 Najcelniejszym z Achiwów... Nuż panowie rada,
 Zali syny Achajskie w zbroje oblec da się?«
 Rzekł i pierwszy jał z koła ruszać w onym czasie.
 105 Zaczem wstawali tamci. Ludów pasterzowi
 Posłuszni byli wszyscy królowie berłowi;
 Tedy się też i mnogo luda wysypało.
 Jak pszczoł brzęczące roje z szczeliny pod skałą
 Wciąż wynikają nowe i zbiwszy się w grono
 110 Polatują nad kwieciem wiosennem: ten w ona,
 Ow zasie w tamtą stronę niesię rój swe loty —
 Tak tłumy stamtąd, kędy nawy i namioty.
 Gromadami na nizki dążą skraj wybrzeża,
 Na wiec. A między nimi w lot się wieść rozszerza,
 115 Zeusowa wysłannica, która ich do chodu
 Przynaglała. I siła zbiegło się narodu;
 Rumot był w kole, ziemia tętniała hałasem,
 95 Gdy lud siadał — i zgiełk był. Dziewięci tymczasem
 Gromkich pomiędzy nimi obwieściarzy wstawa
 120 Uśmierzając gromady, by ucichła wrzawa
 I słuch by dali królom z boskiego przejrzenia.
 Wreszcie lud się sadowił i zajął siedzenia,
 A gwar zeichł. Agamemnon mocarz powstał oto
 100 Dzierżąc berło, co było Hefajsta robotą;
 125 Hefajst je dał władnemu Zeusowi Kronidzie,
 Odeń do rąk Przewójcy Świetlistego idzie,
 Hermes je Pelopsowi dał, poskromcy koni,
 A Pelops Atrejowi złożył je do dłoni,
 Pasterzowi narodów — Atrej zdał je zasie
 105 Thyestowi, co mnogie trzody owiec pasie,
 Aż nakoniec puścizną po Thyesta zgonie
 Ostało się to berło przy Agamemnonie,

- By je nosił, a mnogie pod swoim rozkazem
I wyspy miał i całą Argolidę razem.
- 135 Na niem wsparty, Argiowom w tej prawil osnowie:
— »O, czciciele Aresa, mili Danajowie, 110
Zeus Kronida niedolą ciężką mnie udręczył,
Okrutny! On co słowem wprzód mi zaręczył
I skinieniem przyświadczył, jako, że rozburzę
140 Przed odpłynieniem Ilion o potężnym murze —
Ninie chce fałszu zażyć: z hańbą mnie odsyła
Do Argos, gdy już ludu postradałem siła; 115
To słusznem się Zeusowi wyniosłemu zdało,
Który o ziem już grodów obalił niemało
145 I poobala jeszcze, bo moc ma straszliwą!
Srom to, a dla pokoleń będzie przyszłych dziwo,
Że na wiatr takie mnogie Achajskie plemiona 120
Bojowały, walczyły — i że wojna ona
Z garścią wrogów, a końca jak niema, tak niema.
150 Gdybyśmy chcieli między stronami obiema
— Achaje i Trojanie — pod przysięgą świętą
Zdać liczbę: gdyby Trojan wszystkich społem wzięto
Ilu jest — i gdybyśmy się po stronie naszej 125
Rozdzielili w dziesiątki, a jako podczaszy
155 Na każdą jeden z Trojan przypadł — to niemało
Dziesiątek bez podczaszów ponoby ostało;
O tyła — jako mniemam — liczniejsi jesteście,
Wy, Achaje, od Trojan mieszkających w mieście. 130
Lecz przymierzeńcy, na schwał do kopijej chłopcy,
160 Są z wielu miast: ci srodze mieszają mi tropy,
Takie wstręty mi czyniąc, iż — chocia mam wolę —
Zburzyć Ilionu, grodu ludnego, nie zdolę.
Zeusowych lat dziewiątek już nam ubiegł cały,
Paczą się naw bierwiona i liny zbutwiały, 135
165 A tam żony gdzieś nasze z drobnemi dziecięty
Siedzą czekając na nas, gdy my sprawy wszczętej
Nie kończym, gwoli której tutejśmy biegli.
Nuże, co powiem — wszyscy słuchajcie ulegli:

- W okrętach do ojczyzny ujdźmy ulubionej 140
- 170 Bo szeroko-ulicznej nie weźmiem Iliony!«...
Tak powiedział — i w łonie serca im zapali,
Wszystkim w tłumie, co w radzie udziału nie brali.
Zawrzały tedy rzesze, jako morskie tonie
Odmętów Ikaryjskich, skoro po nich wionie
- 175 Ze wschodu lub z południa huragan wichury, 145
Co się zrywa, Zeusowe rozdzierając chmury,
Lub jako wicher zachodni na szerokie łany
Gdy wpadnie i gnie kłosa, dując rozpętany —
Tak wzburzyła się cizba... I bieżeli z wrzawą
- 180 Ku statkom, a w powietrze z pod nóg im kurniawą 150
Wzbijał się pył. Więc jedni drugim przytuszali,
Naw się jąć i po słonej puścić się w nich fali,
Porzuciwszy okopy. K'niebu grzmiały gwary
Do dom powracających; zaczęli i ligary
- 185 Wyrwali z pod korabiów. Tedy krom ochyby
— Chocia wbrew przeznaczeniu — precz odjechałiby 155
Achaje; alieć Hera Athenę zagadnie:
— »O biada, córo Zeusa, co Ajgidą władnie,
Niezlomna ty — wszak do dom, do rodzonej ziemi
- 190 Umykają Argiwy pławami morskimi,
A Priamowi zasię i Trojanom — cenę 160
Zwycięstwa ostawują, Argejkę Helenę,
Gwoli której Achajów siła do mogiły
Zstąpiło w Troi, z dala od ojczyzny milej.
- 195 Wzdy między lud Achajów bież, co u goleni
Spiż noszą — niech twa mowa łagodna odmieni
Serca mężów, by dwubocz wiosłowne okręty
Spychać na morza słone przestali odmęty!« 165
Tak mówiła. — Athena zasie nie leniwa,
- 200 Bogini złotobrewa, do lotu się zrywa
Z wierchów Olympu. Zaczem przybieżawszy snadnie
Do chyżych naw Achajskich, Odysa dopadnie;
Stał tam ów mąż, Zeusowi rówien w mądrej radzie,
Lecz korabia czarnego o tegim pokładzie 170

- 205 Nie tknął, bo gniew mu duszę i serce zalewa.
 I z blizka doń Athene rzekła złotobrewa:
 — »Laertiado, z krwi Zeusa, przemyślny Odysie,
 Tak-li oto do domów powracacie mi się?
 Uchodzący do miłej, do rodzonej ziemi,
 210 Wsiadacie na korabie z wiosłami mnogiem, 175
 A Priamowi zasie i Trojanom — cenę
 Zwycięstwa ostawiacie, Argiejkę Helenę,
 Gwoli której Achajów siła do mogiły
 Zstało w Troi, z dala od ojczyzny miłej?!
- 215 Niech między lud Achajski twój krok się nie leni
 I niechaj mowa twoja łagodna odmieni
 Serca mężów, by dwubocz wiosłowne okręty 180
 Spychać na morza słone przestali odmetry!«
 Rzekła; po głosie poznał mówiącą boginię,
 220 Co duchu bieży tedy, a płaszcz z siebie kinie;
 Eurybates płaszcz podjął, Itakejczyk rodem,
 Woźny, który szedł za nim. Postąpiwszy chodem
 Ku Agamemnonowi, z ręki wziął Atrydzie 185
 Ojców odwieczne berło — i do naw z niem idzie
 225 W spiż pancernych Achajów. A gdy mu się zdarzy
 Potkać króla, czy kogo z przedniejszych bojarzy,
 Stanąwszy łagodnemi słowy go wstrzymywa:
 — »Zbożny mężu, azali tobie rzecz godziwa,
 Jak tchórzowi lichemu — rozsiewać postrachy? 190
 Sam raczej stań i gminu powstrzymaj watahy,
 230 Bo nic nie wiesz o istym Atrejdy zamiarze:
 Ninie Achajów kusi, a wnet ich pokarze.
 Co w radzie rzekł, nie wszyscy słyszeli na uszy;
 Niech się w złości na syny Achajskie rozjuszy! 195
 235 Zeusów umiłowaniec, król — ma dużo siły,
 Z Zeusa cześć jego płynie, Zeusowi on miły!«
 Gdy wrzeszczącego człeka z gminu mu się zdarzy
 Ujrzeć — berłem go wali, a słowem nań swarzy:
 — »Niezbożniku, stój w miejscu, a dierz się posłuchu 200
 240 Dla tych, co nad cię lepsi! Tchórz, niewieściuchu,

- W boju ci, ani w radzie wagi nie dostaje!
 Nie wszyscy się tu będziem rządzili, Achaje
 Nie dobrze tam, gdzie gawieź rządzi sama sobie,
 Jeden niech włada, król sam, w którego osobie 205
- 245 Szafarstwo prawa złożył i berło mu nadał
 Syn chytrego Kronosa, by inszymi władał.
 Tak on tam, rozkazując, biegał wśród rzesz — władny;
 Oni zaś od namiotów i naw na plac radny
 Ruszali z takim gwarem, jako na wybrzeża
- 250 Kiedy nurt pławnej morza topieli uderza
 Z wielkim hukiem i morze kłębi się z hałasem. 210
 Już insi szeregami usiedli tymczasem,
 Thersites jeno — szczekacz bez miary — sam skrzeczy
 Bo w sercu słów bez liku miał, a nie do rzeczy.
- 255 Na złość i wbrew ładowi, królom ku przekorze
 Breszył, gdy mu się zdało, że coś podać może
 W pośmiech Argiwom. Z wszystkich najbrzydszy pod Troją, 215
 Zezem pozierał, chramał na nogę oboją,
 Piersi miał zapadnięte, garbate łopatki
- 260 Głowę wzwyż nasklepioną, a mech na niej rzadki;
 Achilla i Odysa wrogiem był nielada, 220
 Zawždy przeciw nim wrzeszczał. Lecz teraz ujada,
 Łącz w pień Agamemnona. W duchu nań Achaje
 Rozjątrzeni, sierzdzili się srodze, że łaje
- 265 Agamemnona, rycząc mową jadowitą:
 — »Atrejdo, przecz narzekasz? Jeszcze ci nie syto? 225
 Pełne spiżu namioty, najwybrańsze w świecie
 Białe głowy bez liku masz w swoim namiecie,
 Któreśmy ci — pierwszemu — dawali Achiwy
- 270 Miast jakowych dobywszy. Jeszcześ widno chciwy
 Złota z Ilionu, które-ć wysuje na kupie
 Ten czy ów z Trojan konnych — za syna w okupie, 230
 Któregom ja, lub inny z Achajów, brał w łyka!
 A może młoda tobie do smaku podwika,
- 275 Byś z nią spółność w miłości miał — i dla swej chuci
 Chodował ją? Toć nielza, iż hetman rzuci

- W biedę Achajskie syny! Miękczechy bez sromu,
Achajki nie Achaje! W korabiach do domu 235
Odpłynmy, a samego niechajmy tu w Troi,
280 Niech się naje zdobyczy! Ujrzy, czyli stoi
Za co, czy za nic, pomoc naszego oręża.
Toć on Achilla, nad się przedniejszego męża,
Zelżył i zdobycz jego trzyma — samowładny,
Mocą mu ją porwawszy. Żółci chyba żadnej 240
285 Niema w sobie zaiste Achilles niezdara,
Bo twym gwałtom, Atrejdo, dziś byłaby miara!«

(Dok. nast.).

Lucyan Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny psychologii.

Dr. Anna Wyczółkowska: »Szkice psychologiczne«. — Taż: »O iluzjach optycznych«.

Do zwolenników kierunku empiryo-krytycznego należy u nas oprócz prof. d-ra Heinricha także dr. Anna Wyczółkowska. Wprawdzie w ostatnich latach nie wpadła mi w ręce żadna praca tej autorki (podobno przebywa ona obecnie stale w Ameryce), niezbyt dawno jednakże ogłosiła zbiór szkiców psychologicznych tudzież jedną pracę eksperymentalną w Sprawozdaniach Akademii nauk w Krakowie.

Szkice¹, obejmują sześć rozpraw przeważnie drukowanych już przedtem w różnych pismach, a tu w jedną złączonych całość. Są to prace o charakterze popularnym. Nie byłoby to z żadną dla nich ujmą, popularyzowanie bowiem nabytków wiedzy przedstawia wartość wielką. Niestety są te »Szkice« nie tylko popularne, ale z niektórymi tylko wyjątkami są one także nader pobieżnie opracowane. I tak na przykład trudno o coś bardziej niedokładnego i powierzchownego, jak zaraz pierwszy szkic przez autorkę historycznym nazwany p. t.: »O rozwoju psychologii i jej metod«. Przyznaję, że niełatwą to jest rzeczą na stronicach 30 dać dokładny obraz rozwoju psychologii. Ale jedno jest przecież nawet i w takich ramach możliwe, a mianowicie: można dać

¹ Dr. Anna Wyczółkowska: »Szkice psychologiczne«. Kraków 1899. Str. 159.

obraz głównych faz rozwoju zgodny z rzeczywistością, tudzież można przedstawić fakty w oświeceniu prawdziwym, a nie w fałszywym. Tymczasem tego właśnie brakuje szkicowi autorki, przyczem należy jeszcze dodać, że pominięte są rzeczy, co do których wprost pojąć trudno, jak można było nie zwrócić na nie uwagi.

Dr. Wyczółkowska wyróżnia w rozwoju psychologii cztery główne epoki: 1) epokę etyczno-metafizyczną, której najwyższy rozkwit ma przypadać na starożytnych Greków; 2) epokę racjonalizmu, wyrosłą na podstawie sceptycznej Kartezjusza; 3) epokę krytyczną, reprezentowaną przez Kanta i 4) epokę empiryczną. Cały ten podział jest z gruntu chybiony i fałszywy. Przyzna to każdy, kto zna choćby tylko pobieżnie historię psychologii. U Greków np. nie wyczerpywały wcale etyczno-metafizyczne rozmyślenia na temat duszy ich dorobku w psychologii. Autorka sama musiała z tej epoki wyłączyć okres przedsokratesowy, następnie nie zwróciła tu wcale uwagi ani na Demokryta ani Arystotelesa, którzy obaj rozpatrywali zagadnienia psychologiczne w związku z fizyologią i pozostawili nam wyniki nad wyraz cenne, rzec można epokowe. Co do Platona zaś, to po bogatej niwie jego obserwacji i analiz psychologicznych przesunęła się autorka w sposób wprost nieprzyzwoicie powierzchowny. Widocznie żadnego dialogu platońskiego nigdy nawet w rękę nie miała, nie znając więc źródeł, a przytem, patrząc na myśl grecką nie z perspektywy porównawczej i dziejowej, ale przez okulary pewnych jednostronnych, a niby naukowych kierunków współczesnych, u których nie wiadomo co więcej podziwiać, czy ich naiwną ignorancję, czy ich powierzchowne krótkowidztwo, napisała sobie takie zdanie: »Wyniki te psychologii greckiej z punktu widzenia naukowego (!!) wartości są bardzo wątpliwej; widzi się w nich dzisiaj mistyczne elukubracye, które pozorami wiedzy zastępować musiały istotną naukę«.

Zaistę, zdumiewać się należy, iż na samym końcu wieku XIX znalazł się jeszcze autor, który mógł coś podobnego nie tylko napisać, ale wydrukować. Stało się to na schyłku owego wieku, w ciągu którego wykształcono metodę porównawczą, badania zaś naukowe nauczyły się na zagadnienia patrzeć w oświeceniu historycznym i ewolucyjnym.

O psychologii Augustyna, o jego niezrównanej metodzie analityczno-badawczej w zastosowaniu do objawów psychicznych, o tem wszystkim u autorki naszej niema ani nawet wzmianki. Prawdopodobnie nie słyszała nawet o istnieniu jakiegos tam Augustyna, boć przecież »istotna nauka« (oczywiście w stylu d-ra Wyczółkowskiej)

ubliżyłaby sobie, gdyby zwróciła uwagę na fakt, że już przed półtora-tysiącem lat żył geniusz, który w zakresie psychologii i teorii poznania, poczynił spostrzeżenia i rozwijał pomysły uważane przez tę dzisiejszą »istotną naukę« za jej specyficzny wynalazek. Oczywiście także cała psychologia wieków średnich, zarówno arabska jak chrześcijańska, zbyta jest pogardliwem machnięciem ręki, autorce bowiem spieszo jest rzucić się w objęcia Kartezjusza tego pierwszego, jak go nazywa, mechanisty.

Pisząc krytykę szkicu historycznego, poświęconego rozwojowi psychologii, nie jest moją rzeczą pouczać jego autora, iż niema nic łatwiejszego na świecie, jak szkicu takiego nie pisać wcale, skoro się go jednak pisze, to o pomysłach i teoriach psychologicznych filozofów arabskich (szczególnie Averroesa), tudzież filozofów takich, jak Albert Wielki, Tomasz z Akwinu, Roger Bacon i jeszcze paru innych, milczeć nie wolno; gdy się zaś to wszystko przemilcza, to składa się dowód, że można nawet być biegłym w psychologicznem eksperymentowaniu, ale, że się pomimo tego o historycznym rozwoju psychologii »istotnie« naukowego niema pojęcia.

Niemniej błędną jest charakterystyka owej niby drugiej epoki w rozwoju psychologii, mającej rozpoczynać się od Kartezjusza. Przedewszystkiem należy pamiętać, że myśliciel ten wprowadził pierwiastki sceptyczne do teorii poznania, ale nie do psychologii; co się zaś tyczy poglądu mechanicznego, to wprowadził go Kartezjusz do przyrodoznawstwa a nie do psychologii, wyróżniał przecież dwie zasadniczo różne substancje, t. j. materję i ducha. Materję rządzi mechanizm, natomiast w duchowości inny objawia się porządek. Ale co tu dużo rozprawiać: wszak autorka nasza widocznie wcale Kartezjusza nie czytała, lecz zapoznała się z nim za pośrednictwem jakichś alembików, przez które przeszła myśl Kartezjusza tak przefiltrowana, że ją rozpoznać nawet trudno. Przecież gdyby autorka była rzuciła okiem choćby tylko na tytuł pierwszego sławnego dzieła Kartezjusza, to nie byłaby w druku przepuściła przekreślenia tego tytułu na *Discours sur la Methode*. Już to z historją filozofii autorka nasza widocznie nie jest w porządku. Świadczy o tem choćby następujące zdanie na str. 9: »To też gdy wśród Niemców, którzy mieli psychologów tej miary, jak Spinoza i t. d.

Szczęśliwe Niemcy! przybył im znowu z łaski d-ra Wyczółkowskiej nowy wielki myśliciel! Ale żart na bok! Choć nie należę ja wcale do ludzi przywiązujących do znajomości szczegółów zbyt wielkiej

wagi, to jednak niechaj mi wolno będzie powiedzieć, że są nawet w szczegółach ignorancje, które kompromitują, do takich należy niewątpliwie przerobienie Spinozy na Niemca i przypisywanie mu autorstwa osobnego dzieła *de origine et natura affectum (!)*, którego Spinoza nigdy nie napisał.

Jak można w rozwoju psychologii wyróżniać osobną epokę Kantowską, to dla mnie nie jest dosyć jasne. Kant bowiem psychologiem wcale nie był, autorka zaś sama przyznaje na str. 12, że »wpływ Kanta na psychologię miał zatem przeważnie znaczenie negatywne: wskazywał, czem ona być nie może«. Ale co mnie w niemałe wprowadziło zdziwienie, to pominięcie przez naszą autorkę całej nowoczesnej psychologii angielskiej od Hobbesa i Locka, aż do Huma. Co do Locka, to przynajmniej nazwisko jego jest mimochodem na str. 10 wymienione, wszyscy inni nawet nie wspomniani, jak gdyby nie istnieli wcale.

Charakterystykę psychologii angielskiej zawiera następujące zdanie: »Na takich wzorach urobiona psychologia angielska trzymała się też z małymi wyjątkami najdalej od negatywnego kierunku psychologii greckiej (dlaczego kierunek psychologii greckiej był »negatywny« i co tu wogóle znaczy określnik »negatywny« o tem z poprzedniego nic nie wiemy), jak i od wybujałości psychologii rozumowej, (na czem polegała ta wybujałość o tem również nie dowiedzieliśmy się nic) chętnie podejmując każdą myśl zdrową na doświadczeniu i ścisłości opartą« (str. 11). Ten ostatni ogólnik jest tak nic nie mówiący, że aż wstyd. Zaiste wygląda on wprost, albo na lekceważenie sobie polskiego czytelnika, albo na zupełny brak wszelkich studyów nad psychologią angielską, autorka ratuje się więc z kłopotu komunalem w nadziei, że polska ignorancja na tem się nie pozna.

Docieramy nareszcie do epoki czwartej, najnowszej, na której autorce zależy najwięcej. Wyróżnia więc w psychologii najnowszej, dwa kierunki: pierwszy mechaniczno-matematyczny, drugi eksperymentalny. Głównymi przedstawicielami kierunku mechaniczno-matematycznego mają być Herbart i Ryszard Avenarius. Co do psychologii Herbarta, to charakterystyka jej byłaby dobrą, gdyby autorka była lepiej uwydatniła związek tej psychologii z herbartowską metafizyką. Stanowisko bowiem Herbarta zasługuje z tego względu na uwagę, iż jest on ostatnim, który próbował na metafizyce oprzeć psychologię, wywiódł ją przecież całą z jednego głównego założenia metafizycznego.

Najznakomitszym przedstawicielem kierunku mechaniczno-mate-

matycznego nazywa dr. Wyczółkowska Ryszarda Avenariususa. Można było przypuszczać, że o nim powie nam autorka coś jasnego i konkretnego, jest przecież Avenarius jej mistrzem. Niestety jednak został Avenarius zbyty frazesem, przypominającym zdanie Goethego: *Wo Gedanken fehlen da stellt zur rechten Zeit ein Wort sich ein*. Na str. 17 czytamy: »Hipoteza Avenariususa w wysokim pomyślana stylu, oparta na podstawach biologicznych, cennych dostarcza pozorów sfotografowania mechanizmu poznawczego. Sprawdzianu jednak dla niej, jak i dla hipotezy Herbarta nauka dostarczyć nie zdoła«. Oto wszystko, co ma służyć do charakterystyki teorii Avenariususa; o treści tej teorii niema ani słówka. Nie chcę być wobec autorki nieuprzejmym, to jednak muszę jej powiedzieć, że jeżeli gdzie, to właśnie w pracach, mających na celu popularyzowanie nauki; wypisywanie takich zdań nie uchodzi, wygląda to bowiem na spekulowanie na nieuctwo i powierzchowność czytelnika, a co najważniejsze, jest »istotnej nauki« niegodne. Ta »hipoteza w wysokim stylu pomyślana« i te »cenne pozory sfotografowania mechanizmu poznawczego«, zasługują zaiste na przygwożdżenie!

Załatwiwszy się z kierunkiem mechaniczno-matematycznym przechodzimy wreszcie do kierunku ostatniego, najnowszego, t. j. do psychologii eksperymentalnej, którą autorka nasza utożsamia całkiem błędnie z psychofizyką i z psychologią fizyologiczną (str. 17). Wynika z tego wielki zamęt, czytelnik zaś nie obznajomiony z współczesnym stanem psychologii zostaje po prostu wprowadzony w błąd. Wiadomo przecież, że zakres eksperymentów psychologicznych, a więc i zakres psychologii, nazywanej eksperymentalną, obejmuje nie tylko tak zwaną psychofizykę i nie tylko tak nazywaną psychologię fizyologiczną. Z drugiej zaś znowu strony należy zwrócić uwagę, że psychofizyka i psychologia fizyologiczna, to także nie to samo. Wszędzie więc, jak widzimy, znać bałamutne wymieszanie pojęć i niejasność, są to zaś niewątpliwie największe wady wszelkiego popularyzowania wyników nauki.

Ale teraz przychodzą dopiero rzeczy najciekawsze! Posłuchaj łaskawy czytelniku:

Psychologia eksperymentalna czyli fizyologiczna (bo to u naszej autorki jedno i to samo) polega, jej zdaniem, na zespoleniu się dwu umiejętności (t. j. psychologii i fizyologii) »mających tenże sam przedmiot, z odmiennego tylko punktu zapatrywania się nań badany« (str. 17). Zawiazki takiego zespolenia mają sięgać dalekich bardzo

czasów. »Odnaleźć je można — pisze dr. Wyczółkowska — u każdego niemal psychologa lub filozofa starożytności. Zarówno lokalizowaniem władz psychicznych w poszczególnych częściach systemu nerwowego, jak i analizowaniem organów zmysłowych, zajmują się już Demokryt, jak Arystoteles i Plato«. Otóż czytelnik uważny, niezapominający w jednej chwili o tem, czego na poprzedniej dowiedział się stronicy, przeczytawszy powyższy ustęp zacznie niewątpliwie przecierać oczy i powie sobie: Czyż to być może? Ja chyba marzę na jawie. Wszak parę stronic przedtem czytałem, że »wyniki psychologii greckiej z punktu widzenia naukowego wartości są bardzo wątpliwej, widzi się w nich dziś mistyczne elukubracje, które pozorami wiedzy zastępować miały istotną naukę«, — a tu naraz dowiaduję się, że owi twórcy jakichś mistycznych elukubracji mieli położyć podwaliny pod dzisiejszą psychologię fizyologiczną. Jakżeż to teraz jedno z drugim pogodzić? Zaiste, jeżeli psychologowie i filozofowie greccy zajmowali się analizowaniem organów zmysłowych, jeżeli wiedzieli coś o lokalizowaniu władz psychicznych w poszczególnych częściach systemu nerwowego, no to przecież z tego wynika, że kierunek psychologii greckiej, choćby nawet znajdowały się tam jakieś w oczach autorki mistyczne elukubracje, nie powinienby uchodzić za negatywny, tymczasem tak go ona nazwała na str. 10.

Wiadomo z Pisma św., że Pan Bóg gotów był dla pięciu sprawiedliwych przebaczyć całej Sodomie i Gomorze. Dr. Wyczółkowska nie naśladowała tego wzniosłego przykładu wyrozumiałości, lecz ogniem i siarką swojej krytyki zalała na str. 5 całą psychologię grecką, a na str. 10 napiętnowała ją nadto jeszcze w dodatku jako »negatywną«. Nie pomogło nic nieszczęsnym psychologom i filozofom greckim, że »zajmowali się analizowaniem organów zmysłowych«, że badali lokalizację władz psychicznych w poszczególnych częściach systemu nerwowego«, pomimo tego »widzi się w nich dziś tylko elukubracje mistyczne«, a więc zalać ich siarką bez pardonu.

Nie trudno przychodzi domysleć się, na czem to polegają w oczach naszej autorki owe »elukubracje mistyczne filozofów greckich. Oto prawie nie było między nimi takiego, któryby nie był uznawał istnienia duszy, jako właściwego czynnika i podłoża objawów duchowych. Nawet Epikurejczycy przyjmowali osobne dla duchowości atomy. Otóż dla dzisiejszej »istotnej nauki« filozofowie greccy, to mętne i ciasne pałki, zajmowali się oni wprawdzie także analizowaniem organów zmysłowych, a nawet i innemi jeszcze sprawami, uzna-

wanemi przez ową istotną naukę, siedzieli jednak pomimo tego do takiego stopnia po uszy w przesadach, iż nie byli w stanie zrozumieć, aby coś tak oczywistego, jak samowiedza i jak wogóle wszelki świadomy stan psychiczny mogło pojawić się pozbawione jakiegoś rzeczywistego podłoża. Dla ich niemądrych mózgów obowiązywała jeszcze mistyczno-przesądna zasada, że coś nie może powstać z niczego. Potrzeba było dopiero mądrości nowoczesnych materyalistów, aby wykonać wielkie *hokus pokus* i skonstruować duchowość i myśl z niczego. Ot tak sobie! tańczą atomy, zrzeszają się komórki i naraz zjawia się wśród tego całego towarzystwa nie wiedzieć jak i skąd jakiś błędny ognek, pada cień jakiś przez nikogo i przez nic nie rzucony t. j. zjawia się złuda świadomości. Życie duchowe, osobiste, jednostkowe, przechodzące wprawdzie różne zmiany, ale przecież zawsze odczuwające swoją własną tożsamość, to ma być chwilowem tylko złudzeniem. Świadomość wie o sobie, że istnieje, że jest zawsze tą samą świadomością, ma się więc za coś realnego, tymczasem w dobie nowożytnej występują naraz wielcy filozofowie i niemniej wielkie filozofki i w imię »istotnej nauki« przemawiają do świadomej własnego bytu duszy ludzkiej mniej więcej w następujący sposób: »Głupiaś ty! tobie się tylko zdaje, że ty jesteś, ciebie niema wcale, kto zaś coś podobnego twierdzi, a czynili to właśnie filozofowie greccy — ten wygłasza mistyczne elukubracje«. Niestety — biada nasza autorka (str. 5) — »traktaty o duszy ludzkiej nie przestają po dziś dzień udręczać mózgów ludzkich«. Winę zaś tego ma ponosić »wytrwałe dotąd kształcenie umysłów na filozofii greckiej«. Już to sądząc ze sposobu rozprawiania o zagadnieniach filozoficznych u naszej autorki musimy jej przyznać, że ona mózgu swojego widocznie filozofią grecką nie udręczała; jej nadmetoda i nadlogika istotnie zdołały się uchronić od wpływu mistycznych greckich elukubracji. *A tout seigneur, tout honneur.*

Po tem krótkiem zboczeniu, które — mam nadzieję — czytelnik mi wybaczy, wracam teraz do rzeczy. Dr. Wyczółkowska opowiada nam na str. od 17—30 o rozwoju współczesnej psychologii eksperymentalnej *recte* psycho-fizyki *recte* psychologii fizjologicznej, gdyż to wszystko uchodzi u niej za to samo. Oczywiście takie pomieszanie rzeczy różnorodnych samej autorce później wystarczyć nie mogło, to też ani się spostrzegła, jak stosunek między psycho-fizyką a psychologią doświadczalną przedstawiła zupełnie odmiennie. Na str. 26 i 27 tak pisze: »Obserwowanie fenomenologii zmysłowej, poznanie i opracowywanie prawa weberowskiego i stosowanie psychometrii do od-

miennych fenomenów psychicznych, zogniskowały pierwotnie wszystkie niemal usiłowania psycho-fizyki, tak wiele obiecywano sobie z nich objaśnień. Młodszy dopiero adepci szkoły eksperymentalnej, znużeni nieustannym skupieniem sił około jednego ogniska przerzucać się zaczęli na inne pola doświadczeń bezpośrednich. I tak Galton, Catell i Scripture poddają doświadczeniom kojarzenia się myślowe, Rieger i Friedrich czynią to samo w zastosowaniu do woli, Schumann i Müller w zastosowaniu do pamięci, Münsterberg nakoniec, Ebbinghaus i Störing mieli odwagę zabrać się do eksperymentowania uczuć (!) (autorka prawdopodobnie miała zamiar napisać: »do eksperymentowania z uczuciami«). Wobec tego zaś można powiedzieć, iż psychologia doświadczalna ogarnia obecnie ogół zjawisk psychicznych. A więc psychologia doświadczalna ogarnia ogół zjawisk psychicznych; psychofizyka zaś tego nie czyni, ta ostatnia jest tylko częścią tamtej, zajmuje się bowiem tylko pewnymi specjalnymi zagadnieniami, wobec tego utożsamianie psycho-fizyki z psychologią doświadczalną nie uchodzi. W rozbiór dalszych szczegółów w przedstawieniu najnowszego ruchu w zakresie psychologii wdawać się tutaj nie będę, powiem tylko, że jest ono bardzo pobieżne, czemu zresztą wobec krótkości szkicu nawet się nie dziwię; na zakończenie zaś zwrócę jeszcze tylko uwagę na sposób, w jaki autorka omawia sprawę tak zwanej obserwacji wewnętrznej.

Dr. Wyczółkowska na str. 27 godzi się z tymi wszystkimi uczonymi, którzy obserwację wewnętrzną (t. j. obserwację własnych stanów psychicznych zapomocą uwagi i pamięci) uważają za przeciwną naturze ludzkiej, nauka zatem posługiwać się nią nie może. Obserwację zaś na innych uważa również razem z Kantem za niewystarczającą; »obserwujący bowiem nie może nigdy być pewnym, czy materiał tą drogą nabyty opiera się na zaobserwowaniu faktów prawdziwych czy nie«. Wnosićby więc z tego można, że autorka obie powyższe metody uznaje za niemożliwe w psychologii. Tymczasem nie! Stwierdza ona (str. 29), że obie powyższe metody znalazły uwzględnienie. Czemżeż bowiem jest eksperyment w psychologii? »Jest on — przytaczam własne słowa autorki — sztucznem jeno wywoływaniem świadomości, którą to świadomość trzeba co do jej intensywności albo nastroju ocenić i osądzić. Tego zaś bez pomocy osoby obserwującej się i obserwowanej równocześnie uczynić nie można w żaden sposób. Osobnik, na którym się eksperymentuje winien wglądać sam w siebie, i objaśniać co czuje, jak czuje, wśród jakiego nastroju wobec każdo-

razowo działającej nań podniety; osoba zaś podejmująca doświadczenia, zeznania te dopełnia i kontroluje jak najściślej obserwacją, czuwając w ten sposób nad dokładnym i akuratnym przebiegiem każdego poszczególnego doświadczenia«. Jeżeli tak sprawa się ma, to zapytuję czemżeż jej wobec tego eksperyment psychologiczny? Oto niczem innem jeno skombinowaną obserwacją wewnętrzną na sobie i obserwacją na innych. Sprzeczność między wstętem naszej autorki do obserwacji wewnętrznej, a faktycznym rozwojem psychologii eksperymentalnej; sprzeczność ta nie mogła oczywiście ująć jej uwagi. Ratuje się więc z trudnego położenia w sposób — że tak powiem — naiwny. Oto co pisze (str. 29): »Zastosowanie to jednak starych metod ograniczonym jest do minimum«. Otóż, łaskawa autorko, tak nie jest! Twoje ostatnie zdanie stoi w jaskrawej sprzeczności z tem, coś sama poprzednio napisała. Zastosowanie starych metod nie tylko nie jest »ograniczone do minimum«, ale przeciwnie cała psychologia eksperymentalna opiera się wyłącznie na tem zastosowaniu. Samoobserwacja czyli obserwacja wewnętrzna nie jest jakąś osobną metodą obok metody eksperymentalnej, ale metoda eksperymentalna nie jest — mówiąc po prostu — czem innem, jeno zorganizowaną samoobserwacją. Kto sobie z tego sprawy nie zdaje, ten niech lepiej da pokój wszelkim na polu psychologii badaniom. Że obserwacja siebie samego jest możliwą, to o tem świadczą niezbite fakty z życia każdego człowieka, jest ona zaś możliwą na tych samych podstawach, na których możliwą jest obserwacja zewnętrzna, t. j. za pomocą pamięci i uwagi. Prawda, że przy obserwacji siebie samego czyli wewnętrznej zachodzi ta wielka trudność, iż tu stroną, na którą się kieruje uwagę, jest strona podmiotowa, jest stan sam, nie zaś jego przedmiotowa treść. Trudność ta jednak nie jest taką, aby ją psychologia eksperymentalna przezwyciężyć nie mogła, właśnie na to są przyrządy i na to jest druga obserwująca osoba, aby zatrzymywać, znaczyć i utrzymywać w tych znakach to, co jest bardzo przelotne i nieuchwytnie i co się wobec ciasnoty naszej świadomości długo w doświadczeniu wewnętrznym zatrzymać nie da. Zasadnicza zaś różnica między eksperymentem fizycznym a psychologicznym polega na tem, że przy fizycznym wystarcza jedna osoba, a do psychologicznego wymagane są dwie osoby. Przy eksperymentcie fizycznym potrzebną jest uwaga, pamięć i świadomość jednej osoby operującej pewnym jakimś materyałem zmysłowym, jako przedmiotem badania. Przy eksperymentcie zaś psychologicznym potrzebną jest uwaga, pa-

mięć i świadomość dwu osób. Świadomość jednej z nich dostarcza dla drugiej świadomości tego materiału, którego w fizyce dostarcza samo zmysłowe zjawisko, w psychologii bowiem chodzi o zbadanie samego stanu, nie zaś o jego treść, która wyraża przebiegi dziejące się w otoczeniu. Otóż bez porównania łatwiej jest pochwycić przebieg stanu podmiotowego, jeżeli współdziałają dwie osoby, posługujące się jeszcze nadto pomocą przyrządów, aniżeli gdyby to czyniła jedna tylko osoba. W fizyce badacz jest tylko obserwatorem, w psychologii musiałby być także i obserwowanym. Stąd trudność. Usuniemy ją skoro role rozdzielimy między dwie osoby, z których jedna będzie dostarczała w swoich wypowiedzeniach lub reakcyach materiału do badania przebiegu stanów podmiotowych, druga zaś będzie ten materiał kontrolowała, utrzymywała, porządkowała i naukowo opracowywała. Podstawą jednak całego badania będzie zawsze tylko obserwacja wewnętrzna.

A teraz jedna jeszcze uwaga. Dr. Wyczółkowska zapytuje, kończąc swój »szkic historyczny«, czy psychologia nie jest po prostu rozszerzeniem fizjologii? Zbývá zaś to pytanie odpowiedzią świadczącą najlepiej, iż autorka z istotnego charakteru psychologii wcale sobie sprawy nie zdaje. Pytanie powyższe, jej zdaniem, nie posiada naukowego znaczenia. »Psychologia bowiem — pisze na str. 30 — jest nauką zbyt obszerną i skomplikowaną, aby jej podołać mogła jedna jakakolwiekbaż gałąź wiedzy: na nią składać się muszą przez wieki całe, wszystkie wogóle nauki«. Otóż taka odpowiedź to, po prostu mówiąc, mydlenie oczów sobie i drugim. Autorka nie dostrzegła wcale tego, że między psychologią a fizjologią zachodzi bardzo zasadnicza i bardzo głęboko sięgająca różnica. Aby ją zrozumieć nie potrzeba wdawać się w metafizykę i »udręczać mózgow traktatami o duszy ludzkiej«, wystarczy stwierdzić, że przeciwieństwo podmiotu i przedmiotu czyli stanu podmiotowego i jego treści przedmiotowej, odnoszonej do otoczenia, jest nam dane bezpośrednio i narzuca się z psychologiczną koniecznością bez względu na to, czem ten przedmiot lub czem to jego otoczenie jest w sobie. Otóż wszystko, co jest treścią naszych stanów, odnoszącą się do otoczenia, jest przedmiotem badań przyrodniczych, wszystko zaś, co dotyczy stanu samego jako przebiegu podmiotowego należy do psychologii. Organizm nasz stanowi także część naszego otoczenia, jest treścią naszą o charakterze przedmiotowym odnoszoną do otoczenia, badanie więc objawów fizjologicznych wchodzi w zakres nauk przyrodniczych. W fizjologii idzie o to, aby zapomocą treści przedmiotowych danych badaczowi w jego doświad-

zeniach zmysłowych (przyczem zmysł występuje nieraz uzbrojony w jakiś przyrząd) — a zatrzymywanych w jego uwadze i pamięci często — także zapomocą przyrządów, wytworzyć w myśli naukowy obraz o zmianach i przebiegach dokonywujących się w organizmie żyjącym. Natomiast w psychologii idzie o to, aby kierując uwagę i pamięć na sam stan doznawany, jako na coś zjawiającego się w świadomości tylko dla tego właśnie jednego doznającego podmiotu, wytworzyć w myśli naukowy obraz o tych czysto podmiotowych zmianach i przebiegach, których nigdy nie dojrzy najświetniej nawet uzbrojony zmysł innego podmiotu. Być może, że kiedyś mikroskop powiększający tysiące razy, okaże nam jak na dłoni zmiany dokonywujące się w komórkach, a nawet w drobinach, ale przecież nigdy nie zdoła on odsłonić zmysłowi innego człowieka tego, co podmiotowo doznaje czyjaś świadomość. Kto wie, może to jest możliwe zapomocą jakichś intuicji czy telepatji, ale nigdy nie stanie się przystępnem dla zmysłu. Można wprawdzie obserwując zmysłem pewne części organizmu, np. twarz, wywnioskować ze zmian na niej zachodzących, co się w czyjejś duszy dzieje, jest to jednak tylko droga pośrednia, wystarczająca może nieraz w życiu praktycznem dla tak zwanych »znawców dusz ludzkich«, w naukowych jednakże badaniach nie posiada ona prawie żadnej wartości. Podmiotowość czyli stany psychiczne mogą tylko pod następującymi warunkami stać się przedmiotem badań prawdziwie naukowych. Potrzeba do tego, aby sama obserwowana świadomość wcieliła to, czego ona podmiotowo doznaje, posługując się uwagą i pamięcią w swoją własną treść myślową, następnie, aby zapomocą wypowiedzeń tudzież odpowiednich reakcji na przyrządy wcieliła te swoje zauważane i zapamiętane podmiotowe doznania w treść myślową innego człowieka. Otóż to wszystko jest bez obserwacji wewnętrznej całkiem niemożliwe. Wynika więc z tego, że cała psychologia stoi lub upada razem z obserwacją wewnętrzną, wobec czego rozprawianie o ograniczeniu tego sposobu »do minimum«, dowodzi braku zrozumienia istotnego charakteru psychologii. Niedokładności, błędy, złudzenia obserwacji wewnętrznej można starać się ograniczyć do *minimum*, ale nigdy samą obserwację wewnętrzną. Z tego wszystkiego, co powiedziałem, wynika, że nie powinno się mieszać psychologii z fizyologią. Natura zjawiska badanego, stanowiska i punkty wyjścia w badaniach, tudzież cele i zadania badawcze rozstrzygają o charakterze nauki, to wszystko zaś innem jest w psychologii, a innem w fizyologii. Zadaniem psychologii jest badanie stanów podmiotowych, zadaniem zaś fi-

zyologii badanie przebiegów i zmian w funkcjach organów. Kto więc miesza jedną naukę z drugą, dowodzi, że nie umie w myślach swoich chwycić jasno i wyraźnie różnic, i że nie oryentuje się krytycznie. Wprawdzie może posługiwać się psychologia fizyologią, jako środkiem do celu, tak samo jak na odwrót może fizyologia posługiwać się psychologią jako narzędziem do swoich znowu celów. Można więc mówić o fizjologicznej psychologii tak samo, jak i o psychologicznej fizjologii. Cóż to bowiem znaczy »fizjologiczna psychologia«? Obejmuje ona badania, które posługują się metodami i wynikami fizjologii do celów psychologii, tak samo jak na odwrót psychologiczna fizjologia byłaby zużytkowaniem metod psychologii tudzież wyników badań nad stanami podmiotowymi do rozpoznania funkcji jakichś organów np. nerwów.

Zatrzymałem się nieco dłużej, może nawet za długo przy »szkicu historycznym« d-ra Wyczółkowskiej, uczyniłem to zaś nie dlatego, aby ów szkic wartością swoją na to zasługiwał, ale jedynie z tego powodu iż na nim można było doskonale wykazać różne bałamuctwa i niejasności panujące obecnie w poglądach na rozwój i na obecny stan nauki psychologii, przechodzącej w naszych oczach różne przeobrażenia i wstrząśnienia. Tym to właśnie wstrząśnieniom poświęcony jest drugi szkic naszej autorki p. t. »Najnowsze kierunki i obecna kryzys w psychologii«. Rozpoczyna się ten szkic znowu od wielkiego bałamuctwa, dowodzącego, jak autorka źle się w przeszłości psychologii oryentuje. Czytamy oto na str. 31 co następuje: »Psychologia bowiem racjonalna albo metafizyczna, posługując się jako głównym środkiem badań samoobserwacją, a jako jej sprawdzianem rozumowaniem« i t. d. Otóż takie przedstawienie rzeczy polega na całkiem błędnem odwróceniu faktów, jak się to mówi, do góry nogami i przedstawia psychologię tak zwaną metafizyczną w świetle zupełnie fałszywym. Psychologia bowiem t. zw. metafizyczna nie posługuje się samoobserwacją, ale przeciwnie posługuje się dedukcyjnym rozumowaniem z pojęcia duszy; wszystko ona z pojęcia duszy, jako pewnej jakiejś substancji dedukcyjnie wysnuwa, a tylko dla ilustracji i w celu sprawdzania swoich dedukcji posługuje się przygodnie samoobserwacją, który to sposób właśnie na odwrót w psychologii empirycznej już od czasów Augustyna główną odgrywał rolę. Tak więc gdzie tknąć, wszędzie przebiega się u autorki brak należytej krytyczno-dziejowej oryentacji. Wynika z tego, że także przyczyny obecnej kryzys w psychologii nie są u niej dosyć głęboko ujęte i p ochwycone.

Przyczyn tych szukać należy: 1) w niezrozumieniu istoty eksperymentu psychologicznego; 2) w błędnem pojęciu natury zjawiska psychicznego i skutkiem tego w fałszywym zrozumieniu stosunku psychologii do nauk przyrodniczych z jednej, do filozofii i metafizyki z drugiej strony. Tymczasem dr. W. tych głębszych właśnie przyczyn nie widzi, lecz całą kryzys psychologiczną sprowadza do poglądów na szersze lub ciśniejsze uprawnienie eksperymentu w psychologii tudzież do znaczenia przywiązywanego do tak zwanego psycho-fizycznego parallelizmu. Jedno i drugie posiada niewątpliwie wielkie dla psychologii znaczenie, wszystkie jednak około tych pytań obracające się spory i wątpliwości są natury drugorzędnej i dadzą się one rozstrzygnąć tylko wówczas, jeżeli zrozumiemy należycie czym jest eksperyment psychologiczny, czym zjawisko psychiczne i czym psychologia jako osobna nauka. W szczegółach przedstawia się charakterystyka różnych szkół psychologii współczesnej, przedewszystkiem zaś szkoły Wundta, Avenariusza, Ribota i Charcota dosyć korzystnie, a jakkolwiek przedmiotu ani w cząstce nie wyczerpuje, to jednak zupełny laik może się z tego przedstawienia cośkolwiek dowiedzieć. Pomimo jednak wspomnianego rozwoju psychologii współczesnej autorkę zadziwia i zastanawia fakt, że obecnie grunt pod nogami tej do niedawna najmodniejszej z nauk, jakoś chwiać się zaczyna. »Jakieś wątpliwości i niepokoje« — pisze dr. W. str. 49 — »coś, niby nieufność do zadań i celów psychologii ogarniać poczyną te same znów jednostki, które przed niedawnym czasem z taką jeszcze pewnością i entuzjazmem głosiły hegemonię psychologii nad filozofią. Zniknęło natomiast owo lekceważenie i poniewieranie tą ostatnią«. A dalej autorka wspomina, że »tu i owdzie dają się słyszeć głosy o jakiejś kryzys w psychologii«, że »po wszystkich stowarzyszeniach psychologicznych szerzy się zwątpienie« — »wychodzą natomiast temata filozoficzne dawno zapomniane«, — »w laboratoriach psychologicznych znać pewne obniżenie wytwórczości eksperymentalnej, gdy tymczasem na niwie filozoficznej ufność i zamiłowanie zaczynają się dźwigać i krzepić«. Otóż to wszystko autorkę naszą zastanawia i niepokoi. Niektóre też przyczyny tej kryzys dostrzega trafnie: »Entuzyaści sądzili, iż psychologia w hierarchii nauk spełniać będzie, jak niegdyś filozofia najwyższe zadania, że rozwiązywać będzie nie tylko najtrudniejsze zagadnienia psychologiczne i teoretyczno-poznawcze ale i ogólnie filozoficzne, tymczasem okazało się, że ona »ani filozofii zastąpić ani jej wyrugować z obszaru wiedzy ludzkiej nie zdołała, bo nie zdoła nigdy«.

A więc autorka słusznie stwierdza, że psychologia rościła sobie za daleko idące pretensye, rozbudziła nadzieje i apetyty, których zadowolilić nie może teraz, więc musi zeskromnić.

Drugim punktem spornym ma być pytanie, czy »wyjaśnienia anatomiczno-fizyologiczne względnie i biologiczne, odnośnie do fenomenów psychicznych są wystarczającami i czy wogóle parallelizm psycho-fizyczny może służyć za główną podstawę do badań psychologii, czy też przeciwnie ma on wartość jeno pomocniczą i że należy go uzupełnić na innej czysto psychologicznej drodze«. Na to sporne zagadnienie autorka nasza zapatruje się aż do pewnego punktu trafnie: »Wykazywanie łączności« — pisze (str. 54) — »pomiędzy zjawiskami psychicznymi a fizyologicznymi, jest istotnie podstawą nowoczesnej psychologii, ale podstawa ta ma znaczenie raczej metodologiczne i praktyczne niżli filozoficzne. A więc parallelizm to dla psychologii wskazówka — metoda jeno i poza tem nic więcej«. Wszystko to bardzo słuszne i rozumnie powiedziane. Ale zaraz dalej wpada autorka w błąd i dowodzi, że właściwego charakteru psychologii nie pojmuje należycie, gdy pisze, że »psychologia jako nauka nie potrzebuje się wcale nad tem zastanawiać, czy parallelizm ów jest zupełny, albo ograniczony, czy łączność ta świadomości z ruchami systemu nerwowego da się w nieskończoność wykazywać i poznawać, albo nie«. Otóż tych wszystkich pytań psychologia lekceważyć sobie nie może, lecz przeciwnie, jeżeli pragnie być nauką w pełnem tego słowa znaczeniu to musi zrozumieć, że, choćby łączność świadomości z ruchami systemu nerwowego dała się wykazywać w nieskończoność to i tak psychologiczne badania będą zawsze i muszą być czem innym aniżeli fizyologiczne.

Psychologię bowiem zajmuje stan podmiotowy przystępny tylko dla świadomości, fizyologię zaś zajmują przebiegi przedmiotowe. Stan podmiotowy, — choćby jego łączność z funkcją nerwów dała się wykazać, aż do najdrobniejszych szczegółów — pozostanie przecież zawsze czemś całkiem różnem i zasadniczo od funkcji nerwów (jako przebiegu przedmiotowego) odmiennem. Można więc badać i wykazywać wzajemną łączność i zależność stanu podmiotowego i zmian w nerwach się dokonywujących, ale zawsze należy pamiętać, że czem innym jest stan podmiotowy, a czem innym zmiana w nerwach. To dwa szeregi faktów dla nas pod względem poznawczym zasadniczo różnych. Pierwszy szereg jest czemś wyłącznie podmiotowem danem tylko dla tego jednego, tem właśnie, a nie innym życiem świadomem żyjącego.

podmiotu, drugi zaś wyraża w treściach o charakterze przedmiotowym to, co się już w otoczeniu podmiotu dzieje. A więc nie wolno mieszać jednego z drugim! Tu w metafizykę wcale wdawać się nie potrzeba, owszem należy jej nawet ściśle unikać, a to ze względów głównie metodologicznych. Chodzi bowiem o to, aby zabierając się do badań psychologicznych nie zaprzętać sobie głowy abstrakcyjnymi formułkami, lecz, aby zwracać uwagę tylko na fakta. Ale właśnie uznanie zupełnej odmienności zjawiska psychicznego, stwierdzenie, że ono do przebiegu fizyologicznego, ani w części nawet sprowadzić się nie da, to nie metafizyka, to tylko jasne, krytyczne ocenienie niezbitego faktu. Właśnie niektóre kierunki, które uznają paralelizm psycho-fizyczny, usiłując całkowicie rozłożyć stan psychiczny w przebiegu fizyologicznym, wpadają w metafizyczny dogmatyzm. Niektórym zwolennikom tego paralelizmu wjechała do tego stopnia do głowy zasada zachowania energii, że oszołomieni całkowicie tą abstrakcyjną formułą naukową, tracą z oczu właściwy charakter zjawiska psychicznego. To też psychologia pozbyłaby się od razu wszelkich kryzysów, gdyby tylko zrozumiała, czem jest. Niestety wielu z najgorliwszych jej zwolenników tego jeszcze nie rozumieją i kręcą się jakby w błędnym kole, zawieszeni między fizyologią, a metafizyką. Zaczną sprowadzać stan psychiczny do przebiegu fizyologicznego, przekonują się wkrótce, że to w zupełności dokonać się nie da, a więc oddalają się od fizjologii, zaczną badać zjawisko psychiczne niezależnie opanowywuje ich zaraz strach przed metafizyką tudzież obawa, aby nie sprzeniewierzyć się zasadzie zachowania energii i tak płaczą się między dwiema ostatecznościami podobni do dusz pokutujących. Oto przyczyna wszystkich w psychologii kryzysów. Że tak się sprawa ma istotnie, to przykładem na to najlepszym jest trzeci szkic d-ra W. p. t.: »O lokalizowaniu procesów psychicznych w mózgu«. Opowiada nam w nim autorka w sposób wcale zajmujący jak się rozwijały poglądy na organ świadomości czyli duszy. Dotyka także najnowszych teorii lokalizacyjnych. Jest to przedstawienie całę obecnie już nieco przestarzałe, badania bowiem w tym kierunku w ostatnich latach posunęły się znacznie naprzód, laik może jednak odnieść z niego pewną korzyść. Nawet ostateczne konkluzje byłyby godne uznania, gdyby nie koniec dowodzący ponownie, że autorka w gruncie rzeczy nie zdaje sobie z tego sprawy, o co właściwie chodzi w psychologii. Autorka potwierdza, że teorie lokalizacji nie odpowiadały na żadne postawione im pytanie natury teoretycznej (str. 89), przyznaje, że im głębiej sięga

wiedza tem rezultaty są minimalniejsze, skutkiem czego zakradł się do psychologii sceptycyzm. Pomimo tego nie odrzuca badań nad lokalizacją. Ale dlaczego? Myślałby może ktoś, że zależy jej na coraz dokładniejszym wykazywaniu i wykrywaniu związku i łączności między stanami psychicznymi, a pewnemi częściami mózgu, jako ich organami? Bynajmniej! Ona spodziewa się, że przyszłe pokolenia pouczać będą o tworzeniu się świadomości nie filozofia i nie metafizyka, nawet nie anatomia i nie fizyologia, ale fizyka i chemia. Oto w tem jednym zdaniu można, jak w zwierciadle czarodziejskiem dojrzeć zawiązek wszystkich najfatalniejszych nieporozumień w psychologii. Dopóki psychologowie będą wierzyli, że zagadkę świadomości rozwiąże im fizyologia, albo fizyka lub chemia, dotąd psychologia nie stanie porządnie na nogach. Znowu niech nam wolno będzie na tem miejscu powołać się na opowiadanie sławnego Münchausena, który z błota za własną wyciągał się czuprynę. Czyż bowiem złudzenie jakoby fizyka i chemia miały rozwiązać zagadkę świadomości nie wygląda na münchauzyadę. Fizyka i chemia są wytworami świadomości usiłującej wyrazić w pewnych obrazach myśli to, co się dzieje w jej otoczeniu. I te oto wytwory świadomości, których przedmiotem otoczenie, mają nam wyjaśnić zagadkę świadomości, która sama dla siebie wcale do otoczenia nie należy, lecz obrazy o swoim otoczeniu posiada. Córci mają urodzić swoją matkę! Czyż to nie są aspiracye w stylu Münchausena.

Szkice czwarty i piąty poświęcone są specjalnym zagadnieniom psychologicznym.

Szkic czwarty zawiera krytykę teorii Wundta o złudzeniach geometryczno-optycznych. Krytyka wogóle jest słuszna, wyniki jej zaś streszczają się w następujących słowach: »Wundt ma słuszość poszukując przyczyny fizyologicznej, jako pierwotnej dla każdego złudzenia geometryczno-optycznego, niema jednak słuszości redukując przyczynę tę do ruchów mięśni, oka, jak niema słuszości sądząc, iż podciągnięcie złudzeń perspektywicznych pod wielkościowe i kierunkowe równa się ostatecznemu ich wytłumaczeniu« (str. 117 i 118).

Szkic piąty poświęcony jest bardzo zajmującemu zagadnieniu zmysłu statycznego, na którego istnienie pierwszy zwrócił uwagę uczony francuski Flourens w roku 1824, a nie 1894 jak przez pomyłkę wydrukowano (str. 124). Cała sprawa jest, jak sama autorka przyznaje bardzo jeszcze wątpliwa.

W ostatnim wreszcie szkicu rozważa autorka pytanie sporne dotyczące subiektywizmu kobiet. Tu zaraz na początku uderza fatalna

nomenklatura. Dr. W. mówi o »wrażeniach uczuciowych«, i o »wrażeniach intelektualnych«, miała autorka tu prawdopodobne na myśli stany psychiczne, o charakterze przeważnie uczuciowym z jednej, a o charakterze przeważnie intelektualnym z drugiej strony. Myśl główna autorki streszcza się w zdaniu, że »kobieta jak i mężczyzna z natury swoich zasobów jest i być może zarówno subiektywną jak i obiektywną«. Wprawdzie »kobieta częściej nierównie cierpi pod skłonnością do subiektywizmu, co jednak ze zmianą warunków i instytucji społecznych, przysługujących dziś kobiecie ustąpi niezawodnie« (str. 158). Bardzo to piękne odpowiemy, tylko autorka, zdaje się, zapomniała, że zmiana warunków społecznych nie zmieni warunków fizjologicznych. Nawet najbardziej wyzwolona kobieta nie przestanie być kobietą. To zaś przyzna mi każdy, że subiektywizm kobiety stoi w bliskim związku ze stanami macierzyństwa. Chyba, że w przyszłym doskonałym społeczeństwie kobieta wyzwoli się i z tego. Skoro chemia i fizyka wyjaśnią nam — i jak twierdzi autorka — kiedyś zagadkę świadomości, to dłaczegóżby te nauki nie miały także wykryć sztuki urabiania dzieci w retorcje. Wówczas to będzie mogła kobieta zrzucić z siebie resztki uczuciowości i subiektywizmu.

Zagadnieniem illuzji optycznych zajęła się autorka raz jeszcze w rozprawie pomieszczonej w sprawozdaniach krakowskiej akademii nauk z roku 1900¹. Po wstępie historycznym podaje dr. W. wyniki własnych eksperymentalnych badań.

Wundt za jedyną przyczynę złudzeń uznał ruchy mięśni oka, otóż autorka nasza starała się wykazać eksperymentalnie, że »przyczyny tej szukać należy w stosunku, w jakim pozostają pojedyncze części percypowanego przedmiotu do środkowych i obwodowych części siatkówki; części przedmiotu padające na najlepszy obszar widzenia oceniamy jako wyraźniej, względnie bliższe, części zaś padające na obwodowe przestrzenie siatkówki, jako mniej wyraźniej, względnie dalsze«. W ocenę, względnie krytykę, eksperymentów dra W. wdawać się na tem miejscu nie mogę, toby mnie za daleko zaprowadziło, wspomnę więc tylko krótko, że nowsze nad tą samą kwestyą badania wyniki osiągnięte przez naszą autorkę do pewnego stopnia zmieniły, a przynajmniej znacznie je pogłębiły.

Dr. Maurycy Straszewski.

¹ O illuzjach optycznych (z 14 rycinami). W Krakowie 1900 r. str. 31.

Z piśmiennictw obcych.

Dzieje wolnej myśli w Europie. *W. E. H. Lecky.* Z ósmnastego wydania angielskiego przełożyła Marya Feldmanowa pod redakcją Wilhelm Feldmana, tomów 2 (str. 449 i 405). Łódź 1908—1909. Nakładem Maksym. Stiftera.

By poznać, jakie prądy, myśli i cele ożywiają koło t. zw. wolno-myślicieli, przytoczę wrażenia odebrane przy lekturze powyższej książki.

Siedmnaście jej wydań w angielskim języku rozeszło się i nikt nie zdecydował się przyswoić jej naszej literaturze, ósmnaste dopiero wydanie przetłumaczono na język polski. Choć więc dziwnem się to wyda, przecież stwierdzić trzeba, że milczenie, jakie okazaliśmy tym 17-tu wydaniom, było wymowne i nie bez racyi, gdyż — jak się to w dalszej części okaże, — nicbyśmy nie stracili byli na tem, gdybyśmy powyższej książki nie poznawali wcale. Życie i rozwój ludzkości porównano z życiem człowieka. Punktów stycznych jest stosunkowo wiele. Wyobrażałem więc sobie, że autor rozwinie przed oczyma naszemi ten ciągły i nieustający postęp ludzkości we wszelkich dziedzinach ducha, że wykaże jak zwolna i stopniowo duch ten ogarniał coraz to dalsze i wyższe kręgi wiedzy i umiejętności, opanowując nawet i te szczyty, które długi czas niedostępnymi się być zdały. Wiedziałem, że będzie to rozbiór krytyczny, boć nie ustrześliśmy się niejednego błędu, ale byłem pewny, że będzie to krytyka bezstronna, choć ostra, pozbawiona jednostronności i uprzedzenia, owiana pewnem życzliwem ciepłem. Tymczasem nadzieja i tym razem okazała się zwodniczą: autor bowiem nie tylko stwierdził dostatecznie, że temat przepiękny przerósł jego siły, lecz nawet — nie wiem dlaczego — przekreślił myśl tematu. Czy nie zrozumiał myśli, czy z innego powodu tak postąpił, dość, że zamiast rozwoju wolnej myśli w Europie dał nam kampanię przeciw chrześcijaństwu, a filipikę racjonalizmu, jedno i drugie bardzo niezręczne, tak, że powstała w ten sposób całość blada, marna, przykre wywołująca wrażenie. Wystarczy, gdy powiem, że z uczuciem ulgi odczytałem: »Koniec«. Przypatrzmy się rzeczy bliżej:

»W niniejszem dziele przedstawiłem sobie za zadanie skreślić dzieje wyzwolenia się ducha ludzkiego, pod czem rozumiem nie pewien dział twierdzeń lub zaprzeczeń, lecz pewien kierunek myśli i są-

dów, które w ciągu ostatnich trzech stuleci zyskały w Europie stanowczą przewagę» (str. 12).

Słowa te ograniczają temat, zapowiadając zamiast rozwoju myśli, dzieje jej wyzwolenia, a inne wywody »Wstępu« zaznaczają wyraźnie, że w dziele tem będzie kwestya walki z teologią dominowała, jeśli nie zapanuje wyłącznie nad wszystkim innem. To też, jak dalszy ciąg dzieła dowodnie to stwierdza, inne dziedziny myśli wyszły skrzywdzone i to tem więcej, im mniejszą łączność mają z teologią, albo im mniej wynikami swych zdobyczy popierają wywody autora. Wy-mowne milczenie lub krótka wzmianka, że się rozwinęła ta lub owa gałąź wiedzy, i takie lub inne wywołała skutki, — oto wszystko, co stało się udziałem tych dziedzin myśli. A szkoda, że autor nie wniknął w nie głębiej. Jeśli tego nie uczynił, to zdaje się dlatego, że musiałby swe wywody i przekonania zmienić ze szkodą dzieła, gdyż w takim razie dziełoby zawierało może więcej prawdy, a że prawda kole ludzi w oczy, więc bezwarunkowo poczytność książki poniosłaby wielki uszczerbek. Ograniczył więc autor temat, w przeprowadzeniu jego ograniczył się do poszczególnych dziedzin wiedzy, pomijając inne zupełnie, lub prawie zupełnie, ale to jeszcze nie wszystko, gdyż nie miał nawet.... powiedzmy czasu, by zgłębić lub bodaj zrozumieć te poglądy i przekonania, które omawia i analizuje. Mimo to daje sobie rady i tak, a ratuje go pewność siebie i bujna fantazyja, która w twórczej swej działalności uzupełnia te luki wiedzy, lub wma-wia w ludzi to, czego niema i nie było..., aby potem to zwalczać!

Mówiąc np. o walce chrześcijaństwa z pogaństwem pisze w ten sposób: (str. 54, tom I) »ruch cały zakończył się ugodą. Pogaństwo, jako system oddzielny zostało zgniebione, lecz rozmaite jego składniki zachowały się nadal, aczkolwiek pod zmienioną formą i nowem mianem. Wiele części składowych pogaństwa wcielono do nowej wiary. Zlały się one w jedność z naukami, z któ-remi największe miały podobieństwo, nadały naukom tym zna-czenie pierwszorzędne w systemie chrześcijańskim i uczy-niły je najbardziej uprzywilejowaniem i wpływem.

‘Czyż trzeba interpretacyi? A więc pogaństwo dobrowolnie zło-żyło broń (ugoda!), byle tylko zwalczanemu przez siebie chrześcijań-stwu zapewnić znaczenie i przysporzyć blasku!

Albo: (str. 217, t. I) »Fetysyzm, przejawiający się w swych for-mach najbrutalniejszych wciąż dla pewnych części materji jako takiej, istnieje aczkolwiek w formie złagodzonej i mniej oburzającej w przy-

puszczeniu, że pewne święte talizmany i znaki posiadają moc wewnętrzną, która przewyższa znacznie wszystkie zdolności ludzkie... Znak krzyża był może najwcześniejszą formą tego fetysyzmu. Uważany był bowiem nie tylko za znak poznania, świętą pamiątkę, lub godło kultu, lecz także za broń o mocy cudotwórczej; a pisma Ojców podają bezlik (!) cudów przez niego dokonanych...

Czyż ustęp ten nie dowodzi nieznamomości zwalczanych, a nawet nieuczciwie ośmieszanych artykułów wiary? Wszak pierwszy lepszy »Mały Katechizm« pouczyłby autora, że rzecz się ma inaczej! Prosta-czek nawet wyjaśniłby to, czego autor nie rozumie lub może umyślnie nie chce zrozumieć. A może to jest mimowolne wzdrygnięcie się autora przed krzyżem?... Tak samo pobieżny nawet rzut oka w pierwszą lepszą książeczkę do nabożeństwa przekonałby autora, jakie nonsensa wierutnie popisał, gdy mówi (str. 243, t. I) o »wyniesieniu Dziewicy jako bóstwa wszechobecnego« i gdy twierdzi, że »lud modlił się do niej w tych samych słowach, co do Wszechmogącego«, lub że »kult tego samego rodzaju przeniósł się na innych świętych, którzy zajęli miejsce podrzędniejszych bóstw pogańskich«.

Istny ten stek głupstw i nonsensów, obliczonych na straszną naiwność czytelników, szkoda czasu omawiać nawet, wspomnę więc tylko, że według twierdzenia autora czcimy obrazy i posągi w ten sam sposób, jak poganie swoje bałwany (str. 244, t. I), że »Ojcowie Kościoła postavili zasadę stanowczą, iż pobożne oszustwo nie tylko jest usprawiedliwione, lecz nawet godne pochwały« i t. p.

Jedno jednak zauważyć łatwo: fałszywe sądy autora o kwestiach wiary naszej i obrządków, nie płyną zdaje się z mimowolnej nieświadomości. Jeśli bowiem o czemś chce się pisać, lub coś zwalczać, to pierwszym obowiązkiem jest, poznać rzecz daną gruntownie i to u źródła. Wątpię więc, by autor o tem nie wiedział i z tego powodu pobłądził. Jeśli więc nie widzi się u niego znajomości danej kwestyi, to przyjąć ją można tylko i jedynie za wynik złej woli i intencji. Takie umyślne więc przekręcanie i fałszywe a złośliwe zestawianie faktów, jest tej złej woli naturalnym objawem; próbkę tego daje nam ustęp następujący:

»Protestanczy polemiści zestawiali nieraz długie i jak najbardziej charakterystyczne listy sławnych osobistości splamionych najokropniejszymi zbrodniami, a należących jednak do ulubieńców Kościoła i trzymających się jego nakazów z ortodoksyjnym fanatyzmem.

Rozgrzeszenie Kościoła uciszało w nich wszelkie wyrzuty, a jeśli jeszcze w dodatku obdarowali jakiś klasztor, poddali się pokucie, lub dzielnie prześladowali heretyków, zyskiwali już największą pewność, że okupili wszystkie zbrodnie swego życia...» (str. 433, t. I).

Że autor nie rozumie znaczenia i wpływu sakramentu pokuty, to rozumiem, (przynajmniej ułatwia mi zrozumienie ów okazany wstręt przed krzyżem), ale tego pojąć nie mogę, dlaczego autor oburza się na tych, którzy przekonawszy się, iż źle robili, wyznają swe winy, przyznają, że źle postępowali, poddają się pokucie i starają się winy, czy zbrodnie zmyć dobrymi uczynkami... A nie może autor powiedzieć, bo nie wykazał tego, ani nawet nie starał się wykazać, żeby te osobistości z powodu spełnienia zbrodni były ulubieńcami Kościoła. A charakterystycznym jest i miarodajnym, że autor w analogicznych, jak ten wypadkach, ogranicza się do ogólników i gołych twierdzeń bez powoływania się na dowody, a ilekroć na dowodach się oprze, zawsze sąd wypadnie na korzyść chrześcijaństwa i Kościoła. *Loquantur facta.*

Str. 214, t. I. »Jeśli czynem prawdziwie chrześcijańskim jest zstępować z gorącym uczuciem w najciemniejsze mroki nędzy i występku; przepajanie każdego zakątka ziemi użyźniającym prądem bezgranicznego miłosierdzia i obejmowanie wszystkich klas ludzkości umiłowaniem silnem i głębokiem, jeśli przedewszystkiem prawdziwe chrześcijaństwo ma krzewić miłość prawdy dla prawdy samej, ducha sprawiedliwości i tolerancyi względem tych, którzy się od nas różnią; jeśli to są oznaki chrześcijaństwa zdrowego, to od czasu apostołów nigdy ono nie posiadało takiej żywotności, jak obecnie«.

Tak charakteryzuje autor dzisiejsze chrześcijaństwo, a chyba nie posadzi go nikt o przesadną pochwałę. Swoją drogą nie przeszkadza to autorowi po tej apologii żywotności chrześcijaństwa, zarzucić mu skostnienie i martwość! »Zaledwie rozpoczęło się odrodzenie nauki, a z niem pierwsze oznaki życia umysłowego, natychmiast wystąpił proces rozkładu. Od tej chwili katolicyzm dążąc do zupełnego skostnienia, stał się przedstawicielem wstecznictwa i rozkładu« (str. 31, t. II). Dodajmy do tego, że zdanie to jest zakończeniem ustępu wychwalającego katolicyzm. »Cywilizacya, będąca jego wynikiem, stanowi jeden z najważniejszych etapów rozwoju społecznego«, »był on organizacją najbardziej zdumiewającą«, »katolicyzm stworzył podwaliny cywilizacji współczesnej«, »pod wielu względami godny podziwu i użyteczny« — oto są słowa autora o ka-

tolicyzmie (str. 30, t. II). Jakżeż więc pogodzić jedno z drugim? Co więcej! tu pisze wyraźnie, że sam początek odrodzenia nauk (»zaledwie rozpoczęło się odrodzenie nauki«) spowodował rozkład, zanik i upadek katolicyzmu, a tymczasem na str. 341, t. I. pisze: »Jedyny przykład religii, która nie została osłabioną przez cywilizację stanowi chrześcijaństwo«. »W całych dziejach ludzkości niema zaiste nic równie zdumiewającego, jak droga, którą ten ideał (jaki podaje relig. chrześcij.) przebył w ciągu wieków, zdobywając nowe siły i piękność z każdym postępem cywilizacyi i dobroczynnym swym wpływem zapładniając każdą dziedzinę myśli i czynu« (str. 342 t. I).

A więc: albo może coś nie zostać osłabionem, a ulegać rozkładowi i zanikowi, albo: można zanikać, kostnieć i w martwocie się pograżać, a równocześnie zdobywać nowe siły i wskutek tego zdobywania nowych sił zanikać. A może postęp cywilizacyi nie ma nic wspólnego z postępem wiedzy, może wogóle cywilizacya wzrastała z zanikiem wiedzy i naodwrot, a wiedza nic wspólnego nie ma z dziedziną myśli. Albo wreszcie katolicyzm nie jest religią chrześcijańską?

Dla uzupełnienia obrazu dodam: »W w. XIX (pisze autor, str. 75, t. II) pod przewodnictwem Lammenais'ego przedsięwzięto próbę pogodzenia katolicyzmu z rnciem współczesnej cywilizacyi, próbę popartą wszystkimi siłami potężnego umysłu i wielkiej pobożności, a poniekąd innemi jeszcze sprzyjającemi okolicznościami. Wynik tej próby jest bardzo pouczający. Wykazuje on porzucenie katolicyzmu przez największych jego współczesnych obrońców«. Szkoda, że autor poprzestał na ogólnikowym stwierdzeniu faktu. By poprzeć prawdziwość jego twierdzenia, pozwolę sobie zwrócić uwagę na dzieło p. t. Kneller S. J. *Das Christenthum und die Vertreter der neueren Naturwissenschaften* 2 Aufl. 1904. Z pośród kilkuset przykładów takiego »odstępstwa« od religii, wybiorę charakterystyczniejsze. Tak np. Sir William Thompson (Lord Kelvin) jeden z twórców prawa o zachowaniu energii pisze: »Jeżeli dobrze myślicie, to przez umiejętność zostanieie zmuszeni do wiary w Boga, który jest podstawą wszelkiej religii. Przekonacie się, że nauka nie jest przeciwniezką, tylko pomocnicą religii«. Jeszcze bardziej zdecydowanym »odszczepieńcem« był słynny matematyk Cauchy, który mówi: »Jestem chrześcijaninem, t. j. wierzę w bóstwo Jezusa Chrystusa razem i zgodnie z takimi jak Tycho Brahe, Kopernik, Descartes, Newton, Fermat, Leibniz, Pascal, Grimaldi, Euler, Guldin, Boscho Pvich Gerdil, jak

wszyscy wielcy astronomowie, wszyscy wielcy fizycy, wszyscy wielcy matematycy minionych stuleci. Jestem też i katolikiem tak, jak i większość ich, a gdyby się ktoś mnie spytał o powody tego, to chętnie je wymienilibym. Przekonanoby się, że przekonania moje nie są wynikiem odziedziczonych przesądów, tylko wynikiem głębokich i poważnych badań i roztrząsań«. Słowa te wypowiedział w r. 1848, a Pasteur (*Discours de réception à l'academie fr.*) pyta się wręcz: »W imię jakich odkryć i wynalazków można pozbawiać ducha ludzkiego tych pojęć (*Ahnungen*), które podaje wiara?«. Mamy więc próbkę prawdziwości wywodów p. Lecky'ego et &, a jeżeli przeczytamy uważnie książkę Knellera, znajdziemy i wyjaśnienie tego twierdzenia p. Lecky'ego w słowach Bakona z Verulamu (*Novum organum*): *Wissenschaft ist Macht. Halbes Wissen führt ab von Gott, aber wahre und eigentliche Wissenschaft führt hin zu Gott*, co w języku polskim da się określić słowami: tylko niedowarkowie są niedowiarkami«.

Z pomiędzy rozmaitych religii najwięcej sympatii autora zjednał sobie protestantyzm. Apologia tej religii przedstawia się jak następuje:

1) Kościół protestancki prześladował swoich przeciwników. Pisząc o tem wyraża się autor w ten sposób: »Co się da powiedzieć (str. 55, t. II) w obronie Kościoła, nie mogącego jeszcze żadnych wykazać zasług, nie mającego żadnych praw do wdzięczności, Kościoła, który w całej swej istocie był dziełem sądów jednostek, a stworzony został dzięki intrygom zepsutego dworu, co powiedzieć o religii, która za pierwszym wybuchem sądów jednostkowych rozpadła się na niezliczone sekty...«

2) »Zaiste więcej dałoby się przytoczyć przykładów względnej tolerancji ze strony Kościoła katolickiego, niż ze strony ortodoksyjnego protestantyzmu« (str. 57, t. II), bo »jakkolwiek wszystkie okrucieństwa przez inkwizycję spełnione, spadają niewątpliwie na krewią splamiony Kościół, który ją powołał do życia, niemniej pozostanie prawdą, że jeden, czy dwóch papieży usiłowało złagodzić jej surowość«. (*ibid*) Podobnie postępowali i katolicy unicy, jak np. — jak to podaje autor — Erazm, Hopital, lord Baltimone i inni. »Wśród protestantów natomiast nie można, mojem zdaniem, wykazać ani jednego przykładu stanowczej obrony, lub praktykowania tolerancji w ciągu XVII w. Trudno nawet o przykład taki w pierwszej połowie XVIII wieku...« (str. 58, t. II).

3) Autor więc stwierdza: »Wszystkie tu zestawione dowody

wykażą dostatecznie, jak mało swoboda religijna zawdzięcza protestantyzmowi. Zdają się też wykazać, że nieznacznym był też dla jej rozwoju wpływ reformacji. Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie fałszywy, bo jakkolwiek wpływ ten, był co prawda pośredni, nie mniej jednak był on potężny...» (str. 61, t. II) *Tableau!*

4) »Porównując dzieje tolerancji angielskiej z tymi dziejami (t. j. tolerancji katolickiej) zauważymy wiele rysów podobieństwa, lecz także wiele różnic, bardzo szczęśliwie charakteryzujących wyższość protestantyzmu nad katolicyzmem. (str. 76, t. II), gdyż (str. 77, t. II)

a) »Elastyczność jego (t. j. protestantyzmu) była tak wielka, że dozwoliła mu się zlać z kierunkiem długo przez siebie zwalczanym, gdy Kościół rzymski po dziś dzień jeszcze próżne czyni wysiłki, w celu zdławienia ducha, do którego nie może się dostosować«.

b) »Tolerancja niezgodna co prawda z pewnymi dogmatami bronionymi przez protestantów, jest jednak w gruncie rzeczy normalnym wynikiem protestantyzmu, jako bezpośrednie, logiczne i nieuchronne następstwo obowiązku powodowania się własnym sądem«, a to wszystko czynić trzeba dlatego, że przy tej sposobności »ludzie mogą stwierdzić istotną zawodność swego rozumu i stopień jego zależności od woli«.

A więc: dwie kwestye zupełnie niezgodne mogą się zlać w zgodną, jednolitą całość, a mogą to uczynić dlatego, że jedna zwalcza i wyklucza drugą. Rzecz niezgodna z jakąś całością jest jej normalnym wynikiem, logicznym następstwem. Zawsze, w kwestyach zwłaszcza wątpliwych, trzeba się powodować własnym sądem i rozumem, a to dlatego, że rozum nas zawsze zawodzi i dlatego, że zbyt jest zależny od woli! Nie wiem, co na taką obronę, jaką przeprowadza Lecky odpowie protestantyzm. Gdyby jednak ktoś chciał w ten sposób moją wyższość wykazywać, westchnąłbym: »Panie! strzeż mię od moich przyjaciół, gdyż z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę!«

5) Ponieważ — jak autor powyżej wykazał — protestantyzm nie może się poszczycić »ani jednym przykładem względnej tolerancji« (str. 58, t. II), dlatego (!!) jasną jest rzeczą, że »naród może być bardzo tolerancyjny, a przytem nawskróś protestancki! Jako przykład charakterystyczny niech też posłuży ustęp następujący (str. 93, t. II):

»Pod duchem prawdy, rozumiem tę formę myślenia, która ludziom uznającym własną omylność, a pragnącym przede wszystkim wiedzieć, co jest prawdą, pozwala uczynić wybór wśród sprzecznych argumentów. Z chwilą, gdy zrozumię, że rozum i jedynie rozum może rozstrzygać o ich poglądach, że w niczem, czegokolwiek się uczyli, nie mogą być zupełnie pewni prawdy, dopóki nie zbadają dowodów przemawiających za nią i przeciw niej — upada teoria prześladowań«.

A więc tylko rozum, który się myli, ma rozstrzygać co jest prawdą!

Jak z tego przedstawienia wynika, autor nie jest zwolennikiem katolicyzmu i jego instytucji; ponieważ więc przyznaje mu tylko to, co musi, przeto sądy te są bardzo charakterystyczne i dlatego niektóre z nich przytaczamy:

»Byłoby rzeczą bardzo niesłuszną, gdybyśmy kierownikom Kościoła chcieli przypisywać rozporządzenia, uprawniające do prześladowań. Jeszcze mniej sprawiedliwem byłoby przypisywać im ducha w jakim rozporządzenia te wprowadzono w życie. Wiele złożyć trzeba na karb barbarzyństwa pewnych cesarzy i prefektów; chciwości każącej im szukać pozorów do zagrabienia mienia bogaczy, wreszcie na karb wzburzenia, jakie wywoływała każdorazowa próba przepowiadania następcy tronu. Mamy pewne dowody, że jedna z trzech wymienionych przyczyn, zawsze pozostawała w związku z najgwałtowniejszymi wybuchami prześladowania« (str. 52, t. I).

Mówiąc przy sposobności prześladowań o mnichach stwierdza Lecky wyraźnie (str. 159, t. I), że »byli to ludzie, którzy często wśród okoliczności najtrudniejszych okazywali cnoty najwyższe i najbardziej bohaterskie; ludzie, którym nigdy nie zbrakło odwagi, gdy wokół srożyły się prześladowania, ludzie, którzy nigdy nie wchodzili w układy z własnem sumieniem, w celu zdobycia względów królewskich, ludzie, których poświęcenie i gorliwość w pełnieniu obowiązków, najwyższych dosięgały granic...«

Str. 290, t. I. »Tu (w bazylice św. Piotra) spoczywają szczątki owych średniowiecznych papieży, którzy w epoce ogólnej ciemnoty wysoko dzierżyli pochodnię wiedzy...«

Str. 151, t. II. »Średniowieczni papieże posiadali zawsze wyższą znacznie intelligencyę, niż ich przeciwnicy. Jakiegokolwiek były ich błędy, niemniej reprezentowali oni zasadę moralnego panowania nad

sobą intelligencji i humanitarności w epoce siły fizycznej, ciemnoty i barbarzyństwa».

Str. 383, t. I. »Charakterystyczną cechą współczesnego chrześcijaństwa jest bezgraniczna filantropia, jaką ono rozwija...«

Str. 385, t. I. Gdy w Anglii za Henryka VIII »zniesienie klasztorów zniszczyło główny czynnik dobroczynności, pozbawiając mnóstwa biedaków wszelkiej pomocy, — wyroki śmierci dosięgły liczby 2000 rocznie«.

Str. 390, t. II. »Zniesienie klasztorów nie zostało spowodowane żadnymi haniebnymi uczynkami ze strony zakonników, lecz po prostu były wyrazem opinii publicznej«.

Str. 389, t. I. »Prześladowania były przeważnie dziełem ludzi, którzy życie swe oddali bezwzględnie na usługi prawdy, jaką wyznawali, a których charakter został uznany za nieskazitelny przez krytykę najsurowszą i najbardziej wrogą«. Tak samo na str. 21, t. II, mówi o powstaniu »klasztorów, czyli zrzeszenia ludzi, nie mających wprost równych sobie na punkcie abnegacyi, wyłącznego poświęcenia się jednemu celowi, heroizmu...«

Str. 253, t. II. »Kościół nieraz tak zuchwały i dumny w stosunkach z królami i szlachtą, nigdy nie pozostał głuchym na wołania biednych i uciśnionych, a przez długie wieki obowiązek stawania w ich obronie był jednym z głównych celów polityki kościelnej«, jeżeli zaś dodamy do tego »niebywałą wprost i bezgraniczną dobroczynność« (str. 256, t. II), jaką praktykował Kościół, jeżeli uwzględnimy słowa autora, że »jedynie ze stanowiska etycznego lub religijnego, możemy dojść do koncepcyi czystej bezinteresowności« i że »to właśnie jest w nas zdolnością najszlachetniejszą, iskrą niebiańską, odbiciem podobieństwa Boga« (str. 397, t. II), — to przyznać musimy, że nawet autor stwierdza, że Kościół rzymski miał i ma wiele sił żywotnych, położył dla ludzkości i oddaje jej wiele usług »zaspędniając ożywionym duchem każdą dziedzinę myśli i czynu«. A ponieważ katolicyzm ma, posiada i okazuje dowody »boskiego pierwiastka« (str. 341, t. II), gdyż założyciel jego był Bogiem (str. 389, t. I), przeto zgodnie ze słowami autora »moc chrześcijaństwa może jedynie ustać z zanikiem moralnej istoty człowieka« (str. 397, t. II). Świadectwo takie w ustach tak niechętnego znaczy wiele!

Daleko większe sympatyje autora są po stronie t. zw. racjonalizmu. On jest osią całego dzieła, którego istotnym celem było wy-

kazanie, że tylko racjonalizm ma pewne uzasadnienie i prawo bytu, gdyż on tylko jest dźwignią postępu, krzewicielem cywilizacji, pionierem wiedzy i t. d. Samoistne badanie z odrzuceniem wszelkich powag i autorytetów oto *conditio sine qua non* postępowania człowieka. »Rozum i tylko rozum« ma rozstrzygać, sąd własny jedyną ma być podstawą rozumowania... »Jeżeli osobisty nasz sąd jest jedyną regułą, podług której winniśmy kształtować swoje poglądy, to obowiązek wychowawcy polega na możliwie najsilniejszym wyrobieniu tego sądu i ustrzeżeniu go od wpływów zewnętrznych. Narzucanie nierozwiniętemu jeszcze umysłowi gotowego systemu przesądów, niewątpliwie sprzeciwia się zasadzie swobody sądu« (str. 98, t. II), zdalekobyśmy zaszli, gdybyśmy chcieli zdanie to rozbierać. Chcąc mówić o obowiązkach wychowawcy, trzeba sprawę tę znać i to znać dobrze. Nic łatwiejszego, jak sypnąć parę ogólników, frazesów, ale nie o to chodzi, gdyż wychowanie nie na tem polega, by gadać! tu trzeba zastanowienia, znajomości środków i celów, a zwłaszcza jednej zalety, której (jak dowodzi książka omawiana) autorowi brak, t. j. pamięci i konsekwencji w słowach i czynach... Jak dalekobyśmy zaszli postępując śladem autora, najlepszym dowodem, że na tem samym miejscu, gdzie mówi o strzeżeniu »własnego sądu« młodego pokolenia od przesądów, które mogą być »prawdziwe lub fałszywe« (!) sam przyznaje, iż »ze względu na inne cele« potrzeba »wpajać w dziecko pewne poglądy«. Ponadto sam autor zaznacza wyraźnie, że racjonalizm zwalczony katolicyzm w grubej materyalistycznej pomroce pogrążony, doszedł... do materyalizmu. »Ideal i charakter nowej wiary, odcięte od materyalnych pojęć wczesnej cywilizacji nabiorą nowego uroku« (str. 204, t. I). To była niejako zapowiedź mety, do jakiej doprowadzi nas racjonalizm. Tymczasem... »dążność i skłonność do zdecydowanego materyalizmu stanowi ciemną stronę wspaniałego obrazu, przedstawiającego dzieje racjonalizmu«.

Kampania więc nie udała się, kierunki bowiem i prądy, zwalczane przez autora z większym wychodzą blaskiem, podczas gdy chwalone przez niego wskutek tej właśnie pochwały, okazują wszystkie swe słabe strony i — niekonsekwencje, tak, że z pewnością westchną na intencję autora słowa: *Si tacuisses...*

Pomijam milczeniem cały szereg kwestyi zbijających się same przez się, podkreślę tylko jedno: Wszystko, co posiadamy nie byłoby naszym udziałem wcale, gdyby nie... Żydzi. »Duch tego cudownego (!) narodu ciągle się wybijał zwycięski. Gdy otaczające ich

ludy pelzały w ciemności otumanione ignorancją, gdy duch chrześcijaństwa ujarzmiony niezliczonymi zabobonami, popadł w martwość śmiertelną, która się rozciągała na wszelkie zamięłowanie do badań i poszukiwań prawdy, Żydzi wytrwale trzymali się ścieżyny wiedzy, bogacąc naukę i popierając sprawę postępu...» (str. 301, t. II). »Przytem nie ulega wątpliwości, że heroizm obrańców każdej innej wiary w nicłość się rozplywa wobec tego narodu męczenników...» (str. 300, t. II).

A więc w tem jest *nervus rerum*.

Streszczając wszystko widzimy, że autor nie zrozumiał tematu, w przeprowadzeniu go ograniczył się do tego, co dla jego też było dogodnem, pomijając wszystko inne milczeniem; w wielu wypadkach zbijał tezy, których nie zrozumiał, lub przedtem fałszywie zestawiał lub zgoła poprzekręcał. Mistrzostwo w tym kierunku doprowadził do tego stopnia, że zbijał nawet sam siebie. Zalecając porzucenie tradycyi, a więc powag przeszłości i autorytetów, przesądów i t. p. sam dał przykład postępowania, stwierdzając dostatecznie, że pierwszym warunkiem po temu (*conditio sine qua non*) jest brak pamięci. Najlepiej, a raczej najwygodniej zapomnieć o tem, co się mówiło, gdyż inaczej nie możnaby o parę wierszy dalej powiedzieć czegoś wręcz przeciwnego. Wskutek też tego ganił autor to, co postanowił chwalić, a chwalił to, co w założeniu uznał godnem pogardy. Zdaje się, że chciał, by czytelnicy przejawszy się obowiązkiem kierowania się własnym sądem, a w ustalaniu tegoż rozumem byli zmuszeni, zanim się do tego postępowania przyzwyczają, do takiego, a nie innego zachowania się i dlatego wplótł autor w dzieło swoje cały szereg andronów i niekonsekwencyi...

Szkoda więc czasu, papieru i trudu, jakie autor pracy poświęcił; zaiste, że wstydem dla poważnego pisma zamieszczać wzmiankę o książce. Jeżeli się pomieściło — to tylko dlatego, *ne videatur*, że wywody autora znalazły poklask, lub zdruzgotwały argumenty... Marna treść harmonizuje z jeszcze marniejszym językiem przekładu.

Dr. Roman Jamrógiewicz.

La Maternelle. (Ochronka). *Léon Frappié*. Paris. Librairie universelle

Powieścią *à thèse* nazwać jej nie można. Książka raczej niesympatyczna, chwilami wprost brutalna, ale ma zaletę bezwzględnej szczerości i pierwsza może, wyświeca z niezwykłym talentem formalizm biurokratyczny i moralną próżnię dzisiejszego systemu wychowawczego we Francyi. W sposób czysto negatywny więcej pouczających pod-

suwa wniosków od niejednej powieści o lepszej, ale zbyt silnie zaakcentowanej tendencji.

Strona romansowa jest w niej zaledwie ową szczyptą soli, podniecającą nieco smak podanej potrawy i pozory pospiesznie kreślonego pamiętnika, są tu łudzące. Fikcyjną autorką, typ, jakich i u nas coraz więcej, a dla którego niema dotąd odpowiedniego miejsca w społeczeństwie: ukończona słuchaczka uniwersytetu, niepomysłnym zwrotem fortuny wtrącona nagle w walkę o chleb powszedni. To, co poczytywała sobie za prerogatywę, staje się dla niej balastem; uniwersyteckie kwalifikacye szkodzą jej tylko w uzyskaniu bodaj najskromniejszej szkolnej posady; wszystkie jej starania rozbijają się o brak seminaryjnej matury. Przygotowanie się do tego egzaminu wymagałoby pół roku czasu — a wobec natłoku kandydatek, może lat paru oczekiwania na płatną praktykę; — na taki eksperyment położenie materyalne nie pozwala, a że wuj, u którego chwilowo po śmierci matki znalazła przytułek, dłużej jej u siebie zatrzymać nie może, więc trzeba pochwycić co się nadarzy, choćby jakiekolwiek fizyczne zajęcie. I to nie przychodzi łatwo; wysoka umysłowa kultura, to w oczach biurokracyi zmaza, którą trudno z siebie zetrzeć i która budzi nieufność i niechęć. Podstępem, symulując trywialność układu i wysłowienia, przychodzi wreszcie do zdobycia jedynego miejsca, jakie się otwarło: pomocnicy do obsługi w urzędowej ochronce na przedmieściu w Ménilmontant, jednym z najbiedniejszych, zamieszkałem przez ludność w części napływową i przedstawiającą najniższy poziom moralny wielkomiejskiego proletaryatu. Ludność ta w niczem nie stojąca wyżej od rzymskiego motłochu karmionego chlebem i krwawemi igrzyskami przez Cezarów, dostarcza rządowej ochronce liczne zastępy zwyrodniałej, anemicznej i z występkiem oswojonej dziatwy. Zgromadzić dziatwę to łatwo, ale samym szumnym napisem wolność, równość, braterstwo umieszczonym nad bramą, nie oddziała się jeszcze na kompletny zanik wszelkiego moralnego zmysłu. Zadanie trudne, ale od czegoż skomplikowany aparat rządowego programu?! od czegoż starannie dobrany nauczycielski personal, poczynawszy od dyrektorki, a skończywszy na służbie pomocniczej?! Cały ten niemal po wojskowemu wymustrowany personal jest pod komendą inspektorów rządowych, a mianowicie delegata kantonalnego, doktora kantonalnego i ogólnego inspektora. Ci panowie, opatrzeni w najdokładniejsze instrukcyje od władzy szkolnej, mają być nie tylko sami przejęci duchem narzucanego kierunku, ale czuwać, aby najmniejsze wykroczenie przeciw temu

kierunkowi nie zakradło się pomiędzy wykonawcze organa. Takimi skombinowanymi kanałami spływa z góry do dołu kult państwa i jego przedstawicieli; nietykalny *prestige* władzy ma być zaszczipionym i ugruntowanym u samych podstaw, a na tym kulcie jako na węgielnym kamieniu ma się oprzeć t. zw. kodeks moralności praktycznej, wspaniały płód biurokratycznego rozumu! Liczne podręczniki mają dopomóc do zaszczipienia tej moralności w duszach działwy. Co w ochronkach zakonnych spełniała miłość i stosowanie zasad katechizmu, tu spełnia drukowana instrukcja i urzędowy podręcznik. Odpowiedzialność wobec Boga i własnego sumienia, jaką się kieruje inicjatywa prywatna, czy zakonna, ustępuje miejsca odpowiedzialności wobec urzędowych organów, co sprawia, że w rezultacie wszystko dzieje się na pokaz, na to, ażeby inspekcyja nie miała nic do zarzucenia i ochronka budziła podziw dla rządowego systemu wychowania.

To tresowanie dla efektu i reklamy nie wpada od razu w oczy biednej Róży, spisującej swoje wrażenia po ciężkiej dziennej pracy w zimnej izdebce, ogrzanej tylko płomieniem naftowej lampy. Przeciwnie, z jednej strony, nieprzewyciężone jeszcze wprawą fizyczne znużenie, z drugiej budzące się żywe współczucie, dla tych drobnych istotek, z których najnikczemniejsze jeszcze chwytają za serce, jeżeli nie wdziękiem to krzywdą swą i nędzą, sprawiają, że ochronka z całym swym personelem i systemem imponuje jej jako pierwszorzędną stacyą cywilizacyjną i wychowawczą.

Powoli jednak umysł do krytycznego badania wprawiony, zaczyna się oryentować, zestawiać sprzeczności, odróżniać pozory od faktycznego stanu rzeczy i wnikać do dna. A na tem dnie — próżnia!!... Po jednej stronie działwa na godzin 10 wyprowadzona z atmosfery zaduchu, brudu, jednym słowem nędzy, z otoczenia na pół zwierzęcego i powracająca doń co wieczór, aby z każdym rankiem — zwłaszcza po przerwie niedzielnej — zjawić się znowu w ochronce bogatsza o jedno przekleństwo lub o jedno więcej brutalne wrażenie — po drugiej, kierowniczką ochronki osoby świeckie, płátne, pod względem rutyny szkolnej wprawdzie bez zarzutu, ale tym elementarnym, destrukcyjnym siłom, nie mające nic więcej do przeciwstawienia ponad to, co wskazuje instrukcja i dostarcza podręcznik.

W samym atoli interesie ładu społecznego i powagi państwa potrzeba te dusze nagiąć do pewnych moralnych przyzwyczajęń, trzeba im wytłumaczyć dlaczego zgoda — nieszkodzenie drugiemu, poszano-

wanie władzy poczynając od rodzicielskiej, a skończywszy na rządzącej — dlaczego uczciwość i sprawiedliwość są postulatami, których pogwałcenie, szkodliwe pociąga za sobą następstwa. Program ma na to gotową receptę. Ponieważ oprócz powagi państwa, uznaje się tam, gdzie jej stosować nie można tylko powagę natury, więc do niej w pierwszym rzędzie po naukę odsyła. To też nauki moralne są po większej części tylko wnioskami wyciągniętymi z praw przyrodzonych i etyka ludzka oparta na zwierzęcej.

Jeżeli zaś, dla urozmaicenia opowiada się czyny ludzkie a nie zwierzęce, to przykłady są zwykle jaknajgorzej zastosowane do położenia dzieci z proletaryatu, obliczone według przeciętnej skali mieszczkańskiego życia, przewyższającej o wiele faktyczny stan, w takim jak Ménilmontant przedmieściu. Wprost śmiesznie wygląda cytowanie tej diatwy, jako przykładu synowskiej miłości Markiza de Mirabeau, lub historyjka o grzecznej dziewczynce, spokojnie zachowującej się na wizytach z matką oddawanych (autentyczne). Tak stoi w podręczniku; w rzeczywistości nieco odmiennie! Jednego wieczora Róża, odprowadzająca dziewczynkę, po którą nikt się nie zgłaszał, widzi przez uchylone drzwi, których całkiem otworzyć nie może, bo wejście tamuje siedząca na ziemi postać, taką scenę: pod ścianą rozrzucony barłóg, z którego wyglądają cztery dziecięce twarzyczki.

»To ty Józiu«, woła siedząca postać, nie podnosząc głowy od roboty, to już tak późno? ach! ja nieszczęśliwa! nie ukończę znowu na czas tego obstalunku! — wskazuj prędko na łóżko i nie zawadzaj!... »Niechże się wprzód rozbierze«, wtrąca przez uchylone drzwi Róża. »Cóż znowu? czy pani nie widzi, że tu niema miejsca na dzieci, jeszczeby mi zawadzała, a ja tak się spieszę!... »Cóż pani tak szyje?« — »Epolety — sześć soldów za setkę!!...«

Trudno przecież żądać, aby podręcznik stosował się do poziomu Ménilmontant! Już nie śmieszne, ale wprost paczące umysły i serca są opowiadania z życia zwierzęcego, mające pomódz do wyrobienia poczucia moralnego u dzieci. Taką np. jest dosłownie zanotowana sentymentalna powiastka o kotku Misigris ukaranym za pożarcie piskląt. Właściwy sens moralny, jaki się z niej da wyprowadzić to 1) zemsta jest rzeczą piękną (Misigris został za karę do krwi podziubany), 2) że natura w swej wspaniałomyślności zabiera się prędko do naprawienia wyrządzonych szkód; gniazdo niebawem znowu się ożywia, — zjawiają się nowe pisklęta — rachunek wyrównany. Gdy nauczycielka kończyła swą budującą powiastkę wśród wzruszonego audytoryum, zerwał się

nagle energiczny chłopczyzna i z zaciśniętą pięścią zawołał: »Ja nie chcę, żeby on je zjadł na nowo!«. Konsekwencya logicznie wyciągnięta: skoro natura szkodę tak łatwo naprawia, to niema racyi, ażeby Misi-gris nie ponowił swego postępuku, a matce naturze troski o pocieszenie pokrzywdzonych nie pozostawił.

Że proste opowiadanie z Biblii lub z lat dziecięcych Zbawiciela byłyby równie przystępne, a do innych wniosków doprowadzały umysły dziecięce tego się tu oczywiście nikt nie domysła, podręcznik ich nie uznaje! Żeby je zastosować potrzebaby przywrócić powagę Bożą, a przecież cały system, to wielki eksperyment bezwyznaniowego wychowania. W tym celu zaczyna się już nawet wcześniej oddziaływać niż w ochronce; bierze się działwę w pieluszkach do t. zw. żłóbków rządowych nie mniejszą kontrolą otaczanych i w ten sposób przygotowuje się wolny od wszelkich naleciałości religijnych materyał dla ochronki, ochronka zaś dla szkoły! Przeczność godna podziwu, któremu, pierwszemi wrażeniami oszołomiona pomocnica taki daje wyraz: »Jakżeż ten chów (*eleveage*) działwy jest przezornym i wspaniałomyślnym ze strony społeczeństwa!«, ale po chwili budzący się zmysł krytyczny wietrzy ukrytą intencję więc dodaje: *bacność dame société!* Wszak ty dla siebie pracujesz?!

Może być zresztą społeczeństwo spokojnem; i ta działwa, która nie przeszła przez żłódek, jest taką samą nieuprawną rolą, na której nikt Bożego ziarna nie zasiał; cała różnica w tem, że chwasty rosną na niej bujniej, bo już wcześniej zapuściły korzenie! Jaką jest ta gleba i jakie na niej rosną chwasty, to w przejmujących i życiem drgających obrazkach maluje nam pamiętnik; popędu dziecka, jego nawyknienia, sądy podchwyczone żywcem i z Zolowską niemal wypukłością oddane na tle otoczenia, wśród którego wzrasta i z którego wyrwać go nie potrafi najmądrzejszy program rządowy.

Nie upłynęło kilka miesięcy, a pokorna posługaczka zmierzyła całą hypokryzyę, powierzchowność i bezskuteczność urzędowej tresury. »Te dzieci nie są już naturalne, nie są już sobą — pisze — a przecież ich przyrodzone skłonności w niczem się nie polepszyły!«.

A dalej: »Nie uczy się tu cnoty, uczy się przybierać pewne, na pochwałę zasługujące pozory. Sztuczność! i nie tylko sztuczność!« »To funkcyonaryusze — woła jeszcze później — którzy wszystko widzą pod kątem administracyjnym! W istocie stwierdziłam, co niejednokrotnie wyznały mi nauczycielki, a bez skrupułu polecali dyrektorka

i inspektor, że w postępowaniu z dziećmi dyrektywą nie ma być korzyść dzieci, ale efekt, rezultat statystyczny i urzędowy raport«.

Cel więc chybiony, a jest nim i pod innym względem; pracowano rzekomo dla dobra społeczeństwa, oczekiwano więc od niego wdzięczności, uznania. Dzieje się przeciwnie. Opieka w ochronie nie jest bezpłatną: taksa drobna do uiszczenia, ale sam fakt, że się coś płaci wystarcza, ażeby dać rodzicom powód do pretensyi, narzekań i podejrzeń; stąd dla grona nauczycielskiego podwójna zależność: jedna co ciąży z góry, druga co krępuje z dołu.

Słowem ogólne niezadowolenie, a życie płynie dalej pełne brudu, bólu, występków — życie zwierzęce — bez Boga! Aktem oskarżenia kończy się ten bolesny memoriał, a pada z ust jednej z przedstawicielek ludności Ménilmontant, tej ludności, dla której błogosławieństwem miała być rządowa ochronka. »Nie, ona już tam więcej swego dziecka nie odda! cóż tam zyska? czy choć o jotę dola jego będzie jaśniejsza? i kiedy mój bachor powtarza mi wasze szkolne brednie, to zdaje mi się, że słyszę to, co i do mnie dawniej mówiono: ład, porządek, uszanowanie, posłuszeństwo, tak! a w dodatku 18 godzin pracy, głód i żadnej litości i żadnego Pana Boga, a wkońcu śmierć w strumyku! I ruchem tak nieprzejednanym, z jakim się nigdy nie spotkałam, wypędziła mię z swej nędzy«.

Takim systemem wychowawczym zaprawdę nie uszczęśliwi się narodu i pracy cywilizacyjnej nie poprowadzi się naprzód.

M. S.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

»Biblioteka kultury polskiej«: **Dzieje Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1800—1832)**. Z dzieła Aleksandra Kraushara z upoważnienia autora skreślił *Mieczysław Offmański*. Warszawa 1907.

Czytelnicy *Przeglądu* znają choćby ze sprawozdania umieszczonego w nim znakomite dzieło Kraushara o Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie. Pan Offmański streścił to dzieło dla Wydawnictwa M. Arcta w Warszawie i pracę tę właśnie mamy przed sobą.

Dla osób, którychby objętość pracy Kraushara odstraszała od zapoznania się z nią, streszczenie p. Offmańskiego dać może dobry obraz dziejów instytucyi, która tak ważną rolę odegrała w dziejach naszej kultury.

Od siebie dodał pan Offmański przedewszystkiem bardzo ciekawy dokument, dający świadectwo, jak na konfiskatę zbiorów Towarzystwa zapatrywali się nawet ci, których nie mamy powodu zaliczać do naszych

przyjaciół. Niederhalter, konsul pruski w Warszawie, pisze w relacji do swego rządu, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk otrzymało w swoim czasie legaty z zastrzeżeniem, że w razie jego rozwiązania, zapisy wrócą do rodzin. W tem położeniu była wdowa po jenerale Dąbrowskim. Konsul przedstawia sprawę jej jako podanej pruskiej swemu monarsze.

Oprócz tego kreśli p. Offmański szkic dziejów Towarzystwa naukowego w Płocku (1820—1830) i Towarzystwa krakowskiego oraz powstałej z niej Akademii Umiejętności.

B.

Wyprawa na Litwę według zapisków hr. Macieja Mielżyńskiego. Spółka wydawnicza. Kraków 1908.

Broszurka licząca stron 68 nie jest nowością lecz odświeżeniem zapomnianych już może zapisków Mielżyńskiego, które wyszły w r. 1833. Opisuje ona wyprawę generała Chłapowskiego z notatek M. Mielżyńskiego, jego towarzysza broni, i przedstawia charakter jego w lepszym świetle, aniżeli dr. Spazier w »Wyprawie na Litwę« generała Dembińskiego, według zapisków tegoż generała. Dziełko poprzedzone jest krótkim życiorysem M. Mielżyńskiego.

St. B.

Kwestya terminatorów w naszym kraju. Kraków 1907.

W smutnych barwach kreśli bezimienny autor położenie terminatorów, ich nędzę materyalną i moralną, brak uświadomienia religijnego i społecznego. A kwestya terminatorów jest bardzo ważna. Z terminatorów zasilają się organizacje robotnicze i rzemieślnicze, pole tak urodzajne dla posiewu doktryn socjalistycznych. A zresztą i nauka Chrystusowa każe

nam zająć się tymi maluczkimi. Trzeba zorganizować związek terminatorów. Celem tego związku podniesienie religijne, umysłowe i materyalne. Zadanie to spełni lepiej związek, niż Towarzystwo opieki nad terminatorami, gdyż w Związku terminatorzy pracują pod kierunkiem jakiejś osoby światłej i znającej ich potrzeby. Razem ze Związkiem należy organizować Komisye opiekuńcze, złożone z ludzi, którzyby dawali Związkowi moralne i materyalne oparcie.

B.

Powrót hrabiego Wittego. Przełożył z rosyjskiego W. P. Warszawa 1907.
Wykradzenie więźniów. Warszawa 1907. Wydawnictwa »Dziennika Powsz.»

Pierwsza praca jest to szkic satyryczny na rządy Wittego i panowanie w Rosyi Związku narodu rosyjskiego.

Druga z wymienionych broszurek opisuje wykradzenie 10 więźniów z więzienia śledczego na Pawiaku. Obie są ciekawym dokumentem stosunków w Rosyi w roku ubiegłym.

B.

Trzy sprawy. List otwarty do p. Stanisława Koźmiana przez Alfreda Szczepańskiego. Warszawa 1908.

Trzy sprawy, które autor chce omówić, to przymierze z Niemcami, zbrojny pokój i dualizm. Autor nazywa je fetyszami, które zostały Austrii z czasów przewagi Bismarcka. Wzywa do ich obalenia. Przymierze z Niemcami nie przynosi Austrii korzyści, tylko powoduje niepotrzebne zbrojenia. Zamiast ugody z Węgrami, proponuje raczej zwykłą sąsiedzką zgodę pod jednym monarchą, a na takiej zgodzie wyjdą lepiej oba państwa.

E.

Rusin, Moskal i Polak czyli Kościół unicki a schizma. Poznań 1907.

W formie dyalogu przedstawia autor broszury historię Kościoła na Rusi, unii i schizmy, stosunek Polski i Rosyi do unii, i zbija zarzuty zwykle podnoszone przeciw Polsce co do jej stosunku do Unii. Praca w obecnych stosunkach bardzo na czasie.

L.

Biblioteki parafialne, ich potrzeba, zakładanie i sposób prowadzenia. *Ks. M. Fulman*. Wydawnictwo „Dziennika Powszechnego”. Warsz. 1907.

Autor wzywa duchowieństwo, by zajęło się zakładaniem bibliotek parafialnych, aby nie dopuścić, by ludność otrzymywała strawę duchową niezdrową. Podaje sposób, jak należy te biblioteki zakładać, jak je prowadzić, jak kierownik wpływem swym, rozmową z wypożyczającym może podnosić jego umysł, rozjaśniać myśli, łącznie z książką czytana działają kształcąco.

K.

Związek chłopski (Boerenbond) w Belgii i Holandyi. *Aleksander Woycicki*. Warszawa 1907.

Jak wspaniałe wyniki daje asocjacja odpowiednio celowo zorganizowana, przykładem związku włościańskie w Belgii i Holandyi, których genezę i organizację przedstawia nam autor.

Z małych zaczątków, ze stowarzyszenia 7 rolników powstał związek w Belgii. Obecnie liczy 26.000 członków, zakupuje dla członków żywność i maszyny, ma mleczarnie udziałowe, skład z młynem, utrzymuje kasę kredytową, która udziela kredytu długoterminowego, ubezpiecza od ognia, wypadków i na życie, udziela porad prawnych, wydaje cza-

pismo rolnicze, które poucza czytelników o postępowej uprawie roli, używaniu nawozów, maszyn i t. d. Urządza częste odczyty i pogadanki fachowe, ma pola doświadczalne.

Rezultatem tego ogromny postęp ekonomiczny w Belgii. Religia odnosi też tryumf, gdyż partya katolicka ma przeważnie oparcie w członkach Boerenbondu.

Podobną ma organizację i działalność Boerenbond w Holandyi.

R.

Społem! Kooperatywy, powstanie stowarzyszeń udziałowych i najpierwsze zasady ich prowadzenia. *A. L. Szymański*. Warszawa 1907.

Robotnicze sklepy spożywcze. *Ludwik Fr. Kamiński*. Biblioteka Sztejnarda. Lwów 1908.

Obie broszurki, napisane każda w innych stosunkach, mają treść podobną. Praca p. Szymańskiego obejmuje o tyle szerszy okrag, że mówi wogóle o sklepach udziałowych, podczas gdy p. Kamiński ogranicza się tylko do sklepów spożywczych. Obaj przedstawiają, jak się taki sklep zakłada, jak się go prowadzi, jakie są stąd korzyści dla członków, wskazują na przykłady innych krajów, a szczególnie na powstanie sklepu udziałowego w Rochdale w roku 1843 i na świetne wyniki tam osiągnięte.

Broszurki obie popularyzując ideę asocjacji i kooperacji, zasługują na szerokie rozpowszechnienie i życzyliby należało, by jak najszerszy i najsilniejszy wpływ wywarły.

A. B.

Adam Krechowiecki. Sylwetka jubileuszowa. Napisał *Henryk Cepnik*. Lwów 1908. Nakładem wydawnictwa *Dziennika Polskiego*.

Autor chcąc przyczynić się do uświetnienia 25-letniego jubileuszu nie-

strudzonej pracy na polu publicystyki Adama Krechowickiego, pisze tę małą broszurkę, kreślącą w krótkości życie zasłużonego pisarza a zarazem przypominającą nam jego pracę publicystyczną, rozpoczętą od drobnych anonimowych wierszy, doprowadzoną dziś do pięknych powieści historycznych, które mimo twardego kamienia probierczego dzieł Sienkiewicza są zajmujące i przez społeczeństwo z góraczą ciekawością czytane.

St. B.

Golgota Polska czyli święty Krzyż na szczycie Łysej Góry w 900 rocznicę fundacji 1006—1906 roku i okolica. *Ks. T. Pajczkowski*. Nakładem autora. Warszawa 1906.

Autor podaje nam w niniejszem dziełku historię kościoła na Łysej Górze i legendę o jego założeniu przez Bolesława; opisuje nam wszystkie zabytki historii i sztuki znajdujące się w tym kościele. Dlatego dziełko to jest nie tylko cennym przewodnikiem dla rozlicznych pątników, nawiedzających Górę Świętokrzyską, ale także dla miłośników i badaczy zabytków przeszłości przedstawia pewną wartość.

St. B.

Moses und der Pentateuch. Biblische Studien. *Hoberg Gottfried*. Freiburg i. Br. Herder.

Autor dzieli rozprawę na trzy części: I (str. 5—9) »Mojżesz, autor Pentateuchu w Starym Testamencie«; II (70—71): »Mojżesz, autor Pentateuchu, w Nowym Testamencie i tradycji«; III (75—124) »O zaprzeczaniu

niem Pentateuchowi mojżeszowego autorstwa«. Rozprawa cała streszcza się w słowach (123): »Jeżeli wyjdziemy z założenia przy naukowem zbadaniu tekstu Starego Testamentu, że księgi historyczne zasługują na wiarygodność i że dlatego przebieg nadprzyrodzonego Objawienia prawdziwie i należycie opowiadają, to musimy uznać, że księgę Prawa St. Z. należy przypisać jako autorowi założycielowi starozakonnej teokracji t. j. Mojżeszowi... Usiłowania krytyków, aby wykazać, że Mojżesz nie jest autorem Pentateuchu, ale że Pentateuch powstał na gruncie rozlicznych źródeł dopiero po powrocie Żydów z wygnania i przyjętym został za księgę Prawa przez Żydów palestyńskich—jest zupełnie mylne i fałszywe...«

Rozprawa odznacza się podaniem wyczerpującej bibliografii. Z autorem polemizuje Vetter, który w ocenie tego dzieła (p. *Biblische Zeitschrift* 1906, str. 61—67) widzi zasadniczą różnicę pomiędzy tą krytyką Pentateucha, co żadnych nie stawia z góry problemów, prócz formalno-metodycznych — a krytyką racjonalistów, uprzedzoną swymi religijno-historycznymi poglądami. Pierwszą metodę krytyki uważa Vetter nie tylko za uzasadnioną i dozwoloną — ale nawet jak dziś, za konieczną i zaleconą przez egzegezę katolicką. W przeciwieństwie do Hoberga zaznacza Vetter, że Pentateuch powstał po Mojżeszu (w pierwszych czasach królestwa) na gruncie źródeł pisanych, które także między innymi i mojżeszowe wiadomości zawierały. *X. dr. J. K.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Od czasu do czasu dochodziły nas w ostatnich miesiącach z mniejszą lub większą pewnością głoszone wiadomości o jakimś nowym ruchu w Cerkwi rumuńskiej, o pewnym zwrocie ku katolicyzmowi a nawet o pragnieniach i dążeniach zmierzających do połączenia się z Rzymem.

Kto zna zmateryalizowane społeczeństwo rumuńskie, zajmujące się wszystkim, co nie jest religią a wykluczające w swem życiu pierwiastek religijny; kto zna ten Kościół, co więcej jeszcze od innych Kościołów prawosławnych zeszedł na bezdroża, a w którym czysto zewnętrzna forma, i to jeszcze znieprawiona, zastąpiła wewnętrzną treść — temu podobne pogłoski wydawały się dziwne, nieprawdopodobne i podejrzone. Mimo to zaprzeczyć nie można, że coś się dzieje, że jakiś ruch, może nawet wcale doniosły, w łonie rumuńskiej Cerkwi się odbywa.

Zdaje się, że jeszcze nigdy prasa rumuńska tak się nie zajmowała swoim Kościołem a raczej sprawami Kościoła, jak dzisiaj. Te głosy prasy są wyłącznie ujemne; stanowisko, jakie ona wobec krajowego prawosławnego kleru zajmuje, jest bezzględnie potępiającem. A jednak odnosi się wrażenie, że to piętnowanie stosunków religijnych w kraju, nie wypływa z chęci poniżania kleru

lub Kościoła ani z prostego zamięłowania w brudach i skandalach, lecz że jest ono wprost krzykiem rozpacz i bólu, a odsłaniając równocześnie prawdziwe bagno zepsucia, szuka ratunku i pomocy.

»Kler nasz, — pisze wychodzący pod redakcją profesora bukareszteńskiego uniwersytetu, Jorgi, *Neamul românesc* (Naród rumuński), w zeszycie z dziewiętnastego listopada zeszłego roku, — jest bezdennie niemoralny, pełen skłonności do pijatyk, pogrążony w obżarstwie, łakomstwie i chciwości. Nie zajmuje się nauką ani dziełami miłosierdzia ani misjami. Przeciwnie, głównem jego zajęciem od rana do wieczora, to oszczerstwa, zazdrość, plotkarstwo. W jego kościołach daje się rozwody kobietom, uprawia się zabobony, wynajmuje się sklepy, sprzedaje towary, udziela ślubu dziewczętom (t. zn. nielegalnie) i t. d. Kościół w wielkiej części swoich przedstawicieli jest dzisiaj gniazdem szerszeni, jaskinią łotrów, szkołą zepsucia«.

»Grzechy nasze, — pisze w tym samym zeszycie prawosławny duchowny, — są za liczne i za wielkie; nie mam nawet odwagi, by o nich pisać...«

»Jest to prawdziwym skandalem, — wywodzi inny — że posiadamy podobny kler. Przestańmyż wreszcie lękać się katolików i innych straszaków; lękajmy się nas samych. Nie mamy większych wrogów religii i Kościoła od naszych duchownych. Oni burzą religijne uczucia w duszach swych wiernych, profanują świętość najwznioślejszych czynności, poniżają godność wiary przez uprawianie wszelkiego rodzaju zabobonów«.

Te zdania i poglądy potwierdza rzeczzone pismo ogłoszonym w różnych zeszytach szeregiem win kleru prawosławnego, które powyższe sądy aż za mocno uzasadniają, a nie są tylko wypadkiem wyjątkowym i odosobnionym. Wystarczy chyba zwrócić uwagę na jeden fakt. Gazety rumuńskie podniosły zgorszenie, jakie po wsiach wywołują księża, żyjący często po śmierci żony w konkubinacie. Na to z pośród kleru wyszła propozycja, by takim księżom pozwolić na zawarcie małżeństwa... cywilnego.

Te zdania potwierdza przedewszystkiem świeżo po dziennikach rumuńskich rozbierana sprawa metropolity mołdawskiego, Partenie. Dygnitarz ten nie cieszył się nigdy dobrą opinią. Już

wówczas gdy był tylko biskupem Dolnego Dunaju, zarzucano mu dużo win, podających w wątpliwość nie tylko prawość jego charakteru, ale i czystość jego obyczajów. To się nie zmieniło i później, zarzuty owszem spotęgowały się. Oskarżano go publicznie o symonię i o rozpustę, wykonywaną nawet na miejscu świętem.

Rzecz charakterystyczna! O te zbrodnie obwinili metropolitę prawosławny organ kościelny z Bukaresztu; opinia domagała się jego ustąpienia a słuchacze teologii ogłosili strajk, aby te głosy opinii poprzeć. Nie mógł im się oprzeć ostatecznie i sam metropolita, który podał się do dymisji; dymisyę natychmiast przyjęto.

Publiczne ogłoszenie przyczyn dymisji zepsuło jeszcze więcej całą sprawę. Człowiek, który piastował drugą godność w Kościele rumuńskim, a którego słusznie postawiono pod pręgierz, tłumaczy swe ustąpienie »gorliwością o chwałę domu Bożego i o doskonalsze spełnianie obowiązków pasterskich«, »staraniem o dziesięcioletnią bezsennością osłabione zdrowie« i »pragnieniem zbawienia duszy!«

Szukają więc wszyscy ratunku i wyjścia z niemożliwego położenia, lecz gdzież ten ratunek znaleźć? Chciano zreformować kler przez utworzenie seminariów duchownych, w którychby alumni, oddzieleni od słuchaczy uniwersytetu, wykształcenie pobierali; ten środek wywołał burzę w interesowanych sferach.

Radzono zwrócić się do biskupów i im powierzyć reformę kleru. Odpowiedziano na to: »Biskupi nasi są często tacy sami, jak i kler, z którego łona wyszli. W nich nigdy nie będzie ratunku dla Kościoła. Nasz episkopat nic nie czyni, niczego nie rozumie; sami musimy bronić naszych świętości«.

Te tylko środki zaproponowała Rumunia, aby odrodzić swój Kościół. W kwestyi odrodzenia Kościoła stajemy jednak wobec niedającej się rozwiązać zagadki, tej mianowicie: jak ślepy poprowadzi ślepego? Naród sam niema prawie wiary a Kościół narodowy wydany jest cały na łaskę i niełaskę ludzi z Kościołem nie wspólnego nie mających. I tu chyba leży główne źródło złego. »Mając w Kościele narodowym, — pisze wyżej przytoczony organ z czternastego stycznia bieżącego roku, który jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, że całe dowodzenie przeciwko Kościołowi naro-

dowemu się zwraca i właściwe źródło upadku wykazuje, — mając w Kościele narodowym potęgę, jakiejbyście nie mieli w Kościele katolickim, nie zrozumieliście tej potęgi i na najwyższe godności hierarchiczne wybieraliście ludzi, którzy nie byli w stanie Kościołem kierować. Nie obchodziły was ich zdolności, nauka, czystość ich obyczajów; nie pytaliście się, czy ten, któremu dajecie najwyższą godność, na nią zasługuje. Dowiadywaliście się jedynie o opiniach politycznych; słyszeliśmy was stale mówiących: ten jest zasad liberalnych, ów konserwatywnych — a przecież to w grę wchodzić nie powinno tam, gdzie rozstrzygano tak ważną sprawę. W rachubę trzeba było wziąć: uzdolnienie człowieka przeznaczanego na takie stanowisko, a więc jego zasługi kościelne, jego kulturę umysłową. Gdzieście się nie kierowali polityką, tam szliście na chybił trafił, bez zrozumienia rzeczy, bez znajomości ludzi I dlatego dzisiaj na czele naszego Kościoła stoją dygnitarze z powodu których oskarżacie sam Kościół, że zeszedł na bezdroża i nie przynosi owoców. Żyznego ziarna Kościół nasz samiście pozabawili».

Te słowa prawosławnego kapłana, wbrew jego woli i zamiarom, mówią, gdzie leży zło, które wykorzenić się nie da i zrozumieć łatwo okrzyk boleści na łamach tego samego pisma: »Lękamy się katolików i ich propagandy. W ich Kościele bylibyśmy jednak przynajmniej chrześcijanami, nosilibyśmy słusznie imię uczni Chrystusa, którego obecnie tylko ustami wyznajemy. Nasz Kościół dzisiejszy jest negacją chrześcijaństwa, jest zbiorowiskiem pogan, umiających jedynie dla siebie wyzyskiwać imię Chrystusowe... Od Kościoła przedstawianego przez takich potworów milszym jest katolicyzm lub nawet islam«.

Z okazji katastrofy włoskiej
 Leżą przed nami trzy oryginalne fotografie. Na pierwszej odbity adres prywatnej osoby z Rzymu, marka włoska z pieczęcią *Messina* i napis: *Il Telefono. Giornale umoristico senza colore. Letterario, Politico, Amministrativo A Tempo Perso. Anno IV. Messina 26—27 Dicembre. 1908.*

Dwie następne pokazują w całości ów osławiony wiersz, którego jeden ustęp podaliśmy czytelnikom w ostatnim zeszyście

Przeglądu. Wiersz ten o dziesięciu zwrotkach, rozłożonych na dziewięć dni nowenny Bożego Narodzenia i pierwsze święto, zamieszczamy dzisiaj w tłumaczeniu:

NOWENNA BOŻEGO NARODZENIA.

UŁOŻONA PRZEZ KOLEJARZA.

1 dzień nowenny:

O matko święta, matko Pana — Ulituj się nademną, biednym nędzarzem — Moje podarte kieszenie nie mają szczęścia — Widzieć w sobie choćby cień lichego szeląga — Przez miłość niewinnej — Dzieciny modliłem się do ciebie — Modliłem się do ciebie na próżno — Jestem wiecznie w rozpacz.

2 dzień.

Kiedym służył pod dawnymi panami — Było nie dobrze, miło to wyznać — Przechodząc potem z pod złodziei pod łotrów — Dostałem się z deszczu pod rynnę — Przez miłość twojej Dzieciny — Którą, o Maryo, tulisz do łona — Poślij ty przynajmniej do dyabła tego — Co skórę z nas zdziera.

3 dzień.

Me biedne serce! Mój miły Panie — Moi wszyscy piękni aniołowie, litości! — Błagam was o to, wesprzyjcie mnie — Przez miłość waszej Dzieciny — Święta Matko mojego serca — Poszukaj wyjścia, przyjrzyj się sama — Uwiadom Dyrektora — Że tak dalej być nie może.

4 dzień.

Kiedy wszystko było tanie — Miał człowiek więcej, źle nam nie było — Teraz gdy wszystko kosztuje dość słono — Znajdujemy się w wyjątkowym położeniu — Dzięki któremu możemy wszyscy — Umierać z głodu, gdy tylko zechcemy — O Maryo, twój sługa błaga — Byś powiedziała Ojcu Przedwiecznemu — Że odkądśmy się pod Rząd dostali — Zwiększyła się nasza niedola.

5 dzień.

My pracujemy, biedne matolki — Mrąc z głodu, wędli, źle odziani — My pracujemy... a piękne miliony — Zgarniają pasybrzuchy — Przez tego, którego piastujesz — Na twoich rękach, o święty Ojczy — Święty Józefie, zaopiekuj się nami — Ach! roz-

słoń swój płaszcz — Ma modlitwa jest gorąca i szczerą — I ześlij tęgą... cholere.

6 dzień (21 grudnia).

Jeszcze trzy dni a będzie Boże Narodzenie — Nie dla mnie, / rozumie się, lecz dla... patrycyusza — Mnie w on dzień (i toby jeszcze źle nie było) — Czekaj szesnaście godzin służby — Zamiast przekąski, mięsów, wina i deserów — Spółka mnie może jaka kara — O moje Dzieciatko — Prawdziwy człowiecze, prawdziwy Boże — Przez miłość twojego krzyża — Wysłuchaj naszego głosu — Ty, który wiesz, że jesteś znanym — Ześlij wszystkim trzęsienie ziemi.

7 dzień.

Pocieszająca nowina! jakie szczęście — Doniesiono, że silna burza — Zburzyła wielki tor — A wagony poszły do szpitala — Z tego więc logicznie wynika — Że przyjdzie przepędzić święta poza miejscem pobytu — O moja Boża Dziecino — Spójrz, i stary się przynajmniej — Wyprawić zawsze wpierw gońca ze złą wieścią — Do kogo ci się więcej spodoba.

8 dzień.

Chwałę ci daję, o wielki mój Panie — Dzisiaj i zawsze i w każdej chwili — Napisał mi własnoręcznie mój Inspektor — Że w myśl regulaminu — Jestem skazany na karę dwóch lir — Ale dlaczego, nie umie powiedzieć — I dlatego proszę Mesyasa — By tęgą... solucyę — Niby ze studni zesłał — Na tego, komu... ona więcej potrzebna.

9 dzień.

Oznajmiła mi pewna gruba ryba — Że jeśli będę mniejszym szelmą, jak inni — I będę mu nadskakiwał, jak lokaj — To choć jestem nieukiem — Da mi awans — I, rozumie się, podniesie mi pensyę — O mój Jezu, jakie to brudne — Rzemiosło, ty tego nie pojmujesz — Patrz-no! ten mój... opiekun — Chce, bym był... szpiegiem — Chce bym był... (o chytra szelma!) — nie mówmy o tem!

Dzień Bożego Narodzenia.

Dzisiaj na obiad pan Bertolini — Pan Giolitti i pan Riccardo — Przygotowali z pewnością wyszukane potrawy — Które

na pierwszy rzut oka do obżarstwa kuszą — Ja mam tylko zwój kiełbasy — przygotowany z wielką grzecznością — O Jezu — Ty się nie śmiejesz? — Tak dalej być nie może — Spraw przynajmniej, by to Boże Narodzenie — Wielkiem nieszczęściem dotknęło — Tego, co ujął w swe ręce zarząd — Kolei państwowej... S. V. Migneco.

Nie można zaprzeczyć, że wiersz ten mimo, że przebija w nim boleść i rozpacz z powodu smutnych warunków socjalnych, jest jednak stekiem różnych trywialnych i w trywialnej formie wygłoszonych bluźnierstw. Ciekawe też światło rzuca na niego list, drukowany w numerze z 22 stycznia w *Giornale d'Italia*, przez ks. Cando z Katanii: »Straszna katastrofa, która zniszczyła Messynę, pisze, była dawno przewidywana i przepowiedana. Bluźnierstwa, wroga Bogu szkoła, zepsucie ujawniające się w ubiorach, a przede wszystkim bezbożna i z wszystkiego, co święte, drwiąca sobie prasa doprowadziły dawną religijną Messynę do prawdziwie oplakanego stanu. Mnie osobiście zdaje się nadto, że gniew Boży wywołała nie tak bezbożność złych, jak raczej pożałowania godna bezczynność katolików. *Il telefono*, którego nakład dochodził do liczby dwudziestu pięciu tysięcy egzemplarzy, znajdował pod pokrywką humorystyki, mimo bezwstydných bluźnierstw z Boga i N. Panny, dostęp wszędzie — do kapłanów, panów i pań. Ogłaszał często listy otwarte do Ojca Przedwiecznego, pełne prostackich bluźnierstw i trywialnych karykatur Najwyższego; drukował także wiersz przeciwko Niepokalanej, zawierający grozą przejmujące plugastwa. Wszystko bez protestu, choćby ze strony jednego katolika. A przecież mówiono i drukowano tyle razy: lękajmy się bicia Bożego. Spadł wreszcie i był straszny. Rozpocznę od domu mojego, groził Pan w Piśmie św. I pierwsze padły świątynie, z których kamień nie pozostał na kamieniu... Dwudziestego szóstego grudnia 1908 r. zwołano z inicjatywy antyreligijnego Stowarzyszenia *Giordana Bruno* w Messynie wiec, na którym jako porządek dzienny uchwalono zniszczenie religii w Messynie. Następnego dnia Messyna została zniszczoną«.

Jak i w zeszłym numerze *Przeglądu*, tak i teraz otwarcie

zaznaczamy, że nie jest bynajmniej naszym zadaniem roztrząsać wyroki Opatrzności i rządu Boże nad światem — dlatego też dajemy same cytaty bez dalszych objaśnień. Nasuwają się jednak na pamięć słowa angielskiego *Daily Mail*, który przytaczając fatalną zwrotkę, dodał od siebie: »Jeżeli ona jest prawdziwą, dowodzi jasno, że z Boga żartować nie wolno«.

Dwaj
opiekunowie
Austrii

Austria jedna jest państwem katolickiem — coraz częściej rozbrzmiewa to hasło — więc trzeba jej z jednej strony dać niesfałszowaną ewangelię, z drugiej rozniecić w niej jasne światło, jakie ze sobą myśl niepodległa niesie. W tym też kierunku idzie praca nieproszonych Austrii opiekunów i przyczynki, służące do zrozumienia tych dwóch kierunków, zamieszczał *Przegląd* różnymi czasy; może nimi służyć również i dzisiaj.

Wszechniemiecki związek w Hamburgu zebrał w ostatnich tygodniach »dla rodaków« w Dolnej Styryi dwa tysiące marek, które wysłano na ręce protestanckiego pastora Maya w Cylei. Na to otrzymał Związek następującą odpowiedź:

»Szanowni Panowie, Drodzy Rodacy i Bracia! Nasz dzielny adwokat i przyjaciel, dr. Hans Hartmeyer z Wiednia, donosi mi, żeście, dzięki waszej odezwie z listopada, zebrali na korzyść Niemców z Lichtenwaldu około 2.500 koron. Przyjmijcie za to ode mnie, jako od proboszcza tutejszych katolickich i protestanckich Niemców — wszyscy biorą udział prawie wyłącznie w moich nabożeństwach — wyrazy najszczerzej wdzięczności. Zmuszacie mnie przecie do tego przez to, że Niemiecki Dom, który z waszych środków powstanie, ma dalej prowadzić naszą pracę. Bądźcie przekonani, że waszymi pieniędzmi i waszemi sympatjami przyczynicie się do stworzenia niesłychanie ważnego i koniecznego dzieła, które ma uratować od zagłady tutejszych wśród bezprzykładowych ofiar mężnie o swą narodowość walczących rodaków. Rozumiejący położenie wiedzą dobrze, że nasi pograniczni bracia tylko wówczas się uratują, jeżeli z żonami i z dziećmi odpadną od niesumiennego i słowianizm szerzącego Kościoła rzymskiego. Moralna i duchowa wartość protestantyzmu pobudza do

czynu nasze szeregi i robi nas silnymi i gotowymi do ciężkiej walki. Oby tylko nasi drodzy rodacy w kraju nie zapomnieli, że to przecież ich bracia tu na południu toczą rozpaczliwą walkę o byt lub zagładę. Nasi wrogowie rozporządzają licznymi środkami materyjalnymi, które płyną z Rosyi i z bogatego rzymskiego Kościoła. Czyż Niemcy sami zaprą się swojej krwi i swych kości? Nie opuszczajcie nas, wspomagajcie nas dalej».

Te o wytartem czole i protestancko-niemieckiej bucie świadczące słowa, choć je komentuje *Reichspost*, komentarza bliższego nie potrzebują.

Równoległy powyższemu fakt, wyjęty z międzynarodowego organu wolnomysłnych, *Almanach Annuaire*, przytacza w paryskim *Eclair* Ernest Judet.

»Kto za punkt wyjścia w ocenie rzeczy bierze stosunek państwa do Kościoła rzymskiego, powiedzieć musi, że w Austrii stoczona zostanie rozstrzygająca bitwa między współczesną ludzkością a rzymskiem papieżem. Rzeczywiście, jedna Austria pozostała państwem katolickim. W niej panuje Kościół rzymski. Austria jest uległą córką Kościoła; jest ostatnią ucieczką umierającego papieża. W katolickiej Austrii zdążają po prostu do tego, aby wskrzesić wieki średnie. Wszyscy, którzy znają i badają aktualne położenie w krajach uchodzących za katolickie, jak Włochy lub Hiszpania, które to kraje są jednak uzbrojone przeciwko niebezpieczeństwu rzymskiemu i coraz więcej z pod wpływów rzymskich się usuwają, muszą przyznać, że w Austrii stoczy się rozstrzygająca bitwa między ludzkością a jej odwiecznym wrogiem, Kościołem rzymskim, który pragnie na nowo pełną kłatwy przeszłość do życia powołać. Dlatego jest obowiązkiem wszystkich wolnomysłnych we wszystkich krajach mieć na ciągłej uwadze rozwój rzeczy w Austrii i dążyć z pomocą odważnym wolnomysłnym tego rozległego państwa, którzy żyją w szczególnie trudnych warunkach. Wolnomysłni w Austrii zwalczają z dziwnie dodatnim skutkiem reakcyę; stanęli do rozstrzygającej walki, nie zwyciężą jednak, jeżeli będą odosobnieni i jeżeli gwałty na nich popełniane nie wywołają w cywilizowanym świecie tego oburzenia i tego gniewu, który każdy rząd do zastanowienia się po-

budza. Dlatego na prośby naszych drogich i dzielnych braci w Austrii zwracamy się z tą alarmującą odezwą do świata. Głos nasz objaśni wszystkich wolnomysłnych o prawdziwym położeniu tego nieszczęśliwego kraju».

I te słowa tłumaczenia nie potrzebują — łoża stanie zawsze do szeregu, ilekroć chodzi o walkę z Kościołem, a trudności, z jakimi w swym pochodzie prawdopodobnie wbrew oczekiwaniom i nadziejom spotkała się w Austrii, będą tylko zachętą do dalszych knowań i kreciej pracy. O ile bowiem w pojęciu łoży obowiązkiem katolicyzmu jest: ulegać, słuchać, poddawać się, pozwalać oskarżać się o najwstrętniejsze a bezpodstawne zbrodnie i milczeć, o tyle prawem łoży jest judzić, buntować a nadewszystko szerzyć swoją wolność, która znowu może być udziałem tylko pewnych wybranych, choć w gruncie nakłada cięższe kajdany od Bożego prawa i kościelnej władzy. Nas jednak takie postępowanie zachęcić powinno do bacznej czujności i wytrwałej a celowej pracy.

Nowi Święci Ostatnie wiadomości z Rzymu donoszą, że dwudziestego czwartego stycznia załatwiono definitywnie sprawę kanonizacyi Błog. Klemensa Hofbauera i beatyfikacyi Joanny d'Arc. W obecności papieża i zebranych dostojników Kościoła i gości odczytano dekrety stwierdzające prawdziwość cudów nowych Świętych. Na uwagę zasługuje szczególnie jeden ustęp z włoskiej mowy Ojca św., w którym daje charakterystykę dzisiejszego społeczeństwa i ukazuje w przykładzie Świętych źródło odnowienia:

»Potrzeba nam dzisiaj skutecznego orędownictwa, gdyż społeczeństwo obecne, sparaliżowane i trędowate, okazuje się niewdzięczne wobec łask nieba; jest głuchem na te serdeczne wezwania, któremi Bóg je do powrotu do dobrego zachęca. To społeczeństwo zapoznaje łaski nieba a jego kary uważa za zjawiska sił przyrody. Boga wydalono ze szkół i z rodziny. Społeczeństwu ludzkiemu zdaje się, że obędzie się ono bez Opatrzności Młodzień, wychowana w niewierze szerzonej przez niebaczną prasę, gardzi tymi, którzy zachowują prawa Boże i nazywa te prawa zabobonem.

Kler i religię prześladowuje się nawet w łonie Kościoła. Papież wzywa Błogosławionych, aby oni u Boga wstawiali się za ciałem społeczeństwem. »Ci, kończy Ojciec św., których zwyciężył Bóg, nie są jak owi niewolnicy, wleczeni za wozem dawnych tryumfatorów; odradzają się przeciwnie do wolności i sumienia, które jest prawdziwą wolnością i które tam jedynie panuje, gdzie żyje i działa duch Boży«.

Życzyć tylko można, aby te słowa Ojca św. wzbudziły uśpione sumienia a orędownictwo nowych Świętych uprosiło te łaski, bez których niema życia i niema szczęścia. Spodziewać się tego wolno. Św. Klemens, który długie lata na wydatnej pracy w Polsce spędził, jest symbolem niejako tej miłości, co wszystkie rany zagoić potrafi. W bł. Joannie d'Arc, tej dziewiczej postaci, której różnymi czasy literatura i sztuka, nawet nie katolicka, stawiała pomniki, znajdzie znowu Francya wzór, jak obowiązki narodowe pogodzić z religijnymi, miłość ojczyzny z miłością Boga i Kościoła. Wolno ufać, że nowe beatyfikacye w niejednym szlachetniejszym sercu zrodzą zastanowienie się nad myślą, że Kościół katolicki nie jest chyba taką niedorzecznością, skoro przez długi szereg wieków daje tak szlachetnych synów i córki krajom i niebu.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z wydawnictw katolickich ¹.

Jeżeli ulubione dzisiaj hasło »ewolucya« ma gdzie swoje uzasadnienie, to z pewnością na polu wiedzy ludzkiej. Podczas gdy w starożytności jeden umysł wybitny mógł objąć cały obszar ludzkiej wiadomości, jest to dziś rzeczą zgoła niemożliwą, by jeden człowiek choćby jedną tylko naukę w zupełności posiadał. Specjalizacya wiedzy stała się niezbędnym środkiem, by nie marnować sił i nad rozwiązaniem pozostałych jeszcze rozlicznych zagadnień skutecznie pra-

¹ *Herders Konversations-Lexicon*. Dritte Auflage, reich illustriert durch Textabbildungen, Tafeln, und Karten. I, 1740 S. (1902); II, 1758 S. (1903); III, 1818 S. (1904); IV, 1790 S. (1905); V, 1790 S. (1905); VI, 1794 S. (1906); VII, 1838 S. (1907); VIII, 1910 S. (1907).

cować. Dzisiaj nauka, sztuka, przemysł, handel, jednym słowem wszystkie czynniki kulturalne, są jakby olbrzymiem morzem bez granic i bez dna, morzem, w którym jednostka zupełnie ginie.

A przecież żąda się i dzisiaj nie mniej, lecz może więcej jeszcze niż dawniej od każdego wykształconego człowieka, by był »wszechstronnie« wykształconym, by się mógł wszędzie prędko i dobrze oryentować. Z tem żądaniem zwracamy się do profesora i publicysty, do księdza i wyższego urzędnika; śmiejemy się z takiego fachowca, który wprawdzie na swoim polu posiada gruntowną wiedzę, lecz poza tem niczego zgoła nie wie. Ponieważ jednak niemożliwą jest rzeczą, w każdej nauce choćby jedną tylko gruntowniejszą książkę w celu lepszego poznania tej nauki przeczytać, musiano więc myśleć nad tem, w jaki sposób możnaby cały obszar ludzkiej wiedzy każdemu bez wyjątku uprzystępnąć. Tak powstały encyklopedye czy to fachowe, czy to powszechne.

Potrzeba encyklopedyi dała się już czuć w starożytności. W starożytności też spotykamy się już z pierwszymi próbami dzieł encyklopedycznych. Tak pisali encyklopedyę Speusippos, Varro i inni; utrzymało się jednak tylko dzieło Pliniusza pod tytułem *Historia naturalis*. Encyklopedya w właściwym znaczeniu powstała jednak dopiero w wiekach średnich. Marcjanus Capella pisał swoje *Satyricon*, Izydor z Sewilli swoje *Origines*, a Wincenty z Beauvais swoje potrójne *Speculum historicum, naturale i doctrinale*. W latach od 1349 do 1350 wydał Konrad z Megenberg swoją encyklopedę *Buch der Natur*; roku 1410 wychodzi *Imago mundi* Piotra d'Ailly, roku 1503 drukowano *Margarita philosophica* Grzegorza Rejscha. Bardzo ciekawe jest także *Theatrum vitae humanae* Lykostena, opracowane 1631 roku przez Beyerlinka. Za twórcę nowożytnej encyklopedyi uchodzi wszelako Bako z Verulam (*Organon scientiarum* 1620; *De dignitate et augmentis scientiarum* 1623). Do naszych encyklopedyi zbliżają się już *Dictionnaire historique et critique* R. Bayle'a (1696) a jeszcze więcej *Encyclopédie ou Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers* w 35 tomach (1751—1780), której twórcami są Diderot i d'Alembert.

Encyklopedye nowożytne są dość liczne. Zwłaszcza Niemcy mają wielką ilość większych lub mniejszych encyklopedyi. Lecz we wszystkich tych wydawnictwach dał się odczuć jeden brak dotkliwy; niemal wszystkie encyklopedye były lub są prześiakięte antypatją, a nawet nienawiścią do wszystkiego, co jest katolickiem. Gdy kto chciał

się z takiej encyklopedyi poinformować o instytucjach, obyczajach lub uroczystościach katolickich, o katolickich poglądach filozoficznych lub teologicznych, o katolickich pisarzach, o katolickich Świętych itd. itd., albo nie znalazł nawet wzmianki o nich, albo tylko spaczony, nie zgadzający się z rzeczywistością opisy.

Dlatego było to wielką zasługą Benjamina Herdera, że w latach od 1853—1857 wydał encyklopedyę w pięciu tomach, w której uwzględniano także życie i prace katolickie. Drugie wydanie nastąpiło w latach od 1875—1879 w czterech tomach. Były to encyklopedye dość skromne, bez obrazów i map geograficznych, które nie mogły i nie chciały współzawodniczyć z wielkimi encyklopedyami Brockhousa i Mayera. Wymagania stawały się coraz większe, brak większej encyklopedyi katolickiej stał się coraz dotkliwszy. Dlatego postanowił nakładca już około roku 1890, stworzyć zupełnie nową encyklopedyę. Nowa encyklopedia miała być możliwie dokładna, gruntowna i wyczerpująca, nie miała jednak być zbyt obszerną, lecz na możliwie najmniejszej przestrzeni miała dać jak najobfitszy pogląd na wszystko, co wchodzi w skład dzisiejszego życia kulturalnego.

Podajemy tu na podstawie autentycznych źródeł krótki pogląd na olbrzymią pracę, jaka się w tej nowej, dziś już zupełnie skończonej encyklopedyi mieści.

Przeszło sześć lat trwały same przygotowania. Ażeby ta nowa encyklopedia rzeczywiście zawierała całą społeczną wiedzę, trzeba było wertować niezliczoną prawie ilość czasopism i dzieł fachowych. Zebrany w ten sposób spis wyrazów, uporządkowała i skraciała naprzód redakcyja, a następnie po raz drugi cały szereg fachowców. Należało dla każdego artykułu obliczyć przestrzeń, by każdy artykuł stosownie do ważności i obfitości materiału był należycie opracowany. Praca ta była tem trudniejszą, że olbrzymi materiał miał się mieścić w ośmiu tylko tomach. Dalej należało obliczyć ilość i jakość ilustracyi czy to w samym tekście czy to na osobnych tablicach, ilość map geograficznych, zastanowić się nad aparatem typograficznym, nad rodzajem druku, któryby przy możliwie małych literach był jednak bardzo czytelny. Używano w tym celu około 800 specjalnie dla encyklopedyi lanych czcionek. Obmyślano zupełnie nowy i nader praktyczny system skrótów i uproszczeń, tak że zyskano w ten sposób bardzo dużo miejsca. Skrócenia te są tego rodzaju, że każdy bez wyjątku odczytać je może; dla lepszej orientacyi jest jednak na początku

każdego tomu dodany spis, alfabetyczny skrót i znaków oraz krótkie uwagi dla używania encyklopedyi wogóle.

Redakcja składała się z głównego redaktora i dwunastu redaktorów fachowych zajętych przerobieniem materiału dostarczonego, przygotowaniem nadesłanych manuskryptów do druku i kontrolą samego druku. Prócz tego liczni pracownicy byli zajęci ogólnymi pracami redakcyjnymi. Dziesięciu ludzi musiało kontrolować wszystkie tytuły podanych książek oraz lata, w których cytowane książki wyszły, nadto musieli do wszystkich niemal artykułów dodać odnośniki do innych artykułów czy to poprzednich, czy to następnych. Liczba współpracowników nienależących do redakcyi i personelu drukarskiego wynosiła przeszło 500, nie licząc tysięcy okolicznościowych współpracowników dla rozmaitych szczegółów. Tak np. niemal wszystkie artykuły o miejscowościach podanych w encyklopedyi są opracowane przez urząd gminny danej miejscowości.

Każdy arkusz wysłano w okragło 60 odbitkach do najważniejszych współpracowników. Szczególnem staraniem nakładcy było, by wszystkie wiadomości z różnych krajów świata były możliwie najświeższe i najdokładniejsze. Wysyłano w tym celu odbitki rewizyjne nie tylko do Niemiec, Austrii i Szwajcaryi, ale także do Włoch, Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Holandyi, Belgii, Anglii, Danii, Szwecyi, Norwegii, Rosyi, do półwyspu bałkańskiego i Zjednoczonych Stanów Ameryki. Dla innych krajów ofiarowały swe usługi poselstwa, konsulaty, misyonarze itd.; nad Japonią pracowało czterech uczonych japońskich, bawiących w Niemczech. Każdy arkusz czytano sześć razy w drukarni i ośm razy w redakcyi. Jeżeli do tego uwzględnimy jeszcze 60 odbitek rewizyjnych rozsyłanych po całym świecie, pokazuje się, że niemal każdy artykuł encyklopedyi czytało około 100 ludzi.

W drukarni pracowało 12—14, później dla przyspieszenia druku 18—19 zecerów; 4—6 pras było zajętych drukiem arkuszy i licznych kart. Samą oprawą zajmowało się 60—100 ludzi.

Cała encyklopedia liczy okragło 8.400 stronic, 1,159.200 wierszy czyli 46,368.000 liter. Korespondencya w celu załatwienia pracy była wprost olbrzymia; dla jednego tylko artykułu *Schrift* wraz z kartami potrzebne były: dwie osobiste odwiedziny współpracownika we Fryburgu, podróż agenta firmy Herderowskiej za granicę, 18 rysunków, 50 zdjęć fotograficznych, 63 listy, 50 kartek korespondencyjnych i 11 telegramów.

Oto słaby tylko obraz pracy przygotowawczej przy tej nowej

encyklopedyi. Praca ta nie była daremna. Najwybitniejsze pisma wyrażają się z wielką pochwałą o tej nowej encyklopedyi. *Der Türmer* pisze w zeszycie grudniowym 1907 roku: »W przyszłości trzeba będzie Herderowską encyklopedyę do pierwszorzędných encyklopedyi zaliczyć... Herder przeprowadził cały szereg szczęśliwych ulepszeń. Przedewszystkiem zasługuje na pochwałą dobrze obmyślany system skróceń, który wolny od wszelkich niejasności pozwolił umieścić olbrzymi materiał na ograniczonej przestrzeni. Prócz tego encyklopedya zawiera bardzo wiele artykułów poglądowych, przedstawiających na szczupłym miejscu szeroką syntezę. Także z powodu bardzo bogatych ilustracyi dzieło to stoi zupełnie na wysokości dzisiejszych wymagań. Odrębne stanowisko zajmuje encyklopedya Herdera dlatego, że jest wiernem odbiciem katolickiego poglądu na świat. Ton całego dzieła jest spokojny i rzeczowy...« *Allgemeines Literaturblatt* (Wiedeń 1907, nr. 22) nazywa encyklopedyę dziełem co do rozmiarów mniejszem, lecz co do prawdziwej treści bynajmniej nie uboższem od innych wielkich encyklopedyi. *Das evangelische Deutschland* (Gütersloh 1907, zeszyt 8) podnosi przedmiotowość we wszystkich artykułach treści religijnej. *Blätter für höheres Schulwesen* (Berlin, 1908, nr. 1) mówią, że bogactwo podanego materiału nie może być większe ani wiarygodniejsze. *Badische Rechtspraxis* (Karlsruhe, 1908, nr. 3) nazywa to dzieło źródłem niewyczerpanem i nieraz bogatszem w treść aniżeli wielkie encyklopedye.

Podobnych świadectw moglibyśmy jeszcze wielką ilość przytoczyć. W rzeczy samej każdy artykuł jest tak sumiennie opracowany, że nie można prawie znaleźć słowa zbytecznego. Każdy rzeczownik, każdy przymiotnik jest pełen znaczenia i treści. Niejeden artykuł jest wprost kwintessencją całego dzisiejszego stanu wiedzy w danej kwestyi. Historia i literatura podana przy każdym niemal przedmiocie jest bardzo obfita i doprowadzona do najnowszych czasów. Nieraz widzimy w kilku wierszach całą historię ewolucyi przed sobą; przykład takiego poglądu podaliśmy, choć niezupełny, w powyższych uwagach o historii encyklopedyi.

Lecz wejdźmy już w szczegóły, by poznać różnorodność, obfitość i gruntowność podanego tu materiału.

Najbardziej wpada w oczy, przy powierzchownem nawet wertowaniu tych ośmiu tomów, obfitość starannie wykonanych map i ilustracyi. Zwłaszcza sztuka ze wszystkimi jej gałęziami jest bardzo obszernie, wyczerpująco nawet uwzględniona, Z samych tablic z illu-

stracyami odnoszącemi się do historii sztuki, możnaby zestawić album liczące przeszło 130 stron. Znajdujemy tu sztukę egipską, bizantyńską, chińską, grecką, hebrajską, rzymską, indyjską, islamską, perską i starochrześcijańską, dalej 10 tablic do stylu gotyckiego, 10 tablic do renesansu, 8 tablic do stylu romańskiego, nadto cały szereg tablic do architektury i malarstwa społecznego. Ze sławnych malarzy są osobno uwzględnieni: Dürer, J. i H. Eyk, Fra Angelico da Fiesola, Holbein, Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Raffael, Rubens i Tycyan. Ze sztuki religijnej mamy 15 wizerunków Chrystusa Pana, 24 wizerunków Najświętszej Maryi Panny, dwie tablice z krzyżami, 2 tablice z relikwiarzami i również 2 tablice z monstrancyami. Ciekawe są także cztery tablice przedstawiające nowoczesne teatry i cztery tablice przedstawiające domy mieszkalne w różnych krajach i stylach.

Niemniej dokładnie została uwzględniona geografia i historia. Niemal każdy kraj ma prócz bardzo starannie, na podstawie najnowszych badań wykonanej mapy, jeszcze obszerny artykuł; najobszerniej zostały oczywiście Niemcy i Austria uwzględnione.

Z pojęciem i rozwojem teologii zapoznajemy się na osobnej karcie, gdzie też bardzo obfita literatura jest podana. Prócz tego można zawsze pod odnośnemi słowami znaleźć wyjaśnienie czy to różnych gałęzi teologicznych, czy to wyrazów technicznych, czy też wybitnych ludzi zasłużonych na polu teologii. Kwestye sporne, zwłaszcza protestanckie, są przedstawione z naukową przedmiotowością i spokojem, wolnym od wszelkiego fanatyzmu religijnego.

Również bardzo jasne, treściwe, zdrowe i przedmiotowe są artykuły odnoszące się do filozofii. Prócz właściwego artykułu tłumaczącego pojęcie, podział i znaczenie filozofii, znajduje się jeszcze osobna tablica przedstawiająca historię filozofii. Pod różnymi wyrazami są krótkie, lecz bardzo dokładne informacje podane, np. teoria poznania, metafizyka, dualizm, monizm, idealizm, panteizm itd. itd. Obfita literatura daje i tu możliwość dokładniejszego poznania przedmiotów.

I literatura także różnych narodów i wieków została obszernie uwzględniona. I tak podaje piąty tom na czterech wielkich kartach znakomity przegląd całej literatury wszechświatowej. Wogóle należy zwrócić uwagę na te osobne dodatkowe tablice przeglądowe w najrozmaitszych materyach; nie przypominam sobie, żeby jakakolwiek encyklopedia była przedtem używała tego sposobu informowania o ważniejszych kwestyach.

Również starannie została historia naturalna, dziś dla ogólnego wykształcenia tak bardzo potrzebna, uwzględniona. Nie wspomina tu już o pojedynczych nazwach ze wszystkich gałęzi historii naturalnej, zwracam uwagę na tablice poglądowe i osobne mapy. I tak tom pierwszy przedstawia w czterech bardzo starannie wykonanych rysunkach skomplikowany mechanizm oka ludzkiego i na osobnej tablicy układ narządów krwionośnych człowieka; tom trzeci przedstawia na dwóch stronicach treściwy przegląd geologii; w tomie czwartym zaznajamia nas osobna tablica z anatomią i patologią serca, a inna tablica przedstawia w wykonanych po mistrzowsku rysunkach dziewięć rodzajów kolibrów; tom piąty podaje na czterech stronach całą krystalografię wraz z ilustracjami (89 rysunków) itd. itd.

Jeszcze obszerniej zostały może wszystkie gałęzie przemysłu ludzkiego uwzględnione. Z prawdziwą przyjemnością czyta się artykuły, objaśnione wyraźnymi i dokładnymi rysunkami, o torpedowcach, o okrętach osobowych i wojennych, o armatach, o elektryczności, tramwajach i kolejach żelaznych. Automobilista znajduje w szóstym tomie zajmujący artykuł na ośmiu szpaltach o historii i urządzeniu automobilu; aeronauta ma w piątym tomie obszerny artykuł o balonach powietrznych, o maszynach latających i ich historii oraz o używaniu tychże maszyn dla celów wojskowych i naukowych. Niemożliwą jest rzeczą wszystko wymienić.

Z uznaniem należy także podnieść bogactwo, przedmiotowość i treściwość artykułów odnoszących się do wszelkiego rodzaju kwestyi społecznych i politycznych. Wychowanie i szkolnictwo, sanitarność, kwestya robotnicza, towarzystwa bankowe, produkcya książek, kwestya podatków, zabezpieczenie od ognia, społeczny ruch kobiecy, kwestya więzień, handel i wojskowość, zabezpieczenie inwalidów, kwestya obrony dzieci i dziewcząt, historia kolonialna, zabezpieczenie chorych, kwestya rolnictwa i hodowli bydła, kwestya patentu, wszelkiego rodzaju środki komunikacyi, demokracja i polityka socyalna, kwestya śmiertelności i chowania zmarłych, gimnastyka i prawo wyborcze, te i wiele innych rzeczy podaje encyklopedia piórem pierwszorzędných fachowców. jak się po przeczytaniu tych artykułów łatwo przekonać można.

Jednem słowem można powiedzieć, że firma Herderowska położyła wielką zasługę koło dobra ludzkości, podejmując się tego wydawnictwa. Odtąd katolicki pisarz i polityk będzie mógł czerpać swą wiedzę ze źródła prawdziwie katolickiego, stojącego zarazem najzu-

pełniej na wysokości dzisiejszych wymagań. Każda redakcja, każda biblioteka, każda czytelnia, każda szkoła i pracownia naukowa powinna się zaopatrzyć w nowego Herdera. Cena jest zresztą tak niska i warunki spłaty tak wygodne (miesięcznymi ratami conajmniej czterech koron), że nawet mniej zamożny z łatwością to znakomite dzieło sprawić sobie może. Życzymy nowemu Herderowi z całego serca jak najlepszego powodzenia.

Fryderyk Klimke.

Ze świata kobiecej pracy społecznej¹.

Pewien cudzoziemiec przejeżdżając przez Paryż był zaproszonym na bardzo świetne przyjęcie. Kobiety wspaniale ubrane, ozdobione kosztownymi klejnotami, piękna muzyka, świetna rozmowa o teatrze, literaturze, modach i tysiącu drobiazgów: — to wszystko zrobiło na nim wrażenie ujemne, jako dowód błyskotliwości płytkiej Paryżanek. Tymczasem z jakimże zdziwieniem usłyszał od pani domu jako odpowiedź na tę obserwację: »Patrz pan — ta oto tak świetna piękność, zajmuje się z rana małemi dziewczynkami w podmiejskiej ochronce, tamta pracuje w ambulatorium dla suchotników, tamta cały dzień przebywa na przedmieściu między biednymi«. I tak okazało się, że te pełne elegancyi kobiety całe ranki i długie godziny spędzają na spełnianiu dzieł miłosierdzia dla tych, co są pokrzywdzonymi tego świata.

Pan Acker z dumą pewną kładzie nacisk na tę wartość społeczną swych rodaczek, kreśląc monografię dzieł społecznych, dokonywanych w Paryżu przez kobiety, widzi w nich rękojmię odrodzenia Francji przez zdrową ofiarność dusz dzielnych nie cofających się przed trudem osobistym.

Książka pana Ackera jest złożona z szeregu bardzo ciekawych studyów; przebiega on różne formy działalności: 1) Wychowanie społeczne kobiet. 2) Dziecko. 3) Młoda dziewczyna. 4) Wszyscy członkowie rodziny. Oto tomy, w które szereguje opisy różnych stowarzyszeń pracujących w Paryżu. W bardzo ciekawej przedmowie, opowiada pan Acker genezę tych artykułów. Wiążą się one ściśle z osobistością Brunetière'a, który podsunął mło-

¹ Paul Acker. *Oeuvres sociales des femmes*. Paris, Librairie Plon, 1908.

demu autorowi pomysł monografii działalności społecznej kobiet w ostatnich latach dziesięciu. »Gdybym nie był przyjął tej rady czuję dzisiaj jak wielka luka istniałaby w mojej znajomości życia« — pisze p. Acker w dalszym ciągu, tłumacząc się niejako przed czytelnikiem, że on — powieściopisarz z zawodu — wziął się do wręcz innego rodzaju twórczości. To tłumaczenie własne, budzi sympatyę dla młodego autora, który tak prawdziwie zaznacza, że obok miłości jest całe inne życie, świat tych, którzy cierpią i tych, którzy się poświęcają i tych, którzy umierają z głodu równocześnie obok pracy ratującej od rozpacz. Mogą być tragedye, zawody miłości, ale niemniejszą tragedią są dzieje rodziny na bruk wyrzuconej, dziewczyny uwiedzionej, dzieci przestępnych. Z całą szczerością przyznaje, że dopiero po zwiedzeniu tych przedmieść Paryża, odkrył nowe światy — i żaden opis nie zastąpi nigdy naocznego doświadczenia, a żadne książki teoretyczne nie odkryły mi takich horyzontów w sercu kobiet, jak właśnie rozmowa z temi, które poświęciły życie swoje leczeniu zepsutych stosunków w równowadze społecznej.

I właśnie ta sympatya dla rzeczy, o której pisze, przenika całą tę książkę i budzi ten żywy interes u czytelnika. Umyślnie tak długo zatrzymałam się na czysto osobistych zwierzeniach autora, bo, wydaje mi się rzeczą pożyteczną zwrócić uwagę tych co piszą o sprawach żywotnych, jak bardzo wiele ciepła i życia dodaje każdej martwej literze druku — ten odblask tętniącego żywego doświadczenia i — wrażenia.

Przejdźmy do książki.

W pierwszym rozdziale p. t. *Action feministe et l'action feminine* autor w szerokich rzutach kreśli ogólne (i już bardzo znane!) charakterystyczne rysy tych wręcz odrębnych sposobów pojmowania ruchu kobiecego. Rozróżnia więc działalność indywidualistyczną od działalności społecznej natchnienie swe czerpiącej w chrześcijaństwie, przypomina też, że wartość daje jałmużnie dopiero trud osobisty. Kongres niemieckich kobiet katolickich we Frankfurcie (6 grudnia 1904) wyraźnie kładzie nacisk na tę konieczność przygotowania młodego pokolenia do pracy społecznej. Wtedy dopiero kobiety potrafią użytecznie spożytkować swe dobre chęci i porywy szlachetne i zamiast przez jałmużnę często lekkomyślną zrzucić z siebie obowiązek miłości bliźniego, zdołają umiejętnie kłaść fundament pożyteczny do poprawy losu klas ubogich.

W krajach anglosaksońskich najpierw zrozumiano potrzebę

kształcenia przygotowawczego. W r. 1899 bogaty filantrop John Simmons założył w Bostonie instytut swego imienia w tym celu właśnie. Pensyonarki płacące około 300 dolarów rocznie przez lat cztery przechodzą cały program specjalnie ułożony w celu teoretycznego i praktycznego poznania potrzeb społeczeństwa. Wiedza ścisła daje podstawę nauce biologii, higieny, buchalteryi; gospodarstwo domowe i utrzymanie domu wchodzi do programu. W Londynie »Szkoła socjologii i ekonomii« daje również możność kształcenia się w tym kierunku tak kobietom jak mężczyznom. Każda uczennica musi obok słuchania kursów praktykować w biurach *Charity Organisation Society*. W Amsterdamie w Holandyi panna Boisserach założyła też szkołę wychowania społecznego, gdzie dwuletnia nauka uczy teorii, obnażania z praktyką.

W Paryżu panna Gahery na przedmieściu Charoune stworzyła dom zwany *Union familiale*, gdzie uboga ludność przedmieścia znajduje opiekę dla dzieci, radę dla matek, wykłady dla starszych. Obok, przy tem tak doniosłej wartości dziele, przechodzą praktykę pracy społecznej kobiety światowe, nieznające dotąd z bliska ani tego jak obchodzić się z chorymi, ani jak przemawiać do dzieci lub oddziaływać praktycznie na rodzinę całą klas uboższych. Jest to dopiero początek takiej szkoły, ale gdy jest ona ściśle złączona z praktyką, niewątpliwie przyniesie doniosłe rezultaty. Interes dla tych kwestyi wzrósł bardzo z chwilą, gdy baronowa Pierard w salonach swoich zaczęła w r. 1904 urządzać konferencye i odczyty, w których szereg ludzi wybitnych jak Brunetière, Lamy, Goyau i inni przesuwali przed zgromadzonymi słuchaczkami najważniejsze teorye i fakta społeczne. Odczyty miały ogromne powodzenie i musiano wyszukać salę znacznie obszerniejszą, a jako ich rezultat utworzono stowarzyszenie *Action sociale de la femme*. Celem tego to informacja o stowarzyszeniach, pomoc w urządzaniu odczytów na prowincyi, budzenie zainteresowania dla kwestyi aktualnych. Sekretaryat prowadzony bardzo energicznie od razu w pierwszym roku odpowiedział na 6.000 listów z zapytaniami. Zaczęto wydawać biuletyn, który wychodząc co miesiąc utrzymuje żywą łączność między podobnie myślącymi kobietami, budząc zarazem umiejętną propagandę, nowe inicjatywy.

W całej Francyi zaczęły powstawać tu i owdzie Kółka kobiet specjalnie w celu kształcenia się i czytania dzieł społecznych i ekonomicznych; pod różnemi hasłami powstając łączą się one jednak dzięki właśnie temu biuletynowi wydawanemu niezwykle umiejętnie.

Action sociale podaje zarazem i tytuły dobrych książek, umieszcza zestawienia bibliotek, obznajamia z literaturą współczesną i pismami poświęconemi sprawie kobiecej. Pismo to wychodzące co miesiąc (prenumerata 8 franków. Adres: Paris Rue de Bienfaisance) można najgoręcej polecać. W Krakowie łatwo się z niem obznajomić w Czytelnicy Związku Niewiast katol. w Pałacu Spiskim. Tak więc ten się w myśli, to obznajomienie z teorią, to zainteresowanie życiem drogą naukową, przygotowuje teren do działania, stwarzając atmosferę wśród której dopiero powstają osobiste powołania do pracy praktycznej. Najważniejszymi sposobami do wykształcenia właśnie w tej pracy kobiet to dwa rodzaje czynności: *Cercles d'etudes*, gdzie się gromadzi dane kółko młodych panien, lub też osób starszych dla czytania i studyowania kwestyi aktualnych lub rozszerzenia wiedzy. W książce pana Ackera mało znajdujemy szczegółów o ich rozwoju, chcąc więc bliżej zaznajomić się z nimi, trzeba zaglądnąć do pisma *Jeune fille Contemporaine* wychodzącego w Besançon, do książki Furmanna *Initiatives feminines*, lub też do *Françaises* wydanej przez *Action populaire*. Z uczestniczek tych kółek rekrutują się późniejsze pracowniczki. Jako najpowszechniejszą formę oddziaływania na klasy uboższe uważają słusznie uczenie gospodarstwa domowego, kuchni, szycia, kroju dziewcząt ze sfer pracujących i tutaj właśnie najważniejsza rzecz jest osiągnięta, bo wzmocnienie rodziny, stworzenie pomyślnych warunków dla ugruntowania ogniska domowego. Dobrze ugotowany obiad, czystość wesoła w mieszkaniu, ubranie porządne, bielizna ładnie uprana, to wszystko przywiązuje robotnika do domu, odciąga go od szynku i włóczęgi. Ale, żeby tego dokonać, musi taka dziewczyna wychodząca za mąż, albo wynieść tę umiejętność z domu, albo nabyć ją gdzieindziej. *Enseignement menager*, to właśnie droga do tego słusznego, doniosłego celu. Pani hr. Diesbach położyła tutaj ogromne zasługi. Nauka gospodarstwa domowego, wysoko stojąca w Szwajcaryi a popierana usilnie przez rząd w Belgii, została przez nią wprowadzona do Francyi; przeszła ona odpowiednie kursa w Belgii, zdobyła tam patent w r. 1902, poczem z gotowym planem zabrała się do propagandy we Francyi. Od r. 1902, dzieło to ogromnie się rozwinęło. Pani Diesbach najpierw wzięła się do przygotowania nauczycielek i dzięki bardzo praktycznej metodzie, osiągnęła swój cel. Po zdaniu bardzo wyczerpujących egzaminów, idą w świat te nauczycielki; w różnych dzielnicach Paryża, w różnych stronach Francyi powstają pod ich kierunkiem szkoły i kursa gospodarcze. Pani Diesbach dla ujedno-

stajnienia nauki, ułożyła plan pochwalony gorąco przez naczelnego instruktora nauki zawodowej i gospodarczej w Belgii. Dziewczęta z ludu od lat czternastu przechodzą naukę gotowania z stałym budżetem tanich obiadów, uczą się prania, prasowania, naprawiania. Takich szkół jest obecnie 50 z frekwencją 1.250 kobiet rocznie. Urządzenie kursów nie pociąga zbyt dużych wydatków, owszem usiłowaniem pani Diesbach, jest jak największe uproszczenie tych szkół, tak, że koszt założenia, nie przenosi kilkuset franków. Główna siedziba tego doniosłego dzieła, jest przy zakładzie wychowawczym Sióstr Miłosierdzia, Rue de l'Abbaye 3, a tytuł oficjalny *Association de l'Enseignement menager*. Wszędzie uznają ogromne znaczenie właśnie tego rodzaju pracy nad uboższymi klasami. W Niemczech katolicki *Frauenbund* gorliwie popiera ten rodzaj działalności kobiet, a dla zwiększenia pożytecznego a praktycznego rozszerzenia nauki gospodarstwa, urządza specjalnie urządzone kursa wędrowne, gdzie w danym miasteczku lub gminie, otwierana bywa taka szkoła na kilka miesięcy z niewielkim względnie kosztem a wielkim pożytkiem.

Wogóle zastanawia w tych opisach różnych szkół, ochron i instytutu ci ta ciekawa okoliczność — jak najpożyteczniejsze z nich zadawalniają się bardzo skromnem, nieraz wprost ubogiem urządzeniem i umieszczeniem. Naprzykład dzieło tak bardzo doniosłe *Union familiale*, założone i prowadzone z świetnym rezultatem przez pannę Gauhery na przedmieściu Paryża St. Antoine, Rue Charoune, pan Acker tak opisuje: »Puściłem się na poszukiwanie *Union familiale* na ubogim przedmieściu chętnie, wyobrażając sobie, że znajdę gmach mury, elektryczność, lift, telefon, liczny personal. Wchodzę pod nr. 172 w jakiś pasaż i zawracam zaraz — tak tam nędzne domki, ciasne podwórza. Wreszcie pytam o *Union familiale*. Pokazują mi w środku małego podwórka; domek wygląda niby jakiś warsztat. Pociągam za dzwonek. Dziewczątka piętnastoletnie mi otwiera, na lewo widzę niską salę pełną dzieci — z drugiej strony coś, niby magazyn oszklony z nierówną podłogą. Wprowadzają mnie do kancelaryi, śmiesznie ciasnej z małym okienkiem. Tam przy stole pełnym papierów, siedzi panna Gauhery ubrana w ciemną suknię, o powierzchowności skromnej, całkiem zwyczajnej. Ale gdy spojrzała na mnie, by odpowiedzieć na moją prośbę o szczegóły swego dzieła, jej oczy przybrały całkiem inny i całkiem dziwny wyraz zapału i blasku...«

I tak wszędzie dusza dzieła przenika jego zewnętrzną formę. Ta właśnie *Union familiale* stwarza jakby idealne wcielenie domu ro-

dzinnego dla dzieci, porady dla matek, opieki dla słabych. Coś niby tyle sławione Settlementy angielskie. Pomysł ich rzucił w świat czynu Arnold Toynbee w r. 1874 w Londynie, a od roku 1887 gorliwie przez kobiety jest urzeczywistniany. I w Paryżu po owych świetnych konferencyach u pani Pierard, myśl zakładania po przedmieściach Paryża takich *Residence sociale* stała się czynem. Tutaj znowu panna Gourler poświęciła swą energię temu dziełu. Istnieje już kilka takich domów, które po polsku nazwaćby można Domami pomocy, gdzie wśród ubogiego przedmieścia osiada jakaś osoba najczęściej z klas bogatszych i wśród murów małego domku, cały dzień jest na usługi kobiet, dzieci danej dzielnicy, dla dawania im porady, zaopatrzenia rannych, zaopiekowania się jakąś rodziną, gdzie choroba lub śmierć zagościła, pozbawiając dom cały starań matczynych! Około dwieście pań pomocnie wspiera rezydentki w ich wyczerpującej pracy; te wracają do Paryża z przedmieść, gdy rezydentki często miesiącami całymi, przebywają tam stale, poczem mienią się z innemi. Różnorodne formy działania obiera każda z tych »rezydentki« — jedne stwarzają ambulatorya (jest jedno specjalnie suchotnikom poświęcone), inne zakładają szkoły szycia — inne przygarniają kobiety bez pracy. Szczególne zadanie ma jedna z tych *Maison Sociale* istniejące jako kółko siedemdziesięciu kilku studentek, które bez żadnych stosunków w Paryżu, tutaj znajdują wspólne ognisko, bibliotekę, salę do pracy, nawet mieszkanie.

O jeszcze jednym takim Domu opieki warto wspomnieć — to dzieło *Assistance maternelle et infantile* założone przez pannę Chaptal w celu opieki nad matkami, mającemi małe dzieci i nad niemowlętami w fabrycznem przedmieściu Plaisance, gdzie straszna śmiertelność panowała, zanim to dobrze zrozumiane miłosierdzie zaczęło tu swą działalność.

Inna, a bardzo skuteczna forma podniesienia dobrobytu kobiet pracujących, to syndykaty. Niedawno był w *Przeglądzie Powsz.* artykuł w tym przedmiocie — dzisiaj uzupełniamy go szczegółami zaczerpniętymi z książki p. Ackera. Wymownie kreśli on położenie i stosunki takiej szwaczki paryskiej, posługując się często materyałami zebranymi przez hr. d'Haussonville w książce *Misères et salaires de femmes*. Najważniejszy syndykat, łączący chlebobawczynie i pracownice jest w Paryżu, założony w r. 1892 liczy dziś przeszło 1.200 członków — ma swoje domy, gdzie można mieszkać i jadać bardzo tanio, kasę chorych, biuro umieszczeń — rozciąga opiekę nad przy-

szłemi szwaczkami, zapewniając im skrócenie lat terminu i urządzając kursa stosowne. *L'Aiguille* Paryska rywalizuje z *L'Aiguille* w Lyonie: ten syndykat złożony wyłącznie z robotnic, został założony przez pannę Rochebillard, która niezwykłym poświęceniem i umiejętnością, potrafiła rozwinąć wspaniale myśl syndykatów. Po stowarzyszeniu szwaczek, powstały syndykaty robotnic w fabryce jedwabiu, kobiet zajętych w handlu, nauczycielek. Osobny biuletyn informuje o życiu tych syndykatów, które obok korzyści materialnych zapewniają i możliwość wykształcenia. Panny z domów zamożnych, dają systematycznie kursa dziewczętom pracującym; dzisiaj 900 uczennic i około stu pań uczących reprezentuje to dzieło.

Wogóle myśl syndykatów urzeczywistniana przez kobiety dobrze myślące, jest wielką i potężną bronią dla odparcia wywrotowych dążeń socyalistów, jak i dla podniesienia poziomu materialnego i umysłowego stowarzyszonych.

Inny sposób wpływania na poziom moralny świata przemysłowego, to są ligi społeczne kupujących, za wzorem Ameryki. Pani Jean Brunhez założyła w Paryżu tę ligę mającą na celu popieranie fabryk, pracowni i sklepów, sprawiedliwie obchodzących się z podwładnymi i swym personelem, a bojkotowania tych, którzy krzywdzą pracowników.

W Ameryce ta *Consumer's League* z pomocą *Working Womens Society* szybko doszła do wielkiego znaczenia zmuszając pracodawców do higienicznego urządzenia warsztatów, sprawiedliwego traktowania personelu. Myśl ta przesadzona na grunt francuski, bujne puściła korzenie. Energiczne i ruchliwe grono kobiet, zabrało się do pracy. Propaganda uświadczenia kupujących, zasadza się na tem, by popierać tylko sprawiedliwych i uczciwych kupców, pilnować się, aby spóźnionemi zamówieniami nie narażać na przepracowanie krawcowe, zajęte niesłuchanie w pewnych porach roku, płacić uczciwie rachunki. Narzędziem wyborem do dopięcia tego celu, to urządzenie ankiet; takie zbadanie losu piekarczyków, wykazało straszne nadużycia ze strony pracodawców. Wogóle liga stara się obudzić uwagę kupujących na warunki, wśród których powstaje dany artykuł: stara się zniżyć ten mur dzielący klasy społeczne. Kobiety światowe, nie wiedzą nic o losie i życiu szwaczki, która je stroi, chlebobawca nie pyta o warunki życia i o zdolności podwładnych, poza tą ramą w jakiej go potrzebuje. I na odwrót klasy pracujące nie domyślają się, jakie

to trudności, cierpienia i odpowiedzialności spoczywają na barkach tych uprzywilejowanych!

Niemalą zasługą są też podjęte w ostatnich latach starania około podniesienia drobnego przemysłu. Verhaeren w swej niesłychanie ciekawej książce p. t. *Erode rural* wykazuje jak doniosłe znaczenie ma ten przemysł domowy w przywiązaniu ludności rolniczej do ziemi. W ostatnich czasach, zwrócono się we Francyi do poparcia koronkarstwa, które jeszcze za drugiego cesarstwa w prowincyi Calvados zajmowało 50.000 koronkarek, dzisiaj jest ich zaledwie — tysiąc. Wobec tego obudziła się uwaga rządu; w r. 1903 uchwalono ustawę o szkołach koronkarskich, ale w życie wprowadziły ją dopiero kobiety. Panna de Marmier, po różnych próbach, w celu wstrzymania kobiet od emigracyi do miast, zabrała się do wskrzeszenia koronkarstwa w Pirenejach, — inne panie zajęły się temże po różnych prowincjach. Rezultat okazał się świetnym; prawie 3.500 kobiet w przeciągu lat czterech, przystąpiło do stowarzyszenia, zarabiając najmniej 2 franki przeciętnie w rodzinnym domu. Osobna kasa ubezpieczeń przed starością i chorobą już została założona, różne sposoby wykształcenia i podniesienia koronkarek weszły w życie.

Nie wyczerpałam jeszcze całego zasobu tej ciekawej monografii o pracach społecznych kobiet — i z żalem do innej sposobności odkładam opowieść o Ogrodach robotniczych, »Opiece dziewcząt«, *Presse pour tous*. Ale każdemu najgoręcej polecać trzeba tę książkę, która uczy jak doniosłem jest uczenie pracy. Jest to zresztą ideą przewodnią wielkiego geniusza miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, który dla młodych i zdrowych, widział najwyższe dobrodziejstwo w dawaniu im pracy w rękę!

Marya Harsdorf.



DWA IDEAŁY CYWILIZACYI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

I.

W prorocत्वach, odnoszących się do przyszłego rozwoju ludzkości, dwie przedewszystkiem uderzają nas prawdy i cechy znamienne.

Pierwsza, to wyraźna zapowiedź zwycięstwa prawdy i łaski Bożej nad błędem i fałszem i oporną wolą narodów w historycznym pochodzie ludzkości. Prawda Boża i to co dobre ostatecznie zwycięży i zhołduje sobie serca i umysły ludzkie. Dziś jeszcze ludzie i narody szukają częstokroć prawdy i szczęścia skwapliwie i niestrudzenie po różnych drogach zwodniczych, ale cykl błędów i środków ludzkich ostatecznie się wyczerpie i złudne pozory zwolna opadną a wówczas wszystkie narody w ogromnej większości swojej — bo jednostki oporne zawsze będą — nawrócą się do Chrystusa i wejdą do królestwa jego¹.

Druga jasna zapowiedź prorocza, to rozkwit wspańiały cywilizacyi, która wówczas wzniesie się na najpiękniejsze szczyty i zakwitnie szczęściem narodów i wieczystym pokojem świata. Zachwycające są w tej mierze pod osłoną alegoryi przedstawione wizye rajske proroków, kiedy sprawiedliwość, miłość i miłosierdzie panować będą między ludźmi a świat cały wiernym stanie

¹ Patrz: »Prorocy i ideał messyjański w Izraelu« w *Przeglądzie Powszechnym* z czerwca, lipca i sierpnia 1908 r.

się obrazem odwiecznego szczęścia nieba: »Będzie mieszkał wilk z jagnięciem a pard z koźlęciem legać będzie. Cieleń i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie. Cieleń i niedźwiedź będą się paść i społem legać będą... bo napelniona jest ziemia znajomości Pańskiej jako wody morskie pokrywające«.

Prawda, zapowiedzi te prorocze tłumaczy się w znaczeniu eschatologicznem jako realizacja planu Opatrzności w świecie transcendentálnym na ziemi przeobrażonej i wśród społeczeństwa świętych, ale odnoszą się one również do królestwa Bożego w znaczeniu historycznem, będącego w pochodzie ku doskonałej teokracji zaświatowej. Jest to świetlane królestwo, przedstawione u kresu swej ewolucyi bez form przejściowych i historycznych stadyów rozwoju — wizye prorocze nie uwzględniają ani przestrzeni ani czasu — jest to ideał dla historycznego rozwoju ludzkości zapewne niedościgniony, ale ideał, pełen żywotności i siły światowładnej społecznej i kulturalnej, który w ciągu historyi, mimo chwilowych zaćmień, zwolna wprawdzie ale nieprzerwanie się urzeczywistnia. Wspaniałym dowodem tego jest historia cywilizacyi chrześcijańskiej.

Czegóż ta światowładna siła Objawienia Bożego, która niczem innem nie jest jak zwycięską w pochodzie historyi prawdą i łaską Chrystusową, nie dokonała? Pod wpływem twórczej mocy Chrystusowej rozszerzyło się chrześcijaństwo w ciągu dwu stuleci z nieporównaną szybkością mimo najkrwawszych prześladowań i przeszkód wszelkiego rodzaju w wysoko cywilizowanym i śmiertelną niemocą dotkniętym świecie helleńsko-rzymskim — i spoilo go siecią potężnej i żywotnej organizacyi religijno-społecznej. Pod żywotnem działaniem nauki Chrystusowej zmienia się i przeobraża zwolna, na krwawym egoizmie oparta, budowa społeczna świata pogańskiego: znika niewolnictwo i absolutyzm władców, zacierają się dzikie szorstkości i krwawe zawiści plemiennych zatargów i walk i pomniejszają różnice klasowe. Pod ciepłym tchnieniem miłości Chrystusowej zmieniają się ludzie: przygasa żar namiętności, w sercach budzi się jasny i czysty ideał etyczny i jakies dziwne tęsknoty zaświatowe, wola mężnieje, cnoty, przepromienione miłością, nabierają pociągającego czaru i blasku, wyaniela

się kobieta. Prawda i łaska Chrystusowa napełniają społeczeństwo pogańskie, pozbawione sił żywotnych i konające, nową energią i mocą i ufnością w jasną i szczęśliwą przyszłość. Chrystyanizm wyciska charakterystyczne swe piętno na wszystkich dziełach cywilizacji i otwiera twórczej pracy rozległe perspektywy, nęcące czarem nieskończoności i nieporównanem pięknem.

A postęp społeczny. Żywotna wizya rajskiego społeczeństwa, opartego na sprawiedliwości i braterstwie, kwitnącego dobrobytem pokojem i szczęściem mieszkańców, raz rzucona przez proroków Bożych na ten padoł cierpień i nędzy już nigdy nie wygaśnie w świadomości ludzkości, lecz stanie się twórczym zaczynem, który drogą powolnej ewolucyi stwarza różne zespoły pracy kulturalnej i rzeźbi dzisiejsze społeczeństwa. Niektórzy sądzą, że rewolucya jest rzeźbiarką nowoczesnego społeczeństwa. To niezgodne z prawdą historyczną. Zapewne, w ciągu rozwoju historycznego jej siły niszczące już nieraz rozkuwały okowy niewoli i roztrącały, skamieniałe w egoizmie klasowym, formy społeczne, ale zbudować nie jeszcze dotąd nie zdołały. Ale bo też rewolucya, podobnie jak namietności, które ją wywołują, jest siłą burzącą i w najlepszym razie toruje drogę tylko do ulepszeń społecznych twórczym siłom ewolucyi. A siłami temi są sprawiedliwość społeczna, równość i wolność i miłość chrześcijańska, więc potęgi, które choć korzeniami tkwią głęboko w duszy, przez Objawienie prorocze dopiero zbudziły się do życia i twórczej pracy w rozwoju historii. One stworzyły dzisiejszą cywilizację i wszystkie nowożytnie formy społeczne i nie dozwolą ich zburzyć namietnościom ludzkim, jak długo w świadomości społeczeństwa żyć będzie Objawienie Boże i życie kształtować się będzie, choć w sposób niedoskonały, pod wpływem chrześcijaństwa.

Tak cała historia cywilizacji chrześcijańskiej jest niczem innem, jak okazałą realizacją planu Bożego, ujawnionego w najpełniejszym swoim rozwoju przez proroków a tem samem widomym, w oczy rzucającym się dowodem, że proroctwa o jasnej dobie messyańskiej już w części się ziściły i w miarę jej rozwoju coraz jaśniej i coraz okazalej urzeczywistniać się będą ku ju-

trznym brzaskom lepszej przyszłości, jest niczem innem jak urzeczywistnieniem choćby częściowem tych niedoścignionych ideałów, jakie ludzkości przed oczy stawiali prorocy. I ta wiara i nadzieja w rozświt promienny wielkiego dnia messyańskiego ogólnego pokoju, miłości i swobody była dla nieprzebranego szeregu chrześcijan w ciągu historyi, jest i będzie dla każdego miłośnika ideałów Bożych potężnem hasłem i bodźcem do wyteźnionej i nieprzerwanej pracy we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego nad zbliżeniem tego dnia i królestwa, ku któremu gorącym uczuciem wznosi się każde serce szlachetne.

* * *

Żydzi, którym żywo tkwiła w pamięci dawna chwała i wielkość ojczyzny, nękani klęskami narodowemi i pozbawieni zawisłości politycznej, z proroctw messyańskich dwie tylko zapamiętali sobie prawdy: światowładne państwo pod berłem Messyasza i rajskie czasy szczęśliwości społecznej.

Wizya prorocza Daniela: »Na obłokach niebieskich przyjdzie jakby syn człowieczy«, ma niewątpliwie charakter transcendentalny. »Jakby syn człowieczy«, to przedstawiciel ludu żydowskiego — podobnie jak inne wizye wyobrażają światowe państwa historyczne, — ale ludu, nawróconego po ciężkich doświadczeniach dziejowych do Messyasza i uświęconego łaską nieba (Dan. VII, 9—27), to symbol teokracji idealnej, urzeczywistniającej się w królestwie świętych, kędy zaczyna się wieczność (Dan. XII, 1—3), to scena ze sądu ostatecznego, po której bezpośrednio nastąpi królestwo wieczne. Tymczasem Żydzi z proroctwa tego wysnuli zapowiedź światowładnego państwa, które założy Messyasz na zwaliskach świata helleńskiego i rzymskiego. I w oczekiwaniu tego królestwa trzymali się litery i tłumaczyli dosłownie wszystkie proroctwa messyańskie o potędze i chwale wskrzeszonego królestwa Dawidowego, kwitnącego dobrobytem i szczęściem, o wieczystym pokoju, związanych miłością i posłuszeństwem ludów, o nieprzerodnej żywności przeobrażonej przyrody, o okazałości i blasku wznowionej świątyni i Jerozolimy.

Tak obietnicami rajskiego szczęścia usiłowano rozjaśnić smętnę i ponurą perspektywę przyszłości i załagodzić wszystkie klęski i ciosy straszliwe, które od czasów bohaterskich Machabeuszów tak ciężko zaciążyły nad narodem. Przecież prawie w oczach Żydów powstawały i upadały olbrzymie państwa, powołane do życia na zwaliskach świata przez twórczy geniusz wielkich wodzów. Czy Messyasz w służbie nieba mniej miał zdziałać, niż Aleksander Wielki? Uniwersalna monarchia grecka, a później rzymska, świat i cywilizacja helleńska stanowiły wyborne tło, na którym wyraziście rysowały się światowładne aspiracye religijne i polityczne nacyonalizmu żydowskiego. Marzenia te potęgowała, pasorczytnie krzewiąca się na prorokach Bożych, literatura apokaliptyczna pseudoproroków, która ogólne kontury allegorycznych obrazów messyańskich jęła wypełniać szczegółami i gorącym kolorytem.

W epoce Chrystusa ustaliły się w tej mierze mniej więcej takie wierzenia: Messyasz z rodu Dawidowego, gdy przyjdzie, wyzwoli naród z pod jarzma obcej przemocy i po zjednoczeniu rozproszonych na całym świecie Żydów, na zwaliskach potęgi helleńskiej czy rzymskiej, założy państwo, które podbije pod posłuszeństwo wszystkie ludy i rozciągnie panowanie swoje na świat cały.

I wówczas świeżo odbudowana Jerozolima i świątynia staną się potężnem ogniskiem życia religijnego ludzkości, gdzie zakwitnie w całej pełni, jak ongi w dawnej Jerozolimie kult i służba Jehowy. Za przyczyną Messyasza i ludzi świątobliwych i dzięki mocy ekspiacyjnej wiekowych cierpień narodu, lud się pojedna z Bogiem i nastąpi pokój wieczny pomiędzy niebem a ziemią, który sprowadzi przeobfite błogosławieństwa na królestwo i ludy, nawrócone do Jehowy. Lud żydowski zamieni się w lud świętych i wszyscy poganie nawrócą się do Jehowy i wszędzie panować będzie zakon messyański. Jak długo trwać będą te rajskie czasy pod hegemonią ludu świętego i Messyasza różni różnie tłumaczyli, może lat kilkadziesiąt, może lat 1000. To tylko pewna, że pod koniec epoki messyańskiej, za przyczyną potęg ciemności, ludy, odpadłe od Messyasza, zbuntują się przeciwko królestwu

i miastu Bożemu i bunt ten sprowadzi ostatni tryumf dobrego i zmartwychwstanie ciał i sąd ostateczny¹.

Podobnym jak Żydzi złudzeniom co do prorocत्व messyańskich ulegało też wielu z chrześcijan, zwłaszcza w pierwszych wiekach po Chrystusie. I oni pod wrażeniem niekończących się prześladowań krwawych skwapliwie wybiegali myślą w jasną przyszłość i roili złote sny o rajskim szczęściu królestwa messyańskiego. I w ich świadomości żyły te jasne prorocत्व, że królestwo Boże rozszerzy się na świat cały i zakwitnie szczęściem i pokojem wieczystym. Pierwsze zjawienie się Chrystusa nie urzeczywistniło tych nadziei, jakie przywiązywano do jego dzieła, więc po powtórnem przyjściu w chwale i majestacie spodziewali się ziszczenia jasnej przyszłości. Byli to przeważnie chrześcijanie albo nawróceni z Żydów albo mocno owiani duchem judaizmu, którzy nie chcieli uwierzyć, żeby wszystkie te opisy i zachwycające obrazy rajskej szczęśliwości w messyańskich prorocत्वach miały tylko allegoryczne i duchowe znaczenie, którzy nie chcieli przypuścić, żeby te światowładne siły, tkwiące w chrześcijaństwie odnosiły się przedewszystkiem do sfery sumień i dusz ludzkich. Te same więc racye, które ongi Żydom nie pozwalały w Jezusie uznać Messyasza, bo nie przyszedł w blasku i chwale, te same też wzmacniały i rozżarzały nadzieje pierwszych chrześcijan, iż za powtórnem przyjściem w najbliższej przyszłości urzeczywistnią się na oko w całej pełni jasne prorocत्व messyańskie. Na takim podłożu psychicznem przyjęły się i wyrosły wierzenia, odnoszące się do doczesnego i politycznego panowania Chrystusa wśród chrześcijan, znane w historii Kościoła pod nazwą chiliazmu.

Spróbujmy bliżej określić te wierzenia, które raz zaszczone w świadomość ludzkości odtąd pod różnemi formami raz po raz pojawiać się będą w ciągu historii cywilizacyi chrześcijańskiej.

Co to jest chiliazm, na czem polega jego istota?

¹ Weber: *Jüdische Theologie auf Grund des Talmud und verwandter Schriften*. Zweite Aufl., str. 371—387.

Jest to ideał królestwa pokoju i szczęścia, w którym pod koniec wieków Chrystus po powtórnej przyjeździe swym w chwale panować będzie wśród odrodzonej i przeobrażonej miłością Chrystusową ludzkości. W otoczeniu jego znajdują się wierni, którzy wyszli cało z krwawych prześladowań bestyi apokaliptycznej i święci i męczennicy, którzy powstałi z grobów na wezwanie jego. Chiliazm bowiem rozróżnia podwójne zmartwychwstanie ciał: dobrych ku panowaniu nad światem przeobrażonym i złych pod koniec wieków na sąd ostateczny. Jerozolima, ze zwalisk przeobrażona w światowładną stolicę, stanie się ogniskiem ożywionego ruchu religijnego i politycznego świata ówczesnego. Antychrześcijańskie potęgi świata zostaną upokorzone i wszystkie narody pokłonią się Chrystusowi i pójdą w służbę jego zakonu. Owocem tych rządów świętych pod wodzą widomego Chrystusa będzie pokój i szczęście, które zakwitną wszędzie razem z ogólnym dobrobytem i bogactwem. Bo i ziemia, wyzwolona z przekleństwa grzechu, odtąd w rajskiej obfitości przynosić będzie stokrotne plony.

Czas trwania tej szczęśliwości rajskiej był momentem podrzędnym. Powszechnie jednak przypuszczano, że okres ten 1000 lat trwać będzie, stąd nazwa *χίλια ετη*, chiliazm. W ciągu 6 dni bowiem — tak rozumowano — Bóg świat stworzył a potem nastąpił szabat. Ponieważ zaś według psalmisty (89, 4) tysiąc lat jest jakby jeden dzień przed Panem, więc 7000 lat ludzkość trwać będzie a potem przyjdzie drugie zmartwychwstanie ciał reszty umarłych i sąd ostateczny.

Oto w ogólnych zarysach główne cechy chiliazmu, który w czasach, zwłaszcza późniejszych, różnym ulegał zmianom w różnych sektach i różne przybierał formy stosownie do wyobrażeń filozoficznych i wierzeń eschatologicznych coraz to nowych przedstawicieli i wyznawców.

W pierwotnym chrześcijaństwie dwa przedewszystkiem w tym względzie wyodrębniły się kierunki: jedni, głęboko owiani lub przejęci judaizmem z wiarą w rajskie czasy messyjańskie, łączyli odbudowanie dawnej świątyni jerozolimskiej i wznowienie kultu moizeszowego i dawnych ofiar. Wielu też pod panowaniem świę-

tych z Chrystusem na czele, rozumiało hegemonię Żydów nad innymi ludami a z szczęśliwością rajską łączyło grube rozkosze zmysłów i ciała. Kierunek ten przybrał wnet różne formy sekt, które odcięły się od Kościoła.

Inni, pomni wzniosłej nauki moralnej Jezusa, nie przyjmowali niczego, co by nie było zgodnem z wiarą i uczuciem chrześcijańskiem. W ich mniemaniu rajskie czasy messyańskie nie miały być niczem innem, jak najwspanialszym rozkwitem życia religijnego w połączeniu z szczęśliwością doczesną. Przyświecał im wzniosły ideał społeczeństwa, w którym nie będzie ani ucisku, ani wyzysku, ani cierpienia, ani nędzy — słowem: raj na ziemi. Tylko że ten raj nie miał być owocem historycznego rozwoju wszystkich żywotnych i dobroczynnych sił, drzemających w chrześcijaństwie, ani skutkiem niedoścignionego ideału etycznego Chrystusa, panującego w sercach i w życiu publicznem, lecz przeobrażeniem świata przez »zaszczepienie nadprzyrodzone« zaświata na tym padole łez i cierpień. Chrystus w chwale na czele społeczeństwa świętych ma zapoczątkować te czasy rajskie, które mają być odbiciem idealnych nieba stosunków. To jest cecha istotna chiliazmu, wyróżniająca go od wszystkich innych ideałów społecznych i religijnych, które się w ciągu wieków wyłonią. Chiliazm, to stan szczęśliwości, będący formą przejściową pomiędzy życiem ziemskim a niebieskim, to szkoła wychowania i przygotowania do chwały wiecznej, do przyjacielskiego pożycia z Bogiem i aniołami, jak mówi św. Ireneusz.

Silne poparcie znalazły wierzenia te pozornie w apokalipsie. Pierwsi chrześcijanie z szczególną lubością zagłębiali się w potężnych i zachwycających wizjach proroczych apokalipsy, która miała na celu jak ongi dawne proroctwa messyańskie krzepić i podtrzymywać nadwątłego krwawymi prześladowaniami ducha wiary i wzmacniać nadzieję w bliską przyszłość jasną, pełną chwały i szczęśliwości doskonałej. Otóż z kart tej księgi tajemniczej biją trzy przedewszystkiem prawdy, które głęboko wyryły się w pamięci i żyły w świadomości pierwszych chrześcijan.

Pierwsza, to upadek nieuchronny państwa rzymskiego. Rzym, zadufany w swoją potęgę światowładną, mienił się zawsze nie-

przewyciężonym i wiecznym. *Roma aeterna* — to dogmat oficjalny każdego Rzymianina. Chrześcijanie tymczasem patrząc się na okrutne prześladowania swoich wyznawców i rozkładającą się kulturę pogańską, ufną w sprawiedliwość Bożą, unoszącą się nad dziejami, trwożnie wskazywali palcem na ów rozdział apokalipsy, w którym opisany jest straszny sąd Boży, unoszący się nad Babilonią:

»Upadła, upadła Babilonia wielka... albowiem grzechy jej przysły aż do nieba i wspomniął Pan nieprawości jej... dlatego w jeden dzień przyjdą plagi jej, i śmierć i smutek i głód i ogień będzie spalona, iż mocny jest Bóg, który ją sędzi« (XVIII).

A po upadku co będzie? Czy zaświta jasny dzień nowego porządku? Bo że z chaosu i zwalisk państwa rzymskiego wyłoni się szereg państw chrześcijańskich i wykwitnie nowy porządek społeczny, tego pierwsi chrześcijanie nie przeczuwali ani nie przewidywali. Ich myśl i dusza zrosła się tak ze światem i potęgą rzymską, że ich wzrok duchowy nie sięgał poza świat rzymski. Koniec Romy był dla nich zarazem końcem świata a w każdym razie końcem ich myśli. »Rzym to miasto, które jeszcze wszystko utrzymuje i podtrzymuje« — mówi Laktancyusz. Oni nie wierzyli, żeby te drżące siły narodów barbarzyńskich mogły być czemś więcej w ręku Bożem, niż narzędziami zniszczenia i kary. I stąd oczekiwania ostatniej burzy dziejowej, która rozbłysnąć miała w jasne dni chwały messyańskiej. A może i Rzym się nawróci do Chrystusa i zapoczątkuje rajska epokę szczęścia społecznego. Tak mniemał Meliton z Sardes (Euseb. H. E. IV, 26).

Marzenia takie popierać się zdawał rozdział XX apokalipsy. We wizyi proroczej, odnoszącej się do końcowego rozwoju ludzkości, opisuje tam Jan św., iż widział anioła, ubezwładniającego szatana na lat tysiąc, ażeby zmartwychwstali święci i męczennicy z Chrystusem na czele, rozpostrzec mogli swoje panowanie na świat cały. Pod koniec zaś tysiąclecia, ma być szatan na chwilę udarowanym wolnością i znowu rozwinąć wszystkie moce ciemności, by zburzyć królestwo świętych. »I będzie zwodził narody, które są na czterech węglach ziemi«. Pokonany atoli mocą Bożą

wtrącony zostanie do przepaści na wieki, poczem nastąpi ogólne zmartwychwstanie ciał i sąd ostateczny.

Prorocza wizja ta na pozor zdaje się popierać wierzenia eschatologiczne Żydów o politycznem królestwie messyańskiem, z tą tylko różnicą, że miejsce narodowego Messyasza zajmuje tu Chrystus. Na niej też budowali zwolennicy chiliazmu wśród chrześcijan swoje złudne ideały społeczno-religijne.

Żywa zaś wiara, właściwa pierwszym chrześcijanom w rychłe, powtórne przyjście Jezusa w chwale i majestacie sędziego narodów, podtrzymywała i potęgowała te wierzenia.

Tą wiarą w blizkie przyjście Jezusa głęboko owiana jest apokalipsa. Pierwszy rozdział rozpoczyna się słowy: »Albowiem czas jest blizko... oto idzie z obłokami i ujrzy go wszelkie oko« (I, 3, 7). Końcowe zaś słowa ostatniego rozdziału są: »Zaiste przyjdę rychło: Amen. Przyjdź Panie Jezu« (XXII, 20). Bo Chrystus zawsze przychodzi niepostrzeżenie »jako złodziej« (III, 3), bo Chrystus zawsze blizko jako zbawca lub sędzia (II, 5, 16).

Że wiara ta sprzyjała marzeniom, chiliaistów i nasuwała w czasach srogiego ucisku i krwawych prześladowań blizką interwencję nieba, nie ulega wątpliwości. Wierzono w moc światowładną chrześcijaństwa, wierzono w rychły i zupełny tryumf ideałów Chrystusowych, bo taka jest psychologia każdej żywotnej i wielkiej idei. Ale bo też któż mógł przypuścić, że bez nadzwyczajnej interwencji Boga, któż zdołał wyrozumieć, że bez powtórnego przyjścia Chrystusa w chwale i majestacie to ziarnko gorczyczne z nieba rodem, rozrośnie się w potężne drzewo, oceniające świat cały, zwłaszcza, że Chrystus raz po raz z naciskiem wspominał o blizkiem jakby przyjściu powtórnem i o tem, iż trzeba zawsze być gotowym na wielką godzinę Pańską.

Kolebką chiliazmu jest mała Azja, prastare ognisko chrześcijaństwa, gdzie życie religijne potężnem było tętnem i skąd potężne rozchodziły się fale różnych herezyi. Według Kajusa (około 200 r.) ojcem jego duchowym jest herezyarcha Cerynt, Żyd z urodzenia, który wchłonawszy w siebie żydowską literaturę apokaliptyczną, roił sobie złote sny o rajskiem królestwie i świętecznych

obrzędach w Jerozolimie, połączonych z orgiami ciała¹. Że korzeń chiliazmu tkwił w judaizmie widać to oprócz myślowej jego treści i stąd, że tylko sekty głęboko owiane judaizmem albo wyrosłe na gruncie żydowskim jak Ebionici, Nazarejczycy, Ceryntyianie i Montaniści uznały go za swój dogmat zasadniczy. Pierwszym i najdawniejszym jego wyznawcą wśród chrześcian był św. Papias, biskup hierapolitański, którego Euzebiusz pomawia² o grube niezrozumienie Pisma dodając, że tylko z twardej jego głowy wziął początek chiliazm. Uwaga ostatnia chyba, niesłuszną, gdyż Papias, zdaje się, był tylko wiernem echem wierzeń, które żyły w świadomości jego środowiska i kraju. Inaczej trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego genialny jego uczeń św. Ireneusz, dlaczego św. Justyn, który w małej Azji przekonał się do chiliazmu i św. Metody, biskup z Tyru i wielki herezyarcha Montan, ongi kapłan bogini Cybele we Frygii, li tylko na słowo Papiasa, sięgającego pamięcią apostołskich czasów, zaliczali się do gorących wyznawców chiliazmu? Nam się zdaje, że chiliazm wyrósł na gruncie duszy celtyckiej, głęboko mistycznej i skłonnej do entuzjazmu religijnego we Frygii, a psyche czasu rozniosła go po różnych Kościołach świata chrześcijańskiego.

Teraz co sądzić o chiliazmie?

Nie idzie tu oczywiście o chiliazm, jaki się wyrobił wśród różnych sekt chrześcijańskich na gruncie judaizmu czy komunizmu. Sekty te bowiem, wpatrzone w raj grubych rozkoszy zmysłowych, marzące o hegemonii Żydów nad innymi ludami i wznowieniu kultu możeszowego w jaskrawem są przeciwieństwie z etyką i idealnemi wierzeniami nauki Chrystusa. Ale chiliazm wielkich pisarzy i prastarych przedstawicieli Kościoła, stojących na straży czystości nauki Chrystusa, chiliazm, który ustrzegł się tych zboczeń od nauki i ideałów Chrystusowych i wśród wyznawców swoich tylu liczy świętych, czy również zasługuje na odrzucenie i nie ma wspólnego z tradycją chrześcijańską?

Niewątpliwie. Najprzód chiliazm i w swej najszlachetniejszej

¹ Euzeb. H. E. III, 28; VII, 25.

² Euzeb. III, 39.

formie w prastarych początkach swoich zawsze był tylko opinią religijną już to lokalną i przywiązaną do pewnego kraju, jak Frygia, już to unoszącą się poza obrębem ściśle przekazanych prawd nauki Chrystusowej w duchowej atmosferze i warunkach czasu pierwotnego chrześcijaństwa.

Najdawniejsze i najważniejsze pisma apostolskiej tradycji nie wspominają o nim. Niema wzmianki o nim ani w listach św. Ignacego, ani św. Klemensa, ani św. Polikarpa, ani w liście nieznanego autora do Diogeneta. Wprawdzie w liście, przypisywanym uczniowi apostołów Barnabie (VII, 13), czytamy o sześciu tysiącleciach świata, po których ma nastąpić szabat Boży, ale autor, zdaje się, mówi w nim tylko o paralelizmie, jaki zachodzi pomiędzy hexameronem Mojżesza a historycznym rozwoju ludzkości i w ścisłym znaczeniu szabat ten może oznaczać wieczność całą.

W pismach apologetów II stulecia: Tatiana, Atenagorasa, Teofila z Antyochii nie znajdujemy ani śladu o chiliazmie. Św. Justyn wprawdzie wierzy z wielu innymi, opierając się na Izajaszu i apokalipsie św. Jana w tysiącletnie królestwo i mniema, że doktryna ta jest ze wszech miar zgodna z nauką Kościoła, ale dodaje wyraźnie, iż z drugiej strony są chrześcijanie, którzy innego w tej mierze są zdania. Św. Ireneusz zaś opierając się na powadze św. Papiasa i proroków, wierzy w tysiącletnie królestwo rajskie, jako szkołę przygotowawczą do czysto duchowych rekoszy niebieskich i pożycia z Bogiem i aniołami¹.

Na początku III w. już budzi się silna opozycja przeciwko wierzeniom chiliastów, wywołana głównie potężną propagandą sekciarską Montana i jego prorokiń. W Rzymie zwalcza je gwałtownie Kajus, pisząc przeciwko Montanistom w przeciwieństwie do św. Hipolita, który staje w obronie wierzeń św. Ireneusza². W Afryce Tertulian³ roztacza swoje wierzenia rajskie w rozprawie przeciwko Marcyanowi i w zaginionem studyum *de spe fidelium*, a pod koniec życia w pismach, zarażonych już herezyą montańską. Św. Cypryan natomiast mimo sympatyj swoich do

¹ Iren.: Adv. haeres., 32—35; Just.: Dial. cum Tryph., 80—81.

² Tert.: Adv. Marc. III, 24; Cyp.: *De mortual.*, 14, 15.

³ Gry: *Le millénarisme*. Paris, 1904, p. 91—95.

ponurego mistrza pomija milczeniem jego eschatologiczne wierzenia, dodając jakby mimochodem, że dusze sprawiedliwych idą po śmierci wprost przed oblicze Boga do szczęśliwości wiecznej. W Egipcie, gdzie księgi sybillińskie wśród ludu złudne szerzyły wyobrażenia, na pół pogańskie, na pół żydowskie o przyszłym raju na ziemi, żarliwym przeciwnikiem chiliizmu był Origenes i jego uczeń Dyonizy aleksandryjski. Pierwszy, głęboko owiany idealizmem platońskim, szukając w zupełnem wyzwoleniu się z materii i wyanieleniu się natury ludzkiej najwyższego jej odrodzenia, oraz trzymając się alegorycznej metody w tłumaczeniu Pisma, odrzuca z całą stanowczością wierzenia chiliastyczne, jako marzenia i aspiracje żydowskiej polityki światowładnej. W Kościele aleksandryjskim powstała burza niezadowolenia, zwłaszcza, gdy uczony w Piśmie biskup Nepos, podjął walkę przeciwko metodzie alegorycznej szkoły aleksandryjskiej. Namiętne spory chiliastyczne załagodził dopiero Dyonizy, biskup aleksandryjski, który w tym względzie napisał rozprawę o duchowem rozumieniu prorocत्व *περί επαγγελιών δύο συγγραμματα*.

Nieco później w obronie chiliizmu, ale już w zmienionej postaci występuje jeszcze św. Metody, biskup z Tyru, który tyśiącletnie czasy rajske z Chrystusem na czele przenosi w epokę, bezpośrednio po sądzie ostatecznym ¹.

W drugiej połowie IV w. w obronie chiliizmu kruszy kopię jeszcze biskup Apolinary z Laodycei przeciwko Dyonizemu ², ale głos jego jest już tylko spóźnionem echem ongi nader ożywionego wrzenia religijnego. Gdy krwawe burze prześladowań przeszły i świetlany zawitał pokój dla Kościoła, złote marzenia o rajskich czasach messyańskich poszły w zapomnienie. Miejsce tęsknych nadziei i jasnych marzeń zajęły namiętne i gwałtowne spory sekciarskie, godzące w zasadnicze podstawy nauki Chrystusa i organizację Kościoła. Codzienne zmaganie się chrześcijaństwa z pogaństwem rozwiało marzenia. Był to czas soborów i krystalizowania się spuścizny Chrystusowej w formy dogmaty-

¹ Orig.: De princip., II, XI, 2, 6, 7; Nepos: cf. Euzeb., H. E. VII, 25; Metod.: Sympos., IX, 1, 5.

² Cf. Grzeg. Naz.: Ep. CII ad Cledon.

czne. Na soborze Efeskim mówiono już tylko o »marzeniach« i świetlanej »baśni« chiliazmu.

Nieco dłużej zachował się chiliazm na Zachodzie, gdzie św. Ambroży i Sulpicyusz Sewer zaliczali się do jego zwolenników, a Laktancyusz, Kommodyan i Wiktoryn¹ w mamiących i gorących przedstawiali go kolorach. Ale i tu ze zmianą podłoża psychicznego i warunków środowiska stracił on z wolna swoją siłę pociągającą. Czar jego zniknął bezpowrotnie. Odtąd już żaden z wielkich i wybitnych przedstawicieli Kościoła i zapaśników idei Chrystusowych, nie stanie w jego obronie ani nawet milczącej, jak ongi nie okaże mu życzliwości. W rzędzie jego wielkich przeciwników widzimy Euzebiusza i św. Bazylego, św. Grzegorza Naz. i św. Epifaniasza, św. Hieronima i św. Augustyna i wielu innych². Św. Hieronim jeszcze nie rzuca nań absolutnego potępienia, ale zarzuca zwolennikom jego, że głęboko tkwią w judaizmie i niebo ściągają na ziemię, tłumaczy za przykładem Euzebiusza i św. Cyrilla aleksandryjskiego, że proroctwa Izajasza o nowej Jerozolimie należy rozumieć o Kościele, że odnośny ustęp apokalipsy w sposób inny wyjaśnić należy. Św. Augustyn zrazu razem z mistrzem swoim św. Ambrożym gorący zwolennik rajskej epoki pokoju i szczęścia pod wodzą Chrystusa, w późniejszym wieku zastanawiając się nad rozdziałem XX apokalipsy św. Jana do odmiennego doszedł przekonania.

Zdaniem jego tysiącletnie królestwo w wyż przytoczonym tekście oznacza Kościół Chrystusowy, rozwijający się przez czas nieokreślony w pochodzie wieków razem z Kościołem tryumfującym w niebie. Przez pierwsze zaś zmartwychwstanie należy rozumieć świętych męczenników, którzy przez wejście do nieba

¹ Euzeb.: H. G. III, c. 39; Bazyl.: ep. 265 ad Eulog; Grzeg. Naz.: II, Carm. 31, al. 133, vers. 175; Epif.: Haeres. 77, n. 26; Hieron.: de viris illust. in Papia; in Is.: XX, 23, etc.; in Ezech.: XXXVI; in Jer.: XX, 10; ep. 120; Aug.: de Civ. Dei, XX, c. 7.

² Ambros.: de bono mortis, 45—47; in Ps. I, 51—56; in Ps. CXVIII, 3, 16; Sul. Sewer., Dial., Gallus: II, 14; Lakt.: Diuin. Instit., VII, 21; Kommod.: Carmen apol., 14; Wikt.: in Hier. De vir illust., 18, 74.

i dopuszczenie do udziału w panowaniu Chrystusa nad światem do nowego zmartwychwstania życia.

Tłumaczenie to razem z wyjaśnieniem proroctw messyjańskich zburzyły do szczytu fundament, na którym chiliazm się opierał. Tak się rozwiały niepowrotnie te wierzenia urocze, które, choć nigdy nie posiadały sankcyi dogmatu ani nie miały za sobą zgodnej i nieodwołalnej powagi Ojców Kościoła, przecież przez wieki całe mamły umysły wielu chrześcijan i czarujący wywierały wpływ na wybitnych częstokroć przedstawicieli Kościoła.

W gruncie rzeczy były to marzenia cudaczne, niezgodne ani z prawami rozwoju historycznego Królestwa Bożego, ani z duchem chrześcijaństwa. Bo ściągnąć niebo na ziemię po to tylko, by Chrystus wskrzesił z martwych szeregi wiernych i z nich stworzył społeczeństwo świętych, mające rozciągnąć panowanie nad światem to znaczy przerwać wszystkie prawa rozwoju historycznego i zburzyć porządek wszechrzeczy. Zapewne i sąd ostateczny jest interwencją Bożą, ale interwencją zamykającą rozwój historyczny ludzkości i odbywającą się w progu zaświata i wieczności. Niezgodne zaś z duchem Chrystusowym, bo chrześcijaństwo ma jak kwas ewangeliczny własną mocą, płynącą z wewnętrznej jego istoty: z nauki i sakramentów świętych, z liturgii i ustroju Kościoła przeobrazić człowieka i społeczeństwo i ludzkość całą. W chiliazmie zaś to, co ma być kwiatem i owocem twórczych sił społecznych i cywilizacyjnych chrześcijaństwa w najpełniejszym i najpiękniejszym jego rozwoju kresowym staje się czemś zewnętrznem i narzuconem. Nie prawda i łaska ma przeobrazić i wyanielić ludzkość, lecz blask i majestat rządów widomego Chrystusa i społeczeństwa świętych stworzyć mają raj na ziemi. To zaś bez uszczerbku dla ideałów wolności i indywidualizmu niemożliwe. I ta wewnętrzna niemoc logiczna była może najgłówniejszą przyczyną, dla czego wraz z odzyskaniem swobody Kościoła chiliazm zniknął na długie wieki z widowni historyi.

Ks. Leonard Lipke.

PRÓBA WSTĘPU DO KRYTYKI POZNANIA.

I filozof się myli, bo i on jest człowiekiem. A nie tylko omylnym jest filozof, ale nadto, jak doświadczenie historyczne pokazuje, filozofowie często się mylą. Filozofowie może nawet częściej się mylą od innych ludzi śmiertelnych, a mylą się w rzeczach właśnie najważniejszych i najfilozoficzniejszych.

Więc co? Czyż więc trzeba się strzedz filozofii?

Po części i tak, ale, choćby się jej strzegł człowiek nie wiedzieć jak, nie ustrzeże się, ona go zawsze znajdzie; idzie więc tylko o to, aby go nie znajdowała nieprzygotowanym i bezbronnym. A bronią mu ma być to, co jest wyższe i mocniejsze nawet od filozofii, to jest: zdrowy rozum i doświadczenie.

O, bo przefilozofować łatwo człowiek może wszystko, nawet i sumienie, ba, nawet i ten cenny jasny rozum trzeźwy. Historya filozofii świadczy, że i tak bywało.

Więc, jeśli nie przed filozofią wogóle, to przed przefilozofowaniem strzedz się trzeba.

Ale gdzie granice zdrowego jeszcze filozofowania a chorobliwego przerafinowania w filozofowaniu? Kto je ma wskazać? Czy może ten prosty zdrowy rozum?

Łatwo powiedzieć: zdrowy rozum. Przecież chyba filozof, co przefilozofował ten zdrowy rozum, nie był tego świadomy, sądził że jeszcze po tej był stronie granicy. Przecież i chorujący na zboczenie umysłowe często bywa o tem przeświadczony, że on przy zdrowych, najzdrowszych jest zmysłach.

Smutna perspektywa otwiera się na samym wstępie, kiedyby się chciało zorientować trochę i zająć mocne jakieś a niezachwiane stanowisko filozoficzne. Bo jakieś zająć trzeba, dziwnie bowiem żyć, żadnego nie mając poglądu wyższego na świat i życie. A, jeśli już zająć się ma jakieś wyższe filozoficzne stanowisko, to już chyba nie chwiejne, bo łatwoby było stracić równowagę filozoficzną. Więc bezpieczniej poszukać sobie czegoś stałego.

Ale znów rozpaczliwa myśl przychodzi do głowy. Stałe stanowisko w filozofii, to coś do systemu podobne, a człowiek drżenia doznaje na wspomnienie systemów: jeden system obala drugi, na gruzach obu powstaje trzeci — i tak wkoło dzieje się w dziejach filozofii; a nadto, system to zastój, martwota, nam zaś trzeba życia, postępu, rozwoju... Więc byle nie system gotowy.

Ha! trudno. Trzeba by dopiero samemu wybijać się do owego niezachwianego stanowiska w filozofii. Ale jak?

Czy może zwątpić o wszystkim, i o sobie, i o filozofii całej?

Ba, kiedy się jeszcze chce żyć i filozofować.

* * *

Dziwna rzecz: filozofia tylokrotnie zawiodła ludzkość, a ludzkość mimo to nie może się obyć bez filozofii. Filozofia była zawsze; prawda, czasem była w mniejszem, czasem w większem poważaniu, ale zawsze była i głowy ludzkie zaprzętała. Tak było, i tak chyba będzie do końca. Ale jaką ta filozofia będzie, o tem niewiele da się powiedzieć. To tylko rzecz pewna, że będzie taka, jaką przygotuje myśl wieków przyszłość rodzących.

A każda chwila wieków czyni tę myśl płodną na chwilę następną. A my, co tych płodnych wieków przeżywamy jedną dobę, co mamy zrobić, żeby myśl filozoficzna tej doby była zdrowa, jędrna, zyciodajna?

Każdy z nas ma coś w tym kierunku do zrobienia, choćby próbę swą podał do wspólnej narady.

* * *

Zakreślam sobie takie zadanie. Przypuśćmy, że filozof przejęty ścisłością i krytycznością nauk przyrodniczych i matema-

tycznych, pragnie napisać książkę o krytyce czy teorii poznania i zabiera się do tej pracy ze ściśle krytyczną ostrożnością, a jako punkt honoru uważa dotrzymać danego sobie słowa, że w opracowaniu nie będzie się kierował żadnymi teoryjami ani poglądami filozoficznymi, ale tylko wyłącznie tem, czem się kierował w badaniu naukowem, a więc tem, co stwierdzi na drodze doświadczenia i ścisłego rozumowania na tem doświadczeniu opartego. Pytanie: gdybyśmy byli na miejscu takiego filozofa i wymyślili się w ten jego zamiar, co byśmy mogli stwierdzić jako postulaty czy warunki doświadczalne rozumnego podjęcia się przezeń tej pracy?

Rozwiązanie zadania w ten sposób zakreślonego stanowić będzie treść obecnej rozprawy a zarazem ma odpowiedzieć zapowiedzi w nagłówku zawartej.

I. Postulaty doświadczalne.

Gdybym miał pisać krytykę poznania a chciał w niej tylko to napisać, co stwierdzę na drodze doświadczenia i rozumowania ścisłego, to naprzód starałbym się zdać sobie jasno sprawę z tego, że i ja i ludzie, którzy zechcą czytać moją pracę, uznajemy pewne prawdy jako warunki stwierdzone przez to samo, że zabieramy się wspólnie do filozofowania nad poznaniem, jego krytyką, jego teoryjami.

Te prawdy stanowią faktyczne warunki, w których badania nasze mamy przeprowadzić, a więc jakby faktyczne warunki doświadczenia, które mamy zrobić.

W eksperymentach przyrodniczych zmienia się pewne warunki dowolnie i celowo, inne zostawia się z umysłu bez zmiany, a inne napotyka się, zastaje i stwierdza jako od nas, t. j. od naszego wpływu na przebieg doświadczenia, niezależne. Tę ostatnią klasę warunków, w których doświadczenie się odbywa, nazwiemy postulatami doświadczalnymi. Przykłady tak określonego postulatu doświadczalnego, napotykamy w doświadczeniu przyrodniczem: stanowi ta prawda, że między elementami czy czynnikami zjawisk przyrodniczych zachodzą stałe związki. Od-

krycie tych związków stanowi cel badań i doświadczeń przyrodniczych, a sama stałość tych związków stanowi naczelny postulat doświadczalny tych badań.

W matematycznych dowodzeniach, rozumowaniach, przeprowadzaniach, stwierdzamy również jako postulat wszelkich badań matematycznych stałość związków zachodzących między wielkościami matematycznymi.

Ze stałością związków spotykamy się także w badaniach natury czysto logicznej. Związki zachodzące między abstrakcjami logicznymi nazwiemy związkami logicznymi. Ponieważ ta stałość związków logicznych nie zależy od nas, ale jest przez nas w logicznych operacjach, więc w doświadczeniu logicznym stwierdzana, konstatowana, doświadczana jako warunek rozumnego przedsięwzięcia tych doświadczeń logicznych, zatem ta stałość związków logicznych jest znów postulatem doświadczalnym badań czy doświadczeń logicznych.

W stałości związków, tak przyrodniczych jak matematycznych i logicznych, mamy zatem doskonały przykład prawdy stwierdzonej na samym już wstępie do badań przyrodniczych, matematycznych i logicznych, a więc przed rozpoczęciem badań właściwych tym naukom. Słusznie przeto możemy tę stałość związków uważać za przykład postulatu doświadczalnego i użyć go możemy do ilustracji tego, dla dalszych badań, podstawowego pojęcia.

Okazuje się z uwag poprzednich, że owa stałość związków jest jakby prawdą ogólną, odnoszącą się tak do doświadczenia przyrodniczego jak i do doświadczenia logiczno-matematycznego. Stałość tę stwierdzamy na każdym kroku badań przyrodniczych i logiczno-matematycznych, ale jest ona zarazem warunkiem podejmowania tych badań, faktem stwierdzonym jeszcze przed rozpoczęciem tych badań lub stwierdzonym przez to samo, że się rozpoczyna te badania, faktem zatem i warunkiem doświadczalnym.

Dajmy na to, fizyk chce wykryć i zbadać doświadczalnie związek, jaki zachodzi między zdolnością przewodzenia pewnego elektrolitu a substancją rozczynu elektrolitycznego, jego koncentracją i lepkością tempa i t. p. Sam ten zamiar doświadczalnego

wykrycia i zbadania tego związku już dowodzi, że fizyk ów przypuszcza jako rzecz niewątpliwą stałość tego związku, inaczejby nie przystępował do badań. Taki np. G. Wiedemann, przystępując do badań związku między przewodnictwem a koncentracją i lepkością roztczynów pewnych (CuSO_4 , CuN_2O_6 , AgNO_3 i KHO) wychodził już z założenia, że związek jakiś istnieje, wiedział, że ten jakiś związek *ceteris paribus* jest stały, inaczej sensu by nie miały doświadczenia w celu wykrycia związku zrobione. Po dokonaniu doświadczeń G. Wiedemann odkrył, że dla każdego z badanych roztczynów powyższych z osobna przewodnictwo jest wprost proporcjonalne do koncentracji a odwrotnie proporcjonalne do lepkości roztworu; odkrył więc tylko jaki to jest związek, którego rzeczywistość i stałość przypuszczał jako postulat doświadczalny.

Podobnie, jeśli w matematyce szuka się związku, dajmy na to, między współczynnikami danego równania a jego pierwiastkami, wychodzi się z założenia, że zachodzi jakiś związek między współczynnikami równania a jego pierwiastkami. Istnienie tego związku przypuszcza się jako postulat doświadczalny badania w tym celu właśnie podjętego, aby ten jakiś związek wykryć, znaleźć. Gdyby się nie przypuszczało stałości związków matematycznych jako postulatu doświadczalnego już zaraz na wstępie do badań matematycznych, nie patrzano by na matematykę jako na naukę, i to jako na naukę ścisłą, badającą ściśle związki między wielkościami matematycznymi.

Jeszcze jeden dajmy przykład postulatu doświadczalnego. W naukowych badaniach, historii właściwych, ma się do czynienia z t. zw. faktami historycznymi, ich związkami z sobą i ich rozwojem, ale rzeczywistość tych faktów badanych i związków między nimi stanowi warunek podejmowania tych badań. Ten warunek stwierdza się tem samem, że się przystępuje do badań historycznych, stwierdza go się zatem jako postulat doświadczenia historycznego.

Historyk zabierający się do badań historycznych w celu wykrycia faktów i związków między faktami, jakie w biegu czasów zaszły w świecie, już tem samem uznaje rzeczywistość tego,

co nazywa faktami historycznymi i rzeczywistości tego, co nazywa związkami i genezą faktów historycznych. Rzeczywistość faktów jest zatem prawdą stwierdzoną doświadczalnie, jako warunek podejmowania badań historycznych, jest zatem postulatem doświadczalnym.

Dajmy na to, historyk przystępuje do badania związku, jaki zachodzi między rewolucją francuską a faktami ją poprzedzającymi. Historyk taki może jeszcze nie zdawać sobie sprawy, jakie to fakty historyczne i w jakim związku były z faktem rewolucji francuskiej, ale przypuszczając rzeczywistość tego ostatniego faktu i przystępując do naukowego badania tego faktu, już tem samem daje wyraz swemu przeświadczeniu o rzeczywistości owych jakichś faktów poprzedzających rewolucję i o rzeczywistości związku między tymi faktami a rewolucją. To przeświadczenie jest dla nas dowodem, że rzeczywistość faktów i związków historycznych stwierdzona bywa jako warunek badań historycznych już na samym do nich wstępie, ma więc cechy postulatu doświadczalnego.

Rzeczywistość faktów i związków historycznych można uważać za dwa postulaty doświadczone: rzeczywistość faktów jeden, rzeczywistość związków drugi. I jedna i druga rzeczywistość jest postulatem doświadczalnym nie tylko w badaniach historycznych, ale nadto we wszelkich badaniach naukowych, zajmujących się faktami, a więc w badaniach ekonomicznych, społecznych, psychicznych, religijnych, przyrodniczych i t. d.

* * *

Z przykładów przytoczonych możemy wysnuć sobie cechy istotne tego, co nazwałem postulatem doświadczalnym. Na samym wstępie do badań naukowych, w jakimkolwiek kierunku zamierzonych, stwierdza się pewne jakieś prawdy już tem samem, że się badania owe zaczyna. Stwierdzanie tych prawd odbywa się drogą zastanowienia, refleksyą zauważa się te pewne prawdy, spostrzega, a więc doświadcza się ich rzeczywistość, ich istnienie, ich oczywistość. W tym sensie nazywam je doświadczałnemi. Że zaś są te prawdy warunkami, bez których badania sensu by nie miały, że zatem są warunkami badań naukowych, których uznania domaga

się sam sens ich podjęcia, przeto prawdy te słusznie nazwać możemy postulatami doświadczenia naukowego, czyli postulatami doświadczalnymi badań naukowych.

Powstaje teraz pytanie pierwszorzędnej doniosłości dla krytyki poznania, jakie postulaty doświadczone stwierdza się na samym wstępie do krytyki poznania. Odpowiedź na to pytanie damy w pięciu następnych rozdziałach pracy niniejszej, z których każdy poświęcimy oddzielnemu postulatowi doświadczalnemu krytyki poznania, jaki zdajemy się stwierdzać na samym jej wstępie. Zastrzegam się jednak, że możnaby liczbę takich postulatów zwiększyć, prosty lub rzeczywisty wniosek z innych postulatów podnosząc do rzędu osobnego postulatu. Z drugiej strony i tego jestem świadomy, że mógłby kto liczbę tych postulatów zmniejszyć, wykazując, że pewne z nich są prostymi następstwami oczywistymi innych postulatów. Mnie to wszystko jedno, byle każdy się zgodził, że każdą z tych pięciu prawd stwierdza się tem samem, skoro się przystępuje do pisania krytyki poznania.

II. Doświadczenie.

Na czele wszystkich postulatów tak krytyki poznania, jak wszelkich badań naukowych stawiam tę normę, według której oceniłby można i wartość samych postulatów i wartość wszystkiego tego, cokolwiek się orzeka, mówi, pisze, sądzi, utrzymuje, uznaje, przyjmuje. Potrzeba przyjęcia jakiej takiej normy jest zbyt oczywista. Jeśli się żadnej takiej normy nie przyjmie, będzie się stawiało twierdzenia gołosłowne, będzie się dogmatyzowało w najgorszym sensie tego wyrazu. Jest to tak oczywiste, że możnaby przyjęcie owej normy uważać za osobny postulat. Tak jednak nie czynię, bo trzeba od czegoś zacząć, a zdaje mi się, że raczej i ta potrzeba przyjęcia owej normy wynika z niej samej, ją więc samą, jeszcze bliżej nieokreśloną, biorę za pierwszy postulat.

Jaka to będzie norma, jak się ją scharakteryzuje? Czy będzie to rzecz upodobania czy wyboru swobodnego, czy raczej wskazana rozumowi przez jakieś inne normy obowiązujące? Za upodobaniem

samem iść nie wypada, bo upodobania nieraz zawodzą na błędne ścieżki, nie tylko moralne ale także i rozumowe. Wybór wolny nie byłby wyborem, gdyby nie kierowały nim jakieś pobudki, jakieś normy, w świadomości wybierającego rozważane i oceniane. Więc znów okazuje się potrzeba jakiejs normy do samego określenia bliższego owej naczelnej normy. Ale w nieskończoność nie pójdziemy ani nawet niema potrzeby iść dalej. Tę normę już mamy, już ją potrafimy scharakteryzować, bo przecież, jeżeli jakąś naczelną normę trzeba przyjąć do ocenienia tego, co się twierdzi, mówi, pisze, to już ona kierowała chyba tem, co twierdzą, mówię, piszę od początku rozdziału niniejszego. Starajmy się tylko ją uchwycić, stwierdzić, opisać, określić.

Sens główny tego, co dotąd napisane w tym rozdziale, stanowi odwoływanie się moje do oczywistości, a więc do stwierdzenia tego, co i ja stwierdzam i każdy stwierdza normalnie myślący. A więc już główną cechą charakterystyczną naczelnej owej normy, owego głównego postulatu, niniejszem chwytny: cechą tą jest pewna jakaś oczywistość. Poza tę oczywistość dalej nie chodzimy w wątpliwościach naszych, sporach, dyskusjach: tu się wszelki spór kończy, tu wszelka wątpliwość ustaje. Sławne *adagium* historyczne głosi tę prawdę odwieczną: *contra experimentum nullum argumentum*. Przetłumaczywszy to zdanie na prosty polski język, otrzymamy krótko skreśloną zasadę, którą się kierujemy w rozstrzyganiu sporów i usuwaniu wątpliwości: niemasz mocniejszego dowodu nad doświadczenie. Ponieważ zaś mocą wszelkiego dowodu jest jego oczywistość, przeto zasada powyższa wypowiada jasno istotną treść naszego postulatu naczelnego i naszej naczelnej normy: Niemasz oczywistości wyższej nad oczywistość doświadczenia.

Doświadczenie jest najwyższą instancją dla rozumu oglądającego się za normą, któraby kierowała pierwszymi jego krokami u wstępu do krytyki poznania. Ta instancja najwyższa sama narzuca rozumowi swą powagę i tą powagą ową normę naczelną mu wskazuje: jest nią ona sama, to doświadczenie oczywistość poznanej rzeczywistości stwierdzające.

Zanim dalej pójdziemy w opisanu istotnych cech doświad-

czenia jako najwyższej normy poznania, na wstępie samym do krytyki poznania stwierdzonej, poświęćmy baczną uwagę samemu wyrazowi.

Przypomnijmy sobie, w jakim znaczeniu wyrazów doświadczenie, doświadczać, i od nich pochodnych, używa się w mowie potocznej.

Mówimy o doświadczeniach wykonywanych w laboratorium, inaczej nazywając je eksperymentami. W tych t. zw. eksperymentach stwierdzamy związki, jakie zachodzą między elementami danego czy wywołanego zjawiska przyrodniczego. Wykrycie tych związków, spostrzeżenie ich, stwierdzenie, opisanie to cel doświadczenia, eksperymentem zwanego.

Eksperymentowi każdemu właściwa jest, jako jego istotne uzupełnienie, t. zw. obserwacja. Zmieniwszy dowolnie i celowo warunki przebiegu zjawiska, eksperymentator albo sam staje się obserwatorem tego przebiegu, albo do obserwowania i stwierdzenia tego przebiegu wzywa pomocy innej osoby. I w jednym i w drugim razie obserwacja jest istotnem uzupełnieniem wszelkiego eksperymentu. Niemasz eksperymentu bez obserwacji.

Ale obserwacja bywa także i bez eksperymentu. Empiryczny dorobek wiedzy zwiększa się znakomicie przez to co w ścisłym sensie nazywa się obserwacją, spostrzeżeniem. W obserwacji naukowej nie zmienia się dowolnie i celowo przebiegu samego zjawiska, ale zmienia się celowo tak własne stanowisko obserwacyjne jak sposoby i środki obserwowania. Obserwacja taka daje w rezultacie to, co daje obserwacja eksperymentowi właściwa, a więc spostrzega, wykrywa, stwierdza. Owo więc spostrzeganie, wykrywanie, stwierdzanie stanowi cel i wartość poznawczą tak obserwacji jak eksperymentu. Oba zaś te środki poznania, eksperyment i obserwacja, są empirycznymi źródłami poznawczymi, a więc po polsku doświadczałnemi, oba obejmuje się nieraz w mowie jednym wspólnym wyrazem kiedy się mówi o doświadczeniu np. przyrodniczem.

Obok tego zwyczaju mowy, nazywającej doświadczeniem tak obserwację jak eksperyment w ścisłym sensie wyrazu, używamy tego wyrazu często w znaczeniu szerszem i ogólniejszem.

Mówimy na przykład o »doświadczeniach życiowych«; o człowieku, który wiele widział, wiele przeżył, powiadamy: to jest »człowiek doświadczony«; powołujemy się na »własne nasze doświadczenie«, także i poza sferą nauk przyrodniczych; mówiąc dajmy na to: doświadczyłem tego na sobie. Z przytoczonych przykładów widzimy, że język nasz używa wyrazu doświadczenie także w ogólnem znaczeniu spostrzegania, stwierdzania, zauważania, słowem pewnego aktu świadomości, który się samemu przeżyło, a w którym własną tego aktu powagą i mocą poznawczą czegoś się nauczyło.

Stwierdzamy zatem istnienie w naszym języku tej co tylko wymienionej semazyologicznej funkcyi wyrazów doświadczać i pochodnych¹. Też samą funkcyę ma spełnić wyraz doświadczenie, użyty przeze mnie w sensie naczelnej normy poznawczej, jako naczelnego postulatu stwierdzonego u wstępu do krytyki poznania.

Uznając najwyższą powagę doświadczenia tak ogólnie pojętego, w jej imię wykrywamy i stwierdzamy inne postulaty i dlatego właśnie i ten naczelny postulat i inne nazywam doświadczałnymi czyli postulatami doświadczenia.

Doświadczenie jako naczelny postulat, normuje ocenę tak innych postulatów doświadczałnych, jak całego wstępu do krytyki poznania, w tym sensie zawiera w sobie istotną cechę kryterium poznawczego. Już we wstępie samym do krytyki poznania, spotykamy się z tem kryterium jako z warunkiem doświadczałnym, który stwierdzamy tem samem, że zabieramy się do krytyki. W krytyce poznania będzie należało dojść do samego gruntu tak tego kryterium, jak i wartości poznawczych w świetle jego ocenianych, ale już tutaj, we wstępie do krytyki, ono

¹ Prócz wymienionych odcieni znaczenia wyrazu doświadczać i pochodnych istnieje jeszcze w naszej mowie odcień tego samego ogólnego znaczenia uwidoczniiony w przykładach następujących: Bóg doświadczają nas zsyłając klęski i krzyże; nowicyusza doświadczają jego mistrzowie w życiu zakonem, męstwo żołnierza doświadczają niebezpieczeństwa wojny i t. p. W tych przykładach, prócz wymienionej funkcyi semazyologicznej, odczuwamy jeszcze znaczenie wystawienia na próbę, wypróbowania, a więc celowego dania sposobności do pewnego doświadczenia życiowego.

nam przyświeca własnem swem światłem, skoro raz na nie oczy świadomości poznawczej zwróciliśmy, owszem warunkiem było tego pierwszego otwarcia oczu i zwrócenia ich w stronę, skąd bije światło poznania.

W krytyce poznania wypadnie zdać sobie dokładną sprawę z tych funkcyi poznawczych, jakie doświadczenie tak ogólnie pojęte spełnia na różnych polach poznania i w różnych naukach, w roli naczelnego kryterium poznania. We wstępie do krytyki poprzestajemy na wyraźnem stwierdzeniu tego faktu, że w doświadczeniu mamy już pod nogami grunt do badań i studyów krytyczno-poznawczych, że już zajęliśmy stanowisko mocne, z którego żadne dalsze filozofowania wyprzec nas nie zdołają, bo stanowiskiem naszym najwyższa instancja poznawcza — doświadczenie.

W tym sensie możemy nazwać to nasze stanowisko poznawcze empirycznym, ale nie inaczej jak tylko w tym sensie, t. j. w sensie doświadczenia tak ogólnie pojętego i określonego, jak to wyżej uczyniliśmy. W tym także, ale tylko w tym sensie stanowisko nasze jest radykalnie empirycznym, bo żadnych kompromisów niema tam, gdzie oczywistość doświadczenia jest naczelnym postulatem doświadczalnym i naczelną normą poznania i najwyższem kryterium poznawczem.

Wstęp do krytyki poznania spełnia, jak widzimy, ważne zadania, bo jasno wskazuje drogę, którą pójdzie sama krytyka, ale, co najważniejsza, daje w ręce broń przeciw pokusom i ponętom dowolności filozofowania. Nie to, co komu się podoba, rozstrzygać ma o wartościach poznawczych, ale doświadczenie mocniejsze nad wszelkie zakusy filozoficzne.

Doświadczenie stwierdza to, co jest w rzeczywistości, powiada, że tak jest faktycznie, nie inaczej, a krytyce poznania o to właśnie idzie, aby zdobyła niezawodny sposób poznania tego, co jest i jak jest, a więc krytyka poznania to prawie krytyka doświadczenia najogólniej pojętego. I dlatego więc także i wstęp do krytyki tego doświadczalnego poznania prowadzi poprzez ten nasz naczelnny postulat doświadczalny, jaki stwierdzamy w samem zabranii się do badań krytyczno-poznawczych.

Właśnie dlatego doświadczenie najogólniej pojęte, nie tylko jest warunkiem doświadczalnym poznania, naczelnym jego postulatem doświadczalnym, normą i kryterium poznawczem, ale zarazem i głównem, jedynem źródłem poznania. Dzięki doświadczeniu poznajemy to, co w danem doświadczeniu stwierdzamy. Bez doświadczenia nie byłoby stwierdzenia, wykrycia, poznania tego, co się w tem doświadczeniu stwierdza; nie byłoby poznania rzeczywistości, którą się w danem doświadczeniu stwierdza, a więc nie byłoby poznania rzeczywistości, a więc bez doświadczenia nie byłoby poznania. Poznanie rzeczywistości a doświadczenie to są dwie nazwy różne tego samego faktu, mianowicie faktu stwierdzenia rzeczywistości. Dlatego w tym sensie doświadczenie uważane jest głównem źródłem poznania rzeczywistości, wszystkie inne źródła poznania są pobocznymi źródłami i strumykami same z siebie nie wystarczającymi do skonstatowania rzeczywistości, a służącymi do tego skonstatowania tylko o tyle o ile wodami swymi zasilają owo główne źródło poznania.

Weźmy jeden z możliwych przykładów. Tak zwane źródła historyczne, a więc zabytki i tradycja, dostarczają materiału historycznego do badań, ale dopiero stwierdzenie rzeczywistości faktów historycznych i związków między tymi faktami krytycznie dokonane, na podstawie i przy pomocy zabytków i tradycji, stanowi właściwe i bezpośrednie źródło naukowego poznania historycznego. Czem zaś stwierdzenie takie faktów i związków historycznych jest innem jeśli nie doświadczeniem tak ogólnie określonym, jak to wyżej uczyniliśmy? Stwierdzeniem związków i faktów historycznych jest jednym z rodzajów doświadczenia wogóle, doświadczeniem historycznem. I ono dopiero stanowi właściwe i główne źródło poznania historycznego.

* * *

Doświadczenie jest postulatem naczelnym wszelkiego poznania, o ile przez poznanie nie będziemy rozumieli czego innego, jak wykrywania i stwierdzania rzeczywistości, jakakolwiekby ona była, a więc jest postulatem naczelnym samej krytyki poznania, bo zostaje na wstępie do niej stwierdzony, jako warunek poznania rzeczy-

wistości w krytyce poznania, mającej być badaną, roztrząsaną, ocenianą. Jest ono i normą najwyższą i najwyższym kryterium poznania, ale zarazem i głównem źródłem poznania. Sama zatem oczywistość poznania z tego źródła bijąca i źródło samo oświeca i własnem swoim światłem świeci jako norma i kryterium tego poznania, co płynie ze źródła owego.

Może się komu paradoksalnem wydaje to twierdzenie powyższe, możeby kto nawet i temu twierdzeniu i uwagom poprzednim, których ono jest tylko streszczeniem, zarzucić zechciał logiczne koło, podobne trochę do klasycznego określenia prostej linii, jako najkrótszej odległości dwu punktów od siebie, a najkrótszej odległości między dwoma punktami, jako odcinka prostej linii te punkty łączącej? Radziłbym w takim razie zabrać się do krytyki poznania jakiejś jednej prawdy z zakresu którejkolwiek nauki, a wybrać bym radził taką prawdę, co do której się posiada zupełną pewność naukową, i tę krytykę poznania tej jednej prawdy tak przeprowadzić w zupełnej szczerości przed sobą, ażeby z całą świadomością można było sobie odpowiedzieć na każde pytanie do tej prawdy się odnoszące: skąd ja to wiem?

Moja propozycja nie wyda się może niewczesną, jeśli sobie uprzytomnimy temat zadania, jaki sobie na początku pracy zakresliłem. Postawiłem sobie pytanie, co człowiek rozumny i z całym zastanowieniem zabierający się do pisania książki o krytyce poznania stwierdza na samym już do niej wstępie. Przypuszczam, że człowiek taki przystępuje do swej pracy z jakim takim naukowem przygotowaniem, a zatem, że wie ze swego naukowego doświadczenia o źródłach, kryteriach i metodach różnych nauk, jakimi się zajmował, choć tyle, aby potrafił sobie zdać sprawę z poznawczej i krytycznej wartości rezultatów tych nauk. Gdyby nawet takiej wiedzy nie posiadał, śmiesznymby był jego zamiar filozofowania i pisania o krytyce poznania wogóle: filozofowałby o niej tak, jak rozprawiałby ślepy o tem, jak wyglądają barwy, których nigdy nie oglądał. Więc przypuszczam, że filozof przed zabraniem się do krytyki poznania, wogóle już popróbowwał poddać krytyce poznawczej prawdy właściwe naukom specjalnym, jakimi się zajmował. Dlatego już na samym wstępie

do krytyki poznania mamy chyba prawo żądać pewnego zorientowania się, co do krytyki poznawczej pewnych jakichś prawd i rezultatów naukowych.

Uważam zatem propozycję powyższą zupełnie na czasie. Zanim się zrobi zarzut jakiejs niekonsekwencji logicznej, jakiejs może dowolności w stawianiu doświadczenia jako naczelnego postulatu, wypada na jakimś dobrze znanym przykładzie prawdy naukowej krytycznie wykryć i wykazać, że tego wszystkiego, co dotychczas o postulatcie doświadczenia było powiedziane, nie tylko się nie stwierdza, lecz, że raczej stwierdza się coś w zasadzie z rzeczami powiedzianymi sprzecznego.

Ja ze swojej strony biorę pierwszy lepszy przykład, bardzo dobrze wszystkim znany i na nim raz jeszcze będę się starał sprawdzić, czy to, co przedtem o doświadczeniu powiedziałem, jako naczelnym postulatcie empirycznym poznania, daje się stwierdzić na tym przykładzie konkretnym.

Dajmy nato, chcemy sobie zdać sprawę krytyczną z poznania naukowego prawdy: suma kątów trójkąta płaskiego (w przestrzeni euklidesowej) wynosi dwa kąty proste.

Zanim się umysł ludzki zabiera rozumnie do zbadania i stwierdzenia związku, jaki zachodzi między kątami trójkąta, wie już przedtem z poprzedniego doświadczenia geometrycznego, co to jest kąt, jaki dwie proste tworzą z sobą, zna najelementarniejsze prawdy o kątach, wie między innemi, że suma kątów przyległych wynosi dwa kąty proste i t. d. Z doświadczenia geometrycznego wie się dalej, co to jest trójkąt, świadomym się jest tego, że się tu bierze na uwagę przestrzeń trójwymiarową, dla której ważny jest postulat Euklidesa o prostych do siebie równoległych i t. d.

Te wszystkie poprzednie wiadomości są zaczerpnięte pośrednio z książek i od nauczycieli, ale bezpośrednio zdobyte są na drodze własnej refleksyi i własnych aktów świadomości, które to wszystko stwierdziły, a więc stwierdziły, że tak jest rzeczywiście, a więc doświadczyły rzeczywistości tych wszystkich prawd i związków. Z doświadczenia osobnego rodzaju dochodzi się do samych tych pojęć, któremi już trzeba umieć operować, kiedy chce się zabrać do wykrycia i stwierdzenia związku między ką-

tami trójkąta. Do urobienia pojęć prócz szeregu doświadczeń, trzeba nadto pewnego konstruowania elementów doświadczalnie stwierdzonych; bo pojęcie kąta, trójkąta i t. d. jest abstrakcją, koncepcją umysłu, zrobioną z elementów doświadczalnych i na podstawie doświadczenia, ale nie stwierdzoną doświadczalnie w samem doświadczeniu, tylko myślowo zbudowaną, skonstruowaną. Żeby jednak wykryć związek zachodzący między temi koncepcjami, na to trzeba znowu doświadczenia osobnego rodzaju, doświadczenia jakby logiczno-matematycznego, a bez niego koncepcye myślowe zostaną koncepcjami bez związku z sobą, bez znaczenia poznawczego.

Człowiek, zaczynający się uczyć geometryi, na podstawie całego szeregu doświadczeń, wytworzył sobie właściwe geometryczne pojęcia kąta, trójkąta, dodawania kątów i t. d., ale, jeśli chce wykryć związek matematyczny między kątami np. do siebie przyległymi a kątem prostym, nie inną drogą dojdzie do celu, jak stwierdzając doświadczalnie ów związek; póki nie stwierdzi, żadnej wartości krytycznej ani poznawczej niema dla niego, prawda, że suma takich kątów równa się dwu kątom prostym, bo on tej prawdy nie spostrzegł, nie zauważył, nie stwierdził, nie doświadczył.

A więc warunkiem poznania tej prostej prawdy, że suma kątów przyległych wynosi dwa kąty proste, jest doświadczenie; a nie tylko warunkiem, ale i normą poznawczą, według której ocenia się wartość poznania tej prawdy. Początkujący w nauce geometryi, jeśli się tylko z pełną świadomością zabiera do naukowego poznania elementów geometryi, a nad warunkami naukowości tego poznania zastanawia, o tem dobrze jest przeświadczony, że o tyle tylko tę wiedzę posiędzie, o ile sam sprawdzi i stwierdzi, że tak jest, jak uczą ci, co już tę wiedzę zdobyli. Ale sprawdzenie i stwierdzenie tego co jest, tego że tak jest, to właśnie nazwaliśmy doświadczeniem najogólniej pojętem.

A nie tylko warunkiem i normą poznania okazuje się doświadczenie na tym prostym przykładzie; ale nadto stwierdza się charakter doświadczenia i jako kryterium i jako źródła poznawczego, kiedy się z refleksyą należyta chce zabrać do zbadania

naukowego, czy słusznie i na jakich podstawach stawia się twierdzenie, że suma kątów wewnętrznych trójkąta wynosi dwa kąty proste. Zobaczę, zbadam, przekonam się, czy tak jest, ale nadto zbadam, co rozstrzyga o pewności twierdzenia, z jaką je stawiają geometrowie; więc jestem przeświadczony, że to moje zbadanie, zobaczenie, spostrzeżenie, czyli moje doświadczenie, jest i właściwem dla mnie źródłem i jedynem kryterium poznania tej prawdy geometrycznej.

Widzimy, że już przed zabraniem się rozumnem i celowem do t. zw. dowodu twierdzenia o sumie kątów trójkąta, stwierdza się, jeśli się tylko nad tem dostatecznie zastanowi, i nasz postulat naczelny i ten jego charakter istotny, który wyrażamy mówiąc, że doświadczenie jest najwyższą normą, ostatecznem kryterium i głównem źródłem poznania. Dopiero po stwierdzeniu zupełnie świadomem tego naczelnego postulatu doświadczalnego wszelkiego poznania, można przystąpić do ścisłej krytyki poznania w tym jednym szczególnym przypadku, który mamy przed sobą w przywiedzionym wyżej przykładzie.

Skoro już się zajmie takie empiryczne stanowisko przy zabieraniu się do dowodu twierdzenia, wtedy jasno zdać sobie można sprawę z tego, na czym ów t. zw. dowód ma polegać. Wtedy widzi się jasno, że i ten dowód i dowód każdego innego twierdzenia matematycznego nie jest czem innem, jak nowem doświadczeniem matematycznym, w którym się stwierdza rzeczywistość i prawdziwość danego twierdzenia. W twierdzeniu np. o sumie kątów trójkąta idzie o znalezienie czyli wyrachowanie sumy kątów, a więc o ich dodanie do siebie, o bardzo proste zatem doświadczenie rachunkowe. Nie umie się może od razu bez pomocy innego doświadczenia tego rachunku wykonać, przeto robi się tu inne pomocnicze doświadczenie: prowadzi się na płaszczyźnie danego trójkąta przez jeden z jego wierzchołków prostą równoległą do przeciwnego boku, przedłuża się jeden z boków przyległych do tego wierzchołka. To proste doświadczenie pomocnicze już pozwala wykonać dodawanie, którego się nie umiało zrobić przedtem, bo teraz widzi się i stwierdza od razu, że przy owym wierzchołku kąt zewnętrzny trójkąta jest sumą dwu kątów we-

wewnętrznych do niego nieprzyległych, a wraz z trzecim kątem wewnętrznym do niego przyległym tworzy dwa kąty proste.

Cały więc t. zw. dowód w istocie swej polega na stwierdzeniu tego, co się w doświadczeniu widzi, spostrzega, konstatuje. Empiryczny charakter tak tego dowodu, jak dowodu wszystkich innych analitycznych i geometrycznych związków matematycznych sprawia właśnie to, że chociaż matematyka od początku do końca ma do czynienia z abstrakcjami, konstrukcjami, nie zaś z rzeczywistymi pierwiastkami, to jednak związki między tymi abstrakcyjnymi pierwiastkami, między koncepcjami matematycznymi stwierdzamy stałe i rzeczywiste. Dzięki temu tak pojętemu empirycznemu charakterowi matematyki każdy matematyk, byle się pomylił, dochodzi do stwierdzenia tych samych prawd, tych samych związków, byle z tych samych, co inni, wychodził określał i założeń.

Pozwoliliśmy sobie na trochę dłuższe zatrzymanie się na próbie krytyki poznania, jednej z najelementarniejszych prawd matematycznych. Staralem się na tym przykładzie okazać, że niema wadliwego koła logicznego w tem, co wyżej powiedziano o doświadczeniu jako postulatcie naczelnym poznania jakiegokolwiek rzeczywistości.

Pozory podobnego koła usunie się łatwo, jeśli się uprzytomni sobie to, że w całym tym wywodzie idzie o stwierdzenie warunków, w których przystępuje się do krytyki poznania rzeczywistości, zatem stwierdza się tem samem, że rzeczywistość krytycznych rezultatów tej krytyki da się stwierdzić, a takie stwierdzenie rzeczywistości nazywamy doświadczeniem.

Więc doświadczenie samo narzuca swą oczywistość poznawczą, zatem jest w ścisłym sensie postulattem doświadczalnym, stanowiącym naczelną normę, najwyższe kryterjum i główne źródło poznania.

III. Ludzkość poznania.

Kto się zabiera do pisania krytyki poznania, tem samem stwierdza nie tylko własny swój, człowiekowi właściwy, sposób

myślenia i poznania, ale nadto stwierdza jako warunek, bez którego do pisaniaby się nie zabierał, podobny ludzki sposób myślenia i poznawania u tych, dla których pisze.

Nie pisze się przecież dla samego siebie książek naukowych. Dla siebie, dla własnej swojej przyjemności czy korzyści, pisać można pamiętniki, może nawet poezye, co nigdy nie mają być czytane, albo inne jakie *intimes*. Ale, jeśli się chce książkę jaką drukować, albo choćby drobną jaką rzecz w druku wydać, pisze się wtedy dla drugich. Takie pisanie dla drugich jeszcze tem więcej jest oczywiste, kiedy się chce drukować rzecz naukową czy filozoficzną.

Kiedy się pisze do druku, chce się być przez drugich czytany, rozumiany, a nawet chciałoby się, aby czytający uznali słuszność wywodów autora. Kiedy się pisze rozprawę naukową czy filozoficzną, tem samem zamierza się podzielić swemi spostrzeżeniami, badaniami, rezultatami z czytelnikiem, rachuje się na jego zrozumienie i krytyczne zastanowienie nad wartością naukową tego, co się pisze. Kiedy zaś pisze się krytykę poznania (ludzkiego), wychodzi się z przeświadczenia, że jeśli czytelnicy tak samo jak autor zadadzą sobie trudu tyle, aby wmyślili się w jego sposób pojmowania i wraz z nim odbyli tę samą drogę badania, to z nim dojdą do stwierdzenia tych samych podstaw krytyczno-poznawczych, tych samych norm, tych samych kryteriów.

To przeświadczenie autora jest dla nas dowodem, że on stwierdza jako postulat doświadczalny to, co nazwałem ludzkością poznania. Postulat ten zawiera w sobie między innymi następujące rzeczy:

1) I piszący jest człowiekiem, i czytelnicy są takimi, jak on, ludźmi.

2) I on i oni myślą, poznają, rozumują według jednego jakiegoś ogólnego typu.

3) Autor wychodzi z założenia, że normalnie myśli, poznaje, rozumuje według owego wspólnego typu.

4) Ogół czytelników także normalnie myśli i poznaje. Nienormalne czy anormalne myślenie, poznawanie, rozumowanie

należy do wyjątków, z którymi autor nie liczy się w swoich wywodach.

Każdy z wymienionych punktów jest jakby osobnym postulatem doświadczalnym, stwierdzonym w zastanowieniu się na powyżej opisanym postulatcie ogólniejszym. Albo też możnaby powiedzieć, że każdy z tych czterech postulatów stwierdza się tem samem, że się zabiera do pisania krytyki poznania, a wszystkie razem stanowią jeden postulat ogólniejszy, tak nazwaną przeze mnie ludzkość poznania.

Zastanówmy się trochę bliżej nad każdym z tych postulatów z osobna.

Filozofowie czasem, w chwilach zapamiętania czy uniesienia filozoficznego, zaczynają wątpić o wszystkim, nawet i o tem, że sami istnieją, a przynajmniej o tem powątpiewają niekiedy w swoich filozofowaniach, czy istnieje świat, czy istnieją w świecie prócz »jaźni« filozofów inne istoty, co na ten świat równie ludzkimi patrzą oczami i równie po ludzku go poznają, jak ta »jaźń« filozofująca. Empiryczna krytyka poznania trzyma na wodzy wyobraźnię filozoficzną i pod grozą niekonsekwencji nie pozwala zapuszczać się filozofowi w jego konstrukcjach filozoficznych za daleko, aż do zaprzeczenia istotom poza jego »jaźnią« będącym i rzeczywistej ludzkiej świadomości i nawet rzeczywistości samego ich istnienia.

Może filozof niczem się nie krępować w swoich pomysłach filozoficznych i dochodzić w nich choćby do najskrajniejszego sceptycyzmu, byle tylko tę swoją nie znającą więzów swobodę filozofowania zawarł w granicach swej »jaźni« filozoficznej i nie zechciał nam zwykłym śmiertelnikom narzucać swych koncepcyi jako »krytycznych« postulatów naszej ludzkiej filozofii. Jeśli wychodzi poza te granice i występuje na arenę filozoficzną do zapasów słowem, piórem i rozumowaniami, wtedy już schodzi do nas ze swych wyżyn i podlega wszystkim nam wspólnym ścieśnieniom, rzeczywistym więzom naszej ogólnoludzkiej krytyki poznania.

Ludzie po ludzku myślą, rozumują, poznają, doświadczają. Nadludzki filozof, według całkowicie innego typu myślący i ro-

zumujący, nie miałby środków porozumienia się z nami, jego krytyka poznania nie mogłaby się wtedy stać naszą ludzką krytyką poznania; nie byłaby nam dostępną. Przeto po ludzku niedorzecznością byłoby pisanie krytyki poznania przez filozofa, nie uznającego w nas ludzi według tego samego ogólnego typu myślących i poznających.

Kto się zabiera do pisania krytyki poznania dla nas ludzi, ten tem samem stwierdza w sobie i w nas rzeczywistą świadomość, poznającą, doświadczającą, rozumującą według jakiegoś ogólnoludzkiego typu. To jest postulat doświadczalny, doświadczalnie stwierdzony warunek, bez którego sensu nie ma pisanie krytyki poznania. Ale również sensu dla nas ludzi nie miałoby takie pisanie, samo nawet przedsięwzięcie tego pisania, gdyby autor nie traktował siebie na seryo jako człowieka normalnie według owego ogólnoludzkiego typu myślącego i rozumującego.

Anormalny czy nienormalny sposób myślenia i rozumowania autora książki piszącego może być bardzo cennym materiałem do badań psychologicznych objawów anormalnych. Książka napisana przez jednostkę psychicznie anormalną może posłużyć do dyagnozy klinicznej typu zboczenia i do studyum psychopatologicznego objawów tego typu, ale nie może być zaliczona do literatury naukowej tego przedmiotu, o którym jest napisana.

Może się zdarzyć raczej fakt tego rodzaju, że autor uważa sam siebie za jednostkę normalną, według ogólnoludzkiego typu myślącą i rozumującą w kwestyi, w której głos zabiera, a nie zdaje sobie sprawy z tego, że myśli anormalnie. Wtedy rzeczą jest zdrowej, na doświadczeniu naukowem opartej krytyki, anormalność taką wykazać. Ale pierwszy warunek wydania przez tą krytykę sądu na korzyść autora jest dobra jego wiara, przeświadczenie o własnej swej normalności w myśleniu i rozumowaniu. Jeżeli tej dobrej wiary w nim niema, jeżeli sam siebie uważa za nadczłowieka w tym względzie, *contra ipsum est praesumptio*.

Normalne myślenie i rozumowanie według powszechnego ludzkiego typu jest więc doświadczalnym postulatem, który piszący krytykę poznania w sobie stwierdza tem samem, że do pisania krytyki ludzkiego poznania się zabiera. Ale tem samem

także stwierdza normalność w myśleniu według tego samego wspólnego typu u ogółu czytelników, dla którego pisze swą książkę.

Anormalność należy zawsze do wyjątków, także i w myśleniu według powszechnego typu tylko nieliczne jednostki są anormalne. Otóż chyba nie dla nich przeznacza autor książkę naukową, osobiwie jeśli ta książka właśnie ma traktować o krytyce ludzkiego normalnego poznania. U czytelników, dla których taką książkę przeznacza zamiar piszącego, rachuje się nie na wyjątkowy, nienormalny czy anormalny sposób myślenia i rozumowania, ale na uznanie wspólnych norm, według których się myśli, rozumuje i poznaje rzeczywistość.

Różnica może być w sposobie wyrażania się, w sposobie patrzenia, w stanowiskach, z których się patrzy, nawet i w sposobie pojmowania, właściwym indywidualnym różnicom jednostek poznających rzeczywistość, ale te wszystkie różnice u jednostek normalnie myślących nie przekraczają granic normalności, t. j. zgodności z normami powszechnymi, wspólnymi wszystkim psychicznie zdrowym jednostkom ogólnego ludzkiego typu.

Kto za te granice normalności wychodzi, należy do wyjątków anormalnych. Ogół zaś nie składa się z wyjątków, lecz wyjątki są poza ogółem tem samem, że są wyjątkami z ogółu.

A zatem normalność w myśleniu, poznawaniu, rozumowaniu jest postulatem doświadczalnym, stwierdzonym u ogółu, dla którego pisze się krytykę poznania.

Widzimy, że postulat ludzkości poznania jest warunkiem doświadczalnie stwierdzonym we wszystkich jej czterech powyżej opisanych cechach. To doświadczalne stwierdzenie dane jest, jak widzieliśmy, tem samem, że się przystępuje do pisania krytyki poznania opartego na doświadczeniu ogólnie pojętem, jako jedynem źródle i jedynem kryterjum tak poznania, jak jego krytyki.

Widzimy zarazem, że takie radykalnie empiryczne stanowisko, zajęte na samym wstępie do krytyki poznania, radykalnem jest także odparciem wszelkiego apriorycznego i doświadczalnie nieuzasadnionego sceptycyzmu, jako teorii dogmatycznej sprze-

cznej z doświadczeniem. Każdy inny sceptycyzm, o ile doświadczalnie i krytycznie jest uprawniony, czyli o ile nie jest w sprzeczności z doświadczeniem jako źródłem i kryterium poznania, jest bardzo pożądanym, bo wskazuje właściwą drogę dla krytyki poznania.

Sam wstęp do krytyki poznania, na doświadczeniu opartego, właściwie jest podyktowany przez ten sceptycyzm drugiego rodzaju, którybym nazwał sceptycyzmem krytycznym dla odróżnienia od sceptycyzmu dogmatycznego. Sceptycyzm krytyczny, to jakby tylko inny wyraz stanowiska, nazwanego przeze mnie radykalnie empirycznym.

Ten sceptycyzm krytyczny skłonił mnie do pisania krytyki poznania, on mi był przewodnikiem w wykrywaniu tych postulatów doświadczalnych krytyki poznania, których opisanie i konstatowanie stanowi obecny do niej wstęp, on mnie też pobudza do zwalczania w tym wstępie głównego wroga wszelkiej krytyki empirycznej, jakim jest sceptycyzm dogmatyczny.

(C. d. n.)

Ks. Stanisław Kobylecki.

W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

DYSKUSYA.

(Ciąg dalszy).

Prof. T. Wojciechowski zaznacza, że słowa Galla (I, 27) o św. Stanisławie i katastrofie królewskiej są pełne »ciemnych zagadek«, dlatego też »zależy wiele i prawie wszystko na trafnej interpretacyi tego ustępu« (Szkice historyczne str. 252, 253). Pozwalam więc sobie dodać kilka uwag filologicznych do łacińskiego tekstu kroniki i wyznaję, że przedkładałm cierpliwemu czytelnikowi tylko próbę egzegetyczną w najogólniejszych zarysach.

Przekazany nam tekst kroniki Galla nie opiera się na poprawnej podstawie rękopiśmiennej, możnaby zatem, ale nie koniecznie trzeba dopatrywać się jakiegoś większego skażenia także w miejscu nas obchodzącem. Czy autor z umysłu wyraził się tutaj niejasno, prawie tajemniczo? Nie przypuszczam. Jak przedmiotowo, z jaką otwartością stara się sądzić ludzi, świadczy wymownie jasno sformułowane zdanie jego o sprawie Zbigniewa (III, 25), wypowiedziane przecież za życia Bolesława Krzywoustego, którego chwałę pragnie upamiętnić. Mówiąc o r. 1079, pominął rzeczywście szereg wypadków, poprzedzających upadek Bolesława Śmiałego, ale wypadało mu wobec doniosłego zatargu króla z biskupem być rzetelnym sprawozdawcą i powiedzieć wyraźnie, choćby najkrócej, za co ten biskup zginął, tem bardziej, że mógł mieć dokładne wiadomości o całym zajściu, gdyby zaś ich nie miał,

nie powinien był posługiwać się zagadkowym i obosiecznym wyrażeniem o dostojniku Kościoła ten, który wielokrotnie podnosi umiłowanie prawdy i sprawiedliwości¹, a o zabijaniu biskupów i księży w Polsce w r. 1030 donosi ze łzami². Ze starożytnej prozy sztucznej przyjmuje nasz autor zasadę paralelizmu w układaniu zdań, a nawet poszczególnych ich części, przyczem dobiera wyrazów tak samo się rozpoczynających i szuka rzeczywistego lub pozornego rymu. Prócz tego w ślad za prawami stylu średniowiecznego używa t. zw. *cursus*, to jest wprowadza do swojej prozy pewną harmonię przez zastosowanie rytmicznego spadku, dla którego normą był akcent, nie iloczas. Należy jednak stwierdzić, że ten paralelizm zewnętrzny z prozaicznym rytmem nie jest dla Galla stałą, wszędzie i równomiernie stosowaną regułą, nie zmuszał go przeto do poświęcania treści dla formy. Wogóle zaś przy objaśnianiu Galla wypada liczyć się z charakterystycznymi cechami jego łaciny, mianowicie (pomijając wpływy klasyczne) z wybitnem oddziaływaniem Pisma św. i Ojców Kościoła, nie mniej z właściwościami dykcji średniowiecznych kronikarzy. Staralem się też rozglądać w innych działach literatury na przejściu z XI do XII wieku. Z tego okresu dostarczyli mi niejednego przykładu trzech rozgłośni pisarze, których studia lub produkcya piśmiennicza rozwijały się przeważnie we Francyi, mianowicie: Hildebert (1056—1133), arcybiskup w Tours; Petrus Lombardus, biskup paryski, z pierwszej połowy XII wieku; Ioannes Sarisberiensis (1120—1180), biskup w Chartres. Wreszcie nie uważałem za właściwą rzecz ani za metodyczną zamykać oczu na świadectwo Kadłubka, zwłaszcza tam, gdzie popiera je Długosz; wiele nadto zarzutów, jakie spotykają Kadłubka, odpadnie po należytem zrozumieniu jego języka i stylu³.

¹ Np. II, 31: ut veritatem historiae teneamus.

² I, 19: Insuper etiam a fide catholica deviantes, quod sine voce la-crimabili dicere non valemus, adversus episcopos et sacerdotes Dei seditio-nem inceperunt eorumque quosdam gladio quasi dignius peremerunt, quosdam vero quasi morte dignos viliori lapidibus obruerunt.

³ Oto dla ilustracyi jedno niewątpliwie bardzo ważne miejsce. Kad-lubek (MPH. II, str. 296) pisze, że św. Stanisław poniósł śmierć: *prope aram, inter infulas*. Prof. T. Wojciechowski (j. w. str. 312) na podstawie wyraże-

Na pytanie, czy Gallus, określając czyn biskupa jako *traditio*, myślał o zdradzie lub wogóle jakimkolwiek podstępie z jego strony, daje przeczącą odpowiedź porównanie tych miejsc, gdzie *traditio* ma wprawdzie powyższe znaczenie, ale uwydatnione osobno przez synonim lub inny dodatek, nie mówiąc już o sytuacji i całem tle opisywanych zdarzeń, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do semazyologicznej funkcji tego wyrazu. Na to zwrócił także

nia »inter infulas« domyśla się, że to było »miejsce na Wawelu, pomiędzy katedrą, jako jedną infulą, a jeszcze drugim kościołem, także infulackim«. Przez »infulae« rozumiemy jednak »oznaki pontyfikalne«. Por. Kadłubek (j. w. str. 336, 1) *antistes Simon, institis ac infulis pontificalibus insignitus* (= Gall II, 49 Quippe *Simon... infulis indutus sacerdotalibus sequebatur*). Ioann. Sarisber., Migne, epist. 304 (r. 1171), str. 356: *cum beati martyris (arcybiskupa św. Tomasza) corpus... pontificalibus indueretur*. Mnich Priefling. MPH. II, 142, 6 (o św. Ottonie): *de scrinio suo, in quo pontificales eius libri et infulae servabantur, aliqua de vestimentis sacerdotalibus latenter assumens*; tamże 142, 33: *Ille vero pontificalibus infulis uti sancto altari astant decoratus* (por. MPH. I, 505, 1). Infulae były także oznaką pogańskich kapłanów, por. Kadłubek, str. 344 (= Justin. 24, 8, 3); str. 309 (= Justin. 18, 7, 9). Zwrot Kadłubka »inter infulas« stoi na równi z »infulis insignitus, vestitus« (w stroju pontyfikalnym) na wzór znanych starożytnych połączeń, w których przyimek »inter« ma znaczenie »otoczony czemś«. Np. Livius I, 26, 11 *verbera... inter illa pila et spolia hostium*; Suetonius, Vitellius 11: *Urbem denique ad classicum introiit paludatus... inter signa atque vexilla*; Tacyt, ann. 1, 64 *neque librare pila inter undas poterant* (»stojąc w wodzie«). Por. Draeger, Hist. Syntax I², § 273, str. 608. Jeżeli nadto uwzględnimy dalsze objaśnienie Kadłubka: *non temporis inspecta reverentia*, musimy twierdzić, że także zdaniem jego biskup zginął w czasie odprawiania pontyfikalnej Mszy św. Słowa Długosza (str. 372, wyd. krak.): »pontifici sancto *missarum solennia consummanti*« są tylko parafrazą powyższych zwrotów Mistrza Wincentego. Nie sprzeciwia się też temu tłumaczeniu wyrażenie Kadłubka i Długosza: »in maternis *paene* visceribus«. Mowa tu o samem wewnątrz Kościoła, bo *paene* służy tylko do złagodzenia przenośni: tak jakby, że tak powiem. Np. Cicero, rep. 1, 45 *divini paene est viri*; leg. 2, 4 *incunabula paene mea*; Phil. 2, 17 *voce paene litterarum* i t. d. Kadłubek j. w. str. 272, 6: *immortales Poloniae titulos zodiacis paene signis inseruit*. Prof. T. W. ustanawia różnicę pomiędzy »ad aram« a »prope aram«, dodając, że *prope aram* »można rozumieć ogólniej: w pobliżu Kościoła«. Proszę jednak porównać, co mówi Ioann. Sarisberiensis o męczeństwie św. Tomasza: epist. 304, str. 356 M.: *Certe in Ecclesia (immolatus est) ... coram altari, inter consacerdotes; tamże: coram altari prostratus effusus manibus impiorum obtulit proprium* (por. Długosz: *Rex impius... prosternit et interimit se. Sanctum Stanislaum*). Czem się różni »coram altari« od »prope aram«?

uwagę ks. Fr. Namysłowski w rozprawie: Ś. Stanisław »traditor« czy zdrajca? Kraków 1908, str. 46¹. Proszę porównać następujące przykłady z Galla: II, 37 *Zbigneui litterae captae... quibus multae traditiones et insidiae sunt prolatae*; II, 48, *tot traditiones et insidias (Pomoranorum) memorantes*; III, 23, *quae (dies) traditionem et infidelitatem Bohemorum revelabit*; II, 44, *ille Boleszlavi filius spiritalis traditiones fecit multimodas, dignas sententiae capitalis*; II, 16, *utpote signum traditionis suspicantes* (ustęp rozpoczyna się słowami: *Interea namque Zetheus multas, ut ferunt, ipsis pueris insidias praetendebat*). Kilka razy czytamy *per traditionem* w znaczeniu zdradziecko, podstępnie: I, 17, *a Bohemis in colloquio p. t. captus* (Mescho); II, 36, *Kosle castrum concrematum*. *Qui reputans, aliquem p. t. hoc fecisse*; II, 46, *pro Pomoranis p. t. sua castra capientibus remeavit*; tak samo o 'castrum' II, 47.

Podobnych środków językowych używa Gall, kiedy przez *traditor* chce napiętnować osobę zdrajcy lub wogóle wichrzyciela politycznego: I, 18, *traditores eam (matrem Kazimiri) de regno propter invidiam eiecerunt*; nieco niżej mówi o nich: *malitiosi veriti, ne matris iniuriam vindicaret, in eum (Kazimirum) insurrexerunt eumque in Ungariam secedere coegerunt*; II, 29, *Erat enim ipse Swatobor in Pomorania carceratus, et a quibusdam a regno suo traditoribus subplantatus*; III, 23, *Ad hoc enim detrimentum et dedecus bellica gens Bohemorum traditorum factionibus est redacta*; III, 26, *sicut perfidus hostis et traditor*; gdzieindziej o znaczeniu świadczy sam związek przedstawionych faktów: III, 21, *(Borivoy) regnum acquirere sine bello puerili simplicitate verbis traditorum... se credebat*. Wreszcie przytaczam II, 6, *traditores eiusdem castrum Pomoranos, oraz przysłówkę traditorie*: III, 20, *qualiter prius Borivoy expellendo traditorie deciperunt, taliterque eum iterum decepturi traditorie receperunt*; por. II, 4, *nos se patriam Bohemicis vel alienis nationibus tradidisse*. Godzi się też zauważyć, że pod względem użycia tra-

¹ Takich podpór i dodatków nie potrzebowałby wyraz *proditio*, por. Gallus II, 16.

ditio' w znaczeniu zdrady zgadza się Gallus z pisarzami starożytnymi i z średniowiecznymi kronikarzami, którzy tego rodzaju szkodliwe, wrogie wydanie określają szczegółowo przez wymienienie osoby lub rzeczy wydawanej, albo przez inne znamienne dodatki. Nieprzyjaciele Grzegorza na synodzie w Briksen r. 1080 pozbawiają go tronu papieskiego: velut *regni traditorem* (T. Wojciechowski, j. w. str. 281). W Kronice węg.-polskiej czytamy ciekawe zestawienie przeciwieństw: plus canes quam homines, plus iniquitatem quam iustitiam, plus *traditionem* quam *concordiam* (MPH. I, 502, 3). A jak w piśmiennictwie chrześcijańskim przedewszystkiem i najczęściej do Judasza¹ odnosi się termin 'traditor' (np. Sedulius, Pasch. op. 5, 2, traditor *execranda*; 5, 3, *venalis* ac *perfide*, tunc traditor, *latro*, *fere proditor*), tak też mianują go np. Nadania Bolesławów (MPH. I, 520, 6): cum *Juda* traditore. Prócz wymienienia samego nazwiska mamy do czynienia z jakimś wiele mówiącym epitetem: Augustinus, civ. Dei I, 17, Nam si *Judae* factum merito detestamur eumque veritas iudicat... *sceleratae* illius *traditionis* auxisse potius quam expiasset commissum (przez powieszenie się). Sedulius, Pasch. oper V, 3 p. 276, 17 H.: mellaque venenis adiungis et *saeva* Domino *traditione* blandiris?

Niema zatem u Galla mowy o rzeczywiście zdradzie. Pierwszą myślą, jaka mi przyszła przy czytaniu tekstu łacińskiego, niezależnie od ks. Fr. Buczysa² i senatora G. E. Saengera³, było to, że Gall nie mógłby kary za zdradę stanu nazwać haniebną zemstą⁴, bo zbrodnia przeciw państwu nie jest osobistą krzywdą króla. Natomiast zachodzi pytanie, czy król nie rozumiał przez

¹ Stwierdził to prof. O. Hey w Monachium na podstawie materiału kartkowego z całej łacińskiej literatury starożytnej, jaki zebrano do *The-saurus l. latinae*.

² Ks. Fr. Buczys: »Św. Stanisław, biskup krakowski« (rozprawa dokt.). Kraków 1902, str. 105.

³ G. E. Saenger: »Uwagi do średniow. tekstów łacińskich« (*Żurn. minist. nar. ośw.*, Petersburg 1905, maj) str. 128.

⁴ »Vindicantem se turpiter«. Por. Gall II, 34 Bolezlavus in dubio magno pependit, utrum prius de recenti contumelia se debeat continuo vindicare.

„traditio“ jakiegokolwiek ostrzejszego wystąpienia czy sprzeciwienia¹ się ze strony biskupa, tak, że należałoby pojmować zdradę w znaczeniu mniej ścisłym, swobodniejszym? Takie użycie wyrazu byłoby oczywiście bardzo dowolnem, zupełnie subiektywnem. Sądzę więc, że Gall byłby skorzystał w takim razie z jednego ze słów, które się same przez się jasno tłumaczą, a używał ich gdzieindziej dosyć często: np. *rebellis* (= wogóle oporny: Cypryan, ep. 43, 5 contra *episcopos rebellarunt*), *perfidus*, *perfidia*, *contrarietas*, *periurus*, *seditio*, albo też oczekiwilibyśmy zwrotu *quasi pro traditione*; *pro traditione*, *ut dicebat*, aby uwidocznili subiektywne zapatrywanie króla.

Lecz powie ktoś: Mimo tych wszystkich względów posadam biskupa o występki polityczne, co więcej, odnalazłem rękopis z wyraźną lekcją: *pro traditione regni*! Bardzo dobrze. Należałoby jednak wyjaśnić, dlaczego autor wymienia tylko biskupa, kiedy do buntu należeć miał Władysław Herman, Wratysław czeski, a popierał ich Henryk IV? Jeżeli Gall miał odwagę wymienić Władysława Hermana w następnym zaraz rozdziale, opisuującym przyjęcie Bolesława przez Władysława węgierskiego, jeżeli tam według poprawki G. E. Saengera² (*de fratre Wladislavo facto dolet inimico*) wymieniony jest Władysław Herman jako nieprzyjaciół, to racjonalniej (a powiedzmy zarazem—i uczciwiej) było mówić o nim w tym właśnie ustępie, w którym figuruje i rzekomy zdrajca Stanisław. Zdaje mi się, że to zewnętrzne, formalne wyodrębnienie sprawy biskupa, oddzielenie jej od akcji konspiratorów ma głębsze uzasadnienie wewnętrzne: widocznie chciał Gall zaznaczyć, że biskup nie brał udziału w zmowie przeciwników politycznych, uważał jednak okrutny los arcy-pasterza za moment rozstrzygający w walce materyalnej, skierowanej przeciw królowi; i dlatego wysunął sprawę biskupa na pierwszy plan. Sam Gall z góry uprzedza czytelnika, że nie będzie mówił w jaki sposób, wśród jakich okoliczności wygnano króla (*qualiter... sit eiectus*), bo to wymagałoby długiego wy-

¹ Por. A. W. w „Słowniku apolog.“ III, str. 576; ks. Fr. Buczys, j. w. str. 108.

² Por. j. w. str. 136.

wodu (*longum existit* (=est) *enarrare*). Po takim zastrzeżeniu zupełnie naturalnem jest oświadczenie: podam tylko rzecz najważniejszą, którą uważam niejako za *summa rei*, za właściwe źródło złego, tej rzeczy nie wolno mi pominąć, o niej muszę tu wspomnieć (*hoc dicere licet*)¹. Tej samej zasady koncentracji, ograniczania się do najistotniejszych faktów, trzyma się autor i gdzieindziej: II, 16, (pod koniec) *Qualiter autem hoc contigerit vel qualiter de exilio redierit, prolixum* (= *longum*) *et taedium est edocere, sed hoc dixisse sufficiat*, quia postea non sibi licuit ullum dominium exercere; III, 18, *Quamdiu* ibi steterit vel *quantum* per terram incendia vel praedas fecerit, *non est opus per singula scriptitando demorari, sed summam rei* nobis... *sufficiat* explanari. Wynikałoby stąd, że lakoniczność relacji Galla o tragedyi r. 1079 nie jest wymuszona jakimś naciskiem lub ubocznymi względami. Tłumaczenie, przyjęte przez profesora T. Wojciechowskiego (str. 252): »tyle jednak ujdzie powiedzieć« nie przedstawiałoby żadnej trudności tylko wtedy, gdyby Gall był powiedział nie *longum*, ale *periculosum existit enarrare*.

Wspomniany wyżej senator G. E. Saenger poświęca tej kwestyi ciekawe studjum, odrzuca myśl o politycznych intrygach biskupa, czyta jednak: pro traditione *moechorum* (j. w., str. 128), domysławiając się, że król wywarł zemstę na biskupie, którego oszczercy posądzali o zakazane stosunki z królową. Co o tej kombinacji należy sądzić, wskazują uwagi prof. A. Brücknera w *Kwartalniku historycznym*, 1906, str. 532 n.

Na inną drogę prowadzi nas objaśnienie ks. F. Namysłowskiego. Przez *traditio* rozumie on t. zw. kłatwę, przekazanie króla »w administracyę szatana«, przytaczając na poparcie tego tłumaczenia miejsca z Pisma św. (I Cor. 5, 5 i I Tim. 1, 20) oraz kilka przykładów z XI i XII wieku (j. w., str. 68—70 i 104). Sam czeigodny autor wyznaje, że »tego rodzaju przekaz ukry-

¹ Takie znaczenie słowa *licet* nie jest obce jęz. łacińskiemu. Prócz znanych zwrotów Cycerona (*licet mirari, cernere*) por. np. Propertius, II, 17, 15 *nunc licet* (muszę, trzeba) *in triviis sicca requiescere luna*; II, 9, 51 *mihi si media liceat pugnare puella*. Petr. Lombard., *Comment. in Psalmos*, str. 658 M.: *Unde colligere licet* (= *colligendum*) *exemplaria variare*.

wający się pod wyrazem »traditio-traditor« bardzo jest rzadki w piśmiennictwie historyczno-kościelnem« (str. 68), wszędzie jednak, na co kładę główny nacisk, spotykamy wyraźny dodatek *satanae*: i takiego uzupełnienia koniecznie wymagałobyśmy u Galla¹. Do wymienionych przez autora miejsc dołączam kilka charakterystycznych: Eugippius, Vita S. Severini 36, 2 Cum beatus Ambrosius... servum Stiliconis, auctorem falsarum epistolarum deprehensum, dixerit oportere *tradi satanae*, ne talia in posterum auderet admittere sqq.; Joannes Sarisb., epist. 289 (Migne str. 330): eis, qui meritis exigentibus *Satanae traditi sunt, indulget communionem fidelium*. Joann. Cornub. (Patrol. 199, 1044): tradendos esse *Satanae*; Petrus Lomb. (Patr. 191, 1571—2).

Jak rozpowszechnione jest słowo »anathematizo« w literaturze chrześcijańskiej, zwłaszcza od czasów polemiki z Aryanami, świadczy zestawienie u A. Funcka (Archiv für lat. Lexik., III, 425). W literaturze kościelnej prawo obywatelstwa zyskuje sobie także *excommunicatio*. O »wyobcowaniu« szwaczki Pauli za agitację przeciw biskupowi czytamy u św. Cypryana, epist. 42 *Abstinuimus a communicatione*... Paulam sarcinatricem; dlatego to w tem znaczeniu występuje również samo *abstentus*: np. Cypryan, de domin. orat. 18; epist. 41, 2 i t. d.

W średniowiecznych kronikach i pismach urzędowych na określenie wyklęcia służą dwa techniczne terminy: *excommunicatio* i *anathema*. Gallus I, 19 Gaudentius, sancti Adalberti frater... dicitur eam (terram) anathemate percussisse. Nadania Bolesławów (MPH. I, 520, 6) sit anathema Maranatha. Kadłubek i Długosz: tandem anathematis gladium intentat; regem ipsum

¹ Klątwę mogłyby oznaczać także słowa: pro traditione *maledictorum*; »tradere maledicta« = maledicere. Dr. Antoni Prochaska (Przegl. Powszechny 1909, str. 200) pisze: ... »ów wyraz *traditor* nie może mieć u Galla znaczenia zdrajcy stanu, lecz sprawcy odpadnięcia kraju od króla na skutek klątwy biskupiej. Tę tu miał Gallus na myśli«. Rzecz jasna, że wyraz *traditor* tego wszystkiego, cośmy podali rozstrzelonym drukiem, obejmować sam przez się nie może. Zgodziłbym się tylko na znaczenie »rzucający klątwę«, gdyby szanowny autor wskazał mi drugi niewątpliwy przykład takiego użycia słowa *tradere* bez żadnego bliższego określenia.

anathematisat (obok, denuntiavit excommunicatum¹, Długosz, str. 366, wyd. Krak.). Thietmar (MPH. I, 250, 6) *terribili excommunicatione damnavit*; Kronika węg.-polska (j. w. 504, 1) *excommunicationi et indignationi sanctorum apostolorum Petri et Pauli subdimus eos*. W krótkiej bulli papieża Eugeniusza III z r. 1146 powtarza się kilka razy: *ipsum excommunicationis vinculo innodavit*; *eum ab eadem excommunicatione absolvatis*; *causam excommunicationis*; *causa, pro qua excommunicatus est* (MPH. II, 9). Por. list Henryka do Eugeniusza III r. 1147: *per sententiam excommunicationis*; Petrus Lombardus (Migne tom 191, 1572): *de privatione ecclesiasticae communionis*. W stylu kancelaryjnym przez »anathema« lub »excommunicare« oznacza się t. zw. poena spiritalis. By nie gromadzić za dużo przykładów, podam kilka formułek z dyplomów francuskich, redagowanych za czasów Galla, ogłoszonych w zbiorze pism Hildeberta (Patrol. lat. tom 171): str. 322 (rok 1106) *anathemati subiectus maledictionem Dei incurrat*; str. 319 (r. 1120) *vinculo anathematis innodantes*; str. 315 (r. 1120) *interdicens sub anathemate*; str. 320 (bez daty) *sub anathematis vinculo pontificali auctoritate constrinxi*. W dyplomie z r. 1125 (str. 317) tę samą myśl wyrażono przez opisanie: *canonicae ultioni subiaceat et a sacratissimo corpore et sanguine Domini nostri Jesu Christi aliena fiat (persona)*.

Ale już czas na przedstawienie rzeczy z innego punktu widzenia.

Słowo *tradere* tak samo, jak gr. *παράδιδόναι*, może odnosić się do przekazywania czegoś zapomocą żywego słowa, a więc przez nauczanie lub dawanie wogóle jakichś przepisów i poleceń¹, pojawia się też jako równoznaczne z *docere*, *instituere* w całej literaturze rzymskiej poczynawszy od epoki klasycznej, używa szczególniejszego przywileju w języku Pisma św. i autorów chrześcijańskich, potem drogą dziedzictwa przechodzi do terminologii szkół średniowiecznych, nie mówiąc o dalszych jego kolejach. Treść nauki bywa albo formalnie uwydatniana, albo

¹ Por. św. Cypryan, epist. 13, 4 *mandatorum*, *quae nobis vel per se vel per apostolos suos tradidit*; Hildebert, Vita b. Mar. Aegypt. x (str. 1337 Migne): *Affatu tali tradens mandata sodali* (= str. 1340).

też pomijana. Por. Mnich Priefling. II, 4 (MPH. II, 131) Quibus servandae fidei *regulam* tradens; Petrus Lombardus, tom 191, 1524 *veritatem* integre tradere; Ioannes Sarisber., Metalog. I, 13 tradit ergo *prima elementa* sermonis ars ista; I, 20 Seneca se *artem* comparandae memoriae traditurum facillime pollicetur. Paralelnie biegną zwroty bez określenia przedmiotu: Św. Paweł, I Cor. 11, 2 *sicut* tradidi (= praecepi) vobis, praecepta mea tenetis; Ioann. Sarisber., Metalog. I, 11 Horum autem tria sunt genera, *sicut* Carnotensis senex Bernardus... suis *auditoribus* tradere consuevit; Petrus Lombardus, tom 191, 1629 quasi noviter tradit illis dicens (= monet, praecipit dicens). Przypominam też bardzo dawny przepis: »Cavete ne catecumenorum quisquam quae vobis tradita sunt exaudiat«. Ioann. Cornub. (Patr. 199, 1045): tradunt = docent; tamże 1084 accepi (= didici) vel tradidi (= docui). Nic dziwnego, że już u Kwintyliana spotykamy absolutnie użyte *tradens* w znaczeniu: nauczyciel (III, 6, 59 si qua est in iis culpa tradentis). Dzięki uprzejmości prof. O. Heya i K. Weymana mogę z pisarzy kościelnych przytoczyć dwa przykłady, w których *traditor* = nauczyciel. 1) Opus imperf. in Matthaeum (Ps. — Chrysost.) homil. II (Migne, Patrol. gr. 56 col. 639): ex hoc (mowa o przyzwaniu uczonych w Piśmie przez Heroda) apparet maxime, quia diabolus turbabatur in Herode, quoniam *traditores* legis interrogat: 2) Origen. in Matth. 63 (Migne, Patr. gr. 13, 1700): (o mądrych dziewicach) vasa animarum suarum ab hoc verbo (t. j. doctrinae) implentes a *doctoribus* et *traditoribus*, qui illud venundant sq.¹

Wiadomo, że gr. παράδοσις (= traditio) w popularnym języku Epikteta oznacza naukę ustnie podawaną t. j. διδασκαλία. Por. Dissert. II, 23, 40 ἐπεὶ διὰ λόγου καὶ ταιαύτης παραδόσεως ἔλθειν ἐπὶ τὸ τέλειον δεῖ. Podobnie występuje 'traditio' (z dodatkiem *praeceptorum*) u Kwintyliana. Ioann. Sarisber., Polycrat. str. 387 M.: ut in *traditionibus* suis se ipsos... linguis obiciant detractorum (o naukach filozofów); tamże 409: secundum *traditionem* eorum

¹ Ks. Fr. Namysłowski (j. w. str. 60) przytacza z X wieku glossę *traditor*, objaśniającą niem. ferséläre (Verse-Lehrer). Przypuszczam, że w literaturze kościelnej znajdzie się jeszcze więcej dowodów na tego rodzaju użycie wyrazu traditor.

(sc. Phrygum) »podług wykładu«. W łacinie biblijnej, naśladowanej przez pisarzy chrześcijańskich, przez *traditio* (*traditiones*) rozumie się w pierwszym rzędzie naukę Chrystusa i Apostołów, względnie różne przepisy i polecenia, prócz tego ustanowienia lub rozporządzenia płynące z innego także źródła, często też czytamy obok *traditio* jego synonim, np. *mandatum*, *institutio*, *dispositio*. Por. II, Thes. 2, 14 *state et tenete traditiones, quas didicistis, sive per sermonem, sive per epistolam nostram*; tamże 3, 6 *non secundum traditionem, quam acceperunt a nobis*. Cypryan, epist. 55, 24 *ille post Dei traditionem... humanam conetur ecclesiam facere*; epist. 63, 1 (*episcopos*) *evangelicae veritatis ac dominicae traditionis tenere rationem nec ab eo quod Christus magister et praecepit et gessit humana et novella institutione decedere*, tenże epist. 43, 3. 55, 28. Victor Vitensis 2, 101 *fides nostra evangelicis et apostolicis traditionibus... fundata*. Cypryan, epist. 43, 6 *qui mandatum Dei reiciunt et traditionem suam statuere conantur*; epist. 45, 1 *divinae traditionis et ecclesiasticae institutionis sanctitas*; epist. 74, 3 *humanam traditionem divinae dispositioni antepone*; ep. 59, 5 *qui (episcopi) contra dispositionem et traditionem evangelii fiunt*. Ostatni przykład dlatego także jest ważny, bo dwa rękopisy z IX wieku opuściły „et traditionem“, na co prócz prostej pomyłki mogła wpłynąć i ta okoliczność, że kopiści uważali „traditionem“ za zbyteczne po równoznacznem „dispositio“. Jakoż można wskazać szereg miejsc, gdzie semazyologiczną funkcję naszego *traditio* spełnia np. *exhortatio*, *magisterium*, *praeceptum*: Cypryan, epist. 58, 7 *ut non evangelicis exhortationibus et praeceptis ac monitis caelestibus ad omnia inveniatur armatus*; epist. 67, 4 *quod postea secundum divina magisteria (= nauki, rady) observatur in actis apostolorum*; ep. 73, 20 *per omnia evangelica et apostolica praecepta rationem divinae dispositionis... ostendere*.

Poprzestaję na tych przykładach, bo w późniejszej literaturze chrześcijańskiej powtarzają się przeważnie te kategorie semazyologiczne, jakie ostatecznie w ślad za tłumaczami Pisma św. i za Tertullianem ustalił jeden z twórców języka kościelnego — św. Cypryan. Jak silna była zachowawczość tej dykcji, wskaże

porównanie kilku analogicznych wyrażen Piotra Lombarda i hagiografów Ebbona oraz Herborda. Pierwszy z nich naśladuje dawny zwyczaj w Zbiorze objaśnień do listów św. Pawła (z r. 1140), Ebbo zakonnik i Herbord scholastyk w żywotach św. Ottona. Ten właśnie charakter pism i ich autorów tłumaczy nam przejęcie typowych zwrotów chrześcijańskiego początku: Por. *Petrus Lomb.* (tom 191, 1629): *succenset eis Apostolus, quia... immemores erant traditionum eius*; 1636 *non eius* (św. Pawła) *traditionem servabant*; 1639 *non ex auctoritate traditionis, quam neglexerant, suadet veritatem* (por. tamże: *auctoritate praecepti utitur apostolus*); 1529 *compositis verbis suam traditionem* (= doctrinam) *commendabant* (pseudoapostoli); 1560 *qui secundum traditionem* (= disciplinam) *Salvatoris evangelizat*. Ebbo 3, 13 (MPH. II, 64, 32) *ad conservandam rectae fidei traditionem cohortabatur* (por. Gall I, 4 *nec culturam veri Dei nec doctrinam fidei cognoscebat*); Herbord (MPH. II, 92, 23) *evangelicis traditionibus se submiserunt*.

Rozważywszy to wszystko, wyobrażam sobie, że najmniej wątpliwości czy trudności językowych przedstawia pojmowanie ,traditio' jako nauki, w znaczeniu co dopiero określonym (=admonitio, monitus), ,traditor' jako nauczyciela. Miejsmy na uwadze, że mówi tu osoba duchowna o biskupie, bardzo więc stosownie nazywa jego arcybasterskie upomnienie tym wyrazem, jakiego używano od dawna o nauce, o poleceniach Chrystusa i Apostołów. Gall podnosiłby tu zatem ten sam moment, co Kadłubek i Długosz: strofowanie króla¹.

(Dok. nast.).

Adam Miodoński.

¹ Gdyby chodziło o domysły, możnaby czytać: pro *contradictione* (contradictorem): z powodu *Veto*. Por. MPH. II, 44, 14, *nos omni remota contradictione monitis tuis obtemperare parati sumus*; 133, 16 *verbum Domini praeedicabat et cum multa contradictio fieret i. t. d.* Zmiana da się paleograficznie bardzo łatwo wytłumaczyć, jeśli się uwzględni, że *con* skracano przez c z kreską poziomą u góry, albo przez odwrócone c lub znak podobny do arabskiej dziewiątki. Kopista mógł takie c (zbliżone do o) łatwo opuścić po poprzednim *pro*. Możliwe dalej po ,traditione' uzupełnić dla większej dobitności ,*morum*' lub ,*praeceptorum*'. Jeżeli na te koniektury nie kładę żadnej wagi, czynię to dlatego, bo mi zależało przede wszystkim na interpretowaniu takiego tekstu, jaki nam rękopisy przekazują. Nie mogę jednak powstrzymać

się od jednej uwagi: czy pod »traditio (traditor)« nie kryje się pierwotne *traductio (traductor)*? W Piśmie św. i u pisarzy kościelnych oznacza »traductio«: strofowanie, krytykę, karcenie, a nieraz naganę publiczną, do czego dołącza się odcień: wydawania kogoś na publiczną wzgardę (= diffamare). Por. 4 Esd. 16, 65—66 Dominus... traducet vos omnes; et vos confusi eritis, cum processerint peccata vestra coram hominibus; Tertull. Marc. iv, 35 non odies fratrem tuum in animo tuo; traductione traduces (ἐλεγμαὶ ἐλέγξεις) proximum tuum (= Levit. 19, 17). Wulgata przekłada: *publice argue*. W niektórych przekładach przedhieronimowych zamiast oczekiwanego *traductio* czytamy *traditio*: np. Numeri (cod. Ashburnh.) 5, 18 in manu autem sacerdotis erit *aqua traditionis* (czytać należy *traductionis* = gr. τὸ ὕδωρ τοῦ ἐλεγμοῦ). Por. H. Rönsch, Itala und Vulgata, str. 326, 383; tenże: Semasiol. Beiträge zum lat. Wörterb. I, 72. III, 82, i Collectanea philologa, str. 13; 100. Nadto Ph. Thielmann w Arch. für lat. Lexik. VIII, 252.

(Ciąg dalszy dyskusyi nastąpi).

HEKUBA.

(1868 r.).

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

V.

W miasteczku powiatowem szła do mieszkania dostojnika przewodniczącego komisji sądowej, z prośbą o pozwolenie widywania się z synami uwięzionymi i wyglądała dziwnie. Na tle ulicy małomiasteczkowej, ale szerokiej i ludnej, niskimi domostwami ostawionej, ale różnorodnych typów i strojów ludzkich pełnej, wyglądała dziwnie.

Bo nigdy przedtem ulice miasteczka tego ludności tak rozmaitej i tak licznej jak teraz nie miały. Widać, słyszać i czuć tu było zmieszanie plemion, stanów, języków, kipienie namiętności, zalatujący z przestrzeni szerokich wiew walki i grozy.

Pełno przywodzących na pamięć wojskowe parady i bale ubrań oficerskich: błyszczące mundury i oręż, białe rękawiczki, postawy butne, srebrem ostróg i ostrzami pałaszów brzęczące; gdzieniegdzie przewiazki czarne, podtrzymujące w bitwach nadwężone ramiona lub osłaniające na czołach niedobrze jeszcze zgojone rany.

Pełno strojów kobiecych z piór, kwiatów sztucznych, jedwabów szeleszczących, kolorów rozlicznych, u żon, matek, przyjaciółek oficerów i poczynających napływać ze stron dalekich urzędników.

Liczni mieszkańcy wsi o twarzach ogorzałych, włosach siwiejących i liczniejsze nad mieszkańców ich mieszkanki w sukniach, o tej gorącej porze letniej białych, zastępujących surowo teraz ściganą i karaną czarność żałoby narodowej. Ojcowie, bracia, żony, siostry więźniów coraz liczniej, coraz liczniej z szerokiej okolicy napływających.

Wśród mundurów błyszczących, jedwabów szeleszczących, sukien różnobarwnych i białych, pani Teresa szła wązkim chodnikiem tak samo, jak w Leszczynce chodzić była zwykła, więc właściwie nie szła, ale pędziła, rękami bez rękawiczek z pośpiechu trochę rozmachując, w sukni czarnej i czarnym również, odwiecznym jakimś, płaskim, wciąż na tył głowy zsuwającym się kapeluszu.

Przed chwilą zaledwie do miasteczka przyjechała. Inkę w nątej naprędce izdebce domu zajezdnego zostawiła, a sama, już rozwiedziawszy się dokąd i do kogo iść jej wypada, pędziła wśród ludzi, nie widząc ich, nie słysząc, ani nawet spotykanych niekiedy znajomych spostrzegając.

Nie do ludzi, nie do przyglądania się im, ani do oddawania ukłonów teraz jej było! Gorzał w niej, piekł ją w piersi, stopy jej z nad ziemi podrywał ogień żądz i niepokoju: żądz ujrzenia synów, niepokoju o to, czy ujrzeć ich będzie jej wolno. A spodem płynęły myśli drżące o los tych zagrożonych i myśli rozpaczne o tamtym... na wieki straconym. I dlatego tylko myśli rozpaczne o tamtym nie ciskały ją o ziemię, że krzyżowały się z niemi i upadać jej nie dawały myśli drżące o tych...

W tem, męska postać drogę jej zastąpiła i gruby głos przy samej prawie twarzy jej przemówił:

— Pozwólcie, *barynia*, (pani)! wy w *traurie*! (w żałobie).

Chciała usunąć natręta i pędzić dalej, lecz ciemne palce policyanta, przedramię jej ujęły tak silnie, że stanąć musiała.

— A toż co? Czego pan chce odemnie?

— Wy w czarnej sukni! W czarnych sukniach chodzić nie *dozwolono*!

Ach tak! słyszała o tem, ale wyleciało jej to z głowy. Przypomniała sobie teraz.

— Także historia! A kiedy ja innej sukni nie mam!

Jak wicher odwróciła się, zanim policyant opamiętać się zdołał odbiegła i do pierwszego lepszego sklepiku wpadając, zawołała:

— Wstążki dajcie! kolorowej! najkolorowszej! prędzej!

— Najkolorowszej? To może czerwonej?

— Niech będzie czerwona! Wszystko jedno!

Kupiła wstążkę bardzo szeroką, a tak czerwoną, że na jej widok wszystkie byki ze wściekłością rogi by ku niej nastawiały i skleciwszy z niej natychmiast kokardę wielkości olbrzymiej, u szyi ją sobie do sukni przypięła.

Nosiła ją odtąd stale i na ulicach miasteczka zdala już, zdala, po tym punkcie jaskrawym poznać można było, że ona to idzie.

Wobec czerwoności motyla rozpinającego u jej szyi ogromne skrzydła, znikał z przed oczu ludzkich nadzwyczajny kształt jej przedwiecznego, płaskiego kapelusza, znikał niezwykle również w pierwotnej prostocie swej krój jej czarnej sukni, lecz nie znikala, owszem, widoczniejszą i wypuklejszą stawała się, poczynającą twarz jej oblekać maska tragiczna. Na tył głowy wciąż zsuwający się kapelusz odkrywał czoło, które bruzdy zgryzoty we wsze strony ryc poczynaly, i pod którem wielkie, piwne oczy bywały czasem aż do dna zmaczone, uciekające jakieś, strachliwe i rozmigotane, a czasem ogniem posępnym i stałym gorejące, przywodziły na myśl pochodnie pogrzebowe.

Wiele już dni od przybycia jej do miasteczka upłynęło.

Na powietrze gorące, na blask słońca złocisty szeroko otwarte było okno w mieszkaniu przewodniczącego komisji sądowej, a że dom był jednopiętrowy, niski, przechodnie uliczni widzieć mogli, w ciemnawej głębi pokoju pałającą, czerwoną kokardę pani Teresy. Widzieć też mogli, jak z szerokimi gestami rąk ogorzałych mówiła o czemś do mężczyzny, którego tylko wzrost wysoki, kruczy zarost smagłego profilu i błyszczące ozdoby ubrania, w głębszym cieniu pokoju widzieć było można.

Wysoki, w obcisłym mundurze zgrabny i wykwinny, twarz

miał południowca, wśród kruczego zarostu owalną i smagłą, a w czarnych jak noc oczach, płomienistość południowego słońca.

Synem Kaukazu, czerkieskim kniazem był, w żyłach swych miał zmieszaną krew dwóch narodów: zwycięskiego i zwyciężonego, ale w ustach mowę i w sercu uczucia zwycięzców. Dostojnikiem był, topór gniewu i kary trzymającym nad dużą przestrzenią ziemi pożarem objętej i przez nieszczęście oranej coraz szybciej, głębiej... Nosił tytuł kniazia i ludność tej ziemi nazwisko jego rzadko wymawiając, mówiła o nim wprost i tylko: kniaź.

Dość często pani Teresa do kniazia przychodziła: o pozwolenie widywania się z synami, o możliwość zaspakajania różnych ich potrzeb prosząc, o bieg i możliwy koniec ich sprawy zapytując. Nie bardzo umiała prosić. Czasem mówiła:

— Zmiłujcie się książę, toż to dzieci...

Lecz wnet z tonu prośby wpadała w ton wyrzutu, albo przekonywać usiłującej prawdomówności.

— Ja matka! Do mnie tylko dzieci, dopóki nie dorosną należeć powinny! Ja broni im nie dawałam i do partyi iść nie kazałam, bo to jest głupstwo, aby dzieci w takie rzeczy się wdawały, ale skoro uczyniły to głupstwo, ja jedna ukarać ich mam prawo, mnie oddać ich trzeba, bo mnie jednej Bóg dał prawo, i nie tylko Bóg, ale ta praca moja, te moje zgryzoty, kłopoty, które ja dla nich...

Tu spostrzegając, że z wezbranego serca skarga wybuchać zaczyna, więc powściągała się, milkła, ale nie mogła zatamować drogi łzom, które w oczach jej stawały, szkliste.

Wysoki, wytworny kniaź, oczu z niej nie spuszczał, półsłówkami odpowiadał. Widocznem było, że zadziwiała go i może po trochu bawiła. Ta twarz tragiczna, nad tą co moment przekrzywiająca się kokardą czerwoną, ta głowa śmiało podniesiona, z oczyma oszklonemi powstrzymywaną z całej siły łzą... przypatrywał się jej, mówić pozwalał. Dwoma różnymi językami rozmawiali ze sobą, ale rozumieli się wzajemnie. Ramiona krzyżując na piersi i mrużąc z lekka swe południowe oczy, mówił:

— Młodszym synom nie dawaliście broni, sami wzięli, ale

starszemu daliście ją... dla starszego to już nie było głupstwo, co?... Cha, cha, cha!

Śmiał się z lekka, niezbyt złośliwie, owszem, lekkomyślnie raczej i lekceważąco. W jej oczach łzy jak na zakłęcie nagle osychały. Ze spuszczoną twarzą ponuro i krótko rzekła:

— Sam wziął... ja nie broniłam...

— I źle zrobiliście! zażartował jeszcze książę. Ot i zginął syn wasz starszy...

Podniosła głowę i przerwała:

— Za dobrą sprawę, za świętą...

I nie mogła dokończyć wyrazu, bo połknięte łkanie gardło jej zdławilo.

Książę odwrócił się i urzędowym tonem zapytał, po co dziś przyszła i czego od niego żądała.

Innym znowu razem zauważył:

— Atmosfera w domu widać taka była, skoro *malczugany* (malcy) tacy, zrobić to mogli... *Nus*, sami przyznajcie, jaka tam u was w domu atmosfera być musiała... a?...

Wzruszyła ramionami.

— Atmosfera? A jakąż w moim domu atmosfera być mogła? Wiadomo, że polska. Czy chińską miała być, albo angielską? Także pretensya! Polką jestem i dzieci moje w atmosferze polskiej hodowały się... Ale do walki występować to tym robakom małym nie pora jeszcze była...

Książę znowu ku ogromnemu biurku swemu odwrócił się i urzędowym tonem głosu mówić zaczął.

Teraz, pani Teresa, przed siedzącym sędzią synów swoich stojąc, mówiła:

— Bo niech tylko książę zastanowi się i sam powie. Książę jest przecie człowiekiem cywilizowanym, a może i dobrym... Czy ja wiem?... W każdym narodzie ludzie źli i dobrzy bywają. Proszę pomyśleć i powiedzieć, czy to jest sprawiedliwe i czy to jest ładnie dzieci w turmach zamykać, jakieś śledztwa sądowe nad nimi zaprowadzać? Przecież oni nie dla rozboju, ani dla hulanki, nie dla pieniędzy, ani dla swawoli, ale ze szlachetnego serca, na ofiarę... za sprawiedliwość...

Brwi Kniazia, jak krucze pióra czarne, drgnęły, rozdeły mu się nieco cienkie wrażliwe nozdrza, z ust purpurowych wyszło syknięcie. Ze sprzętu, na którym w postawie niedbałej siedział wstał i wyprostowany, ironicznie mówić zaczął:

— Za wiele mówicie i... za śmiało! Patrzcie abyście sami nie znaleźli się tam, gdzie są wasze małe *gieroje* (bohaterzy).

Ruchem tak nagłym, że aż czerwony motyl u szyi jej podskoczył, pani Teresa głowę w tył odrzuciła i zawołała:

— A jeżeli znajdę się, tam gdzie dzieci moje, to i cóż? Także groźba! Dręczycie innych, dręczcie sobie i mnie. Gotowa jestem. O dzieci swoje lękam się, nie o siebie!

Ale w chwili gdy to mówiła, spojrzenie kniazia pobiegło za otwarte okno i nieprędko już powrócić do niej miało. Spotkać się musiało z czemś bardzo miłym i pociągającym, bo razem z uwagą całkowicie od niej się odwróciło.

Z wyrazem zachwycenia, a może rozkochania, najpewniej pożądaną namiętnego, kniaź patrzył na stojącą pośród wąskiego chodnika Inkę. Za otwartem oknem postać jej ukazywała się jak obraz blaskiem słonecznym wymalowany, ramami otoczony.

Na tle słonecznego blasku stała piękna dziewczyna w wiosnie życia, w śnieżnej bieli sukni, w jasnym złocie włosów, w zadumie marzącej, smętnej i niewymownie słodkiej.

Więcej niż linie rysów i kształty kibici, uderzał w niej i oczy ludzkie do niej przykuwał ten wyraz słodczy niewymownej, delikatności niemal rozwiewnej, smętku marzycielskiego. Zdawać się mogło, że tuż, tuż skrzydła rozepnie i do nieba uleci, albo śpiewem anielskim rozebrzmi.

Na wyjście matki z domu tego czekała. Nie wiedzieć dlaczego naparła się dziś iść z matką. Dla pani Teresy właściwie było to: nie wiedzieć dlaczego; ona wiedziała.

— Zaczekam na ulicy wyjścia mamy stamtąd...

Czekała. Stała na chodniku i powolnym ruchem wzniesionych ku górze żrenic, ścigała białe kwiaty, pływające po błękitnem morzu, niemniej wiedziała i czuła, że przez otwarte okno patrzą na nią, lgną do niej, ogniem ją oblewają oczy męskie czarne i płomienne piękne oczy.

Rumieniec czerwienšy niŹ po delikatnoœci cery i kształtów jej spodziewačby się można, co chwila aŹ po brzegi włosów twarz jej powlekał i znikał, aby po chwili, jak zorza wypłynąć znowu, różowe usta czasem drgały. Książ rumienice i drgnienia wzrokiem chwycił, z pomiędzy warg purpurowych błyskały mu w uśmiechu białe zęby. Wiedział, Źe ona wie o nim, choć na niego nie patrzy, tak, jak ona czuła, nie patrząc, Źe on ją pochłaniał wzrokiem. Była to rozmowa bez słów. Nie po raz pierwszy pomiędzy Inką i ksiąciem się zdarzała.

Wnet po przyjeździe swym do miasteczka Inka uderzoną została postaciami, ubraniami, wielu cechami ludzi, którym podobnych nie widywała dotąd nigdy. W mundurach obcisłych wyprostowani i mnóstwem świecących ozdób błyszczący, mieli w sobie ten rodzaj elegancyi i gracji, który zawsze i wszędzie ludzom wojskowym towarzyszy, ale który dla jej oczu był nowym zupełnie, nie podobnym zupełnie do tego ich rodzaju, wśród którego wzrosła. Ruchy ich, brzmienia głosów, śmiechy rozlegające się często na ulicach i we wnętrzach domostw, miały w sobie tę śmiałość i wesołość, z jakimi chodzi po świecie i patrzy na świat siła. Siła oreŹa pobrzękującego o kamienie bruku i rzucającego w świetle słonecznem połyski jak stał ostre i jak złoto świetne. Siła ogromu, która zwycięŹała nieraz i była pewną, Źe zwycięŹy znowu. Siła ciał zahartowanych w musztrach, nie rozslabionych w myœleniu, które całe i z chciwością podają się ku radoœci Źycia i jego rozkosznym uŹyciom. I jeszcze: jakiś rozmach szeroki, jakaś hulaszczka swoboda i zwycięska, tryumfująca duma.

W szeroko od ciekawości otwarte oczy dziewczyny rzucały się i wyobraŹnię jej ku sobie ciągnęły: nowość, egzotyczność, błyskotliwość, pewnego rodzaju malowniczość. Bił w nią stamtąd powiew jakiś nierozumiany, nienazwany, lecz upalny, radoœci nienazwanych i nienazwanych pełen...

Zaczęła roić.

W ciasnej, brzydkiej, dusznej izdebce zajezdnego domu, w upale nocy letnich, obok matki po całodziennych trudach i wzruszeniach śpiącej, zaczęła roić.

— To są rycerze. Rycerskie postawy i ubiory.

Przypomniła sobie Julka do partyi odjeżdżającego, prostą jego odzież, pasem skórzanym objętą i wózek jednokonny, z powożącym Teleżukiem w baraniej czapie. Takie to było proste, pospolite, prozaiczne...

Przypominała sobie rozmowy i twarze p. Gustawa, młodych Konieckich, Julka i innych jeszcze z tej młodej gromadki, którą znała. Tacy w czasach ostatnich zamyśleni bywali, poważni, poważnemi rozmowami zajęci i takie to bywało smutne... nudne!

A ci są tak weseli, pewni siebie i na tak szczęśliwych wyglądają, jakby żadne nieszczęścia, ani niebezpieczeństwa, ani smutki, ani nudy na świecie nie istniały.

Dobrzeż im pewnie na świecie!

Niektórzy wprawdzie noszą czarne opaski na czołach. Ranieni, snąć, w bitwie... może tej samej, w której Julek... Biedny Julek! Ile razy przypomni sobie o bracie zginionym serce jej uszki pokazuje i oczy stają się wilgotne. Ale bo i po co to ludziom wojny sobie wytaczać i nawzajem zabijać siebie, męczyć? Wiedziała wprawdzie, dokładnie wiedziała po co i o co ta wojna, lecz wszystkie inne myśli tłumiła w niej myśl:

— A ja co temu wszystkiemu winną jestem? Za co ja mam pokutować?

I serce z uszkami znowu głęboko do wnętrza wtulonemi milkło, a głosy inne, nierozumiane, nienazywane, z gwałtem, z gniewem, z niecierpliwością wołały:

— Mnie wszystko jedno! Ja chcę życia, radości, świetności! Ja chcę — szczęścia!

Tak roiała wśród nocy, a z rana w świeżo kupionym, ładnym kapelusiku, ulicą miasteczka biegła. Dotąd udręczeniem jej było, że takiego nie miała; uczucie wstydu, wprost cierpienie dotkliwie sprawiał jej ten, w którym przyjechała ze wsi. O tem, aby od matki nowy otrzymać, myśleć było niepodobna. Więc po krótkim wahaniu, poszła do jednej z towarzyszek starszych, majątniejszych i z najwdzięcznijszem przymileniem się swem poprosiła: Pożycz! Nie spotkała się z odmową, i teraz, w kapelusiku nowym, ślicznym ze sklepu, w którym nabyła go, wybiegła, gdy uderzyły ją, wprost jak dwa płomienie uderzyły w nią i warem ją oblały

oczy idącego naprzeciw niej mężczyzny. Jak noc czarne oczy, wśród smagłej twarzy, pod kruczemi brwiami palające. Jak dotknięcie żelaza rozpalonego, spojrzenie to w policzki ją zapiekło. Słyszała, czuła, że on z drogi swej zawrócił i szedł za nią. Wiedziała kim był. Parę już razy z daleka dostrzegła go była. On może po raz pierwszy spostrzegł ją i zauważył. Ale jak zauważył? Słepiec chyba nie dostrzegłby wytrysłego mu na twarz wyrazu zaciekawienia i naglej ekstazy miłosnej.

Idąc i za sobą słysząc stapanie jego równe, silne, myślała:

— Jaki wysoki, zgrabny! I ten mundur jego, zdaje się, że aż iskrzy się, aż pała...

Iskrzyły się, pałały w blasku słonecznym ozdoby bogatego munduru kniazia.

Kniaz! Nie знаła dotąd ludzi tytuły takie noszących, bo ich w rodzinnej okolicy jej nie było. Czarem powiało na nią od wyrazu tego. Nie myślała o tem, skąd czar pochodził. Pochodził z wyobrażenia o bogactwie, potędze, z niepospolitości również i nowości. Nieraz już przedtem czuła ciekawość: jak wyglądać może człowiek, mający tytuł księcia. Teraz wiedziała. Był młody, piękny, świetny!

Aż do bramy zajezdnego domu, w którym z matką mieszkała szedł za nią. Chciał może dowiedzieć się, gdzie mieszka i dłużej na nią patrzeć. Słyszała wciąż za sobą kroki jego równe, silne, czasem ostrogą srebrną pobrzękujące. U bramy domu stanęła i profilem ku ulicy obrócona, nie na niego spojrzała, lecz kędyś w górę, w górę. Miała z tem spojrzeniem wyraz tęsknoty niewymownej, czystości anielskiej i wiedziała o tem. On zaś, na chodniku przystanąwszy, patrzył wprost na nią, śmiało i ciekawie, z zachwyceniem. Trwało to bardzo krótko, może pół minuty, lecz zadzierzgnęło pomiędzy nimi nic, której on zniknąć nie pozwolił. Kilka już razy odtąd znalazł się na jej drodze i słuchała potem rozlegających się za nią stapań jego równych, silnych, z lekka i czasem, srebrem ostrogi pobrzękujących. Kilka już razy policzki jej oblały się warem, gdy oczy na sekundę, na czas mrugnięcia powieki, spotykały się z jego czarnem, płonącym spojrzeniem.

I książęcem. I spływającym na nią z pośród błysków świetnego munduru.

Ale nie zamienili się dotąd słowem żadnem. Była to dotąd niema gra, szukających się nawzajem wzroków i wyobraźni, krzyżujących się z sobą nici, które elektrycznością napojone... Lecz po cóż gry takie opowiadać? Rzecz to powszednia i powszechna, pospolita i na wszystkich szczeblach żywego stworzenia znana. Inie jednak wydawała się przygodą nadzwyczajną, tryumfem upajającym, przedsmakiem czy przedbłyskiem czegoś nad wszystko miłego i upragnionego...

Teraz ujrzała matkę, opuszczającą mieszkanie kniazia. Z zupełnie prawie wygładzonymi na czole zmarszczkami, z radością w oczach do córki przypadła.

— Chodźmy! Chodźmy! jakże długo czekać na mnie musiałaś! Ale cieszę się! Przyrzekł rozporządzenie wydać, aby Olek przez parę tygodni jeszcze w szpitalu pozostał. Wzmocni się trochę chłopak w wygodach lepszych i może przestanie lękać się tak okropnie celi więziennej. I codziennie z obydwojma widywać się nam pozwolił. Tak, mnie i tobie. Ja nawet dla ciebie nie prosiłam. Sam powiedział: »Może i dla córki pozwolenie weźmiecie; trzeba aby siostra braciszków *gierojów* odwiedziła«. Nie rozumiem skąd on wie, że ty na świecie jesteś! Ale zresztą, nie dziwnego. Oni o nas wszystko wiedzą!

Po drobnych ustach Inki uśmiezek się przewinał. Nie spostrzegła go pani Teresa, myślami, troskami swojemi zajęta.

— Do szpitala, do Olka teraz polecę, powiem mu, że go jeszcze ani dziś, ani jutro do turmy nie wezmą, a potem dowiem się co z Jankiem dziś... bo wczoraj taki był jakiś zdesperowany, posepny, że aż mi serce strach zimny oblał. A ty, pójdziesz ze mną do braci?

— Nie, mamciu, pani Awiczowej i Tosi przyrzekłam, że dziś u nich... że dziś im w szyciu jakimś pomogę.

— Kiedy przyrzekłaś, to dotrzymaj i dobrze, że choć trochę robotą jakąś się zajmiesz... Idźże do Tosi w tę stronę, a ja do Olka pójde w tamtą...

U zbiegu dwóch ulic stały; pani Teresa rzekła jeszcze:

— Wiesz, Inka, ten kniaź, to może i niezły człowiek! Nie wytrzymałam dziś i może zanadto prosto z mostu prawdy mu nagadałam, aż nasrożył się, plecami do mnie a twarzą do okna się odwrócił. Ale prędko jakoś złagodniał i z wielką grzecznością wszystko, o co prosiłam, zrobił.

Przez oczy i usta Inki znowu uśmieszki przeleciały, ale pani Teresa już na nią nie patrzyła, pędziła, leciała w stronę szpitala więziennego.

Była już tam nieraz. Wkrótce po przybyciu tutaj znalazła się w tej sali dużej, widnej, gdzie na szeregach pościeli szczupłych, leżały szeregi postaci, w białe płótna owiniętych, sztywnych. Sztywność ciał i ciasność obejmujących je opasek czyniły je podobnymi do mumii, na dnie sarkofagów wyciągniętych, lecz w białem świetle, które salę przez nieosłonięte okna zalewało, jak wypukłorzeźby z żółtego wosku odrzynały się od bielizny pościeli twarze z rysami przez wychudnięcie zaostrozonymi i oczyma palającymi gorączką lub bólem. I jak nad mumiami, gdy dźwignięte są w górę wieka sarkofagów, unosiły się nad postaciami temi wonie mdłe, ekliwe, wonie ziół i minerałów na leki przerebionych, zaprawione z lekka zapachem krwi.

Ranieni w zbrojnych walkach obydwóch stron walczących.

Na jednej z pościeli leżała postać od wszystkich innych mniejsza, w wyszczupleniu swem i spowijającej ją bieliznie zupełnie mała, z daleka już poznać można było, że dziecinna. Wy-chudłą była; twarz miała żółtą, z rysami wyostrozonymi i oczyma, które wśród nich błękitnością turkusów świeciły. Gdy pani Teresa po raz pierwszy do sali tej wchodziła, dziecko to krzyknęło: Mama! i ruchem namiętnym padło w objęcia, które je długo obejmowały, kołysały, do piersi tuliły bez słów. A potem:

— Robaku mój! Skarbie mój! Dziecko ty moje nieszczęśliwe, najmilsze! A cóżeście wy najlepszego razem z Jankiem uczynili! Czyż ja mogłam przypuszczać, aby wam to w głowach powstać mogło! Toż dzieciaki z was jeszcze, siły nie mające, nic o takich rzeczach nie wiedzące i nie umiejące. Ach złe wy dzieciaki, niegodziwe, żeby taką biedę na siebie i na mnie...

On ręce jej pocałunkami pożerając, ze szlochami szeptał:

— Niech mamcia nie gniewa się, niech mamcia przebaczy... my mamcię nieszczęśliwą uczynili, ale myśmy myśleli, nam zdawało się... my w sobie czuli...

Z nową mocą w ramiona go schwyciła, już pocieszając, szepcząc:

— Podrzuciło coś was w górę, biedaki moje, jak te liścieczki, które wiatr podrzuca... ku niebu wysokiemu, ku pięknej gwiazdzie was podrzuciło... ale przedwcześnie, ale nadaremnie! Chwała Bogu, że żyjecie! Dorośnięcie i wtedy... A ja na was nie gniewam się, nie! Za podłe chęci, za podłe postęпки, jabym was karała... przeklęła... A tak, to tylko niedorobłość rozumków waszych... nieszczęście...

I zaraz.

— Jakże tam z raną twoją? Czy bardzo boli? Och ty robaku mój, biedaku, dzieciaku najdroższy, niegodziwy...

Rana, którą Olek otrzymał, śmiertelną nie była, jednak była ciężką. Coś mu w ramieniu kula kozacka porwała, czy zgruchotała, tak, że dotąd nie wiadomo było, czy kiedykolwiek całkowitą władzę w niem odzyska. Przytem na koniach kozackich, na wozach trzęsących, bez opatrunku dziesięć mil wieziony, krwi mnóstwo utracił i matczyne tylko oczy poznać w nim teraz mogły pyzatego, rumianego chłopca, który gdy policzki wydał i sapać począł, samowar czy miech kowalski obecnym się przypominały, a gdy się czego cieszył, to z ramionami w półokrąg nad głową wyciągniętymi, na łokieć wysoko podskakiwał.

Inaczej wcale niż Olek powitał matkę Janek.

W celi więziennej, którą z towarzyszem daleko od siebie starszym podzielał, znalazła go milczącym, zamkniętym w sobie, nie po dziecinnemu jakoś ponurym i smutnym. Ręce matki ucałował, ale nie przeproszał, o nic i o nikogo nie zapytywał, mówił mało i niechętnie, w ziemię, albo kędyś w stronę, ze zmarszczką na czole chłopięcem, patrzył. Zaciął się, zaskalił w uczuciu i myśli, że uczynił dobrze, że uczynić tak był powinien i że tylko — nie udało się. Żądłem w sercu, goryczą w piersi, wstydem na twarzy, nieudanie się to mu osiadło. Czasem wyglądał tak, jakby nagle śruba bólu wkręcać się mu w serce zaczynała; z ust wykrzywio-

nych syknięcie wychodziło, wzrok stawał się osłupiałym albo błędnym.

Raz pokazał matce czerwono sine pręgi i plamy, które na szyi, rękach, plecach miał od kozackich nahajek i żołnierskich kolb, a pokazawszy, rozplakał się głośno. Lecz wnet powściągnął płacz.

— Niech mama nie myśli, że ja z bólu! Nie bardzo boli i o ból mniejsza! Ale jak oni... jak oni... jak oni... śmieli mię bić!

Cała krew uderzyła mu do twarzy, szczupłe ręce zacisnęły się w pięście tak mocno, że się paznokcie w dłonie wpiły.

Pani Teresa perswadowała:

— Moje dziecko, wyście przecie strzelali do nich; cóż dziwnego...

Porywczo przerwał:

— Ja wiem! ja wiem! Na wojnie jak na wojnie! I gdyby mię byli ranili tak jak Olka, albo i zabili... Ale bić... bić... bić mię nie mieli prawa! Ja nie niewolnik!

Pani Teresa dziwnie się uśmiechnęła. Boleśniejnymi bywają czasem uśmiechy nad jęki. Z tym uśmiechem, a z czołem w mnóstwo fałd zbiegłem, syna w ramionach trzymając, nad głową mu szeptała:

— Tyś niewolnik... biedny robaku mój! Otóż to, żeś niewolnik, ty... niewolnik!

Nieprędko odważyła się powiedzieć mu o tem, co stało się z Julkiem. Chłopak zbladł bardzo i wargi tak drżeć, że aż latać mu zaczęły. Odwrócił się i z czołem do więziennego muru przyciśniętem, namiętnie szeptał:

— Szczęśliwy Julek! kochany, biedny Julek, szczęśliwy! szczęśliwy!

O tego syna swego pani Teresa więcej jeszcze niepokoiła się, niż o tamtego. Tym, którzy ją o synów zapytywali, odpowiadała:

— Janek ciężiej od Olka raniony... wewnętrzną ranę ma, utajoną, ale ja ją widzę... Ach, gdybym go do Leszczynki... gdybym ich obu do Leszczynki zawieźć mogła... W mig obajby

wyzdrowieli... A tak... Bóg jeden wie... Bóg jeden chyba obroni...

Leszczynka! Palącą tęsknotą tryskające marzenie o raj, wśród tego brudnego, zakurzonego, kamieniami wysłanego, dusznego miasteczka, w tej sali szpitalnej...

Zaogniła się jakoś dnia pewnego rana Olka, dokuczać zaczęła, gorączkę sprowadziła. Pani Teresa w godzinie przepisanej na sposób żaden od dziecka cierpiącego oderwać się nie mogąc, o możliwość pozostania przy nim przez noc całą, straż i służbę szpitalną ubłagała. Powiedzieć można, że wypłakała sobie tę krótką, noc letnią, która na zachodach około chorego, na cichych szeptańiach z nim jej zesła, aż on usnął, a ona w sali, stękającymi oddechami śpiących i mdłymi zapachami leków napełnionej, przy odsłoniętem oknie siedząc i na szmat nieba porannego patrząc, nagle jakoś i strasznie do Leszczynki zatęskniła...

Teraz tam wzbijają się z nad ziemi mgły poranne, jak krepy białe rozwlekają się w powietrzu, znikają, a naprzeciw okna jej izdebki, jak raz naprzeciw tego okna, występuje z ciemnej pręgi lasu, rubinowa wstęga jutrzni...

Drzewa w ogrodzie stoją, jak z kamieni wykute, tak nieruchome, w coś wsłuchane choć nie nie słychać i cisza panuje taka, że szelest ptasiego skrzydła szumem wichru wydać się mógłby. Ale ptaki śpią jeszcze... Niemem powietrzem przelatują tylko lekkie chłódki, — dreszcze świata.

O! przez minutę, przez jedną odetchnąć tamtem powietrzem porannem, przeczystem...

I raz choćby spojrzeć na łąn zoranej ziemi, co pod pręgą lasu i pod wstęgą zorzy wyciąga długie, ciemne zagony... Na drzewa, których listowie, od występującego z za jutrzni słońca dostaje złotych podszewek... Na rosę, która po żdźbłach trawy, po ziarnach piasku, po liściach, poczyną drgać, błyskać, igrać...

Ach zebrać, ach zgarnąć w objęcia dzieci, wszystkie dzieci, które jej pozostały i znaleźć się z niemi w Leszczynce. Jakie marzenie rajske! jakie pragnienie piękące, rozciągające ciało i duszę na torturach tęsknoty nieskończonej!...

Rozmarzyła się pani Teresa u okna sali szpitalnej siedząc,

roz tęskniła się tęsknotą nieskończoną i przez trwanie godziny doświadczała męki głodu, który nasyconym i pragnienia, które napojeniem być nie mogło.

Ale był to w życiu jej tutejszem jakby sen, krótki sen czarowny i razem piekielny. Rzeczywistość twarda, sroga, pochłaniała ją. porywała, po bruku miasteczka wciąż z miejsca na miejsce nosiła.

Teraz niosła do Olka z dobrą nowiną, że jeszcze czas jakiś w szpitalu zostać będzie mu wolno. Bo nie wiedzieć dlaczego, dzieciak począł ogromnie lękać się turmy. Nie był w niej jeszcze, nie wiedział jak wygląda i stworzył o niej sobie wyobrażenie jakieś fantastyczne, straszne. Może dlatego, że był fizycznie słabym, albo że wyobraźnią jego wstrząsnęła owa scena leśna i potem jazda dziwna, fantastyczna, na koniu kozackim, w zmrokach zapadającej nocy. Tulił się do matki z błaganiem:

— Tylko niech mię tam nie zabierają... niech mię nie zabierają do więzienia!...

A Inka, u zbiegu dwóch ulic z matką się rozstawszy, nie w kierunku mieszkania p. Awiczowej i jej córki poszła, ale w tym, który do pewnej mało uczęszczanej przechadzki publicznej prowadził.

Nie miała ochoty najmniejszej towarzyszyć matce do więzienia i szpitala. Małych braci żałowała czasem, że cierpią, ale były to chwile przelotne, wogóle zaś nie czuła szczególnej do nich tęsknoty, a w zamian, takie miejsca udręczeń i smutku jak więzienia i szpitale, budziły w niej odrazę taką, jakiej doświadczać musi ryba do suchego piasku, lub jakiej niektórzy ludzie na widok krwi i ran doświadczej. Od atmosfery cierpienia czyniło się jej mdło, nudno, słabo i zaraz po głowie chodzić zaczynały myśli, że wszystko to jakieś niepotrzebne, nieładne, nieznośne i że ona jest wcale do czego innego stworzona. Do czego mianowicie była stworzoną, dokładnie tego przed sobą nie określała, ale nieraz widok fruujących ptaków i latających motyli nasuwał jej myśl: szczęśliwe! wolne! bawią się sobie w blasku słonecznym, na kwiatach!

Dziś dążyła na spotkanie umówione, zaciekawiające i przy-

jemne, spóźnić się mogła, więc przyspieszała kroku, a oczy jej przytem niezwykle błyszczały.

Ta nowa znajoma jej, na której spotkanie spieszy, to bardzo, bardzo miła kobieta, może najmilsza ze wszystkich znanych jej dotąd. Poznała ją wczoraj na przechadzce.

Bo jak w Leszczynce, po wpół dzikim ogrodzie, tak tutaj po niedużym, prawie już zamiejskim parku, często błądziła bez celu, krokiem powolnym, czasem listki z krzaków smętnym gestem zrywając, rojąc, na każdą postać spotykaną szeroko oczy ciekawe, a prześliczne, otwierając.

I wczoraj właśnie, gdy po długim takim wśród drzew błądzeniu na ławce pod drzewem usiadła, zbliżyła się do niej ta pani, która przedtem, kilka razy na drogach i drózkach parku z nią się rozmijając, z bardzo miłym uśmiechem jej się przypatrywała.

Nie bardzo już młoda, ale czerstwa i żwawa, trochę zanadto otyła, jednak zgrabna w ślicznie zrobionej sukni z szeleszczącej ce-su-czy, gęsto koronkami przyozdobionej. Na czarnych włosach, kapelusik złożony z kwiatów bzu, nad którymi małe, białe piórka, bardzo lekkie, jak nici srebrnej pajęczyny powiewały. Wesoło stawało się od samego widoku jej twarzy okrągłej, rumianej, dobrodusznej, jej oczu, jak dwie czarne perełki świecących, jej liliowych bzów na głowie, piórek nad niemi polatujących i złotej biżuterii wśród koronek migocącej.

Na ławce obok Iny usiadła i wnet ku niej z ogromnie miłym uśmiechem się zwracając, ogromnie uprzejmym głosem przemówiła:

— Pozwólcie zaznajomić się! Ja was dawno już spotykam i patrząc na was dziwię się, że w takim brzydkim miasteczku, taką jak wy piękność zobaczyć można.

Gorącym rumieńcem spłonęła twarz Iny i w piersi uczuła rozlewającą się rozkosz. Tak już dawno, dawno, nikt na nią uwagi szczególnej nie zwracał i nie podobnie miłego jej nie mówił! Z cicha ale uprzejmie odpowiedziała, że nie mieszka stale w tem miasteczku, że ze wsi z matką przyjechała.

Nieznajoma zaśmiała się swobodnie, głośno.

— Wiem, wiem! Ja nawet wiem jak nazywacie się i kto jest wasza matka. Ją także widuję na ulicy. Ot, można powiedzieć, że córka do matki niepodobna! Wy przy swojej matce jak *kniahini* (księżna) przy chłopce wyglądacie...

Z pewnem zaniepokojeniem i zmieszaniem Ina przerwała:

— Moja mama zajęta bardzo zawsze... na ubieranie się i nie takiego czasu nie ma... ale bardzo zacna jest, dobra...

— Ależ ja nie o tem... nie o tem... z energicznym gestem broniła się nieznajoma. Ona pewno najlepsza... to nawet widać... Tylko wy na jej córkę nie stworzona... Taka delikatna, biała, z *kroszczczemi* (drobniutkami) rączkami i nóżkami... *prosto kniahini, czudo!* (wprost księżna, cud!).

Oczkami świecącymi jak czarne perełki po całej postaci Inki wodziła, wyraz podziwu i zachwycenia twarz jej okrywał. Było w tym podziwie i w tem zachwyceniu coś dziwnie i szczerze naiwnego. Jeżeli w zaznajamianiu się z Inką i miała uboczny cel jakiś, to jednak niewątpliwie sprawiało ono jej samej żywą przyjemność. Mówiła okaleczoną i wyrazami obcemi łataną polszczyzną, tak jak mówią ci, którzy niedokładnie się jej wyuczyli, albo niegdyś jako ojczystej używali, a potem zapomnieli. Z dalszego ciągu rozmowy okazało się, że była to dla nieznajomej mowa wpółojczysta. Śmiejąc się mówiła:

— Ja troszkę Polka! U mnie ojciec *ruski* był a matka Polka. Tak mnie troszkę czasem i ciągnie do Polaków...

Po twarzy Inki rozlał się wyraz zdziwienia.

— Wy zdziwili się! Czegoż wy tak zdziwili się? Nu, już wiem! Tego, że moja matka była Polka, a za ruskiego poszła. Cha, cha, cha, cha! U was taki *predrasudok* (przesąd) jest, że tak żenić się, albo za mąż wychodzić nie trzeba... Nu, *głuposc* to, *pustiaki!* (głupstwo, drobnostki). Biedną dziewczyną była i kiedy ją dobry los spotykał, czemu by z niego korzystać nie miała? I czasy wtedy spokojniejsze były, ale to wszystko jedno. W każdym czasie *predradsudki*, to *głuposc* i tylko żyć ludziom przeszkadzają. *Adnakoż* (jednakże) trzeba, abym wam powiedziała, jak nazywam się i kto ja taka...

Powiedziała jakieś nazwisko i poprosiła, aby Ina ją Heleną

Iwanówną nazywała. A mąż jej w wojsku służy i jest adjutantem kniazia Borysa Elpidorowicza...

Oczy Inki błysnęły i zupełnie pomimo woli, z nagłym ożywieniem twarzy powtórzyła:

— Kniazia!

Głośno, swobodnie zaśmiała się znowu Helena Iwanówna.

— Wiecie kto to książę Borys! Zauważyliście go! Nie dziwnego! On u nas pierwszy *krasawiec* (piękność męska) w całym wojsku! A jaki dobry, miły człowiek! Z mężem moim jak brat z bratem żyje i ja sama duszę za niego... Ale pozwólcie dowiedzieć się jak wasze imię?

— Ina.

Helena Iwanówna ucieszyła się czegoś tak bardzo, że aż w ręce białymi rękawiczkami ościągnięte, klaskać zaczęła.

— A co? Tak on mnie i mówił... On, *znaczy* się książę, słyszał raz jak matka na was imieniem tem wołała, a ja sprzeczałam się i mówiłam, że takiego imienia niema...

Wargami, które trochę drżały, Inka szepnęła:

— Książę mówił o mnie...

— A wy myślicie, że on nie mówi o was. My z mężem już całą niedzielę (tydzień) śmiejemy się z niego, że o niczym innym jak tylko o was, mówić nie może. Boginią was nazywa. *C'est une deesse!* mówi. Wczoraj spotkał się z Wami na ulicy i zaraz do mnie przyszedł. »Wiecie, Heleno Iwanówno — mówi — że gdyby ją do Petersburga zawieść i na wielkim świecie pokazać, wszystkimby głowy pozawracać mogła«. A jemu samemu to już i dobrze zawraca się od was w głowie. Nu, ale ja sobie gadam i gadam, a mnie do domu czas! Pozwólcie dowiedzieć się, jak imię waszego ojca?

— Ojciec mój od dawna już nie żyje. Na imię było mu Julian...

— *Biedniażka wy!* (biedaczka). Tak rano (wcześnie) bez ojca zostaliście i... z taką matką! Nu, tak do widzenia Ino Julianówno. A kiedy zobaczymy się? Może jutro znów na spacer tu przyjdziecie. I ja przyjdę. Pogadamy sobie i ja znowu na wa-

sze liczko cudne popatrzę. A o której godzinie? Może o czwartej? Dobrze? U mnie o tej porze czasu najwięcej...

Umówiły się, że nazajutrz zejdą się znowu na tem miejscu o godzinie czwartej, a teraz już nieco później jest i Ina spieszy... spieszy... Coś ją pcha, na skrzydłach niesie ku tej wystrojonej, wesołej kobiecie, która wczoraj mówiła jej rzeczy tak miłe, tak miłe, że aż spać w nocy nie mogła. Jakby jej kto, wśród ciszy nocnej, do ucha szeptał słowa: »*C'est une deesse!* A potem: »o niczem więcej, jak tylko o was, mówić nie może«. I jeszcze: Borys! Borys! kniaź Borys! Ślicznie imię to brzmi...

Zaszeleściła pomiędzy drzewami jedwabna suknia Heleny Iwanówny, inna niż wczoraj i jeszcze ładniejsza, jak srebrne pajęczynki rozwiewały się na kapeluszu jej małe, białe piórka, gdy ujrawszy Inę, na jej spotkanie biegła. Kaczkowatym krokiem biegła i z uśmiechem radośnym ręce Iny pochwytywszy, w oba policzki ją ucałowała. Można by z powitania tego wnosić, że znają się od dawna i kochają serdecznie. Ale też nie udaną, wcale nie udaną i nie obłudną była serdeczność Heleny Iwanówny. Rubaszna i naiwna była ona owszem samorzutną, szczerą. Potrzebną na coś Helenie Iwanównie była Ina, niewątpliwie, ale że podobała się jej i budziła w niej sympatyę, to również było niewątpliwe.

— Przyszliście! Jak to dobrze! Myślałam już, że może nie przyjdziecie i zaczynało mi robić się smutno! Ja was polubiła! Od pierwszego spojrzenia polubiła ja was, za waszą młodość, za waszą piękność, za waszą jakąś taką... anielską... Już nie wiem jak powiedzieć! Na was patrzeć, to tak samo, jak miód słodki jeść. Za wami wszyscy przepadać muszą! Powiedzcie prawdę: wielu już mężczyzn za wami się *włóczyło*? Wielu *na was* żenić się chciało? Może już *żenicha*... przepraszam... narzeczonego macie? A? powiedzcie!

Pod czułem, wesołem i razem bystrem, świdrującem spojrzeniem czarnych świecących oczek rumieniła się Ina, ale zarazem czuła nieopisaną błogość. Czuła, że jest przez tę kobietę lubiana, podziwiana, uwielbiana. Z cichym też śmieszkiem szepnęła:

— Nikt jeszcze nie oświadczał się o mnie i narzeczonego nie mam. Ośmnaście lat dopiero zeszłej zimy skończyłam.

— Toż to młodość! Boże mój! Jaka to śliczna rzecz taka pierwsza, *ranna* (wczesna) młodość! Wy, Ino Julianówna, jesteście jak kwiat, co jeszcze niezupełnie z *puczka* (z pąka) się rozwinał... Ale zawsze, jak to być może, abyście *ženicha*, przepraszam, narzeczonego jeszcze nie mieli? Was już od matki porwać byli powinni... Wy już powinni być *niewiastą* (narzeczoną) albo i żoną jakiego polskiego pana, wielkiego pana... bo wam trzeba w złocie chodzić, karetami jeździć, na wielkim świecie błyszczeć... Jakim sposobem stało się, że tak nie jest jeszcze? powiedzcie?

Inka z cicha i z wdziękiem historię okolicy swej w latach ostatnich opowiadać zaczęła. Żałoba narodowa od lat dwóch... Tańców ani innych wesołych zebrań żadnych nie bywało. A potem wszyscy coraz więcej, coraz więcej zajętymi być poczęli rzeczami poważnemi, publicznemi i nikt o zabawach, ani różnych... takich rzeczach... wcale nie myślał...

Helena Iwanówna z politowaniem żalownem i razem wzgardliwem głową wstrząsać zaczęła.

— O *miatieżu* (o buncie) myśleli... Do *miatieża* przygotowywali się... do nieszczęścia swego... do zguby swojej...

I zaczęła ubolewać nad nierozwagą, nad szaleństwem tych, którzy głowami swemi mur przebić próbowali, którzy z motyką na wojnę przeciwko słońcu wybrali się, którzy zdrowe szyje dobrowolnie pod ostry miecz wyciągali, bo Rosya to mur, to słońce, to miecz... a oni co? Waryacya jakaś chyba do nich przystąpiła! I po co? o co? za co?

Ina nieśmiało szepnęła:

— Za ojczyznę!

— *Zostawcie* (dajcie pokój) Ina Julianówna! — zaśmiała się Helena Iwanówna; — wy taka młodziutka, powtarzacie coście słyszeli... wierzycie w to, w co wam wierzyć przekazano, a tymczasem na szerokim świecie, którego nie znacie...

Mówić zaczęła o tem, że na szerokim świecie wszyscy rozumni ludzie, od dawna już w takie *przedradsudki* (przesady) wierzyć przestali. Ziemia wszędzie jest jednakowa i słońce jednakowe i człowiek szczęśliwym albo nieszczęśliwym być może tak samo w jednym kraju, jak i w innym. Ot, na przykład, matka

jej: Polką urodziła się, za *ruskiego* poszła i cóż jej złego stało się? Nic wcale. *Naprzeciw*, (przeciwnie) wesoło sobie życie przeżyła i ją, córkę swoją, przed śmiercią dobrze za męża wydała. Albo kniaź Borys Epidorowicz. Przecież ojciec jego czerkiesem był i za młodu nawet do zbuntowanych należał, razem z Szamilem, przeciwko Rosyi wojował, ale potem do rozumu przyszedł, wiarę *ruską* przyjął, *na ruskiej* ożenił się, wielkim jenerałem został i ot, syn jego, o czerkiestwie swoim już i zapomniał! Takich ludzi na świecie pełno jest i to są rozumni ludzie. Bo jeżeli nawet i *dopuszczać* (przypuszczać) pojęcie ojczyzny, to przecież do wielkiej, silnej, szczęśliwej, przyjemniej i wygodniej jest należeć, niż do małej, słabej, *upokorzonej* (podbitej). Trzeba tylko rozum mieć, a zaraz pokaże się, że wszystkie te *predradsudki* to tylko męki różne ludziom zadają, a czasem nawet i zgubę im przynoszą, jak teraz naprzykład tym, którzy ten bezrozumny *miatież* podnieśli...

Mówiła z przejęciem się, z zapałem. Znać było, że we wszystko co mówi, bardzo szczerze i bardzo naiwnie wierzy. Małe, białe piórka trzęsąc się nad jej kapeluszem, słowom jej potakiwać się zdawały. A Ina w milczeniu, nie potakując i nie zaprzeczając słuchała. Zaprzeczać odwagiby może nie miała, bo Helena Iwanówna wydawała się jej kobietą rozumną i świat dobrze znającą, ale i chęci nie czuła, bo słowa słyszane zgodnie jakoś odpowiadały temu, o czem przelotne, lękliwe i niejasne myśli przez własną jej głowę przelatowały. Milczała i ze smutnie pochyloną twarzą oskubywała listki z zerwanej przedtem gałązki krzewu. Aż na zatrudnionych tą robotą drobnych jej rękach spoczęła pulchna, białą rękawiczką ociągnięta dłoń Heleny Iwanówny.

— Czego wy taka smutna, Ino Julianówna, wam do twarzy z tym smutkiem, ale mnie was żal i jaby chciała pocieszyć was, rozweselić! I kniaź zauważył, że u was wyraz twarzy taki smutny czasem, smutny... Wczoraj on do mnie mówił: »Ona, Heleno Iwanówna, z tym swoim smutkiem tak wygląda jak *angiel* (anioł), któremu do nieba ulecieć chce się... Ale jaby zobaczyć żądał, jak ona śmieje się... mnie ciekawość bierze zobaczyć, jak ona wygląda, kiedy ją wesołość opanuje, kiedy szczęście na twarzy

jej zaświeci». Nu, to wy, Ino Julianówno, jak kiedy jego spotkacie, uśmiechnijcie się, wesoło uśmiechnijcie się... on taki szczęśliwy będzie... Ale co to? Widzicie? Jakie to przysłowie polskie... moja matka często je powtarzała... O wilku mowa, a wilk...

Umilkła i rozpromieniona, z uśmiechem szerokim, ku nadchodzącemu kniaziowi przyjacielsko i porozumiewawczo głową wstrząsać zaczęła.

Wśród drzew małego parku, w świetnym mundurze, wyprostowany, wysoki, zgrabny, iskrzący się i błyszczący, szedł krokiem swoim równym, silnym, z lekka srebrem ostrogi brzęczącym i w pobliżu dwóch kobiet na ławce siedzących znalazłszy się, rękę ku czołu w ukłonie wojskowym podniósł. Ale na Helenę Iwanównę, którą ukłonem tym witał, nie patrzył. Z pod brwi kruczych, czarne jego spojrzenie w twarzy Iny utkwione było z takim wyrazem, jakby ją niem przebić, spalić lub wchłonąć w siebie pragnął.

A ona, z oczyma ku niemu podniesionemi, z łuną rumieńca na twarzy uśmiechnęła się. Uśmiech to był figlarny trochę i rzewny trochę, nieśmiały i zalotny, jemu zaś na twarz sprowadził błyskawicę radości, w której zajaśniała, zadrgała i rozbłysła wzajemnym uśmiechem koralowych warg... Nie zatrzymał się jednak, kroku nawet nie zwolnił, poszedł dalej i wkrótce za drzewami zniknął.

Helena Iwanówna cała jakąś roześmiana, rozedrgana, szeptała.

— Dlatego nie zatrzymał się i przy nas nie usiadł, że jemu nie wypada... Na takim wysokim *postie* (stanowisku) znajduje się, że ostrożnym być musi i na każdy swój krok zważającym. Ale przeszedł tędy, to tylko dlatego, ażeby na was spojrzeć. Jemu tędy nigdzie droga nie prowadzi, tylko słyszał ode mnie, że wy tu o tej porze... Ale czego wy tak pobledliście, gołąbko? Czego wy taką staliście się bladziutką? Serduszko widać zabiło mocno? co? powiedzcie szczerze. Ja nikomu nie powiem... Polki skryte są, wiem o tem, i dumne... one o lubieniu swoim niełatwo mówią... ale wy inna niż wszystkie... młodziutka, szczerą, taką prostą... powiedzcie, zabiło mocno serduszko? podoba się wam nasz kniaź krasawiec, co? a?

Ina rzeczywiście pobladła tak, jakby krew wszystka do serca jej zbiegła. Z twarzą pochyloną i piersią szybko dyszącą, odszepnęła:

— Tak. Bardzo!

A Helena Iwanówna nisko ku niej pochylona, mówić zaczęła, że cóż w tem dziwnego, że to takie proste, naturalne i nawet śliczne, poetyczne, wzruszające. Oboje młodzi, piękni. On, choć młody, taką karierę już zrobił, tak wysoko stanął i stanie wyżej jeszcze, bo tu, w miasteczku tem i w tym kraju nie zostanie długo, nie! Lada tydzień, lada dzień może otrzyma wezwanie do stolicy na stanowisko wyższe... A jaki dobry! Dopóty starał się, prosił, pisał, dopóki i dla męża Heleny Iwanówny miejsca wyższego i znowu u boku swego, nie otrzymał. I oni więc oboje razem z nim do stolicy wyjadą lada dzień, lada tydzień, czego zresztą Helena Iwanówna bardzo pragnie, bo tu żyć niewesoło. Co za porównanie z życiem w takim Petersburgu? Nu, ale jej pora już do domu powracać...

Wstała z ławki.

— Ach, jak mnie trudno rozstawać się z wami! Nu, polubiłaż ja was! Ot, wiecie co? Chodźcie wy do mnie! Odwiedzcie mnie! Zaprowadzę was do mieszkania swego! Chodźcie, duszeńka, gołąbka!

Serdecznie, mocno ręce Iny w swoich ścisłała, w oczy czule jej patrząc.

Nigdy może niczego Ina nie pragnęła tak gorąco, jak pójść z tą kobietą i słuchać ją mówiącą o jej piękności i... o kniaziu. Jednak wahała się.

— Nie wiem doprawdy... bo gdyby mama dowiedziała się... gdyby znajomi...

Śmiechem znowu wesołym i trochę urągliwym wybuchnęła Helena Iwanówna.

— Matki boicie się! tego co znajomi o was powiedzą! *Głuposc! Broście* (porzućcie) wy te głupości, Ino Julianówno! U was Polaków, *predradsudków przepaść!* Jak zaczniecie: a Pan Bóg? A ojczyzna? A matka i ojciec? A grzech? A *ksiondz?* A ludzie? to człowiek w tem całe swoje szczęście utopić może! *Broście*, to

wszystko! Chodźcie do mnie! Pokażę wam dwie suknie, które mi mąż w *siurpryz* (niespodzianka) z Petersburga sprowadził. Nikogo teraz nie będzie u mnie. We dwie sobie pogadamy. Czekolady filizankę wypijecie. Chodźcie!

Ina ruchem nagłym, z oczyma nagle roziskrzonemi ramię na szyję jej zarzuciła i miękkimi swemi, kocimi ruchami cała przytulając się do niej zaszeptwała:

— Pani dla mnie taka jest dobra, dobra! Nikt dla mnie tak dobry nie jest jak pani! U nas wszyscy czem innem zajęci i ja zawsze sama jedna... sama jedna... marzę... tęsknię... I mnie nikt nie rozumie... pani jedna mię zrozumiała... Z panią tak miło, tak wesoło, przyjemnie. Pójdę! Niech już tam sobie, co chce będzie! Pójdę z panią! Chodźmy!

(Dok. nast.).

Eliza Orzeszkowa

Dusza — Duch — Materya — Eter.

Z autografów Ignacego Domejki.

OD WYDAWCY.

W kwietniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z roku ubiegłego podałem z autografu filozoficzno-religijny artykuł Ignacego Domejki p. t. »Dwie godziny przy grobie brata« z dodatkowym podtytułem: »Co będzie z duszą«, i tamże oznajmiłem, że jest w autografach Domejki drugi jeszcze artykuł pokrewnej treści i kierunku, p. t. »Duch, dusza, materya, eter«. Określiłem też pokrótce znaczenie obu tych rozprawek w zawodzie naukowym czcigodnego filarety-przyrodnika.

Wydając teraz drugi z tych artykułów, ograniczam się tylko do wskazania, że jest on jakby uzupełnieniem pierwszego. Tam autor snuł przedzę przypuszczeń o moralnym stanie duszy po śmierci, tutaj zastanawia się niejako nad stroną zewnętrzną, możnaby powiedzieć fizyczną, pośmiertnego bytu, tak jak się ona w wyobraźni ludzkiej, w pojęciach ludowych przedstawia, i stara się to pojęcie zbliżyć do nowych hipotez naukowych w zakresie fizyki.

Pojęcia te, jak wiadomo, znalazły wyraz poetycki w »Dziadach« Mickiewicza, to też artykuł Domejki, o którym mowa, może być uważany pod pewnym względem za komentarz naukowo-przyrodniczy do tego poematu, i to komentarz, pisany przez człowieka, który był rówieśnikiem, jednym z najlepszych przyjaciół

poety i w młodości swojej stykał się bezpośrednio z tą samą sferą ludową, co i tamten.

Rozprawka pochodzi z r. 1888, jak to sam jej autor wyraźnie zaznaczył, podaje na tytułowej kartce dokładną datę (1888 ²⁶/₁₄ lutego) i prawdopodobnie była ostatnią pracą sędziego Domejki, który zmarł na początku 1889 r.

Przy wydaniu jej postępowałem tak samo, jak przy wydaniu innych rzeczy Domejki. Nie zatrzymywałem pisowni, nieraz błędnej, noszącej ślady półwiecznego przebywania na drugiej półkuli; niektóre drobniejsze niepoprawności językowe lub niedokładności w cytatach usuwałem bez ich wskazywania i tylko nieznaczne ważniejsze różnice między tekstem a autografem uwidoczniłem w dopiskach.

Józef Treliak.

Duch, Dusza — wzięte, nie w przenośnym znaczeniu, ani odnoszące się do Bóstwa, ale do istoty nieśmiertelnej, duchowej w człowieku: — sąż to synonimy? ¹

I.

Nie wiem dlaczego, dręczy to może ograniczone pojęcie rzecz: czy jest to samo duch co dusza? Że dusza ma istotność du-

¹ Ciekawa ta próbka filozoficznej pracy Domejki, ma oczywiście znaczenie czysto historyczne. »Duch« i »dusza« nie są wprawdzie absolutnymi synonimami, bo zwyczaj nadał tym wyrazom nieco odmienne znaczenie lub zabarwienie, nie odpowiadają im jednak w człowieku dwie rzeczy, ale jedna jedyna niematerialna, duchowa istota, która wraz z ciałem składa się na całość człowieka. Jest to i filozoficznym i teologicznym pewnikiem do tego stopnia, że, jak naucza Pius IX (List do bisk. Wrocł. z 30 kw. 1860 r.) bez błędu przeciwko wierze nie można przyjąć w człowieku dwóch duchowych pierwiastków. Że prześliczna, do głębi katolicka dusza Domejki uległa nieświadomie temu błędnemu mniemaniu, niema w tem nic dziwnego. Właśnie w młodych jego latach snuł się ten bardzo stary błąd po wielu umysłach, że wymienimy Schellinga, Hegla, Günthera, Herbart, Krausego, Jouffroy i wielu innych. Co do przytoczonych tekstów biblijnych, Pismo św. istotnie na bardzo wielu miejscach zdaje się wyraźnie rozróżniać ducha i duszę. Por. prócz miejsc zacytowanych, Iz. 26, 9; Dan. 3, 86; Łuk. 1, 46, 47; 1. Tess. 5, 23 i t. d. We wszystkich tych tekstach jednak o ile nie mamy

chową w człowieku, nie wątpię, ale czy słowo duch wyraża to samo co słowo dusza?

Już w życiu doczesnem, tak w pospolitej mowie, jak i w uczęszszej, nie używamy obojętnie tych słów, jedno za drugie.

Nie powie człowiek pobożny: modliłem się za duchów ojca i matki, ale za ich dusze; nie da księdzu na mszę, aby ją odprawił za spokój ducha, ale za odpoczynek duszy przyjaciela — Panie świeć nad jego duszą!

Nie lęka się człowiek zabobonny, przechodząc w nocy koło cmentarza, dusz, ale duchów umarłych, widzi je czy słyszy z przestrachu.

Szekspir wprowadza na scenę ducha¹ Banka, a nie duszę.

Dante w Czyśćcu widzi duchy, przez które promienie słońca przechodzą, a które nie tworzą cienia na ziemi.

Calderon uzmysławia złe i dobre duchy (nie dusze) wiodące z sobą bój o władanie myślą i sumieniem śmiertelnika.

Mówimy o umierającym, w ostatnim jego momencie: wyzionął ducha, oddał ducha Bogu; i umierający rzecze: *commendo spiritum meum Domino*. Zostawiono go bez ducha (nie bez duszy).

Wszelki duch Pana Boga chwali.

do czynienia z prostą przenośnią lub poetycznym paralelizmem, znaczenie jest zgoła odmienne. Ponieważ jedyna dusza ludzka ma w rzeczywistości obok duchowych organiczne i zmysłowe funkcje, może być uważana z podwójnej niejako strony: o ile jest źródłem czysto duchowych działalności, bywa nazywana duchem; o ile jest źródłem organicznego i zmysłowego życia, zowie się duszą. Że zaś pomimo identyczności duszy niższe życie człowieka jest w ciągłej walce z życiem wyższem, zwłaszcza nadprzyrodzonym, dusza i duch występują nieraz w Piśmie św. jako pierwiastki nie tylko różne, ale wrogie. Por. np. ciekawe miejsce Dziej. 20, 24 albo Łuk. 14, 26 gdzie »dusza« staje w opozycji do duchowego »ja« w człowieku. Co się zaś tyczy »duchowego« i »cielesnego« ciała 1. Kor. 15, 44 i t. d. oznaczają te wyrazy jedynie dwa stany tego samego ciała t. j. obecny i chwalebny w zmartwychwstaniu. Nareszcie, chociaż w procesie poznania zmysłowego głównie wzrokowego eter jest jakby pośrednikiem między nerwem a grubą materią, nie może być uważany za coś pośredniego między materią a duszą, bo dusza jako rzecz zgoła niematerialna i od niego najistotniej się różni. (*Przyp. Red.*)

¹ W autografie: duch.

Duch jest istota nadprzyrodzona, pozbawiona ciała. Dusza jest duch indywidualny (Bisk. Kras.)

Obaczmyż, co mówi Pismo święte.

Z listów świętego Pawła:

Festinemus ergo ingredi in illam requiem, ut ne in idipsum quis incidat incredulitatis exemplum.

Vivus est enim sermo Dei, et efficax et penetrabilior omnia gladio ancipiti et pertingens usque ad divisionem animae ac spiritus, compagum quoque ac medullarum et discretor cogitationum et intentionum cordis.

S. Paw. Hebr. iv, 11, 12.

Vos autem in carne non estis, sed in spiritu, si tamen Spiritus Dei habitat in vobis. Si quis autem Spiritum Christi non habet, hic non est eius.

S. Paw. Rom. viii, 9.

Si autem Christus in vobis est, corpus quidem mortuum est propter peccatum; spiritus vero vivit propter iustificationem.

S. Paw. Rom. viii, 10.

Quis enim hominum scit quae sunt hominis, nisi spiritus hominis, qui in ipso est, ita et quae Dei sunt, nemo cognovit, nisi Spiritus Dei.

S. Paw. I Cor. ii, 11.

Sic et resurrectio mortuorum. Seminatur in corruptione, surget in incorruptione.

Seminatur in ignobilitate, surget in gloria, seminatur in infirmitate, surget in virtute.

Seminatur corpus animale, surget corpus spiritale. Si est corpus animale, est et spiritale, sicut scriptum est:

Factus est primus homo Adam in animum viventem; novissimus Adam in spiritum vivificantem.

S. Paw. Cor. i, 15, 41–45.

.....veni, et ostendam tibi sponsam, uxorem Agni.

Et sustulit me in spiritu in montem magnum et altum.

Apoc. xxi, 9–10.

II.

Z tych i tym podobnych cytata wziętych już to z powszechnego użycia wyrazów duch i dusza, już z pewniejszych źródeł Pisma świętego, możemy wnosić, że te wyrazy są jednoznaczne, lub poprzestać na tem, co przywodzi dykcyonarz, że »dusza nasza duchem się zowie, gdy z anioły, którzy są szczerzy duchowie, obmyśla rzeczy niebieskie, ale się duszą zowie, gdy rzeczy ziemskie i te z bydlęm równe zabawy na sobie nosi?«

Jakże sobie wytłumaczyć to: *sermo Dei pertingens usque ad divisionem animae ac spiritus* — jako owe: *si est corpus animale est et spiritale?*

Pytałem, radziłem się, aby mię oświecił, jednego świątobliwego i uczonego prałata, który mi powiedział, że dusza jest część najsubtelniejsza ducha, istności niewidomej, która ożywia człowieka i wyzwala się z ciała po śmierci: — widziałem jednak, że nie przestając na wyrażeniu »najsubtelniejsza«, zdawał się szukać wyrazu dokładniej mogącego oddać to, co myślał i co mu wiara dyktowała.

Komentarz do Pisma św. Nowego Testamentu przekładu Wujka tak tłumaczy owe *pertingens usque ad divisionem animae ac spiritus*: — »Dusza nazywa się jak by część niższa natury ludzkiej, będąca źródłem namietności i żądz; — duchem zaś, wyższa część, oświecona wiarą i łaską, posłuszna Bogu, skłonniejsza ku dobremu«.

Już to wyrażenie jak by, zdaje się pozwalać na powątpiewanie, przynajmniej w dosłowne znaczenie wyrazów część niższa, część wyższa duszy czy ducha człowieka; niemniej trudne byłoby do pojęcia wyrażenie, część najsubtelniejsza i część mniej subtelna ducha czy duszy.

Dusza, technienie Boże, mająca po rozłączeniu się z ciałem, odebrać nagrodę wieczną czy karę wieczną, musi być niepodzielna, jednolita, nie składająca się z części wyższych i niższych, bardziej i mniej subtelnych. Również i duch (*si Christus in vobis est, corpus quidem mortuum est propter peccatum, spiritus*

vero vivit propter iustificationem), musi być niepodzielnym, nie może być częścią jakiej całości.

Jeden z kapłanów, wysoko położony w hierarchii kościelnej, zapytany przeze mnie w tej materyi, utrzymywał, że jedynie duch jest w człowieku, duch jego przechodzi do wieczności, dusza jest (jakby omówieniem, czy synonimem wyrazu ducha) tem samem co duch — nie ma osobnego istnienia.

A jednak owa moc, *sermo Dei*, przenikająca aż do rozdzielania duszy i ducha, musi być prawdą!

Wszakże my, nie jesteśmy w ciele, ale w duchu¹, jeśli Duch Boży w nas mieszka.

Bywa wsiane ciało bydlęce, a powstanie ciało duchowe. Jeśli jest ciało bydlęce, jest też duchowe.

I Kor. 15, 44.

III.

Biorąc na uwagę, co mi się samemu przydarza, spostrzegam: że gdy mam na myśli istotę niewidomą we mnie, ale widzącą, obdarzoną pojęciem, wiarą, wolą, ale związaną zmysłami z zewnętrznym światem, posługującą się niemi i organem myślenia, i tak jeszcze spojona z ciałem, że bez niego, sama, nie stanowiłaby człowieka, mówię, ta istota, choć żyje z ciałem (i rzekłby kto, w jego organizmie kształt jego mająca) nie jest cielesną, ale duchową: jest jak by duchem w powłoce materjalnej.

Gdy z wiarą i miłością bliźniego patrzę na umierającego, który za życia znany był z cnót chrześcijańskich, i przy ostatniem tchnieniu opromienia go spokój, miłość i nadzieja, wydaje mi się, że widzę jak duch jego, w tej samej jeszcze postaci, jaką miał za życia, żegnając się do czasu z tymi, co go otaczają, uchodzi ze stygnącego ciała.

Gdy modłę się za duszę drogiej mi osoby, obronić się nie mogę od tego, abym w pobożnem westchnieniu nie ujrzał jej w tym samym kształcie i kolorach, jak była, kiedy ją żywą ko-

¹ W autografie porządek słów jest taki: „My nie jesteśmy w ciele, ale w duchu wszakże”. (*Uw. wyd.*)

chałem: jak gdyby to był jej duch nie dusza, za której odpoczynek modłę się, bo dusza kształtu ni koloru mieć nie może, póki ją Pan na zmartwychwstanie w nowe nie oblecze ciało.

Lud prosty, zabobonny, lecz silny w miłości i wierze, widzi dusze w postaci duchów, rad i nie rad z nimi przestawać, lęka się ich i szuka, żałuje ich, że jeszcze wracają tam, gdzie cierpiał, szukać u ludzi ratunku.

Toć i spirytystom dzisiaj wydaje się, że umieją wywoływać duchy, że rozmawiają z nimi, radzą się ich i pomocy ich szukają, choć może niejeden z nich nie ma pojęcia o duszy, nie dba o jej odpoczynek wieczny, przez to, że jej nie słyszy, nie widzi.

Byłżeby duch i dusza, słowa wyrażające jedną i tę samą istotę, za życia i po śmierci duchową, jednoznaczne, czy synonimy? Dlaczegoż tylko, kiedy myślimy i mówimy o tej istocie, jakby nie odwiązanej zupełnie od ciała, jakby w powłoce jakiej mającej kształt, choćby jedynie jak cień, widzialnej, niekiedy słyszanej od tych jak ona, różniących się tem tylko od niej, że — jak ona kiedyś była — uwiecznych jeszcze w ciele, nazywamy ją duchem? Przeciwnie, gdy myślimy czy mówimy o teźże istocie, niemającej nic już wspólnego z widomym światem, bez kształtu, bez barwy, niedosłyszalnej dla żyjących w ciele, żyjącej tylko w Bogu, w świecie, o którym pojęcia nie mamy, używamy wyrazu dusza?

Czemżeby była ta powłoka, czy widzialna osłona ducha, pod którą on nam widzialnym czy tylko wyobraźalnym się staje. Byłoby to ¹ *corpus spiritale* jaką rzeczywistą, przenikliwą, choćby najsubtelniejszą, przenikającą wszelkie materjalne ciało materją?

Obaczymy, czem jest według nowej nauki materia przechodząca w najsubtelniejszy stan istnienia.

¹ W autografie: Byłżeby ten... (*Uw. wyd.*)

IV.

Materia.

Materię uważa dzisiejsza nauka, jako działającą na zmysły, bezwładną, podzielną, złożoną:

z cząstek,

molekuł,

atomów.

Cząstki mogą się dzielić na tak małe, że już się w żadnym mikroskopie nie dadzą dostrzedz, nie tracąc swoich własności fizycznych ni chemicznych.

Gdy cząstki materii w dzieleniu się na mniejsze, dochodzą do takiej małości, że na mniejsze, jeszcze subtelniejsze rozdzielić się nie dadzą bez przemienienia swojej natury (swoich własności fizycznych i chemicznych), nauka dzisiejsza nazywa je molekułami. Cząsteczki nakoniec, z których się molekuły składają, zowie nauka atomami.

Przykład: woda składa się z kropel i kropelek, cząstek tejże samej natury, jednolitych zmiennej objętości; z molekuł, których każda złożona jest z tlenu i wodoru, połączonych z sobą w stałych stosunkach, co do ilości i objętości; i z atomów, z których jedno są z tlenu a drugie tylko z wodoru.

Nauka potrafiła oznaczyć gęstość molekuł i atomów, rozmaitych ciał stosunkowo jednych do drugich, przeistaczać je, w zetknięciach jednych z drugimi, ale ani zniszczyć, choćby jednego tylko atomu czy molekuły, ani utworzyć nie potrafiła.

Ruch: — ruch jest powszechny w naturze, wszystkie cząstki i atomy materii są w nieustannym ruchu. Nauka umie ruch mierzyć, oznaczać jego kierunek, chyżość i stosunkowo ilość materii w ruchu będącej; lecz sama z siebie, ani z niczego stworzyć ruchu, ani go niczem zniszczyć nie zdoła; tylko kierować nim według potrzeby i użytkować naucza.

Siła. Przez to samo, że materia jest bezwładną, sama z siebie pobudzić do ruchu swych molekuł czy atomów nie może,

ani też gdy jest w ruchu zatrzymać się ni zmienić jego kierunku nie może. Nauka umie tylko użytkować, stosować do potrzeb wszelką siłę materyalną, objawioną w naturze; lecz żadnej zniszczyć nie może, ani sztucznie osłabić, czy z niczego nowej utworzyć. Umie tylko kierować niemi, równoważyć jedne za pomocą drugich, przenosić je w stan potencjonalny.

Siły materyalne (działające na materję) są dwojakiego rodzaju: pociągające materję do materji (atrakcyjne), i odporne, repulsyjne:

siła atrakcyjna (ciężenie ciał jednych do drugich) jest powszechna na całym utworze materyalnego wszechświata. Skąd ta siła pochodzi, gdzie bierze początek, o tem nauka nie wie i łamie sobie nad tem głowy, wie tylko, że materja bezwładna nie może mieć władzy pociągania. Wie tylko i przekonano się praktycznie, że działanie tej siły jest takie, jak gdyby ciała materyalne i ich cząstki pociągały się wzajemnie jedne do drugich w stosunku prostym do ilości materji a odwrotnym do kwadratów odległości. Nic się jej działalności oprzeć nie może, żadna zapor materyalna, żadna odległość.

Siłę, która pociąga jedne do drugich światy, rozrzucone po niebieskich przestrzeniach; zowiemy atrakcyą niebieską, tę zaś, która spaja cząstki jednolite materji stykające się z sobą, koheryą; jedna i druga muszą być tej samej natury. Dzisiejsza nauka przypuszcza, na niepłynnych dowodach oparta, że cząsteczki ciał nawet najgęstszych, najtwardszych, zbitego na pozór ustroju, nie stykają się z sobą, a w stosunku do ich małości, przestrzenie, które je rozdzielają, są większe od tych, które oddzielają jedne od drugich planety i słońce.

Siła odporna (repulsyjna). Jestże w naturze jaka siła tak powszechna, jak ciężenie (atrakcyja), w przeciwnym od tej ostatniej działająca kierunku, któraby nie pociągała jedne do drugich cząsteczki materji, i nie spajała ich z sobą, ale odpychała jedne od drugich? Mogłyby w naturze istnieć jednocześnie i na każdym miejscu, i jeden mieć początek dwie siły sobie przeciwne? — jakby dwaj synowie niezgodni najlepszego ojca?

Wiemy jednak, że sztaba żelaza wbita we dwie ściany, tak

się powiększa, gdy się rozżarzy, że może je rozsadzić; wiemy, że woda w napelnionym nią kotle pierwszej nim wrzeć pocznie, już się w nim nie mieści, występuje z brzegów; że ciśnieniem ogrzanego powietrza najsilniejsze maszyny poruszać zdołamy. Jednem słowem, gdzie tylko działanie ciepła ukaże się, ciała objętość swoją powiększają.

Niemniej widoczne skutki siły odpornej widzimy w objawach elektrycznych i reakcyi ciał sprężystych.

Pod wpływem więc działania dwóch sił znajduje się materya w naturze: pociągającej i odpornej i od ich względnej przewagi czy równoważenia się zależy stan subtelności, stan jakby rozrzedzenia materyi.

Stan subtelności materyi. Gdy koherya przemaga, cząstki materyalne trzymają się jedne drugich; potrzeba użyć jakiej siły, aby je oddzielić: mamy stan stały;

gdy ta koherya zrównowazona jest siłą repulsyjną ciepła, materya topnieje, cząstki jej nie trzymają się jedne drugich, mamy stan płynny;

gdy wkońcu koheryę przemoże podwyższona energia siły repulsyjnej ciepła, cząstki materyi rozlatują się we wszystkich kierunkach, z tem silniejszym parciem na zewnątrz, im wyższy stopień jest ciepłoty (temperatury): mamy stan powietrzny (parny, gazowy).

Zachodzi teraz pytanie: czy ten ostatni stan jest ostatnią granicą, ostatnim stopniem rozrzedzenia, subtelności, materyi, i czem jest to ciepło, które materję do powietrznego stanu przywodzi?

Dokładne zbadanie i ocenienie przez uczonych czem jest głos, okazały, że głos w powietrzu rozchodzi się jakby promieniami we wszystkich kierunkach, odbija się i załamuje od ścian twardych, podobnie jak się odbijają i załamują promienie ciepła i światła. Przekonano się też, że się głos przenosi drganiem powietrza, jako materyi sprężystej i że jego drżenia, dochodząc do

blonek ukrytych w uchu, sprawiają wrażenie odpowiednie ilości drgań na sekundę, czy drobnostce falowań. Poznano, że i ciepło, jak głos, rozchodzi się w promienie, sprawuje ruch cząsteczek w materji i podobnie jak głos może się obudzić jej ruchem przez uderzenie, tarcie, nagle wstrząśnienie, ku czemu potrzeba zużyć pewnej ilości energii (pracy) mechanicznej, odpowiedniej ilości dobytego ciepła.

Nikt dziś z uczonych nie przyjmuje teoryi emisyjnej ciepła i światła, jakoby płynów. W ich objawach widzi nauka ruch. Do ocenienia skutków tych działaczy i ich praktycznego czy też czysto naukowego zastosowania, używa analiza tych samych praw i rachunku co do ocenienia znajomej jakiej siły mechanicznej, sprawiającej ruch w materji.

Zostaje tylko do rozstrzygnięcia, czem jest ten ruch, któremu przypisujemy działanie ciepła, światła i prądów elektrycznych? — Że w objawach głosu widzimy ruch, drganie powietrza, które służy za środek i przewodnika dla głosu, temu nikt zaprzeczyć nie może. Cóż więc jest, co służy za środek, za przewodnika dla ciepła, czy światła? co w nich drży, czy faluje? Gdyby przestrzeń, która nas oddala od słońca, była próżnią, cóżby nam od niego przynieść mogło ów ruch do soczewki oka naszego, drżącej na wejście słońca?

Próżnia drgać nie może; a to, co służy za środek i przewodnika ruchu, mogłoby być duchowe, niematerialne, kiedy w istocie doświadczenie uczy, że ruch z materji tylko w ruchu będącej do materji przechodzić i jej udzielać się może.

Jedyny może dziś sposób do wyjścia z tej niepewności dla nauki, i do wytłumaczenia niezliczonych zjawisk, których zbadaniem ona jest zajęta, pozostaje: przypuszczenie bytu i istnienia eteru, jako czwartego najsubtelniejszego stanu materji, napełniającej całą przestrzeń wszechświata.

V.

E t e r.

Już starożytni przypuszczali, że żywiołami wszechświata są: ziemia, woda, powietrze i ogień. Te cztery żywioły odpowiadają jakoby materyi, w czterech stanach swego istnienia: to jest stałym, płynnym, gazowym i eterycznym.

Eter napęnia świat cały, przestrzeń ziemską i niebieską: Bóg nie w niej nie zostawił próżnego. Jego obecność, siła, mądrość i wola jest wszędzie.

Eter jest przenikliwy, przenikający wszystkie ciała stałe, płynne i gazowe; nie czyni oporu ich ruchom i przetwarzaniu się; sam się nie przetwarza.

Mieści się w najdrobniejszych nawet, nieskończenie małych przedziałach między cząsteczkami materyi, a drżeniem swoim pobudza je do ruchu, odpycha, sprawia ciepło; tworzy niejako powietrzny ocean, w którym toną i w nieustannym pozostają ruchu wszystkie światy ręką Bożą uczynione.

W tym eterycznym stanie będąca materya jest doskonale sprężysta; pobudzony w niej na jakimś punkcie ruch, rozchodzi się w kształcie drgań i falowań, w kierunkach prostych na wszystkie strony.

Linia czyli promienie, po których się rozchodzą te drgania, krzyżują się w przestrzeni, nie zbaczając z dróg swoich; mogą się odbijać od ciał w innym stanie zostających, załamywać się i rozpraszać przechodząc przez ciała niejednostajnej gęstości; a nawet rozdzielać się na subtelniejsze jeszcze promienie rozmaitej chyżości drgań, sprawiających na delikatnej błonie oczu naszych wrażenie rozmaitych kolorów.

Nie wiemy, jakim sposobem ten sam ruch eteru, różniący się prawdopodobnie w chyżości, drobnostce i formie swoich drgań i falowań, sprawia objawy ciepła, światła i elektryczności: nauka spostrzega tylko, że przyczyny tych, niejednostajnie na nasze zmysły działających zjawisk, od tegoż samego działacza pochodzą, w którym też jest źródło i zaród siły repulsyjnej w naturze.

Niemniej widoczny jest wpływ dynamiczny eteru na łączenie się i rozkłady chemiczne cząsteczek niejednorodnych materji, z których powstaje nieograniczona różnorodność ciał, różniących się między sobą co do własności użytecznych i szkodliwych dla człowieka; a w tychże połączeniach i rozkładach ciał rodzą się też same objawy ciepła i światła, które dochodzą nas od słońca i najdalejszych ciał niebieskich.

Najpotężniejsza z sił materyalnych, pochodzących z eterycznego ruchu, objawia się nam w zjawiskach, gdzie się jednocześnie łączą i ukazują skutki ciepła, światła i elektryczności — tej siły, która w piorunie olśniewa wzrok, zapala domy i rozwała skały, używa dziś nauka do oświetlenia miast, do przenoszenia głosu, do obrotu machin; a mógłby może człowiek góry z swych posad wyrwać i na inne miejsca przenosić, gdyby wiedział do jakiej mocy ta siła dochodzić może, umiejętnie, za wolą Bożą kierowana.

Lecz co najbardziej zadziwiać nas powinno i w czem uznawać winniśmy¹ jedność twórczego planu Mądrości Bożej, to głównie, że z tegoż samego źródła, z którego się wytwarza największa siła materyalna, niechemiczna, w naturze, wypływa niezbędny żywioł światła i ciepła do utrzymania w całej przyrodzie roślinnego i zwierzęcego życia.

I ten sam ruch eteryczny, nieskończenie urozmaicony w swych objawach, który wytwarza gromy, wybuchy podziemne i każe drżeć ziemi, spokojnie rozwija liść zielony i kwiaty, ożywczym² soki napawa grona winniczne.

Istnienie eteru »jako materji, będącej w czwartym stopniu swego rozrzedzenia i subtelności, jest dziś jedynem przypuszczeniem, którego się chwyta nauka do wytłumaczenia zjawisk ciepła, światła, elektryczności i odpornej siły w naturze.

Cóż że surowsi uczeni nie śmieją dotąd owego słowa eter.

¹ W autografie: »i uznawać w tem« (Uw. wyd.).

² W autografie: ożywnym (Uw. wyd.).

wymówić, dlatego że ważność i nieprzenikliwość zdają się być dla nich własnością materyi, jakby warunkiem koniecznym jej istnienia, i dostrzedz nie mogą oporu eteru na biegu ciał niebieskich.

Mądrość Boża napełniła przestrzenie tak subtelną, przenikliwą materją, że ogromy światów przebiegać je bez oporu mogą, a ta materja sprężystością drgań swoich (wibracji) utrzymuje stosunki najdalszych ciał niebieskich z nami: bez niej nie wiedzielibyśmy, co ze stworzonego świata za obrębem naszej ziemi leży.

Ale czyż tu już granica dla badań ścisłej a bogobojnej nauki? Czyż ta eteryczna materja jest już ostatnim terminem czy stopniem rozrzedzenia i subtelności atomów, mogących jeszcze wywierać jakie działanie na zmysły nasze, a już przylegających do ducha?

Gdy promienie drgającego eteru, padając na utuloną pod soczewką oka błonkę, malują na niej obraz przedmiotu, od którego pochodzą, i tem subtelnem dotknięciem tak ją drażliwie wzruszają, że jej wrażenia, z obrazem przedmiotu, przechodzą do wiadomości ducha, nie wolnoż przypuścić, że na powierzchni tej błonki i jakby na telegraficznych nitkach, które to wrażenie do ducha przenoszą, jest materja delikatniejsza jeszcze od samego eteru, stanowiąca jakby *corpus spiritale*, przylegająca do duszy, od której Słowo Boże tylko mogłoby być *efficacior*¹, *penetrabilior* ją oddzielić po śmierci.

Ta eteryczna czy nadeteryczna materja, rozpostarta² po całej uczuciowej części organizmu naszego (*corpus animale*) dlaczegóżby nie mogła przed i po oddzieleniu się od niego mieć, przybrać czy zachować, kształt tegoż organizmu, w postaci ducha i być widzialną?

W tem znaczeniu, wszelki duch byłby duszą w tej

¹ W autografie: *eficiar* (*Uw. wyd.*).

² W autografie: *rozpostrzeniona*.

eterycznej powłoce, w nią jeszcze wcielony, wychodziłby mógł ze zwierzęcego ciała, byłby widzącym i widzialnym (jako materia), od tych co tę samą powłokę noszą, choć zostające w żyjącem jeszcze ciele; w tem duchowem ciele, cierpiałyby dusze za nieprzejednane grzechy czyszcową karę, dopóki na zmartwychwstaniu w lepsze, wieczyste nie byłyby przebrane i do Bożego królestwa przyjęte.

Tu mi pióro z rąk wypada; nieznany dreszcz przejmuje do szpiku; bojaźń ostrzega:

Qui scrutator est Maiestatis, opprimetur a gloria.

De Imit. Chr. IV, xviii.

PIEŚŃ II ILIADY.

(Dokończenie).

- Tak rzekł, Agamemnona lżąc, ludów pasterza
Thersites. Boski Odys nagle k'niemu zmierza,
Z pod brwi pojrzał i złemi ozionął go słowy: 245
— »Thersitiesie, gaduło, krzykaczu rynkowy,
Milcz i nie waż się z królmi stawać na pazury,
Bo mniemam, że tu nad cię podlejszego ciury
Nie masz, choć takie mnóstwo przyszło przeciw Trojej
Z Atrejdami; więc królmi gęby sobie swojej
295 Nie wycieraj, gdy zechcesz przemawiać — ni błotem 250
Nie miotaj na nich, ani zajmuj się powrotem;
Nie wiemy bowiem, na czem z rzeczą stanie ową:
Czy nam Achajom wracać zdrowo, czy niezdrowo.
Agamemnona teraz Atrejdę w swej mowie,
300 Pasterza ludów szarpiesz, iż bohatyrowie
Danajscy jemu darów dali tak bogato — 255
Ty zasię w radnem kole urągasz mu za to!
Ale ci zapowiadam, i to cię nie minie:
Jeślić na takich bredniach dopadnę, jak ninie,
305 Bogdaj mój kark się rozstał z Odyseja głową,
Bogdaj mnie Telemacha rodzicem nie zowią, 260
Jeśli cię nie pochwycę, nie zedrę ubrania,
Płaszczu, chitonu, szatki, co ci wstyd osłania,
I ku szybkim okrętom nie wyścigam z płaczem
310 Ze zgromadzenia, ćwicząc boleśnie korbaczem!«
Rzekł i berłem po grzbiecie, po plecach — co siły 265

- Tłukł, a tamten się zwijał; z ócz mu się puściły
 Słazy ciurkiem; na plecach mu pod berłem złotem
 Wybiegła krwawa pręga... Usiadł sobie potem
 315 I dygotał zbolący, poglądał jak zmyty
 I lży ocierał. Ci zaś — acz duch frasowity —
 Śmiali się zeń serdecznie. Zaczem tak powiada 270
 Niejeden, pozierając na swego sąsiada:
 — »Hej, hej, zdziałał już Odys godnych spraw bez liku,
 320 Dobrą przodując radą, czy w bitewnym szyku,
 Lecz w pośrodku Argiwów rzecz najlepszą ninie
 Uczynił, kładąc tamę miałkiej gadaninie
 Odmipyska sprośnego. Nie rychłoż on znowu 275
 Zuchwałemu da folgę i sercu i słowu,
 325 Odechce mu się królom dogryzać do żywca!«
 Tak tam w tłumach gwarzyli. Wtem grodów dobywca,
 Wstał Odys, berło dzierząc. A przy nim — postawę
 Wóznego wzięwszy — ludów uciszała wrzawę 280
 Athene złotobrewa, iżby jego mowie
 330 I blizcy i pośledni Achajów synowie
 Ucho dali, a radę rozważyli bacznie.
 On roztropnie przemawia i tak rzecz swą zacznie:
 — »Atrejdo, dziś Achaje tobie, hetmanowi
 Najsromotniejszej hańby przyczynić gotowi
 335 Jak nikomu z śmiertelnych; w niwecz u nich idzie 285
 Słowo, które w żywiącej konie Argolidzie
 Ślubili-ć na wyjezdne, że stąd przed zagładą
 Ilionu o potężnych murach — nie wyjadą.
 Toć jak nieletnie dzieci, lub jak wdowy kwilą,
 340 I jedni wobec drugich ckną sobie za chwilą 290
 Powrotu w dom. Bo jużci, w niewczasie i trudzie
 Mierzi się, więc powracać radziby już ludzie.
 Iście, tęskni, kto jeden miesiąc od swej żony
 W korabiu wieloławnym przebył oddalony,
 345 Zimowemi burzami i morza nawałą;
 Lecz nam dziewięć nawrotnych lat już uleciało, 195
 Jak tutaj siedzim! Przeto Achajów nie ganię,

- Iż u naw krzywodzióbych przykrzy się im trwanie.
 Cierpcie, druchy — do czasu trwajcie! Niech wiadomo
 350 Stanie się nam, czy prawdę istą, czy rzekomą
 Kalchas wróżył. Wzdyć dobrze w duchu pamiętamy, 300
 Świadkami wszyscy, których za śmiertelne bramy
 Porwać nie przyszły Kery: wczora to się wyda...
 Przedwczora, — jak Achajskie nawy, gdzie Aulida,
 355 Zbiegły się, Priamowi by nieść klęski wraz
 I Trojanom. U źródła, na święte ołtarze, 305
 Myśmy bogom stużertwę wolną od zakąły
 Składali pod jaworem, kędy wytryskały
 Wody przejrzyste. Wtedy dziw się stał nad dziwy:
 360 Żmij o czerwonej łusce na grzbiecie, straszliwy,
 Na biały dzień śnać wysłan przez Olympijczyka,
 Z pod ołtarza wypełza i powyż pomyka 310
 Po jaworze się wijąc. Na gałęzi w górze
 Młodziaki wróble były, piskłeta nieduże
 365 Popod liśćmi ukryte; ich samych ośmioro,
 Macierz, co je wylęgła dziewięta. Żmij skoro
 Pożarł je, choć żalonym ćwierkały swiegotem,
 A mać po dzieciach kwiląc kołowała lotem; 315
 Skrecił się k'niej, za skrzydło piszczącą pochwyci,
 370 A gdy się po młodziakach wróblcią nasyci,
 Bóg, co go posłał, swą zeń uczynił wyrocznię,
 Albowiem syn Kronosa chytrego — naocznie
 W kamień go zmienił. Myśmy zdumieniem przejęci
 Stali dokoła patrząc na to, co się święci, 320
 375 Iż dziw tak straszny stał się przy bożej ofierze,
 Zaczem wnet Kalchas, wieszcząc, tak słowo zabierze:
 — »Przecż-żeście oniemieli, kędziorne Achiwy?
 Zeus władny wam ukazał znak swój niewątpliwy,
 Nierychły, i nierychło spełnion będzie w czynie,
 380 O którym na wiek wieków sława nie zaginie: 225
 Jako ten żmij młodzięta pozazerał skoro,
 A wróblcią na koniec — ich samych ośmioro,
 Mać, która je wylęgła zjadł dziewiątą zasię —

- Tak i my tam, po bojów dziewięcioletnim czasie
 385 Przestrony gród w dziesiątem zdobędziemy lecie.
 Tak on wieszczyl i wszystko wypełnia się przecie... 330
 Achivy, co u kolan spiż nosicie — nuże!
 Ostać, aż Priamowe miasto weźmiem duże!«
 Tak rzekł. Argiwi okrzyk wzniesli, aż okręty
 390 Od wrzawy przez Achajów zahuczały wszczętej,
 Na przychwałę boskiego Odyseja mówię. 335
 Nestor, Gereński harcerz, tak więc do nich powie:
 — »Nielza, radzicie ano niby chłopcy mali,
 Co się wojny rzemiosłem nigdy nie parali;
 395 A gdzież układy nasze, gdzie przysięgi prysły?
 Z dymem-li poszły rady i mężów zamysły, 340
 Nieroztworzone wino lane na ofiarę
 I te porękowania, co budziły wiarę?
 Toli bowiem próżnemi wadzimy się słowy,
 400 Aniśmy nie zdolili rady najść jakowej,
 Acz tutaj czasu siła strawiliśmy płono!
 Ty, co masz dziś, jak wprzód wiarę niezwałoną,
 Atrejdó, wiedz Argiwy, na walk zawieruchy, 345
 Lecz daj, niech pierzchną jeden i drugi — piecuchy,
 405 Którzy pokątnie knują — acz tego nie dopnie
 Żaden — jakby do Argos powrócić pochopnie,
 Nim się dowiemy, zali Zeusa obietnice
 Ajgidą trzęsącego — istę są czy nice.
 Ja mniemam, że Kronida przyzwolił wspaniały 350
 410 W dniu, gdy do szybkopławnych naw ludy siadały
 Argijskie, by Trojanom rzeź ponieść i zgony,
 Bo na znak dobrej wróżby, łysnął z prawej strony.
 Przeto się nie kwap żaden w domowe pielesze,
 Zanim z którą z Trojanek nie legniesz w uciecze, 355
 415 By wetować Heleny jęki a wzdychania.
 Jeśli się kto przeddzieki wracać do dom skłania,
 Niech tknie się nawy czarnej o tęgim pokładzie —
 Przed inszymi podpadnie śmierci i zagładzie
 Ty radź i sam, i drugich słuchaj też hetmanie; 360

- 420 Nieodrzutneć to będzie, które powiem zdanie:
 Mężów, Agamemnonie, wedle rodowiska
 I wedle plemion rozdziel; niech poparcie z blizka
 Ród rodowi, a plemię plemieniowi daje.
 Gdy tak poczniesz, a słuchać będą cię Achaje,
- 425 Wraz poznasz, kto tchórz — wpośród dowódców, czy 365
 A kto chwyt, gdyż bić będą, jako sam kto umie; [w tłumie —
 Poznasz także, azali boska tobie władza
 Przy dobywaniu miasta onego przeszkadza,
 Lub raczej to, że tchórzą nasze bojownicy,
- 430 A nie dość mają w rzeczach wojennych wyćwiki».
 Jemu rzekł w odpowiedzi Agamemnon władzy:
 — »Iście starcze, tyś górą zawsze współ obrady
 Nad Achajskimi syny. Gdybyż w radnem gronie 370
 — Ojcie Zeusie, Atheno i ty Apollonie —
- 435 Dziesięci takich było Achiwów! Snać rychło
 Miasto króla Priama karkby dumny zwichło
 I ręką naszą wzięte, padło w rumowiska.
 Lecz mnie Ajgidowładny Kronida uciska,
 W zagmatwane mnie spory wtrącając i waśnie: 375
- 440 Wszak z Achillem o dziewczkę starliśmy się właśnie
 Zjadłemi słowy. Ze mnie wszczęła się zamieszka!
 Jeśli się pojednamy kiedyś — nie omieszka
 Paść na Trojan zaguba, nie zwłóczyć ni krztyny... 380
 Teraz do jadła, potem w Aresowe czyny!
- 445 A naostrz każdy włócznię i narządź paizę,
 I obrokiem rumaki dobrze napaś chyże,
 Wóz opatrz wokół, w bitwie czego trzeba — zaradz,
 By dzień cały okrutnym Aresem się parać. 385
 Spocznienia bo nie będziem ni na chwilę mieli,
- 450 Aż noc przyjdzie, a męże zajadłe rozdzieli.
 Niejednemu na piersiach rzemień od pawęży
 Znojem spłynie, a włócznia w prawicy zacieży
 I koń u gładzonego wozu się zapieni.
 Ale niech ujrzę kogo, że w bój mi się leni 390
- 455 I przy statkach o dziobie wygiętym ostawa,

- Nie ujdzie — psom i ptakom z niego będzie strawa!«
 Tak rzekł. W okrzyk Argiwi uderzyli walny,
 Jak nurt morza, co rykiem o brzeg tłucze skalny,
 Kiedy wiatr południowy przed sobą je żenie 395
- 460 Na przyład, w który wały biją nieznuzenie,
 Skądkolwiek dma wichury, stąd czy zowąd wstają.
 Porwali się na nogi, a rozpierzchłą zgrają
 Rozbiegli między nawy, dymem wśród namiotów
 Kłębili, więc posiłek jeść poczęli gotów.
- 465 Ten tym, ów innym bogom żertwy i modlitwy
 Zanosił wiekuistym, by go podczas bitwy 400
 Minęła śmierć i wojny zawierucha dzika.
 Wódz ludów, Agamemnon, ofiarował byka
 Wspaniałemu Kronidzie — zwierza w piątym roku,
- 470 Spaśnego — w krąg zebrawszy koło swego boku
 Starszyznę wszech Achajów, co przedniejsze pany:
 Wprzód Nestor, Idomenej król z nim był wezwany, 405
 Ajasy dwaj, a po nich syn Tydeja idzie,
 Szósty Odysej, rówien mądrością Kronidzie;
- 475 Menelaj, gromki głosem, szedł z własnej ochoty
 Bo wiedział, że brat siłą będzie miał roboty.
 Więc jęczmień brali, stając dokoła buhaja,
 A władny Agamemnon modły tak, zagaja: 410
 — »Zeusie — ogromny, chmurny na przestworzach panie.
- 480 Niech słońce nie zapadnie i mrok nie nastanie,
 Zanim ja w Priamowem dworzyszczu powały
 Na upad nie obalę — dymem ogorzałej,
 I wierzejów nie spalę w trawiącym pożarze,
 I na piersi Hektora, nim wskrós nie przerażę
- 485 Pancerza kłójnym spiżem, a dokoła niego
 Ziemię żrąc — mnogie druchy pokotem nie legą!«
 Tak rzekł. Ale Zeus na te nie przystał zamiary;
 Przyjął żertwę, a strapień zdarzył im bez miary.
 Oni bykowi głowę zadarli do góry,
- 495 Przerzezali mu gardziel, sprawili ze skóry,
 I udźce rozerznęli na sztuki — a kości

- Owinęli podwójnie połciami tłustości,
 I zrzynki mięsów kładli na wierzchu i trzewa,
 I palili na szczapach bezlistnego drzewa, 425
- 500 Zaczem jelita, gdy je na spisy nawlekli,
 Trzymając nad płomieniem Hefajstowym piekli;
 Więc kiedy się już udźce w ogniu dopalały,
 Pokosztowali jelit, resztę mięs w kawały
 Pokrajali, a wbiwszy piekli je na rożnie,
 510 A potem z nad płomienia odjęli ostrożnie.
 Po skończonej robocie czynili biesiadę; 430
 Niczego w niej nie zbrakło, czemu serce rade,
 A skoro już wypili i zjedli do syta,
 Nestor, Gereński harcerz, wśród nich słowo chwytą:
 515 — »Agamemnonie władzy, hetmanie wojsk duży,
 Atrejdo — niema po co rozprawiać tu dłużej,
 I które bóg ma w rękę — puszczać w długą sprawę; 435
 Nuż woźnym każ, Achajów ludy poprzód nawy
 Gromadzić, którzy spiżę noszą u golęni,
 520 My zaś Achajskie hufce na całej przestrzeni,
 Wszereż społem przebieżajmy, aby srogie dzieło
 Aresa, conajprędzej początek swój wzięło!« 440
 Rzekł. Agamemnon przystał, co ludom hetmani:
 Obwieściarzom donośnym kazał do przystani
 525 Achajów kędzierzawych na walk zwołać trudy;
 Ci wołali, więc rażno schodziły się ludy,
 A Zeusa wychowańce, króle przy Atrejdzie,
 Biegali dzieląc hufce. Między nich wtem zejdzie 445
 Athene złotobrewa, mająca na sobie
 530 Ajgidę nieprzepłatną, co w świeżej ozdobie
 Trwa nieśmiertelna. U niej — plecioną robotą
 Sto wisideł się trzęsło, z których kapie złoto,
 A każde w takiej cenie jak żertwa stuwola.
 W Ajgidzie onej, blaskiem siejąca dokoła
 535 Przeszła przez lud Achajski w pochód kwapiąc męża. 450
 Oto w piersiach odwaga każdemu się leże
 I chuć walki niegnuśna. I nagle ich wabi

- Wojna słodziej — niż wewnątrz drażonych korabi,
Powrót na ukochaną, na ziemię rodzoną.
- 540 Jak trawiącym pożarem lasy gdy zapłoną
Na szczycie góry — luna jarzy się szeroco, 455
Tak blask łyskliwy na nich w pochodzie migoce,
I od cudnego spiżu w przestwór niebios pada.
Jako ptaków skrzydłaczów niezliczone stada:
- 545 Gęsi, zórawie, z szyjmi długimi labędzie,
Po wybrzeżu Azyjskiem i tam i sam wszędzie 460
Polatują dokoła nad Kaustryjskim łęgiem,
Rażno skrzydłami bijąc, aż z krzykiem i gęgiem
Przysiedą — i brzeg cały brzmi od ich klekotów, —
- 550 Tak tam ludy ich mnogie od naw i namiotów,
Po Kamandrowej wszędy rozlały się błoni,
A ludzkich nóg tupotem i tententem koni, 465
Brzmiała ziemia. I tyle stało ich tysięcy
Na kwiecistym Skamandra brzegu, że nie więcej
- 560 Liści a kwiecica wiosną z paków się rozkłada.
Jako much dokuczliwych niezliczone stada,
Co rojnie na skotackie lecą koszarzyska
Z wiosną, gdy mleko z wymion do pucin wytryska, 470
Tak tam przeciw Trojanom kędziorni Achiwi,
- 565 Wylegli na równinę, ich zagłady chciwi.
Jak pasterze na kerdle rozdzielają snadnie
Kozy, gdy się na paszy zmieszają bezładnie;
Tak wodzowie dzielili tam i sam gromady 475
Przed bitwą. Między nimi Agamemnon władcy
- 570 I oczyma i głową udan ku podobie
Zeusa, który w piorunach upodobał sobie,
Aresowi podobien szczupłym kształtem w pasie,
A piersią Posejdona przypominał zasie.
Jak buchaj na wygonie rej wodzi, bo w krasie
Samczej przewyższa bydło, które z nim się pasie, 480
Tak w onym dniu Atrejczyc miał za Zeusa sprawą,
Przemnogie bohaterzy przewyższać postawą.

Lucyan Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

W dążeniu do syntezy. *Dr. Maurycy Straszewski.* Pomysły i szkice z lat od 1877—1907. Warszawa 1908. E. Wende i Sp., str. XXIV, 309.

Książka, którą mamy przed sobą, zawiera ośm prac, jakie autor był napisał między rokiem 1877 a 1907. Prace te, z wyjątkiem piątej o zasadzie przyczynowości a poznaniu naukowem, były już dawniej w różnych czasopismach polskich i niemieckich drukowane. Pobudki zaś, które autora nakłoniły do wyboru tych właśnie prac, ażeby je razem w jednym tomie ogłosić, przedstawia on sam w przedmowie, pisanej z dziwną rzewnością, z uczuciem szczerego przywiązania do swych słuchaczy w przeciągu 36 lat pracy nauczycielskiej; swoim też słuchaczom przedewszystkiem obecny tom poświęca. Przedmowa jest niejako bilansem długoletniej pracy umysłowej, rzutem oka na stan filozofii przed czterdziestu mniej więcej laty, jakoteż na rozwój własnej myśli filozoficznej. Ponieważ autor zamierza wkrótce ustąpić z katedry uniwersyteckiej, ażeby z całym spokojem poświęcić się ujęciu »życiowego dorobku w dzieła większych rozmiarów«, uważa tom niniejszy za rodzaj wstępu, »któryby wskazał, po jakich drogach szedł rozwój mojej filozofii i na jakim stanowisku obecnie — ostatecznie jak sądzę — stanąłem« (str. XIII). Autor wyraża też gorzki i niestety słuszny żal, że publiczność wogóle tak obojętną jest na publikacye filozoficzne, że pomimo wszelkich próśb tak trudno o wzmianki i recenzye po czasopismach. »Nie należysz do żadnej kliki, do żadnego

towarzystwa wzajemnych pochwał, a więc skazanyś nie na sąd surowy, ale na zamilczenie na śmierć». (str. XXII).

Jesteśmy przekonani, że szanowny autor z takim milczeniem nie spotka się. Gdyby nawet nic więcej nie był napisał prócz tych ośmiu artykułów, wystarczyłoby to, aby mu zapewnić poważne miejsce wśród polskich myślicieli. Albowiem prace te są dowodem indywidualności filozoficznej, owocem myśli samodzielnej, bystrej, wnikażącej w istotę rzeczy i w niezmiennie prawa rozwoju umysłowego. Zawierają one dużo spostrzeżeń nader trafnych, dużo myśli nowych, brzemiennych w obfite konsekwencje, a zdolnych usunąć niejeden prestarzały przesąd. Prace te są objawem umysłu przedmiotowego, wzbijającego się ponad monotony i bezmyślny automatyzm życia codziennego, a co jest nader ważne, umysłu wolnego od sekciarskiej jednostronności. Przyczem odznaczają się formą przystępną, wolną od aparatu naukowego, tak, że nieraz tylko znawca spostrzedz może, ile pracy samodzielnej, ile orientacji w historii filozofii było potrzeba, ażeby to mózgi w ten właśnie sposób powiedzieć.

Nie może być zadaniem krótkiej recenzji dać obszerny rozbiór i wyczerpującą krytykę całego tomu. Ograniczymy się do podkreślenia myśli przewodniej oraz do rozbioru niektórych, ważniejszych i bardziej charakterystycznych poglądów.

Na pierwszym miejscu należy zauważyć, że pomimo wzajemnej niezależności pojedynczych prac, stanowią one jednak jednolitą całość. Na podstawie porównawczej historii filozofii, obejmującej nie tylko systemy filozofii zachodniej, lecz także wschodniej, pokazuje autor, jak filozofia powstała i powstać musiała z pierwotnych uczuć i potrzeb biologicznych, jak się początkowo jeszcze nie wyodrębniła od poglądu na świat religijnego, lecz z niem jedną nierozłączną stanowiła całość. Historia filozofii wschodniej, jako to chińskiej i indyjskiej, a także początki filozofii greckiej są oczywistym tego dowodem. Autor dochodzi tak do sformułowania tezy: »Filozofia powstaje wszędzie, gdzie tylko potrzeby życia religijnego rozbudzą odpowiednią ku temu skłonność psychologiczną i społeczną« (str. 115). Dopiero powoli zastanawianie się nad otoczeniem i światem, wywołane potrzebami biologicznymi, stawało się coraz bardziej niezależnem od tychże potrzeb, dążąc do teoretycznego, możliwie przedmiotowego i jednolitego poglądu na świat. Myśl filozoficzna podlega więc, jak każdy objaw biologiczno-psychiczny, prawu ewolucyi. Ewolucya ta obejmuje trzy głów-

wne fazy. W pierwszej myśl filozoficzna stoi na stopniu praktycznej zmyślności, w drugiej wznosi się na stopień dyalektyczny, a w trzeciej staje zapomocą krytyki filozoficznej na stopniu badawczym. Różne narody do różnych dochodziły stopni, zależnie od warunków biologicznych lub społeczno-politycznych. Filozofia wschodnia nie umiała się wznieść na stopień badawczy, lecz skostniała w różnych dogmatycznych wierzeniach religijnych. Tylko filozofia zachodu doszła do stopnia badawczego i odkryła na tym stopniu prawa, pozwalające jej na trwałym gruncie ogólnych, niezmiennych praw i zasad ciągle naprzód postępować. Dlatego jest to wielki błąd, niemal tradycyjny u historyków filozofii, że zaczynają dzieje filozofii dopiero od Talesa, zaniedbując filozofii wschodniej. Na tę myśl autor raz po raz zwraca uwagę i domaga się słusznie reformy pod tym względem. Porównanie rozwoju filozofii u różnych ras może nas oczywiście o wiele lepiej i dokładniej doprowadzić do poznania praw tego rozwoju, aniżeli ograniczenie się do badań nad filozofią jednej tylko rasy lub apriorystyczne konstrukcje w rodzaju historyzofii Hegla.

Na stopniu badawczym filozofia krytyczna postawiła różne problemy o niezmiernej doniosłości. Takim problemem jest przedmiot sporu między pozytywizmem a filozofią transcendentną, metafizyką, innemi słowy problem, czy mamy się ograniczyć do możliwie czystego doświadczenia, czego się jeden z najwybitniejszych kierunków współczesnej teorii poznania domaga, lub czy jesteśmy w stanie dojść do poznania bytu jako takiego, do zrozumienia metafizycznej całości świata i jego bezwzględnej zasady. Autor zajmuje się tym problemem na wielu miejscach obecnej książki; pokazuje nie tylko historycznie, ale także i rzeczowo, że niemożliwą jest rzeczą zadowolić się pozytywizmem i empiryzmem, że metafizyka jest nie tylko możliwą, ale nawet konieczną.

I my zgadzamy się zupełnie z takim poglądem. Żaden kierunek pozytywizmu nie obszedł się dotąd bez założeń metafizycznych i nie może się bez takowych obejść. Atoli nasuwa się nam tu poważna trudność. Mianowicie p. Straszewski nie wykazuje zdaniem naszym dosyć wyraźnie, jaką drogą możemy dojść do metafizycznego poglądu na świat, ani też, jaką jest przedmiotowa, naukowa wartość takiej metafizyki. Uzasadnijmy to twierdzenie.

Przez metafizykę rozumie autor (str. 283) wszelką metodyczną pracę myśli, której celem jest wytworzenie harmonijnego obrazu o ca-

łości świata, dotarcie do pojęć, któreby wyrażały porządek światowy w sposób, o ile to możliwe, najbardziej przedmiotowy, a potrzebom umysłu najlepiej odpowiadający. Mniejsza tu o to, czy takie określenie metafizyki jest zupełnie wyczerpujące — w każdym razie i według autora metafizyka nie jest li tylko hipotetycznem uogólnieniem naszego doświadczenia, lecz obrazem przedmiotowej rzeczywistości; w każdym razie metafizyka obejmuje nie tylko doświadczenie bezpośrednie, ale także byty przechodzące wszelkie nasze doświadczenie, jak np. istnienie Boga. Według autora wszelka filozofia zaczyna się od wierzeń religijnych i ma jako owoc albo nowe wierzenia religijne albo filozoficzne pogłębienie dawnych. Jądrym zaś każdego wierzenia religijnego jest bądź co bądź zawsze Bóg. Autor jest wierzącym chrześcijaninem, katolikiem; według niego pogląd na świat teistyczny najlepiej czyni zadość nie tylko wymaganiom subiektywnem człowieka, ale także wymaganiom nauki nawet najbardziej krytycznej. Lecz jaką drogą można dojść do poznania istnienia i istoty Boga? Naszem zdaniem jedynie zapomocą zasady przyczynowości, i to przyczynowości o charakterze przedmiotowym, ogólnym, bezwzględnym. Żadna inna droga nie doprowadzi do celu: albo istnienie Boga, jako bezwzględnej zasady świata będzie tylko mniej lub więcej możliwą, mniej lub więcej prawdopodobną hipotezą, albo też nauka dojdzie do monizmu jako do naukowo jedynie możliwego, choć także tylko hipotetycznego poglądu na świat.

Zasadzie przyczynowości poświęca też autor całą pracę piątą: »Zasada przyczynowości a poznanie naukowe«; słusznie podnosi (str. 179), »że rozważanie ściśle przedmiotowe zagadnienia przyczynowości jest bardzo na czasie, w ujęciu bowiem tego zagadnienia objawia się najlepiej ów przewrót społeczny w naukowem myśleniu, który określiłem na początku jako zejście badań naukowych społecznych z gruntu dogmatycznego na stanowisko krytyczne«. Jakie więc jest zdanie autora o przyczynowości? Jediną istotną, realną przyczynowość mamy daną w własnych doznaniach. W otaczającym nas świecie nie doznajemy tej przyczynowości, lecz tylko pewnego prawidłowego następstwa zjawisk. Jeżeli więc o przyczynowości w świecie otaczającym mówimy, to przenosimy ją z własnej jaźni na zewnątrz. Jest to pewnego rodzaju antropomorfizm, mistycyzm lub fetysyzm, tak znienawidzony przez współczesnych pozytywistów. Autor przychylił się do tego zdania i twierdzi również, że powinniśmy mówić o przyczynowości tylko u siebie samych i analogicznie u innych istot żyjących. W świecie

zaś anorganicznym nie można tej zasady zastosować, lecz należy ją zastąpić zasadą funkcjonalności.

Sądzimy, że taki pogląd na przyczynowość nie jest ani dokładny ani wystarczający. Jakkolwiek w naukach empirycznych można przyczynowość zupełnie słusznie i często nawet lepiej zastąpić zasadą funkcyonalności, to jednak zasada ta nie jest ostatnią, nie da się też rozciągnąć na wszystkie dziedziny bytu. Należy rozróżnić możliwie dokładną analizę i opis naukowy zjawisk od badania przyczyn tychże zjawisk. Zresztą sama zasada funkcjonalności, jak ją Avenarius, Hertz, Maxwell, Mach i inni pojmują, już w sobie zasadę przyczynowości zawiera. Nie mamy prawa mówić o przyczynowości jako o jakimś wewnętrznym nateżeniu woli, jakiego w sobie doświadczamy. Przenoszenie takiej przyczyny-woli w świat roślinny lub nawet anorganiczny, jak to filozofia Schopenhauera, Wundta, Deussena i innych usiłuje, byłoby animizmem i mitologią. Można jednak pojęcie przyczyny zupełnie oczyścić z tych naleciałości antropomorfistycznych, tak, że pozostanie tylko pojęcie przyczynowości krytycznie uzasadnione. Jeżeli więc autor mówi: »Sięgać coraz dalej w rozpoznawaniu stałej, a nieodwracalnej zależności, w coraz doskonalszy sposób przystosowywać myśl do prawidłowej rytmiki otoczenia i na tej drodze postępując, opanowywać zmienność otoczenia, a życie czynić przez to coraz potężniejszym — oto co może nas zupełnie zadowolić« (str. 188), to można się na takie stanowisko ostatecznie zgodzić w badaniu czysto naukowem, ale nie w metafizyce, w dążeniu do poglądu na świat. Autor powiada dalej: »Nawet w metafizyce możnaby obecnie obejść się bez zwykłej formy przyczynowości. Pod względem metafizycznym wystarczy mieć pewność, że w świecie panuje *logos*, to znaczy porządek i stała w zmianach i w różnorodności zmian zależność. Pojęcie funkcyi i tutaj okazuje się o wiele odpowiedniejszym, jest bowiem ogólniejsze, nie ma cechy mitologicznej, a przytem jest o wiele prostsze i zrozumialsze. Stokroć łatwiej jest zrozumieć, że świat tak jest urządzony, że zmiana B zależy stale od zmiany A, aniżeli, że jakaś siła A wychodzi z czegoś, włazi w coś i tam sprawia pojawienie się B. Czegoś podobnego nikt bez pomocy wyobraźni i mitologii pojąć nie zdoła«. Zdań powyższych nie można przyjąć bez zastrzeżeń. Czy szanowny autor rzeczywiście sądzi, że stała zależność zmian łatwiej daje się zrozumieć niż przyczynowość? Wszak stała zależność, funkcjonalność zjawisk jest tylko faktem albo raczej pojęciem utworzonem na podstawie faktów; dopiero gdyśmy taką funkcyę odkryli, pytamy się dalej:

dlaczego jest właśnie taka zależność a nie inna? gdzie przyczyna tego zjawiska? Mniejsza o to, że nauka na to pytanie najczęściej odpowieźdać nie może, we wszystkich takich wypadkach możemy co najwyżej prawidłowość w przyrodzie stwierdzić, nie jesteśmy w stanie zrozumieć jej. Prawda i to, że nie wiemy zgoła, w jaki sposób oddziaływanie sprawcze przyczyn się odbywa, lecz nie można przyczynowości w tak zewnętrzny sposób przedstawiać, jakoby siła jakaś, jakby duch lub mara wychodziła z czegoś, włąziła w coś i tam pojawienie się skutku sprawiała. Podobne pojęcie przyczynowości nie jest bynajmniej naukowe, a co ważniejsza, nie tłumaczy przyczynowości, skoro zagadnienie znowu w całej sile występuje, gdy się pytamy, jakże ta siła wychodząca z jednej rzeczy, w drugiej ten skutek »sprawia«. A dalej — skąd mam pewność, że w świecie panuje *logos*, jeżeli pod tym wyrazem nie rozumiem tylko porządku i harmonii immanentnej, pewnej tylko o tyle, o ile ją nauka doświadczeniem stwierdziła, a poza temi granicami hipotetycznej, lecz jeżeli się z porządku immanentnego wnoszę do rozumu ponadświatowego, który ten porządek obmyślił, i do woli, która go urzeczywistniła? Można się zgodzić na to, że »fakt życia gwarantuje nam stałość w zmienności« (str. 185), choć i to w szczupłych tylko granicach; ale fakt życia nie gwarantuje nam jeszcze tem samem istnienia Boga, istnienia porządku metafizycznego.

Z dokładnego studyum powyższego dzieła odnieśliśmy wrażenie, że ostateczne stanowisko autora w tych pracach nie jest dość jasno określone; nie zrozumieliśmy dość dobrze, do jakich granic autor w krytycyzmie się posuwa, w jakich granicach metafizyce prawo bytu przyznaje, wreszcie, czy i jak jego metafizyczny pogląd na świat zgadza się z jego teoryopoznawczym krytycyzmem. Jesteśmy jednak przekonani, że te wątpliwości i niejasności wynikają tylko z charakteru poszczególnych prac, które, pisane w różnych czasach i przy różnych sposobnościach, nie miały i mieć nie mogły na celu systematycznego przedstawienia całej filozofii. Dlatego z tem większem zaciekawieniem wyglądamy następnych systematycznych prac zasłużonego autora.

Powyższe uwagi krytyczne nie miały też bynajmniej na celu obniżenia wartości wspomnianego dzieła. Tylko do wybitnych ludzi przykładą się ścisłą miarę. Chętnie przyznajemy, że nie czytaliśmy w polskiej literaturze filozoficznej — obok ks. Morawskiego — książki tak pięknie, tak jasno i przystępnie a jednak głęboko napisanej, jaką

jest właśnie książka »W dążeniu do syntezy«. Każda praca z osobna jest tak pod względem rzeczy jak pod względem formy znakomicie wykończona. »Uwagi nad filozofią Stuarta Milla...« przedstawiają nam niemal plastycznie, jak ten pozytywista angielski, wychowany od dziecka w skrajnym empiryzmie, jednak powoli widzi się zmuszonym do roztrząsania zagadnień metafizycznych. Praca piąta: »Zasada przyczynowości, a poznanie naukowe«, oraz szósta: »Obecny przełom w teorii poznania« są niejako konkretnym dowodem poglądów autora na ewolucję filozofii, mianowicie, że myśl filozoficzna z natury swojej dąży do wzniesienia się ze stopnia dyalektycznego i dogmatycznego na stopień najwyższy, stopień badawczy i krytyczny. Praca siódma »Co to jest filozofia« rzuca jasne światło na stosunek filozofii do życia i wykazuje dobitnie, że i filozofia wchodzi w całokształt zjawisk życiowych, że i filozofia podlega do pewnego stopnia prawom rządzącym zjawiskami żywotnymi wogóle. Ostatnia praca »W sprawie metafizyki« daje nie tylko krótki a treściwy pogląd na dotychczasowy rozwój metafizyki, ale zastanawia się także krytycznie nad zadaniem metafizyki w dzisiejszej chwili. Największe atoli zadowolenie dały nam prace, druga: »O rozwoju dziejowym poglądów filozoficznych u Indów i Chińczyków«, trzecia: »O znaczeniu badań nad filozofią Wschodu dla rozjaśnienia rozwoju dziejowego filozofii w ogólności«, a przede wszystkim czwarta: »Pomysły do ujęcia dziejów filozofii w całości«. W tych rozprawach znajduje się cały szereg bardzo głębokich i świeżych myśli, zdolnych badania na polu porównawczej historyzofii naprzód posunąć. We wszystkich zaś bez wyjątku artykułach widać tę wyraźną, konsekwentną i szlachetną dążność do syntezy, którą główny tytuł tej książki tak szczęśliwie wyraża.

Jesteśmy więc przekonani, że ta piękna książka znajdzie dużo przyjaciół, nie tylko między dawnymi i obecnymi uczniami zasłużonego profesora, ale także między miłośnikami filozofii wogóle. A życzymy jej wielu czytelników, tem bardziej, że społeczna literatura filozoficzna polska ma stosunkowo nie wiele książek, któreby mogły wejść w trwałą skład przyszłej historii filozofii polskiej.

Fryderyk Klimke.

Z twórczości poetyckiej.

Lucyan Rydel: »Ferenike i Pejssidoros«. Opowieść kulturalno-obyczajowa na tle igrzysk olimpijskich. — Tenże: »Poezye«. Wydanie trzecie znacznie pomnożone. — Tenże: »Madejowe łoże«. Stara klechda dla młodszych czytelników w XVIII pieśniach z epilogiem.

Dwa lata mijają, gdy autor »Zaczarowanego koła« pojechał był na dłuższy pobyt do Grecyi, a pojechał i jako poeta łaknący greckiego lazuru i śnieżnych marmurowych kolumn, nowych a tak od naszych różnych wrażeń i natchnień, i jako nie prędko dościgły tłumacz homeryckiej »Iliady«, pragnący tam, na miejscu, w ojczyźnie najdoskonalszej sztuki i piękna wgłębić się i weznać w potężne a tak prostotą ujmujące rapsody; pojechał wreszcie, jak jedzie każdy człowiek wysoki kulturą i wykształceniem, dla zaokrąglenia swych wiadomości i estetycznych pojęć. Nic dziwnego, że kiedy taka jednostka tam jedzie i stamtąd wraca, ogół pilnie ją śledzi, wyczekuje niecierpliwie, jakie owoce przywozi ze sobą, o ile odbyta podróż odbiła się na jej indywidualności, na jej pracy twórczej. Bo że odbić się musi, to rzecz więcej, niż pewna.

Zbyt wcześnie byłoby rozprawiać już dzisiaj o tem, co dał pobyt w Grecyi p. Rydlowi; zbyt spiesznem a nawet zabawnem byłoby obmierzać już dzisiaj rezultat tej podróży, krzywić się, że za mały, lub klaskać naiwnie, że ogromny. Wszak poeta ten dopiero w pełni sił, jego praca daleka do końca. Nie zawsze zaś po takich podróżach odebrane wrażenia wybuchają natychmiast na zewnątrz, nie zawsze wytryskują od razu strumieniem wierszy czy poematów. Owszem, im głębsza, im więcej zrównoważona natura danej jednostki, tem dłużej formuje się w niej lawa z doznanych wrażeń, odebranych natchnień, tem żarliwiej przepalają się one w duszy, przetrawiają w uczuciu, ażeby kiedyś, często po latach wielu, tem głębszą i wspanialszą rozlać się strugą... Szybkość wyrzucania ze siebie przemłóconych gwałtownie myśli i uczuć, nie zawsze dowodzi prawdziwego talentu i nadmiernej poetyckiej wrażliwości.

Dlatego też, gdy mowa o p. Rydlu, nie tylko za złe mu nie bierzemy, że przez te dwa lata nie zasypał nas tysiącem sonetów lub na pręde (aby »tom« był) pofabrykowanych wierszyków (jak to coraz więcej u niektórych zauważyć można), lecz owszem, tem pewniejsi i spokojniejsi być możemy, że to, co wyjdzie z pod jego rąk teraz,

tem świetniejsze i doskonalsze będzie, tem podobniejsze do przeczystego lazuru i przeharmonijnych kolumn, wśród których blisko rok przebywał. A możemy to twierdzić tem śmieiej, iż p. Rydel nie wrócił z próżnemi rękoma. Jego »Ferenike i Pejsidoros«, jego lwia część ostatniego tomu poezyi świadcza i przekonywują o tem najlepiej.

Jest w piątej księdze Pausaniasa ustęp tej treści: »Po drodze do Olympii przychodzisz pod wysoką skałę: góra ta zowie się Typajon. Jest u Elejczyków prawem, niewiasty z niej strącać, gdyby się którą schwytało na igrzyskach olimpijskich. Jednak żadnej na tem nie schwymano, tylko jedną Kallipatajrę; inni zowią ją Fereniką. Ubrała się ona zupełnie nakształt gymnasty i zaprowadziła do Olympii swego syna, by się tam o wieniec ubiegał. Gdy Pejsidoros zwyciężył, skoczyła Kallipatajra przez szranki, przyczem obnażyła się. Lecz chociaż się wydało, że jest niewiastą, puścili ją bezkarnie przez cześć dla rodzica, braci i syna, gdyż im wszystkim przypadły były w udziale zwycięstwa olimpijskie«.

Ta sucha-notatka posłużyła p. Rydlowi do powyższej opowieści. Czy dla powieści samej? Nie. Jego pierwszą myślą po powrocie z Grecyi jest dać swojemu społeczeństwu książkę, której niema, a której treścią ma być nie suchy jakiś opis ziemi i kraju Hellenów, lecz odtworzenie życia, jakie na tej ziemi było, o stworzenie jak najwierniejsze, jak najprawdziwsze, oparte na najpewniejszych wynikach ostatnich przemozólnych w tym kierunku prac i badań. I oto pierwszy owoc i rezultat podróży do Grecyi. W jaką go szatę ubrać? na jakim położyć talerzu? Juścić, że na porcelanowym, drogim, kosztownym. Zasługuje na to i Grecya starożytna, źródło natchnienia, sztuki i piękna, odpowiednie to dalej dla pisarza, poety. Stąd forma książki o Grecyi będzie beletrystyczna, powieściowa, dlatego też »Ferenike i Pejsidoros«, jako część tej olbrzymiej pracy jest »opowieścią«. Czy tak jest dobrze? Myślę, że bezwarunkowo dobrze. Jeśli książka o Grecyi ma być połączeniem *utile dulci* (a tego autor chce), w takim razie tylko w tej a nie w innej może być pisana formie. Gdyby miała być tylko *utilis*, musiałaby być poważnem, naukowem studyum i badaniem, gdyby miała być tylko *dulcis*, musiałaby być tylko fantazyowaniem poetyckiem na dany temat. Dlatego też nie razi podpisanego jej podkład powieściowy. Owszem, on jest i ładny i potrzebny. Jest go tylko cośkolwiek za mało — i to byłby mój pierwszy zarzut, co do »Fereniki i Pejsidorosa«. Książkę, opowieść musimy przyjąć taką, jaką jest, ale żał wielki, że o tej matce i o tym zwycięskim synu mówi autor tak

mało. Rozumiem doskonale, że autor tak jest zapatrzony w piękno Olympii, jej świątyń, rzeźb, ludzi, igrzysk, że o tych dwojgu czasem przepomina, że ich niepokojem i bolem za mało się przejmuje i zajmuje, wolałbym jednak, by autor silniej nieco podkreślił był tę ogromną odwagę Fereniki, jej nieprzeczwyczajoną dumę i ambicję, która o Typajonie zapomnieć jej każe, byle tylko mogła się nasycić widokiem syna zwycięzcy. Byłaby przez to »Ferenike« zyskała na dramatyczności i sile. Jest to jednak zarzut drobny, zwykle nudziarstwo czytającego. Poza tem bowiem ta matka i ten syn mili są dla czytelnika, naszkicowani zręcznie w jakimś lekkim odcieniu mglistej melancholii. I tem nagradza autor ich za mały stosunkowo udział w całości. O Ferenice i Pejsidorosie mowy wiele niema, ale czytelnik o nich myśli ciągle, i choć wie, że wyjdą z niebezpieczeństwa cało, przecież niepokoi się o nich, starając się podobnie jak Pejsidoros przez oglądanie precudnych rzeźb i posągów zagłuszyć myśl o dumnej a tak biednej matce...

Zgodnie z Pausaniasem wyszła Ferenike z niebezpieczeństwa cało. Autor zmienił tylko zakończenie podania. Oto u Pausaniasa Ferenike tak przejęła się upragnionem zwycięstwem syna, że po skończonych zapasach wbiegła uszczęśliwiona na arenę, aby przytulić syna do łona. Przytem obnażyła się, sędziowie poznali w niej kobietę, składając nad nią natychmiastowy sąd. Zakończenie u Rydla jest odmienne. Ferenike zdradza się, jako kobieta, ale zdradza radosnym, spazmatycznym płaczem. Czy ta dowolna przemiana historycznego faktu czy podania dobra? Mojem zdaniem — tak. Niechętni dla autora zarzucają mu, że nie powinien był tego zakończenia zmieniać, a zmieniać (podług nich) na gorsze. Wszak — twierdzą — notatka u Pausaniasa więcej prawdopodobna i stanowczo piękniejsza. Doprawdy, zarzutu tego zrozumieć nie możemy i nie wytrzymuje on wszelkiej krytyki. Zakończenie u Pausaniasa nie jest ani piękniejsze, ani prawdopodobniejsze. Cóż bowiem łatwiejszego do przyjęcia, jak zupełnie naturalny i serdeczny, gwałtowny wybuch płaczu uszczęśliwionej matki? matki do tego truchlejącej o wynik zapasów i własne bezpieczeństwo? Przytem »obnażenie się« jest rzeczą zupełnie przypadkową. Trudno nawet zrozumieć nie-rozum Fereniki, która tak przebiegle wkraść się do Olympii umiała, a nie baczyła na starannie opięte szaty... To może prawdziwe, ale u Rydla jeszcze prawdziwsze i naturalniejsze.

Cała zresztą opowieść służy tylko jako tło, jako urozmaicenie tego, co stanowi w omawianej książce rzecz główną, właściwą. Jest

nią opis Olympii i igrzysk tam odbywanych. Powiedzmy z góry, że opis przesłiczny. Oparłszy się na najsumienniejszych studyach i badaniach, na własnej pracy i rozmyślaniu, odtworzył p. Rydel zamierzchłej przeszłości całość żywą i barwną, wierną i prawdziwą. Od przepukniów figi i oliwki sprzedających, od opisu zausznice czy ubiorów, aż na scharakteryzowaniu Sokratesa, Sofoklesa i innych, aż na wspałym opisie Zeusa gromowładcy i przebiegu zapasów skończywszy, wszystko tu nakreślone plastycznie, zajmująco, z wielką swobodą i umiarkowaniem w doborze środków. Pożytek z tego nie mały! Dzięki jednym tylko igrzyskom olimpijskim przedstawił nam p. Rydel całe niemal społeczeństwo greckie w jego najświetniejszym rozwoju. Ci wszyscy, którzy około 428 roku w Atenach żyli, ci wszyscy, którzy wtedy stali na czele kultury i umysłowości greckiej, ci wszyscy przedstawieni tutaj i odmalowani żywo. A to musiało nastąpić koniecznie, jeśli obraz igrzysk miał być zupełny. Dlatego nawet nie bierzemy za złe wprowadzenie na Olympię Sokratesa, mimo, iż ten nigdy z Aten nie wychodził. Bez niego obraz byłby niezupełny, potrzebnym on i ci wszyscy, którzy tam są. Inny tylko zarzut uczynić w tem miejscu musimy; zarzut drobny, ale gdyby nie istniał, całość byłaby cośkolwiek zyskała na sile i mocy. Oto p. Rydel chce być tak wiernym, tak w opisie sumiennym, że nawet najznakomitszym osobistościom historyczne słowa do ust wkłada. I tak Sokrates, rozprawiając z Lykiosem (czy z kim innym) mówi zupełnie tak, jak w przechowanych po nim dyalogach Platona czy Ksenofonta. Gdy Herodot czyta ustęp swej historyi, czyta go w dosłownem tłumaczeniu p. Rydla. Bez wątpienia, że pomysł to dobry; nikt nie zaprzeczy, że gdyby Sokrates inaczej rozmawiał, nie byłby tak prawdziwy. Po co jednak p. Rydel dał aż dosłowne tłumaczenia, tego nie wiemy i tego żałujemy. Wszak w takich wypadkach wolno parafrazować, a zaręczyć możemy śmiało, że parafraza p. Rydla byłaby większe wywarła wrażenie, niż dosłowne tłumaczenie, niezbyt nawet ciekawego ustępu. Razi to u Sokratesa przy przedstawieniu nam Herodota. Pomysł z tym historykiem, choć śmiały, wprost przesłiczny. Starzec siwowłósy, czytający na tle świątyni i różnobarwnego tłumu historyę ostatnich czasów greckiego narodu, zaiste, wrażenie wywiera ogromne. Ale to wrażenie zepsuł niebacznie sam p. Rydel, wybierając ustęp z jego historyi mało odpowiedni i dosłownie przetłumaczony. Dlaczego Termopyle a nie Maraton naprzykład? Czy w ten sposób chciał autor zaznaczyć i Grekom przypomnieć, że już się wam ma pod koniec?... O wiele większy entuzjazm i zapal

byłby wzniecił inny moment, choćby bój pod Maratonem. To jedno; drugie, szkoda, nieodżałowana szkoda, że p. Rydel nie włożył Herodotowi na dany temat własnych słów... W tem, co on czyta, niema ognia, za wiele historyi i szczegółików. Parafraza była tu konieczną, a jakie wrażenie mogłaby wyrzucić, wystarczy przypomnieć »Maraton« Ujejskiego.

Sofokles, Eurypides, Tukidydes, Alkibiades, Kleon, Arystofanes przedstawieni w paru rysach, ale wybornie. Zwłaszcza postać wchodzącego na widownię Sofoklesa, głęboko się w pamięć wbija. Opis igrzysk niezmiernie plastyczny i bardzo interesujący. Szczerze podziwiamy p. Rydla, że w dokładności swej nie zawahał się opisywać nawet zginania palców przy rzucaniu dyskiem, a przecież nie nuży i nie nudzi. Dowód to bystrej obserwacyi i giętkiego »pod plastykę« pióra.

By czytelnik tem większy z książki mógł odnieść pożytek, przyozdobił autor »Ferenikę« licznemi ilustracyami i sporą paczką »przypisów«. Czy jedno i drugie potrzebne? Nie! — odpowiada większość krytykujących. Dlaczego nie? Bo psuje wrażenie... Na to podpisany zgodzić się nie może. Wrażenia ryciny nie tylko nie psują, lecz owszem, pomagają dzielnie do uzmysłowienia sobie opisywanych świątyń, czy rzeźb, czy posągów wreszcie. To jedno; a drugie, pytajmy otwarcie: czy większość naszego ogółu zna te świątynie i rzeźby bodaj z ryciny? Chyba nie. A choćby i znała, to nie zaszkodzi jej przypatrzeć się im raz jeszcze. To samo tyczy się »przypisów«. Zbyteczne one są dla »archeologów« i »ściśłych filologów«. Ale czy u nas »takich« dużo? Chyba garstka. Olbrzymia większość właśnie dopiero dzięki tym »przypisom« będzie się mogła dowiedzieć o przeróżnych źródłach i materyałach, na których całość oparta została.

Zresztą odwróćmy sprawę. Czy zaszkodziłyby ilustracye, ryciny, ilustrujące np. rzeźbę, posagi, cyrki, o jakich mowa w »Quo vadis?« Czy pięknie wykonane »zepsułyby« tę powieść? A »przypisy« Sienkiewicza, objaśniające, skąd ten lub ów szczegół zaczerpnął, czyby »oburzyły« rozumnych czytelników? Chyba nie.

Dlatego też nie tylko, że nie czynimy z ilustracyi (dobrze i czysto zresztą odbitych) i przypisów najmniejszego p. Rydlowi zarzutu, lecz owszem, wdzięczni mu za zabiegi o nie jesteśmy szczerze. Może być, że mało wszystkie »wybrane« i »dobrane«, ale dobrze, że są. Książka na nich nie traci nic, tu i ówdzie na nich zyskuje.

To byłoby, krótkie zresztą, podzielenie się z czytelnikiem ode-

branem wrażeniem po przeczytaniu »Ferenike i Pejssidorosa«. Wrażenie bardzo dodatnie i miłe. Książkę czyta się bowiem z wielką przyjemnością i zaciekawieniem, a jak zaznaczono wyżej i z prawdziwym pożytkiem. Że zaś o to właśnie autorowi chodziło, więc cel swój osiągnął.

Jeśli chodzi teraz o pytanie, jak się odbiła podróż po Grecyi na p. Rydla jako poecie, to próbkę tego możemy mieć w ostatnim (trzecim) tomiku jego poezyi. Są tu bowiem wiersze liryczne wybrane z poprzednich wydań, ale jest moc zupełnie nowych, właśnie podczas tej podróży (i po niej) napisanych. Należy tu przeważnie »Mitologie« i »Przekłady«.

Z tego cyklu »Mitologie« niektóre liryki (zwłaszcza) sonety były już napisane pierwiej. Tem baczniej możemy zauważyć różnicę pomiędzy utworami z przed a po podróży. W tych pierwszych wiersz oczywiście (jak zawsze u p. Rydla) wytworny, bez zarzutu. Opis przyrody czy posągu barwny, uczucie szczere, serdeczne, nie zawsze jednak w ścisłym związku z wymalowanym obrazem stojące. Często, aczkolwiek subtelne, o myśli głębszej, przecież jakieś zanadto oderwane, zanadto niespokojne, przerzucone daleko od źródła, które je wydało i wykarmiło... W »mitologiach« powstałych po podróży tego nie widzimy. Struktura wiersza, choć na pozór ta sama, przecież dziwnie lśnieszka i harmonijniejsza. Plastyka w doborze słów, w rozmieszczeniu obrazów, o wiele świetniejsza i co najważniejsza, w wierszach tych, obraz mówi sam za siebie. Refleksyi, wypowiedzianej przez poetę osobno, bezpośrednio prawie niema. Wytryska ona z każdej zwrotki sama, narzuca się czytelnikowi od razu tonem i kolorytem obrazu. Wystarczy przeczytać takie sonety, jak »Atlas« lub »Pallas Atene«, a porównać z dawniejszymi jak »Psyche« np., aby odczuć i poznać tę różnicę. Zda się, czytając wiersze po podróży, że logika architektury świątyń greckich odbiła się na budowie tych sonetów. Wszystko ze sobą spojęne ściśle, nigdzie do budowy objaśnień nie dodano, bo ta budowa, ten posąg, ten obraz ma mówić do czytelnika sam przez się. Przytem i paleta farb jakaś jaśniejsza i pogodniejsza w tych utworach. Mniej nocy i ponurego nastroju, więcej światła i lazuru, więcej blasku i »słoneczności«. Tem smutniejsze przez to westchnienie, wydobywające się z piersi poety, tem czystsza łza żalu i tęsknoty.

Są wiersze, w których ten ból i smutek wprost niepomahowany. Takiemi są »Nike Apteras«, »Parthenon«, a zwłaszcza silny, pełen głębokiego żalu i uczucia »Erechtejon«. Rozmowa siostrzyc-karyatyd,

strop wyniosły dźwigających, jest śliczna, pełna mocy i rozpaczliwego krzyku:

Dlaczego słowik w gęstwinie łoż
Wywodzi żalosne łkania?
Cóż go nakłania?
— »Nieubłagany Mus!«

Ten Mus, to Przeznaczenie, to Fatum greckie odczuwa poeta silnie; serce mu pęka z żalu na widok zagrzebanego piękna, więc też z boleścią każe się skarżyć jednej z dziewcząt:

I na cóż trwać dłużej? Wymarło już plemię
Pięknością żyjące,
I nam czas, o siostry, i nam czas pod ziemię...

a ty Dolo, ty nieubłagana, bezlitosna Dolo

Przekłeta bądź Dolo, przekłeta!
Żeś dała nam w piersi z kamienia
To serce, co tęskni, pamięta...

Tak bolesnego liryku i o tak głębokim podkładzie w dawniejszych lirykach nie widzieliśmy u Rydla wcale. Wywołało go rozpamiętywanie greckiej glori, dziś w ruinie zagrzebanej.

O »Przekładach«, jakoteż i »Lirykach« dawniejszych nie powiemy wiele. Dość zaznaczyć, że »przekłady« są świetne, jedne z najlepszych, jakie w naszej literaturze mamy. Czy to będzie płocha piosenka z Anakreonta, czy uroczysty, pełen powagi hymn lub oda Pindara, czy też pełna subtelnych dotknięć i nie zrównanego smaku oda Horacego, czy też wreszcie przepyszny wiersz Heinego »Deutschland«, — wszędzie nasz poeta niezrównany. Wprost podziwiać trzeba łatwość i giętkość pióra, bogactwo i umiejętność używania najróżnorodniejszych tonów i gam, by tak przeciwstawne i tak od siebie nieraz natchnieniem i rodzajem dalekie utwory, z taką maestryą odtwarzać. Zresztą uznanie zbyt uczte. Pan Rydel ma już ustaloną sławę, jako tłumacz dzisiaj niezrównany.

Reszty tomu dopełniają wiersze znane z wydań poprzednich. Jakże są one? — dziś przypominać nie trzeba. One to, te cykle rozmaite, pod tytułem »Mojej matce«, »Hania«, »Mojej żonie« utrwaliły w literaturze imię Rydla, jako pierwszorzędnego liryka, o nieposzlakowanej czystości języka, pysznej a subtelnej rytymice, uczuciu może nie gwałtownem i namiętnem, ale szczerem, serdecznem, prostem, jak proste i od serca są jego piosenki. Sam je zresztą poeta najlepiej określa, gdy mówi:

Biedne pieśni mojej duszy —
Co się z wami stanie?

Zbierałem ja wasze głosy
W radościach i bolach,
Jako kwiaty pełne rosy,
Jak złociste, szumne kłosy
Po łąkach i rolach —
Szeptaly mi wasze głosy
W każdej wierzbie srebrnowłosej.
W brzozech i topolach,
Szły skowronkiem pod niebiosy,
Echem grały w polach.

Równocześnie z powyższym łamem poezyi wyszła dla dziatwy przeznaczona baśń p. t. »Madejowe łoże«. Znany temat tej legendy, dziwnym trafem, nie zużytkowanej dotąd wcale. A jest w niej wiele pierwiastków istotnie dramatycznych, wiele, istotnie z ludu wziętych i pośród ludu do dziś dnia żyjących. My bowiem nie mamy takiej kopalni legend i podań ludowych, jak kraje ościenne. Co więcej, nieraz to, co za ludu własność i wytwór uważamy, okazuje się z czasem, albo obcem, albo też naszym wprawdzie, ale nie przez lud wytworzonym. Przykładów na to nie brak. Podanie jednak o Madeju zbroju jest nawskróś ludowem, a w każdym razie w olbrzymiej swej wielkości. To też tem baczniej winno się niem zająć i spożytkować. O ile wiem, próbował to zrobić Karol Mattausch, pisząc na konkurs Wydziału krajowego sztukę p. t. »Madej zbroj«. Dramat ten jednak okazał się więcej, niż słabym i nieudolnym. Z tem większą przeto przyjemnością wita się baśń Rydla: »Madejowe łoże«. Fabułę zostawił autor niezmienną. Cała wyprawa chłopca do piekła po odbiór cyrografu, spotkanie się w lesie z Madejem, wszystko to trzymane ściśle podług podania. Dodał tylko autor od siebie opis piekła, bardzo a bardzo szczęśliwie wplatając weń pokutę, jaką odprawiają dusze grzeszników znanych ogółowi bodaj z imienia. A więc budowniczy wieży Maryackiej, za to, że brata zabił, a więc »pani, która zabiła pana«, to znów król Popiel za to, że potruł stryjów, to wreszcie ten niepoczciwy chłopiec, co to skradł Panu Jezusowi złoty trzewiczek — wszyscy ci siedzą sobie w tem piekle, pokutując srodze. Mały nasz bohater, jak Dante drugi, spaceruje sobie pośród skazańców, rozmawiając z nimi i cierpiąc wraz z nimi.

Baśń ta napisana bardzo zręcznie, przepięknym, a łatwym i zrozumiałym wierszem, to też zalecamy ją gorąco na podarek

dla starszych dzieci, lub na nagrodę pilności po szkołach. Jest przytem bogata w kolorowe ilustracye. Nawiasem mówiąc, ilustracye te, aczkolwiek dobre i pędzla zdolnego artysty (Kruszewskiego), przecież byłyby lepsze, gdyby były poważniejsze. Te dyabły i czarownice, będące karykaturami »naszych najserdeczniejszych« ze *Śmigusa*, rażą przy bądź co bądź poważnym i podniosłym tonie całości.

A. E. Balicki.

Z historii sztuki.

Franciszek Klein: »Akademicki kościół św. Anny w Krakowie«. — Julian Pagaczewski: »Baltazar Fontana w Krakowie«. — Leon Piniński: »Przechadzka po muzeach madryckich«.

Monografie kościoła św. Anny w Krakowie pp. Kleina¹ i Pagaczewskiego, rozjaśniły dzieje budowy i znaczenie artystyczne tej świetnej struktury epoki baroka. Trzecia to z rzędu świątynia stoi na tem miejscu. Ostatnia najwspanialsza imponuje rozmiarami i kształtnością.

Plany rzymskiego kościoła *S. Andrea della Valle* miały być jej wzorem. Radzili nad tem profesorowie Uniwersytetu wraz z hiszpańskim architektem w służbie marsz. Lubomirskiego Tilmanem Camerini, który też plany na kościół wygotował.

Wykonawcami planów byli przedewszystkiem fachowo wykształcony w budownictwie profesor Akademii krakowskiej ks. Sebastian Piskorski, energiczny, wytrwały i hojny orędownik budowy, i jako techniczny doradca Franciszek Solari.

W roku 1689 położono kamień węgielny, zaś w r. 1703 poświęcił wspaniały gmach biskup Kazimierz Łubieński. Rezultaty badań p. Kleina nad architekturą kościoła ujęte w rozprawie, napisanej bardzo zwięźle i jasno, wyjaśniły ostatecznie znaczenie i wysokie zalety architektoniczne struktury. Dekoracyi wnętrza świątyni poświęcił swe studia p. J. Pagaczewski², — studia bardzo ciekawe, więc streszczamy je, jak następuje:

Walka Kościoła z reformacją wytworzyła w sztuce nową epokę

¹ Franciszek Klein: »Akademicki kościół św. Anny w Krakowie«. Studium Architektury. Odbitka z XI Rocznika krakowskiego. Nakład autora.

² Julian Pagaczewski: »Baltazar Fontana w Krakowie«. Kraków czcionkami drukarni »Czasu« 1909 r. w 8-ce, str. 50, fig. 31 w tekście i 9 tabl. Odbitka z XI Rocznika krakowskiego.

zwaną »barokiem«. W nim odnajdujemy charakterystykę dążeń i pragnień epoki. Cechą jego jest imponująca wielkość i niepomierna malowniczość. Nie jest on stylem — jak mniemano czas bardzo długi — bezdusznym, ale przeciwnie świadomym dekoracyjnych środków i pełen temperamentu. Najprzedniejszym reprezentantem tego nawskróś malowniczego stylu był Baltazar Fontana, a jego najznakomitszem, chociaż nie jedynym u nas dziełem, to dekoracya kościoła św. Anny w Krakowie. Fontana urodził się w r. 1658 w Chiasso, a więc pochodzi jak inni Fontanowie z Lombardyi, gdzie tworzyli jakoby dynastję artystyczną, których imiona zapisały się zaszczytnie w dziejach historii sztuki. W pobliżkiem Como wykształcił się na doskonałego stiukatora rzeźbiarza, aby później na Morawach i w Polsce rozwinąć swój talent i bujną artystyczną fantazyę. Umarł w Bernie 1729 roku. Baltazar Fontana przybył do Polski jeszcze roku 1693 i rozpoczął swą działalność tutaj dekoracyą kaplicy Morsztynów przy farze wielickiej, niestety dzisiaj nie do poznania zmienionej już bez ornamentacyi fontanowskiej. Następnem terytoryum jego działalności był Kraków. Współdział jego brata Franciszka był, jak tego szan. autor dowodzi, zupełnie podrzędnym, ogranicza się do sklepienia presbiteryum i całość jako dzieło Baltazara uważać należy. Najbardziej może znamiennym rysem barokowej ornametacyi, przy końcu epoki baroka, w przełomowej chwili przesilenia stylowego, jest połączenie ściśle plastyki z malowidłem. Ruch postaci naśladuje linię spiralną, lub też jest rozbieżnym w stosunku głowy do kończyn. Jeden charakterystyczny motyw przejawia się w tej dekoracyi, jakby zasadnicza melodia i snuje się w całej jakby operowej twórczości. Festony, muszle, figlarne putty, dalekiem są echem renesansu. Emblematy kultu religijnego dostarczają obficie motywów dekoracyjnych, owitych w girlandy róż lub gałęzi lauru.

Rzeźby Fontany posiadają bezsprzecznie wyższą wartość artystyczną. Śmiały i szeroki rzut draperyi, która nie zatracza budowy ciała daje nam wrażenie silne. Częściej pociąga czarem i wdziękiem młodości, dominującym pierwiastkiem twórczości jego jest liryzm i sentyment. Pozy figur są wprowadzie afektowane, jak u wszystkich współczesnych, ale bez tej przesady, którą tak często u innych artystów owej epoki widzimy.

Obok Fontany widzimy przy dekoracyi rzeczzonego kościoła malarza Karola Danckwarta i kierownika budowy profesora uniwersytetu jagiellońskiego ks. Sebastjana Piskorskiego, który zdaje się był duchowym

przewodnikiem w kreacjach polskich świętych i religijnych motywach. Jego to poplecznictwu przypisać należy, że Fontana w owym czasie objął restaurację kościoła św. Andrzeja, jakoteż klasztoru Klarysek w Starym Sączu.

Fontana był zarazem snycerzem, i ta umiejętność artysty objawiła się niejednokrotnie w pojęciu formy przez niego stworzonej. Świadectwem tego jest kaplica św. Jacka u Dominikanów krakowskich, niepowszedniej piękności dzieło, należące niewątpliwie do najpiękniejszych pomników Krakowa. Ale nie tylko kościoły krakowskie zawdzięczają Fontanie piękną dekorację stiukową, bo także niejeden z domów krakowskich zawdzięcza również jemu wspaniałe przyozdobienie swoich komnat. Do takich należą: narożny dom przy ulicy Szczepańskiej, Krzysztofory, pod Baranami i dom przy placu Maryackim L. 3. Oto najkrótsze streszczenie pracy p. Juliana Pagaczewskiego napisanej z ogromnym talentem i doskonałym znawstwem istoty historii sztuki, opartem na doświadczonem i umiejętnem znawstwie naszych i obcych pomników. Nie potrzebuję dodawać, że książka wyposażona wykwintnie pod względem typograficznym i ilustracyjnym czyta się jak wszystkie tego autora rozprawy z prawdziwym zajęciem i głębokim interesem. Towarzystwo miłośników historii i zabytków starego Krakowa przysłużyło się powyższymi publikacjami znakomicie dziejom ojczystych pamiątek.

Były namiestnik Galicyi hr. Piniński¹, zasłużony mąż stanu i wielbiciel sztuk pięknych, wypowiedział w swej książce o muzeach madryckich, w formie popularnej a pełnej wdzięku, poglądy na malarstwo włoskie, flamandzkie i hiszpańskie.

Lwów, miasto o wyglądzie nowożytnym, ma nie tylko aspiracje do posiadania galerii mistrzów cudzoziemskich, ale nadto jest istotnie siedzibą estetów polskich, zajmujących się z szczególniejszem zamiłowaniem wielką sztuką renesansu i baroku.

Pp. Bołoz-Antoniewicz, hr. Dzieduszycki, Olszewski, Kozicki, Rutowski, bawiący najczęściej poza krajem hr. Lanckoroński podejmują raz w raz ten tak interesujący przedmiot.

Nieomal ten sam temat co w książce omawianej, był przed wielu laty roztrząsany przez hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Różnica między nimi leży w samym ujęciu. Dzieduszyckiego interesowała więcej

¹ Leon Piniński: „Przechadzka po muzeach madryckich”. Str. 114 w 8-ce, z 38 tabl. Drukarnia „Czasu” w Krakowie. Nakład autora w r. 1908.

strona historyczna, w niniejszej zaś książce przeważa w treści ocena dzieł artystycznych. Hr. Piniński z góry zastrzega się, że publikacja »nie ma pretensyi ani do naukowej wartości, ani do wszechstronności«. »Nie patrząc cudzemi oczyma«, to znaczy historyków sztuki, badaczy, którzy poświęcili się studjom piękna i za cel swój obrali wykrycie prawdy i znaczenia dzieł sztuki, sz. autor pragnie wypowiedzieć bezpośrednio, nie zmącone owemi długimi studjami wrażenia, nieuprzedzonego zetknięcia się z samą sztuką. Zdawałoby się, że takie wyznaczenie wiary autora uwalnia recenzenta od krytycznego rozbioru dzieła i pozwala ograniczyć się do sprawozdania o treści i zakresie wykładu. Rady dane światowi polskich czytelników nie są słuszne. Nie są słuszne, bo zasada wygłoszona przez sz. autora »kto ma dobre oko i poczucie artystyczne«, temu wyniki specjalnych studyów »utrudnią wyrobienie samoistnego sądu«, żadną miarą utrzymać się nie da. I w nią sam autor chyba nie wierzy, skoro cytuje opinię poważnych badaczy, z którymi, jak widać z cytatów, dobrze się zaznajomił, (co naturalnie tylko wartość jego dzieła podnosi), zanim przystąpił do napisania książki.

Wydaje mi się wprost niezrozumiałe popieranie przez sz. autora poglądów, że świadomość dobrego oka i tak u nas powszechna, nadzwyczajnie dobre rozumienie o własnem poczuciu piękna, bez żadnego przygotowania i bez znajomości kardynalnych zasad harmonii, barw i linii wystarczy zupełnie do wydawania samoistnego sądu o dziełach sztuki. Przeciw temu wystąpić musi każdy, kto walczy przeciw wadom narodowym, przeciw wygodnemu lenistwu i wstrętowi do pracy umysłowej. Jesteśmy z góry przekonani, że sz. autor ani na chwilę tak nie myślał, jak napisał, bo cała treść dalsza książki stoi w rażącej z tem sprzeczności.

Książka to cenna, pisana stylem jasnym, zabarwiona nieraz barwną lub sarkastyczną uwagą, pełna nadzwyczaj interesujących wiadomości o wspaniałych dziełach malarstwa w muzeach madryckich. Widać, że niemało czasu spędził tutaj sz. autor na rozkoszowaniu się wielkimi utworami kultury renesansu i baroka.

Muzea madryckie imponują obfitością; samo Prado liczy 2.500 obrazów. Hr. Piniński wybiera te, które przykuwają go do siebie, które odpowiadają jego predylekcyom. Entuzjastycznie osądza Ty-cyana, chwali mistrzów włoskich, podziwia Flamandów, a już lwia część swego studyum poświęca Hiszpanom. Nieprześcignionemu przez nikogo Velazquezowi, najprzedniejszemu z portrecistów oddaje należne

pochwały i analizuje jego artyzm. Stanowisko sz. autora w ocenie artystycznej wartości dzieł widzianych jest w wielkiej części jego sądów, jak to zapowiedział u wstępu, czysto indywidualne. Z jego subiektywnego sądu przemawia wielka szczerłość obserwatora o wysokiej intelligencji, wielkiej kulturze, ale zarazem stojącym na dawnym stanowisku, należącym do pewnego stopnia już do historii. Nieprzejednany wobec nowoczesnych prądów sztuki, nieznuzenie poucza czytelnika o fałszywych drogach nowoczesnej sztuki, nawołując ciągle współczesnych artystów do zawrotu z błędnej drogi »impressionizmu«.

Leonard Lepsky.

Z piśmiennictw obcych.

Die Briefe des Apostels Paulus an Timotheus und Titus. Übersetzt und erklärt von *Dr. Joh. Ev. Belser*, ord. Professor an der Universität zu Tübingen. Freiburg 1907. Herder. Str. 302.

Podczas gdy w łonie protestanckiej egzegezy zajmowano się w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie listami św. Pawła do Tymoteusza i Tytusa, egzegeci katoliccy nie obdarzyli nas już od lat 40 komentarzem tak ważnych dokumentów kościelnej organizacji i dyscypliny. Przyczyna tego objawu tkwi zapewne w trudności, jaką nastroczają właśnie listy »pastoralne« św. Pawła wobec licznych zaczepk modernistycznej krytyki. Zasłużony prof. Belser zarządził obecnie potrzebie gruntowną i sumienną swą książką, która przedstawia pogląd katolicki na tle obecnego stanu nauki. Nieocenione skarby pastoralnej mądrości i kapłańskiej ascezy, złożone w tych listach Apostoła narodów, już w dawniejszych komentarzach znalazły odpowiednią ocenę i wyjaśnienie. Zaslugą Belsera jest pod tym względem jedynie dokładne i systematyczne uwzględnienie złotych myśli Ojców Kościoła i mistrzów egzegezy katolickiej celem pogłębienia nauki św. Pawła. Właściwe natomiast znaczenie pracy prof. Belsera polega na naukowem przedstawieniu i uwzględnieniu tła historycznego listów, oraz na gruntownem rozprawieniu się z zarzutami protestanckich krytyków.

We wstępie odwołuje się autor słusznie do swojej »Introdukcyi do Nowego Testamentu«, w której sumiennie roztrząsał przedwstępne zagadnienia, potrzebne do zrozumienia listów pastoralnych. Uzupełnia podane tam wiadomości obszerniejszem studyum nad kościelną trady-

cyą i ich oceną w odnośni do tych listów, oraz wyczerpującym wykazem dotyczącej ich literatury.

Treść listów uwydatnia się w logicznym podziale na części i ustępy, które w toku komentarza dla większej przejrzystości zostały osobnymi nagłówkami wyróżnione. Belser tłumaczy wiersz za wierszem, daje jednak na początku każdego nowego ustępu syntetyczny pogląd na całość zawartych w nim myśli. Dłuższe uwagi naukowe i polemiczne umieszcza autor, jak to już w innych komentarzach zwykł czynić, w osobnych, mniejszych czcionkami drukowanych ustępach. Niektóre zasługują na wzmiankę.

Nawiązując do 1 Tim. 1, 4, wykazuje Belser trafnie, że mity i genealogie, o których wspomina św. Paweł (por. także Tyt. 3, 9) nie mają nic wspólnego z nauką gnostyków II wieku, lecz odnoszą się do doktryn żydowskich, którymi posługiwali się t. zw. *udaizantes*. Przykład z literatury apokryficznej Starego Testamentu, mianowicie z »małej *Genesis*« wybornie objaśnia to zapatrywanie.

Na str. 78 i nast., zestawia autor teksty z Nowego Testamentu, pouczające nas o stanowisku i funkcjach biskupa (= *ἐπίσκοπος*), ze świadectwami Ojców apostoelskich. Belser oświadcza się słusznie za zdaniem, że pojęcia *ἐπίσκοποι* i *πρεσβύτεροι* nie są równoznaczne, jakkolwiek zbytnią przywiązuje wagę do tych nazw dla udowodnienia monarchicznego episkopatu za czasów św. Pawła (str. 246 i nast.). Różnica między *ἐπίσκοπος* i *πρεσβύτερος*, jakkolwiek się dosyć uwydatnia, nie jest jednak tak jasno określona, by na niej samej polegać można. Niezależnie od nazw możemy bez trudności wykazać hierarchiczny ustrój pierwotnego Kościoła. Zresztą i sam Belser bardziej akcentuje faktyczny stan rzeczy, niż różnicę nazw.

W kontrowersyi czy t. zw. *widuat*, instytucja kościelna dla wdów, poświęcających się służbie Bożej, utożsamia się z instytucją dyakonisek, jest Belser (str. 115 i nast.) za utożsamieniem, polegając przeważnie na notatce o wdowach w liście św. Polikarpa. Jednak dowód ten nie rozwiązuje kwestyi, a cytowane przez Belsera świadectwo św. Ignacego, który nas poucza o przyjęciu także dziewic do chóru wdowiego, przemawia raczej przeciw jego zapatrywaniu. Trudno tu odwołać się do dalszego rozwoju instytucyi św. Pawła, bo szerszy zakres miałby przecież rozwój od Pawła do Polikarpa, niż od Polikarpa do Ignacego. Samo już przypuszczenie rozwoju nie uprawnia do tego, by na mocy notatki Polikarpa kategorycznie ocenić stosunki za czasów św. Pawła.

W dłuższej notatce (str. 240) polemizuje Belser z zapatrywaniem Fischera o warunku wymaganym do biskupstwa: *unius uxoris vir* (Tit. 1, 6). Fischer (*Weidenauer Studien* I, 1 Heft, str. 177 i nast.) oświadczył się za interpretacją protestanckich egzegetów konserwatywnych, jak Zahna i Wohlenberga, sądząc, że kandydat stanu duchownego powinien był się wstrzymać od wszelkiego stosunku płciowego poza małżeństwem. Naszem zdaniem Belser słusznie staje w obrobie tradycyjalnego tłumaczenia, na mocy którego kandydatowi do urzędu kościelnego zabrania się powtórnego małżeństwa. Dowody z równoległego wyrażenia ἐνός ἀνδρός γυνή (1 Tim. 5, 9) oraz z Tertulliana (*De monogam.* 12) zapewne przemawiają przeciw Fischerowi. Mniej natomiast znaczy zarzut Belsera, że wierności małżeńskiej domagało się chrześcijaństwo od wszystkich swoich wyznawców. Oczywiście, że tak, ale to wcale nie przeszkadza, żeby przestępujący ten ogólny, dla wszystkich wydany rozkaz, nie mogli podpadać pod szczególniejszą karę *irregularitatis*.

Komentarz Belsera do listów pastoralnych św. Pawła zaleca się przymiotami dawniejszych komentarzy, które często i dosłownie cytuje, oraz uwzględnieniem sumiennem nowszych zagadnień i badań. Belser zbyt lubi kategoryczne rozwiązania zagadnień, otwartych dla dyskusyi, ale to już jego zapatrywanie; wypowiedział kiedyś otwarcie, że należy wydać sąd o rzeczy, a nie pozostawić go w zawieszeniu. Książka jego to owoc pilnej pracy, która zasługuje na wszelkie uznanie. Niejeden z księży wolałby może mieć komentarz bez aparatu naukowo-filologicznego, bez tej pewnej drobiazgowości krytycznej, — ale komentarz ściśle naukowy ma większą wartość, gdyż daje możność przekonywania się samodzielnie o autentycznym znaczeniu danej interpretacyi.

Ks. E. Matzel.

Sturm und Steuer. Ein ernstes Wort über einen heiklen Punkt an die studierende Jugend von Dr. Konstantin Holl, Rektor des erzbischöflichen Gymnasialkonvikts zu Rastatt. Erste u. zweite verbesserte Auflage. Str. X, 300. Freiburg 1909. Herder'sche Verlags-handlung.

Grasująca wśród młodzieży epidemia nieczystości, która zatruwa cielesne, intelektualne i moralne zdrowie przyszłości narodu, obudziła z uspienia całe zastępy dorosłych, wierzących i niewierzących, i wywołała żywą reakcyę moralnie zdrowej lub uzdrowionej części społec-

czeństwa. W ostatnich latach rozpisywano się w niebywałych dotąd rozmiarach o kwestyi seksualnej i o środkach zaradczych przeciw chorobie moralnej, do której zastosować można słowa poety, że »narodu duch zatruty to dopiero bólów ból«. Jak w każdej dyskusyi, tak i w tej nie ustrzeżono się przesady. Od jednego skrajnego zapatrywania, sprzeciwiającego się wszelkiemu uświadamianiu płciowemu młodzieży, był tylko jeden krok do innego skrajnego poglądu, który w systematycznym i publicznym uświadamianiu upatruje zbawienie przed coraz jaskrawiej zarysowującą się ruiną młodszych pokoleń. *Extrema se tangunt* — objaw więc ten nie powinien zadziwić nikogo. Nie wchodzę wcale w to, że w pewnych kołach obrona przed rozpustą zapomocą uświadamiania jest tylko ułudnym płaszczykiem, pod którym się kryje propaganda zmysłowości — lecz zaznaczam tylko, że spokojni i poważni wychowawcy oświadczyli się jednogłośnie za prywatnem i okolicznościowem uświadamianiem ze strony rodziców, i to w pewnych tylko warunkach i odpowiedniem stopniowaniu. Katolicycy pedagogowie, podobnie jak po katolicku myślący protestant, prof. Foerster w Zurychu, główny położyli nacisk na wychowanie do czystości, czyli na wyrobienie moralnie silnego charakteru, któryby posiadał odporność wobec budzących się w okresie fizycznego dojrzewania popędów, oraz wobec zewnętrznych ponęt i pokus. Atoli teoretyczne omawiania kwestyi uświadamiania nie mają w praktyce znaczenia, póki nie wprowadza się w czyn ich prawdziwie etycznych rezultatów. Jeśli młodzież ma się hartować i wzmacniać moralnie, to wychowawcy jej muszą praktycznie wskazać środki prowadzące do tego celu i podać je swym wychowankom. W rzeczywistości jest to zadanie trudniejsze od samego skonstatowania faktu, że tego wychowania potrzeba.

W książce, którą chcę omówić, mamy klasyczny wzór, jak do młodzieży należy przemawiać, by zaszczerpić w niej zamięłowanie czystości, i wskazać jej środki do zachowania, względnie odzyskania utraconej cnoty. Dr. Holl pojął głęboko psychologię duszy młodzieńczej, jej zapał do wzniosłych ideałów, ale też jej niedostateczność wobec braku doświadczenia życiowego. Jego zachęty i przestrogi, owiane ciepłem najczystszej miłości, muszą trafić do przekonania każdego szlachetnego młodzieńca i stać się cennymi drogowskazami na całe życie.

Pierwsza część tak ponętnie stawia młodzieży przed oczy istotę, obowiązek, możliwość, nagrodę i pochwałę czystości, że piękność tej cnoty musi obudzić tęsknotę za tym skarbem i zapał do wytrwałej walki w jego obronie. Wzór św. Augustyna, który po moralnych zbo-

czeniu w młodości bohaterską pracą wspinał się po ciernistej drodze zaparcia się do wyżyn tej cnoty, stanowi psychologicznie skuteczne przejście do drugiej części, która bez przesady, jasno i wzniosłe omawia pokusy i grzechy nieczyste wraz z ich strasznymi następstwami dla ciała i duszy. Wyczerpujące wywody autora, poparte licznymi przykładami i cytatami poważnych osobistości, muszą potężnie oddziaływać na umysł i serce młodzieńca, który nie wyzbył się jeszcze ostatniej iskierki szlachetności. Pismo święte, Ojcowie Kościoła, starożytni i nowocześni poeci i pisarze rozmaitych obozów, nauka historii i doświadczenie, wiara i rozum, poczucie czci i piękna, jak w pierwszej części współubiegały się w wychwalaniu czystości, tak tu podnoszą protest przeciw nieczystości i dają wyraz swemu wstrętowi do tego niecnego występkę. W coraz nowych obrazach wyłaniają się przed oczyma duszy ideały czystości i podłość przeciwnych jej wykroczeń, i wciąż nowe i coraz silniejsze pobudki kołatają nieubłagane do serca młodzieńca. Autor tak umiał uderzyć we wszystkie struny duszy, że każde budzące się w miłości własnej »ale« zamiera w zarodku. To też czyta się tę książkę z zapartym oddechem — tak dalece ujmuje swą mozaikową różnitością i powabem.

Poszanowanie czystości i wstręt do grzechu nieczystego — to dopiero początek pracy, to dopiero tło niezbędne, na którym może się zarysować wytrwała walka dla urzeczywistnienia upragnionego ideału. Trzecia więc część ma pouczyć o środkach do zachowania, względnie odzyskania cnoty czystości. Dr. Holl słusznie podkreśla konieczność religijnych pobudek i środków łaski, jakkolwiek w całej rozciągłości uwzględnia i należyście ocenia środki czysto-naturalne. Tę ostatnią część możnaby nazwać treściwym zarysem ascetyki dla młodzieży. Choćbowiem w pierwszym rzędzie odnoszą się do cnoty czystości, to jednak te głęboko uzasadnione wskazówki i rady obejmują całokształt zasad, które są podstawą nieskażonej młodości.

Wypada jeszcze podnieść, że książka d-ra Holla przedstawia się jako owoc głębokiej znajomości duszy młodzieńczej i niezmordowanej pilności w wyszukiwaniu wszystkich pereł myśli Bożej i ludzkiej celem skutecznej zachęty do czynu. Tej zapewne okoliczności, jako i aktualnej potrzebie naszych czasów przypisać należy, że już po roku drugie wydanie okazało się potrzebnem. Że na drugim wydaniu nie skończy się poczytność dziełka, o tem nie można wątpić, bo coraz poważniej ogląda się dziś społeczeństwo, za »silnym sterem wśród burz młodości«.

Ks. E. Matxel.

L'Au-delà d'après ¹ *Msgr. Wilhelm Schneider*. Evêque de Paderborn, adaptation faite sur la 8-me édition allemande par Germain Gagnol du clergè d'Albi. Préface de M. l'Abbé Bizot, Vicaire Général d'Albi. I vol. Paris, Librairie Bloud et & 1907, str. 367.

L'Au-delà, das Jenseits, to, na co właśnie po polsku nie mamy konkretnej nazwy, chyba określenie »tamten świat«, ów świat, którego pełne są nasze myśli i serca, a którego z objawień Pisma św. znamy tylko fundamentalne zarysy. Wiemy, że tam jest nasza przyszłość, że to ocean, na jaki niepowstrzymaną siłą niesie nas strumień ziemskiego życia, wiara uczy nas o niebie, o piekle i czyściu — ale jak wygląda to niebo i piekło, gdzie i jak cierpi się kary czyścowe, to tajemnice, które nam zgon ma dopiero odsłonić. Święci mieli wprawdzie objawienia, ale te nie są »do wierzenia podane«, a niektórzy pisarze pobożni, jak np. ks. biskup Schneider wolą je zupełnie pominąć, aby się oprzeć na Piśmie św., na tradycji, na pojęciach ludzkich w starożytności i poszczególnych ludzi w nowszych czasach. Książka o »Tamnym świecie« jest widocznie nie tylko dla katolików pisana: autor bowiem zużywa dużo czasu i miejsca dla przekonania nas o rzeczach, w które od dzieciństwa wierzymy. Można by całą rozprawę ułożyć z dowodów np. istnienia czyścia — o samym czyściu zaś jest już stosunkowo nie wiele. Główny nacisk w całym dziele położony jest na Świętych obcowanie, na pocieszenie ludzi osieroconych na ziemi zapewnieniem pozagrobowego spotkania, pozagrobowej miłości, a nawet za życia ustawiczną łącznością z tymi, co ich poprzedzili. Łączność ta ma jednak być ściśle duchowa, wykluczająca wszelkie objawienia podpadające pod zmysły. To autor kładzie w czambuł na karb wyobraźni nawet u Świętych, których zdaniem jego, nadmiar umartwień doprowadzał do chorobliwego podniecenia nerwów. Czy nie idzie w tem zbyt daleko z obawy zrażenia pozytywistów i czy nie byłoby słuszniej trzymać się zdania św. Augustyna, który zapytywany w tej kwestyi odpisał, że tak samo nie należy wierzyć we wszystkie opowiadane historye, jak zaprzeczać niektórym stwierdzonym faktom. Nam jakoś więcej przypadają do wiary wizye św. Teresy, św. Benedykta, św. Katarzyny i innych, niż poetyczne opisy z »Boskiej Komedyi« Dantego. Te zaś u ks. Schneidera przytaczane są zbyt często jako dowody — rzekłbyś iż wierzy, że Dante istotnie odbył po tamnym świecie pielgrzymkę. Wogóle razi nieco cytowanie w jednym zdaniu np. przygód Ulissessa i ustępu z św. Pawła, lub odwoływanie się do zdania różnych świeckich, nawet protestanckich filozofów i poetów. Oto

zarzuty, jakie z punktu czytelnika-laika podnieść można. Poza tem, dzieło jest przepiękne. Zda się, że płynie zeń strumień miłosierdzia Bożego, jasny, ciepły, ożywczy, niezamącony zwrotami, jakimi ludzie piszący o dobroci Przedwiecznej zwykli, jednym pociągnięciem pióra burzyć poprzednio wystawiony gmach świętej nadziei. Zapewne miara między doskonałą sprawiedliwością a doskonałym miłosierdziem trudną jest do utrzymania w ludzkim umyśle: kto pisze lub mówi o jednym, zda się zapominać o drugim. Zazwyczaj słucho się kazań o sprawiedliwości, a czyta książki o miłosierdziu i trudno oba tu do ostrych granic posunięte pojęcia w sercu i myśli pogodzić. Trudno też się dziwić, że u niektórych przeważa obawa śmierci, gdy mu poza nią widnieją tylko otechłanie ognia i męki, a obok nich wążutki, ciernisty przesmyk, przez który mała liczba wybranych dusz zdoła z największym trudem przecisnąć się do nieba. Ks. biskup Schneider walczy przeciw temu pojęciu. Zaprzecza tłumaczeniu »małej liczby wybranych« jako »małej liczby zbawionych«, gdyż dzieło Stworzenia byłoby chybiotem, a krew Zbawiciela bezsilną, gdyby tylko garstka nieszczęsnych dzieci adamowych miała wstęp do nieba a materyaliści mieliby słuszość namawiając ludzi, aby nie poświęcali ziemskich korzyści dla życia pozagrobowego, w którym przeciętnego człowieka spotkać ma jedynie sąd i męczarnie. Przestrzegłszy przeciw grzeszeniu w nadziei miłosierdzia Bożego, autor usiłuje wzbudzić największą weń ufność, zwłaszcza w sercach ludzi bolejących nad zgonem istot im drogie. Nie pozwala wątpić o niczyjem zbawieniu, skoro nikt z nas nie jest świadom, co się dzieje między duszą a jej stwórcą w ostatniej chwili; pociesza nawet rodziców, którzy stracili nie z własnej winy dzieci nie odkupione znakiem Chrztu św. twierdząc, że choć nie są przypuszczone przed Boskie oblicze, przecież cieszą się zupełną miarą szczęścia, jaką zdolni są odczuwać i »mogą używać na towarzystwie świętych«. Chce, aby myśl o życiu przyszłem była dla nas w tem życiu nie ciągłym postrachem i zmorą, ale pobudką, otuchą i jasnością, ukazuje całą słodycz prawd Bożych, kończąc zdaniem św. Franciszka Salezego, że ten, »kto z obietnic wiary czerpie tylko groźby i strach, podobien jest człowiekowi, któryby z krzaku róż zbierał same kolce a zostawiał kwiaty«.

Dzieło ks. Schneidera poprzedzone jest przedmową ks. Ribot, której 19 stronnic mogłoby stanowić osobną rozprawę tak piękną, że przy niej błędą niemal zalety samego tekstu. W jednym tylko z ks. Ribot zgodzić się nie można: dzieło ks. Schneidera podzielone

na mnóstwo króciutkich ustępów nie jest zbiorem rozmyślań; dopiero całość przeczytana i przetrawiona z uwagą stanowi grunt, na którym kiełkować może dużo myśli i dużo uczuć wyrosnąć.

T.

L'Immacolata Concezione di Maria Vergine et la chiesa greca ortodossa dissidente. *Mons. N. Marini.* Roma 1908. Str. VI, 172.

Nie po raz pierwszy ukazuje się nazwisko Monsignora Marini na łamach *Przeglądu*; omawiano tu już kazania jego, dzisiaj chcemy znowu zaznajomić czytelników naszych z inną pracą uczonego kapłana, zasługującą rzeczywiście na uważne przeczytanie.

Autor przedstawia bardzo dobrze przeciwieństwo w jakim stoi Kościół schizmatyczny do nauki swoich Ojców, na których się zawsze powołuje, szczególnie jeśli chodzi o odrzucenie jakiegoś dogmatu, sankcjonowanego przez nieomylną powagę Kościoła rzymskiego. Z wielką przenikliwością wnika w literaturę wschodnią, a znając doskonale Ojców greckich, umie z dzieł wybrać świadectwa, które wykazują jasno, co greccy Ojcowie myśleli o Poczęciu Najśw. Maryi Panny. Do tych zdań dołącza swoje objaśnienia, które mówią o doskonałym zrozumieniu greckiego ducha. Nie trzeba szukać w pismach Ojców greckich, (a to samo odnosi się i do łacińskich Ojców) zauważa nasz autor, owej określonej terminologii, jaka się obecnie znachodzi w traktatach teologii dogmatycznej, po tylu wiekach badania tej kwestyi, która naprzód była pobożnem tylko utrzymywaniem, a później dopiero została kościelną definicyą. Mając to przed oczyma jaśniej dopiero zrozumieć można formy używane przez Ojców greckich. Badając w ten sposób myśl główną pisarzy najbliższych erze apostołów, dojdziemy do przekonania, że starali się oni porównać czystą i niewinną Maryę Pannę z Ewą, kiedy i ona jeszcze była czystą i niewinną t. j. nim uwiódł ją wąż piekielny. Ta myśl oznacza, że Marya w swoim poczęciu miała duszę czystą, jak Ewa, gdy wyszła z mistycznego boku Adama, czyli że była bez zmazy, Niepokalanie Poczętą; za przykład może służyć cytat z św. Izydora z Tesaloniki, który autor uczenie bada i wyjaśnia.

O Niepokalanem Poczęciu Najśw. M. P. na szczególniejszą wzmiankę zasługują jeszcze świadectwa św. Jana Damascena, św. Jędrzeja z Krety, św. Sofroniusza z Jerozolimy, św. Izydora z Tesaloniki i innych, które Mons. Marini trafnie wyjaśnia. W tekstach tych mówią Ojcowie o N. Maryi Pannie tak, jak się nie mówi o żadnem stworzeniu, nawet

o aniołach; przenoszą ją nad aniołów i przypisują jej absolutną niewinność.

Książka Mons. Marini byłaby szczególnie pożyteczną dla teologów prawosławnych, którzy wbrew tradycji greckiego Kościoła odrzucają Niepokalane Poczęcie, tem bardziej, że według autora treść tego dogmatu i nawet jego forma doszła do nas właśnie przez tradycję grecką.

J. Aromatissi.

Studien zur Lex Dei. Von Dr. Franz Triebs. Erstes Heft. Das röm. Recht der Lex Dei über das fünfte Gebot des Dekalogs. Str. XVI, 219. — Zweites Heft. Das röm. Recht der Lex Dei über das sechste Gebot des Dekalogs. Str. XII, 133. Herder, Freiburg i. Br.

Rzymskie księgi pokutne różnią się układem materji zasadniczo od ksiąg pokutnych grupy anglo-saksońskiej, natomiast okazują wielkie podobieństwo do t. zw. *Lex Dei* czyli *Mosaicarum et Romanarum legum collatio* tak pod względem układu jak i pod względem treści. Okoliczność ta nasuwała mimowoli przypuszczenie, iż przy układaniu ksiąg pokutnych grupy rzymskiej posługiwano się jakąś formułą tradycyjną, podobną do wspomnianej *Lex Dei* lub nawet z nią identyczną.

Autor tej kompilacji, pochodzącej niewątpliwie z czasów przed r. 438 a ogłoszonej drukiem po raz pierwszy w r. 1573 przez P. Pithou, zestawia i porównuje rzymskie prawo karne z odpowiednimi przepisami Pentateuchu, wykazując zarazem zadziwiającą harmonię pomiędzy postanowieniami prawa rzymskiego a prawa Boskiego. Powody wcale poważne pozwalają domyślać się, że *Lex Dei* miała charakter urzędowy i że powstała z potrzeb praktycznych, w pierwszej linii z potrzeby upewnienia chrześcijan, iż pomiędzy obu prawami zachodzi zupełna zgodność, i że zatem spokojnie stosować się można w porządku prawnym do postanowień prawa rzymskiego.

Dr. Triebs, profesor prawa kościelnego na Uniwersytecie wrocławskim, podjął się obecnie wykazać, o ile rzeczywiście istnieje pewna zależność wyżej wspomnianych ksiąg pokutnych grupy rzymskiej od *Lex Dei*, i o ile ta ostatnia wywarła wpływ na rozwój prawa kościelnego karnego. Chcąc dojść do jak najpewniejszych w tym kierunku rezultatów, uważał jednak za niezbędne, ująć najprzód w system przestępstwa, o których mówi *Lex Dei*, przedstawić ich treść, genezę i rozwój, i tym sposobem uzyskać całokształt i wierny obraz pojęć rzymskich, przekazanych nam w powyższej kompilacji. Dopiero

po załatwieniu się z tą pracą przygotowawczą i jakby fundamentalną, zamierza autor później przystąpić do właściwego zadania, t. j. do badania rozwoju, jakiego odnośnie materje doznawały w dalszych kompilacjach prawa kanonicznego poczynszy od V wieku.

Przed sobą mamy pierwsze dwa zeszyty studyów ks. Triebsa o *Lex Dei*. Świadczą one nie tylko o głębokiej znajomości prawa rzymskiego, ale są też dowodem niepospolitych zdolności autora w traktowaniu materji prawniczych ze stanowiska historycznego. W pierwszym zeszycie zasługuje na szczególniejszą uwagę, co autor mówi o rozwoju pojęć zabójstwa rozmyślnego i przypadkowego (str. 39 sqq.). Szczegółowo zastanawia się tutaj nad pierwotną treścią pojęcia *paricida* i dalszym jego rozwojem (str. 41—51). W stosunkach politycznych i socyalnych, jakie panowały u Rzymian w czasie poprzedzającym tak zwaną *lex Numae*, znajduje on potwierdzenie dziś powszechnie przyjętego zdania, iż słowo *paricida* znaczyło pierwotnie tyle co *pascida* (od indogermańskiego *pāsa* = Sippe, *pasō* = zur Sippe gehörig), i że nie pochodzi od *patrem-caedere* ani od *parem-caedere*. Gruntownie i jasno rozwija autor także pojęcia *doli* i *culpa*e (str. 103 sqq.), a po części nowe światło rzucają badania jego na *actio iniuriarum* (str. 140 sqq.). Z drugiego zaś zeszytu należą niewątpliwie do najlepszych partyi: rzecz o warunkach, pod którymi prawo rzymskie usprawiedliwiał zabójstwo cudzołożnika (str. 44 sqq.), badania autora nad pojęciem i historją przestępstwa homoseksualnego, *stuprum* (str. 68 sqq.), wreszcie przedstawienie rozwoju pojęć *incestus* i *incestae nuptiae* (str. 81 sqq.).

Pierwsze te studya d-ra Triebsa o *Lex Dei* pozwalają nam spodziewać się, iż autor w dalszym ciągu wykaże w sposób dobitny i przekonujący, jak rzymskie pojęcia prawnicze przeszły do prawa kościelnego i wraz z ideami germańskimi i chrześcijańskimi wytworzyły przestępstwa kanoniczne. Tem samem też dzieło Triebsa stanowić będzie ważny i cenny przyczynek do historii prawa kościelnego karnego.

Ks. J. Roth.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Monumenta ecclesiastica petropolitana.
Prof. Michael Godlewski. Zesz. II.
 Petersburg 1907.

Profesor historii kościelnej w akademii duchownej petersburskiej, ks. Godlewski, zajął się skrzętnie wyszukiwaniem w archiwach rządowych materiałów, dotyczących historii Kościoła katolickiego w Rosyi na przełomie stuleci XVIII i XIX. Wydobyte materiały ogłasza w rocznikach akademickich, a następnie w osobnych odbitkach. Obecnie mam pod ręką zeszyt II-gi; zeszyt I-szy ukazał się dwa lata temu. Oba zeszyty zawierają cenne dokumenty w języku rosyjskim, francuskim i polskim, razem w liczbie 22. Niektóre z nich nigdzie dotąd nie były ogłaszane. Do ciekawszych należą: bulle papieskie, dotyczące metropolii mohylowskiej, papiery arcybiskupa Sierżeniewicza jako to: jego testament, reguły ułożone przezeń dla seminarium duchownego, rozmaite projekty rządowych czynników, dotyczące spraw kościelnych, korespondencya między hr. Nesselrode i posłem rosyjskim w Rzymie bar. Tuyll w sprawie wypędzenia Jezuitów z Petersburga w r. 1815. Zeszyt drugi ozdobiony portretem Sierżeniewicza. Oba zeszyty wydane luksusowo na wybornym papierze i opatrzone przypiskami prof. Godlewskiego. *I. U.*

Polski głosiciel stanu natury z początku XVIII w. *Tadeusz Sinko.* W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1908. Str. 70.

Tym »głosicielem«, który na dzień się lat przed rozprawą J. J. Rousseau, wydaną w Paryżu w r. 1750 p. t. *Discours couronné par l'Aca-*

démie de Dijon, apostołował w Polsce za powrotem do stanu natury, jest łaciński poeta z pierwszej połowy XVIII w. Antoni Łódzia Poniński, wojewoda poznański, głównie w utworze: *Sarmatides seu Satyrae*, wydanym w r. 1741 anonimowo jako poemat *cuiusdam equitis Poloni*. Prof. Sinko wykazuje jednak znaczną zawisłość Ponińskiego od poglądów poety angielskiego Pope'a i humanisty Palingeniusza. Nie brak też myśli zapożyczonych od Lukrecyusza i Lukiana. Oto w streszczeniu zasadnicze poglądy Ponińskiego w I satyrze. Na zapytanie: skąd się bierze zepsucie wśród ludzi? odpowiada Poniński: stąd, że nie słuchamy głosu natury, przemawiającej do nas przez roztropność. Jeśli zbytek osłabi w nas roztropność, »kiedy sztuka i polor zabiją naturalność, żądze biorą górę nad roztropnością, a na świecie panoszy się pozór, kryjący moralną przewrotność« (str. 20). Fizyologiczną podstawę skłonności ludzi do złego widzi P. »we krwi i rasie. Skażenie czystej krwi przez »nierówne« związki (mażeńskie) powoduje zepsucie obyczajów« (str. 24).

Dwie inne satyry tego może najznakomitszego łacińskiego poety w. XVIII t. j. *De religione* i *De educatione* świadczą wyraźnie o tem, że już na wstępie XVIII w. w Polsce znano wszystkie niemal idee, jakie później przypisywano głównie Rusowski, Wolterowi i encyklopedystom. Inne utwory Ponińskiego cechuje dworacka służalczość względem Augusta II, niesmaczność i Boccaciowskie lubowanie się w rozwiązłych facecjach. *I. N.*

Epos. Tom I. Epos babiloński: Enuma Eliš. Brody. Nakład Feliksa Westa. 1909.

Bardzo pięknego i zakrojonego na dłuższy przeciąg czasu wydawnictwa podjęła się zaszczytnie znana firma Feliksa Westa w Brodach. Nowe to wydawnictwo p. t. »Epos«, ma objąć najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach i wyciągach. Plan szczegółowy tego wydawnictwa zapowiada z wieków starożytnych epopeje babilońskie, egipskie, indyjskie, greckie i rzymskie. Z wieków średnich dane będą najważniejsze epopeje w liczbie dziesięciu, z czasów nowożytnych »Boska komedia«, Ariosto, Tasso, Arancana, Luzyada, »Raj utracony«, »Messyada« i »Henryada«. Z działu »Słowiańszczyzna«, dane będą epopeje serbskie, czeskie, rosyjskie i polskie. Z wieku XIX Chateaubriand, Byron, Goethe, W. Hugo, Quinet, Teyner, Müller, Longfellow i Juliusz Wolf. W dziale »Uzupełnienia« znajdziemy epos armeński, gruziński, fiński, węgierskie, japońskie, meksykańskie i polinezyjskie. Redakcyę tego wydawnictwa powierzył p. West znannemu pisarzowi A. Langemu.

Z tego pięknego wydawnictwa ukazał się właśnie tom pierwszy. Jest to epopeja babilońska, a raczej przekład wyjątków z tekstów religijno-poetyckich odnalezionych w sławnej bibliotece cegiełek Sardanapala. Pomieszczono tu wyjątki z trzynastu utworów, poprzedzono je wstępem, dodano objaśnienia i uzupełniono słowniczkiem wyrazów obcych czytelnikowi. Przekładu dokonał z pietyzmem sam p. A. Lange.

Wobec tego życzyć należy firmie p. Westa, by wydawnictwo jego znalazło jak najszersze koła odbiorców, by znalazło się we wszystkich biblio-

tekach szkolnych, bo dotąd jeszcze wydawnictwo, w ten sposób pojęte, jest u nas czynem obywatelskim a nie rentownem przedsiębiorstwem.

A. St.

Wyprawa na Litwę według zapisków hr. Macieja Mielżyńskiego. Spółka Wydawnicza. Kraków 1908.

Broszurka licząca stron 68 nie jest nowością lecz odświeżeniem zapomnianych już może zapisków Mielżyńskiego, które wyszły w r. 1833. Opisuje ona wyprawę generała Chłapowskiego z notatek M. Mielżyńskiego, jego towarzysza broni i przedstawia charakter jego w lepszym świetle, aniżeli dr. Spazier w »Wyprawie na Litwę gen. Dembińskiego« według zapisków tegoż generała. Dziełko poprzedzone jest krótkim życiorysem M. Mielżyńskiego.

St. B.

The scholar's daughter by *Beatrice Harraden*. I vol. Tauchnitz ed. 1906.

Jest to nie tyle powieść co ładny obrazek przedstawiający życie młodej dziewczyny w wyłącznem otoczeniu książek i uczonych. Matka jej, żrąca pedantycznym charakterem męża, uciekła z domu w dwa lata po ślubie i odtąd profesor Grant pogrążył się w nauce; zakupiwszy stary dwór na wsi załudnił go sekretarzami współpracującymi z nim nad monumentalnym słownikiem encyklopedycznym, i tu, nie dopuszczając do domu żadnej kobiety, wychował córkę. Geraldyna wykołyszana przez profesorów, znająca miasto zabawek matematyczne narzędzia, przytem trzymająca moralnie bardzo daleko od ojca, zamrożonego »na kamieniu«, pociesza się czułością innych uczonych, z których wytwarza sobie istnych niewol-

ników. Całem sercem przytem, całą swoją istotą dąży do swobody, do świeżego powietrza, do normalnego życia. Uosobienie onego przedstawia jej się niebawem w postaci młodego osiedleńca, *squatter*'a z Australii, przywożącego od dawnego przyjaciela jej rodziców legat dla jej ojca i — matki. Wtedy dopiero dowiaduje się, że matka żyje i znów przypadkiem odkrywa ją pod przybranem nazwiskiem w osobie słynnej aktorki. Rodzice jej spotykają się i autorka pozwala nam domyślać się pogodzenia. Wyraźnie brak ostatego rozdziału, dlatego może, iż trudno było ułożyć *modus vivendi* między gwiazdą teatralną a mółem książkowym. Właściwie fabuła niema wiele sensu ani prawdopodobieństwa, ale obrazek miły i świeży, czyta się przyjemnie i lekko.

T. W.

The woman's victory and other stories
by *Maarten Maartens*. II vol.
Tauchnitz ed. 1906.

Nazwisko autora bardzo znane i obiecujące, druk miły, pierwsze wrażenie ponętne. Niejeden rad krótkim powiastkom gdy mu znużenie lub troska nie zostawiają dość przytomności umysłu na zawilsze czytanie. Ale tu powiastki są blade, czasem tak subtelne, że się trudno dopatrzeć przewodniej myśli autora, czasem znów rozpoczęte dobrze a zakończone słabo. Pod względem moralnym niema ich co chwalić ni ganić, bo właściwie tylko jeden silniejszy rys można w nich zaznaczyć a tym jest nienawiść do plutokracji żydowskiej. Gdy

autor wpadnie na ten temat — a kilka powiastek wkoło niego się obraca — styl jego nagle nabiera barwności i siły, znać, iż silnemu uczuciu nie-trudno dobrać wyrazów. Zauważyć jednak należy, iż nienawiść ta słabnie wobec żon giełdowych baronów; tak np. w powiastce *Lord Venetia* piękna a szlachetna córka Izraela wyrzuca w głos mężowi jego kodeksem nieobjęte zbrodnie i nie chcąc nadal jeść krzywdą i krwią ludzką okupionego chleba, odchodzi, by własną pracą zarabiać na życie: *plus beau que nature*. Ze wszystkich skarbów zabiera tylko na rękę ulubionego pieska. Podobnie inna heroina wychodzi z kotkiem w objęciach, aby — wbrew woli ojca, który ją wydziedzicza — poślubić ubogiego człowieka, któremu była odmówiła, gdy był bardzo bogatym. Dziwna rzecz, iż trzeba czytać nowelki p. Maarten Maartens, aby z podobną pogardą mamony się spotkać! Udany jest obrazek *The drop of blood* (Kropla krwi) opisujący wewnętrzną walkę młodego autora idealisty z wymogami wydawcy żądającego abdykacyi z tych ideałów dla zastosowania się do zwyrodniałych gustów grubszej publiki. Kochająca żona popiera go dzielnie w oporze aż wkońcu ciężka choroba dziecka przełamuje ich stałość. Manuskrypt mający zapłacić za lekarstwa i żywność, wędruje do wydawcy, który ma sam wypełnić rolę kata — przekształcenia końcowego zwycięstwa cnoty, na niecnotliwe, namiętne i efektowne *finale*.

T. W.

przeciw kandydaturze Medy, Rodina i dwudziestu czterech posłów z Lombardyi, Emilii, Piemontu i Wenecyi, stawia twierdzenie: »Chcąc zostać deputowanym, trzeba przestać być katolikiem«.

O ile to zapatrywanie wyraża pogląd Watykanu, tego na razie stwierdzić nie można; do wyjaśnienia jednak rzeczy ono się nie przyczynia, stąd też w obozie katolickim ciągle wahanie się.

Rodino w Neapolu cofnął swoją kandydaturę po artykule ogłoszonym w *Osservatore*; Meda twierdzi, że jego program schodzi się z programem innych kandydatów-katolików i że jego kandydatura odpowiada we wszystkim encyklice *Il fermo proposito*; katolicy rzymscy, zgromadzeni na wiecu odbytym pod hasłami *Unione elettorale*, rozeszli się bez porozumienia.

Z większą świadomością działa tylko *Unione elettorale* w swej odezwie z 21 lutego. Przypomina ona ciężący na katolikach obowiązek brania udziału w wyborach w granicach zakreslonych przez prawo a dopuszczalnych przez władzę kościelną. Gdy ta na udział we wyborach się zgodzi, trzeba wybadać usposobienie kandydata i otrzymać stanowcze oświadczenie, że nie tylko nie pozwoli na program antykatolicki i uchwalanie antyreligijnych ustaw w parlamencie, ale przeciwnie, popierać będzie ten program religijny i socyalny, który jest programem akcji włoskich katolików. Ten program streszcza *Unione* w następujących punktach: prawo narodu do wykładów religii w publicznych szkołach; wolność nauki wobec dzisiejszej zeświecczonej szkoły państwowej; zniesienie wyjątkowych i utrudniających praw dla szkół prywatnych; program socyalny, zawarty w ewangelii i w odezwach papieży i przeprowadzenie tegoż na drodze sprawiedliwości i jedności.

Ciekawem, choć bynajmniej nie niespodziewanem, jest stanowisko ks. Murrie'go. Zachęcony przez chrześcijańsko-socyalne stronnictwo postawił swoją kandydaturę w Montegiorgio pod tym jednak warunkiem, jeżeli za nim pójda socjaliści, którzy w tym okręgu liczą około czterystu członków. Był to dla socyalistów twardy orzech do zgryzienia a generalny wydział stronnictwa nie chciał tej »tak delikatnej kwestyi« rozwiązywać, lecz pozostawił zupełną wolność socyalistom z Montegiorgio. Ci postanowili iść

za ks. Murrim a proklamacyę wyborczą chrześcijańskich demokratów, ogłoszoną w *Azione Democratica* i zwalczającą stosunek rządu do klerykałów, wydrukował ze słowami uznania rzymski *Avanti*, dodając od siebie, że chociaż Murri różni się przez swoje zapatrywania religijne od poglądów socyalistycznych, to jednak kandydatura jego nosi charakter szczerze demokratyczny i antyklerykalny, i dlatego, jako bratnia, popieraną być winna.

Tymczasem pojawiła się w Montegiorgio nowa kandydatura liberalno-radykalnego adwokata Vettori'ego. To *intermezzo*, które swoją drogą wykazało bezpodstawność wszelkich nadziei Vettori'ego, dało jednak ks. Murri'emu okazyę do bliższego wyłuszczenia swojego programu. Obiecał dużo socyalistom, przyrzekł, że w parlamencie przyłączy się do najsłabszej lewicy, ponieważ ta tylko odpowiada wymaganiom teraźniejszości, podczas gdy stosunki innych partyi do klerykałów są źródłem wszelkiego zła. Dlatego też cieszy go, że jego kandydatura znalazła uznanie socyalistów. W życiu politycznem jest demokratą, w duszy chrześcijaninem. Swoją suknię kapłańską zatrzyma tak długo, jak długo będzie mógł wierzyć w ten swój sen, który rozjaśniał pierwsze lata jego życia.

Socjaliści nie szczędzili ks. Murri'emu oklasków, boć zrozumieli chyba dobrze, że z takimi zapatrywaniami trudno będzie w Kościele się utrzymać.

Stanowisko, jakie w roku zeszłym zajął rząd angielski wobec kongresu eucharystycznego, zakazując uroczystej procesyi, przypomniało katolikom wyjątkowe prawa, przeciwko nim w Anglii istniejące i pobudziło do silnej akcji przeciwko tymże. W tej walce o równouprawnienie znaleźli katolicy silnego sprzymierzeńca w Izbie lordów, która wprawdzie nie ze szczególniejszej sympatyi, ale z opozycyi przeciwko nieprzychylnemu dla Izby rządowi, idzie im często na rękę. Dążąc do usunięcia złego przez parlament i Izbę lordów, przygotowują równocześnie katolicy angielscy teren przez wiece i zgromadzenia, na których, trzeba to przyznać, umieją używać akcentów, przemawiających i do duszy anglikańskiej.

Z ruchu wśród
katolików
angielskich

Kilka takich niezwykłych zgromadzeń odbyło się w ostatnich tygodniach a znów wśród nich wyróżniało się czterdzieste piąte zgromadzenie katolików Birminghamu, na którym przemawiał biskup z Northampton. Przyjście do skutku kongresu na ziemi angielskiej napawało wszystkich uczestników dumą, wstyd jednak ogarnął, i nie tylko katolików, wobec znanego rozporządzenia policyi. »Prawo, na które policya się powołała, jest wątpliwej wartości, odszukane w pyle zapomnianego ustawodawstwa, mające na celu przeszkadzać rozwojowi katolicyzmu i tylko katolicyzmu. Musi ono być zniesione. Domaga się tego opinia publiczna przez prasę; domaga się honor Anglii, w oczach całego świata poniżonej; domaga się tego prawo do równomiernego traktowania ze strony katolików«. Zwraça się biskup dalej przeciwko przysiędze koronacyjnej, która świadomie obraża i poniża katolików. Niema ona sobie równej w całym świecie, a jeżeli naród, który nauczycieli religii zwalnia od przysięgi wierności i wytrwania w wierze, mimo to taką przysięgę nakłada na króla, to powinna być ona przynajmniej wolna od zwrotów obrażających dwanaście milionów wiernych poddanych angielskiego monarchy.

Niemniej ważnem było zgromadzenie katolickich robotników w Hull, na którym przemawiał arcybiskup Westminsteru; dr. Bourne, przeciwko usiłowaniom rządu, zdążającym do usunięcia religii ze szkół i drugie zgromadzenie stowarzyszenia *Roman Catholic Federation*. To ostatnie miało na celu połączenie wszystkich katolickich związków angielskich w jedno, aby bronić swych interesów i, jak mówił arcybiskup, zbliża się chwila, w której południe i północ, wschód i zachód zleją się, by stanąć w obronie zagrożonych praw.

Kilka dni później zebrali się przedstawiciele katolickich stowarzyszeń Anglii i Wales'u w Londynie, gdzie obszerniej tę samą sprawę omawiano a plany i propozycye oddano do przejrzenia dr. Bourne.

Rząd sam, przeciwko któremu te zgromadzenia się zwracały, znajduje się także w niebardzo miłym położeniu. Mowa tronowa z 16 lutego nie wspomina już ani o zniesieniu ustawy szkolnej ani o głośno i szeroko zapowiadanej walce przeciwko Izbie lordów,

występuje za to z projektem rozdzielenia Kościoła we Wales od państwa. Ponieważ jednak wszystkim wiadomo, że takiej ustawy Izba lordów w żadnym wypadku nie uchwali, uważają ów projekt jedynie za manewr, służący do zjednania sobie stronników Lloyd George'a.

Wogóle w obronie wiary w Anglii, wyjąwszy katolików, stają raczej świeccy, jak duchowni. Niedawno przecież dopiero anglikański arcybiskup Westminsteru ukarał podwładnego sobie duchownego za to, że odmówił Komunii św. pewnej kobiecie. Chodziło tu o kobietę, która wzięła cywilny rozwód i wstąpiła w powtórne związki małżeńskie, chociaż pierwszy mąż jeszcze żył. Tę rację uznał wikary za wystarczającą, by odmówić jej Komunii św., nie tak jednak sądził arcybiskup. Krok duchownego spotkał się z sympatją społeczeństwa, które publicznym adresem podziękowało mu za obronę praw Bożych, a nawet protestancka *Church Times* stanęła po jego stronie przeciw arcybiskupowi.

Początki Jeszcze sprawa aneksyi Bośni i Hercegowiny nie ze-
 agitacyi szła z porządku dziennego i obawą napawa szerokie
 protestanckiej w Bośni. koła, a już znani w Austrii agitatorzy za ruchem
 Precz z Rzymem, rozpoczęli zarzucać swe sieci na oba przy-
 łączone kraje.

Pastor Hochstätter z Neunkirchen przesłał do centralnego związku ewangelizacyjnego w Niemczech referat, wykazujący, że interes Kościoła ewangelickiego wymaga tego, by rozpocząć agitację w Bośni i Hercegowinie, tem bardziej, że przy wyborach do przyszłego sejmu, decydującym będzie nie narodowy, lecz religijny pierwiastek.

Inny pastor wygotował już swoje sprawozdanie dla Związku ewangelickiego w Niemczech. Według niego stosunki panujące w obu przyłączonych krajach, bardzo sprzyjają rozwojowi ewangelii. Rząd austriacki nie będzie wprowadzić ruchu wspomagał, ale jego znaczenie nie jest w anektowanych ziemiach na szczęście wielkiem; tem więcej spodziewać się można po rządzie węgierskim. Katolicy bośniaccy, stojący pod komendą »fanatycznych« Franciszkanów, są pionierami ducha austriackiego; jest

więc obowiązkiem Węgrów zjednać sobie intelligencyę a ten cel osiągną oni przez pracę ewangelizacyjną. Nietrudną również rzeczą będzie zjednać sobie urzędników Niemców; da się to łatwo uskutecznić przez urządzenie wieczorków familijnych. W Serajewie stanie niezadługo za protekcyą i staraniem urzędników Węgrów kościół protestancki a w Biału szkoła.

Ponieważ z protestantami zawsze prawie idzie łoża, nic więc dziwnego, że jak donosi organ austriackich wolnomularzy *Zirkel* z 2 stycznia, wielka łoża węgierska stara się już od dawna o otwarcie łoży i dla Bośni.

Duchy pokrewne, których celem nie dobro ogólne, ale osobiste a przynajmniej sekciarskie korzyści, zawsze i wszędzie w swym pochodzie spotykają się.

Sekciarskie
knowania
we Włoszech Dziwny ból chwytła za serce na widok, jak zwyrodniała czy też na bezdroża schodząca natura ludzka, nie może nawet uszanować cudzego bólu, lecz korzysta z nieszczęścia drugich dla swych brudnych celów. Grozą i głęboką litością przejmująca katastrofa sycylijska nie powstrzymała bandytów od łupieży, innych od defraudacyi, nie powstrzymuje i dzisiaj różnych włoskich sekciarzy od zarzucania swych sieci na dusze katolickich sierót, ofiar trzęsienia ziemi.

Chciał się zaopiekować osieroconemi dziećmi francuski kapłan, Santol, i ofiarował w swoich ochronkach przytułek dla całego tysiąca tychże, poręczając przytem ich wychowanie w duchu narodowym włoskim bez jakiegokolwiek propagandy na korzyść francuszczyzny — rząd odmówił.

Ksiądz Cottafavi i Don Orione otworzyli ochronkę dla dzieci na papieskim okręcie Catalana; skutkiem trudności czynionych ze strony rządu, cała prawie akcja spełzła na niczem.

Pewna dama z arystokracji rzymskiej, donosi *Corrispondenza Romana*, postanowiła przyjąć na wychowanie troje osieroconych dzieci, z wielkim trudem otrzymała na to pozwolenie rządu i... dowiedziała się, że dzieci oddano już do ochrony Metodystów — a były to dzieci katolickie.

W celu zajęcia się sierotami zawiązało się, potwierdzone

przez rząd, stowarzyszenie *Opera nazionale di Patronato Regina Elena*. Pierwszą jego czynnością było wydanie sześćdziesięciu katolickich sierót w ręce Waldensów — przy pomocy rządu przewieziono te dzieci do Florencyi. I odtąd, wspierana przez rząd, rozpoczyna się brzydka góńtwa za katolickimi osieroceniem dziećmi ze strony sekty Waldensów, Metodystów i członków stowarzyszenia biblijnego, góńtwa tem więcej ułatwiona, że na czele komitetu neapolitańskiego, utworzonego dla niesienia pomocy ofiarom katastrofy, stoi Żydówka Levi, socyalistka Labriola i członek Waldensów, pani Turin.

Komitety nie cofają się nawet przed siłą i przemocą. I tak donosi np. *Corriere d'Italia*, że dwie nieletnie siostry, Santinę i Elwirę Campolò z Reggio, umieszczone chwilowo w jednym z rzymskich szpitali, zamknięto i trzymano później wbrew ich woli i woli ich zajętego w Rzymie brata, w pewnym zakładzie Metodystów.

Katolicy i katolickie jak i liberalne pisma np. *Mattino* i *Giorno* zaprotestowali przeciwko takiemu postępowaniu a różne sekty poczuły się wreszcie do obowiązku zdementowania twierdzeń katolickich. Niestety jednak nikt tych *dementi* nie brał na seryo, gdyż cyfry, daty i nazwiska osób i miejscowości, podane przez katolickie dzienniki, silniej mówiły, jak głoślowne twierdzenia.

Uznał nakoniec anormalność położenia sam rząd, gdyż, jak donosi turyńskie *Momento*, prezydent ministrów Giolitti przyrzekł przedstawicielowi katolików na audyencyi, że podobne sceny więcej się nie powtórzą a dodał równocześnie, że rząd nic o podobnem postępowaniu komitetów nie wiedział. Temu ostatniemu trudno wprawdzie uwierzyć, w każdym razie dziwne wrażenie wywołuje ta pogoń za duszami w świetle dzisiejszych haseł o tolerancyi i równouprawnieniu wyznań.

Jeszcze sprawa Haeckla Po ostatniem wystąpieniu d-ra Brossa przeciwko Haecklowi, zaczyna sława tego »poważnego uczonego«, jak go jeden z krakowskich dzienników niedawno nazwał, z dnia na dzień maleć i gasnąć.

Od czterdziestu lat konstruował Haeckel »rodowód« człowieka a czynił to coraz dokładniej i szczegółowiej. Jego *Generelle Morphologie* z 1866 r. wyliczyła 10 przodków człowieka z pośród kregowców; *Anthropologie* z r. 1874 odkryła ich 22; w roku zaś 1898 utworzyło już 30 przodków osławioną *Progonotaxis*. Skamieliny i wykopaliska nie wykryły wprawdzie ani jednej resztki tych przejściowych form, naukę jednak zastąpiła wyobraźnia a niedługo potem fałszerstwo.

Aby bowiem teorię swoją przeprowadzić, wymyślał Haeckel obrazki embryonów lub dowolnie je zmieniał; wpadł nawet na ten pomysł, że jeden i ten sam obrazek umieszczał w różnych miejscach książki, jako embryony różnych stworzeń i kazał podziwiać ich zupełną równość. Dlatego już uczeni fachowi około 1860 r. nazwali Haeckla fałszerzem i człowiekiem, którego na seryo brać nie można. To wszystko nie powstrzymywało profesora z Jeny od dalszych kroków na tej samej drodze, aż kres, zdaje się ostateczny, położyły mu wyjaśnienia doktora Brassa.

Zabrali wreszcie w monachijskiej *Allgemeine Zeitung* głos dyrektorzy niemieckiego *Związku Kepplera*. »W odpowiedzi profesora d-ra E. Haeckla na zarzuty stawiane przez d-ra Brassa, piszą, znajduje się jeden punkt, który silniej jak dotychczas musi być podkreślony. Prof. Haeckel przyznaje bowiem, że fałszował obrazki embryonów w tem znaczeniu, jak to dr. Brass rozumie, że więc obrazki znalezione u zmarłych badaczy do wymagań swojej hipotezy przekształcał i nadawał im czasami nawet inne nazwiska. Tak np. pozbawił embryon ogoniastego Makaka ogona i nazwał go Gibbonem. Prof. Haeckel twierdzi, że w ten, przez d-ra Brassa napiętnowany a przez niego używany sposób, postępowały setki badaczy. Tak jednak obniża on niemożliwie godność wiedzy i pozbawia ją wszelkiej powagi w szeregach ludu. Naszemu *Związkowi*, którego celem jest krzewienie znajomości przyrody w szerokich sferach, zależy wiele na tem, aby zaufanie, z jakim ogół do nas się zwraca, nie zostało zachwiane. Smutne byłoby następstwa — dziś ich nawet przewidzieć nie możemy — gdyby w szerokich sferach naszego narodu utarło się przekonanie, że podawane im przez nas w piśmie lub obrazach rezultaty badań

są w wielkiej części tylko tworam i wyobraźni i takimi zostaną mimo Haeckla „porównawczej syntezy”. Jesteśmy przekonani, że niemieccy przyrodnicy znajdą dość środków i dróg, aby się bronić przeciwko temu ciężkiemu zarzutowi, jaki im Haeckel w twarz rzuca. My z naszej strony żądamy publicznie, aby prof. Haeckel wyjawiał nazwiska tych badaczy, którzy podobnie, jak on, zawinił. Ponieważ chodzi tu o niesłychanie ważną sprawę, dotyczącą dobra publicznego, żądamy, aby prof. Haeckel jasno i otwarcie odpowiedział i podał też nazwiska jeszcze żyjących badaczy, którzyby się bronić mogli. Jeżeli dalej milczeć będzie, wykaże, że bezpodstawnie dobre imię nauk przyrodniczych poniżył.

Może jeszcze więcej stanowczo, choć spokojnie, sformułował swoje zarzuty we *Frankfurter Zeitung* dr. Teichmann, sam Haecklista i wyznawca monistycznego poglądu na świat. Potępia on narażanie dzieł naukowych na podejrzenie fałszerstw, i stwierdza, że odpowiedź Haeckla nie może zadowolnić. »Autor popularno-naukowych dzieł ma wprawdzie prawo przedstawiać swe wywody i ilustracye tak, aby je przeciętny czytelnik mógł zrozumieć. Może rzeczy drugorzędne pominąć a istotne podkreślić, może tworzyć schematy a nawet konstrukcyje. Ale musi powiedzieć, co uczynił i tego prawa pominąć mu nie wolno«. Ostatecznie poczynione przez autora zmiany, choćby sam na nie zwracał uwagę, nie mają żadnego celu, jeżeli będą sięgały tak daleko, jak zmiany poczynione przez Haeckla.

Nie przypuszczał pewnie nigdy profesor z Jeny, że na starość z takimi, niestety słusznymi, spotka się zarzutami. Ta polemika otworzy może jednak oczy tym, którzy dziś jeszcze stoją pod urokiem Haeckla.

Z okazji
protestu
lwowskiego.

Pewien odłam naszej prasy przeszedł, jakby nad zwykłą karczemną burdą, do porządku dziennego nad niespodziewanym a pewnie i niepożądanym protestem przeciwko przedstawionej w teatrze lwowskim sztuce Profesya pani Warren. Trudno nam w to uwierzyć, żeby ten protest, świadczący o niezwykłej odwadze, o gorącym, szlachetnem sercu i zrozumieniu obowiązku, osiągnął skutek — smutnem jest, że był

on potrzebny. Głoszono i, głosi się dziś jeszcze, że teatr ma być szkołą umysłu i szkołą serca, to też tem bardziej boli, gdy teatr staje się szkołą podobną do tej, którą znaleźć można w domach, uprawiających zawodowo profesyą pani Warren. Żal kierownika teatru, który tak prostej rzeczy zrozumieć nie potrafi i zamiast pereł podaje błoto, choć może mniejszą jego wina od winy tych, co podobnych rzeczy żądają; i dlatego gorzki przedewszystkiem żal tego społeczeństwa, co to w przepojonych łzami i boleścią czasach, takiej szuka rozrywki a nie ma ani na tyle odwagi ani wyrobienia moralnego, żeby brud płynący ze sceny, nazwać brudem i przeciw niemu zaprotestować.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z piśmiennictwa peryodycznego.

Ateneum kapłańskie. — Unitas. — Ruch chrześc. społ. — Postęp. — Przebudzenie. — Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski. — Gazeta kościelna. — Wiara. — Głos katolicki. — Głos narodu. — Straż polska. — Odrodzenie. — Kraj.

W bieżącym roku 1909 powstało u nas kilka nowych czasopism.

Na pierwszym miejscu wypada wymienić *Ateneum kapłańskie*, wychodzące we Włocławku, pod kierunkiem profesorów włocławskiego seminaryum duchownego.

Nie pierwszy to przykład działalności literackiej i naukowej dają nam profesorowie włocławscy, bo nie łatwo które z polskich seminaryów duchownych może się poszczycić taką ruchliwością na polu wydawnictw z zakresu teologii, jak Włocławek. *Ateneum* jest uzupełnieniem i uwieńczeniem tego, w zakresie czysto naukowym. Numer pierwszy daje nam rozprawy księdza arcybiskupa Teodorowicza (»Pius X a Leon XIII«), ks. rektora Gabryła (»Pojęcie stwarzania, fakt stworzenia«), ks. d-ra Trzeciaka (»Prądy religijno-społeczne u Żydów za czasów Chrystusa Pana«), ks. d-ra Zimmermanna (»O warunkach powstania i rozwoju katolickich towarzystw robotniczych«), ks. d-ra Radziszewskiego (»Geneza religii«), ks. Kruszyńskiego (»Najnowsze odkrycia biblijne«).

Z zakresu prawa i liturgii pisze ks. Fulman o postanowieniach Stolicy św. w r. 1908 i ks. Godlewski o kongregacjach dekanalnych.

Sprawy kościelne, przegląd naukowy, a nadewszystko znakomita kronika i sprawozdanie z ruchu, są nieocenionemi wprost informacyami.

Poradnik zastosowany, jak dotychczas, do potrzeb li tylko kapłańskich, recenzje i bibliografia (trochę za szczupłą) uzupełniają treść. Pierwszy zeszyt zapowiadany długo, a należycie reklamowany, przedstawia się bardzo dobrze, i sądząc po nim, *Ateneum* powinno stanąć na czele naszych pism teologicznych. Jedno tylko możnaby zarzucić. Korektor takiego pisma powinien większą zwracać uwagę, by przynajmniej w podawaniu nazwisk nie popełniać błędów (Galleranigo nie Gallevanigo, str. 74); nie opuszczać tytułu *ks.* przy jednym nazwisku, gdy przy wszystkich innych go się daje; lub dokładnie skontrolować manuskrypt w tak ważnej np. rzeczy, jak w recenzji *La chiesa Russa*, gdzie napisano, że książka ta »jest dla nas a i dla całego Zachodu, prawdziwem objawieniem« (str. 90). Albo też — co może prawdopodobniejsze — redakcja nie chciała tutaj robić użytku z prawa »redakcyjnego kosza« a co najmniej »czerwonego ołówka«, którego jednak użyćby należało przy słowach »...podziwiać ...trafność i przedmiotowość sądu autora« (str. 90). »Dowiadujemy się, że w Rosyi jest 70 tys. popów, ...że profesorowie akademii schizmatycznych to przeważnie święcy, ...że popi to nieuki, ...że w roku 1905 było tyle a tyle kleru i t. d. i t. d. Są to rzeczy będące może niekoniecznie »objawieniem«.

Tyle o pierwszym zeszycie *Ateneum*. Drugi jeszcze nie nadszedł.

* * *

Nie tak okazałe przedstawiają się pierwsze zeszyty *Unitas*, miesięcznika kościelnego, dla duchowieństwa archidiecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej. Pismo to powstało po upadłym (niestety) przed rokiem *Przeglądzie Kościelnym*, a zmieniło swój kierunek o tyle, że wzięło sobie za cel wybitnie praktyczne zastosowanie dla życia kapłańskiego, w guście *Kwartalnika teologicznego*, wychodzącego w Lincu. Nie brak jednak i rozpraw obszerniejszych, jak np. »Kościół a państwo« (ks. Kantak) lub o organizacyi duchowieństwa czeskiego (ks. Królikowski), »Septuagesima w ascezie i liturgii«, lub rozpraw historycznych z dziejów archid. gnieźnieńskiej (ks. ks. Miaskowski, Bajerowicz, Adamski), przeważna jednak część każdego zeszytu, to zapiski niezbędne dla duchowieństwa parafialnego: z zakresu liturgiki, pastoralnej teologii lub prawa kanonicznego. Ponieważ *Unitas* jest organem specjalnie miejscowym, przeto niezbędną rzeczą było umieszczać rozporządzenia władz

kościelnych i świeckich, o ile one dotyczą duchowieństwa. *Umtas* jest więc doskonałym wzorem, jak należałoby redagować pismo dyceazyalne, organ stolicy biskupiej czy prowincji kościelnej, a zarazem jak praktyczne wskazówki w zakresie liturgii czerpać nie z obcych, niemieckich pism, ale swoich, polskich, krajowych.

* * *

Od kilku lat wychodzi w Poznaniu *Ruch chrześcijańsko-społeczny*, redagowany zawsze dobrze, rozwija się coraz pomyślniej. Szkoda, że uwzględnia tylko stosunki niemieckiego państwa w swej »Socyalnej obronie prawnej«; przez rozszerzenie tych ram zyskałby *Ruch* o wiele więcej zastosowania w poradzie prawnej. Za to wychodzi *Ruch* poza granice poznańskie w innych swych świetnie prowadzonych działach »Ruchu ekonomiczno-społecznego« lub »Ruchu socyalistycznego«. Ostatnie zeszyty przyniosły w tej rubryce wiadomości: O domie ludowym w Warszawie, o nowem prawie dla izb robotniczych, o emigracji robotnika wiejskiego do miast (w Niemczech), o pracy kobiet zamężnych, o zapatrywaniach socyalistów na wychowanie dzieci, o bezrobociu, o centralnej kasie dla spółek rolniczych w Galicyi i w. i. Nie brak i polemiki aktualnej ze socyalistami (np. Krakowskie Sercanki handlarkami żywym towarem), a co nadewszystko na wszelkie uznanie zasługuje, to bardzo obszerna, wszechstronna bibliografia do ruchu społecznego, oraz rubryka »Materiał do wykładów i nauk«, która dostarcza co dwa tygodnie świeżego tematu do wykładów po stowarzyszeniach i kółkach społecznych. Gdy się nadto zważy jeszcze, że *Ruch chrześcijańsko-społeczny* umieszcza na czele 3—4 artykuły naukowe z kwestyi społecznej, to przyznać trzeba, że spełnia on swe zadanie jako dobry pomocnik dla prezesów w związkach społecznych czy prelegentów także dla nas w Galicyi, podobnie jak krakowski *Postęp* redagowany głównie dla warstwy pracującej, ułatwia pracę w katolickich związkach robotniczych, bo przygotowuje znowu robotnika, członka stowarzyszenia, by zrozumiał pracę społeczną — i co najważniejsza — widział jej skutki, o jakich nie chce donosić prasa nieprzychylna, a nie zawsze może donosić prasa stronnictwa katolickiego, bo i nie dochodząca do rąk klas pracujących.

* * *

Przebudzenie, dwutygodnik dla kobiet, wychodzący od stycznia b. r. w Warszawie, ma za cel zaznajamiać ogół z ruchem kobiecym i ich

działalnością, nadto z pedagogiką i literaturą. Pierwsze numery świadczą chlubnie o piśmie, że prowadzonym jest ono w kierunku zdrowym, bez tej chorobliwej skrajności, jaka zwykła cechować nowe kierunki ruchu kobiecego, i te prądy, które za efektem tylko gonią. Artykuły dotychczasowe z zakresu wychowania młodzieży i ochrony jej przed zepsuciem, lub o etyce, albo o warunkach potrzebnych kobiecie, by była dobrą towarzyszką życia, są rzeczywiście pisane spokojnie a bez frazesów, trzeźwo i z logiką przeprowadzone.* Specjalnie to podnieść należy, ponieważ wśród chaosu niemal coraz to nowszych pism, zdarza się coraz częściej spotkać takie, które w tym właśnie względzie pewne braki okazują. Dlatego powinszować trzeba redakcyi *Przebudzenia*, że od razu trafiła na *auream viam mediam*. Tą rękojmnią, że pismo rzeczywiście dobry, upragniony przez nasze polskie kobiety kierunek przybrało, a i dowodem ma być wiadomość, że dwutygodnik za parę miesięcy ma się ukazywać co tydzień.

* * *

Zanotujmy z radością ten doniosły objaw, że fachowe czasopisma dla duchowieństwa z rokiem każdym wstępują na coraz wyższy poziom. Taki *Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski*, wychodzący w Tarnowie, podbija wprost czytelnika obfitą a doborową treścią, rozumnym krytycyzmem i świeżą zawsze aktualnością.

To samo powiedzieć trzeba o lwowskiej *Gazecie kościelnej*.

Dzięki zasługom w redakcyi zmianom jest ona obecnie aktualniejszą, niż lat poprzednich: współudział księży w konserwacyi zabytków kościelnych, popieranie prasy katolickiej, niemoralne książki — oto kilka z aktualnych tematów, jakie poruszano w tem piśmie, a zaszczyt przynosić może pismu poważny artykuł apologetyczny »O zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa podług św. Pawła. I ad Cor.«, rozprawa, która niestety z powodu swej rozciągłości, może raczej powinna być wydana w jakim obszernem piśmie teologicznem, gdyż nie trzebaby jej dzielić na tyle części. Również bardzo dobrze, obiektywnie a ze spokojem są obecnie traktowane sprawy Kościoła oraz informacje z bieżącej literatury, np. z powodu książki Palmierego lub ks. Czermińskiego o Atosie.

Pożądanem, niezbędnem byłoby, ażeby i inne *Gazecie kościelnej* pokrewne pisma zechciały się rozwijać w podobny sposób.

Zaznaczmy jeszcze słówkiem, że w zakordonowej naszej prasie, obok wybitnego tygodnika *Wiara*, redagowanego przez tak znakomi-

tego publicystę i autora, jak ksiądz Gnatowski, staje obecnie na tem samem polu do pracy nowy dwutygodnik *Głos katolicki*. Dotychczasowe zeszyty każą pomyślnie wróżyć o przyszłości tego pisma.

Dzięki krakowskiej redakcyi *Głosu Narodu* doczekaliśmy się wreszcie dziennika opartego na zasadach chrześcijańsko-społecznych a redagowanego świetnie. Jest co doprawdy polecić. Największą zaletą pisma, że znać jasną świadomość celu, stałość i konsekwencyę w zasadach. Nie mówimy już o przymiotach dobrej techniki redakcyjnej, bo tę posiada obecny *Głos Narodu* w wysokim stopniu. Szczególnem znamieniem pisma to walka z korupcją żydowską na każdym polu: społecznem, czy ekonomicznem, moralnem i religijnem, korupcją sięgającą już nawet niwy naukowej, by i tam zacząć swą destruktywną pracę. Dziennikowi należy życzyć poparcia w jak najszerszych warstwach.

*

*

*

Są oznaki, że nasze społeczeństwo duchowo się odradza i to nie tylko na polu religijno-społecznem, jakby świadczyły tylko co wspomniane pisma, ale też i na innych polach. Mamy tu na myśli *Strzał Polską*, której zeszyty raz po raz podają doniosłą inicjatywę w sprawach narodowych, a obecnie starają się systematycznie przeprowadzać sprawę pruskiego bojkotu, właściwie mówiąc, podźwignięcia naszego własnego przemysłu.

Zanotujmy także, że od stycznia wychodzi we Lwowie *Odrodzenie*, czasopismo poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i ogólnie-ekonomicznym. Mamy bardzo wiele danych — prawie wszystkie do rozwoju ekonomicznego kraju — »trzeba tylko chcieć«, jak to wykazuje *Odrodzenie* w zeszycie 3.

*

*

*

Nakoniec notatka o petersburskim *Kraju*, który po licznych przemianach, powrócił do wyglądu dawnego tygodnika, o dwu częściach: politycznej i artystyczno-literackiej.

K.

Kronika irlandzka.

Widzieliśmy w ostatniej kronice, jak to po długoletnich oczekiwaniach i po żmudnych wysiłkach Irlandczycy zdobyli sobie wreszcie

swoje uniwersytety. Przewidywaliśmy, że wszechnica dublińska wobec swego położenia i sąsiedztwa z uniwersytetem faktycznie protestanckim, zwanym *Trinity College*, będzie z konieczności uniwersytetem »o katolickiej atmosferze«, jak się trafnie wyrażono w parlamencie angielskim. Ta więc naukowa instytucja zajmować nas będzie przez chwilę i postaramy się śledzić jej rozwój; sądzimy bowiem, że rozpatrzenie się we fazach jej rozwoju nie omieszką zaciekać łaskawych czytelników *Przeglądu*, gdyż poznają na tym przykładzie dobre, ale jak przypuszczam, niestety i złe strony irlandzkiego narodu.

Skoro tylko senat uniwersytecki ostatecznie się ukonstytuował, zeszli się senatorowie, w przeważnej liczbie katolicy, by przedewszystkiem nadać nazwę nowej instytucji. Po dyskusji ochrzczono ją mianem *National University*, zatem nazwa *Royal University* poszła w odstawkę. Na następnej posiedzeniu przystąpiono do wyboru kanclerza. Prawie jednogłośnie wybrano ks. B. Walsh'a, katolickiego arcybiskupa dublińskiego i prymasa Irlandyi. Wszyscy na to się zgadzają, że wybór nie mógł lepiej wypaść: jest to bowiem człowiek pełen taktu, umysłu szerokiego, a nadto gorący patriota. Całe życie swoje poświęcił dla swego narodu, a kwestya uniwersytecka w szczególności zajmowała jego umysł już od długich lat: zawsze stał na placu boju i niema wątpliwości, że ostateczne zwycięstwo przypisać trzeba jego poświęceniu, energii i czujności. Zresztą podał Senat do wiadomości publicznej, że mianując ks. B. Walsh'a kanclerzem uniwersytetu narodowego, zastosował się tylko do tradycji przedreformacyjnej. W rzeczy samej aż do tego czasu było to regułą powszechnie przyjętą we Włoszech, Francyi i w Anglii, że kanclerzami uniwersytetów mianowano biskupów dycezyalnych.

Te dwa drobne fakty, pierwsze urzędowe kroki nowego uniwersytetu, pokazują dobitnie i ducha patryotyzmu Irlandczyków i ich szczere przywiązanie do religii, za którą ich ojcowie tyle krwi przelali.

Niestety! czyż trzeba było zaraz popsuć tak piękny początek? Oto grupa narodowców, grupa skrajna, stawia pytanie, czy język celtycki, »gaelicki«, nie tylko figurować będzie w programie uniwersytetu, ale czy nadto żądać się będzie jego znajomości, jako warunku koniecznego do wpisów dla każdego słuchacza uniwersytetu.

Wybaczy nam czytelnik, że się tu cofniemy nieco wstecz, by lepiej zrozumieć sytuację. Sto lat temu język irlandzki czyli celtycki albo gaelicki był jeszcze na ustach wielkiej części mieszkańców wyspy.

Poza prowincją Ulster, poza Dublinem i jego najbliższą okolicą i poza portami był to język ludu. Po wydoskonaleniu środków komunikacyjnych, po utworzeniu szkół, odkąd zwłaszcza okazała się większa potrzeba handlu, język angielski utorował sobie wszędzie drogę i zastąpił dawną ojców mowę. Powoli czas, szkoły i duch utylitaryzmu zrobiły swoje.

Parę lat temu patryoci widząc, że ich język wymiera, postanowili powołać go znów do życia i rzucili fundamenta pod wielką ligę *Gaelic league*. Pracuje ona z niemałym powodzeniem, a pomagają jej Bracia szkół chrześcijańskich (Bracia szkolni). Celtycki język wrócił do szkół elementarnych męskich i żeńskich, rozrzucano tanie wydawnictwa, ustanowiono katedrę gaelickiego języka na *Royal University*, w niektórych szkołach dawano nawet przedstawienia w tym języku. Jednak całkiem uzasadnionem jest jeszcze pytanie, czy ruch ten ogarnął tłumy. Zdaje się że nie, i że ci nawet, którzy oddają się nauce języka celtyckiego czynią to raczej z poczucia obowiązku niż w ugruntowanej nadziei, że lud kiedyś porzuci język zdobywcy. Dość trudną jest rzeczą poznać dokładną liczbę Irlandczyków, mówiących jeszcze po celtycku. Brak poważnych i regularnie prowadzonych dat statystycznych. W przybliżeniu jednak da się ich liczba ocenić na 30.000, mieszkających w hrabstwach środkowych, zachodnich i południowych.

Obecne położenie tak się przedstawia: członkowie *Gaelic league*, których większość prawdopodobnie nie umie po celtycku albo przynajmniej nie używa tego języka w potocznej mowie, krzątają się na wszystkie strony. Oni też chcą, by nikt nie mógł się zapisać na narodowy uniwersytet, jeśli nie da dowodu, że zna dostatecznie język swoich przodków. Z drugiej strony wielu niemniej poważnych ludzi i również dobrych patryotów sądzą, że na razie nie należy domagać się znajomości języka celtyckiego. Idą w tem za zdaniem człowieka, którego nazwisko jest równobrzmiące z rozsądkiem, mianowicie O. W. Delany T. J. Od długich już lat O. Delany jest rektorem *University College* zakładu, o którym była mowa w poprzednich kronikach i który był jedną z instytucji, składających się na pogrzebaną obecnie *Royal University*.

Obecnie zatem jesteśmy świadkami otwartej walki między braćmi i musimy z żalem przyznać, że jedna i druga strona ucieka się do argumentów i sposobów walki, którychby się wstydziła nawet wobec odwiecznego wroga. Toteż ludzie umiarkowani i członkowie episkopatu nie wahali się wyrazić publicznie i na piśmie, że stanowiska

Gaelic league w żaden sposób pochwalić nie mogą. I w rzeczy samej stanowisko nowego senatu narodowego uniwersytetu jest i tak już dość trudne, nie potrzeba utrudniać jeszcze jego roboty przez komplikacje nie w porę wywołane. Co do gorliwości, doświadczenia i patriotyzmu stoją senatorowie na wysokości swego zadania i potrafią lepiej ocenić, co nakazuje praktyczny rozum w danej chwili, niż młodzi ludzie, co ledwo studia ukończyli, lub politycy uganiający za popularnością.

Jak się zakończy walka, trudno przewidzieć. Każdy jednak umysł umiarkowany, nie uprzedzony i śledzący bieg wypadków to przynajmniej przewidzieć łatwo może, iż cudzoziemcy, a zwłaszcza Anglicy upewnią się ostatecznie w mniemaniu, że Irlandya nigdy w zgodzie cała się nie złączy. Przestrogi, jakie jej daje historia i wszystkie nieszczęścia, które przeszła, wskazują na brak zgody, jako na główną przyczynę całej niedoli. Nadto, przynajmy to szczerze, co to za widok dla Anglii w chwili, kiedy według powszechnych przewidywań wejdzie do Izby angielskiej kwestya irlandzkiego *Home Rule*! Jakżeż można się spodziewać, by naród, który nie potrafi się porozumieć w wydaniu sądu, czy kwestya jest na czasie, mógł kiedykolwiek dojść do zgody, bez której wszelki rząd jest niemożliwy, chyba że chodzi o rząd anarchistyczny. Toteż przed paru dniami tak się wyraził jakiś Anglik: »Gdyby doświadczenie nie miało być znanadto kosztowne, najlepiej byłoby przyznać *Home Rule*; za dziesięć lat kraj byłby w takiej anarchii, że Irlandczycy błagaliby nas, byśmy wrócili do dawnego systemu«. Podajemy to tylko jako przykład jednego sposobu patrzenia się na rzeczy.

Miejmy nadzieję, że agitacya podjęta w Anglii przez kilku posłów irlandzkich osiągnie pomyślny rezultat. Aby sobie zapewnić dobry skutek udali się pp. John Redmond i Deolin M. P. w październiku do Stanów Zjednoczonych, w celu zebrania pieniędzy potrzebnych na agitacyę w Anglii. Cel podróży osiągnęli, przyjmowano ich z entuzjazmem i wdzięcznością w wielkich miastach olbrzymiej rzeczypospolitej. W czasie ich nieobecności, znowu ze żalem o tem wspominać trzeba, podjęto znów przeciw nim i przeciw »irlandzkiemu stronnictwu parlamentarnemu« dość ostrą, choć cichą walkę. Wyrzucano stronnictwu, że łączy swój los z losem angielskiego stronnictwa liberalnego. W rzeczy samej niemało patriotów irlandzkich niema wcale sympatii do akcyi parlamentarnej i nie rzadko się słyszy, że czas już wziąć się znów do akcyi rewolucyjnej, że wrócić trzeba do powstań i do

gwałtów. Nigdy bowiem, mówią oni, Anglia nie wchodzi na drogę ustępstw, jak tylko pod grozą strachu. Czy rządzą za cieśniną konserwatywni czy liberalni, to wszystko jedno dla Irlandyi.

Spodziewajmy się, a niema przyczyny o tem wątpić, że egzaltowani narodowcy nie wezmą góry. Ostatnia sesja parlamentarna, którą niedawno zamknięto, nie była dla Irlandyi tak bezowocną, by trzeba się uciekać do siły, do spisków i sprzysiężeń. Na dowód wystarczy tylko wyliczyć uchwały zapadłe tego roku, na korzyść wyspy sąsiadki: prawo o uniwersytetach irlandzkich, prawo normujące usuwanie dzierżawców *evictet Tenants bill*, a odnoszące się do sprawy agrarnej, prawo o wykupnie ziemi t. zw. *Land Act*.

To ostatnie prawo, którego skutki mogą być nieobliczalne, nie jest jeszcze faktem dokonanym. Projekt wniesiony i dyskutowany na sesyi jesiennej przeszedł pierwsze czytanie, zabrakło czasu na głosowanie i na rozpatrzenie ustawy w wyższej Izbie. A wiedzieć trzeba, że w Anglii projekt ustawy przepada, gdy nie przeszedł ostatecznego głosowania w ciągu tej samej sesyi, i wszystkie przygotowania, zazwyczaj bardzo długie, muszą być na nowo podjęte w razie gdyby ten sam projekt miał być później drugi raz wniesiony. Wyjątkowo postanowiła niższa Izba, że uczyni się wyłom w tej ustawie dla irlandzkiego *Land Act*. Na następnej sesyi w lutym przyjdzie zatem projekt pod obrady, jakgdyby sesyi nie przerywano. Pomówimy o nim potem, gdy wiadomy będzie ostateczny tekst ustawy.

Na razie wystarczy wspomnieć, że prawo to ma na celu uzupełnienie niedostatecznego prawa z 1903 r., a dąży do ułatwienia chłopom zakupna gruntu, który uprawiają. Oby w ten sposób można było rozbudzić znów w robotniku rolnym przywiązanie do gleby i zapobiedz emigracyi! Chodzi o byt samego ludu irlandzkiego.

Nadto w czasie jesiennej sesyi zapadła uchwała o emeryturach. Każda osoba mająca lat 70 ma prawo do pensyi 5 szelingów (6 fr. 25 centim.) tygodniowo. W tym celu oddano 6,000.000 funtów szterlingów (75,000.000 fr.) do dyspozycji rządowi angielskiemu. Ale w Irlandyi większy o wiele procent ludzi dochodzi do późnej starości niż w Anglii i Szkocyi; zatem wielka część tej sumy przypadnie na Irlandyę: mówią powszechnie, że około połowy.

Pod względem politycznym sytuacja przedstawia się nieźle: w Irlandyi samej, za inicjatywą ludzi wpływowych, nie chcących jednak swych nazwisk podać do publicznej wiadomości, powstało nowe stronnictwo pod nazwą *Iriste Imperial Home Rule Association*. Jest to

po prostu próba zlania stronników *Home Rule* ze stronnikami angielskiego panowania, stąd zdaje się być sprzeczność w samej nazwie: *Irisht Imperial* i *Home Rule*.

Cel tego stronnictwa da się ująć w cztery punkty:

1) Podniesienie i rozwinięcie sił wewnętrznych Irlandyi i ustalenie jej stanowiska w państwie Wielkiej Brytanii.

2) Ustanowienie parlamentu irlandzkiego i rządu wykonawczego, odpowiedzialnego przed tym parlamentem, z administracyi wewnętrznej kraju. Parlament irlandzki zależałby od parlamentu angielskiego we wszystkich kwestiach odnoszących się do państwa całego.

3) Przyznanie wszelkich środków ekonomicznych, które się dadzą pogodzić z istnieniem państwa i jego dobrą organizacją.

4) Rozszerzenie środków przemysłowych i handlowych w Irlandyi, dopomaganie do rozwoju przymiotów osobistych i wspólnych, potrzebnych do autonomicznego i niezależnego rządu.

Program ten zdaje się być zdolnym do zaspokojenia słuszných dążeń narodu i daje każdemu pole do okazania dobrej woli: jest to próba zgody. To też wielu umiarkowanych spieszy zapisać się do tego stronnictwa. Prasa angielska wyraża wogóle swe zadowolenie z niego i jej komentarze są na ogół przychylne. Posłowie irlandzcy są w robocie i urządzają metyngi i konferencye po różnych okręgach wyborczych angielskich. Wszystko bowiem zdaje się wskazywać, że wnet obecny rząd liberalny rozwiąże parlament i zasięgnie zdania narodu przez ogólne wybory. Kwestya *Home Rule* lub rządu irlandzkiego będzie jednym z punktów kandydatury poselskiej; a że konieczność nagli do czynu, o tem niema dwóch zdań.

Stronnictwo narodowe irlandzkie skądinąd zyskało sobie katolików angielskich, tak, że poważne głosy w Anglii odzywały się z zapytaniem, czy nie należałoby zachęcić otwarcie katolików do popierania zamiarów Irlandyi w kwestyi *Home Rule*. Na drugim brzegu cieśniny uważano tę kwestyę za obowiązek wdzięczności, prawdopodobnie zbierze się więc, rodzaj konferencyi z delegatów obu krajów. Jakżeż doszedł do skutku ten zwrot? Wiadomą bowiem jest rzeczą, że zwykle uważa Irlandya katolików angielskich raczej za swoich nieprzyjaciół niż za przyjaciół.

Dzienniki polityczne donosiły o strasznej walce, jakiej musieli się podjąć katolicy angielscy na terenie szkolnym. Po kilka razy próbował liberalny rząd uregulować sprawę szkolną, by zadowolić anglikanów i członków sekt dyssydenckich, niekonformistów. Ostatnią próbą

był projekt p. Runciman'a. Faktycznie nie wciągnięto katolików do kompromisu, a ich szkoły, choć nadal wspierane przez rząd, miałyby trudne przejścia, władza duchowna zaś, pragnąc je utrzymać, byłaby narażona na wielkie trudności finansowe. Zresztą nie podobało się katolikom, że ich wykluczono z systemu narodowego. Metynghi protestujące, wiece ludowe i zebrania władz konstytucyjnych odbyły się w całej Anglii, wreszcie udało się w parlamencie — w czym zasługa posłów irlandzkich — doprowadzić rząd do cofnięcia swego projektu. Innemu znów posłowi irlandzkiemu zawdzięczają katolicy wniesienie do parlamentu ustawy kasującej przysięgę królewską w dzisiejszem jej brzmieniu. Zostawiając jej sens protestancki, dąży nowy projekt do zmiany tekstu przysięgi, jaką król składa w dniu swej koronacji, by usunąć z niej wszystkie ustępy, które słusznym oburzeniem napełniają sumienie 12,000.000 lojalnych katolickich poddanych J. Król. Mości. Czyż biedny król nie jest zmuszony nazywać ich bałwochwalcami? rugować przeistoczenie eucharystyczne? i t. d. Z poczucia wdzięczności za te usługi chcą katolicy wspierać swych braci irlandzkich w doprowadzeniu do skutku ich aspiracji politycznych.

Wnet zapewne dowiemy się, o ile to im się uda.

Dublin, 6 stycznia 1909 r.

Ch. Schoonjans.

Z teatru lwowskiego.

Teatr nazywamy świątynią sztuki. I rzeczywiście powinien on nią być, ale niestety wszyscy wiemy, że obecnie jest on czem innem. »Scena zabawą czezą nie jest dla gminu, ani jest wiechą podłego rzemiosła. Ona ze skały skry bije do czynu, maską gmin bawi, aby go podniosła«. Tak mówił ongi Jan Nep. Kamiński. Dziś niestety scena zazwyczaj nie podnosi tłumu, ale go poniża i staje się często szkołą zepsucia. Te myśli nasunęło mi przedstawienie »Profesyi Pani Warren« Shawa w teatrze lwowskim dnia 17 lutego b. r.

Z recenzji teatralnych powinni ojcowie rodzin dowiedzieć się, czy na daną sztukę można zaprowadzić córki. Zazwyczaj jednak w tym względzie nie można się zupełnie na nie spuścić. Ale »Profesya Pani Warren« była zbyt pieprzną, aby można było o tem zamilczeć. To też czytamy w dzienniku lwowskim *Przeglądzie*: »Opowiadać jej treści nie będziemy, bo jest zanadto drastyczną. Autor poruszył temat...

i ujął go w sposób tak cyniczny, że samo opisanie jego roboty mogłoby razić niejednego z czytelników«. Ale parę wierszy dalej czytamy: »Utwór ten działa jednak ogromnie potężnie, a to dzięki temu, że jest napisany z niepospolitym talentem... Z tego powodu może ona działać na ludzi umoralniająco«. Ładne wnioskowanie! Więc sztuka o treści zbyt drażliwej, aby o niej napisać w gazecie, napisana w sposób cyniczny, ale z wielkim talentem, może działać umoralniająco na audytorum teatralne?

Innego zdania była publiczność poważna, bo na drugim przedstawieniu 19 lutego profesor gimnazyalny Michalski wyszedł z teatru i wypowiedziawszy głośno te słowa: »Wstyd, że takie sztuki przedstawiają na scenie polskiej«, a liczni widzowie krzykiem i świstem zmusili aktorów do opuszczenia sceny. Parter zapelniali przeważnie Żydzi i ci stanęli w obronie gorszącej sztuki i oklaskami przywołali artystów na scenę. Tymczasem policja, która nie umiała sobie dać rady, gdy socjaliści przerwali przedstawienie Krehowieckiego »My«, teraz odzyskała swą energię i usunęła demonstrantów.

Nie dziwię się, że *Dziennik Polski*, własność Żydów, potępił tę demonstrację, ale w jednym z nim szeregu znalazł się i *Przegląd*, dziennik poważny, konserwatywny i uznający się katolickim. Píše on bowiem: »Jeden z widzów począł w tak niekulturalny sposób protestować przeciw tej sztuce, przy akompaniamencie gwizdów przenikliwych z trzeciego piętra, że artyści musieli przestać grać. Dopiero jednomyślne oklaski całego przepełnionego teatru zmusiły grających do powrotu na scenę«.

Więc wedle *Przeglądu* »niekulturalnym« jest męski protest pana Michalskiego, a zapewne kulturalnem jest szerzenie zepsucia z desek sceny stołecznej, utrzymywanej kosztem miasta i kraju, a więc z podatków, ściąganych także od ludzi biednych. Podnieść należy z uznaniem, że *Gazeta Narodowa* i *Słowo Polskie* postąpiły wcale inaczej, potępiły sztukę i życzliwie się odnosiły do demonstrantów.

Powitać należy z radością tę reakcję zdrowszej części społeczeństwa przeciw systematycznemu zatrutowaniu ducha narodu zapomocą sceny, a dziwić się nie mogę, jeżeli publiczność oczekując na próżno wkroczenia powołanych czynników rządu, komisji teatralnej, rady miejskiej, sama broni się przeciw demoralizacji.

Dr. M. Thullie.

Korespondencya 'Redakcyi.

Do artykułu w lutowym zeszycie *Przeglądu*: »Czy W. Księżę Konstanty umarł katolikiem?« otrzymujemy od p. Maryana Dubieckiego uzupełniającą notatkę o księdzu, który w Carskiem Siole księżną Łowicką do śmierci przygotowywał, jakoteż jego świadectwo o otruciu księcia Konstantego, świadectwo uzasadniające tradycję o zbrodni w Witebsku i rzucające jaskrawe światło na ów dzień okropny *la terrible journée*, który równocześnie był dniem »błogosławieństwa Niebios« dla małżonka księżny Łowickiej.

Redakcyja.

Carskie Sioło, gdzie księżna Łowicka spędziła ostatnie cztery miesiące życia, posiadało przy swym, niedawno wzniesionym kościele, kapłana własnego, człowieka bardzo wybitnego. Był nim O. Bogusław Onichimowski (* 1797 † 1856), Dominikanin, znany wówczas w stolicy Rosyi z gorliwości religijnej, z wykształcenia i z wymowy. On to, ów O. Onichimowski, był jej »powiernikiem sumienia i prawdziwym przyjacielelem ostatnich chwil«... (Prof. Ant. Muchliński, w »Pam. Relig. Mor.«, t. XXXI, str. 523). Relację moją opieram nie tylko na sprawozdaniu nekrologowem (z r. 1856) prof. A. Muchlińskiego, ale na słowach śp. biskupa wileńskiego, Ad. St. Krasińskiego, który znał dobrze O. Onichimowskiego i mówił mi o nim, jako o człowieku wyróżniającym się wśród kapłanów katolickich w Petersburgu. Posiadał on gruntownie języki nowożytnie, uprawiał muzykę. Będąc niemal jedynym, a prawie codziennym gościem u gasnącej ks. Łowickiej, słyszał ks. Onichimowski z jej ust to straszne wyznanie, że mąż jej stał się ofiarą gwałtownej trucizny, ona zaś gaśnie od powolnej...

Mniemając, że pamięć O. Onichimowskiego nie powinna zagać, przysyłam Szan. Redakcyi *Przeglądu Powszechnego* tę relację, prosząc o umieszczenie w łamach Waszego miesięcznika.

Z poważaniem prawdziwem

Maryan Dubiecki.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Z POWODU JUBILEUSZU »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO«.	
Przez JE. Ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza	1*—7*
Z MYŚLI WIECZORNYCH. VII. Tak szeptał tuman czarny...	
VIII. Kędy płyną dwa złote ruczaje... Przez <i>Elizę Orzeszkową</i>	1
W SPRAWIE ŚW STANISŁAWA:	7
Od Redakcyi.	
Zagajenie. Przez <i>d-ra K. Krotoskiego</i>	8
Dyskusya:	
<i>Dr. Wojciech Kętrzyński</i>	15
<i>Dr. W. Cermak</i>	18
<i>Dr. A. Prochaska</i>	196
<i>Dr. A. Miodoński</i>	370
RUCH SPOŁECZNY MŁODYCH KATOLIKÓW WE FRANCYI.	
Przez <i>Maryę Straszewską</i>	25
BOGARODZICA DZIEWICA A JEJ NAJNOWSI PRZECIWNICY.	
Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i>	49 202
WADSTENA. Przez <i>ks. M. Czerminskiego T. J.</i>	66
HEKUBA. (1863 r.) Powieść. (C. d.) Przez <i>E. Orzeszkową</i> . 77	231 383
JOANNA D'ARC. Sądzona. Osądzona. Przez <i>Krystynę Saryusz-Zaleską</i>	153
WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW I BISKUP STROSSMAYER. Przez	
<i>ks. J. Urbana T. J.</i>	159
GALICYA W OSTATNIM BUDŹECIE PAŃSTWOWYM. Przez	
<i>prof. d-ra Włodz. Czerkawskiego</i>	172
CZY W. KSIĄŻĘ KONSTANTY UMARŁ KATOLIKIEM? Przez	
<i>ks. Józefa Sasa T. J.</i>	218
PIEŚŃ II ILIADY. Przez <i>Lucyana Rydla</i>	263 422
Z POWODU POGLĄDÓW PRUSA NA KWESTYĘ ŻYDOWSKĄ.	
Przez <i>d-ra Włodzimierza Czerkawskiego</i>	1*—14*
DWA IDEALY CYWILIZACYI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ. Przez	
<i>ks. Leonarda Lipkego T. J.</i>	333
PRÓBA WSTĘPU DO KRYTYKI POZNANIA. Przez <i>ks. Stanisława Kobyleckiego T. J.</i>	348
DUSZA — DUCH — MATERYA — ÉTER. Z autografów <i>Ignacego Domejki</i>	407

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

	Str.
CZASY I LUDZIE. Kallenbach Józef. (<i>Prof. A. Mazanowski</i>)	95
O JULIUSZU SŁOWACKIM. W sześciu publicznych posiedzeniach (z dodatkiem rozbioru Balladyny) 1860 r. przez C. K. Norwida. (<i>Adam Stodor</i>)	101
STUDYA HISTORYCZNE, wydane ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego. (<i>Ks. Józef Sas T. J.</i>)	103
KRÓLESTWO POLSKIE (1815—1830). Skreślił M. Offmański. (<i>Ks. Józef Sas T. J.</i>)	110
Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII. Dr. Anna Wyczółkowska: »Szkice psychologiczne«. — Taż: »O illuzjach optycznych«. (<i>Dr. Maurycy Straszewski</i>)	272
W DAŻENIU DO SYNTETY. Dr. Maurycy Straszewski. Pomysły i szkice z lat od 1877—1907. (<i>Fryderyk Klimke T. J.</i>)	430
Z TWÓRCZOŚCI POETYCKIEJ. Lucyan Rydel: »Ferenike i Pejsidoros«. Opowieść kulturalno-obyczajowa na tle igrzysk olimpijskich. — Tenże: »Poezye«. Wydanie trzecie znacznie pomnożone. — Tenże: »Madejowe łoże«. Stara klechda dla młodszych czytelników w XVIII pieśniach z epilogiem. (<i>A. E. Baliński</i>)	437
Z HISTORII SZTUKI. Franciszek Klein: »Akademicki kościół św. Anny w Krakowie«. — Julian Pagaczewski: »Baltazar Fontana w Krakowie«. — Leon Piniński: »Przechadzka po muzeach madryckich«. (<i>Leonard Lepsy</i>)	445

Z piśmiennictw obcych.

HISTORISCH-APOLOGETISCHES LESEBUCH für den kathol. Religionsunterricht. Von J. W. Arenz. (<i>Ks. E. Matzel T. J.</i>)	111
OHNE GRENZEN UND ENDEN. Gedanken über den unendlichen Gott. Von O. Zimmermann S. J. (<i>R. Malotta T. J.</i>)	113
PRINCESSES DE SCIENCE, par Colette Yves. (<i>T. Wodzicka</i>)	114
DZIEJE WOLNEJ MYŚLI W EUROPIE. W. E. H. Lecky. Przetłóżyła Marya Feldmanowa. 2 tomy. (<i>Dr. Roman Jamrógiewicz</i>)	289
LA MATERNELLE (Ochronka). Léon Frappié. (<i>M. S.</i>)	299
DIE BRIEFE DES APOSTELS PAULUS AN TIMOTHEUS UND TITUS. Übersetzt und erklärt von Dr. Joh. Ev. Belser. (<i>Ks. E. Matzel T. J.</i>)	449
STURM UND STEUER. Ein ernstes Wort über einen heiklen Punkt an die studierende Jugend von Dr. Konstantin Holl, Rektor des erzbischöfl. Gymnasialkonvikts zu Rastatt. (<i>Ks. E. Matzel T. J.</i>)	451
L'AU-DELÀ d'après Msgr. Wilhelm Schneider. (<i>T.</i>)	454
L'IMMACOLATA CONCEZIONE DI MARIA VERGINE ET LA CHIESA GRECA ORTODOSSA DISSIDENTE. Mons. N. Marini. (<i>J. Aromatizi T. J.</i>)	456
STUDIEN ZUR LEX DEI. Von Dr. Franz Triebbs. Erstes Heft. Das röm. Recht der Lex Dei über das fünfte Gebot des Dekalogs. Zweites Heft. Das röm. Recht der Lex Dei über das sechste Gebot des Dekalogs. (<i>Ks. J. Roth T. J.</i>)	457

Zapiski bibliograficzne.

NAUKA INSTRUMENTACYI na orkiestrę symfoniczną i wojskową. H. Waghaller. (<i>A. Ch.</i>)	118
BEETHOVEN W SWEJ KORESPONDENCYI. Z. Jachimecki. (<i>A. Ch.</i>)	119
W USŁUGACH NIEMIEC. M. Barrès. (<i>St. B.</i>)	119

EUROPA I POLSKA DO KOŃCA XVIII WIEKU. Przez autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa”. (<i>St. B.</i>)	119
IDEA SŁOWIAŃSKA NA KASZUBACH. Konst. Kościński. (<i>St. B.</i>)	119
CIEKAWÉ PRZYPowieści J. Kwaśniewski. — POJATA Córka LIZDEJKI. Bernatowicza. — DOKĄD IDZIESZ PANIE? (<i>St. B.</i>)	120
PAMIĄTKI PO PIASTACH I JAGIELŁONACH, pozostałe w wierzeniach, tradycyi i zabytkach. M. Offmański. SŁOWNIK MIEJSCOWOŚCI, W KTÓRYCH ZNAJDUJĄ SIĘ ZABYTKI PO PIASTACH I JAGIELŁONACH. M. Offmański. (<i>A. B.</i>)	120
TRZY PLAGI LUDZKOŚCI: ALKOHOLIZM, NIKOTYNIZM, MORFINIZM. Odczyt d-ra J. Bogdanika. (<i>Bi</i>)	120
ROK WIEZIENIA 1864/5 w X pawilonie. Z pamiętnika ** (<i>E.</i>)	121
OKÓLNIK PAPIEŻA LEONA XIII o SPRAWIE ROBOTNICZEJ. Z przedmową i objaśnieniami ks. d-ra T. Trzcińskiego. (<i>L.</i>)	121
DZIECKO ZDROWE I CHORE. Ks. S. Kneip. (<i>A. B.</i>)	121
REWOLUCYA KRAKOWSKA 1848 ROKU. J. Gollenhofer. (<i>A. B.</i>)	121
PRIM UND KOMPLET des römischen Breviers. Dr. Nikolaus Gühr. (<i>R. M.</i>)	122
DAS FEIERLICHE GELÜBDE ALS EHEHINDERNIS. Dr. A. Scharnagel. (<i>R. M.</i>)	122
DZIEJE WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ NAUK (1800—1832). Z dzieła A. Kraushara skreślił M. Offmański. (<i>B.</i>)	304
WYPRAWA NA LITWĘ według zapisków hr. M. Mielżyńskiego. (<i>St. B.</i>)	305
KWESTYA TERMINATORÓW W NASZYM KRAJU. (<i>B.</i>)	305
POWRÓT HR. WITTEGO. Przełożył z rosyjskiego W. P. WYKRADZENIE więźniów. (<i>B.</i>)	305
TRZY SPRAWY. List otwarty do p. St. Koźmiana przez A. Szczepańskiego. (<i>E.</i>)	305
RUSIN, MOSKAŁ I POLAK czyli Kościół unicki a schizma. (<i>L.</i>)	306
BIBLIOTEKI PARAFIALNE, ich potrzeba, zakładanie i sposób prowadzenia. Ks. M. Fulman. (<i>K.</i>)	306
ZWIĄZEK CHŁOPIŃSKI (Boerenbond) w Belgii i Holandyi. A. Woycicki. (<i>R.</i>)	306
SPOŁEM! Kooperatywy, powstanie stowarzyszeń udziałowych i najpierwsze zasady ich prowadzenia. A. Ł. Szymański. ROBOTNICZE SKLEPY SPOŻYWCZE. Ludwik Fr. Kamiński. (<i>A. B.</i>)	306
ADAM KRECHOWIECKI. Sylwetka jubileuszowa. Henryk Cepnik. (<i>St. B.</i>)	306
GOLGOTA POLSKA czyli święty Krzyż na szczycie Łysej Góry w 900 rocznicę fundacyi 1006—1906 roku i okolica. Ks. T. Pajczkowski. (<i>St. B.</i>)	307
MOSES UND DER PENTATEUCH. Biblische Studien. Hoberg Gottfried. (<i>X. dr. J. K.</i>)	307
MONUMENTA ECCLESIASTICA PETROPOLITANA. Prof. Michael Godlewski. Zeszyt II. (<i>I. U.</i>)	459
POLSKI GŁOSICIEL STANU NATURY Z POCZĄTKU XVIII w. Tadeusz Sinko. (<i>I. N.</i>)	459
EPOS. Tom I. Epos babiloński. Enuma Eliš. (<i>A. St.</i>)	460
WYPRAWA NA LITWĘ według zapisków hr. Macieja Mielżyńskiego. (<i>St. B.</i>)	460
THE SCHOLAR'S DAUGHTER by Beatrice Harraden. I vol. (<i>T. W.</i>)	460
THE WOMAN'S VICTORY AND OTHER STORIES by Maarten Maartens. (<i>T. W.</i>)	461

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

	Str.
SPRAWY KOŚCIOŁA: Ze spraw religijnych w Anglii. — Z walk katolików włoskich. — <i>Z Los von Rom</i> w Austrii. — Porażka centrum w Poznaniu. — Ostatni tryumf Haeckla. — Z okazji katastrofy we Włoszech. Przez <i>ks. W. Wieckiego T. J.</i>	123
Z DZIEDZINY GEOGRAFII. Czy Andrée odnaleziony? Trzęsienie ziemi. Nawodnienie Patagonii. Przez <i>ks. K. Konopkę T. J.</i>	134
Z WYDAWNICTW KATOLICKICH. Przez <i>T. W.</i>	140
LISTY Z WARSZAWY. Przez <i>T. Jeske-Choińskiego</i>	145

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z Cerkwi rumuńskiej. — Z okazji katastrofy włoskiej. — Dwaj opiekunowie Austrii. — Nowi Święci. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	308
Z WYDAWNICTW KATOLICKICH. Przez <i>Fryderyka Klimkego T. J.</i>	318
ZE ŚWIATA KOBIECEJ PRACY SPOŁECZNEJ. Przez <i>Maryę Harsdorf</i>	325

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Z katolickiego ruchu wyborczego we Włoszech. — Z ruchu wśród katolików angielskich. — Początki agitacji protestanckiej w Bośni. — Sekciarskie knowania we Włoszech. — Jeszcze sprawa Haeckla. — Z okazji protestu lwowskiego. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	462
Z PIŚMIENNICTWA PERYODYCZNEGO. Przez <i>K.</i>	472
KRONIKA IRLANDZKA. Przez <i>Ch. Schoonjansa T. J.</i>	477
Z TEATRU LWOWSKIEGO. Przez <i>d-ra M. Thulliego</i>	482
KORRESPONDENCYA REDAKCYI	484